

# MOYAN

*laureat  
literackiej  
nagrody  
nobla 2012*

*klan czerwonego sorga*

*Jedna rodzina. Trzy pokolenia. Miłość, odwaga i śmierć.*

# MO YAN

*klan czerwonego sorga*

przełożyła Katarzyna Kulpa



Wydawnictwo  
ab

Tą oto książką wzywam uroczyście dusze bohaterów i dusze skrzywdzonych, unoszące się nad nieskończonymi polaciami czerwonego sorga w mojej rodzinnej wiosce. Ja, wasz niegodny potomek, chciałbym wyrwać sobie serce, zamarynować w sosie sojowym, posiekać, ułożyć w trzech miseczkach i postawić na sorgowym polu. Padam przed wami na twarz i proszę: pożywcie się tą ofiarą, ucztujcie do syta!

**CZEŚĆ I**

**Czerwone sorgo**

Dziewiątego dnia ósmego miesiąca tradycyjnego kalendarza mój ojciec, syn bandyty, miał piętnaście lat. Szykował się właśnie, by dołączyć do oddziału komendanta Yu Zhan'ao – przyszłego legendarnego bohatera – który miał zasadzić się na japońską jednostkę zmotoryzowaną podążającą drogą Jiao-Ping. Moja babka, ubrana w pikowane wdzianko, odprowadziła go do wejścia do wioski.

– Stójcie – polecił komendant Yu.

Babka zatrzymała się i rzekła do syna:

– Słuchaj przybranego taty, Douguan!

Mój ojciec milczał. Postawna sylwetka babki i ciepła woń dochodząca z jej pikowanego ubrania zmroziły go – poczuł dreszcz, zaburczało mu w brzuchu.

– Chodźmy, przybrany synku. – Komendant pogłaskał go po głowie.

Chaos ogarniał niebo i ziemię, w powietrzu wisiała mgła. Odgłos kroków maszerującego oddziału dobiegał z bardzo daleka. Ojciec słyszał go, lecz nie widział żołnierzy skrytych za niebieskawą zasłoną. Uczepiwszy się poły komendanckiego płaszcza, przebierał nogami ile sił. Babka niknęła na horyzoncie niczym odległy brzeg coraz bardziej wzburzonego morza oparów, młodzieniec trzymał się swojego komendanta niby burty statku.

Tak oto mój ojciec ruszył w drogę – drogę do granitowego głazu, tkwiącego wśród czerwonych pól sorga w naszej rodzinnej wiosce, który stał się potem jego pozbawionym inskrypcji kamieniem nagrobnym. Gdy grób był już gęsto porośnięty trawą, pewnego razu mały chłopak z gołym zadkiem przyprowadził tu śnieżnobiałą kozę. Kiedy koza niespiesznie skubała trawę, malec stanął na grobie i nasikał nań ze złością, po czym zaśpiewał na całe gardło: „Sorgo już czerwone – Japończycy idą. Gotujcie się bracia, strzelajcie z armaty!”.

Chodziły słuchy, że tym kozim pastuszkiem byłem ja, ale nie wiem, czy to prawda. Zawsze kochałem Północno-Wschodnie Gaomi całym sercem i jednocześnie nienawidziłem go do szpiku kości. Kiedy dorosłem i zacząłem pilnie studiować marksizm, doszedłem do wniosku, że Północno-Wschodnie Gaomi jest bez wątpienia najpiękniejszym i najwstrętniejszym, najniezwykłym i najpospolitszym, najświętszym i najbardziej zepsutym, najbardziej bohaterskim i najbardziej łajdackim miejscem na tej planecie – miejscem, gdzie pije się najwięcej wódki i kocha najmocniej. Moi przodkowie, którzy żyli na tej ziemi, lubili sorgo i co roku sadzili go mnóstwo. W ósmym miesiącu, gdy jesień była w pełni, nieskończone łąny czerwonego zboża lśniły niczym morze

krwi. Sorgo, wysokie i gęste\*, zachwycało wspaniałością, wzruszało melancholią, budziło namiętność. Jesienią wiały chłodne wiatry, słońce mocno świeciło. Białe, pulchne obłoki przepływały po lazurowym niebie, po polach sorga sunęły ich purpurowe, kształtne cienie. Przez dziesięciolecia, które zdawały się trwać tylko chwilę, gromady czerwonych ludzkich postaci podążały w różnych kierunkach wśród źdźbeł, jakby tkwały olbrzymią sieć. Zabijały, grabiły, wiernie broniły ojczyzny – tańczyły bohaterski, tragiczny taniec. Przy nich my, ich potomkowie, wydajemy się mali i niegodni. Żyjąc w czasach postępu, mam dojmujące uczucie, że nasz gatunek cofa się w rozwoju.

Opuściwszy wieś, oddział posuwał się wąską polną drogą, odgłosy kroków mieszały się z szelestem deptanej trawy. Gęsta mgła wydawała się poruszać, jakby coś w niej żyło. Niezliczone drobniutkie kropelki wody łączyły się na twarzy ojca w duże kuliste krople, kosmyki włosów oblepiały czoło. Ojciec przywykł do delikatnego zapachu mięty i słodko-gorzkiej woni dojrzałego sorga dobiegających z pól, wśród których wiodła droga – aromaty te nie były dla niego niczym nowym, wtedy jednak, podczas tamtego marszu, wyczuł przez mgłę jakiś dziwny, wstrętno-słodki, ni to żółty, ni to czerwony odór. Zapach ten, zmieszany z woniami mięty i sorga, wzbudził w nim bardzo odległe, głęboko ukryte wspomnienia.

Siedem dni później, piętnastego dnia ósmego miesiąca, w Święto Środka Jesieni, okrągły księżyc w pełni wzniósł się ponad majestatycznymi, pogrążonymi w ciszy polami sorga. Skąpane w srebrnym blasku pędy lśniły jak powleczone rtęcią. Wśród wyraźnie odcinających się fragmentów światła i cienia mój ojciec wyczuł ów słodko-gorzki odór, wielokrotnie silniejszy od tego, który pojawił się teraz. Wtedy komendant Yu prowadził go za rękę przez sorgowe pole, zasłane piętrzącymi się wszędzie trupami trzech setek jego rodaków. Sącząca się z ciał świeża krew zatapiała zboże, na całej polaci zamieniając czarną ziemię w błoto, po którym szło się powoli i z trudem. Odór zapierał im dech. Pole obsiadła wataha padlinożernych psów, wpatrujących się w ojca i jego dowódcę błyszczącymi ślepiami. Komendant Yu wyciągnął pistolet i strzelił – jedna para oczu zgasła. Drugi strzał – znikła kolejna. Psy zawyły i rozproszyły się, a po chwili rozsiadły się dalej i zanosząc się głośnym ujadaniem, spoglądały łakomie ku ciałom. Wstrętno-słodki odór wzmagał się coraz bardziej.

– Japońskie psy! – wrzasnął komendant. – Japońskie sukinsyny!

Wystrzelał do nich wszystkie naboje, zwierzęta uciekły i zniknęły bez śladu.

---

\* „Wysoki” i „gęsty” (*gao* i *mi*) to dwa ideogramy (znaki pisma chińskiego), z których składa się nazwa rodzinnych stron narratora. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

– Idziemy, synu! – zarządził dowódca.

Poszli dalej przez zboże, stary i młody, podążając za księżycem. Przesycająca pola woń wypełniła duszę mojego ojca. Przez kolejne, jeszcze straszniejsze, jeszcze bardziej okrutne miesiące i lata woń ta towarzyszyła mu bezustannie.

Żdźbła sorga szeleściły we mgle. Wśród oparów toczyła się z wolna po bagnistej równinie Rzeka Czarnej Wody, jej szum rozbrzmiewał to głośniejsz, to ciszej, to z daleka, to z bliska. Kiedy dogonili oddział, ojca otoczyły odgłosy kroków i szmery oddechów. Kolba czyjejs strzelby potrafiła inną kolbę. Stopa któregoś z żołnierzy na coś trafiła, może na ludzką kość. Idący przed ojcem człowiek zakasłał jakby znajomym tonem – dźwięk ten przypomniawsł mu pewną parę uszu. Blade, pokryte siatką maleńkich żyłek półprzejryste małżowiny, które zawsze czerwieniały z emocji, były najbardziej rzucającym się w oczy organem na głowie Wanga Wenyi. Wang, mężczyzna małego wzrostu, łeb miał okazały, wciśnięty głęboko między ramiona.

Oj ciec wyteżył wzrok, przewiercając spój rzeniem mgłę, i w końcu dojrzał wstrząsaną kaszlem głowę Wanga Wenyi. Przypomniał sobie, jak pewnego dnia spuszczone mu lanie na placu musztry i jak żałosny był to widok. Wang był wówczas świeżym rekrutem w oddziale komendanta Yu. Adiutant Ren wydał żołnierzom rozkaz: „W prawo zwrot!” – Wang Wenyi radośnie przestawił nogi, po czym ruszył w nieokreślonym kierunku. Adiutant Ren smagnał go biczem w zadek, z otwartych nagle ust Wanga Wenyi wydobył się okrzyk: „Ożeż... matko jedyna!”. Po jego minie trudno było zgadnąć, czy jest mu do płaczu, czy do śmiechu. Zza murku okalającego plac dobiegł serdeczny śmiech gapiących się dzieciaków.

Komendant Yu czubkiem buta kopnął Wanga Wenyi prosto w tyłek.

– Czego kaszlesz?

– Panie komendancie... – odpowiedział żołnierz, tłumiasł kolejne kaszlnięcie. – W gardle mnie drapie...

– Drapie, nie drapie, masz być cicho! Jak zdradzisz naszą pozycję i zaczną do nas strzelać, zapłacisz głową!

– Tak jest, panie komendancie! – rzekł Wang Wenyi, po czym chwycił go kolejny spazm kaszlu.

Ojciec raczej wyczuł, niż zobaczył, jak komendant Yu rzuca się do przodu i chwyta Wanga obiema rękami za szyję. Wang Wenyi ze świstem chwycił powietrze, ale przestał kaslać.

Dłonie komendanta puściły kark żołnierza. Ojciec oczyma wyobraźni zobaczył dwa sine niczym dojrzałe winogrona ślady dłoni na skórze Wanga. W

niebieskich, wystraszonych oczach mężczyzny poczucie krzywdy mieszało się z wdzięcznością.

Oddział szybko wkroczył między pola. Ojciec czuł instynktownie, że kierują się na południowy wschód. Wąska polna droga, którą szli, była jedynym bezpośrednim połączeniem między Rzeką Czarnej Wody a wioską. W dzień miała kolor białawy. Jej podłoże stanowiła smoliście czarna ziemia, jednak po długim udeptywaniu czerń przestała być widoczna. Drogę pokrywały niezliczone ślady zwierząt: tropy bydła, owiec i kóz w kształcie płatków kwiatów, półokrągłe odciski kopyt mułów, koni i osłów i ich przypominające suszone jabłka odchody, krowie placki, nad którymi roiło się od much, i rozsypane wszędzie kozie bobki podobne do czarnej fasoli. Ojciec często tędy chadzał – później, w ciężkich latach spędzonych w japońskiej kopalni, przed oczyma często pojawiał mu się obraz tego miejsca. Nie miał pojęcia o tych wszystkich erotycznych spektaklach, które swego czasu odegrała na tej drodze moja babka. Nie wiedział, że na ocienionej zbożem czarnej ziemi leżało kiedyś białe, lśniące niczym jadeit jej ciało. Ja jednak wiem o tym doskonale.

Gdy znaleźli się wśród pól, jakość mgły się zmieniła – zasłona stała się gęstsza, bardziej nieruchoma. Wielkie, ponure krople wody kapały z potrącanych przez ludzi i ich ekwipunek źdźbeł zboża, które trzeszczały i pojękiwały ze skrywanym oburzeniem. Woda była lodowata, krystalicznie czysta i świeża w smaku – gdy ojciec podniósł głowę, jedna kropla wpadła mu prosto do ust. Wpatrując się w spokojne opary, dostrzegał kołyszące się, ciężkie główki roślin. Mokre od rosy miękkie liście ocierały się o jego ubranie i twarz. Poczul na czole krótki podmuch, który zaszemrał w zbożu. Szum Rzeki Czarnej Wody stawał się coraz głośniejszy.

Ojciec lubił pływać w Rzece Czarnej Wody – był urodzonym pływakiem, a babka mówiła, że na widok wody cieszył się bardziej niż na widok własnej matki. Kiedy miał pięć lat, nurkował jak mała kaczka – jego różowe pośladki celowały w niebo, stopy wystawały wysoko nad powierzchnię. Wiedział, że dno rzeki jest czarne, lśniące i miękkie jak lój. Bagniste brzegi porastała szarozielona trzcina i zgniłozielona babka azjatycka, rosły tam też płożące się po ziemi pnącza kudzu i ziele paciorecznika. Na wilgotnej ziemi rysowały się cieniutkie ślady krabów. Kiedy zaczynały wiać jesienne wiatry, przynoszące chłody, stada dzikich gęsi odlatywały na południe, tworząc na niebie klucze w kształcie linii prostej albo znaku „człowiek”<sup>\*</sup>. Kiedy proso czerwieniało, całe watahy krabów wielkości końskiego kopyta wspinały się nocami na brzeg, by żerować wśród zarośli. Przepadały za świeżym krowim łajnem i rozkładającymi się szczątkami zwierząt. Szum wody przypominał ojcu pewien jesienny

---

\* Ideogram ten ma postać dwóch schodzących się u góry skośnych linii (Λ).



wieczór, kiedy to zarządca naszej rodzinnej firmy, Liu Luohan\*, zabrał go nad rzekę nad rzekę, gdy szedł łowić kraby. Noc miała przydymiony odcień ciemnych dojrzałych winogron, złoty wietrzyk owiewał brzegi rzeki. Na nieskończonym, ciemnoszmaragdowym niebie lśniły zielonkawą poświatą gwiazdozbiory: Wielka Niedźwiedzica, symbolizująca śmierć, Mała Niedźwiedzica, przynosząca życie, szklana ośmiograniasta studnia Oktantu, której brakuje jednego boku, zdesperowany Pasterz, zamierzający włożyć sobie pętlę na szyję, zrozpaczona Prządka\*\*, już gotowa rzucić się do rzeki – wszystkie wisiały nad ich głowami. Wuj Liu Luohan od kilkadziesiąt lat zarządzał naszą rodzinną gorzelnią. Mój ojciec biegł ochoczo za nim, niczym za własnym ojcem.

Myśli ojca, niespokojne w otaczającej mgłę, rozświetlił blask małej lampki z czworobocznym szklanym kloszem, naftowy dym wydostawał się przez otwór wywiercony w blaszanej pokrywce. Słabe światło wycinało w mroku pas szerokości zaledwie pięciu, sześciu metrów. W jego zasięgu woda przybierała na chwilę piękny żółtopomarańczowy kolor dojrzałej brzoskwini, po czym odpływała w ciemność, gdzie odbijało się w niej rozgwieżdżone niebo. Ojciec i wuj Luohan siedzieli przy lampce na brzegu, okryci pelerynami, wsłuchani w niezwykle głęboki, niski głos rzeki. Od nieskończonych pól docierały podniecone nawoływania godowe lisów. Blask lampy przyciągał kraby, które zbierały się w kręgu światła. Mój ojciec i wuj Luohan siedzieli w milczeniu, wsłuchując się z szacunkiem w sekrety, które szeptała ziemia; od czasu do czasu dobiegały ich powiewy zgniłej woni rzecznej mułu. Stada krabów otaczały ich zewsząd, tworząc niespokojny krąg. Ojciec był tak podekscytowany, że prawie poderwał się z miejsca, ale wuj Luohan przytrzymał go za ramiona.

– Spokojnie! – powiedział. – W gorącej wodzie kąpani nigdy nie dostają ciepłego kleiku!

Ojciec stłumił podniecenie i siedział bez ruchu. Kraby, znalazłszy się w zasięgu lampy, zatrzymywały się i głowa przy głowie, ogon przy ogonie, zakryły szczelnie podłoże. Lśniły zielonkawe skorupy, z wklęsłych oczodołów wystawały setki par okrągłych oczu na szypułkach. Kraby nisko pochyliły łby, z niewidocznych teraz otworów gębowych wydobywały się sznury różnokolorowych bąbelków. Gdy rzucały ludzkości to wielobarwne wyzwanie, nastroszyły się długie włókna peleryny mojego ojca.

– Łap! – krzyknął wuj Luohan.

---

\* Luohan – imię to oznacza: buddyjski święty osoba doskonała (*arhat*).

\*\* Chodzi o gwiazdy Altair i Wega.

Zachęcony okrzykiem wuja ojciec ruszył do ataku. Chwycili za rogi gęsto tkanej sieci, którą wcześniej rozłożyli na ziemi. Unieśli do góry warstwę krabów, odkrywając zajęty przez nie splachetek przybrzeżnego piasku. Związali rogi sieci i rzucili ją na bok, po czym równie wprawnymi, szybkimi ruchami podnieśli kolejne dwie. Wszystkie sieci były tak ciężkie, że musiały zawierać setki, może nawet tysiące krabów.

Gdy oddział wkroczył w zboże, ojciec posuwał się do przodu po krabiemu, zakosami, unikając pustych miejsc między roślinami i przydeptując źdźbła tak, że gięły się na wszystkie strony. Wciąż uczepiony rogu komendanckiego płaszcza chwilami maszerował samodzielnie, a chwilami był ciągnięty naprzód. Ogarniała go senność. Szyja mu zeszywniała, oczy nabrały oświeconego, obojętnego wyrazu. W głowie kołatała mu się tylko jedna myśl: dopóki będzie mógł chodzić z wujkiem Luohanem nad Rzekę Czarnej Wody, nigdy nie wróci z pustymi rękami.

Ojciec objadał się krabami do znudzenia, kraby jadła też babka. W końcu im się przejadły, ale szkoda było je wyrzucić, toteż wuj Luohan posiekał resztę, zmełł w młynku do przyrządzania tofu, posolił i ponakładał do słoików. Tak powstała krabowa pasta, którą jadaliliśmy przez cały rok, dopóki się nie zepsuła, wtedy nawoziliśmy nią maki. Słyszałem, że babka paliła opium, ale nie wpadła w nałóg, dzięki czemu jej twarz do końca życia zachowała brzoskwiniową świeżość, umysł pozostał jasny, a usposobienie miłe. Nawożone krabami maki rosły duże i dorodne i miały różowe, czerwone i białe kwiaty o odurzającym zapachu. Czarna ziemia mojej rodzinnej wioski zawsze była wyjątkowo żyzna i rodziła obfite plony, a uprawiających ją ludzi cechowała dobroć, wytrwałość i ambicja – taki właśnie był charakter moich rodaków. Białe węgorki żyjące w Rzece Czarnej Wody wyrastały grube niczym penisy i tak głupie, że zawsze połykały haczyk.

Ojciec pamiętał, jak zginął wuj Luohan – było to przed rokiem, na drodze Jiao-Ping. Jego ciało zostało rozerwane na kawałki i rozrzucone na wszystkie strony świata. Kiedy zdejmowano z niego skórę, gołe mięso podskakiwało i drgało, jakby był ogromną, obdzieraną ze skóry żabą. Na wspomnienie tego ciała po plecach ojca przebiegł dreszcz. Potem przypomniał sobie pewną noc przed siedmioma czy ośmioma lary, kiedy to moja babka, pijana, stała oparta o snop sorga na podwórzu naszej rodzinnej gorzelni, obejmowała wuja Luohana za szyję i błagała:

– Wuju... Nie odchodź! Nie obchodzi cię mnich – miej wzgląd na Budę, nie zależy ci na rybach – zastanów się nad wodą, jeśli nie dbasz o mnie – pomyśl o Douguanie! Jeśli mnie pragniesz... mogę być twoja... Jesteś dla mnie jak ojciec...

Wuj Luohan odepchnął babkę i poczłapał do szopy mieszać paszę dla zwierząt – dwóch czarnych mułów pracujących w naszej gorzelnii, dzięki której staliśmy się najbogatszą rodziną w wiosce. Donikąd nie odszedł. Był kierownikiem firmy, dopóki Japończycy nie zabrali mułów na budowę drogi Jiao-Ping.

Od wsi, którą zostawili za sobą, dały się słyszeć przeciągłe porykiwania mułów. Ojciec wzdrygnął się i otworzył szeroko oczy, ale widział tylko mgłę – półprzejrzystą, lecz nieprzeniknioną. Wysokie, proste źdźbła sorga tworzyły gęsty żywopłot majaczący za zasłoną mgieł, za nim krył się następny i jeszcze następny, i tak w nieskończoność. Ojciec już zapominał, ile czasu minęło od chwili, gdy weszli w zboże – jego myśli wciąż krążyły wokół szumiącej w oddali życiodajnej rzeki, wokół wspomnień. Nie rozumiał, po co w takim tempie przedzierali się przez tę gęstą jak sen, rozległą jak morze połąć. Stracił poczucie kierunku. Dwa lata wcześniej też zdarzyło mu się zgubić na polu, ale w końcu zdołał znaleźć drogę – kierował się szumem rzeki. Tym razem także usłyszał jej sygnał i szybko się zorientował, że oddział zmierza na wschód z odchyleniem na południe, równoległe do biegu rzeki. Znał już kierunek, zrozumiał więc, że idą zrobić zasadzkę na Japończyków – że będą zabijać ludzi tak sarno, jak zabija się psy. Wiedział, że idąc na południowy wschód, szybko dotrą do drogi z powiatu Jiao do powiatu Pingdu, łączącej północ z południem i dzielącej wielką nizinę na dwie części. Zbudowali ją zwykli ludzie, pod ciosami batów i bagnetów w rękach Japończyków i ich wiernych psów, kolaborantów.

Sorgo poruszało się niespokojnie, roztrącane przez oddział zmęczonych żołnierzy o głowach i szyjach mokrych od opadającej rosy. Wang Wenyi ciągle kasłał, mimo nieustannych połajanek komendanta. Ojciec czuł, że droga jest blisko, jego oczy już dostrzegały niewyraźny zarys. Nie wiedzieć kiedy nawet tam, gdzie mgła była najgęstsza, zaczęły się pojawiać niewielkie prześwity – mokre źdźbła sorga jedno po drugim popatrywały przez owe luki na ojca, a on odpowiadał im oddanym spojrzeniem. Nagle poczuł, że są to żywe istoty, które mają duszę i które tkwiąc korzeniami w czarnej ziemi, wchłaniają energię Słońca i Księżyca, piją deszcz i rosę, rozumieją porządek Nieba i ład Ziemi. Kolor sorga powiedział ojcu, że słońce już rozjarzyło bolesną czerwienią osłonięty zbożem horyzont.

Nagle wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Ojciec najpierw usłyszał przenikliwy gwizd tuż koło ucha, a potem trzask, jakby coś się przed nimi rozerwało.

– Kto strzelił?! – krzyknął komendant. – Który gnojek strzelił?!

Ojciec słyszał, jak pocisk przewierca się przez gęstą mgłę między łodygami i liśćmi zboża i strąca jeden z kłosów. Wszyscy wstrzymali oddech.

Kula przeleciała z wizgiem i w nieokreślonym miejscu spadła na ziemię. We mgle rozszedł się zapach prochu.

– Panie komendancie! – zapiszczał żałośnie Wang Wenyi. – Nie mam głowy! Panie komendancie! Gdzie moja głowa?

Dowódca zbaraniał na chwilę, po czym wymierzył mu kopniaka.

– Pieprzony idioto! Skoro nie masz głowy, to jak możesz mówić?

Komendant Yu porzucił mego ojca i ruszył na czoło oddziału. Wang Wenyi wciąż lamentował. Ojciec zrobił krok do przodu i spojrzał na jego twarz o dziwnym wyrazie. Po policzku Wanga Wenyi spływało coś ciemnoniebieskiego. Ojciec wyciągnął rękę i dotknął lepkiej, ciepłej substancji. Poczł zapach podobny do tego, który wydzielał muł z dna Rzeki Czarnej Wody, lecz duży świeższy. Zagłuszył aromat mięty i słodko-gorzka woń sorga i obudził w ojcu wspomnienie, z każdą chwilą bliższe. Niczym sznur paciorków zapach ten łączył muł Rzeki Czarnej Wody, czarną ziemię, na której wyrastało sorgo, wiecznie żywą przeszłość i przyszłość, której nie sposób powstrzymać. Bywały czasy, że cały świat pachniał ludzką krwią.

– Wujku, wujku, jesteś ranny! – zauważył ojciec.

– Douguan, to ty, prawda? Sprawdź no, czy wujek ma jeszcze głowę na karku, dobrze?

– Masz, wujku! Wszystko z nią w porządku, tylko z ucha krew ci leci.

Wang Wenyi wyciągnął rękę i pomacał ucho, po czym spojrzał na dłoń – była cała we krwi. Wrzasnął przeraźliwie, po czym zamarł.

– Panie komendancie, jestem ranny! Jestem ranny!

Dowódca wrócił z przodu oddziału, chwycił Wanga Wenyi za szyję i przyklęknął.

– Przestań wrzeszczeć, bo cię uduszę! – warknął ściszym głosem.

Wang Wenyi ani pisnął.

– Gdzie jesteś ranny? – zapytał komendant.

– W ucho... – zapłakał żołnierz.

Dowódca wyciągnął z pasa zwinięty kawałek białej tkaniny, przedarł na pół i podał Wangowi Wenyi.

– Przyłóż to, bądź cicho i idź dalej, jak dojdziemy do drogi, to sobie obandażujesz – zarządził. – Douguan! – przywołał ojca.

Ojciec kiwnął głową. Dowódca chwycił go za rękę i ruszyli, a Wang Wenyi, pochlipując, człapał za nimi.

Okazało się, że winien był niejaki Niemowa. Strzelba, którą niósł na plecach, wypaliła, gdy się potknął. Ten rosły mężczyzna otwierał pochód, maszerując z bronią w ręku. Był wielkim zawiadakiem, starym przyjacielem komendanta Yu, razem buszowali po okolicznych łąkach i lasach, razem opychali się cudzymi plackami wśród sorgowych pól. Kulał na jedną nogę z powodu jakiejś wrodzonej wady, mimo to poruszał się bardzo sprawnie. Ojciec trochę się go bał.

O brzasku, gdy oddział komendanta Yu dotarł w końcu do drogi Jiao-Ping, wielka mgła nareszcie się rozwiała. W naszej wiosce ósmy miesiąc to pora mgieł – być może to kwestia nizinnego, wilgotnego terenu. Kiedy ojciec wszedł na drogę, poczuł się zręczny i lekki, jego krok nabrał tempa i wigoru, puścił więc odważnie skraj płaszcza swojego dowódcy. Wang Wenyi ze szmatką przyłożoną do ucha nadal miał płaczącą minę. Komendant Yu niezręcznie obandażował ranę, zawijając mu pół głowy. Żołnierz boleśnie zgrzytał zębami.

– Miałeś szczęście! – orzekł dowódca.

– Cała krew mi wypłynęła, nie mogę iść dalej! – jęknął Wang Wenyi.

– Bzdety! To nic gorszego niż ugryzienie komara. Zapomniałeś o swoich trzech synach?

– Nie, nie zapomniałem... – wymamrotał mężczyzna, spuszcżając głowę.

Kolba długolufowej strzelby myśliwskiej, którą taszczył na ramieniu, miała kolor krwi. Płaski metalowy pojemnik na proch dyndał mu na pośladku.

Ostatnie skrawki mgły wycofały się w głąb pól. Drogę pokrywał żwir, na którym nie było widać ani odcisków końskich i bydlęcych kopyt, ani śladów stóp człowieka. Gęstwina zbóż otaczająca z obu stron tę dziwną opustoszałą drogę wydawała się złowróżbna. Ojciec wiedział, że oddział komendanta Yu, z głuchymi, niemymi i kulawymi włącznie, liczył nie więcej niż czterdziestu żołnierzy. Ludzie ci jednak, gdy mieszkali w wiosce, robili wokół siebie tyle szumu – aż fruwało pierze i psy podskakiwały – że cała wieś wydawała się roić od wojska. Kiedy oddział wszedł na drogę, ta niespełna czterdziestka ludzi zbiła się w małą grupkę, przypominającą zziębniętego węża. Mieli broń najróżniejszego autoramentu: śrutówki, stare karabiny Hanyang, a bracia Fangowie, Szósty i Siódmy, taszczyli armatę, z której można było strzelać odważnikami do wagi. Niemowa dźwigał szeroką bronię o dwudziestu sześciu ostrych metalowych zębach, takie same narzędzia niosło trzech innych żołnierzy. Ojciec nie wiedział jeszcze, na czym ma polegać zastawianie zasadki na Japończyków ani tym bardziej, dlaczego potrzebowali w tym celu aż czterech bron.

Do Północno-Wschodniego Gaomi zawitałem pewnego razu, pisząc kronikę mojej rodziny. Interesowałem się przede wszystkim słynną bitwą na brzegu Rzeki Czarnej Wody, w której uczestniczył mój ojciec i w której zginął japoński generał. Pewna stara, dziewięćdziesięciodwuletnia kobieta zaprezentowała mi taką oto śpiewną opowieść: „W Północno-Wschodnim Gaomi mężczyzn było wielu, nad Rzeką Czarnej Wody bitwę rozpoczęli. Powiódł ich sławny komendant Yu, rozległ się chórem wystrzałów huk. Japońskie diabły się porozbiegały, pokotem na równinę popadały. Bohaterska Dai Fenglian, jak kwiat subtelna i piękna jak sen, kazała bronie ustawić w szyku, aby wrogowi przeszkodzić w ataku...”. Staruszka była pomarszczona i łysa jak gliniany dzbanek, wierzchy jej dłoni z wystającymi żyłami przypominały pofałdowaną skórę owocu lufry. Przeżyła masakrę w dniu Święta Środka Jesieni w 1939 roku dzięki temu, że z powodu owrzodzonych nóg nie mogła uciekać, więc mąż ukrył ją w piwnicy na ziemniaki – los się do niej uśmiechnął. Dai Fenglian, o której śpiewała staruszka, to moja babka. Słyszając ten fragment, wpadłem w wielkie podniecenie. Oto okazało się, że na pomysł, by bronami zagrozić drogę japońskiej kolumnie zmotoryzowanej, wpadła moja babka, kobieta z mojego rodu. Należała więc do awangardy wojny antyjapońskiej, była prawdziwą bohaterką narodową.

Po wzmiance o mojej babce staruszka się rozgadała. Jej opowieść była porwana i chaotyczna niczym chmara rozwiewanych wiatrem liści. Opowiadała, że stopy mojej babki były najdrobniejsze w całej wsi, a nasza gorzelnia przewyższała sławą wszystkie inne. Kiedy wróciła do tematu drogi Jiao-Ping, narracja stała się uporządkowana: „Jak doszli z drogą do tego miejsca... sorgo było wysokie po pas... Japońskie diabły zabrały wszystkich zdatnych do pracy... Robili byle jak, lenili się jak mogli... Te wielkie dwa czarne muły twojej rodziny też zabrali... Wybudowali most na Rzece Czarnej Wody... Luohan, zarządca z waszego domu... Coś tam było między nim a twoją babką, ludzie gadali... Ajajaj, kiedy twoja babka była młoda, wielu się w niej kochało... Sprytny chłopak ten twój ojciec, kiedy miał piętnaście lat, po raz pierwszy zabił człowieka. Na dziesięciu bękartów dziewięciu zawsze schodzi na złą drogę... Luohan okulał muły... Złapali go i obdarli ze skóry... Japońskie diabły dręczyły ludzi, srały im do garnków, sikały do dzbanów. Tamtego roku poszłam kiedyś po wodę i co znalazłam w wiadrze? Ludzką głowę, z warkoczykiem...”.

Wuj Liu Luohan był bardzo ważną postacią w historii naszej rodziny. Jeśli jednak chodzi o jego romans z babką, jednoznacznych dowodów na ten temat brak, a ja, szczerze mówiąc, nie potrafiłem zaakceptować tej historii. Rozumiałem logikę wydarzeń, ale słowa staruszki o głowie jak dzbanek

wprawiały mnie w zakłopotanie. Skoro wuj Luohan traktował mojego ojca jak własnego wnuka, myślałem, to znaczy, że był tak jakby moim pradziadkiem. Jeśli więc mój pradziad romansował z moją babką, to znaczy, że popełniali coś w rodzaju kazirodztwa, prawda? To jednak kompletna bzdura – babka była szefową wuja Luohana, nie jego synową, związek wuja Luohana z naszą rodziną opierał się na interesach, nie na więzach krwi – był naszym oddanym, wiernym pracownikiem, wzbogacił, upiększył historię naszej rodziny i bez wątpienia przydał jej jeszcze większej chwały. Czy babka kochała się w nim, czy nie, czy sypiał z nią na kangu\* – nie ma to żadnego moralnego znaczenia. A jeśli nawet go kochała... Wierzę głęboko, że moja babka mogła robić wszystko, czego zapragnęła. Była nie tylko bohaterką wojny antyjapońskiej, ale i prekursorką wyzwolenia seksualnego, ikoną kobiecej niezależności.

W powiatowych kronikach wyczytałem, że w dwudziestym siódmym roku Republiki Chińskiej armia japońska wzięła na roboty ludzi z powiatów Gaomi, Pingdu i Jiao, którzy przepracowali przy budowie drogi Jiao-Ping czterdzieści tysięcy roboczodniówek. Straty w plonach były nie do oszacowania, a wsie sąsiadujące z budową drogi zostały ogołoczone ze zwierząt pociagowych. Pewien chłop, Liu Luohan, zakradł się nocą i szpadlem poranił nogi jednego z mułów. Został schwytany, następnego dnia japońscy żołnierze przywiązali go do pala i żywcem obdarli ze skóry na oczach tłumy. Na jego twarzy nie było strachu, a z ust płynął nieprzerwany potok przekleństw aż do chwili, gdy wyzionął ducha.

### 3

Tak właśnie było: gdy budowa drogi Jiao-Ping dotarła w nasze strony, sorgo na polach sięgało nam ledwie do pasa. Cały ten mierzący siedemdziesiąt na osiemdziesiąt *li*\*\* nizinny obszar, z wyjątkiem kilkunastu wiosek, dwóch krzyżujących się rzek i kilkudziesięciu krętych polnych dróg, zalewały zielone fale sorgowego morza. Z wejścia do naszej wioski doskonale widać było Górę Białego Konia – biały skalisty grzbiet o końskim kształcie na północnym skraju niziny. Pracujący w polu rolnicy podnosili głowy i spoglądali na białego konia, opuszczali je i widzieli czarną ziemię, w którą wsiąkał ich pot, a w ich sercach było cierpienie. Kiedy rozeszła się wieść, że Japończycy będą budować drogę na naszej równinie, mieszkańcy wioski natychmiast zrobili się niepokojni i z obawą czekali na zbliżającą się katastrofę.

Mówiono, że Japończycy nadejdą, i tak też się stało.

---

\* *Kang* – w tradycyjnych chińskich domach zbudowane z cegieł lub gliny rozległe podwyższenie, ogrzewane od spodu gorącym powietrzem z pieca, służące do spania w nocy i siedzenia w ciągu dnia, zapewniające ciepło w chłodniejszą pogodę.

\*\* *Li* – jednostka odległości, obecnie równa 0,5 km, zwana też chińską miłą.

Kiedy japońskie diabły i ich kolaboranci zjawili się w naszej wiosce, by pojmać siłę roboczą i zabrać nasze konie i muły, mój ojciec spał. Obudziły go jakieś hałasy dochodzące z gorzelni. Babka wzięła go za rękę i pociągnęła na dziedziniec, drobiąc na swoich podobnych do bambusowych pędów stopkach. Na podwórzu naszej gorzelni stało kilkanaście wielkich kadzi, każda pełna przedniej czystej wódki, której aromat unosił się w całej wiosce. Stało tam dwóch odzianych w żółtawe mundury Japończyków, trzymających karabiny z zamocowanymi bagnetami. Dwóch czarno ubranych Chińczyków z karabinami na plecach właśnie odwiązywało dwa wielkie czarne muły od pnia katalpy. Wuj Luohan raz po raz próbował rzucić się na mniejszego z kolaborantów, który odwiązywał lejce, lecz ten postawniejszy odpychał go lufą. Panował upał, więc wuj Luohan miał na sobie tylko cienką koszulę; na odsłoniętej piersi widać już było pełno czerwonych okrągłych śladów, odcisniętych przez metalową rurę.

– Bracia, może się dogadamy, może się dogadamy – prosił.

– Zjeżdżaj stąd, stary psie! – rzucił większy żołnierz.

– Zwierzęta należą do właściciela tej ziemi, nie możecie ich tak po prostu zabrać!

– Jak się będziesz dalej awanturował, fiuta ci odstrzele! – zagroził kolaborant.

Japończycy stali nieruchomo z karabinami w rękach, podobni do glinianych figurek.

Kiedy moja babka z ojcem zjawili się na dziedzińcu, wuj Luohan poskarżył się:

– Chcą zabrać nasze muły!

– Panie oficerze – odezwała się babka – jesteśmy uczciwymi ludźmi.

Japończycy zmrużyli oczy i uśmiechnęli się krzywo.

Niższy kolaborant odwiązał muły i zaczął je ciągnąć, te jednak podniosły wysoko łby i za nic nie chciały ruszyć z miejsca. Wyższy podszedł i kilka razy szturchnął jednego lufą w zad, rozdrażnione zwierzę jęło ryć ziemię kopytami, lśniące żelazne podkowy drapały błotnistą glebę, opryskując twarze żołnierzy grudkami błota.

Wyższy kolaborant wycelował karabin w wuja Luohana i krzyknął:

– Chodź no tu, stary bydlaku, zaprowadź je na budowę! Wuj Luohan ukucnął i nie odezwał się ani słowem. Jeden z Japończyków zamachał mu bronią przed twarzą.

– Minliualajalamin! – rozkazał.



Na widok lśniącego ostrza tuż przed oczyma wuj Luohan usiadł. Japończyk dźgnął go bagnietem, ostrze wycięło otwór w gładkiej, łysej skórze na jego głowie.

– Wuju, zaprowadź im te muły! – wykrzyknęła roztrzęsiona babka.

Jeden z Japończyków zbliżył się do niej. Ojciec widział, że jest młodym, ładnym chłopakiem o dużych, lśniących czarnych oczach, ale gdy się uśmiechał, kąciki jego ust unosiły się w górę i odsłaniały żółtawe kły. Babka niepewnym krokiem cofnęła się w stronę wuja. Krew z rany zalewała mu głowę i twarz. Obaj Japończycy z uśmiechem podeszli bliżej. Babka położyła obie dłonie na zakrwawionej łysinie Luohana, po czym przyłożyła je do własnej twarzy. Następnie zwichrzyła włosy, otworzyła usta i zaczęła podskakiwać jak szalona. Wyglądała, jakby tylko w trzech częściach była człowiekiem, a w siedmiu – demonem. Zdumieni Japończycy znieruchomieli. Mniejszy kolaborant powiedział:

– Panie oficerze, ta kobieta całkiem oszalała!

Jeden z Japończyków wymamrotał coś i strzelił, celując ponad głową babki. Babka usiadła na ziemię i zaczęła głośno płakać.

Wyższy kolaborant szturchnął wuja Luohana karabinem, żeby skłonić go do wstania. Wuj Luohan wziął lejce z rąk niższego. Muły podniosły łby i na drżących nogach dały się wyprowadzić z dziedzińca. Uliczka roiała się od mułów, koni, owiec i kóz.

Babka wcale nie zwariowała. Gdy tylko japońskie diabły i ich pomagierzy opuścili podwórze, zdjęła drewnianą pokrywę z jednej z kadzi i w lustrzanej powierzchni sorgowej wódki przyjrzała się swojemu budzącemu grozę zakrwawionemu obliczu. Ojciec zauważył, że łzy płynące po jej policzkach nabrały czerwonej barwy. Babka umyła twarz w alkoholu, zabarwiając całą kadź na czerwono.

Wuj Luohan, podobnie jak nasze muły, został zmuszony do pracy na budowie. Na sorgowym polu powstawał zarys przyszłej drogi. Na południowym brzegu Rzeki Czarnej Wody budowa była już niemal skończona, nową drogą nadjeżdżały mniejsze i większe wozy załadowane kamieniami i żółtym piaskiem i zrzucały ładunek na brzegu. Na rzece był tylko jeden drewniany most, Japończycy postanowili więc zbudować nowy, kamienny. Po obu stronach drogi wydeptano wielkie połacie zboża, ziemia wyglądała jak przykryta wielkim zielonym kocem. Na północ od rzeki kilkadziesiąt mułów ciągnęło wzdłuż świeżo usypanego z czarnej ziemi pasa kamienne walce, wygniatając w sorgowym polu wielkie płaskie przestrzenie, drąc pokrywającą ziemię gęstą szmaragdową sieć. Prowadzone przez ludzi zwierzęta maszerowały w tę i z powrotem po polu. Świeże źdźbła sorga padały połamane, potem

rozniały je walce, barwiąc się na ciemnozielono roślinnym sokiem. Mocna woń zboża unosiła się nad terenem budowy.

Wujowi Luohanowi kazano przenosić kamienie z południowego na północny brzeg. Z wielką niechęcią oddał lejce mułów jakiemuś staruszkowi z kaprawymi oczyma i ruszył na drugą stronę przez lichego mostek, który chwiało się tak, jakby miał się pod nim załamać. Stojący na południowym brzegu Chińczyk, wyglądający na nadzorcę, wydał polecenie, szturchając go w głowę czerwoną różgą:

– Bierz się do roboty i noś te kamienie na północny brzeg!

Wuj Luohan otarł rękoma oczy – krew płynąca mu po twarzy zmoczyła brwi. Dźwignął średniej wielkości głaz i ruszył z południa na północ. Trzymający lejce staruszek nadal tam był.

– Oszczędzaj te muły, to własność firmy – zwrócił się do niego Luohan.

Starzec obojętnie kiwnął głową i poprowadził muły ku miejscu, gdzie wielka gromada zwierząt przygotowywała grunt pod nowy odcinek. Na gładkich zadach czarnych mułów tańczyły odbłaski słońca. Z rany wuja wciąż sączyła się krew. Luohan przykucnął, zebrał w garść trochę ziemi i przyłożył do łysiny. Tępy ból przeszył go od czubka głowy po palce u stóp; czuł się tak, jakby czaszka pękała mu na dwoje.

Na obrzeżach placu budowy stali uzbrojeni japońscy żołnierze i kolaboranci, nadzorca z batem w ręku krążył tam i z powrotem jak duch. Na widok pokrytej krwawym błotem głowy Luohana robotnicy z przestraszeniem wytrzeszczali oczy. Wuj podniósł kamień. Ledwie ruszył, usłyszał za sobą świst, po czym długie pasmo kłującego bólu przeszło mu plecy. Upuścił kamień i spojrzał na wykrzywioną uśmiechem twarz nadzorcy.

– Szanowny panie, jeśli ma mi pan coś do powiedzenia, proszę mówić, po co od razu bić?

Nie przestając się uśmiechać, nadzorca zamachnął się znowu; bat owinał się wujowi wokół pasa. Luohan poczuł się tak, jakby uderzenie przecięło go na pół, dwa strumienie gorących, palących łez pociekły mu z kątek oczu, krew uderzyła do głowy. Miał wrażenie, że pokryta mieszaniną krwi i błota skorupa zaczęła podskakiwać, sprawiając mu taki ból, jakby czaszka zaraz miała mu pęknąć.

– Szanowny panie! – krzyknął wuj. Szanowny pan znowu przyłożył mu batem.

– Czemu pan mnie bije, szanowny panie?

Nadzorca potrząsnął trzymanym w rękę batem, jego oczy zwięziły się w uśmiechu.

– Żebyś zobaczył, jak to jest, psi synu!

Wuj Luohan miał ściśnięte gardło, łzy zalewały mu oczy. Schylił się, podniósł spory kamień ze stosu i ruszył chwiejnym krokiem w kierunku mostku. Czuł, że puchnie mu głowa, przed oczyma robiło mu się białe. Ostre krawędzie kamienia wpijały mu się w brzuch i klatkę piersiową, ale nie czuł bólu.

Nadzorca stał z batem w rękę jak wmurowany, a taszczący kamień wuj Luohan, trzęsąc się ze strachu, usiłował czym prędzej zejść mu z oczu. Nadzorca smagnął go batem w szyję. Wuj zachwiał się i wciąż obejmując głaz rękoma, padł na kolana. Kamień poharatał mu dłonie i poranił podbródek do krwi; ogłupiały z przerażenia i bólu zaczął łkać jak dziecko. W pustce, która zapanowała w jego umyśle, powoli zaczął się rozjarzać czerwony płomyk.

Z wysiłkiem wyciągnął ręce spod kamienia, podniósł się, wyginając grzbiet w łuk niczym rozwścieczony stary kocur.

W tym momencie jakiś mężczyzna w wieku około czterdziestki, cały w uśmiechach, podszedł do nadzorcy i wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów. Wyjął jednego i z szacunkiem podał nadzorcy, który otworzył usta, przyjął papierosa i pozwolił, by mężczyzna podał mu ogień.

– Nie warto się przejmować tym idiotą, szefie – zagaił.

Nadzorca bez słowa wypuścił dym nozdrzami. Wuj Luohan zauważył, że poźółkłe palce, w których trzyma bat, drżą.

Czterdziestolatek włożył nadzorcy do kieszeni całą paczkę. Ten z początku jakby nic nie zauważył, lecz po chwili z cichym prychnięciem poklepał się po kieszeni, odwrócił się na pięcie i odszedł.

– Jesteś tu nowy, starszy bracie? – spytał mężczyzna wuja Luohana.

Wuj potwierdził.

– Pewnie nie przyniosłeś mu żadnego drobiazgu na powitanie?

– Z tymi psami nie ma żadnej rozmowy! Przywlekli mnie tu siłą.

– Można mu dać trochę pieniędzy albo paczkę papierosów. On nie bije pracowitych, nie bije leniwych, tylko tych, którzy nie patrzą i nie wyciągają wniosków.

Czterdziestolatek odszedł rozkołysanym krokiem i wtopił się w brygadę robotników.

Przez cały ranek wuj Luohan nosił kamienie jak szalony. Strup na głowie, spieczony słońcem, pękał, sprawiając mu ból. Dłonie miał poranione do krwi, a uraz dolnej szczęki spowodował, że cały czas ciekła mu ślina. Purpurowy płomień tlił się w jego głowie to mocniej, to słabiej, nie przygasał jednak ani na chwilę.

W południe niegotowym jeszcze odcinkiem drogi nadjechała, trzęsąc się, brązowa ciężarówka. Wuj Luohan jak przez mgłę usłyszał piskliwy dźwięk gwizdka, ledwie żywi robotnicy powlekli się w stronę wozu. Usiadł na ziemi bezmyślnie, zupełnie niezainteresowany, skąd i po co nadjechał samochód. Parzący czerwony płomyk podskakiwał mu w głowie, atakując uszy ciągłym brzęczeniem.

Mężczyzna w średnim wieku podszedł i pociągnął go za rękę.

– Starszy bracie, chodź, czas na jedzenie. Spróbuj japońskiego ryżu!

Wuj wstał i poszedł za nim.

Z ciężarówki wyładowano kilka kotłów z białym ryżem oraz kosz pełen białych porcelanowych miseczek w niebieskie kwiatki. Obok kotłów stanął chudy Chińczyk z metalową łyżką, obok kosza – gruby Chińczyk z miseczką w dłoni. Każdy, kto podchodził, otrzymywał miszkę, którą następnie napełniano ryżem. Ciężarówkę otaczał tłum ludzi pochłaniających jedzenie żarłocznie niczym wilki i tygrysy – nie mieli pałeczek, więc wkładali sobie ryż do ust palcami.

Znowu pojawił się nadzorca z batem w ręku i zimnym uśmiechem na twarzy. Płomień w głowie wuja Luohana rozhuczał się, wydobywając z mroków pamięci podobne do koszmarne go snu wydarzenia dzisiejszego poranka. Uzbrojeni japońscy wartownicy i ich pomagierzy także podeszli do jednego z ocynkowanych kotłów i zabrali się do jedzenia. Za kotłem siedział wilczur o długim pysku i z wywieszonym ozorem przyglądał się robotnikom.

Wuj Luohan naliczył kilkunastu Japończyków i podobną liczbę kolaborantów posilających się wokół kotła. Zaświtała mu myśl o ucieczce. Wystarczyłoby dopaść zboża i te psy nigdy go nie znajdą. Jego stopy pokryły się gorącym potem; odkąd wpadł na pomysł, by uciec, stał się niecierpliwy i niespokojny. Ciekawe, cóż to za tajemnicę skrywał zimny, spokojny uśmieszek na twarzy nadzorcy? Na widok tego uśmieszku Luohanowi mieszało się w głowie.

Żaden z robotników porządnie się nie najadł. Gruby Chińczyk pozbierał miski. Robotnicy oblizywali wargi, wpatrując się w grudki ryżu przyklejone do ścianek kotłów, ale żaden nie odważył się poruszyć. Od północnego brzegu rzeki dobiegło ochryple ryczenie muła. Wuj Luohan rozpoznał muły z naszego gospodarstwa. Zwierzęta, wciąż przywiązane do kamiennych walców na terenie

budowy, obojętnie żuły rozgniecione łądygi i pędy sorga, które niczym trupy pokrywały ziemię.

Po południu jakiś około dwudziestoletni mężczyzna, licząc na chwilę nieuwagi nadzorca, wymknął się w zboże. Dogoniła go kula. Upadł i legł nieruchomo na skraju pola.

Kiedy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, brązowa ciężarówka odjechała. Wuj Luohan zjadł cały swój przydział ryżu. Jego przyzwyczajony do sorga przewód pokarmowy stanowczo protestował przeciwko tej białej, cuchnącej stęchlizną substancji, lecz pokonując skurcz przełyku, przepchnął ją do żołądka. Myśl o ucieczce odzywała się coraz silniej. Tęsknił za swoim dziedzińcem wypełnionym drażniącym nozdrza zapachem alkoholu, czekającym na niego w wiosce oddalonej o kilkanaście *li*. Wszyscy robotnicy z gorzelnii puciekali, buchający gorącym gar do gotowania wódki był teraz zimny. Jeszcze bardziej tęsknił za swoją babką i moim ojcem. Trudno mu było zapomnieć o czułości, którą okazała mu obok sterty sorgowych liści.

Po kolacji robotnicy zostali zagnani do wielkiej zagrody zbudowanej ze świerkowych drągów, przykrytej kilkoma płachtami brezentu. Słupy były połączone drutem grubości ziarna zielonej fasoli, bramę zbudowano z solidnych żelaznych prętów. Japońskie diabły i ich pomagierzy mieszkali w dwóch osobnych namiotach, oddalonych od zagrody o kilkadziesiąt kroków. Psa uwiązano przy wejściu do namiotu Japończyków. U wejścia do zagrody stał wysoki słup, a na nim wisiały dwie latarnie. Japończycy i Chińczycy stali tu na warcie na zmianę. Muły i konie przywiązano do kilkudziesięciu palików, wbitych gęsto w stratowane pole na zachód od zagrody.

W zagrodzie panował duszący smród. Niektórzy chrapali, inni sikali do blaszanego wiadra w kącie; strumień moczu uderzający w metal wydawał brzęk niczym perły spadające na jadeitowy talerz. Słabe światło latarni wpadało do środka, postaci wartowników rzucały długie, chybotliwe cienie.

W miarę upływu nocy zimno stawało się coraz dotkliwsze. Wuj Luohan nie mógł zasnąć. Wciąż rozmyślał o ucieczce. Odgłos kroków straży okrążał zagrodę. Wuj leżał, bojąc się poruszyć, aż w końcu zapadł w niespokojną drzemkę. We śnie czuł się tak, jakby w głowę wbito mu ostry nóż, a ręce przypiekano rozżarzonym żelazem. Obudził się zlany potem, spodnie miał przesiąknięte moczem. Z odległej wioski dobiegło piskliwe pianie koguta. Muły i konie tupwały i parskały. Przez podarty brezent ukradkiem przeświecało kilka gwiazd.

Mężczyzna w średnim wieku, który za dnia pospieszył Luohanowi na ratunek, podniósł się cicho. Mimo mroku wuj dostrzegł dwie ogniste kulki jego oczu. Przeczynał, że to człowiek niezwykły. Leżąc w ciszy, obserwował go.

Mężczyzna ukląkł u wejścia do zagrody. Bardzo powoli podniósł ręce. Wuj patrzył na jego plecy i głowę, którą otaczała tajemnicza poświata. Mężczyzna wziął głęboki oddech, przechylił głowę, wyrzucił ręce w przód niczym strzały z łuku i chwycił dwa żelazne pręty. Jego oczy miały ciemnozielone błyski – wydawało się, że gdy spojrzenie to napotyka cokolwiek na swojej drodze, sły-chać szelest. Żelazne pręty rozstały się bezgłośnie. Do zagrody wsącżyło się nieco więcej światła latarni i gwiazd, padając po drodze na znoszony but. Strażnik się odwrócił. Wuj dostrzegł jakiś cień, który wyskoczył na zewnątrz. Japończyk jęknął, po czym bezgłośnie osunął się na ziemię w żelaznym uścisku mężczyzny. Ten podniósł z ziemi karabin strażnika i rozplątał się w powietrzu.

Dopiero po chwili wuj zdał sobie sprawę z tego, co się właśnie rozegrało przed jego oczami. Mężczyzna w średnim wieku okazał się niezłym chwatem, biegłym w sztukach walki. I oto otworzył mu drogę ucieczki. W nogi! Wuj ostrożnie wyczołgał się przez otwór. Martwy Japończyk leżał na ziemi twarzą do góry, jego noga wciąż podrygiwała.

Wuj wczołgał się w zboże, wstał i poszedł wzdłuż bruzdy. Starając się nie potrać żdźbeł, by nie szeleściły, dotarł do brzegu Rzeki Czarnej Wody. Trzy Gwiazdy stały w zenicie – był to czas najgłębszej ciemności przed świtem. Ich blask odbijał się w wodzie. Postawszy chwilę na brzegu, wuj Luohan zaczął trząść się z zimna i dzwonić zębami. Ból dolnej szczęki promieniował na policzki, uszy, sięgał czubka głowy, gdzie łączył się z pulsującym bólem ropiejącej rany. Orzeźwiający, zmieszany z wonią roślinnego soku zapach wolności wypełnił nozdrza, płuca i wnętrze Luohana. Światła dwóch latarni, podobne do diabelskich ogników, jarzyły się we mgle; czarna, rzucająca chybotliwe cienie świerkowa zagroda przypominała gigantyczną mogiłę. Wuj Luohan nie mógł uwierzyć, że poszło mu tak łatwo. Nogi zaniósły go na próchniejący drewniany mostek nad szemrzącą wodą, w której pluskały się ryby. Blask spadającej gwiazdy przeszył nieboskłon, zupełnie jakby nic się nie wydarzyło. Wuj Luohan mógł teraz wrócić do wioski, ukryć się, wyleczyć rany i żyć dalej. Lecz gdy szedł przez most, z południowego brzegu dobiegło go niespokojne porykiwanie mułów. Wuj Luohan zawrócił więc po nie. To właśnie doprowadziło do wielkiej tragedii.

Konie i muły przywiązano do kilkunastu drewnianych palików w pobliżu zagrody dla ludzi. Ziemia cuchnęła tu moczem i odchodami. Konie parsknęły, muły obgryzały paliki. Konie żuły żdźbła sorga, muły wydalają rzadki kał. Wuj Luohan, potykając się co chwila, zakradł się między zwierzęta. Poczł znajomy zapach naszych dwóch czarnych mułów i wypatrzył dobrze znane sylwetki. Ruszył w tym kierunku, chcąc uwolnić swoich towarzyszy niedoli. Muły jednak, stworzenia niezdolne do logicznego myślenia, szybko obróciły się do niego zadami, a ich kopyta wystrzeliły w powietrze.

– Czarne muły, czarne muły... – mamrotał wuj. – Ucieknijmy stąd razem!

Zwierzęta gniewnie dreptały w kółko, broniąc swego terytorium. Nie rozpoznały swojego pana. Luohan nie wiedział, że to przez świeży zapach jego zaschniętej krwi i ran wydał się mułom kimś obcym. Zdezorientowany i zmartwiony zrobił kolejny krok naprzód, a wtedy jeden z mułów wymierzył mu cios kopytem w biodro. Wuj przeleciał w powietrzu kilka metrów i runął na ziemię. Zdrętwiało mu pół ciała. Muł wciąż wiercił się i tupał, stalowe podkowy lśniły niczym księżycy. Biodro wuja spuchło, dręczył go palący ból i nieznośne uczucie ciężaru. Wstał, upadł z powrotem i znowu się podniósł. Od wsi dobiegło piskliwe pianie koguta. Ciemność powoli ustępowała, Trzy Gwiazdy świeciły coraz jaśniej, ich blask odbijał się w gładkich zadach i oczach mułów.

– Pieprzone bestie!

Wuj Luohan, płonąć gniewem, kuśtykał dokoła, usiłując znaleźć jakąś broń. W miejscu, gdzie budowano rów melioracyjny, trafił na ostrą żelazną motykę, podniósł ją więc i ruszył z powrotem, międląc w ustach przekleństwa. Nie przypominał już ani trochę więźnia, nie myślał o ludziach i ich psie, którzy znajdowali się o sto kroków od niego. Był wolny – źródłem niewoli jest bowiem strach.

Słońce wylaniało się nad horyzontem i czerwona poświata na wschodnim niebie powoli się rozpraszała, łany sorga w tej godzinie przedświtku stały tak spokojnie, jakby miały za chwilę wybuchnąć. Wuj Luohan, z twarzą zwróconą ku porannej zorzy, zbliżył się do mułów. Nienawiść do nich przenikała go do szpiku kości. Muły stały w ciszy i bezruchu. Wuj Luohan podniósł motykę, wycelował w tylną nogę jednego z nich i ciął z całej siły. Na nogę muła padł lodowaty cień. Zwierzę zachwiało się, potem wyprostowało i wydało gwałtowny, dziki, przerażony, wściekły ryk. Zraniony muł uniósł zad i fontanna gorącej krwi jak deszcz zrosiła twarz wuja Luohana. Korzystając z dogodnego dostępu, wuj uderzył w drugą tylną nogę. Muł westchnął głośno, zad opuścił się i zwierzę przysiadło ciężko na ziemi. Stojąc na przednich nogach, z szyją wyciągniętą w górę, wciąż przywiązana postronkiem, beczał rozgłośnie prosto w szaroniebieskie niebo. Motyka leżała przygnieciona jego zadem, wuj Luohan także ukucnął. Wyteżając wszystkie siły, wyciągnął narzędzie spod zwierzęcia. Czuł, jak stalowe ostrze szoruje o kość. Drugi muł patrzył ogłupiałym wzrokiem na towarzysza i żałośnie porykiwał, zupełnie jakby płakał albo prosił o litość.

Kiedy wuj Luohan podszedł do niego z motyką w rękę, muł się cofnął. Postronek napiął się, jakby miał pęknąć, palik zaskrzypiał. Ogromne oczy zwierzęcia rozjarzyły się ciemnoniebieskim blaskiem.

– Boisz się, kreaturo, co? Gdzie twoja godność? Ty niewdzięczny skurczybyku! Kolaborancki psi pomocie!

Wykrzykując gniewne obelgi, wuj Luohan ciał motyką, mierząc w kanciasty pysk muła. Ostrze trafiło w palik i utkwilo w nim. Poruszając narzędziem na wszystkie strony, w końcu zdołał wydobyć ostrze z drewna. Muł walczył: jego tylne nogi wyprężyły się w łuk, łysy ogon z szelestem zamiatał ziemię. Wuj znowu wycelował w głowę: trafił w sam środek szerokiego czoła. Rozległ się brzęk, gdy metal uderzył w twardą czaszkę, trzonek motyki przeniósł wibrację, wuj Luohan poczuł mrowienie w ramionach. Z zamkniętego pyska zwierzęcia nie wydobył się żaden dźwięk. Jego kopyta drgały i tupały bezładnie; w końcu muł skrzyżował nogi i runął z głuchym tąpnięciem, jakby na ziemię przewrócił się gruby mur. Postronek się urwał, połowa zwisała bezwładnie z palika, druga połowa zwinęła się tuż przy pysku muła. Wuj Luohan stał z opuszczonymi rękoma i patrzył w milczeniu. Lśniący trzonek motyki tkwiącej krzywo w mulej głowie wskazywał niebo. Gdzieś zaszczekał pies, rozległy się pokrzykiwania ludzi. Świtało. Krwistoczerwona tarcza wstawiała na wschodzie ponad polami sorga, promień słońca wpadł w sam środek czarnej czeluści półotwartych ust wuja Luohana.

#### 4

W czerwonym blasku słońca, które dopiero co wyłoniło się z mgieł, oddział wmaszerował kolumną na brzeg rzeki. Twarz mojego ojca, podobnie jak innych, była w połowie czerwona, w połowie zielona; razem z innymi patrzył na rozwiewające się nad rzeką opary. Czternastoprzęsłowy kamienny most na Rzece Czarnej Wody łączył południowy odcinek drogi z północnym. Stary drewniany mostek stał dalej, na zachód od kamiennego, ale trzy czy cztery przęsła były zerwane – pośrodku rzeki tkwiło tylko kilka brązowych słupów, które zagradzały drogę białym spienionym falam. Wyłaniające się z mgieł lustro wody, czerwono-zielonkawe, robiło przerażająco posępne wrażenie. Gdy tak stali na brzegu, przed ich oczyma rozciągał się widok na południe: nieskończony łąn zboża, równy jak osełka, stojący w absolutnym bezruchu. Każde źdźbło miało czerwoną, dojrzałą twarzyczkę, a wszystkie rośliny tworzyły ogromne ciało, złączone jedną wielkoduszną myślą. Mój ojciec był wtedy jeszcze dzieckiem i nie umiał posługiwać się tak kwiecistym językiem – ja sam to wszystko wymyśliłem.

Sorgo i ludzie – wszyscy czekali, aż kwiaty czasu wydadzą owoce.

Droga biegła prosto na południe – coraz węższa i węższa, w końcu znikła wśród pól. W tym najdalszym miejscu, gdzie sorgo spotykało się z szaroniebieską kopułą, wstawiało słońce – był to melancholijny, uroczysty, poruszający widok.



Mój ojciec z zaciekawieniem przyglądał się ogłupiałym partyzantom. Skąd szli? Dokąd zmierzali? Po co mają zastawiać jakąś zasadzkę? Co będą robić potem? W tej uroczystej ciszy chlupot wody o zniszczony most stawał się jeszcze głośniejszy i bardziej rytmiczny. Prześwietlana słońcem mgła tonęła w wodzie; Rzeka Czarnej Wody z ciemnoczerwonej stawała się czerwonożłota. Rzeka blasku i koloru. Przy brzegu rósł samotny grzybieńczyk wodny o pożółkłych liściach; niegdyś zachwycające, podobne do jedwabników kwiaty zwisały blade i zwiędłe. Sezon łapania krabów! – pomyślał ojciec. Wieje jesienny wiatr, nastały chłody, stada dzikich gęsi lecą na południe... „Łap, Douguan, łap!” – pokrzykiwał wujek Luohan. Delikatne odnóża i szczypce krabów zapępniały miękką, mulistą ziemię skomplikowanymi wzorami. Ojciec poczuł dobiegającą z rzeki charakterystyczną, subtelną rybią woń krabów. Przed wojną w naszej rodzinie pastą krabową nawoziło się maki – wyrastały dorodne, kolorowe i pachnące...

– Wszyscy złączyć z wału i kryć się! Niemowa, rozstawiaj brony! – rozkazał komendant Yu.

Niemowa zdjął z ramienia kilka zwojów drutu i związał cztery brony razem. Wydał parę nieartykułowanych okrzyków i kilku żołnierzy pomogło mu przenieść połączone brony i umieścić je w miejscu, gdzie most przechodził w drogę.

– Bracia, ukryjcie się dobrze i czekajcie, aż japońskie wozy wjadą na most, a oddział kapitana Lenga odetnie im drogę odwrotu. Wtedy na mój sygnał otworzycie ogień i pošlemy te bestie do rzeki, na pożarcie węgorzom i krabom!

Komendant Yu wydał Niemowie kilka poleceń na migi, ten kiwnął głową i poprowadził połowę ludzi w pole, na zachód od drogi, by zacząć się tam razem z nimi. Wang Wenyi także ruszył w tę stronę, ale Niemowa odesłał go z powrotem.

– Nie idź z nimi, zostaniesz tu, ze mną. Boisz się? – spytał komendant.

– Nie, nie boję się – zaprzeczył Wang Wenyi, kręcąc energicznie głową.

Komendant Yu kazał braciom Fang ustawić działą na wale, po czym zwrócił się do trębacza Liu, który trzymał w ręku okazałą trąbkę:

– Stary Liu, kiedy my zaczniemy strzelać, na nic nie zważaj, tylko dmij w tę trąbę z całej siły. To wystraszy Japońców. Rozumiesz?

Trębacz Liu był starym kompanem komendanta Yu, jeszcze z czasów, gdy komendant był tragarzem lektyk, a Liu grał na weselach i pogrzebach. Teraz trzymał swój instrument oburącz, niczym strzelbę.

Komendant zwrócił się do wszystkich:

– Powiem wam bez ogródek: jak dojdzie do walki, każdego, kto stchórzy, zastrzelę na miejscu. Musimy pokazać ludziom Lenga, ile jesteśmy warci. Te żółwie pomioty lubią machać chorągwiami i robić wrażenie. Mnie to nie bierze. Ale on chciałby, żebym się do niego przyłączył. Tymczasem ja chcę, żeby to on przyłączył się do mnie!

Siedzieli wśród sorga. Fang Szósty wyciągnął fajkę, tytoń i krzesiwo. Żelazo krzesiwa było czarne, skałka ciemnoczerwona jak gotowane kurze wątróbki. Kiedy metal uderzył o kamień, rozległ się trzask i w powietrze strzeliły iskry. Każda z nich była ogromna. Jedna upadła na źdźbło sorga, które Fang Szósty trzymał między palcem wskazującym a serdecznym. Mężczyzna dmuchnął i nad podpałką uniosła się smużka białego dymu, a źdźbło zaczęło żarzyć się czerwono. Fang zapalił fajkę. Komendant Yu głośno westchnął i zmarszczył nos.

– Zgaś to – powiedział. – Myślisz, że Japońcy wejdą na ten most, jeśli poczują dym?

Fang Szósty zaciągnął się pospiesznie dwa razy, po czym zgasił fajkę i schował ją starannie razem z tytoniem.

– Kładźcie się na tym łagodnym zboczku nad rzeką – polecił komendant – nie możemy się dać zaskoczyć Japońcom.

Leżących na brzegu żołnierzy dręczył niepokój. Ze strzelbami w dłoniach czekali na spotkanie z groźnym wrogiem. Mój ojciec przycupnął obok komendanta Yu.

– Boisz się?

– Nie! – odparł chłopak.

– To dobrze. Jesteś godnym synem swojego przybranego taty! Będziesz moim łącznikiem. Kiedy przyjdzie do bitwy, trzymaj się mnie cały czas. Jak wydam rozkaz, ty powtórzysz wszystko tamtym na zachodzie.

Ojciec kiwnął głową. Utkwił chciwe spojrzenie w dwóch pistoletach zatkniętych za pas dowódcy, większym i mniejszym. Większy był niemieckim mauzerem, mniejszy – browniנגiem wyprodukowanym we Francji. Każdy miał swoją historię.

– Pistolety! – wyrwało się mojemu ojcu.

– Chcesz jeden? – zapytał dowódca.

– Chcę – kiwnął głową ojciec.

– A wiesz, co się z tym robi?

– Wiem!

Komendant Yu wyciągnął zza pasa browning i przyjrzał mu się uważnie. Broń była stara, emalia całkiem się wytarła. Odciągnął zamek, ze środka wyskoczył okrągły pocisk w łusce z żółtawej miedzi. Dowódca podrzucił go wysoko w powietrze, po czym schwycił dłonią i włożył z powrotem do komory.

– No to masz! Rób to co ja.

Mój ojciec wziął z rąk komendanta pistolet. Trzymając go, wspomniał przedwczorajszy wieczór, kiedy to komendant tym właśnie pistoletem rozbił czarękę z wódką.

Sierp wschodzącego księżyca zawisł na zeschniętych gałęziach. Ojciec, niosąc dzban i trzymając w palcach mosiężny klucz, na polecenie babki szedł do gorzelni po wódkę. Otworzył bramę. Na dziedzińcu panował spokój, w zagrodzie mułów zalegała ciemność, z gorzelni rozchodziła się woń fermentującego ziarna. Ojciec podniósł pokrywę jednej z kadzi i w świetle księżyca i gwiazd zobaczył odbicie swojej mizernej twarzy w lustrzanej powierzchni alkoholu. Miał krótkie brwi, cienkie wargi – uznał, że jest okropnie brzydki. Zanurzył dzban w kadzi, alkohol z bulgotem zaczął wypełniać naczynie. Kiedy je wyciągał, wódka spływająca po ściankach dzbana głośno kapiała do kadzi. Ojciec jednak zmienił zdanie i wylał płyn z powrotem. Przypomniawszy sobie tamtą kadź, w której babka myła zakrwawioną twarz. Babka piła właśnie z komendantem Yu i kapitanem Lengiem. Ona i komendant dotrzymywali sobie dzielnie kroku, Leng natomiast był już trochę pijany. Ojciec podszedł do tej kadzi, o której myślał: drewniane wieko przyciśnięto młyńskim kamieniem. Odstawił więc dzban, wyteżył się i zrzucił kamień, kamień stoczył się na ziemię, uderzył w inną kadź, wybijając w ściance otwór, przez który popłynęła strużka sorgowej wódki. Ojciec się tym nie przejął. Zdjął pokrywę i poczuł zapach krwi wuja Luohana. Twarz wuja, a potem twarz babki, jedna po drugiej, popatrzyły na niego z wnętrza. Ojciec zanurzył dzban w kadzi, napełnił go krwawą wódką, chwycił oburącz i zaniósł do domu.

Przy stoliku „ośmiu nieśmiertelnych”<sup>\*</sup>, oświetlonym rzęsiście świecami, siedzieli komendant Yu i kapitan Leng. Utkwiwszy spojrzenia w sobie nawzajem, oddychali ciężko. Babka stała pomiędzy nimi, lewą dłonią przytrzymując rewolwer Leng, prawą – browning Yu.

Ojciec usłyszał słowa babki:

– Nawet jeśli nie możecie się dogadać, zachowujcie się przyzwoicie. Tu nie miejsce na bójki i strzelaninę. Lepiej pokażcie w walce z Japończykami, co potraficie!

---

<sup>\*</sup> Kwadratowy stół dla ośmiu osób, którego nazwa pochodzi od ośmiu nieśmiertelnych, mędrców o nadprzyrodzonych zdolnościach, czczonych w taoizmie religijnym.

– Twój Wang i jego brygady nie robią na mnie wrażenia! – warknął wściekle Yu. – To moje królestwo, dziesięć lat wsuwałem tutejsze placki, co mnie obchodzi ten osioł Wang Wielki Pazur?

Kapitan Leng zaśmiał się drwiąco.

– Starszy bracie Zhan’ao, mam na względzie twoje dobro, komendant Wang także. Jeśli przekażesz nam swoje zasoby, zrobimy cię dowódcą batalionu. Wang zapewni ci broń i żołd, lepsze to, niż być bandytą.

– A kto tu jest, a kto nie jest bandytą? Każdy, kto bije Japończyków, to bohater narodowy. W zeszłym roku załatwiłem trzy japońskie grupy zwiadowcze i zdobyłem trzy karabiny maszynowe. Ty, Leng, jesteś dowódcą wojskowym, nie bandytą – a ilu Japońców zabiłeś? Nawet jednego włoska nie zdarłeś z japońskiego łba!

Leng usiadł i zapalił papierosa.

Korzystając z okazji, mój ojciec wszedł z dzbanem. Kiedy babka wzięła dzban, jej twarz się zmieniła. Spojrzała na syna poważnie. Nalała wódki do trzech czarek po same brzegi.

– W tej wódce jest krew wuja Luohana – pijcie, jeśli jesteście prawdziwymi mężczyznami. Pojutrze razem rozwalicie japoński transport, a potem każdy pójdzie własną drogą: kury mają swoje ścieżki, psy mają swoje, a woda w studni nie miesza się z wodą w rzece.

Babka ujęła czarę i wypła jednym gulgocącym haustem.

Komendant Yu podniósł czarę, odchylił głowę i wypił.

Kapitan Leng także wznosił naczynie, lecz wypił tylko połowę. Odstawiając czarę, powiedział:

– Komendancie Yu, twój brat ma już dość. Zegnam! Babka, trzymając wciąż dłoń na jego rewolwerze, spytała:

– A pójdziesz się bić?

– Nie proś go! – warknął komendant Yu. – Jak on nie pójdzie, to ja pójdę!

– Pójdę – oznajmił Leng.

Babka puściła rewolwer, Leng schował go do kabury.

Leng miał bladą skórę, wokół nosa upstrzoną kilkunastoma czarniawymi bliznami po ospie. Z jego pasa zwisał sznur nabożów. Kiedy schował broń, pas zwisał pod jej ciężarem.

– Zhan’ao, powierzam ci Douguana. Pojutrze weźmiesz go ze sobą – oświadczyła babka.

Komendant Yu spojrział na mojego ojca.

– A masz jaja, przybrany synku? – spytał z uśmiechem.

Mój ojciec spoglądał z pogardą na rozchylone wargi komendanta Yu i jego żółtawe, mocne zęby. Nie odezwał się ani słowem.

Komendant wziął czarękę ze stołu, postawił ją na głowie ojca i kazał mu stanąć w drzwiach. Chwycił swój browning i skierował się w kąt izby.

Mój ojciec patrzył, jak komendant powoli robi trzy duże kroki. Babka zbladła. Kąciki ust kapitana Lenga wygięły się w kpiącym uśmiešku.

Komendant Yu doszedł do kąta, stanął i odwrócił się na pięcie. Ojciec patrzył, jak podnosi rękę; czarne oczy zaśniły czerwono. Browning wypluł obłok białego dymu. Nad głową ojca huknęło, czarka rozpekła się na drobne kawałki. Jeden wylądował mu na karku, ojciec potrząsnął głową i okruch wpadł mu za pasek. Milczał. Babka pobladła jeszcze bardziej. Kapitan Leng przysiadł na stołku.

– Dobrze strzelasz – orzekł po chwili.

– Dzielny chłopak! – pochwalił komendant Yu.

Ojciec trzymał browning – był zadziwiająco ciężki.

– Nie muszę cię niczego uczyć, wiesz, jak się walczy – powiedział komendant. Przekaż teraz Niemowie mój rozkaz: mają się przygotować!

Z pistoletem w ręku ojciec wpadł w zboże, przebiegł na drugą stronę drogi i stanął przed Niemową. Niemowa siedział ze skrzyżowanymi nogami i ostrzył swój długi nóż na zielonym gładkim kamieniu. Pozostali żołnierze siedzieli albo leżeli.

– Każ im się przygotować – oznajmił ojciec.

Niemowa rzucił okiem na ojca, wciąż ostrząc nóż. Po chwili zerwał kilka liści sorga, wytarł ostrze z kamiennego pyłu i sięgnął po kolejne źdźbło, które miało posłużyć do sprawdzenia, czy nóż jest dostatecznie ostry. Kiedy roślina spotkała się z metalem, rozpadła się bezgłośnie na dwoje.

– Każ im się przygotować – powtórzył ojciec.

Niemowa schował nóż do pochwy i położył obok. Jego twarz wykrzywiła się w okrutnym uśmiechu. Skinął swą ogromną ręką na ojca.

– U, u! – wykrztusił.

Ojciec zbliżył się ostrożnie i przystanął o krok od Niemowy. Ten sięgnął, złapał go za rękaw i pociągnął do siebie. Ojciec wpadł mu w objęcia. Niemowa wykręcił mu ucho tak mocno, że warga zawędrowała aż na policzek. Na to

ojciec wbił mu lufę browninga w kręgosłup. Niemowa złapał chłopca za nos i ścisnął, aż biedakowi łzy pociekły mu z oczu. Roześmiał się dziwnie.

Siedzący wokół ludzie wybuchnęli głośnym rechotem.

– Wykapany komendant Yu, no nie? – To jego krew!

– Douguan, tęsknię za twoją mamusią!

– Oj, poskubałbym te jej nadziewane bułeczki!

Wstyd mojego ojca zamienił się w gniew. Podniósł rękę, wycelował prosto w tego, który marzył o bułeczkach, i pociągnął za spust. W pistolecie coś pstryknęło, ale nabój nie opuścił lufy.

Twarz owego człowieka zrobiła się szarozółta. Mężczyzna skoczył i wyrwał ojcu broń. Chłopak w furii rzucił się na niego, bijąc, kopiąc i gryząc.

Niemowa wstał, złapał mojego ojca za kark i odrzucił w bok. Ciało ojca straciło kontakt z ziemią i poszybowało w powietrze, po czym wylądowało w zbożu, miażdżąc kilka pędów. Ojciec wykonał salto, poderwał się i miotając obelgi, ruszył do ataku na Niemowę, który znowu wykrzyknął swoje „u, u!”. Na widok wyrazu jego bladej twarzy ojciec stanął jak wryty. Niemowa wziął browning, odciągnął zamek, nabój wypadł mu na dłoń. Trzymając go w palcach, przyjrzał się rowkowi w łusce wyżłobionemu przez iglicę i spróbował przekazać coś ojcu na migi. Następnie wsadził mu broń za pasek i poklepał go po głowie.

– Co tam wyprawiałeś? – spytał komendant Yu.

– Oni mówili... Ze przespaliby się z mamą – odparł ojciec, zakłopotany.

– I co im odpowiedziałeś? – drażył dowódca z surową miną. Ojciec wytarł oczy przedramieniem.

– Strzeliłem do niego!

– Strzeliłeś?

– Tak, ale pistolet nie wypalił. – Ojciec podał komendantowi lśniąca złotawo kulę.

Dowódca obejrzał niewypał dokładnie, po czym od niechcienia cisnął nim w powietrze; pocisk nakreślił piękny łuk i chlupnął w wodę.

– Zuch! – powiedział. – Ale pistolet lepiej wypróbuj najpierw na Japończykach. Jak już z nimi skończysz, każdemu, kto odważy się powiedzieć, że przespałby się z twoją mamą, strzelisz prosto w podbrzusze. Pamiętaj: nie w głowę, nie w serce, tylko tam!

Ojciec leżał na brzuchu u boku komendanta. Po lewej stronie miał braci Fangów. Armata stała na wale, wycelowana w kamienny most. Lufę wypchano bawełnianymi szmatami, z tyłu sterczał lont. Obok Fanga Siódmego leżała garść podpalki z sorga, jedno źdźbło już się tliło. Obok Fanga Szóstego stała tykwa z prochem i metalowe pudełeczko pełne żelaznych kulek.

Na lewo od komendanta Yu siedział skulony Wang Wenyi, trzymając oburącz swoją długolufową flintę. Bandaż przykleił mu się do zranionego ucha.

Słońce weszło już na wysokość bambusowego pręta, śnieżnobiałe jądro otaczała bladoczerwona poświata. Woda w rzece lśniła. Znad zboża poderwało się stado dzikich kaczek, zakołowało trzy razy i większość ptaków wylądowała w nadbrzeżnych szuwarach. Te, które siadły na powierzchni wody, popłynęły z biegiem rzeki. Wyglądały, jakby były zakotwiczone, kręciły tylko ruchliwymi łebkami. Ojciec czuł ciepło całym ciałem. Wilgotne od rosy ubranie całkiem wyschło. Leżał dłuższą chwilę, aż jakiś kamyk zaczął go uciskać, niemal wbijał mu się w klatkę piersiową. Kiedy się podniósł, jego głowa i ramiona wystawały ponad wał.

– Padnij! – rozkazał komendant.

Ojciec niechętnie rozpląszczył się na ziemi. Fang Szósty zachrapał. Dowódca chwycił grudkę ziemi i rzucił mu prosto w twarz. Mężczyzna usiadł zamroczony i ziewnął, w kącikach jego oczu pokazały się dwie drobne łezki.

– Co, Japońcy przyszli? – spytał głośno.

– Kurwa twoja mać! – zaklął komendant Yu. – Nie spać mi tutaj!

Nad rzeką panowała absolutna cisza i spokój, szeroka droga leżała jak martwa wśród pól. Kamienny most łączący brzegi przedstawiał naprawdę imponujący widok. Nieskończone łąny sorga witały się z zarumienioną, onieśmieloną twarzą słońca, które świeciło coraz wyżej, coraz jaśniej. Dzikie kaczki pokwakiwały na płyciźnie, grzebiąc dziobami w poszukiwaniu pożywienia. Spojrzenie ojca zatrzymało się na jednym z gładkich grzbietów. Już prawie strzelił do ptaka, gdy komendant Yu złapał go za rękę.

– Co ty wyprawiasz, żółwie nasienie!

Ojciec niecierpliwił się coraz bardziej, lecz droga wciąż była martwa. Sorgo jeszcze bardziej poczerwieniało.

– Ten ospowaty bydlak Leng ma czelność robić ze mnie głupka! – warknął z wściekłością komendant Yu.

Na południowym brzegu panowała cisza; ani śladu oddziału Lenga. Ojciec wiedział, że to od Lenga pochodziła wieść o japońskim transporcie. Leng

obawiał się, że sam nie da sobie z nim rady, i tylko dlatego postanowił połączyć siły z Yu.

Ojciec denerwował się jeszcze przez chwilę, po czym stopniowo ogarnął go spokój. Jego spojrzenie co rusz padało na kaczki. Przypomniało mu się, jak polowali na nie razem z wujem Luohanem. Wuj miał strzelbę o ciemnoczerwonej kolbie, ze skórzanym pasem – teraz trzymał ją Wang Wenyi.

Oczy ojca wypełniły się łzami, lecz nie było ich wystarczająco dużo, by zaczęły płynąć. Tak samo jak wtedy, w zeszłym roku. W ciepłych promieniach słońca poczuł zimny dreszcz rozchodzący się po całym ciele.

Wuja Luohana i oba muły zabrali Japończycy i ich kolaboranci. Babka umyła zakrwawioną twarz w kadzi z wódką. Jej pachnąca alkoholem skóra poczerwieniała, oczy spuchły, przód blado-niebieskiej płóciennej koszuli był poplamiony krwią i wódką. Stała długo obok kadzi, wpatrując się w ciecz, w której lśniło jej odbicie. Ojciec pamiętał, jak padła na kolana i trzy razy wykonała czołobitny pokłon. Potem wstała, nabrała trochę wódki w dłonie i wypiała. Rumieniec oblał tylko jej policzki – czoło i podbródek były blade.

– Uklęknij! – rozkazała ojcu. – Złóż ukłon! Ojciec oddał czołobitny pokłon.

– Nabierz wódki i napij się!

Ojciec nabrał płynu w dłonie i wypił.

Strumyczki krwi, podobne do nitek, popłynęły na dno kadzi. Na powierzchni unosił się biały obłoczek, a na jego tle – twarze babki i ojca. Z długich szparek oczu babki strzelały czerwone, oślepiające promienie. Ojciec bał się na nie patrzeć. Serce łomotało mu w piersi. Wyciągnął powtórnie rękę i nabrał trochę wódki; płyn ściekał mu między palcami, mącąc odbicie dwóch twarzy, małej i dużej, na tle błękitnego nieba i białego obłoku. Wypił łyk, smak krwi przylgnął mu do języka. Krwawe strużki dopłynęły już do wypukłego dna kadzi i stworzyły tam mętny wir wielkości pięści. Ojciec i babka wpatrywali się weń dłuższą chwilę. W końcu babka zaciągnęła pokrywę, wyturlała z kąta młyński kamień, z wysiłkiem dźwignęła go i przycisnęła wieko.

– Tej nie ruszaj – powiedziała.

Ojciec skinął głową wystraszony, wpatrując się w szarozielone owady, które kłębiły się w błotnistym zagłębieniu w miejscu, gdzie wcześniej leżał kamień.

Tamtej nocy leżał w swoim małym łóżku i nasłuchiwał kroków babki przechadzającej się tam i z powrotem po dziedzińcu. Odgłosy te, wraz z



szumem wiatru w zbożu, tworzyły jego poplątane sny. W tych snach ojciec słyszał ryki naszych dwóch pięknych, dorodnych mułów.

O świcie obudził się pierwszy. Nagi pobiegł na podwórze, żeby się wysikać, i spotkał tam babkę, która stała nieruchomo, wpatrzona w niebo. „Mamo!” – zawołał, ale nie doczekał się odpowiedzi. Kiedy się wysusiał, złapał ją za rękę i zaciągnął do domu. Babka, wyczerpana, posłusznie dała się prowadzić. Ledwie weszli do środka, usłyszeli zgiełk dochodzący falami z południa. Rozległ się huk wystrzału, tak ostry, jakby nóż przeciął naprężony kawałek jedwabiu.

W miejscu, gdzie leżał właśnie ojciec, było pełno śnieżnobiałych głazów, a wał pokrywał gruby żółtawy żwir. Widok ten przypominał rząd grobowców. Zeszłoroczne sorgo stało za wałem w ponurym bezruchu. Spomiędzy stratowanego zboża przeświecał zarys drogi, ciągnącej się prosto na północ. Kamiennego mostu jeszcze wówczas nie było, a mały drewniany mostek wciąż stał, poraniony i wymęczony przez dziesiątki tysięcy stóp ludzi oraz kopyt koni i mułów. Przesycający nocną mgłą zapach zielonych pędów, który wydzielają zgniecione i połamane źdźbła sorga, o świcie stał się jeszcze mocniejszy. Porastające całą okolicę sorgo płakało z rozpaczy.

Wkrótce po tym, jak ojciec i babka usłyszeli strzały, japońscy żołnierze zagnali ich wraz z innymi mieszkańcami wioski, starymi, słabymi, chorymi, w to właśnie miejsce. Słońce dopiero co wzniosło się ponad zboże. Ojciec, babka i cały tłum ludzi stali na południowym brzegu rzeki, na zachód od drogi, pod stopami mieli szczątki sorga. Patrzyli na gigantyczne ogrodzenie, przypominające zagrodę dla bydła, za którym kulili się obdarci więźni do roboty ludzie. Dwaj kolaboranci pognali ich w tę stronę, gdzie był już ojciec i inni, i uformowali z nich drugą grupę. Wieśniacy i ludzie z zagrody mieli przed oczami skrawek ziemi, gdzie trzymano osły i konie – potem na widok tego miejsca wszystkim krew zamarzała w żyłach. Przez dłuższy czas nic się nie działo, aż w końcu z namiotu wyszedł mężczyzna i ruszył w ich stronę. Ramiona Japończyka o szczupłej twarzy zdobiły dwa czerwone skrawki materiału, na dłoniach miał białe rękawiczki, u pasa zwisał mu długi miecz. Za nim podążał pies z wywieszonym czerwonym jęzorem oraz dwóch umundurowanych kolaborantów, niosących sztywne zwłoki japońskiego żołnierza. Pochód zamykało dwóch Japończyków, eskortujących dwóch innych kolaborantów, którzy wlekli skatowanego do krwi wuja Luohana. Ojciec przywarł całym ciałem do babki, babka go objęła.

Japończyk prowadzący psa zatrzymał się na pustym placyku obok zwierząt. Pięćdziesiąt albo więcej białych ptaków wzleciało z trzepotem skrzydeł nad Rzekę Czarnej Wody, przecinając błękitne niebo nad głowami

ludzi, po czym skręciło na wschód, ku lśniącej jak złoto tarczy słońca. Ojciec przyglądał się zwierzętom o zmierzwionej sierści i brudnych pyskach i wypatrzył wśród nich nasze dwa czarne muły. Jeden był martwy, motyka wciąż sterczała mu z czaszki. Podeptane sorgo i lśniący pysk muła, uwalane czarną krwią, przedstawiały trudny do zniesienia widok. Drugi muł siedział, zamiatając ziemię zakrwawionym ogonem, skóra na jego zadzie drgała, a na przemian otwierające się i zamykające nozdrza wypuszczały ze świstem powietrze. Ojciec nie zdawał sobie wcześniej sprawy z tego, jak bardzo kochał te zwierzęta. Pamiętał babkę siedzącą dumnie na grzbiecie muła i siebie na jej kolanach. Zwierzę nosło ich oboje, matkę i syna, wąską polną dróżką wśród pól sorga, kołysząc się to w przód, to w tył w szybkim klusie, a oni podskakiwali na jego grzbiecie. Zgrabne kopyta wzbijały kurz. Ojciec pokrzykiwał z radosnego podniecenia. Od czasu do czasu jakiś rolnik z motyką lub innym narzędziem w ręku zerkał na olśniewającą, różaną twarz właścicielki gorzelni z zawistną, pogardliwą miną. Teraz jeden z naszych czarnych mułów leżał na ziemi martwy, z otwartym pyskiem, a jego duże białe zęby wryły się w ziemię. Drugi siedział, cierpiąc jeszcze bardziej niż ten nieżywy.

– Mamo! Nasze muły... – powiedział mój ojciec do babki. Babka zakryła mu usta dłonią.

Ciało japońskiego żołnierza złożono przed uzbrojonym w miecz oficerem, który trzymał psa na smyczy. Dwóch kolaborantów zaciągnęło pokrwawionego wuja Luohana do wysokiego pala. Ojciec nie rozpoznał wuja od razu – widział tylko jakieś dziwne, zmasakrowane stworzenie przypominające człowieka. Kiedy go wleczono, obrócił głowę najpierw w lewo, potem w prawo – strup na jego czaszce wyglądał jak warstwa nadrzecznego mułu, spieczona słońcem, popękana i pobrużdżona. Jego stopy, dotykając ziemi, rysowały na niej wijące się linie. Tłum powoli się cofnął. Ojciec poczuł, jak ręka babki ściska mu ramię. Ludzie kulili się, twarze jednych przybierały barwę żółtawego pyłu, innych – czarnej ziemi. Panowała absolutna cisza, słychać było tylko ziajanie psa. Japoński oficer pierdnął głośno. Ojciec patrzył, jak kolaboranci, wlekący dziwną istotę, tuż przed palem zwolnili uchwyt – stworzenie osunęło się na ziemię niczym polec mięsa pozbawiony kości.

– Wuj Luohan! – krzyknął ojciec z przestrawieniem. Babka znów zakryła mu usta.

Wuj Luohan powoli się poruszył. Najpierw wygiął grzbiet na kształt mostu i uniósł w górę pośladki, potem, wsparty na rękach, ukląkł i podniósł głowę. Jego twarz była tak spuchnięta, że skóra lśniła, oczy zamieniły się w dwie wąziutkie szparki, które miały ciemnozielone błyski. Ojciec patrzył mu prosto w twarz i był pewien, że wuj go widzi. Jego serce łomotało, głośno

tłukło w żebra – ojciec nie wiedział, czy to z przerażenia, czy z gniewu, chciał krzyczeć z całej siły, ale dłoń babki wciąż szczelnie zakrywała mu usta.

Oficer trzymający psa krzyknął coś do tłumy, a ostrzyżony na jeża Chińczyk przetłumaczył jego słowa. Ojciec nie słyszał go dokładnie. Brzęczało mu w uszach, babka przyciskała mu usta tak mocno, że prawie się dusił.

Dwóch czarno ubranych Chińczyków rozebrało wuja Luohana do naga i przywiązało do drewnianego pala. Japoński oficer skinał głową i kolejnych dwóch czarno odzianych przyciągnęło z zagrody Suna Piątego, rzeźnika słynnego w całej naszej wiosce i w całym Północno-Wschodnim Gaomi. Sun Piąty był niskim umięśnionym mężczyzną z wystającym brzuchem, łysą głową, o czerwonej twarzy i maleńkich, wąsko osadzonych oczkach. Trzymając w lewej dłoni rzeźnicki nóż, w prawej wiadro z czystą wodą, na niepewnych nogach zbliżył się do wuja Luohana. Tłumacz oznajmił:

– Pan komendant mówi, żebyś obdarł go ze skóry. Jak się nie postarasz, każe swojemu psu przegryźć ci gardło.

Sun Piąty mrugnął nerwowo i wymamrotał coś potwierdzająco. Trzymając nóż w ustach, podniósł wiadro i chlusnął wodą na głowę wuja Luohana. Lodowata woda sprawiła, że wuj nagłym ruchem podniósł głowę, zmieszana z krwią woda spłynęła mu po twarzy i szyi bezładnymi strugami, u jego stóp powstała kałuża. Jeden z nadzorców przyniósł z rzeki kolejne wiadro wody. Sun Piąty zmoczył w nim szmatę i wytarł do czysta twarz wuja Luohana. Kiedy skończył, jego pośladki zaczęły drgać.

– Starszy bracie...

– Bracie – odezwał się wuj Lohan – pchnij mnie tym nożem. Stojąc u Żółtych Źródeł\*, nie zapomnę o twojej dobroci.

Japończyk coś wrzasnął.

– Szybciej, bierz się do roboty! – przekazał tłumacz.

Twarz Suna zmieniła się, gdy sięgał grubymi, krótkimi palcami, by złapać ucho wuja.

– Starszy bracie... Nie mam wyjścia...

Ojciec patrzył, jak nóż Suna Piątego tnął ucho wuja tak, jakby piłował drewno. Wuj Luohan nie wytrzymał i krzyknął boleśnie, a struga żółtego moczu strzeliła spomiędzy jego nóg. Mojemu ojcu trzęsły się kolana. Jeden z japońskich żołnierzy z białym porcelanowym półmiskiem w ręku podszedł do Suna Piątego, a ten położył na półmisku grube ucho wuja Luohana. Potem

---

\* Żółte Źródła – w mitologii chińskiej podziemny świat, do którego odchodzą zmarli.

odciął drugie ucho i dodał je do tamtego. Ojciec widział, jak uszy podskakują, podzwaniając o naczynie.

Japończyk wolnym krokiem przedelfilował z półmiskiem w dłoniach przed ludźmi wziętymi do roboty, mężczyznami, kobietami, starcami i dziećmi. Kiedy ojciec przyglądał się pięknym, białym uszom wuja Luohana, dzwoniące porcelany stało się głośniejsze.

Żołnierz pokazał uszy oficerowi, który skinął głową. Postawił półmisek obok ciała martwego Japończyka, stał chwilę nieruchomo, po czym podniósł naczynie i podsunął je pod nos psu.

Pies wciągnął język do pyska i jał ostrym, czarnym nosem obwąchiwać uszy. Potrząsnął głową i przysiadł, znowu wystawiając język.

– Hej, ty, rznij dalej! – powiedział tłumacz do Suna Piątego.

Sun Piąty chodził w kółko, mamrocząc coś do siebie niezrozumiale. Ojciec patrzył na jego spoconą, tłustą twarz i na powieki, które drgały tak szybko, jak łebki kur dziobiących ryż.

Z miejsc, gdzie wcześniej były uszy wuja Luohana, wyciekło tylko kilka kropel krwi. Bez uszu głowa wuja nabrała niezwykle prostego, oszczędnego kształtu.

Japoniec znowu coś wrzasnął.

– Tnijże szybciej! – powtórzył tłumacz.

Sun Piąty schylił się, zręcznym ruchem obciął wujowi Luohanowi genitalia i położył je na trzymanym przez japońskiego żołnierza półmisku. Japończyk, niosąc naczynie w wyprostowanych sztywno rękach niczym marionetka, z nieruchomym spojrzeniem skierowanym przed siebie, znowu przedelfilował przed tłumem. Ojciec czuł, że lodowate palce babki naprawdę wbiły mu się w ramię.

Japoński żołnierz postawił półmisek przed psem. Wilczur nadgryzł zawartość, a potem wypluł.

Wuj Luohan wrzeszczał z bólu, jego kościste ciało, przywiązane do pala, drgało konwulsyjnie.

Sun Piąty wypuścił nóż, padł na kolana i wybuchnął głośnym płaczem.

Japoński oficer odrzucił smycz. Pies rzucił się naprzód, dopadł Suna Piątego, wparł mu się przednimi łapami w ramiona i wyszczerzył kły, patrząc mu prosto w twarz. Sun runął na ziemię, zakrywając głowę rękoma.

Japończyk gwizdnał i pies podbiegł z powrotem do niego, ciągnąc za sobą smycz.

– No dalej, bierz się do roboty! – rzucił tłumacz.

Sun Piąty podniósł się z ziemi, złapał nóż i powłókł się chwiejnie w stronę wuja Luohana.

Wuj Luohan wybuchnął potokiem paskudnych przekleństw, aż wszyscy zebrani podnieśli głowy.

– Starszy bracie... Starszy bracie... Wytrzymaj jeszcze trochę... -jęczał Sun Piąty.

Wuj Luohan plunął mu w twarz krwawą flegmą.

– Ej, ty, kurewski pomioście! Obdzieraj go! – ponaglał tłumacz.

Sun Piąty wykonał pierwsze cięcie, zaczynając od rany na szczycie głowy Luohana. Ciął raz koło razu, niezwykle starannie, aż cała skóra opadła z głowy wuja, odsłaniając sinoczerwone gałki oczne, nagie mięso...

Ojciec mówił mi, że gdy twarz wuja została pozbawiona skóry, z jego bezkształtnych ust wciąż wydobywał się wrzaskliwy bełkot, a cienkie strumyczki jasnoczerwonej krwi kapały z ciemnoczerwonego skalpu. Sun Piąty nie przypominał już człowieka, gdy z niedościgłą precyzją bezbłędnie zdejmował skórę z Luohana. Kiedy wuj zamienił się w kawał obranego mięsa, jego drgające wnętrzności zwabiły roje jasnozielonych much. Wszystkie kobiety klęczały, zewsząd rozlegał się głośny lament. Nocą spadł ulewny deszcz i zmył do czysta całą krew z placu, gdzie trzymano zwierzęta. Po martwym wuju Luohanie i jego skórze nie został nawet ślad. Wiadomość o zniknięciu jego ciała obiegła wioskę: jeden człowiek powtórzył ją dziesięciu innym, od tych dziesięciu dowiedziała się setka. I tak przekazywana z pokolenia na pokolenie wieść stała się piękną legendą.

– Jeżeli on myśli, że może robić mnie w konia, zetnę mu łeb i zrobię sobie nocnik!

Słońce, wznosząc się, było coraz mniejsze i mniejsze, krople rosy kurczyły się na pędach sorga. W niebo wleciało stado dzikich kaczek, potem następne. Oddział Lenga wciąż nie nadchodził. Na drodze nie było żywego ducha, prócz zajęcy kicających od czasu do czasu z jednej strony na drugą. Wtem na drogę wyskoczył ogniście czerwony lis. Komendant Yu, gdy już skończył przeklinać Lenga, zawołał:

– Hej tam, wszyscy wstawać! Zdaje się, że ten ospowaty sukinsyn Leng nas wykiwał!

Oddział, znudzony leżeniem, tylko na to czekał. Zanim Yu skończył wypowiadać swój rozkaz, ludzie już się podnieśli; niektórzy przycupnęli z papierosami na wale, inni, stojąc, sikali do rzeki.

Ojciec wskoczył na wał, z głową wciąż pełną wspomnień; pozbawiona skóry czaszka wuja Luohana majaczyła mu przed oczyma. Kaczki, wystraszone nagłym pojawieniem się ludzi, wzbiły się w powietrze, po chwili jedna po drugiej wylądowały na niedalekim piaszczystym brzegu, gdzie dreptały tam i z powrotem, a ich szmaragdowozielone i ciemnożółte skrzydła błyskały wśród szuwarów.

Niemowa z nożem w jednej ręce i strzelbą wuja Luohana w drugiej podszedł do komendanta Yu. Miał zrezygnowaną minę i patrzył obojętnie. Wskazał palcem słońce na południowo-wschodnim niebie, potem opustoszała drogę, a na koniec swój brzuch, wybełkotał coś i wyciągnął rękę w kierunku, w którym znajdowała się nasza wioska. Komendant Yu zastanawiał się chwilę, po czym zawołał do ludzi po wschodniej stronie drogi:

– Chodźcie tu wszyscy!

Oddział przekroczył drogę i stanął na wale.

– Bracia! – zaczął komendant. – Jeżeli Ospowaty Leng zrobił nas w konia, utnę mu łeb! Jeszcze nie ma południa, więc poczekajmy. Jeśli do południa transport się nie pokaże, ruszamy do doliny Tan załatwić nasze porachunki z Lengiem. Na razie ukryjcie się w zbożu i odpocznijcie sobie, a ja wyślę Douguana po jedzenie. Douguan!

Ojciec podniósł głowę i spojrzał na dowódcę.

– Idź do domu i powiedz matce, niech narobią placków, żeby w południe były gotowe, i niech przyniesie je osobiście!

Ojciec kiwnął głową, podciągnął spodnie, wsadził sobie browning za pas i zbiegł z wału. Chwilę biegł drogą na północ, potem wpadł na pole i ruszył na północny zachód, przedzierając się z szelestem przez gęstwinę. Wśród falujących jak morze łąnów sorga trafił na prostokątną czaszkę muła. Kopnął ją, płosząc dwie krótkoogoniaste puchate nornice, które popatrzyły na niego bez obawy i skryły się z powrotem w czerepie. Ojciec znowu pomyślał o naszych czarnych mułach i przypomniał sobie, jak długo po ukończeniu drogi południowo-wschodni wiatr przynosił do naszej wioski drażniący, trupi odór. Rok wcześniej Rzeką Czarnej Wody spłynęło kilkadziesiąt rozdętych ciał padłych mułów i zatrzymało się na porośniętych szuwarami płycznach. Spieczone słońcem wydęte brzuchy pękały i wydostawały się z nich wnętrzności jak kwiaty z pąków, a strużki ciemnozielonej cieczy mieszały się z nurtem rzeki.

Kiedy moja babka skończyła szesnaście lat, jej ojciec wydał ją za Shana Bianlanga, syna Shana Tingxiu, znanego w całym Północno-Wschodnim Gaomi bogacza. Rodzina Shan miała gorzelnię, w której z taniego ziarna sorga wytwarzano przejrzysty trunek doskonałej jakości, słynny na sto *li* wokoło. Nasza wioska leży na nisko położonych wilgotnych terenach, jesienią zalewanych przez deszcze, ale wysokie źdźbła sorga są odporne na stojącą wodę, sadzono je więc wszędzie i co roku uzyskiwano doskonale plony. Ponieważ wytwarzanie alkoholu z taniego surowca było bardzo opłacalne, rodzina Shan świetnie prosperowała. Wydanie mojej babki za Shana Bianlanga było dla jej ojca wielkim zaszczytem. Wiele rodzin marzyło wówczas o tym, by wejść do rodziny Shan, choć plotka niosła, że Shan Bianlang jest trędowaty. Shan Tingxiu był kościstym, drobnym staruszkiem, nosił liche warkoczki z tyłu głowy. Miał w domu skrzynie pełne złota i srebra, ale chodził w podartej i zbutwiałej odzieży, przewiązany w pasie zwykłym sznurkiem. Małżeństwo mojej babki z Shanem było jednak bez wątpienia zgodne z wola niebios. Pewnego dnia moja babka bawiła się w pobliżu huśtawki z kilkoma dziewczętami o skrępowanych małych stopkach, z warkoczami na głowach. Był dzień Święta Zmarłych, kwitły brzoskwiniowe drzewa, zieleniły się wierzby, padał drobny deszczyk, a dziewczęta o twarzach podobnych do kwiatów brzoskwini czuły się wolne. Babka miała wtedy sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu i ważyła sześćdziesiąt kilogramów. Była ubrana w haftowane w kwiaty płócienne wdzianko i zielone satynowe spodnie, zawiązane na kostkach jedwabnymi wstążkami w kolorze głębokiej czerwieni. Ponieważ padał deszcz, na stopy włożyła haftowane pantofelki, moczone kilkanaście razy w oleju tungowym, które cmokały przy każdym kroku. Włosy miała splecione w dwa grube, lśniące warkocze, jej szyję ozdobił ciężki srebrny naszyjnik – mój pradziad był rzemieślnikiem, wyrabiał przedmioty ze srebra. Prababka była córką zubożałego obszarnika i wiedziała, jak ważne dla młodej kobiety są maleńkie stopy. Ledwie babka skończyła sześć lat, matka zaczęła krępować jej stopy, codziennie ciaśniej. Specjalnymi bandażami do owijania stóp, długości ponad jednego *zhang*\*, krępowała jej osiem palców, z wyjątkiem paluchów, w taki sposób, że kości łamały się, a palce zawijały pod spód. Cóż za okrucieństwo! Moja matka też miała krępowane stopy. Ich widok za każdym razem bardzo mnie smucił i miałem ochotę krzyknąć: „Precz z feudalizmem! Niech żyją wolne stopy!”. Owocem cierpień babki była para „złotych lotosów”

---

\* *Zhang* – miara długości, ok. 3,33 m.

długości trzech cali\*. Miała już szesnaście lat, wyrosła na bardzo urodziwą pannę. Gdy szła, jej ramiona tańczyły, a ciało kołysało się niczym wierzba na wietrze. Shan Tingxiu, przechodząc z koszykiem nawozu przez wieś, w której mieszkał mój dziadek, wypatrzył ją pośród wielu innych kwiatów. Po trzech miesiącach przybyła po nią ślubna lektyka.

Babka siedziała w dusznej lektyce oszołomiona, czując zawroty głowy. Czerwony welon zasłaniający jej twarz wydzielał silną woń pleśni. Wyciągnęła rękę, by go unieść – chociaż matka tyle razy ostrzegęła, że nie wolno. Ciężka bransoleta z giętego srebra ześliznęła jej się po przedramieniu i zatrzymała na nadgarstku. Babka przyglądała się jej wężowym wzorom, w głowie miała zamęt. Ciepły wiatr muskał szmaragdowe sorgo po obu stronach polnej drogi, z pół dobiegało gruchanie gołębi. Leciutki pyłek kwiatów unosił się nad świeżo wyrosniętymi, srebrzystymi kłosami. Zasłonę lektyki, którą babka widziała przed sobą, zdobiły haftowane wizerunki smoka i feniksa. Czerwona tkanina pokrywająca wynajmowaną już od wielu lat lektykę wyblakła, pośrodku zasłony widniała duża plama.

Kończyło się lato, a zaczynała jesień. Słońce na zewnątrz świeciło pięknie i mocno. Tragarze szli zamaszystym krokiem i kołysali swoim brzemieniem, poskrzypywały skórzane pasy, którymi powiązane były drągi, zasłona lekko powiewała, wpuszczając od czasu do czasu do środka jasny promień słońca i lekki, chłodny powiew. Babka była złana potem; serce waliło jej jak bęben. Gdy nasłuchiwała miarowych kroków tragarzy i ich ciężkich oddechów, jej głowę wypełniał to chłód, jakby gładkich, zimnych kamyków, to palące gorąco, jakby ostrych papryczek.

Odkąd Shan Tingxiu upatrzył sobie babkę, do prababki i pradziadka zaczęły schodzić się tłumy z gratulacjami. Babce co prawda podobała się perspektywa życia w dostatku, ale przede wszystkim marzyła o dobrym mężu – wykształconym, przystojnym, kochającym i troskliwym. Siedząc w panińskiej izbie, wyhaftowała całą ślubną wyprawę oraz kilka pięknych obrazów dla swojego przyszłego dziadka. Nie mogła już się doczekać zamażpójścia, jednak gdy usłyszała od przyjaciółek pogłoskę, że kawaler z rodziny Shan choruje na trąd, jej entuzjazm osłabł. Kiedy zwierzyła się ze swoich trosk matce i ojcu, mój pradziad wykręcił się od odpowiedzi, a prababka ostro skrytykowała przyjaciółki babki, przytaczając historyjkę o lisie, który nie mogąc dosięgnąć winogron, twierdził, że są kwaśne. Pradziadek później powiedział jej, że kawaler z rodziny Shan jest utalentowany, dużo czyta,

---

\* Złote lotosy – tak nazywano miniaturowe, skrępowane stopy chińskich kobiet. Chiński cal (*cun*) ma długość 3,33 cm.



rzadko wychodzi z domu i ma jasną cerę wykształconego młodzieńca. Babka miała zamęt w głowie – nie była pewna, co jest prawdą, a co fałszem, choć wierzyła, że na świecie nie ma rodziców, którzy źle życzyliby swoim dzieciom. Może jej koleżanki rzeczywiście opowiadały bzdury. Znowu więc zaczęła marzyć o jak najszybszym ślubie. Chciała, by wszystkie smutki i niepokoje jej młodego życia i dojmująca samotność zniknęły w objęciach dzielnego, silnego mężczyzny. Kiedy jednak nadszedł wreszcie dzień zaślubin i posadzono ją w lektyce niesionej przez czterech tragarzy, a trąbki i oboje zagrały smutną melodię, babka nie mogła powstrzymać łez. Lektyka ruszyła, kołysząc się, jakby galopowali wśród chmur albo żeglowali we mgle. Nie odeszli daleko od wioski, gdy leniwi grajkowie przestali bić w bębenki i dać w trąbki, a tragarze przyspieszyli kroku. Zapach sorga wnikał głęboko w serce babki, z pół dobiegały śpiewy rzadkich ptaków. Gdy promienie słońca wdzierały się do mrocznego wnętrza lektyki, obraz przyszłego męża coraz wyraźniej rysował się w umyśle babki. Czuła się tak, jakby w serce wbijano jej ostre igły; ból był głęboki i silny.

„Ojczy w Niebiosach, ochroń mnie!” – jej wargi drżały, gdy szeptała modlitwę. Miejsce nad górną wargą babki porastał delikatny meszek, jej skóra jaśniała świeżością i jędrnością, jakby była wilgotna. Każde wyszeptane słowo wsiąkało w ściany lektyki i czerwone zasłony. Zdarła z twarzy cuchnący stęchlizną welon i położyła na kolanach. Miała na sobie – jak bez względu na pogodę nakazywała ślubna tradycja – trójwarstwowe pikowane wdzianko i spodnie. Wnętrze lektyki było zniszczone i brudne. Przypominało trumnę – niesiono w niej już nie wiedzieć ile panien młodych, od dawna już martwych. Żółty jedwab, którym wyłożono ściany, był tak brudny, że wyglądał jak wysmarowany tłuszczem. Z pięciu much, które wleciały do środka, trzy bzycały nad głową babki, a dwie przysiadły na zasłonach, pocierając lśniące ślepia patykowatymi odnóżami. Nie mogąc już wytrzymać w zamknięciu, babka ostrożnie wystawiła czubek podobnej do pędu bambusa stopy, rozchyliła lekko zasłonę i przez wąską szparę ukradkiem wyjrzała na zewnątrz. Widziała zgrabne, długie nogi tragarzy, ledwie widoczne pod luźnymi spodniami z czarnego jedwabiu, i ich wielkie stopy w konopnych sandałach, które przy każdym kroku wzbijały tumany kurzu. Próbuąc wyobrazić sobie ich muskularne torsy, babka nie wytrzymała, pochyliła się i uniosła stopę w górę. Dojrzała wypolerowane na błysk pręty z drewna sofory i szerokie ramiona tragarzy. Rosnące po obu stronach drogi sorgo stało murem, w równych rzędach; źdźbła spoglądały na siebie nawzajem nieotwartymi jeszcze, szarozielonymi oczyma identycznych kłosów. Nieskończone łany przypominały rozlewisko wielkiej rzeki. Miejscami droga była niezwykle wąska, a pokryte wydzielinami mszyc liście sorga ocierały się z szelestem o boki lektyki.

Ciała tragarzy wydzielały kwaśny odór potu, a babka, odurzona, wdychała ten męski zapach – fale namiętności z pewnością już budziły się w jej ciele. Kiedy szli drogą, niosąc lektykę, zostawiali ślady w kształcie znaku „osiem”<sup>\*</sup> – krok taki, zwany „deptaniem ulicy”, po pierwsze podobał się mieszkańcom wioski, dzięki czemu byli skłonni więcej zapłacić, a po drugie – dowodził fachowości tragarzy. „Depcząc ulicę” nie godziło się prawdziwemu mężczyźnie stąpać nierównym krokiem ani podtrzymywać prętów; najlepsi tragarze maszerowali równo, z rękoma opartymi na biodrach, w rytm melodii granej przez grajków, której melancholijny ton budził w słuchaczach wyraźne przeczucie, iż za ogromem szczęścia kryje się dokładnie taka sama ilość cierpienia. Kiedy lektyka dotarła na nizinne pustkowia, tragarze porzucili dobre maniery – spieszyło im się, a chcieli także podręczyć trochę pannę młodą. Niekiedy tragarze trzęśli swoimi pasażerkami tak mocno, że dziewczęta wymiotowały, brudząc ubranie i pantofelki. Słyszac odgłosy torsji, tragarze odczuwali coś w rodzaju mściwej satysfakcji. Ci młodzi, silny mężczyźni, którzy z poświęceniem zanosili do ślubnych komnat cudze oblubienice, na pewno czuli się rozgoryczeni – dlatego tak lubili nimi podrzucać.

Jednym z czterech tragarzy niosących lektykę mojej babki był mężczyzna, który później został moim dziadkiem – Yu Zhan’ao, komendant Yu Zhan’ao. Miał wówczas około dwudziestu lat i doskonałą reputację w zawodzie tragarza trumien i lektyk. Mężczyźni z pokolenia mego dziadka mieli, tak jak sorgo z Północno-Wschodniego Gaomi, szczególną naturę – my, słabeusze z następnych pokoleń, nie możemy się z nimi równać. Było wówczas w zwyczaju, by tragarze po drodze szydzili z panny młodej, bo tak wypadało, podobnie jak pracownikom gorzelni wypadało pić produkowaną przez siebie wódkę. Gdyby nieśli przyszlą małżonkę króla Niebios, podrzucaliby lektyką dokładnie tak samo.

Kiedy liście sorga z chrzęstem ocierały się o ściany lektyki, monotonię pochodu przerwał nagle dobiegający z gęstwiny zbóż płacz. Był on tak melodyjny, jak grana przez grajków piosenka. Słyszac tę smutną melodię, babka pomyślała o instrumentach w rękach grajków. Podniosła stopą zasłonę i dojrzała zlany potem grzbiet jednego z tragarzy. Uważniej jednak przyjrzała się swoim stopom obutym w czerwone, haftowane pantofelki. Wąskie i spiczaste, miały melancholijny urok. Otoczone poświatą wpadającego do wnętrza lektyki blasku przypominały kwiaty lotosu, a jeszcze bardziej złote rybki w przejrzystej wodzie. Dwie drobne jak ziarna sorga kryształowe łyżki o różowawej barwie przysiadły na rzesach babki, po czym spłynęły po policzkach, zatrzymując się w kącikach ust. Babkę ogarnął gorzki smutek. Dotychczasowy obraz szlachetnego, wyrafinowanego małżonka, intelektualisty o urodzie aktora, zatarł się przed jej załzawionymi oczyma i zniknął.

---

<sup>\*</sup> Znak ten ma postać dwóch skośnych linii, które prawie schodzą się u góry (A).

Przerażonej babce ukazała się twarz kawalera z rodziny Shan – upstrzona wrzodami twarz chorego na trąd. Rozpacz zmroziła jej serce. Czy ta para złotych lotosów, te policzki delikatne jak brzoskwinie, twarz tchnąca tysiącem rodzajów łagodności i dziesięcioma tysiącami odmian elegancji, naprawdę miały teraz służyć trędowatemu? Jeśli tak, lepiej niech umrą! W przeciągły lament dobiegający od pól wplecione były słowa: „Niebo szmaragdowe, hej... niebo niebieskie, hej... niebo kolorowe, hej... kij drewniany, hej... Drogi starszy bracie, hej... Umarłeś... Twojej młodszej siostrze niebo runęło na głowę, hej...”. Nie mogę tutaj nie wspomnieć o tym, że płacz kobiet z Północno-Wschodniego Gaomi brzmi pięknie jak pieśń. W pierwszym roku Republiki płaczkowie przybyli tu z Qufu, ojczyzny Konfucjusza, by uczyć się żałobnej lamentacji. Spotkanie w dzień ślubu kobiety oplakującej śmierć męża babka potraktowała jako zły omen i jej przygnębienie jeszcze wzrosło.

Nagle odezwał się jeden z tragarzy:

– Hej, mała młoda panno, zamieńże z nami parę słów! Droga daleka, strasznie nam nudno...

Babka czym prędzej chwyciła czerwony welon, włożyła go i ostrożnie cofnęła stopę spod zasłony. W lektyce znowu zaległ półmrok.

– Chociaż piosenkę nam zaśpiewaj, niesiemy cię z takim trudem!

Grajkowie jakby budzili się ze snu. Zza lektyki dobiegł dźwięk trąbki:

– Tuu tuu! Tuu tuu!

– Duu duu! Duu duu! – zawołał jeden z tragarzy idących z przodu, naśladując dźwięk trąbki. Zabrzmiały ochryple śmiechy.

Babka była złana potem. Zanim wsiadła do lektyki, prababka ostrzegła ją, by pod żadnym pozorem nie wdawała się w żadne przekomarzanki z tragarzami, ponieważ tragarze i grajkowie to ludzie z nizin społecznych, podstępni i zdeprawowani, zdolni do wszystkiego.

Tragarze zaczęli kołysać lektyką tak mocno, że babka, aby nie spaść, musiała trzymać się oburącz siedzenia.

– Ciągłe się nie odzywasz? No, skoro nie można wydobyć z ciebie słów, to wyciśniemy chociaż siki!

Lektyka przypominała małą łódkę kołyszącą się na falach. Babka trzymała się siedzenia z całej siły. Jajka zjedzone na śniadanie podskakiwały jej w żołądku, muchy brzęczały koło uszu, gardło było ściśnięte, smak jajek wracał do ust. Zagryzła wargi. Nie wolno mi zwymiotować, nie wolno! – rozkazywała sobie. Nie wolno ci zwymiotować, Fenglian, mówią, że porzygać się w ślubnej lektyce to największe nieszczęście, zły omen na całe życie!

Słowa tragarzy stawały się coraz bardziej bezczelne. Jeden przeklinał mojego pradziadka za skąpstwo, inny wspomniał o pięknym kwiecie wetkniętym w krowie łajno, jeszcze inny powiedział, że Shan Bianlang jest trędowaty i ocieka ropą. Mówili, że gdy się stoi na podwórku u Shanów, czuć smród rozkładu, że latają tam roje much o zielonych łbach...

– Mała młoda panno, nie daj się dotknąć temu Shanowi Bianlangowi, bo zgnijesz tak samo jak on!

Trąbki i oboje trąbiły, smak jajek stawał się coraz wyraźniejszy. Babka zaciskała zęby i wargi. W końcu nie wytrzymała. Otworzyła usta i wstrętny strumień, gwałtownie niczym cios pięścią, wydarł się z jej gardła. Na uwalaną zasłonę, błyskawicznie jak kula wystrzelona z pistoletu, rzuciło się pięć much.

– Rzygu rzygu! – ryknął jeden z tragarzy. – Trzęsiemy, trzęsiemy, prędzej czy później wreszcie się odezwie!

– Starsi bracia... zlitujcie się... – zaczęła błagać doprowadzona do rozpacz babka, wstrząsana torsjami, po czym wybuchnęła głośnym płaczem. Czuła się skrzywdzona, przyszłość widziała tylko w czarnych barwach. Była pewna, że jej życie zamieni się w ocean cierpienia. Ojcze, matko! Pazerny ojczy, okrutna matko, zgubiliście mnie!

Głośny lament mojej babki rozkołysał pędy sorga. Tragarze przestali więc trząść lektyką i wzniecać fale, grajkowie rozrabiaki także zamilkli. Słysząc było wyłącznie szloch babki, do którego dołączyła smutna melodia grana na oboju. Ten szloch brzmiał piękniej niż płacz jakiegokolwiek kobiety. Babka przestała łkać, zaśluchana w pieśń natury dobiegającą z samych Niebios. Jej twarz, teraz jakby przywiedła, zrosiły łzy. W tej melancholijnej pieśni usłyszała głos śmierci, poczuła jej oddech, zobaczyła czerwone jak sorgo usta anioła śmierci i jego złote jak ziarno kukurydzy uśmiechnięte oblicze.

Tragarze milczeli, ich krok stał się ciężki. Łkanie ofiary wewnątrz lektyki i akompaniament oboju zasiały niepokój w ich sercach, smagały ich dusze jak deszcz chorągwie na wietrze. Ten pochod idący wąską drogą wśród pól nie przypominał już weselnego orszaku, lecz kondukt pogrzebowy. Tragarz, którego wskazywała stopa babki – ten, co miał później zostać moim dziadkiem, Yu Zhan'ao – doznał dziwnego przecucia, które rozjarzyło się w nim niczym płomień oświetlający jego przyszłą drogę. Płacz babki obudził miłość kryjącą się na dnie jego serca.

Nadszedł czas na krótki odpoczynek tragarzy – lektyka została postawiona na ziemi. Babka, zapłakana prawie do nieprzytomności, niechcący wystawiła drobniutką stopę na zewnątrz. Na widok tej delikatnej, niezrównanie pięknej stopki tragarze niemal stracili rozum. Yu Zhan'ao zbliżył się i delikatnie, bardzo delikatnie ujął stopę babki w dłoń, jakby to było

nieopierzone piskłatko, i ostrożnie wsunął do lektyki. Babka, poruszona tą delikatnością, marzyła o tym, by rozsunać zasłonę i zobaczyć, jak wygląda ten tragarz o łagodnych, młodych, wielkich dłoniach.

Mówi się, że jeden promień łączy przeznaczonych sobie kochanków, choćby byli od siebie odlegli o tysiąc *li*. To Niebiosa decydują o tym, czy ludzie są sobie przeznaczeni – tej prawdy nie ma sensu kwestionować. Dotyk stopy mojej babki obudził w Yu Zhan'ao potężny impuls – natchnienie, by budować na nowo swój los. Moment ten gruntownie odmienił jego życie, odmienił też życie mojej babki.

Lektyka ruszyła dalej. Trąbka wydała z siebie przeciągły odgłos podobny do krzyku małpy, po czym zamilkła. Zerwał się wiatr z północnego wschodu, chmury stłoczyły się na niebie, zasłaniając słońce, w lektyce zapanował jeszcze głębszy mrok. Szsz, szsz – babka słyszała, jak świst wiatru wśród sorga fala za falą niesie się w dal. Gdzieś na północnym wschodzie rozległ się huk gromu. Tragarze przyspieszyli kroku. Babka nie miała pojęcia, jak daleko jeszcze do domu rodziny Shan – była jak jagnię prowadzone na rzeź, im bliżej śmierci, tym większy spokój panował w jej umyśle. Na piersi miała ukryte ostre nożyczki – może planowała dźgnąć nimi Shana Bianlanga, a może siebie.

Napad na lektykę babki w Żabiej Dolinie zajmuje doniosłe miejsce w historii mojego rodu. Żabia Dolina to szczególnie podmokły obszar pośrodku wilgotnej równiny, o wyjątkowo żyznej glebie i wyjątkowo obfitym nawodnieniu, gdzie sorgo rośnie wyjątkowo gęsto. Kiedy lektyka niosąca moja babkę dotarła w to miejsce, niebo na północnym wschodzie przeszła błyskawica w kolorze krwi, a rozszczepiony na mniejsze pasma brzoskwiniowożółty promień słońca przedarł się z szumem przez gęstą chmurę i oświetlił polną drogę. Złani potem tragarze ciężko dyszeli. Kiedy weszli w dolinę, powietrze stało się jeszcze cięższe. Sorgo po obu stronach lśniło czarnym blaskiem, gęste i nieprzeniknione, dzikie trawy i zioła niemal całkowicie zarastały drogę. Gąszcz chwastów przetykały obficie chabry o wysokich, cienkich łodyżkach i fioletowych, niebieskich, różowych i białych kwiatach. Z sorgowej gęstwiny dobiegały melancholijne głosy żab, ponure ćwierkanie świerszczy i smutne wycie lisów. Ukryta wciąż w lektyce babka poczuła dojmujący chłód, jej ciało pokryło się gęsią skórka. Nie wiedziała jeszcze, co się święci, gdy usłyszała gdzieś z przodu wołanie:

– Dawać myto!

W głowie babki rozległ się jakiś brzęk. Nie była pewna, czy rozpaczać, czy się cieszyć. O Niebios! Natknęli się na „zjadacza placków”!

Północno-Wschodnie Gaomi roilo się od bandytów, którzy pojawiali się i znikali w zbożu niczym ryby w wodzie, łączyli się w gangi, by porwać i rabować, zdolni do najróżniejszych złych, ale i dobrych uczynków. Kiedy głód

ich przycisnął, napadali ludzi wędrujących po dwóch: jednego wzięli, a drugiego wypuszczali i wysyłali do wioski, by przyniósł im tyle a tyle placków nadziewanych jajkami i dymką. Te duże placki trzeba było jeść, trzymając je w obu rękach, dlatego nazywano je „oburecznymi plackami”.

– Dawać myto! – wrzasnął znowu zjadacz „oburecznych placków”.

Tragarze stanęli jak wryci i patrzyli na stojącego w rozkroku rabusia, który zagradzał im drogę. Był to niewysoki mężczyzna o wysmarowanej sadzą twarzy, na głowie miał kapelusz upleciony z sorgowej słomy, a na ramionach obszerną pelerynę; spomiędzy rozchylnych szeroko pól wyglądała czarna, zapinana na guziki kurtka przepasana szerokim skórzanym pasem. Za pasem tkwił spory przedmiot owinięty w czerwony jedwab. Na tym zawiniątku spoczywała jego dłoń.

Moja babka szybko zrozumiała, że cokolwiek się wydarzy, nie ma powodu do lęku – skoro jest gotowa na śmierć, czegoż miałaby się bać? Uniosła zasłonę i spojrzała na „zjadacza placków”.

Przybysz znowu się odezwał.

– Dawać myto! Jak nie, to wszystkich wykończę! – zagroził, klepiąc dłonią w rzecz owiniętą czerwoną szmatką.

Grajkowie wyciągnęli zza pasów sznurki miedzianych monet, które dał im pradziadek, i rzucili je napastnikowi pod stopy. Tragarze postawili lektykę na ziemi, wyjęli świeżo zarobione pieniądze i uczynili to samo.

Kiedy zbójnik zgarniał stopą leżące na ziemi monety, jego spojrzenie padło na siedzącą w lektyce babkę.– Ej, wy, do tyłu, bo zacznę strzelać! – zakomenderował głośno, znowu klepiąc w zatknięty za pas przedmiot.

Tragarze z wolna wycofali się za lektykę. Yu Zhan’ao, który był na końcu, odwrócił się i wlepił spojrzenie w „zjadacza placków”. Wyraz twarzy bandyty w okamgnieniu się zmienił, a dłoń mocniej schwyciła czerwone zawiniątko.

– Nie oglądać się! Jeszcze raz się odwrócisz, a wpakuję ci kulkę! – krzyknął ostro.

Napastnik z ręką na zatkniętej za pas broni zbliżył się do lektyki, sięgnął drugą ręką i uszczypnął babkę w stopę. Twarz babki rozjaśniła się w uśmiechu, a mężczyzna cofnął rękę jak oparzony.

– Wyłaż z lektyki i chodź ze mną! – polecił.

Babka siedziała dalej bez ruchu, z uśmiechem zastygłym na twarzy.

– Wyłaż!

Babka podniosła się, przekroczyła dumnie drewniany pręt i stanęła wśród różnokolorowych chabrów. Spojrzała najpierw na „zjadacza placków”, a potem na tragarzy i grajków.

– Ej wy, włazić w zboże! – rozkazał bandyta, wciąż trzymając dłoń na zawiniątku.

Babka stała spokojnie i pewnie, a błyskawice, które dudniąc i brzęcząc, drgały wśród chmur, rozbiły jej uśmiech na mnóstwo małych odłamków. Złoczyńca jął pchać ją przed sobą w zboże, cały czas przytrzymując dłonią przedmiot zatknięty za pas. Babka zwróciła podekscytowane spojrzenie ku Yu Zhan’ao.

Yu Zhan’ao ruszył prosto na zbója, jego wąskie wargi ułożyły się w śmiałą, prostą linię, a kąciki ust skierowały się w różne strony: jeden w górę, a drugi w dół.

– Stój! – zakrzyknął bandyta, w jego głosie zabrzmiała bezsilność. – Ani kroku dalej, bo strzelam! – Jego ręka wciąż spoczywała na owiniętym w czerwony materiał przedmiocie.

Yu Zhan’ao nadal spokojnie zbliżał się do „zjadacza placków”. Po każdym jego kroku bandyta się cofał, z jego oczu sypały się zielonkawe iskry, lśniące krople przejrzystego potu spływały strużkami po przerażonej twarzy. Kiedy Yu Zhan’ao był już trzy kroki od niego, zbój krzyknął zawstydzony, odwrócił się na pięcie i rzucił do ucieczki. Yu Zhan’ao dopędził go w mgnieniu oka i wymierzył mu kopniaka w zadek. Mężczyzna wzbił się w powietrze i poszybował równo, muskając w locie wierzchołki dzikich traw, ocierając się o główki chabrów, machając bezradnie rękami i nogami jak niewinne dziecko, aż wylądował pośród sorga.

– Panowie, oszczędźcie! Mam w domu osiemdziesięcioletnią matkę, muszę jakoś zarobić na miskę ryżu! – recytował dobrze wyćwiczone żalosne usprawiedliwienia. Yu Zhan’ao złapał go za kark, zaciągnął przed lektykę, rzucił z hukiem na drogę i kopnął prosto w nieustające w błaganiach usta. Bandyta wydał bolesny jęk, który w połowie wydostał się na zewnątrz, a w połowie został połknięty i trafił do brzucha; z nosa pociekła mu krew.

Yu Zhan’ao schylił się, wyjął podłużny przedmiot zza pasa bandyty, odwinął czerwoną tkaninę i oczom wszystkich ukazała się sękata gałąź; dały się słyszeć zdumione westchnienia.

Zbój klęczał na ziemi i bił czołobitne pokłony, błagając o łaskę.

– Każdy bandzior opowiada, że ma w domu osiemdziesięcioletnią matkę – skomentował Yu Zhan’ao, po czym odsunął się i objął spojrzeniem wszystkich tragarzy i grajków, niczym pies przewodnik swoje stado.

Ci z chóralnym okrzykiem otoczyli bandytę i rzucili się na niego z pięściami i nogami. Krzyki i jęki ofiary wkrótce ucichły. Babka stała przy drodze, przysłuchując się głuchym odgłosom ciosów. Spojrzała na Yu Zhan'ao, następnie podniosła głowę i wpatrzyła się w błyskawice na niebie, jej twarz wciąż zdobił ten sam zastygły uśmiech, promienny, szlachetny i wspaniały jak złoto.

Jeden z grajków uniósł trąbkę i z furją uderzył bandytę w głowę, aż krawędź wylotu instrumentu utkwiała w czaszce ofiary i trzeba było sporo wysiłku, żeby ją wyciągnąć. W brzuchu bandyty coś zabulgotało, jego targane skurczami ciało znieruchomiało i legło bezwładnie. Czerwona ciecz zmieszana z białą wyciekała powoli z głębokiej szczeliny w jego głowie.

– Zdechł? – spytał mężczyzna, trzymający pogiętą trąbkę.

– Zabity, skurczybyk, nawet bić się nie umiał!

Tragarze i grajkowie stali z ponurymi minami, wyraźnie wzburzeni.

Yu Zhan'ao spojrzał najpierw na umarłego, a potem na żywych, nie odzywając się ani słowem. Zerwał garść liści sorga i wyczyścił wnętrze lektyki z wymiocin, po czym podniósł sękatą gałąź należącą do bandyty, przyjrzał się jej, zawinał w czerwoną szmatę i odrzucił daleko; w locie konar wysforował się do przodu, a szmata została w tyle i niczym wielki purpurowy motyl wylądowała w zielonym zbożu.

Yu Zhan'ao posadził babkę w lektyce.

– Zaraz będzie padać, ruszamy!

Babka zerwała zasłonę i rzuciła w kąt lektyki. Wdychając świeże powietrze, przyglądała się szerokim barkom i wąskim biodrom Yu Zhan'ao. Był tak blisko, że mogłaby stopą dotknąć bladej, mocnej skóry jego głowy.

Silne podmuchy wiatru gięły źdźbła sorga, pchając naprzód falę za falą; rosnące przy drodze pędy chyliły główki ku środkowi drogi, jakby chciały z szacunkiem pokłonić się babce. Tragarze pędzili jak meteory, ich brzemię jednak pozostawało stabilne, niczym łódka ślizgająca się po szczytach fal. Żaby kumkały radośnie na powitanie letniej burzy. Niska zasłona nieba spoglądała ponuro na srebrzyste twarze sorga, nad którymi krwistoczerwone błyskawice jedna za drugą przecinały powietrze i zaraz rozlegał się potężny, ogłuszający grzmot. Podekscytowana babka bez lęku patrzyła na zielone fale gnane przez ciemne wiatry. Grzmoty przetaczały się niczym obracane ręcznie młyńskie kamienie, wicher co chwila zmieniał kierunek, kołysząc zbożem to w jedną, to w drugą stronę. Panował chaos. Pierwsze bezlitosne krople deszczu wprawiły zboże w dygot, a dzikie trawy przyprawiły o dreszcz przerażenia. Uderzając w drogę, zbijały drobiny pyłu w większe grudki, by natychmiast



znowu je rozbić. Biły ze stukotem w lektykę, padały na głowę Yu Zhan'ao i haftowane pantofelki babki, siekły ją w twarz.

Yu Zhan'ao i jego towarzysze mknęli drogą jak zające, nie byli jednak w stanie uciec przed tą przedpołudniową nawałnicą. Deszcz hulał po polach, łamiąc niezliczone pędy sorga, żaby i ropuchy kryły się pod źdźbłami, nadymając białe podgardla, lisy czaiły się w mrocznych norach, wpatrując się w drobniutkie krople deszczu kapiące z liści. Droga szybko stała się błotnista, trawa legła przy ziemi, lecz chabry dziarsko trzymały w górze swoje zmoknięte główki. Obszerne, czarne spodnie oblepiały nogi tragarzy, nadając im zgrabny, smukły wygląd. Obmyta deszczem głowa Yu Zhan'ao lśniła w oczach babki jak księżyc w pełni. Jej ubranie także było przemoczone: mogła ochronić się przed deszczem za zasłoną lektyki, ale nie zaciągnęła jej, bo nie miała na to ochoty. Przez odsłonięte wejście mogła patrzeć do woli na ogarnięty chaosem świat.

## 6

Mój ojciec, rozgarniając zboże, mknął co sił w nogach na północny zachód, w stronę naszej wioski. Borsuki o łapach podobnych do ludzkich stóp rozbiegały się niezdarnie między rzędami źdźbeł, lecz ojciec nie zwracał na nie uwagi. Kiedy już dotarł do polnej drogi i gąszcz przestał być przeszkodą, ruszył pędem jak zając. Jego pas z czerwonego płótna obciążony browniegiem zwisał, tworząc kształt sierpu księżyca. Pistolet ciągle obijał mu się o biodro, ale odrętwienie wywołane bólem sprawiało, że czuł się silny jak galopujący na koniu wojownik z mieczem w dłoni – prawdziwy mężczyzna. W oddali widać już było wioskę; stojące u wejścia szmaragdowozielony, stuletni miłorząb witał ojca uroczyście. Ojciec wyjął pistolet i w biegu celował w szybujące wdzięcznie po niebie sylwetki ptaków.

Na drodze nie było żywego ducha – tylko czyjś kulawy, ślepy osioł stał ze spuszczoną głową, w bezruchu, uwiązany pod odrapanym murem. Na kamiennym walcu przysiadły dwie wrony o ciemnogranatowych piórach. Mieszkańcy wioski zbrali się na placu przed naszą gorzelnią. Był on niegdyś wysypany czerwonym żwirem i służył do składowania sorga. Moja babka, drepcząc powoli na swoich maleńkich stopkach z miotełką do kurzu w dłoni, nie raz przyglądała się, jak nasza podpita załoga skupuje sorgo, odmierzając ziarno drewnianymi czerpakami; jej twarz lśniła jak poranna zorza.

Stojący na placu ludzie patrzyli na południowy wschód, nasłuchując, czy nie dobiega stamtąd huk wystrzałów. Były wśród nich dzieci w wieku mojego ojca, które aż rwały się do psot, nie śmiały się jednak poruszyć.

Ojciec i Sun Piąty, który rok wcześniej obdarł ze skóry i zarznął wuja Luohana rzeźnickim nożem, z dwóch stron wbiegli na plac. Sun po tym, co

zrobił, postradał zmysły: machał bezładnie rękoma i nogami, jego oczy patrzyły nieruchomo w pustkę, policzki drgały, z ust wydobywała się piana i bełkot. Klękał na ziemi i krzyczał: „Starszy bracie, starszy bracie, starszy bracie, oficer mi kazał, nie miałem wyjścia... Po śmierci pójdziesz do nieba, gdzie będziesz dosiadał pięknego rumaka, pięknie wystrojony, ze złotym biczem w dłoni...”. Kiedy mieszkańcy wioski zorientowali się, w jakim jest stanie, ich pogarda złagodniała. Po kilku miesiącach w zachowaniu Suna Piątego pojawiły się kolejne dziwne objawy: po każdym ataku krzyków kąciki jego oczu i ust wykrzywiały się, z ust i nosa kapała mu ślina i flegma, a z jego bełkotu niczego już nie dało się zrozumieć. Ludzie w wiosce mówili, że to kara Niebios.

Ojciec z browningiem w ręku biegł bez tchu, całą głowę miał pokrytą białym pyłkiem sorga i czerwonym kurzem. Sun Piąty, w łachmanach, z gołym, pofałdowanym brzuchem, na sztywnej lewej nodze i uginającej się prawej wkuśtykał na plac, lecz nikt nie zwrócił na niego uwagi – wszyscy patrzyli na mojego bohaterskiego ojca.

Babka podeszła do niego. Niedawno skończyła trzydzieści lat, włosy miała zebrane w kok, lśniąca czoła ocieniała grzywka, niczym półprzejrzysta zasłona z paciorków. Jej oczy były zawsze wilgotne i lśniące jak jesienne deszcze, niektórzy mówili, że to z powodu oparów sorgowej wódki. Piętnaście lat burzliwego życia pełnego porywów serca uczyniło z niewinnej dziewczyny odważną młodą kobietę.

– Co się stało? – spytała.

Wciąż nie mogąc złapać tchu, ojciec zatknął browning za pas.

– Japońcy nie przyszli? – dopytywała babka.

– Nie darujemy temu sukinsynowi Lengowi! – wybuchnął ojciec.

– Ale co się stało?

– Narób „oburecznych placków”.

– Nie słyszeliśmy żadnej walki – zauważyła babka.

– Narób placków i włóż do nich dużo jajek i dymki.

– Ale Japońcy nie przyszli?

– Komendant Yu kazał zrobić placków i chce, żebyś tyje przyniosła!

– Drodzy rodacy, idźcie, proszę, do domów i przygotujcie trochę „oburecznych placków” – ogłosiła babka.

Ojciec już się odwrócił i chciał biec z powrotem, ale babka chwyciła go za rękę.

– Douguan, powiedz matce, co to za sprawa z oddziałem Lenga?

Ojciec wyrwał się z matczynego uchwytu.

– Oddział Lenga w ogóle nie przyszedł. Komendant Yu mu tego nie daruje! – rzucił ze złością i pobiegł. Babka westchnęła, patrząc na oddalającą się drobną sylwetkę. Pośrodku rozległego placu stał krzywo Sun Piaty, wlepiając spojrzenie w babkę. Machał rękami, z ust płynął mu strumyczek śliny.

Nie zwracając na niego uwagi, babka podeszła do dziewczyny o smutnej twarzy, która stała oparta o mur. Smutna dziewczyna uśmiechnęła się słabo. Kiedy babka się zbliżyła, nagle padła na kolana, objęła ją mocno w pasie i wybuchnęła głośnym płaczem. W jej głębokich jak jeziora oczach tańczyły szalone błyski. Babka pogłaskała dziewczynę po twarzy i powiedziała:

– Lingzi, bądź dobrym dzieckiem, nie bój się.

Siedemnastoletnia Lingzi była wówczas najpiękniejszą dziewczyną w wiosce. Kiedy komendant Yu rekrutował żołnierzy, udało mu się zebrać pięćdziesięciosobowy oddział. W tej grupie znajdował się szczupły młody mężczyzna o bladej twarzy i czarnych włosach, ubrany cały na czarno, tylko buty miał białe.

Chodziły słuchy, że Lingzi zakochała się w tym młodzieńcu. Mówił z pięknym pekińskim akcentem, nigdy się nie śmiał, miał wiecznie zmarszczone brwi i między nimi trzy pionowe bruzdy. Wszyscy nazywali go adiutantem Renem. Lingzi czuła, że pod tą chłodną, urodziwą powierzchnią płonie żar, który sprawiał, że nie mogła zaznać spokoju. W owym czasie oddział komendanta Yu codziennie rano na placu przed naszą gorzelnią ćwiczył musztrę. Liu Sishan, jeden z grajków grający na trąbce, został wówczas trębaczem komendanta i ogłaszał wszelkie sygnały. Co rano przed ćwiczeniami Liu Sishan swoim graniem zwoływał oddział. Słyszając to, Lingzi wybiegała czym prędzej z domu i pędziła w stronę placu, opierała się o mur i czekała, aż pojawi się adiutant Ren. Ren był instruktorem musztry, miał szeroki skórzany pas, za którym nosił browning.

Adiutant Ren z wypiętą dumnie pierśią wystąpił naprzód i wydał komendę „baczność”. Stojący w dwuszeregu żołnierze wyprężyli się i stuknęli obcasami.

– Na komendę „baczność” – pouczał adiutant Ren – należy stanąć na wyprostowanych nogach, wciągnąć brzuch, wypiąć pierś do przodu i oczy mieć szeroko otwarte, jak pantera gotowa do ataku! A to co za pokraka? – Adiutant kopnął Wanga Wenyi. – Stoisz rozkraczony jak sikający muł. Już ja ci wbiję do głowy właściwą postawę!

Lingzi lubiła patrzeć, jak Ren poszturchuje i łaje swoich ludzi. Jego władcza swoboda upajała ją. W wolnych chwilach adiutant Ren, założywszy ręce za plecami, przechadzał się po naszym placu. Lingzi wtedy chowała się za murem i ukradkiem mu się przyglądała.

– Jak się nazywasz? – zapytał ją pewnego razu.

– Lingzi.

– Na co tak zerkasz zza tego muru?

– Na pana.

– Umiesz czytać i pisać?

– Nie.

– A chcesz zostać żołnierką?

– Nie chcę.

– Nie to nie...

Lingzi żałowała potem swojej odpowiedzi. Zwierzyła się mojemu ojcu, że gdyby adiutant Ren znowu zadał jej to pytanie, odpowiedziałaby, że tak, chce zostać żołnierką. Ale adiutant już więcej nie pytał.

Lingzi i mój ojciec stali przyklejeni do muru, przyglądając się, jak adiutant Ren uczy żołnierzy pieśni rewolucyjnych. Ojciec był wtedy tak mały, że żeby widzieć cokolwiek zza muru, musiał stać na trzech ceglach. Lingzi opierała swój zgrabny podbródek o szczyt muru i wpatrywała się w Rena, skąpanego w porannym słońcu. Adiutant uczył żołnierzy pieśni: „Sorgo już czerwone – Japończycy idą, Japończycy idą. Kraj nasz zrujnowany, rodziny zabite. Powstańcie, rodacy, bierzcie strzelby, noże, zabijajcie wrogów, obrońcie ojczyznę...”.

Mężczyźni o drewnianych uszach i sztywnych językach nigdy nie zdołali nauczyć się śpiewać do rytmu, ale dzieciakom za murem poszło to całkiem sprawnie. Mój ojciec zapamiętał słowa tej pieśni na całe życie.

Lingzi pewnego dnia zebrała się na odwagę i poszła odwiedzić adiutanta Rena. Po drodze przez pomyłkę weszła do pokoju kwatermistrza. Kwatermistrem był Yu Wielki Ząb, wuj komendanta, czterdziestoletni pijak, chciwiec i kobieciarz. Tego dnia miał już nieźle w czubie, więc gdy Lingzi wpadła do pokoju, była niczym ćma lecąca w płomień albo jagnię wchodzące do tygrysiej jamy.

Adiutant Ren kazał kilku żołnierzom związać Yu Wielkiego Zęba, mężczyznę, który pozbawił dziewictwa młodą Lingzi. Komendant Yu stacjonował wtedy w naszym domu i gdy adiutant Ren przyszedł zdać raport,

spał właśnie na kangu mojej babki. Babka umyła już i uczesała włosy i szykowała się, by usmażyć trochę małych „wierzbowych rybek” na zakąskę do wódki. Adiutant Ren wpadł do pokoju tak gwałtownie, że aż podskoczyła.

– Gdzie jest komendant? – spytał.

– A śpi na kangu! – odparła babka.

– To proszę go obudzić!

Babka obudziła komendanta Yu.

Komendant zaspany zwlókł się z łóżka, przeciągnął się, ziewnął i spytał:

– Co jest?

– Panie komendancie, gdyby Japończyk zgwałcił moją siostrę, to czy powinno się go zabić? – zapytał adiutant Ren.

– Zabić! – odparł dowódca.

– Panie komendancie, a gdyby Chińczyk zgwałcił moją siostrę, to czy też powinno się go zabić?

– Zabić!

– Panie komendancie, właśnie na te słowa czekałem – ucieszył się Ren. – Yu Wielki Ząb przed chwilą zdeflorował tutejszą dziewczynę, Cao Lingzi. Kazałem już ludziom go związać.

– Naprawdę to zrobił? – spytał komendant.

– Panie komendancie, kiedy przeprowadzimy egzekucję?

Komendant czknął.

– Przespać się z kobietą to nie taka znowu zbrodnia – rzekł.

– Panie komendancie, wszyscy są równi wobec prawa, nawet książę nie powinien uniknąć sprawiedliwej kary!

– Więc jaką karę proponujesz dla niego?

– Rozstrzelanie! – odparł bez wahania adiutant Ren.

Komendant westchnął i zaczął przechadzać się nerwowo, z coraz bardziej gniewną miną. W końcu jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

– Wlepić mu publicznie pięćdziesiąt batów, a rodzinie Lingzi przyznać dwadzieścia srebrnych dolarów odszkodowania – co myślicie o takim rozwiązaniu, adiutancie Ren?

– Dlatego że jest pańskim wujem, tak? – rzucił zjadliwie Ren.

– A zatem osiemdziesiąt batów, i zmusić go do małżeństwa z Lingzi. Mogę nawet mówić do niej „ciociu”!

Adiutant Ren odpiął pas i wraz z pistoletem rzucił go komendantowi Yu. Zasalutował.

– Panie komendancie, tak będzie lepiej dla nas obu! – oznajmił, po czym opuścił nasz dom.

Yu, z pistoletem w ręku, patrzył na oddalające się plecy adiutanta i warczał przez zaciśnięte zęby:

– Idź, spieprzaj stąd w diabły! Żaden uczeń nie będzie mi mówił, co mam robić! Dziesięć lat jem tutejsze „obureczne placki”, nikt jeszcze nie był wobec mnie taki bezczelny!

– Zhan’ao – wtrąciła się babka – nie powinieneś pozwolić adiutantowi Renowi odejść. Łatwiej pozyskać dla armii tysiąc żołnierzy niż jednego generała.

– Jesteś kobietą, nie masz o niczym pojęcia! – odparł komendant ze złością i smutkiem.

– A ja miałam cię kiedyś za prawdziwego mężczyznę, nie tchórzliwego głupka! – zirytowała się babka.

Komendant Yu wyciągnął pistolet.

– Życie ci niemiłe?

Babka rozchyliła gwałtownie koszulę, odsłaniając piersi podobne do okrągłych ryżowych ciasteczek.

– No, strzelaj!

– Mamo! – krzyknął mój ojciec, podbiegł i wtulił się w matczyną pierś.

Gdy Yu Zhan’ao patrzył na kształtną głowę mojego ojca i piękną twarz babki, jego myśli zalała rzeka wspomnień. Westchnął i opuścił broń.

– Popraw ubranie! – rzucił i wyszedł na dziedziniec. Tam odwiązał swojego pięknego gniadego źrebaka i ruszył na oklep na plac musztry.

Żołnierze odpoczywali, oparci o mur. Na widok komendanta Yu wszyscy bez słowa stanęli na baczność. Yu Wielki Ząb stał ze spętanymi rękoma, przywiązany do drzewa.

Komendant Yu zsiadł z konia i podszedł do niego.

– Naprawdę to zrobiłeś? – spytał.

– Zhan’ao, odwiąż mnie, to sobie pójdę i nie będę ci tu więcej przeszkadzał.

Spojrzenia wszystkich żołnierzy spoczęły na dowódcy.

– Wuju, zamierzam cię rozstrzelać – oznajmił Yu Zhan’ao.

– Ty bękarcie! Odważysz się rozstrzelać własnego wuja? Nie pamiętasz, ile dla ciebie zrobiłem? Twój ojciec zmarł młodo, a ja wziąłem twoją matkę i ciebie na utrzymanie. Gdyby nie ja, psy by cię pożarły!

Komendant Yu zdzielił go szpicrutą w twarz z okrzykiem „Łajdak!”, po czym ukląkł przed nim i oświadczył:

– Wuju! Ja, Zhan’ao, nigdy nie zapomnę dobroci, jaką mi okazałeś, biorąc mnie na wychowanie. Po twojej śmierci będę nosił żałobę, a w każde święto odwiedzał twój grób i składał ofiarę.

Potem wskoczył na konia, klepnął go w bok szpicrutą i popędził w tę stronę, w którą poszedł adiutant Ren. Cały świat zatrzęsł się od tętentu końskich kopyt.

Mój ojciec był świadkiem rozstrzelania Yu Wielkiego Zęba. Niemowa i dwóch innych żołnierzy zaprowadzili skazańca na zachodni kraniec wioski, na miejsce egzekucji wybierając półksiężycowaty staw pełen czarnej, brudnej wody, w której mnożyło się robactwo. Stała tu samotna pożółkła wierzba, nad wodą skakały żaby, obok kłębu poplątanych włosów leżał podarty damski pantofel.

Dwóch żołnierzy zaprowadziło Yu Wielkiego Zęba na brzeg i puściło go, patrząc na Niemowę. Niemowa zdjął strzelbę z ramienia i odciągnął kurek, pocisk wpadł do komory.

Yu Wielki Ząb odwrócił się twarzą do Niemowy i uśmiechnął się. Ojciec odkrył, że jego uśmiech jest dobry i łagodny, niczym smutne promienie zachodzącego słońca.

– Bracie Niemowo, rozwiąż mnie, nie chcę umierać spętany!

Niemowa zastanowił się chwilę. Wciąż celując w skazańca, wyjął zza pasa nóż, podszedł i szast-szast – przeciął sznury. Yu Wielki Ząb rozprostował ręce, obrócił się tyłem do Niemowy i zakrzyknął:

– Strzelaj, bracie Niemowo, a celuj prosto w punkt akupunkturowy, żebym nie cierpiał!

Według mojego ojca każdy człowiek w ostatnich chwilach przed śmiercią budzi najwyższy szacunek. A Yu Wielki Ząb był na dodatek dzieckiem Północno-Wschodniego Gaomi. Popęłnił bardzo zły czyn, którego zmazać nie może nawet śmierć, ale mimo to przed rozstaniem się z tym światem okazał

prawdziwie bohaterską postawę. Mój ojciec był nią tak poruszony, że parzyły go stopy i miał ochotę podskakiwać.

Yu Wielki Ząb, stojąc twarzą w kierunku stawu, spojrzał najpierw na wodę, na której unosił się zielony liść lotosu i nieduży biały kwiat, a potem na lśniące żdźbła sorga rosnące na przeciwległym brzegu. Następnie wielkim głosem zaśpiewał: „Sorgo już czerwone – Japończycy idą, Japończycy idą. Kraj nasz zrujnowany, rodziny zabite...”.

Niemowa uniósł strzelbę, po czym ją opuścił, znowu uniósł, i znowu opuścił.

– Niemowo, porozum się z komendantem... oszczędź go! – poprosiło dwóch żołnierzy.

Niemowa wciąż stał ze strzelbą w ręku i słuchał bezładnego śpiewu Yu Wielkiego Zęba.

Yu Wielki Ząb odwrócił się jeszcze raz i wytrzeszczając z wściekłością oczy, zawołał:

– No strzelajże, bracie! A może sam mam do siebie strzelić?

Niemowa uniósł strzelbę, wcelował w podobne do kawałka dachówki czoło Yu Wielkiego Zęba i nacisnął spust.

Ojciec widział, jak czoło Yu Wielkiego Zęba eksploduje niczym roztrzaskujący się dach, zanim do jego uszu dotarł głuchy huk wystrzału. Echo wciąż rozbrzmiewało, gdy Niemowa stał ze spuszczoną głową, a z lufy jego strzelby wydobywała się smużka siwego dymu. Ciało Yu Wielkiego Zęba znieruchomiało na kilka chwil, po czym runęło do stawu jak zwalone drzewo.

Niemowa odszedł, ciągnąc za sobą broń, za nim powlokło się dwóch żołnierzy.

Mój ojciec i gromadka dzieciaków, trzęsąc się ze strachu, zbliżyli się do brzegu stawu, gdzie z wysoka mogli przyjrzeć się leżącemu ma wznak Yu Wielkiemu Zębowi. Z jego twarzy nienaruszone pozostały tylko usta. Z odstrzelonego czubka głowy wypływał mózg, zalewając uszy, obok jednego zwieszała się z oczodołu gałka oczna, przypominająca wielkie winogrono. Kiedy wuj komendanta upadł w miękki muł, wąż lodyga kwiatu lotosu złamała się i rozszczepiła na kilka białych włókien, a kwiat legł obok jego dłoni. Ojciec czuł zapach kwiatu.

Adiutant Ren sprowadził wyłożoną żółtym jedwabiem, grubo lakierowaną cyprysową trumnę. Złożono do niej pięknie odziane ciało Yu Wielkiego Zęba i pogrzebano z wszelkimi honorami pod wierzbą. W dniu pogrzebu adiutant Ren wystąpił w czarnym mundurze, z gładko zaczesanymi lśniącymi włosami. Na



lewym ramieniu miał zawiązaną czerwoną jedwabną opaskę. Komendant Yu, w zgrzebnym stroju żałobnym, głośno lamentował. Kiedy kondukt opuszczał wioskę, uderzył nową glinianą miską o cegłę, rozbijając ją na kawałki.

Owego dnia babka dała ojcu nowe białe żałobne ubranie, sama także miała stosowny strój. Ojciec, niosąc w ręku świeżą wierzbową gałązkę, szedł za komendantem Yu i za babką. Na własne oczy widział, jak Yu rozbija glinianą miskę, co przywiodło mu na myśl widok roztrzaskującej się niczym gliniana dachówka czaszki Yu Wielkiego Zęba. Miał niejasne przeczucie, że między tymi dwoma aktami musi istnieć jakiś silny wewnętrzny związek. A kiedy jedno wydarzenie zderzy się z drugim, może wyniknąć z tego jakaś trzecia okoliczność.

Ojciec, nie uroniwszy ani jednej łzy, przyglądał się obojętnie pogrzebowi. Żałobnicy kołem otoczyli wierzbę i szesnastu krzepkich młodzieńców ostrożnie opuściło na ośmiu grubych konopnych linach ciężką trumnę do grobu. Komendant Yu podniósł garść ziemi i obojętnym ruchem rzucił na lśniące wieko, grzechot grudek o drewno poruszył serca zebranych. Kilku ludzi z łopatami zaczęło zasypywać grób; trumna odpowiadała im głuchym, gniewnym hukami, znikając stopniowo pod grudami czarnej ziemi. Rosnąca warstwa najpierw zrównała się z gruntem, a potem wypuczyła się, tworząc kopiec grobowy, podobny do bułki pieczonej na parze. Komendant Yu wyciągnął broń i strzelił trzy razy w niebo ponad wierzbą. Kule przeszły koronę drzewa i strąciły kilka pożółkłych liści w kształcie brwi, które przez chwilę unosiły się w powietrzu. Trzy lśniące łuski wylądowały w cuchnącej wodzie, za nimi natychmiast skoczył jakiś chłopak – ciap, ciap – jego stopy zagłębiały się w miękkim zielonym mule – i wyłowił je. Adiutant Ren wyciągnął swój browning i oddał trzy kolejne strzały. Pociski wyprysnęły z lufy i piejąc jak koguty, pomknęły w przestrzeń ponad łąkami sorga. Komendant Yu i adiutant Ren stanęli twarzą w twarz, każdy z dymiącym pistoletem w dłoni. Ren skinął głową.

– Zachował się jak bohater! – powiedział, zatknął pistolet za pas i pomaszerował do wioski.

Ojciec widział, jak komendant Yu powoli unosi rękę z pistoletem, mierząc w plecy adiutanta. Żałobnicy oniemieli ze zdumienia. Adiutant Ren, o niczym nie wiedząc, szedł śmiało, z podniesioną głową, z twarzą zwróconą ku tarczy słonecznej, podobnej do obracającego się zębatego koła. Ojciec zauważył, że pistolet w ręku komendanta drgnął, nie słyszał jednak huku – był tak słaby i odległy. Pocisk poszybował niespiesznie, nisko nad ziemią, musnął kruczoczarne włosy adiutanta i ześlizgnął się gdzieś w bok. Adiutant Ren nawet nie odwrócił głowy, idąc dalej równym krokiem. Ojciec usłyszał gwizdaną melodię – dobrze ją znał, była to pieśń „Sorgo już czerwone”. Jego

oczy wypełniły się gorącymi łzami. Im dalej Ren odchodził, tym jego postać wydawała się większa. Komendant Yu strzelił po raz drugi. Tym razem wystrzał wstrząsnął niebem i ziemią, a huk mój ojciec usłyszał w tej samej chwili, w której zobaczył lecącą kulę. Pocisk po drodze powalił jedno źdźbło sorga. Gdy kłós sfruwał na ziemię, kolejna kula rozszarpała go na strzępki. Ojcu wydało się, że adiutant Ren schylił się i zerwał rosnący przy drodze żółty mlecz, zbliżył kwiat do nosa i długo wąchał jego zapach.

Ojciec mówił mi, że adiutant Ren był jak członek partii komunistycznej – pośród innych ludzi trudno o tak rasowego bohatera. Szkoda wielka, że życie bohaterów jest takie krótkie – trzy miesiące po tym, jak dumnie maszerował, roztaczając wokół aureę mocy, przypadkowo strzelił do siebie w czasie czyszczenia broni. Pocisk wszedł przez lewy oczodół i wyszedł prawym uchem, cała prawa strona twarzy adiutanta pokryła się stalowoniebieskim proszkiem. Z prawego ucha wypłynęło zaledwie kilka kropel krwi. Gdy ludzie nadbiegli na odgłos wystrzału, już leżał martwy na ziemi.

Komendant Yu podniósł browning adiutanta Rena i stał dłuższą chwilę w milczeniu.

## 7

Babka, dźwigając koromysło z koszami placków, i żona Wanga Wenyi, objuczona wiaderkami pełnymi zupy z zielonej fasoli, pospiesznie zmierzały w stronę mostu na Rzece Czarnej Wody. Początkowo zamierzały iść na południowy wschód przez pola sorga. Gdy jednak weszły w zboże, stwierdziły, że z takim bagażem idzie się zbyt trudno.

– Szwagierko, chodźmy drogą, to dalej, ale będzie szybciej – zasugerowała babka.

Dwie kobiety były niczym wielkie szybujące ptaki, wypełniające swoim lotem puste powietrze. Babka przebrała się w ciemnoczerwone wdzianko, a jej nasmarowane olejkami włosy lśniły jak skrzydła kruka. Żona Wanga Wenyi była drobna, energiczna i zwinna. Kiedy komendant Yu rekrutował ludzi do swojego oddziału, to ona przyprowadziła Wanga Wenyi do naszego domu i poprosiła babkę o pomoc w przekonaniu komendanta, żeby wziął go do oddziału partyzanckiego. Babka chętnie się zgodziła i komendant Yu przyjął Wanga Wenyi z jej polecenia.

– Boisz się śmierci? – spytał komendant.

– Boję się – odparł Wang Wenyi.

– Panie komendancie, kiedy on mówi, że się boi, to znaczy, że nie boi się wcale – wtrąciła się żona Wanga Wenyi. – Japońskie samoloty wysadziły w powietrze naszych trzech synów.

Wang Wenyi nie był urodzonym żołnierzem. Reagował opieszale i nie odróżniał lewej strony od prawej, a kiedy ćwiczyli musztrę na placu, co chwila obrywał od adiutanta Rena. Żona Wanga wpadła na pomysł, jak pomóc mężowi: kazała mu trzymać w prawej ręce źdźbło sorga i na komendę „w prawo zwrot” obracać się w tę właśnie stronę. Ponieważ Wang Wenyi nie miał własnej broni, babka dała mu naszą strzelbę.

Kiedy kobiety dotarły do brzegu krętej Rzeki Czarnej Wody, nie zatrzymały się nawet na chwilę, żeby popatrzeć na rozkwitające nad wodą chryzantemy i na gęste zarośla krwistoczerwonego zboża, lecz poszły prosto na południe. Żona Wanga Wenyi przywykła do życia pełnego trudów i cierpienia, babka zaś – do szczęścia i dostatku. Babka była cała mokra, na skórze żony Wanga Wenyi zaś nie lśniła ani jedna kropelka potu.

Tymczasem mój ojciec dotarł z powrotem do czoła mostu i zaraportował komendantowi Yu, że placki niedługo przyjdą. Dowódca z zadowoleniem pogłaskał go po głowie. Większość żołnierzy leżała na polu, z nosami skierowanymi ku słońcu. Ojciec miał coraz bardziej dość bezczynności, poszedł więc na pole leżące na zachód od drogi, by zobaczyć, co słychać u Niemowy i jego ludzi. Niemowa ciągle z zapalem ostrzył nóż. Ojciec stanął przed nim, z dłonią na schowanym za pasem browningu i zwycięską miną. Na widok ojca Niemowa wyszczerzył zęby w uśmiechu. Jeden z żołnierzy spał i głośno chrapał. Ci, którzy nie spali, leżeli znudzeni i przygnębieni i nikt nie miał ochoty rozmawiać z ojcem. Ojciec wrócił więc na rozżarzoną do białości drogę ledwie żywy ze zmęczenia. Wyobrażał sobie, że leżące pośrodku cztery powiązane ze sobą brony, szczerzące ostre zęby do nieba, także muszą być już zniecierpliwione czekaniem. Rozpięty ponad rzeką kamienny most przypominał ciężko chorego, który właśnie zaczyna zdrowieć. W końcu ojciec przysiadł na brzegu rzeki. Chwilę patrzył na wschód, potem na zachód, wreszcie na wodę i kaczki. Widok był zachwycający – każda z roślin żyła, każda, najmniejsza nawet falka na wodzie kryła swoją tajemnicę. W kilku wyjątkowo gęsto zarośniętych szuwarami miejscach ojciec dojrzał białe kości, zapewne muła albo konia. Przypomniały mu się nasze dwa wielkie czarne muły.

Wiosną, gdy po polach uganiały się całe stada zajęcy, babka jeździła na mule. W rękę trzymała strzelbę do polowania na zajęcia, a mój ojciec siedział za jej plecami, obejmując ją w pasie. Widok muła płoszył zajęcia, a babka do nich strzelała. Kiedy wracali do domu, na szyi muła zawsze wisiał cały wianuszek upolowanej zwierzyny. Między trzonowcami babki tkwiła kulka

śrutu wielkości ziarna sorga – dostała się tam, kiedy babka jadła zajęcze mięso, i nijak nie dała się wydobyć.

Ojciec przyglądał się mrówkom na brzegu. Kolumna ciemnoczerwonych owadów pospiesznie przenosiła z miejsca na miejsce grudki ziemi. Kiedy ojciec położył wśród nich większą bryłkę, mrówki, zamiast ominąć przeszkodę, z wysiłkiem zaczęły się na nią wspinać. Ojciec podniósł bryłkę ziemi i wrzucił do rzeki; przecięta powierzchnia wody nie wydała żadnego odgłosu. Kiedy słońce stanęło w zenicie, znad wody dobiegł powiew gorącego powietrza o rybiej woni. Wszystko wokół lśniło, aż wydawało się, że skwierczy z żaru. Ojciec miał wrażenie, że całą przestrzeń między niebem a ziemią wypełnia czerwony pyłek sorga i zapach sorgowej wódki. Wyciągnął się na wznak na brzegu i dokładnie w tym momencie jego serce podskoczyło – zrozumiał, że każde oczekiwanie w końcu przynosi rezultaty. Rezultaty jego oczekiwania były całkowicie zwyczajne, pospolite i naturalne. Oto bowiem dostrzegł, że po przecinającej sorgowe pole drodze bezgłośnie pełzną ku niemu cztery dziwne, ciemnozielone, przypominające żuki obiekty.

– Samochody – mruknął niewyraźnie. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. – Samochody Japońców! – krzyknął, zrywając się na równe nogi. Z przerażeniem wpatrywał się w wozy mknące drogą jak meteory; za każdym ciągnął się długi brunatny ogon, przed nimi zaś żarzyły się chwiejne, białe promienie. – Samochody jada! – Słowa ojca były jak miecz, który pościłał głowy wszystkim obecnym. Wśród pól zapanowała tępa cisza.

– Bracia! – zakrzyknął radośnie komendant Yu. – W końcu nadjechali! Przygotujcie się, a na rozkaz „ognia” strzelajcie!

Po zachodniej stronie Niemowa skoczył na równe nogi, klepiąc się w pośladki. Kilkudziesięciu żołnierzy z bronią w ręku pochyliło się i przycupnęło na łagodnym zboczu wału.

Ryk silników był już dobrze słyszalny. Ojciec leżał obok komendanta Yu, trzymając ciężki browning tak mocno, że przegub zaczął go palić i boleć, a dłoń pokryła się lepkiem potem. Mięsień między kciukiem a palcem wskazującym drgnął, po czym zaczął nerwowo pulsować. Ojciec ze zdumieniem wpatrywał się w rytmiczne podrygi kawałka ciała o rozmiarze nie większym niż migdał, jakby w środku było pisklę, które chce rozbić skorupkę i wydostać się z jajka. Kiedy próbował siłą powstrzymać te podskoki, drgawki ogarnęły całe ramię. Dowódca oparł rękę na jego ramieniu i dłoń przestała podrygiwać, ojciec przełożył więc broń do lewej ręki, ale w palcach prawej skurcz był tak silny, że mógł je wyprostować dopiero po dłuższej chwili.

Wozy pędziły drogą i stawały się coraz większe i większe. Z umieszczonych z przodu oczu wielkości końskich kopyt wystrzeliwały białe promienie, ryk silników brzmiał jak wycie wiatru przed ulewą, w którym daje

się odczuć dziwne napięcie. Ojciec widział ciężarówki po raz pierwszy w życiu. Przypuszczał, że stworzenia te żywią się trawą albo ziarnem, piją wodę albo krew. Poruszały się jeszcze szybciej niż nasze dwa ręczne muły; ich podobne do księżyców koła kręciły się w szalonym tempie, wzbijając chmury żółtawego pyłu. W miarę jak zbliżały się do kamiennego mostu, ich ładunek był coraz lepiej widoczny. Zwolniły, a ciągnące się dotąd z tyłu chmury kurzu otoczyły szoferki. Na pierwszym wozie w obłokach pyłu majaczyło dwudziestu kilku mężczyzn w beżowych mundurach i błyszczących metalowych kapeluszach na głowach. Ojciec później dowiedział się, że te czapki nazywają się hełmy – w 1958 roku, w czasie kampanii wytapiania żelaza, kiedy skonfiskowano nasz stalowy wok, mój starszy brat znalazł na stercie złomu podobny przedmiot i przyniósł do domu. Powiesiliśmy go nad paleniskiem i gotowaliśmy w nim wodę i jedzenie. Ojciec wpatrywał się w metal zmieniający barwy pod wpływem ognia i dymu, jego zielonkawe oczy spoglądały melancholijnie, niczym ślepiec starego konia.

Dwie ciężarówki pośrodku kolumny były wyładowane przypominającymi miniaturowe góry stertami białych worków. Na ostatniej, tak jak na pierwszej, siedziało dwudziestu kilku japońskich żołnierzy w hełmach.

Wozy były coraz bliżej rzeki, a ich wolno obracające się koła wydawały się ogromne i ociężałe. Kwadratowe maski przypominały ojcu łby gigantycznych szarańczy. Chmura pyłu rzedła, a rytmicznie popierdujące zadki samochodów wydalają obłoki ciemnoniebieskiego dymu.

Ojciec wciągnął głowę w ramiona. Lodowaty prąd, silny jak nigdy w życiu, przebiegł przez jego ciało od stóp aż do brzucha i skupił się tam, straszliwie gniołąc. Ojciec czuł parcie na pęcherz i napinał pośladki, by powstrzymać wyrwyjący się na zewnątrz mocz.

– Siedź spokojnie, zajęczy pomocie! – rzucił surowo dowódca.

Doprowadzony do ostateczności ojciec w końcu jednak wyblągał u przybranego ojca pozwolenie na zejście z nasypu, żeby się wysikać. Wszedł w zboże i z wysiłkiem wycisnął z siebie strumień gorącej cieczy w kolorze czerwonego sorga, boleśnie parzący jego ptaszka. Poczul wielką ulgę. Rozejrzał się i dostrzegł twarze żołnierzy – wydawały się groźne i przerażające, jak oblicza posągów w świątyniach. Wang Wenyi wystawił język, oczy miał nieruchome jak ślepiec jaszczurki.

Ciężarówki, niczym gigantyczne, czujne zwierzęta, posuwały się naprzód, wstrzymując oddechy. Nagle ojciec poczuł jakiś smakowity zapach. Na krętym brzegu Rzeki Czarnej Wody pojawiły się babka w mokrym od potu czerwonym wdzianku i zdyszana żona Wanga Wenyi.

Objuczona plackami babka i taszcząca fasolową zupę żona Wanga Wenyi spokojnie patrzyły na umęczony kamienny most.

– W końcu doszliśmy, szwagierko – odetchnęła z ulgą babka.

Odkąd babka wyszła za męża, wiodła wygodne i dostatnie życie. Wyładowane plackami ciężkie koromysło, które teraz niosła, zostawiło na jej delikatnych ramionach ciemnosiny ślad. Siniec ten towarzyszył jej, gdy opuszczała ten świat i wznosiła się ku Niebiosom – była to jej szlachetna odznaka, symbol bohatera wojny obronnej.

Znowu to mój ojciec był tym, który zobaczył babkę pierwszy – jakaś tajemnicza siła kazała mu popatrzeć na zachód, podczas gdy pozostali pilnie obserwowali jadące ciężarówki.

– Mamo! – zawołał, gdy tylko dostrzegł lecącą ku nim niby czerwony motyl babkę.

Jego okrzyk był jak rozkaz. Z pełnych Japończyków ciężarówek posypał się grad kul: wozami jechały trzy karabiny maszynowe. Huk brzmiał głucho, niczym szczekanie psów w deszczową noc. Ojciec patrzył, jak w ubraniu babki na piersi pojawiają się dwie dziury. Babka zdażyła, krzyknąć radośnie, po czym upadła, a koromysło runęło razem z nią, przygniatając jej plecy. Jeden kosz placków potoczył się na południe, a drugi na północ. Białe placki, zielone dymki i pokruszone gotowane jajka rozsypały się po porośniętym zieloną trawą brzegu. Kiedy babka upadła, z kanciastej czaszki żony Wanga Wenyi wytrysnęła mieszanina czerwonej i żółtej cieczy, pryskając całkiem daleko, aż do zarośli sorga za wałem. Ojciec widział, jak drobna kobieta, uderzona pociskiem, zatacza się w tył, przewraca się, toczy po południowym zboczu i wpada do rzeki. Fasolowa zupa wylała się z jednego wiaderka, potem z drugiego, niczym bohaterska krew. Pierwsze wiaderko potoczyło się w dół i podryfowało z biegiem Rzeki Czarnej Wody. Przepłynęło obok Niemowy, obilo się kilka razy o podpory kamiennego mostu, przemknęło pod jego łukiem, a potem minęło komendanta Yu, mojego ojca, Wanga Wenyi, Fanga Szóstego oraz Fanga Siódmego.

– Mamo! – krzyknął mój ojciec rozpaczliwie, jakby rozpruwano mu brzuch, i wskoczył na szczyt wału. Komendant Yu próbował go złapać, ale mu się nie udało.

– Wracaj! – zawołał wielkim głosem.

Mój ojciec nie słyszał rozkazu dowódcy. Nie słyszał nic. Jego drobna, wątła postać mknąca po wąskim grzbiecie wału lśniła w promieniach słońca. Kiedy wskakiwał na nasyp, odrzucił pistolet, który wylądował wśród poszarpanych liści złotych mleczy. Pędził ku matce jak pisklę, z rozpostartymi ramionami. Wokół panowała cisza, w której słyhać było szmer opadającego

pyłu, woda w rzece lśniła, lecz nie płynęła, sorgo stało spokojnie i uroczyście. Maleńka postać ojca biegnącego dalej wzdłuż nasypu była imponująca i piękna.

– Mamo! Mamo! Mamo! – krzyczał z całych sił; w tym okrzyku była krew i łzy, najgłębsze uczucia, najwznioślejsze motywy.

Kiedy dobiegł do końca wschodniego wału, przeskoczył przez powiązane brony i wspiał się na zachodni brzeg. W dole przemknęła kamienna twarz Niemowy. Ojciec rzucił się na ciało babki z jeszcze jednym okrzykiem „Mamo!”. Babka leżała na brzuchu, z twarzą w porastającej brzeg trawie. W jej plecach ziały dwa otwory, którymi wyszły kule; wydobywała się z nich woń sorgowej wódki. Ojciec chwycił ją za barki i odwrócił. Na jej poważnej twarzy nie było żadnych ran. Włosy nie były potargane, pod równą grzywką widniały nieco opadające brwi. Miała półotwarte oczy, jej wargi czerwieniały jaskrawo na tle bladej skóry. Ojciec złapał ciepłą dłoń babki i jeszcze raz powiedział „Mamo”. Babka otworzyła oczy, jej twarz rozjaśniła się w łagodnym uśmiechu. Wyciągnęła do niego rękę.

Japońskie samochody zahamowały przy wjeździe na most, silniki warczały to niskim, to wysokim tonem.

Na szczycie nasypu pojawiła się wysoka postać i odciągnęła stamtąd mojego ojca i babkę. Ten dobry uczynek był dziełem Niemowy. Zanim ojciec odzyskał zdolność myślenia, kolejna salwa pocisków niczym huragan powaliła niezliczone źdźbła sorga ponad ich głowami.

Cztery ciężarówki zwały szyki i zatrzymały się przed mostem. Na pierwszej i ostatniej zamontowane były karabiny maszynowe. Nadlatujące stamtąd strumienie kul przypominały twarde świetliste wstęgi, które krzyżowały się ze sobą i rozpościerały, niczym podziurawione wachlarze, to w kierunku wschodnim, to zachodnim. Sorgo lamentowało chórem, połamane części jego ciała padały wyprostowane na ziemię albo unosiły się łukiem ku niebu. Pociski dudniły głucho o brzeg, wzbijając chmury żółtego pyłu.

Żołnierze na zboczu nasypu przywarli do czarnej ziemi i porastającej ją dzikiej trawy i leżeli w całkowitym bezruchu. Karabiny kontynuowały ostrzał przez trzy minuty, po czym nagle ucichły. Ziemia wokół ciężarówek była zasłana złotymi, połyskliwymi łuskami nabojów.

– Nie strzelać! – rozkazał ściszym głosem komendant Yu.

Japońcy milczeli. Nad rzeką unosił się rzadki dymek, zwiewany przez słabe podmuchy wschodniego wiatru.

Ojciec mówił mi, że w owej chwili absolutnej ciszy Wang Wenyi wdrapał się chwiejnie na nasyp i stanął tam z flintą w ręku, z otwartymi szeroko

oczyma i ustami, zastygły w cierpieniu. „Matko moich dzieci!” – zawołał. Zanim zdążył zrobić krok, kilkadziesiąt kul wybiło w jego brzuchu wielką dziurę w kształcie księżyca, a oblepione skrawkami wnętrzości pociski przeszybowały obok głowy komendanta Yu.

Wang Wenyi runął głową w dół i potoczył się do wody, gdzie wylądował dokładnie naprzeciwko żony, od której oddzielał go most. Jego serce jeszcze biło, głowę miał całą. Poczul, jak umysł zalewa mu fala jasności i zrozumienia.

Ojciec opowiadał mi, że żona Wanga Wenyi urodziła i wychowała trzech synów. Dobrze karmieni gotowanym sorgiem wyrosli na dorodnych, puciołowatych i krzepkich chłopców. Pewnego dnia Wang Wenyi z żoną poszli pracować w polu, zostawiając synów bawiących się na podwórku. Wtem od strony wioski nadleciał z dziwacznym warkotem japoński dwupłatowiec i złożył jedno jajo, które upadło prosto na podwórze domu Wanga Wenyi i rozszarpało trójkę dzieci na drobne kawałki. Strzępki ciał rozprysły się wokół, osiadły na okapach, zawisły na gałęziach drzew, splamiły mury.

Tego dnia, gdy komendant Yu wywiesił antyjapońską flagę, żona przyprowadziła do niego Wanga Wenyi.

Dowódca, zaciskając zęby, rozszerzonymi wściekłością oczyma patrzył na Wanga Wenyi, leżącego z głową do połowy zanurzoną w wodzie.

– Nie ruszaj się! – rzucił przyciszonym głosem.

## 8

Fruwające w powietrzu ziarna sorga tańczyły na twarzy babki, jedno z nich wpadło między półotwarte wargi i zatrzymało się na jej śnieżnobiałych zębach. „Mamo!” – wykrztusił ojciec, patrząc na czerwone, blednące powoli usta; jego łzy kapały na matczyną pierś. W deszczu sorgowych pereł babka otworzyła oczy, które zalśniły, mieniając się różnymi barwami, całkiem jak perły.

– Dziecko... Twój ojciec... – powiedziała.

– Tata teraz walczy – odparł mój ojciec.

– Tak, to właśnie jest twój ojciec – potwierdziła babka. Ojciec skinał głową.

Babka próbowała się podnieść, ale przy każdym ruchu krew z ran tryskała strumieniami.

– Pójdę po niego, mamo – powiedział ojciec. Babka zamachała ręką i nagle usiadła.



– Douguan, synku... Pomóż matce wstać... Wracajmy do domu... do domu...

Mój ojciec ukląkł, zarzucił sobie ramię matki na szyję i wyprostował się z wysiłkiem, podnosząc ją z ziemi. Krew płynąca z piersi matki szybko zmoczyła mu kark. Wyczuł w tej świeżej krwi mocny aromat wódki z sorga. Nogi drżały mu pod ciężarem ciała mojej babki. Wkroczyli chwiejnie na pole, pociski masakrowały zboże nad ich głowami. Rozgarniając przed sobą gęste źdźbła, ojciec włókł się krok za krokiem, pot i łzy zmieszane z jej krwią zalewały mu twarz, sprawiając, że wyglądała jak poraniona. Ciało matki ciążyło mu coraz bardziej, pędy sorga smagały go okrutnie, liście cięły bez litości. W końcu przewrócił się, a moja babka runęła ciężko na niego. Wyczołgał się i odwrócił ją na plecy. Spojrzała w górę, westchnęła przeciągle i uśmiechnęła się do niego. W tym uśmiechu była niezgłębiona tajemnica. Ten uśmiech, niczym rozżarzona podkova, wypalił w pamięci mojego ojca niezacieralne piętno.

Ciepło powoli uciekało z ciała babki. Jak przez mgłę zobaczyła, że syn rozpina jej wdzianko i przyciska jedną dłonią ranę nad jej piersią, drugą dłonią ranę pod piersią. Krew zabarwiła rękę mojego ojca najpierw na czerwono, potem na zielono; a biała skóra babki pokryła się najpierw zielenią, potem czerwienią. Kule przebiły jej szlachetną pierś, odsłaniając różowe, podobne do plastra miodu wnętrza. Ojciec niewyobrażalnie cierpiał na ten widok. Nie był w stanie zatamować wypływającej krwi. Z jej ubywaniem twarz babki szybko stawała się coraz bledsza, a ciało coraz lżejsze, jakby za chwilę miało wznieść się w powietrze i ulecieć.

Babka z zadowoleniem patrzyła na urodziwą twarz ojca, którego poczęli z komendantem Yu w cieniu łąków sorga. Żywe obrazy z minionych lat przebiegły przed jej oczyma niczym stado galopujących koni.

Przypomniała sobie ten rok, gdy w strugach ulewnego deszczu siedziała w lektyce, jakby płynęła łodzią, aż doniesiono ją do przysiółka, gdzie mieszkała rodzina Shana Tingxiu. Ulicą płynął rwący strumień, na wodzie unosiła się warstwa ziaren sorga. Kiedy lektyka dotarła do głównej bramy domostwa, na powitanie wyszedł jeden człowiek, wychudzony staruszek z warkoczykiem na głowie. Ulewa się uspokoiła, tylko od czasu do czasu pojedyncze krople kapały na zalaną wodą ziemię. Mimo że grajkowie wciąż grali swoją melodię, nikt nie przyszedł popatrzeć. Babka miała złe przeczucia. By jej asystować przy składaniu rytualnego pokłonu, zjawili się dwóch mężczyzn: jeden pięćdziesięcio-, drugi czterdziestoletni. Starszym był wuj Liu Luohan, młodszym – jeden z pracowników gorzelni.

Grajkanie i tragarze stali na wilgotnej ziemi jak zmokłe kury, z ponurymi minami przyglądając się, jak dwóch chudych mężczyzn prowadzi wymęczoną

babkę do mrocznej komnaty ślubnej. Babka czuła od nich woń alkoholu, jakby obaj zanurzyli się wcześniej w kadzi z wódką.

W czasie ceremonii cały czas miała na głowie cuchnący welon. Trzymając się skrawka miękkiego jedwabiu, szła prowadzona przez kogoś; powietrze było duszne i gorące od płomieni świec. Ten odcinek drogi był czarny, ponury i przerażający. Zaprowadzono ją do kangu i kazano usiąść. Ponieważ nikt nie zamierzał zdjąć jej welonu, babka zrobiła to sama. Zorientowała się, że pod kangiem na stołku siedzi jakiś zgarbiony mężczyzna ze skurczoną twarzą. Miał podłużną, spłaszczoną głowę, a poniżej oczu jego twarz była zaropiała i czerwona. Wstał i wyciągnął do babki szponiastą dłoń – babka krzyknęła z przerażenia i sięgnęła za dekolt po nożyczki. Stała na kangu, z gniewnym spojrzeniem utkwionym w mężczyznę, który skulił się i przysiadł z powrotem na stołku. Tej nocy babka nawet na chwilę nie odłożyła swojej broni, a mężczyzna o płaskiej głowie nie ruszył się ze stołka, na którym siedział.

Wczesnym rankiem, kiedy mężczyzna jeszcze spał, babka zeszła z kangu i wybiegła z pokoju, po czym otworzyła główną bramę, jakby chciała uciec, lecz ktoś ją zatrzymał. Szczupły starzec z warkoczykiem chwycił ją za przegub, patrząc na nią groźnie.

Shan Tingxiu zakasłał dwa razy, gniewna mina zamieniła się w uśmiech.

– Dziecko, odkąd zostałaś poślubiona, jesteś dla mnie jak córka. Bianlang nie ma tej choroby, o której mówią, nie słuchaj głupich plotek. Nasza rodzina posiada doskonałą firmę, a Bianlang to dobry chłopak. Teraz ty prowadzisz ten dom – Shan Tingxiu podał babce duży pęk mosiężnych kluczy, lecz babka go nie przyjęła.

Drugą noc przesiedziała z nożyczkami w ręku.

Rankiem trzeciego dnia mój pradziadek, ojciec babki, zjawił się, prowadząc osła, by zabrać babkę ze sobą. Wedle zwyczaju Północno-Wschodniego Gaomi świeżo poślubiona kobieta po trzech dniach odwiedza dom rodzinny. Pradziadek pił z Shanem Tingxiu aż do południa i dopiero wtedy wyruszyli z powrotem.

Babka siadła bokiem na osle i kołysząc się na jego przykrytym cienkim kocem grzbiecie, opuściła wioskę. Mimo że od ulewy minęły już trzy dni, droga wciąż była rozmoknięta, znad pól unosiły się opary, białe smugi mgły wiły się wokół zielonych źdźbeł sorga, upodabiając je do nadprzyrodzonych istot. W sakwach pradziadka dzwoniły srebrne monety; był tak pijany, że ledwie utrzymywał równowagę, spojrzenie miał zamglone. Osiołek szedł powoli, wyciągając długą szyję, małe kopytka zostawiały wyraźne ślady na błotnistej drodze. Jadąca na osle babka wkrótce poczuła zawroty głowy. Miała czerwone,

spuchnięte oczy, włosy w nieładzie. Sorgo, które przez ostatnie trzy dni urosło o kolejne kolanko, przyglądało jej się z szyderczą miną.

– Tato, nie wróć już do tamtego domu. Choćbym miała umrzeć, nie wróć tam! – powiedziała babka.

– Córeczko... Spotkało cię wielkie szczęście! – odparł pradziadek. – Twój teść podaruje mi dużego czarnego muła. A tego osiołka wtedy sprzedam...

Osiólek, wyciągając kanciasty łeb, skubał zachlapaną błotem trawę porastającą poboczne drogi.

– Tato! – załkała babka. – On jest trędowaty...

– Twój teść da nam czarnego muła... – powtórzył pradiad.

Pradziadek był pijany ponad wszelką normę. Co chwila rzygał w trawę mieszaniną wódki i mięsa, cuchnące wymiociny przyprawiały babkę o mdłości. Czują do niego wyłącznie nienawiść.

Kiedy osiołek wkroczył w Żabią Dolinę, dobiegł ich odór tak wstrętny, że zwierzę aż zwiesiło uszy. Babka dojrzała trupa zbója, który chciał ich napaść. Jego brzuch był napuchnięty, pokrywała go warstwa szmaragdowozielonych much. Kiedy osiołek z babką na grzbiecie przetruchtał obok gnijących zwłok, muchy gniewnie wzbily się w powietrze niczym zielona chmura. Za osłem dreptał pradziadek, który zachowywał się tak, jakby był szerszy od drogi: to zataczał się w sorgo po lewej stronie, to potykał o trawy po prawej. Kiedy mijali leżące ciało, wydał z siebie kilka okrzyków „O!” i drżącymi wargami wymówił:

– Biedaku... Czemu ty tu leżysz, biedaku? Spisz?...

Babka nigdy nie zapomniała podobnej do dyni twarzy bandyty. W tej krótkiej chwili, gdy muchy wleciały w powietrze, uderzył ją kontrast między szlachetnością jego rysów po śmierci a pełnym okrucieństwa i tchórzostwa wyrazem, którym twarz ta odznaczała się za życia.

Szli dalej, mila za milą, słońce świeciło wysoko na niebie błękitnym jak woda w strumieniu. Osiólek wkrótce wyprzedził pradiadka – dobrze znał drogę do domu, niósł więc babkę swobodnie, choć bez pośpiechu. Droga skręcała nieco – gdy osiołek znalazł się na zakręcie, babka przechyliła się w tył i ześliznęła z grzbietu zwierzęcia, a czyjaś silna ręka objęła ją i poniosła w gąszcz zboża.

Babka wrywała się słabo, właściwie wcale nie miała ochoty walczyć. Trzy ostatnie dni jej „nowego życia” były koszmarem: są ludzie, którzy w jednej minucie stają się wielkimi przywódcami, babka zaś w ciągu trzech dni pojęła tajemnicę życia i śmierci. Nawet objęła tego mężczyznę ręką za szyję, żeby było

mu lżej ją nieść. Liście sorga szeleściły Od strony drogi dobiegł ochryply głos pradziadka:

– Córeczko! Gdzie się znowu podziałaś?

Po długim, pełnym rozpaczny krzyku trąbki od strony mostu rozległ się huk wystrzałów, trudnych do odróżnienia od ognia maszynowego. Krew płynęła z ran babki w rytmie jej oddechu.

– Mamo! – krzyknął mój ojciec. – Nie możesz tak krwawić, bo jak cała krew z ciebie wypłynie, to umrzesz.

Wziął w dłoń garść czarnej ziemi spomiędzy zboża i zatkał nią ranę, lecz krew wkrótce ją zalała. Sięgnął więc po kolejną garść. Babka uśmiechnęła się z wdzięcznością, wpatrzona w błękitną, nieskończoną przestrzeń nieba, a potem w czule, wyrozumiałe, kochające jak matka sorgo. W myślach widziała zieloną ścieżkę pełną maleńkich białych kwiatków. Ścieżką tą jechała na małym osiołku, swobodnie i beztrosko, a tamten mężczyzna, rosły i silny, śpiewał głośno swoją pieśń pośród zboża. Babka podążała za śpiewem, muskając stopami sorgo, jakby dosiadała zielonej chmury...

Mężczyzna położył babkę na ziemi. Miękka niczym nitka makaronu, mrużyła podobne do jagnięcych oczy. Mężczyzna zdarł z twarzy czarną zasłonę. To on! Babka w duchu podziękowała Niebiosom. Wstrząsnął nią potężny dreszcz – chyba była to radość – a jej oczy wypełniły się gorącymi łzami.

Yu Zhan'ao zrzucił pelerynę i jał udeptywać zboże, potem rozłożył ją na trupach sorga. Na pelerynie położył swoją babkę. Jej dusza wzleciała w górę na widok jego obnażonego torsu – niemal widać było potężne strumienie krwi pulsującej pod ogorzałą skórą. Nad czubkami kłosów unosiła się rzadka mgielka; prawie słyszało się, jak rosna. Panowała bezwietrzna cisza, tylko oślepiające, wilgotne promienie słońca krzyżowały się i przebijały przez szczeliny pomiędzy źdźbłami. Drzemiąca w sercu babki od szesnastu lat namiętność nagle wezbrała i wybuchła. Babka wierciła się na pelerynie. Yu Zhan'ao stawał się coraz niższy i niższy, aż padł obok niej na kolana. Babka drżała na całym ciele; żółty, mocno pachnący płomień płonął z szumem na jej twarzy. Yu Zhan'ao gwałtownie rozpiął jej ubranie na piersi, pozwalając, by promienie słońca oświetliły zziębnięte, pokryte gęsią skórą sutki. Pod wpływem tego śmiałego gestu babka, z nerwami napiętymi z bólu i radości, krzyknęła niskim, ochryplym głosem „O Niebiosia!” i zemdląła.

Babka i dziadek kochali się wśród kipiącego życia sorgowego pola – dwie nieokiełznane, niepokorne dusze, gardzące regułami świata ludzi, przyłgnęły do siebie jeszcze mocniej niż obdarzające się nawzajem rozkoszą

ciała. We dwoje orali chmury i siali deszcz, opromieniając bogatą i różnorodną historię Północno-Wschodniego Gaomi subtelnym, czerwonym blaskiem. Można powiedzieć, że mój ojciec został poczęty z esencji otrzymanej od Nieba i Ziemi – stanowił krystalizację cierpienia i uciechy.

Porykujący głośno osiołek wtargnął na pole i babka z tajemniczej niebiańskiej krainy powróciła do okrutnego świata ludzi. Usiadła, totalnie oszołomiona, łzy płynęły jej po policzkach.

– On naprawdę jest trędowaty – powiedziała.

Dziadek klęczał; w jego ręku nie wiadomo skąd pojawił się krótki miecz. Wyciągnął go z pochwy ze zgrzytem; ostrze było zaokrąglone niczym żdźbło szczypiorku. Dziadek zamachnął się i ściał dwie łodygi sorga: ich wierzchołki spadły na ziemię, na gładkich skośnych cięciach pojawiły się kropelki ciemnozielonego soku.

– Wróc tu koniecznie za trzy dni! – powiedział dziadek.

Babka spojrzała na niego nierozumiejącym wzrokiem. Dziadek ubrał się, babka także doprowadziła się do porządku. Nie zauważyła, kiedy i gdzie dziadek schował swój miecz. Odprowadził ją do drogi i zniknął bez śladu.

Po trzech dniach osiołek niósł babkę tą samą drogą z powrotem. Kiedy wjechali do wioski, dowiedziała się, że obaj Shanowie, ojciec i syn, zostali zabici. Ich ciała wrzucono do stawu na zachodnim skraju wioski.

Babka leżała, chłonąc spokojne, delikatne ciepło sorgowego pola. Czuła się lekko jak jaskółka wdzięcznie szybująca nad kłosami. Galopujące w jej umyśle obrazy zwolniły: widziała Shana Bianlanga, Shana Tingxiu, pradziadka i prababkę, wuja Luohana... tyle wrogich, miłych, okrutnych, uczciwych twarzy pojawiło się przed jej oczyma i po chwili zniknęło. Pisała właśnie ostatnie zdania swojej trzydziestoletniej historii: wydarzenia z przeszłości były niczym dojrzałe wonne owoce, padające na ziemię jak strzały. W przyszłości babka widziała tylko kilka nieuchwytnych, efemerycznych świateł, toteż z całej siły starała się trzymać krótkotrwałej, to lepkiej, to śliskiej teraźniejszości. Czuła gładzące ją drobne niczym zwierzęce łapki dłonie mojego ojca. „Mamo” – powiedział ojciec lękliwie, i cała miłość i nienawiść babki gdzieś się ulotniły. W świadomości, w której nie było już dobroci ani wrogości, zamigotało znowu kilka iskier przywiązania do świata żywych. Babka z całej siły próbowała wyciągnąć rękę i pogłaskać mego ojca po twarzy, ale jej dłoń za nic nie chciała się podnieść. Babka wlatywała już w górę – zobaczyła wystrzeliwujący z nieba wielobarwny snop światła i usłyszała uroczystą niebiańską muzykę, graną na obojach, trąbach i trąbkach.

Czuła się bardzo zmęczona – śliski uchwyt teraźniejszości, uchwyt świata żywych, już wymykał się z jej dłoni. Czy tak właśnie wygląda śmierć? Czy ja teraz umrę? Czy nie zobaczę już więcej nieba, ziemi, sorga, mojego syna i mojego ukochanego, który właśnie prowadzi żołnierzy do walki? Huk wystrzałów wydaje się dobiegać z tak daleka, wszystko kryje się za gęstą mgłą. Douguan! Douguan! Synu, pomóż matce. Ciągnij matkę z powrotem, matka nie chce umierać. O Nieba! Darowałyście mi ukochanego, darowałyście mi syna, dałyście mi majątek i trzydzieści lat życia, bogatego jak sorgo. O Niebioso, skoro dałyście mi to wszystko, czemu chcecie to teraz odebrać? Wybaczcie mi, zostawcie mnie w spokoju! Czymże wam zawiniłam, o Nieba? Czy powinnam była dzielić łoże z trędowatym i rodzić trędowate demony o gnijących ciałach? Czy zanieczyszczanie nimi tego pięknego świata byłoby właściwe? Czym wobec tego jest czystość, o Niebioso? Czym jest właściwa droga? Czym jest dobro, a czym zło? Nigdy mi tego nie mówiłyście, więc musiałam decydować sama. Kocham szczęście, kocham siłę, kocham piękno, moje ciało należy do mnie, sama kieruję sobą, nie boję się grzechu ani kary, nie boję się wstąpić w wasze osiemnaście kręgów piekieł. Zrobiłam, co należało, postąpiłam tak, jak musiałam, i niczego się nie obawiam. Ale nie chcę umierać! Chcę żyć, o Niebioso, chcę zobaczyć jeszcze tyle świata...

Szczerłość babki wzruszyła Niebioso, w jej wyschniętych oczach wezbrał świeży płyn, zapłonęły dziwnym, niebiańskim blaskiem. Babka znowu zobaczyła złotą twarzyczkę ojca i oczy, tak bardzo podobne do oczu dziadka. Drżącymi wargami wymówiła imię Douguan, a ojciec w wielkiej ekscytacji zaczął krzyczeć:

– Mamo, jest ci lepiej! Nie umrzesz, zatamowałem krew, krew już nie płynie! Pójdę po tatę, żeby przyszedł tu do ciebie, mamo, nie możesz umierać, musisz zaczekać na tatę!

Ojciec pobiegł. Odgłos jego kroków stał się szeptanym monologiem, a potem zmienił w niebiańską muzykę, którą przed chwilą słyszała babka. Były to dźwięki Wszechświata, te same, które dobiegają z każdego źdźbła czerwonego sorga. Babka wpatrywała się w zboże – w jej oczach rośliny były zwodniczo piękne, groteskowo dziwaczne. Źdźbła sorga jęczały, skręcały się, krzyczały, wiły, przypominając to demony, to przyjaciół. Kojarzyły się babce z kłębowiskiem węży, a po chwili znów rozwijały się i prostowały, świecąc nieopisanym blaskiem. Były czerwone i zielone, białe i czarne, niebieskie i szmaragdowe, śmiały się w głos i żałośnie płakały, a ich łzy niczym deszcz biły w piaszczyste pustkowie jej serca. Przez szczeliny między roślinami przeświecały cząstki błękitnego nieba – było tak wysoko, a jednocześnie tak nisko. Babka czuła, jak niebo, ziemia, ludzie i sorgo łączą się ze sobą, kryjąc się razem pod gigantyczną pokrywą. Białe obłoki płynęły po niebie, muskając szczyty źdźbeł, ocierając się twardymi brzeżkami ze szmerem o twarz babki.

Obłoki i cienie obłoków dryfowały i krążyły swobodnie, podążając za sobą nawzajem. Stado białych gołębi sfrunęło z przestworzy, przysiadło na szczytach źdźbeł i obudziło babkę gruchaniem. Widziała sylwetki ptaków bardzo wyraźnie, a one wpatrywały się w nią ślepkami jak ziarna sorga. Uśmiechnęła się do nich szczerze i ptaki odwzajemniły uśmiech, odpowiadając na jej tęsknotę i umiłowanie życia.

– Moi przyjaciele, nie chcę was opuszczać! – zawołała babka.

W odpowiedzi na jej bezgłośne wołanie ptaki dziobały ziarenka z kłosów. Dziobały i połykały, nadymając podgardla, w podnieceniu strosząc pióra podobne do wachlarzy albo płatków kwiatów smaganych wiatrem i deszczem. Kiedyś stado gołębi mieszkało pod okapem naszego domu. Jesienią babka ustawiała na podwórzu dużą miednicę z czystą wodą i kiedy gołębie wracały z pól, siadały równiutko na krawędzi miednicy i wypluwały ziarna sorga ze swoich woli, a ich sylwetki odbijały się w wodzie. Potem przechadzały się dumnie po podwórzu. Gołębie! Na spokojnych, ciężkich głowach sorga przysiadają wygnane z gniazd przez zawieruchy wojny ptaki i czuwały nad babką, jakby opłakując ją w tej ostatniej, bolesnej drodze.

Oczy babki znów zwilgotniały na widok gołębi podrywających się jednocześnie do lotu, jakby w rytm dobrze znanej melodii, i szybujących w podobnych oceanach przestworzy błękitu; ich skrzydła szumiały w zderzeniu z powietrzem. Babka także poszybowała w górę za nimi, rozpostarła swoje świeżo wyrosłe skrzydła i kołowała wdzięcznie i lekko ponad czarną ziemią i łanami zboża. Popatrzyła tęsknie na swoją zrujnowaną wioskę, meandrującą rzekę, krzyżujące się ścieżki, na dziury wybite w niebie przez rozżarzone kule karabinów, na wszystkie istoty, balansujące na krawędzi życia i śmierci. Po raz ostatni poczuła zapach wódki z sorga i rybio-słodkawy odór gorącej krwi. W jej umyśle nagle pojawił się obraz, którego nigdy nie widziała: pod ostrzałem dziesiątek tysięcy kul setki obdartych mieszkańców naszej wioski padają na pole sorga, ich kończyny wiją się bezładnie.

Ostatnia nić łącząca, babkę ze światem żywych już się rwała, cały jej ból, wszystkie cierpienia, troski i smutki opadły na pole, bijąc w rośliny niczym gradowe kulki i wpadając w ziemię, gdzie zapuszczały korzenie, kwitły i rodziły gorzkie owoce dla kolejnych pokoleń. Wyzwolenie babki dokonało się: odleciała z gołębiami, a świat jej myśli, skurczony do rozmiarów pięści, wypełnił się radością, spokojem, ciepłem, wygodą i harmonią. Ukojona w pełni, zawołała żarliwie:

– Niebios! Moje Niebios!

Podczas gdy karabiny maszynowe kontynuowały ostrzał, koła samochodów zaczęły się obracać i ciężarówki powoli wtoczyły się na kamienny most. Grad kul blokował dziadka i jego oddział. Kilku nieostrożnych, którzy wystawili głowy ponad nasyp, leżało już martwych u stóp wału. Płomień gniewu buzował w piersi dziadka. Wszystkie wozy były już na moście, strumień kul wlatywał jeszcze wyżej.

– Do ataku, bracia! – zawołał dziadek.

Strzelił trzy razy i dwóch japońskich żołnierzy z kabiny padło twarzami na maskę ciężarówki, plamiąc ją czarną krwią. Ledwie przebrzmiał huk wystrzałów, zza wałów po obu stronach drogi wybuchła kanonada, kosząc kolejnych siedmiu czy ośmiu Japończyków. Dwóch spadło z samochodu i machając rozpaczliwie kończynami, runęło po obu stronach mostu do Rzeki Czarnej Wody. Armata braci Fang ryknęła wściekle, plując szerokim strumieniem oślepiającego ognia; stalowe punkciki i stalowe jaja biły w białe worki, którymi załadowana była druga ciężarówka. Gdy rozwiął się dym, ujrzeli sypiący się z niezliczonych otworów śnieżnobiały ryż. Mój ojciec wyczołgał się spomiędzy łądyg zboża i dopełził do wału, chcąc czym prędzej porozmawiać z dziadkiem, który właśnie pośpiesznie ładował broń. Pierwszy samochód Japończyków próbował na pełnym gazie przejechać przez most, ale przednie koła utknęły na odwróconej broni. Opony podziurawiły się i samochód, wydając dziwaczne odgłosy, zaczął się cofać, ciągnąc ze sobą broń; przypominał ojcu wielkiego węża, który pożarł jeża i wije się z bólu. Japończycy zeskoczyli na ziemię.

– Stary Liu, trąb! – zawołał dziadek.

Liu zadał w trąbkę, jej głos zabrzmiał posepnie i przerażająco.

– Do ataku! – wrzasnął dziadek i runął naprzód z bronią w dłoni, nie celując.

Japończycy, który znajdowali się na linii jego strzału, jeden po drugim gięli się i padali na ziemię. Oddział z zachodniej strony drogi także ruszył w kierunku ciężarówek; żołnierze mieszały się z Japończykami, więc ci z nich, którzy siedzieli na wozach z tyłu, skierowali ogień w powietrze. Na pierwszym zostało jeszcze dwóch Japończyków. Ojciec zauważył, że Niemowa wskoczył na ciężarówkę i tamci zaatakowali go bagnetami. Niemowa obronił się nożem, po czym zadał cios i przykryta hełmem głowa Japończyka wzleciała w powietrze. W locie wydawała z siebie przeciągłe wycie, a gdy uderzyła głucho o ziemię, z ust wydobył się ostatni wibrujący krzyk. Ojciec był zdumiony ostrością noża Niemowy. Na twarzy odciętej głowy pozostał ten sam ogłupiały wyraz, jaki miała, zanim oddzielono ją od ciała, policzki wciąż dygotały, a nozdrza drgały, jak przed kichnięciem. Niemowa ściał kolejnego Japończyka i gdy jego ciało runęło na poręcz ciężarówki, skóra na szyi nagle się obsunęła i trysnęła



bulgocący strumień krwi. W tym momencie Japończycy z następnej ciężarówki skierowali lufę karabinu maszynowego niżej. Pod niekończącym się gradem pocisków żołnierze dziadka padali jak kłody na trupy wrogów. Niemowa siadł ciężko na szoferce, na jego piersi pokazało się kilka strużek krwi.

Ojciec i dziadek przypadli do ziemi i poczołgali się z powrotem w stronę zboża, ostrożnie wyglądając zza wału. Zobaczywszy, że ostatnia ciężarówka krztusi się i usiłuje się cofnąć, dziadek zawołał:

– Fangu Szósty, z armaty! Wal w sukinsyna!

Bracia Fangowie odwrócili naładowaną armatę w stronę wału, ale gdy Fang Szósty schylił się, by podpalić lont, został postrzelony w brzuch. Szmaragdowozielone wnętrzności wyslizgiwały się na zewnątrz przez otwór po kuli.

– Mać! – wrzasnął Fang Szósty i obejmując brzuch, potoczył się w zboże.

Ciężarówka już niemal zjechała z mostu.

– Wal z armaty! – krzyczał dziadek.

Fang Siódmy wziął podpałkę i zbliżył ją ostrożnie do lontu, który nijak nie chciał się zapalić. Dziadek rzucił się w jego stronę, odebrał mu podpałkę, zbliżył do ust i dmuchnął parę razy. Ogień się rozjarzył. Dziadek dotknął podpałką lontu. Lont zaczął się palić z sykiem, po czym zadymił białym dymem i zgasł. Armata milczała jak uśpiona. Ojciec był przekonany, że nie wystrzeli. Pierwszy japoński wóz już zjechał z mostu, druga i trzecia ciężarówka także się cofały. Ryż wysypywał się z szelestem z worków: sypał się na most, wpadał do wody, tworząc na powierzchni niezliczone małe punkciki. Kilku martwych Japończyków dryfowało rzeką na wschód, krew sączyła się z ciał, przywabiała ławice ruchliwych węgorzy. Po dłuższej chwili milczenia armata w końcu huknęła. Jej żelazne ciało podskoczyło wysoko nad ziemię, szeroka smuga ognia trafiła prosto w wyładowaną ryżem ciężarówkę. Podwozie ze świstem zajęło się ogniem.

Z pierwszego wozu zeskoczyli bezładnie Japończycy i przycupnęli za przeciwległym wałem. Ustawili karabin maszynowy i otworzyli ogień. Jeden z pocisków trafił Fanga Szóstego w twarz i zmiażdżył mu nos; jego krew ochlapała twarz dziadka.

Dwóch Japończyków z płonącego wozu otworzyło drzwiczki i wyskoczyło prosto do rzeki. Środkowa ciężarówka, ta, z której sypał się ryż, nie mogła się cofnąć ani ruszyć naprzód i tylko kręciła bezradnie kołami, wydając dziwaczne odgłosy. Ryż lał się z worków jak deszcz.

Japoński karabin maszynowy z naprzeciwnika zamilkł, pozostałe od czasu do czasu oddawały pojedyncze strzały. Kilkunastu pochylonych Japończyków

z bronią w ręku przemknęło obok płonącego samochodu, kierując się na północ. Dziadek krzyknął „Ognia!”, ale odzew był skąpy. Ojciec odwrócił się i zobaczył, że wał jest zawalony ciałami żołnierzy, a na polu sorga jęczą i krzyczą ranni. Dziadek wystrzelił kilka razy, zmiatając kilku Japończyków z mostu. Po zachodniej stronie drogi także rozległo się kilka strzałów, powalając kolejnych kilku. Japończycy wycofywali się. Z południowego brzegu nadleciała kula i trafiła dziadka w prawy bark; ramię podskoczyło, z dłoni wypadł pistolet i zawisł na pasku na szyi. Dziadek wycofał się ku polu, wołając:

– Douguan! Pomóż!

Rozdarł swój rękaw, kazał ojcu wyciągnąć zza pasa białe płótno i pomóc mu przewiązać ranę. W tym momencie mój ojciec powiedział:

– Tato, mama prosi, żebyś przyszedł.

– Dobre dziecko! Najpierw chodź razem z ojcem wybić tych sukinsynów do nogi! – powiedział dziadek, po czym wyciągnął zza paska jego wyrzucony wcześniej browning i podał ojcu. W tym momencie doczołgał się do nich trębacz Liu, ciągnąc zakrwawioną nogę.

– Mam grać sygnał, panie komendancie? – zapytał.

– Graj! – rozkazał dziadek.

Trębacz Liu ukląkł na jednej nodze, podniósł swój instrument i wycelował w niebo. Z trąbki popłynęły dźwięki w kolorze ciemnej czerwieni.

– Do ataku, bracia! – zawołał dziadek na cały głos.

Z pola po zachodniej stronie drogi odpowiedziało mu kilka okrzyków. Ledwie się podniósł, trzymając pistolet w lewej dłoni, kilka kul ze świstem przeleciało mu obok policzka. Dziadek przypadł do ziemi i potoczył się z powrotem w zboże. Z drugiego skraju drogi rozległ się rozpaczliwy krzyk – dziadek wiedział już, że postrzelono kolejnego żołnierza.

Trębacz Liu zagrał jeszcze raz; szkarłatny głos uderzył w źdźbła sorga, wprawiając je w drżenie.

Dziadek złapał ojca za rękę.

– Chodź ze mną, synu – powiedział. – Połączymy siły z braćmi po zachodniej stronie.

Ciężarówkę na moście spowijał dym, wśród huczących płomieni ryż sypał się do rzeki jak gęsty śnieg. Dziadek, trzymając ojca za rękę, pędził na drugą stronę drogi. Gonił ich grad pocisków uderzających ze stukotem w ziemię. Na spotkanie wyszło im dwóch żołnierzy o wymazanych sadzą, podrapanych twarzach.

– Panie komendancie, koniec z nami! – wyjąkali rozpaczliwie.

Dziadek przysiadł zgnębiony w zbożu i przez dłuższą chwilę nie podnosił głowy. Japońcy z przeciwległego brzegu przestali strzelać. Od mostu dobiegały trzaski płonącej ciężarówki, od wschodu wciąż było słychać trąbkę.

Ojciec nie czuł już strachu. Poszedł na zachód wzdłuż wału, wystawiając ostrożnie głowę nad zarośla suchej trawy. Zobaczył, jak japoński żołnierz wyskakuje spod plandeki drugiej, jeszcze niespalonej ciężarówki i ściąga z wozu starego człowieka. Stary był chudy, na rękach miał białe rękawiczki, na nogach czarne skórzane oficerki, u pasa miecz. Trzymając się boku ciężarówki, a dalej podpory mostu, skradali się w dół. Ojciec podniósł swój browning, ale dłoń nie chciała przestać się trząść, a chudy zadek starego Japończyka podskakiwał mu przed oczyma. W końcu zacisnął zęby, zamknął oczy i strzelił. Browning ryknął, kula poleciała z gwizdem i trafiła prosto w wodę, wywracając jednego z węgorków brzuchem do góry. Japończyk zanurkował.

– Tato, to oficer! – zawołał mój ojciec.

Kolejny wystrzał huknął za jego głową i czaszka starego rozpękła się, a krew zabarwiła wodę. Drugi Japończyk, rozpaczliwie machając kończynami, zdołał schować się za podporą.

Znowu pofrunęły japońskie kule, dziadek przycisnął ojca do ziemi. Pociski świszczwały i grzechotały w zbożu.

– Dzielny chłopak! Moja krew! – wykrzyknął dziadek.

Mój ojciec i dziadek nie wiedzieli, że stary Japończyk, którego zabili, to słynny generał Nakaoka Jiko.

Trąbka trębacza Liu nie milkła. Słońce, przypieczone ogniem płonących ciężarówek na czerwono i zielono, wydawało się wędnać.

– Tato, mama chce cię zobaczyć, idź do niej – powiedział ojciec.

– Żyje jeszcze? – spytał dziadek.

– Żyje.

Ojciec wziął dziadka za rękę i poprowadził go w głąb pola.

Babka leżała w zbożu, na jej twarzy widniał cień sorga i drogocenny uśmiech, przeznaczony specjalnie dla dziadka. Jej skóra była jasna i piękna, oczy wciąż patrzyły przed siebie.

Mój ojciec po raz pierwszy w życiu zobaczył strumyczki łez płynące po twardym obliczu dziadka.

Dziadek ukląkł obok ciała babki i niezranioną ręką zamknął jej oczy.

W 1976 roku, kiedy dziadek umarł, mój ojciec zamknął jego szeroko otwarte oczy lewą dłonią, w której brakowało dwóch palców. Kiedy dziadek w 1958 roku wrócił z dzikich gór japońskiej wyspy Hokkaido, ledwie umiał mówić – każde słowo wypluwał z trudem, jakby to był ciężki kamień. Na cześć jego powrotu w wiosce urządzono wielką uroczystość, na której był nawet naczelnik powiatu. Miałem wtedy dwa lata. Pamiętam, jak pod drzewem miłorzębu przy wejściu do wioski ustawiono rzędem osiem stołów „ośmiu nieśmiertelnych”, na każdym stał dzban wódki i kilkanaście białych czarek. Naczelnik powiatu podniósł dzban, napełnił jedną z czarek i trzymając oburącz, podał dziadkowi.

– Z szacunkiem ofiaruję panu, naszemu staremu bohaterowi, tę oto czarę napoju. Przyniósł pan chwałę ludowi całego naszego powiatu! – przemówił.

Dziadek wstał niezdarnie i przewracając oczyma o szarawych białkach, odparł:

– Mój kar-karabin.

Patrzyłem, jak podnosi naczynie do ust. Jego pomarszczona szyja napięła się, grdyka chodziła to w górę, to w dół, lecz do gardła trafiło niewiele wódki, większość spłynęła po podbródku na pierś.

Pamiętam, jak spacerowaliśmy razem po polach: dziadek prowadził mnie za rękę, a ja prowadziłem małego czarnego pieska. Dziadek najbardziej lubił chodzić nad Rzekę Czarnej Wody, do wielkiego mostu. Stawał oparty o jeden z filarów i mógł tak przestać cały ranek albo całe popołudnie. Zauważyłem, że jego spojrzenie często zatrzymywało się na otworach i draśnięciach w kamieniu. Kiedy sorgo wyrosło, dziadek zabierał mnie w pole, do miejsca, które również znajdowało się w pobliżu mostu. Przypuszczam, że to tam właśnie babka wzniosła się ku Niebiosom – był to zwyczajny splachetek czarnej ziemi, przesiąknięty jej krwią. W tamtych czasach, zanim stary dom naszej rodziny został zburzony, dziadek pewnego dnia wziął motykę i zaczął kopać pod katalpą. Wygrzebał kilka larw cykady i wręczył mi je, ja rzuciłem je psu, który zagryzł larwy, ale ich nie zjadł.

– Czego szukasz, tato? – spytała moja matka, która właśnie wybierała się do stołówki komunalnej, gdzie gotowała. Dziadek podniósł głowę i spojrzał na nią wzrokiem jakby nie z tego świata. Matka odeszła, a dziadek kopał dalej. Kiedy dołek był już całkiem spory, przeciął kilkanaście różnej wielkości korzeni, odsłaniając tkwiący wewnątrz kamień. Odsunął go i ze starego, zawilgłego miniaturowego piecyka do wypalania cegieł wyciągnął pogięte blaszane pudełko, które rozpadło się, gdy rzucił je na ziemię. W środku leżał

zawinięty w podartą szmatę zardzewiały, dłuższy ode mnie żelazny przedmiot. Kiedy spytałem, co to jest, dziadek odparł: „Mój kar-karabin”.

Położył broń na słońcu i usiadł obok. Na przemian to otwierał, to zamykał oczy. W końcu wstał, wziął siekiere i zaczął zadawać karabinowi bezładne ciosy. Kiedy została z niego tylko sterta żelaznych odłamków, brał je po jednym i rzucał. Porozrzucał je po całym podwórku.

– Tato, czy mama umarła? – spytał ojciec dziadka.

Dziadek skinął głową.

– Tato!

Dziadek pogłaskał ojca po głowie, wyciągnął zza pasa krótki miecz i zabrał się do cięcia zboża, którym przykrył ciało babki.

Od południowego wału dobiegł głośny huk wystrzałów, a zaraz potem wściekle okrzyki i wybuchy granatów. Dziadek złapał ojca za rękę i pociągnął na przyczółek mostu.

Od południa z gąszczu sorga wypadła ponad setka ubranych w szare mundury mężczyzn. Kilkunastu Japończyków wbiegło na wał, gdzie zostali wystrzelani bądź zakłuci bagnietami. Ojciec zauważył kapitana Lenga z rewolwerem zwisającym z szerokiego skórzanego pasa, w otoczeniu straży przybocznej złożonej z kilku rosłych mężczyzn. Oddział omijał płonące ciężarówki i zmierzał na północny kraniec mostu. Na widok Lenga dziadek zaśmiał się dziwacznie i stanął nieruchomo na przyczółku mostu z bronią w ręku.

Kapitan Leng zbliżył się dumnym krokiem.

– Dzielnie walczyliście, komendancie Yu! – oznajmił.

– Ty sukinsynu! – warknął dziadek.

– Ciut za późno przybyliśmy, bracie!

– Ty suczy pomocie!

Dziadek wycelował z pistoletu w kapitana Lenga. Leng mrugnął porozumiewawczo i dwóch groźnych jak wilki i tygrysy przybocznych błyskawicznie skierowało lufę broni dziadka w dół. W tym momencie ojciec podniósł swój browning i strzelił prosto w zadek jednego z mężczyzn z obstawy trzymających dziadka.

Drugi strażnik kopnął ojca z rozmachem i przewrócił na ziemię, po czym wielką stopą przygwoździł mu przegub, schylił się i zabrał pistolet.

Mężczyźni z obstawy związali mojego dziadka i ojca.

– Ospowaty Lengu, otwórz no te psie ślepie i popatrz na moich braci!

Wały po obu stronach drogi i okoliczne pola zasłane były trupami i rannymi. Trębacz Liu wciąż od czasu do czasu dmuchał w instrument, krew sączyła się z kącików jego ust i nozdrzy.

Kapitan Leng zdjął wojskową czapkę i oddał ukłon w stronę wschodniego, a potem zachodniego pola.

– Uwolnić komendanta Yu i jego syna! – rozkazał.

Przyboczni rozwiązali ich. Postrzelony żołnierz trzymał się dłonią za pośladek, krew wyciekała mu spomiędzy palców.

Leng zabrał swoim przybocznym broń dziadka i ojca i zwrócił właścicielom.

Tymczasem jego oddział przekraczał most. Żołnierze rzucili się żwawo ku ciężarówkom i ciałom Japończyków, zbierając karabiny i karabiny maszynowe, naboje i magazynki, bagnety i pochwy, skórzane pasy i buty, sakiewki, brzytwy. Kilku wskoczyło do rzeki, złapało żywego Japończyka, który chował się za filarem, i wyniosło ciało starego.

– To generał, panie dowódco! – krzyknął jeden z oficerów. Podekscytowany Leng spojrział w tamtą stronę.

– Zdejmijcie mu mundur i zabierzcie wszystko, co miał przy sobie! – polecił. – Jeszcze się spotkamy, komendancie Yu – zwrócił się do dziadka, po czym w otoczeniu swojej gwardii przybocznej ruszył ku południowemu końcowi mostu.

– Leng! Stój, ani kroku! – wrzasnął dziadek. Kapitan Leng odwrócił się.

– Komendancie Yu, nie macie chyba zamiaru mnie zastrzelić, jak sądzę?

– Nie daruję ci tego – odparł dziadek.

– Wangu Tygrysie, zostawcie komendantowi Yu jeden karabin maszynowy – polecił Leng.

Kilku żołnierzy położyło karabin u stóp dziadka.

– Ciężarówki i ryż także są wasze.

Cały oddział Lengą przekroczył już most i ustawił się w szeregu na wale, po czym pomaszerował na wschód.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Ciężarówki spłonęły – zostały tylko poczerwiałe ramy, wokół unosiła się dusząca woń spalonych opon. Most był zablokowany z obu końców przez dwa niespalone wozy. Rzeką płynęła woda czarna od krwi, pola sorga były czerwone od krwi.

Ojciec podniósł leżący na wale nienaruszony „oburęczny placek” i podał dziadkowi.

– Jedz, tato, to mama zrobiła.

– Ty zjedz – odparł dziadek.

Ojciec wepchnął placek dziadkowi do ręki.

– Wezmę sobie drugi – powiedział.

Wziął drugi placek i łapczywie odgryzł kawałek.

## **CZEŚĆ II**

# **Wódka z sorga**



Jak to się dzieje, że sorgo z Północno-Wschodniego Gaomi zamienia się w aromatyczną wódkę, która pozostawia w ustach słodki, miodowy posmak, a upicie się nią nie szkodzi komórkom naszych mózgow? Pewnego dnia matka dokładnie mi to wyjaśniła. Wiele razy ostrzegła mnie, bym pod żadnym pozorem nie wyjawiał rodzinnego sekretu, ponieważ po pierwsze, ucierpiałby wtedy prestiż naszego rodu, a po drugie, gdyby pewnego dnia nasi potomkowie postanowili otworzyć gorzelnię, nie mieliby już tej przewagi nad innymi, jaką zapewniają nasze metody. Tutejsi rzemieślnicy, jeśli dysponują jakąś szczególną umiejętnością, wolą przekazywać ją swoim synom niż córkom. Reguła ta traktowana jest tak samo poważnie, jak w niektórych krajach prawo.

Matka mówiła, że kiedy gorzelnią zarządzali ojciec i syn rodu Shan, był to już interes na sporą skalę. Wódka miała wówczas niezły smak, brakowało jej jednak tego aromatu i miodowego posmaku, które zyskała później. Zdarzenie, które sprawiło, że produkowany przez naszą rodzinę alkohol zyskał szczególne cechy, wyróżniające go na tle wyrobów kilkudziesięciu gorzelnii Północno-Wschodniego Gaomi, miało miejsce po tym, jak dziadek zabił obu Shanów, a babka po krótkim okresie zagubienia i załknienia doszła do siebie i otworzyła podwoje firmy na nowo, objawiając wrodzony talent w tej dziedzinie. Wiele ważnych odkryć jest dziełem przypadku, a szczególne właściwości naszego alkoholu powstały w wyniku psikusa: dziadek nasikał do jednej z kadzi z wódką. W jaki sposób odrobina moczu zamieniła zwykłą wódkę z sorga w napój o wyjątkowym aromacie i znakomitej jakości? To już sprawa dla naukowców – nie będę opowiadał bzdur na ten temat, niechaj kwestię tę zgłębią specjaliści od procesu fermentacji.

Babka wraz z wujem Luohanem kontynuowali eksperyment, przeprowadzając dalsze próby, i w ich wyniku doszli do wniosku, że zastąpienie świeżego moczu alkalicznym osadem ze starych nocników uczyni technologię prostsza, efektywniejszą i bardziej precyzyjną. Wszystko to trzymano w najściślejszej tajemnicy, którą znali tylko moja babka, dziadek i wuj Luohan. Zdaje się, że mieszankę sporządzano w środku nocy, gdy wszyscy spali. Babka zapalała na dziedzińcu świecę i paliła trzy setki ofiarnych banknotów\*, a następnie z tykwy o wąskiej szyjce wlewała miksturę do poszczególnych kadzi. Babka opowiadała, że specjalnie starała się nadać tej czynności charakter sekretnego misterium, by ewentualni gapie doszli do wniosku, iż nasza rodzina kontaktuje się z duchami i że to one pomagają nam

---

\* Ofiarne banknoty – ozdobne papierowe arkusiki przypominające banknoty, palone przez Chińczyków jako ofiara dla duchów i bóstw przy różnych specjalnych okazjach. Pali się je także na pogrzebach, by zapewnić duszy zmarłego dostatnie bytowanie w zaświatach.

w interesach. Dzięki temu nasza wódka z sorga zwyciężyła konkurencję i praktycznie zmonopolizowała rynek.

## 2

Po trzech dniach, które babka spędziła w domu rodzinnym, szybko nadeszła pora powrotu do teściów. Przez cały ten czas babka nie miała apetytu i była rozkojarzona. Prababka gotowała dla niej najlepsze potrawy i namawiała ją słodkimi słowami do jedzenia, babka jednak nie zwracała na to najmniejszej uwagi i zachowywała się jak manekin. Mimo postu wciąż miała piękną cerę: śnieżnobiałe czoło, zaróżowione policzki, a jej oczy o czarnej oprawie przypominały dwa księżycy we mgle.

– Krnąbrny dzieciaku, chcesz zostać nieśmiertelną albo buddą, że nic nie jesz i nie pijesz? – dogadywała prababka. – Jak możesz tak martwić własną matkę?

Babka siedziała spokojnie niczym bogini Guanyin\*, dwie drobne, przejrzyste łzy lśniły w kącikach jej oczu. Z tych przymrużonych oczu wydobywały się dwa zakłopotane promyki, gdy zerkała na matkę, jakby z bardzo wysokiego brzegu rzeki obserwowała przyczajone w płynącej wodzie stare, smolście czarne ryby. Drugiego dnia po przywiezieniu córki pradziadek wreszcie wytrzeźwiał i jedynym, o czym pamiętał, była obietnica Shana Tingxiu, że daruje mu czarnego dorodnego muła. W jego uszach brzmiał rytmiczny stukot kopyt biegnącego drogą zwierzęcia. Czarny muł, oczy jak latarnie, kopyta jak kielichy...

– Ty stary nicponiu, nasza córka nie bierze jedzenia do ust, co my teraz poczniemy? – denerwowała się prababka.

Pradziadek zmrużył zapijaczone ślepie.

– Rozpuszczona jest jak dziadowski bicz! – odparł. – Pewnie coś kombinuje! – Stał naprzeciwko babki i rzucił ze złością: – O co ci chodzi, dziewucho? Jeden promień łączy przeznaczonych sobie kochanków, choćby byli od siebie odlegli o tysiąc *li*. Mąż i żona są razem na dobre i na złe. Idziesz za koguta, żyjesz wraz z kurami, bierzesz psa za męża, biegasz razem z psami. Twój ojciec nie jest wysoko postawionym urzędnikiem, a ty nie jesteś złotą gałązką z jadeitowym listkiem. Trafić na tak bogatą partię to wielkie szczęście, szczęście dla ciebie i dla twojego ojca. Twój teść od razu obiecał, że podaruje mi wielkiego czarnego muła – to dopiero wspaniałomyślny gest!

---

\* Guanyin – buddyjska bogini (*bodhisattwa*) miłosierdzia, przedstawiana jako kobieta o pięknym, spokojnym obliczu.

Babka siedziała bez ruchu, z zamkniętymi oczyma. Jej wilgotne rzęsy wyglądały jak pokryte warstwą miodu, grube i dorodne. Skrzyżowane ze sobą na styku powiek, przypominały rzędy jaskółczych ogonów. Patrząc na nie, pradziadek wybuchł:

– Nie masz co stroszyć piórek i udawać głuchej i niemej. Nawet jeśli zagłodzisz się na śmierć, zostaniesz duchem rodu Shan, bo w grobowcu rodziny Dai nie ma dla ciebie miejsca!

Babka zaśmiała się szyderczo.

Pradziadek uderzył ją w twarz.

Rumieniec ulotnił się z policzków babki z syknięciem, pozostawiając twarz białą. Bładość jednak stopniowo zaczęła pokrywać się kolorem – oblicze babki zaczerwieniło się jak wschodzące słońce. Z błyskiem w oku zacisnęła zęby i uśmiechnęła się lodowato, po czym, spoglądając nienawistnie na ojca, wycodziła:

– Gdyby tak się stało, nie zobaczyłbyś nawet jednego włoska z tego muła!

Następnie schyliła głowę, chwyciła pałeczki i niczym wiatr rozganiający ostatnie chmury jąła zmiatać stojące przed nią w kilku miseczkach parujące potrawy. Kiedy skończyła, rzuciła jedno z naczyń w powietrze. Miseczka wzleciała wysoko i wirowała jak szalona, błyskając mętnym blaskiem porcelany, przeleciała nad belką u sufitu, zgarnęła dwa pasma zastarzałego kurzu i zaczęła powoli opadać. Na podłodze okręciła się wokół własnej osi, zatoczyła półkole i znieruchomiała, odwrócona denkiem do góry. Babka chwyciła kolejną miszkę – ta uderzyła w ścianę i spadając na podłogę, pękła na dwoje. Pradziadek oniemiał ze zdziwienia i tylko patrzył z otwartymi ustami i drgającą brodą.

– No, nareszcie coś zjadłaś, dziecko! – ucieszyła się prababka.

Porozrzucawszy miski, babka wybuchnęła płaczem. Było to łagodne, przepełnione uczuciem i nasączone wilgocią łkanie, które nie mogło zmieścić się w izbie, przelało się więc na zewnątrz i rozproszyło po polach, gdzie połączyło się z szelestem zapyłonych sorgowych źdźbeł, tworząc harmonię późnego lata. Podczas tego długiego, dźwięcznego łkania miliony myśli przemknęły babce przez głowę: wiele razy wspominała kolejno wszystko, co wydarzyło się w ciągu tych trzech dni, od momentu gdy niesiona w ślubnej lektyce opuściła dom, aż do powrotu na grzbiecie osiołka. Każdy obraz, każdy dźwięk i każdy zapach z tego czasu pojawił się w jej umyśle. Trąbki i oboje... melodie i tony... dada-didi...mumuhaha... maliuala... ijijaja... ciliciala... – brzmiały tak długo, aż sorgo z zielonego stało się czerwone. Na czystym niebie zawisła kurtyna deszczu, zagrzmiały dwa gromy, zabłysła błyskawica. Krople wypełniły powietrze, zgiełk wypełnił jej serce. Gęste strugi to zacinały, to

płynęły prosto z góry na dół, z dołu w górę... Babka przypomniała sobie zbója z Żabiej Doliny i mężny czyn młodego tragarza – był przywódcą ich grupy, przewodnikiem psiego stada. Mógł mieć najwyżej dwadzieścia cztery lata i ani jednej zmarszczki. Babka wspominała moment, gdy jego twarz znalazła się tuż przy jej twarzy, a twarde jak muszla małża wargi zakryły jej usta. W jej sercu krew w jednej chwili zastygła, po czym równie gwałtownie ruszyła, jak rzeka, która przerwała tamę, wprawiając każde, najmniejsze nawet naczynie krwionośne w delikatne drżenie. Jej stopy chwycił skurcz, mięśnie brzucha wpadły w szalony dygot. Ich buntowniczym okrzykiem zawtórowało pełne wigoru sorgo. Nad głowami babki i tragarza unosił się w powietrzu niemal niewidoczny pyłek roślin... Babka tysiące razy starała się skupić na tym porywie młodzieńczej namiętności, lecz chwila ta ustawicznie się jej wymykała i gdy tylko udało się ją przywołać, znikwała natychmiast, za to ta druga twarz, podobna do wyciągniętej z piwnicy zgniłej rzodkwi, co chwila stawała jej przed oczyma, a wraz z nią zakrzywione palce podobne do kurzych szponów. Był tam też staruch z warkoczykiem i zatkniętym za pas pękiem mosiężnych kluczy. Babka siedziała spokojnie, ale mimo iż dzieliło ją od tamtego miejsca kilkadziesiąt *li*, miała wrażenie, że mocny aromat sorgowej wódki i kwaśna woń zacieru błądzi wokół jej ust. Dwaj mężczyźni, którzy zastępowali kobiety, wydzielali woń wódki każdym porem ciała, niczym wyłowione z kadzi pijane kury... Młody tragarz nożem o zaokrąglonym ostrzu wyciął mnóstwo sorga; z uciętych skośnie podkowiastych przekrojów łodyg sączył się lepki, ciemnozielony sok – sorgowa krew. Przypomniało się jej, co powiedział: „Wróc tu koniecznie za trzy dni!”. Pamiętała, że gdy to mówił, z jego czarnych, zmrużonych w cieniutkie, długie szparki oczu wystrzeliwały podobne do mieczy świetlne promienie. Babka już wtedy przeczuwała, że czeka ją wiele niezwykłych, nieprzewidzianych zdarzeń.

Bohaterstwo jest w pewnym sensie cechą wrodzoną – heroizm to ukryty nurt, to potencjał, który pod wpływem zewnętrznych okoliczności zamienia się w mężne czyny. Moja babka miała wtedy szesnaście lat. Jej dotychczasowemu życiu towarzyszyły rozmaite dziewczęce zajęcia i zabawy: od małego uczyła się sztuki haftowania i szycia, wycinanek, krępowała stopy, namaszczała włosy osmantusowym olejkiem. Spotykała się tylko z innymi dziewczętami z sąsiedztwa. Skąd więc wzięła się późniejsza odwaga i skuteczność w radzeniu sobie z zaskakującymi wydarzeniami? W jaki sposób wyćwiczyła bohaterską umiejętność zachowania zimnej krwi w niebezpiecznych sytuacjach, mimo strachu? Trudno to wy tłumaczyć.

W czasie tego długiego płaczu babka nie pogrążała się w rozpacz, raczej wręcz przeciwnie – odkrywała radość z wyładowywania emocji. Płakała i jednocześnie przywoływała przeżyte chwile szczęścia, radości, cierpienia i smutku. Płacz jakby nie wydobywał się wcale z jej gardła, lecz dobiegał z

daleka, był muzycznym akompaniamentem do przepływających kolejno przez jej umysł obrazów – tych pięknych i tych okropnych. W końcu babka uświadomiła sobie, że nasze życie na tym świecie jest krótkie niczym żywot trawy od wiosny do jesieni – czy warto się więc bać, ryzykując jego utratę?

– Trzeba już iść, Jiu'er – zarządził pradziadek, zwracając się do niej dziecięcym imieniem.

Iść. iść, iść!

Babka poprosiła o miskę z wodą i umyła twarz, upudrowała ją i uróżowała. Stojąc naprzeciwko lustra, zdjęła siatkę z tyłu głowy i uwolniła ciężki zwój włosów, które rozpostarły się i zasłoniły jej plecy. Stała na kangu, a jedwabista kaskada sięgała jej aż do kolan. Trzymając w prawej dłoni grzebień z drewna gruszy, lewą ręką przełożyła włosy przez ramię i jęła rozczesywać je pasmo po paśmie. Były niezwykle gęste, kruczoczarne i lśniące, przy samych końcach odrobinę jaśniejsze. Po uczesaniu babka zwinęła je ciasno w kilka dużych „kwiatów”, włożyła do utkanej z czarnej jedwabnej nici gęstej siatki i upięła ją czterema srebrnymi spinkami. Na koniec wyrównała nożyczkami grzywkę, która tworzyła teraz idealnie prostą linię tuż nad brwiami. Owinęła na nowo stopy, wciągnęła długie białe płócienne skarpetki, ciasno związała nogawki spodni na dole, po czym włożyła haftowane pantofelki, mocno podkreślające maleńki rozmiar jej stóp.

Tym, co przyciągnęło wzrok Shana Tingpriu, były właśnie jej drobne stopki. To one już w pierwszej chwili wzbudziły namiętność w sercu tragarza Yu Zhan'ao. Babka była z nich dumna. Wystarczyło, że kobieta miała małe stopy, by nawet z ospowatą twarzą łatwo znaleźć męża; takiej z dużymi stopami natomiast nie chciał poślubić nikt, choćby miała oblicze niebianki. Babka miała i jedno, i drugie, stanowiła zatem ówczesny ideał kobiecego piękna. Sądzę, że przez bardzo długi okres naszej historii kobiece stopy traktowano jako coś w rodzaju organu seksualnego – patrzenie na ich delikatne, drobne czubki wzbudzało w mężczyznach zachwyt z bardzo silnym elementem fizycznego pożądania. Babka, ubrana i wyszykowana, drobnym kroczeniem wyszła z domu. Pradziadek wyprowadził osła i zarzucił mu koc na grzbiet. Wdzięczna postać kobiety odbijała się w wilgotnych oczach osiołka. Babka zauważyła, że zwierzę bacznie się jej przygląda, a z jego przejrzystych ślepi bije inteligencja i blask wyrozumiałości dla ludzkich spraw. Przerzuciła mu nogę przez grzbiet i wsiadła – nie bokiem, jak czyniły to zazwyczaj kobiety, lecz okrakiem, tak że grzbiet osiołka znalazł się między jej nogami. Pradziadek namawiał ją, by usiadła inaczej, babka jednak wbiła pięty w osłe boki i zwierzę ruszyło naprzód. Siedziała wyprostowana, z podniesioną głową i wypiętą piersią, patrząc prosto przed siebie.

Odkąd ruszyła w drogę, ani razu się nie obejrzała. Z początku pradziadek trzymał lejce osiołka, lecz gdy opuścili wioskę, babka zabrała mu je i sama kierowała swoim wierzchowcem, a pradziadek dreptał za nimi.

W ciągu ostatnich trzech dni znowu spadła wielka ulewa. Po prawej stronie drogi babka dojrzała spłachetek sorga wielkości młyńskiego kamienia, na którym liście roślin były przywiedłe, a pomiędzy ciemnej zieleni wyzierała sucha biel. Babka domyślała się, że jest to ślad po uderzeniu pioruna. Przypomniało jej się, jak w poprzednim roku piorun zabił jej przyjaciółkę, siedemnastoletnią Qian'er – spalił jej włosy, podarł ubranie na strzępy, a na plecach wyrysował wzór – ktoś powiedział, że to starożytne „kijankowe pismo”<sup>\*</sup> Niebios. Chodziły słuchy, że Qian'er z chciwości spowodowała śmierć dziecka – opowieść była całkiem przekonująca. Mówiono, że pewnego dnia Qian'er, idąc na targ, usłyszała płacz. Podeszła bliżej i zobaczyła leżące koło drogi niemowlę w powijakach. Kiedy odwinęła becik, jej oczom ukazał się różowy chłopczyk. Był tam także list, na którym napisano: „Ojciec lat osiemnaście, matka lat osiemnaście, kiedy księżyc stał w zenicie, a Trzy Gwiazdy świeciły na zachodnim niebie, narodził się ich syn Lu Xi – Przydrożna Radość. Ojciec pojął za żonę wielkostopą Drugą Starszą Siostrę Zhang z Zachodniej Wioski, matka ma poślubić Bliznowate Oko ze Wschodniej Wioski. Z ciężkim sercem porzucamy ciało z naszego ciała i krew z naszej krwi, ojciec pociąga nosem, matka zalewa się łzami, ale nie śmiemy głośno płakać, bojąc się, że ktoś nas usłyszy. O Lu Xi, Przydrożna Radości, tego domu będziesz synem, który cię przyjmie. W jeden *zhang* jedwabiu cię owijamy, dwadzieścia srebrnych dolarów przy tobie składamy. Ludzie o miękkich sercach, wy, co tędy chodzicie, swoim dobrym uczynkiem ocalcie mu życie”. Ludzie mówili, że Qian'er zabrała jedwab i pieniądze, a małego chłopczyka rzuciła daleko w zboże i dlatego Niebiosa zesłały na nią piorun. Qian'er była zaufaną przyjaciółką babki i babka oczywiście nie uwierzyła w ani jedno słowo z tych plotek, ale ilekroć rozmyślała o życiu i zmiennych kolejach losu, w jej sercu nieodmiennie gościł smutek i nieutulony żal.

Ziemia wciąż była wilgotna po ulewie, a smagana strumieniami deszczu droga pełna wybojów, każde zagłębienie pokrywała warstwa miękkiego oleistego błota. Osiołek znowu zostawiał na ziemi odciski kopyt. Kwitnące wszędzie chabry nieco już przywiedły, ich płatki i liście były upstrzone plamkami błota tryskającego spod ciężkich kropel deszczu. Ukryte wśród źdźbeł dzikich traw i liści sorga świerszcze smutno ćwierkały, wibrując nitkowatymi czułkami i tracąc przezroczytymi skrzydełkami. Długie lato miało się już ku końcowi, w powietrzu czuło się ciężki zapach jesieni; zwabione nim stada szarańcz, ciągnąc po ziemi wypchane ziarnem brzuchy, zaczęły wypełzać

---

<sup>\*</sup> „Kijankowe pismo” (*kegouwen*) – jedna ze starożytnych form pisma chińskiego, zwanego tak z powodu podobieństwa do pływających w wodzie kijanek.

spośród zboża na drogę, gdzie przebijały końcami odwłoków twardą powierzchnię gruntu i składały jaja.

Pradziadek ułamał łodygę sorga i chlasnął leniwego osiołka w zadek. Zwierzak podkulił ogon i przedreptał żwawiej kilka kroków, po czym znowu wrócił do swojego niespiesznego tempa. Pradziadek musiał być bardzo zadowolony z siebie – maszerując za osłem, nucił melodię z popularnej w Północno-Wschodnim Gaomi opery i wymyślał do niej własne słowa: „Wu Dalang truciznę wypił i ogromnie się zasmucił... Dostał drgawek siedmiu jelit i ośmiu oskrzeli... Pięknej kobiety z brzydalem zameście wielkie zwiastuje nieszczęście... Aa, ajajaj! Nasz Wu z bólu brzucha zdycha, czeka brata, aż w dom wróci, niech mordercę o łeb skróci... .

Pradziadek wyśpiewywał swoje bzdury, a serce babki biło coraz mocniej z podeksycytowania, wprawiając całe jej ciało w drżenie. Obraz młodego mężczyzny sprzed trzech dni, z gniewną miną i z krótkim mieczem w dłoni, pojawił się nagle w jej myślach. Kim był? Co zamierzał? Babka poczuła, że chociaż ten mężny człowiek był jej całkowicie obcy, ich losy były już nierozdzielnie związane. Ich spotkanie trwało tak krótko i tak nagle się skończyło, niby we śnie, lecz nie we śnie, niby na jawie, lecz nie na jawie – w duszy babki panował zamęt, wydawało się to tak nierealne, niczym spotkanie z duchami. Wszystko w rękach Niebios – pomyślała babka, wzdychając głęboko.

Puściła lejce, pozwalając osiołkowi iść swobodnie, i słuchała przerobionej przez pradiadka arii o losach Wu Dalanga. Ani się obejrżeli, gdy dotarli do Żabiej Doliny. Osiołek to spuszczał, to podnosił łeb, zaciskając nozdrza, po czym zaparł się wszystkimi czterema kopytami i za nic nie chciał iść dalej. Pradziadek smagał go łodygą to w zadek, to w tylne nogi: „Rusz się, bękarcie! No, dalej, ośli pomiecie, ty!”. Sorgowa witka waliła w ośłą skórę, lecz zwierzę nie tylko nie zrobiło ani kroku naprzód, ale wręcz się cofnęło. W tym momencie babka poczuła wstrętny odór, który zmroził jej krew w żyłach. Zeskoczyła z grzbietu osła, zakryła nos rękawem i pociągnęła za lejce. Osiołek podniósł łeb i zacisnął wargi, jego ślepie wypełniły się łzami.

– Ośle, ośle, zaciśnij zęby i ruszaj. Nie ma nieprzebytych gór ani rzek, przez które nie da się przepawić!

Pobudzony słowami babki osioł zaryczał, podniósł łeb i zerwał się do biegu, ciągnąc ją za sobą tak szybko, że stopami ledwie dotykała ziemi, a jej ubranie trzepotało i kotłowało się na wietrze niczym czerwona chmura. Kiedy mijali trupa bandyty, babka spojrzała w tę stronę i jej oczom ukazał się wstrętny widok: miliony tłustych robaków pozostawiły z ciała mężczyzny tylko nędzne resztki.

Gdy udało się jej przeprowadzić osła przez Żabią Dolinę, dosiadła go znowu. Po pewnym czasie poczuła przywiewaną z północnego wschodu woń sorgowej wódki. Przez cały czas zbierała odwagę – teraz jednak, gdy akcja zbliżała się do kulminacyjnego punktu, była przerażona. Słońce stało wysoko na niebie, nad przypiekaną ziemią unosiła się biała para, lecz po plecach babki przebiegały zimne dreszcze. Do wioski, w której mieszkała rodzina Shanów, było jeszcze daleko, ale otoczona gęstniejącą wonią alkoholu babka miała wrażenie, że szpik zamarzył jej w kościach. Wtem od strony zboża po zachodniej stronie drogi odezwał się szorstki męski głos. Mężczyzna śpiewał:

*Hej, hej, młodsza siostró, śmiało naprzód idź,  
Szczęki mocne jak żelazo,  
Kości twarde jak ze stali.  
Droga do niebios ma dziewięć tysięcy mil  
I jeszcze dziewięćset i dziewięćdziesiąt dziewięć.  
Hej, hej, młodsza siostró, śmiało naprzód idź,  
Z wielkiej, haftowanej wieży  
Piłką pięknie haftowaną  
Ciśnij prosto w moją głowę,  
Wódkę z sorga czerwonego będziesz ze mną pić!*

– Hej ty, śpiewaku operowy! – zawołał pradziadek w stronę pola. – Wylaż no! Co to znowu za fałszywa, diabelska melodyjka?

### 3

Mój ojciec dokończył jeść „oburęczny placek”, stojąc w zeschniętej trawie, zabarwionej przez zachodzące słońce na krwistoczerwony kolor, po czym zszedł zboczem wału i znowu znalazł się na porośniętym obficie nadwodną roślinnością miękkim piaszczystym brzegu, i ostrożnie zbliżył się do wody. Cztery ciężarówki nadal sterczały na kamiennym moście. Pierwsza, z podziurawionymi na zębach oponami, miała poręcze i zderzaki obficie poplamione krwią i zielonkawym mózgiem. Z jednej poręczy zwisała górna połowa ciała japońskiego żołnierza, na jego szyi kołysał się przekreślony wewnątrz do góry hełm, z czubka nosa kapłała do środka czarna krew. Woda w rzece szlochała z żalu. Sorgo dojrzewało, skwiercząc. Drobne falki na powierzchni wody rozbijały ciężkie, leniwe promienie słońca na drobne odłamki. Jesienne owady, schowane w mokrym błocie wśród korzeni nadwodnego zielska, żałośnie poćwierkiwały. Spalone, czarne wraki trzeciej i czwartej ciężarówki rozpadały się z jękiem. Mój ojciec przyglądał się uważnie



rym obrazom i przysłuchiwał kakofonii dźwięków. Wyraźnie słyszał i widział krew, która kapłała z nosa japońskiego żołnierza z odgłosem podobnym do tego, jaki wydaje kamienna kołatka, wzbudzając na powierzchni kolejne rozchodzące się fale. Ojciec miał wtedy trochę ponad czternaście lat. Był rok 1939, dziewiąty dzień ósmego miesiąca tradycyjnego kalendarza. Dogasający żar słoneczny zabarwiał świat na czerwono; twarz mojego ojca, która po całym dniu zażartej bitwy stała się jeszcze mizerniejsza, pokrywała warstwa czerwonego błota. Przykucnął nad rzeką, wyżej niż ciało żony Wanga Wenyi, i nabrał wody w złożone dłonie – gęsty, lepki płyn przeciekał mu swobodnie pomiędzy palcami i kapał bezgłośnie na ziemię. Jego popękane, spierzchnięte, obrzmiałe wargi bolały w zetknięciu z wodą. Kiedy rybi smak krwi przesączył mu się między zębami i spłynął do przełyku, poczuł, że gardło ma zdrętwiałe i sztywne, lecz po kilku czknięciach wszystko wróciło do normalnego stanu. Ciepława woda Rzeki Czarnej Wody nareszcie zwilżyła wyschnięte gardło ojca, sprawiając mu bolesną radość, i chociaż smak krwi przyprawiał go o mdłości, pił dalej. Skończył pić dopiero, gdy woda dobrze nasaczyła wyschnięty, połamany „obureczny placek” w jego żołądku. Wtedy wyprostował się i zrobił głęboki wdech. Ponad wszelką wątpliwość zapadał zmierzch: z tarczy słonecznej pozostała tylko jaskrawoczerwona krawędź na skraju rozległej kopuły nieba. Woń spalenizny rozsiewana przez trzecią i czwartą ciężarówkę osłabła. Nagle rozległ się huk – ojciec drgnął, podniósł głowę i zobaczył strzępki rozsadzonych wybuchem opon opadające na wodę niczym czarne motyle oraz białe i czarne ziarenka ryżu, które wystrzeliwszy w górę, sypały się na płaską jak stół powierzchnię rzeki. Kiedy ojciec się odwracał, jego spojrzenie padło na drobne zwłoki żony Wanga Wenyi, leżące na samym brzegu i zabarwiające wodę krwią. Wspiął się z powrotem na wał i zawołał głośno:

– Tato!

Dziadek stał na szczycie wału – jego twarz w ciągu tego dnia zużyła się do cna, pozostały jedynie kości, wyraźnie widoczne pod spieczoną skórą. Ojciec zobaczył, że w zielonkawym blasku zmierzchu ostrzyżone na długość cała włosy dziadka wyraźnie zbielały. Zrozpaczony i przerażony, zbliżył się nieśmiało i szturchnął go delikatnie.

– Tato! Tato! Co ci się stało?

Łzy płynęły dwoma strumieniami po policzkach dziadka, z jego gardła wydobywało się zduszone łkanie. Pozostawiony łaskawie przez kapitana Lenga japoński karabin maszynowy leżał u jego stóp niczym stary wilk; lufa przypominała szeroko otwartą paszczę, gotową, by zawyc.

– Tato, powiedz coś. Tato, zjedz placek, a potem idź napij się wody, bez jedzenia i picia umrzesz z głodu i pragnienia!

Szyja dziadka zgięła się, głowa opadła na pierś. Wyglądał tak, jakby jego ciało nie było w stanie utrzymać ciężaru głowy i z wolna stawało się coraz mniejsze i niższe. Dziadek ukląkł na szczycie wału i objął głowę rękoma. Przez chwilę szlochał, po czym nagle podniósł głowę i głośno zakrzyknął:

– Douguan! Mój synu! To już koniec?

Ojciec patrzył na dziadka z lękiem. W lśniących jak brylanty źrenicach jego szeroko otwartych oczu pojawił się blask bohaterskiego, nieposkromionego ducha babki i niczym promień nadziei w królestwie mroku rozświetlił serce mojego dziadka.

– Tato – powiedział ojciec – nie smuć się, będę ćwiczył strzelanie, tak jak ty w zeszłym roku strzelałeś do ryb w stawie, a kiedy już nauczę się techniki „siedmiopłatkowego kwiatu śliwy”, znajdziemy Ospowatego Lenga, tego suczego syna, ten żółwi pomiot – i policzymy się z nim!

Dziadek skoczył na równe nogi i krzyknął trzy razy – przypominało to trochę rozpaczliwy płacz, trochę szalony śmiech. Z kącika ust popłynął mu strumyczek ciemno purpurowej krwi.

– Dobrze powiedziane, synku! Dobrze powiedziane!

Dziadek podniósł z czarnej ziemi „oburęczny placek” zrobiony rękoma mojej babki i odgryzł spory kęs; skrawki ciasta i krwiste bąbelki osiadły na jego żółtych zębach. Wtem ojciec usłyszał krztuszenie się i zauważył, że przelykiem dziadka pełzną w dół ostre, wystające krawędzie placka.

– Tato, idź do rzeki i napij się wody, żeby namoczyć placki w brzuchu – powiedział ojciec.

Dziadek zszedł chwiejnym krokiem z wału, ukląkł w zaroślach, wyciągnął długą szyję i jał chleptać niczym juczne zwierzę. Ugasiwszy pragnienie, rozstawił szerzej ręce, którymi się podpierał, i zanurzył w wodzie całą głowę aż po szyję. Woda w zetknięciu z przeszkodą układała się w podobne do wielobarwnych kwiatów fale. Trzymał głowę pod powierzchnią tyle czasu, ile zajmuje wypalenie połowy kapciucha tytoniu. Ojciec zaczynał się już o niego niepokoić, a dziadek klęczał dalej – przypominał gigantyczną żabę z brązu. W końcu wyciągnął z wody kompletnie mokrą głowę, głośno nabrał powietrza i wstał. Następnie wspiął się na wał i stanął twarzą w twarz ze swoim synem. Ojciec patrzył na krople wody staczające się po jego skórze. Dziadek potrząsnął głową i stracił z niej czterdzieści dziewięć kropel – dużych i małych – które rozsypały się w powietrzu jak perły.

– Douguan – powiedział dziadek – chodź z tatą, pójdziemy zobaczyć naszych braci!

Dziadek ruszył chwiejnie przez zboże po zachodniej stronie drogi, ojciec szedł tuż za nim. Stąpali po połamanym i zgniecionym sorgu i łuskach z karabinu, lśniących słabym, żółtawym blaskiem; od czasu do czasu schylali się i patrzyli na leżące tu i ówdzie ciała poległych towarzyszy z twarzami wykrzywionymi agonią. Dziadek i ojciec poszturchiwali ich, w nadziei, że któryś żyje, ale na próżno. Wszyscy byli martwi. Dłonie ojca i dziadka wkrótce pokryły się lepłą krwią. Najdalej na zachód ojciec dostrzegł dwóch żołnierzy – pierwszy miał lufę karabinu w ustach, kark i tył głowy roztrzaskane na miazgę niczym przegniłe gniazdo os, drugi leżał skurczony, z bagnetem wystającym z piersi. Kiedy dziadek odwrócił ciała, okazało się, że mieli połamane nogi i zmiażdżone podbrzusza. Dziadek westchnął, wyrwał karabin z ust pierwszego żołnierza i wyciągnął ostrze z piersi drugiego.

Ojciec i dziadek przekroczyli oświetloną szarawym blaskiem zmierzchu drogę. Weszli na wschodnie pole, także spustoszone ogniem karabinu maszynowego, wypatrując ciał pozostałych towarzyszy. Trębacz Liu wciąż klęczał, trzymając oburącz swoją trąbkę, zupełnie jakby grał.

– Trębacz Liu! – zawołał podekscytowany dziadek.

Trębacz milczał.

– Wujku! – Ojciec popchnął Liu, trąbka upadła na ziemię. Schyliwszy się, dostrzegł, że twarz trębacza zastygła już na kamień.

W odległości parudziesięciu kroków od wału, gdzie zboże było nieco mniej zniszczone, ojciec i dziadek znaleźli Fanga Siódmego z rozplatanym brzuchem oraz drugiego żołnierza, zwanego Gruzłikiem Czwartym (był czwartym synem w rodzinie i w dzieciństwie zaraził się gruźlicą), z przestrzelonym udem, który zemdlał z upływu krwi. Dziadek zbliżył zakrwawioną dłoń do jego ust i poczuł wydobywający się z jego nosa rozpalony, suchy oddech. Wnętrza Fanga Siódmego najwidoczniej zostały włożone z powrotem do brzucha, a ranę zatkało liśćmi sorga. Był przytomny. Na widok dziadka i ojca z wysiłkiem rzekł drżącymi wargami:

– Panie komendancie... Koniec ze mną... Jeśli spotka pan moją żonę... niech pan da jej trochę pieniędzy... żeby nie wyszła znowu za męża... Mój brat nie ma synów... jeśli ona odejdzie... ród Fang zginie...

Ojciec wiedział, że Fang Siódmy miał ponadrocznego synka, że jego żona, kobieta o piersiach wielkich jak tykwy i pełnych mleka, wykarmiła dorodne i piękne dziecko.

– Zaniosę cię do domu, bracie – powiedział dziadek, ukucnął i trzymając Fanga Siódmego za ręce, zarzucił go sobie na plecy. Fang krzyknął boleśnie, a ojciec zobaczył, że kłęb liści zatykających jego brzuch wypadł na ziemię i zwój

białych kieszek wysliznał się z rany; owiał go podmuch cuchnącego powietrza. Dziadek położył Fanga z powrotem na ziemi. Fang wyjęczał:

– Starszy bracie... miej litość... nie męcz mnie już... zastrzel... Dziadek padł na kolana, chwycił Fanga Siódmego za rękę i powiedział:

– Braciszku, zaniosę cię do Zhanga Xinyi, do doktora Zhanga, on potrafi leczyć rany.

– Starszy bracie... pospiesz się... skróć moje cierpienie... nic już ze mnie nie będzie...

Dziadek zmrużonymi oczyma popatrzył w sierpniowe wieczorne niebo, czyste, nieskończone, wysadzone dziesiątkami jasno świecących gwiazd, i zawył przeciągle.

– Douguan, masz jeszcze naboje w tym pistolecie? – spytał.

– Mam – odparł ojciec.

Dziadek przyjął od ojca broń, odbezpieczył ją, spojrział jeszcze raz w niebo i przeładował.

– Bracie Siódmy, bądź spokojny. Póki Yu Zhan'ao ma co jeść, twoja żona i syn nigdy nie będą głodni – obiecał.

Fang Siódmy skinał głową i zamknął oczy. Dziadek uniósł pistolet z wysiłkiem, jakby dźwigał wielki głaz, drząc na całym ciele. Fang Siódmy otworzył oczy.

– Starszy bracie...

Dziadek odwrócił twarz, z lufy pistoletu wybuchł płomień, oświetlając połyskujące szmaragdowo włosy Fanga Siódmego. Klęczący mężczyzna upadł przed siebie, na własne wnętrzności. Ojcu trudno było uwierzyć, że w jednym brzuchu mogło zmieścić się tyle kieszek.

– Hej, Gruźliku Czwarty, ty też powinienes ruszyć w drogę na tamten świat. Im szybciej umrzesz, tym szybciej się odrodzisz i będziesz mógł się policzyć z tymi japońskimi skurwysynami! – rzekł dziadek i wbił ostatnią kulę w serce rannego, którego życie i tak wisiało już na włosku.

Dla dziadka zabijanie ludzi nie było niczym nadzwyczajnym, jednak po zastrzeleniu Gruźlika Czwartego broń wysliznęła mu się z dłoni, a ramię zwisło ciężko niczym martwy wąż, jakby miało się już więcej nie podnieść.

Ojciec schylił się, podniósł pistolet, wetknął go za pas i zaczął szarpać dziadka, który stał jak otępiały albo pijany.

– Tato, chodźmy już do domu, tato, chodźmy do domu...

– Chodźmy do domu? Do domu? Do domu! Chodźmy do domu... – odparł dziadek.

Ciągnąc dziadka za rękę, ojciec wspiał się na wał i obaj ruszyli niepewnym krokiem na zachód. Na niebie wisiał już rosnący półksiężyc dziewiątego dnia ósmego miesiąca, lodowate promienie padały na plecy ich obu i rozświetlały wielką, ociążałą, niezdarną niczym chiński naród Rzekę Czarnej Wody. W wodzie uwijały się pobudzone zapachem krwi białe węgorze, pod powierzchnią tańczyły srebrne błyski. Chłodny, niebieskawy powiew z nad rzeki mieszał się z czerwonym ciepłem wydzielanym przez pole sorga, tworząc lekką, przejrzystą mgiełkę. Ojcu przypomniła się gęsta, sprężysta jak guma mgła, która towarzyszyła im, gdy wyruszali o świcie – dzień był długi, wydawało się, że od rana minęło dziesięć lat, a jednocześnie tak krótki jak mrugnięcie okiem. Ojcu przypomniło się czekanie z babką w tej wszechogarniającej mgle u wejścia do wioski – był to widok tak odległy, jak daleki horyzont, a jednocześnie miał go tuż przed oczyma. Pamiętał trudy marszu przez pole i zabłąkaną kulę, która raniła Wanga Wenyi w ucho, i pięćdziesięciu kilku żołnierzy, którzy niczym garść kozich bobków wyszli na drogę i ruszyli w stronę mostu. Był też ostry nóż Niemowy, jego złe spojrzenie, głowa Japończyka szybująca w powietrzu, chudy zadek japońskiego oficera... matka wbiegająca na szczyt wału niczym szybujący feniks... „oburęczne placki”... placki toczące się po ziemi... padające na ziemię żdźbła czerwonego sorga... Czerwone sorgo, jak pokonani bohaterowie...

Ojciec zasypiał na stojąco, więc dziadek wziął go na plecy, obejmując jego nogi pod kolanami jednym zdrowym i jednym zranionym ramieniem. Pistolet zwisający ojcu u pasa obijał się o plecy dziadka, przeszywając jego serce przenikliwym bólem. Wcześniej należał do ciemnowłosego, smukłego, przystojnego i wykształconego adiutanta Rena. Dziadek rozmyślał o tej broni, z której strzały zabiły najpierw adiutanta, potem Fanga Siódmego i Gruźlika Czwartego – najchętniej wyrzuciłby ten złowróżbny przedmiot do Rzeki Czarnej Wody. Poprzestał jednak na chęci. Schylił się i przesunął śpiącego ojca wyżej, także po to, by zmniejszyć kłujący ból w klatce piersiowej.

Kiedy tak szedł, nie czuł już wcale, co dzieje się z jego nogami – kierowała nim tylko mocna wola, by posuwać się naprzód, przedzierać się przez twarde masy powietrza. W tym stanie otępienia usłyszał jakiś zgiełk, dobiegający falami od strony, w którą zmierzał. Podniósł głowę i zobaczył na odległym wale wijącego się ognistego smoka. Gdy starał się skupić na nim wzrok, jego oczy to wyostrzały obraz, to traciły ostrość widzenia. W chwilach gdy widok był zamglony, widział wyszczerzone zęby i pazury smoka, dosiadającego chmur i żeglującego we mgle, złote łuski sypały się na ziemię, gdy smok się otrząsał; wiatr wył, chmury rżały, huczały grzmoty i błyskawice, tysiące dźwięków zlewały się w jedno i niczym potężny wichur omiatały uległą ziemię. Gdy zaś

obraz się wyostrzał, dziadek dostrzegał dziewięćdziesiąt pochodni, które otaczały tłum biegnących ku niemu kilku setek ludzi. Tańczące płomienie oświetlały sorgo na południowym i północnym brzegu rzeki. Pochodnie z przodu świeciły na ludzi z tyłu, te z tyłu oświetlały podążających na przodzie. Dziadek zdjął ojca z pleców i mocno nim potrząsał.

– Douguan! Douguan! – pokrzykiwał. – Obudź się, obudź! Ludzie z naszej wioski przyszli po nas, ludzie z wioski!

Ojciec usłyszał chrypkę w głosie dziadka i zobaczył, jak dwie spore łzy skapują mu na policzki.

## 4

Kiedy dziadek zamordował Shana Tingxiu i jego syna, miał dwadzieścia cztery lata. Choć między nim a babką odbyło się już „harmonijne zjednoczenie feniksów” na sorgowym polu – i podczas tego uroczystego, na poły bolesnego, na poły radosnego aktu babka poczęła mojego ojca, którego życie było mieszaniną szlachetnych czynów i niegodziwości, co sprawiło, że stał się wybitną osobistością swojego pokolenia w Północno-Wschodnim Gaomi – to jednak babka wciąż pozostawała oficjalną synową rodziny Shan. Ich romans był nielegalny, a zarazem swobodny, spontaniczny i burzliwy. Ponieważ zaś ojciec wówczas jeszcze się nie narodził, w opisie wydarzeń z tego okresu, mówiąc o nim, wolę używać nazwiska Yu Zhan’ao.

Kiedy więc babka w rozpacz wyznała Yu Zhan’ao, że jej legalny małżonek Shan Bianlang choruje na trąd, ten ściął dwa źdźbła sorga ostrzem swego krótkiego miecza. Następnie poradził babce, by przestała się martwić, i kazał jej wrócić za trzy dni. Babka nie szukała w jego słowach ukrytego znaczenia, ponieważ jej umysł zalewały jeszcze fale namiętności. Morderczy zamiar jednak kiełkował w sercu Yu Zhan’ao już wtedy. Odprowadził ją wzrokiem – gdy doszła do drogi, przez szczeliny pomiędzy źdźbłami udało mu się dojrzeć, jak przywołuje swojego bystrego osiołka i trąca stopą pradziadka, leżącego w pijanym zamroczeniu na ziemi niczym kupa błota. Usłyszał, jak mężczyzna bełkocze zeszywniałym językiem:

– Córeczko... Poszłaś siusiu i tak długo cię nie było? Twój teść... da mi wielkiego czarnego muła...

Babka, nie zważając na jego gadanie, przerzuciła nogę przez grzbiet osiołka i odwróciła owiewaną wiosennym wiatrem zaróżowioną twarz ku polom sorga po południowej stronie drogi. Wiedziała, że młody tragarz lektyk wciąż ją obserwuje. Kiedy walczyła z rozsadzającym jej ciało, zatrważającym pobudzeniem, stanął jej przed oczyma niewyraźny obraz całkowicie nowej, nie-

znanej, szerokiej drogi, obsypanej podobnymi do rubinów ziarnami czerwonego sorga, wzdłuż której po obu stronach ciągnęły się rowy wypełnione przejrzystym jak powietrze alkoholem. Wokół drogi, jak zawsze, rozciągały się rozległe, równe połacie – prawdziwe zboże łączyło się w umyśle babki z tym wyobrażonym i trudno jej było odróżnić wizję od rzeczywistości. Z głową wypełnioną stworzonym przez siebie wyobrażeniem i namacalną rzeczywistością jednocześnie, raz widząc świat wyraźnie, raz jak przez mgłę, małymi kroczkami powoli się oddalała.

Yu Zhan'ao, odgarnawszy zboże ręką, patrzył, jak babka wchodzi w zakręt. Czując falę zmęczenia, przedarł się z powrotem ku ukrytemu wśród zbóż ołtarzowi, runął na ziemię jak zburzony mur i zapadł w głęboki sen. Spał aż do chwili, gdy czerwone słońce zaczęło chylić się ku zachodowi. Kiedy otworzył oczy, zobaczył najpierw liście, łodygi i kłosa sorga, tworzące wokół niego gruby, purpurowy dywan. Zarzucił pelerynę i wyszedł z gąszczu; wiejący na drodze wietrzyk szumiał w zbożu. Poczul chłód, owinał się więc ciasno peleryną. Nieświadomie dotykając ręką brzucha, uświadomił sobie, że dręczy go straszny głód. Niejasno przypominał sobie trzy kryte strzechą chaty stojące przy wejściu do wioski, do której trzy dni wcześniej zaniósł w lektyce tę kobietę – pod okapem jednej z nich kołysał się na wietrze i deszczu podarty płócienny szyld ze znakiem gospody. Ponieważ z głodu nie mógł już usiedzieć spokojnie, a stojąc, ledwie trzymał się na nogach, zebrał się na odwagę, wyszedł spomiędzy zbóż i ruszył wielkimi krokami w tamtą stronę. Przypuszczał, że skoro pracował dla Przedsiębiorstwa Ślubno-Pogrzebowego w Północno-Wschodnim Gaomi nie dłużej niż dwa lata, ludzie z tych stron go nie rozpoznają. Zamierzał więc pójść do gospody, najeść się i napić, poczekać na dobry moment i zrobić to, co należało, a potem czym prędzej się oddalić – zanurkować w zboże niczym ryba w morzu i odpłynąć swobodnie w dal. Po tych rozważaniach skierował się na zachód, ku nabrzmiewającym na tle zachodzącego słońca kłębowi ciemnych chmur, podobnych do gigantycznej rozkwitającej peonii, obramowanej oslepiającą, budzącą lęk złotą poświatą. Po pewnym czasie skręcił na północ, prosto do wioski, w której mieszkał oficjalny małżonek babki, Shan Bianlang. Wśród bezludnych pól panowała cisza i spokój. W owych czasach każdy rolnik, który miał w domu co jeść, nie zabawiał w tym miejscu do późna – po zmroku okolica zamieniała się w siedlisko różnej maści rzezimieszków. Yu Zhan'ao miał szczęście, że nie napotkał żadnego „zucha z pól pól i lasów”, który mógłby mu zagrozić.

W wiosce kominy już dymiły. Drogą szedł przystojny młody mężczyzna dźwigający wodę ze studni, woda chlapała na boki z dwóch kołyszących się wiader. Yu Zhan'ao odszukał drzwi ze znakiem gospody i wśliznął się do środka. W pomieszczeniu, przedzielonym na pół barem z niewypalonych cegieł, w jednej części, za barem, był duży kang, piec i wielki kocioł, w drugiej

dwa krzywe, odrapane stoły „ośmiu nieśmiertelnych” i kilka byle jak ustawionych wąskich drewnianych ław. Na barze stał pokryty niebieskawym szkliwem dzban na wódkę, z wrąbka zwisała chochła. Na kangu leżał gruby staruch. Yu Zhan’ao rozpoznał go od razu – nazywano go Koreańcem, a trudnił się zarzynaniem psów. Pewnego razu na targu w wiosce Końska Gospoda widział, jak zarzyna psa w pół minuty. Tamtejsze psy, których były setki, na jego widok warczały i stroszyły kudły, bojąc się zbliżyć choćby o krok.

– Hej, barmanie, wódki! – zażądał Yu Zhan’ao i usadowił się na ławie.

Starzec nawet nie drgnął, tylko przewrócił szarymi oczami.

– Barmanie! – zawołał Yu Zhan’ao.

Gospodarz odgarnął psią skórę – leżał na białej, a przykrywał się czarną – i zwlókł się z kangu. Yu Zhan’ao zauważył wiszące na ścianie jeszcze trzy skóry: zielonkawą, niebieskawą i łaciątą.

Gruby starzec wyciągnął ciemnoczerwoną czarękę z wnęki w barze i wziął chochlę, zanurzył ją w alkoholu i nalał do czarki.

– Co tam macie na zakąskę? – spytał Yu Zhan’ao.

– Psi łeb! – odparł ze złością staruch.

– Chcę psiego mięsa! – zażądał.

– Mam tylko łeb!

– No to niech będzie łeb!

Staruch zdjął pokrywę z kotła, Yu Zhan’ao dojrzał w środku gotującego się całego psa.

– Chciałem psiego mięsa! – upierał się Yu Zhan’ao.

Staruch nie zwrócił na niego uwagi. Wziął tasak i zaczął odcinać psią głowę, rozchlapując na wszystkie strony gorący rosół. Odrąbawszy łeb, wbił go na żelazny szpikulec i podał gościowi przez bar. Yu Zhan’ao, który był już mocno rozwścieczony, warknął:

– Powiedziałem, że chcę psiego mięsa!

Barman cisnął psim łebem o bar i odparł gniewnie:

– Jesz albo nie jesz! A jak nie jesz, to zjeżdżaj!

– Jak śmiesz?

– Siedź spokojnie, chłopczyku! – rzucił stary. – Myślisz, że zasługujesz na psie mięso? Psina jest dla Plamistej Szyi!



Plamista Szyja był słynnym na całe Północno-Wschodnie Gaomi hersztem zbójów – Yu Zhan’ao drgnął na sam dźwięk tego przezwiska. Człowiek ów słyszał z tego, że wyjątkowo celnie strzela – nazywano go Trzykroć Kiwającym Głową Feniksem. Koledzy po fachu rozpoznawali go po dźwięku strzałów. Yu Zhan’ao czuł się urażony, zmusił się jednak, by trzymać język za zębami. Jedną ręką podniósł czarę z wódką, drugą sięgnął po psi łeb. Wypiwszy łyk, spojrzał w ugotowane, lecz wciąż groźne psie ślepia, ze złością otworzył usta i odgryzł kawał psiego nosa, który okazał się niezwykle smaczny. Ponieważ był głodny, nie bawił się w długie smakowanie, lecz czym prędzej połknął psie ślepia, wyssał psi mózg, zżuł psi język, pogryzł psie policzki i wychylił do dna czarę wódki. Na koniec popatrzył na ogryzioną chudą czaszkę, wstał i głośno beknął.

– Jeden srebrny dolar – zażądał staruch.

– Mam tylko siedem miedziaków – odparł Yu Zhan’ao, rzucając monety na stół.

– Jeden srebrny dolar!

– Mam tylko siedem miedziaków, ani grosza więcej!

– Przyszedłeś tu się nażreć za darmo, chłopczyku?

– Mam tylko siedem miedziaków! – powtórzył Yu Zhan’ao, wstał i skierował się do wyjścia, lecz starzec wybiegł zza baru i złapał go. Kiedy się szarpali, do gospody wmaszerował jakiś postawny mężczyzna.

– Hej, Koreańcu, czemu lampa się jeszcze nie pali? – spytał.

– Mam tu darmozjada! – odparł Koreaniec.

– To oderżnij mu jęzor! I zapal lampę! – odrzekł ponuro osilek.

Staruch puścił Yu Zhan’ao i wszedł za bar, skrzesał ogień i zapalił lampkę na olej sojowy. Drżący blask padł na ciemną twarz przybysza. Yu Zhan’ao zobaczył, że jest od stóp do głów odziany w czarny jedwab: kurtkę zapinaną na rząd guzików i spodnie o szerokich nogawkach związanych u dołu taśmami z czarnego płótna. Na nogach miał czarne płócienne buty z wygiętymi w górę czubkami. Na jego długiej, grubej szyi widniała biała plama wielkości pięści – Yu Zhan’ao domyślił się, że ma do czynienia z Plamista Szyją.

Plamista Szyja zmierzył go wzrokiem, po czym nagle wyciągnął lewą rękę i przyłożył mu trzy palce do czoła. Yu Zhan’ao patrzył na niego zdumiony. Plamista Szyja pokręcił głową z dezaprobatą.

– Nie należysz do bandy?

– Jestem tragarzem lektyk – odparł Yu Zhan’ao.

– A więc zarabiasz na życie za pomocą drewnianego pręta – skonstatował pogardliwie Plamista Szyja. – Co, nie chciałbyś ze mną pojeść „oburecznych placków”?

– Nie – odparł Yu Zhan’ao.

– No to zjeżdżaj stąd. Młody jesteś, to zostawię ci ten twój jezor, żebyś mógł się całować z dziewczynami! Zmywaj się, tylko nie gadaj za dużo!

Yu Zhan’ao wycofał się z gospody, nie wiedząc, czy jest bardziej przerażony, czy wściekły. Chociaż miał pewne cechy, które powinien posiadać bandyta, do bycia prawdziwym bandytą jednak co nieco mu brakowało. Powodów, dla których ociągał się z wstąpieniem w szeregi mieszkańców zielonych lasów, było wiele. Ogólnie rzecz ujmując, można wymienić trzy najważniejsze. Po pierwsze, kultura i hamulce moralne: Yu Zhan’ao sądził, że bandytyzm i rozbój są przeciwne porządkowi rzeczy. Żywił też zabobonny szacunek dla władzy i nie stracił do końca wiary w „legalne” sposoby zdobywania majątku i kobiet. Po drugie, jak dotąd nie znalazł się nigdy w sytuacji, która zmusiłaby go do buntu – z trudem, ale jakoś sobie w życiu radził i nie był taki całkiem do niczego. Po trzecie, jego poglądy na życie wciąż jeszcze były w fazie dojrzewania – jego wiedza o życiu i społeczeństwie nie osiągnęła właściwego bandytom poziomu, który umożliwia odrzucenie wszelkich norm społecznych. Wprawdzie sześć dni temu w zajadłej bójce, w której zabił rabusia, kandydata na bandytę, wykazał się odwagą i sprytem, kierował się jednak wówczas głównie poczuciem sprawiedliwości i współczuciem – prawdziwego ducha i smaku bandytyzmu prawie w tym nie było. Kiedy trzy dni wcześniej porwał moją babkę i zaniósł w głąb sorgowego pola, było to raczej wyrazem zachwyty kobiecym pięknem i nie miało wiele wspólnego z postępowaniem bandyty. Północno-Wschodnie Gaomi było kolebką wszelkiego autoramentu złoczyńców – grupa ta była dość zróżnicowana. Mam ambitny zamiar stworzyć zbiór opowieści o gaomijskich bandytach i co nieco już w tej sprawie uczyniłem – to wprawdzie na razie tylko przechwałki, ale skoro mam okazję zrobić na kimś wrażenie – to czemu nie?

Sposób bycia Plamistej Szyi co prawda budził w Yu Zhan’ao pewien podziw, ale jednocześnie go odstręczał.

Yu Zhan’ao pochodził z biednej rodziny, wcześniej stracił ojca. Żyli z uprawy trzech *mu*\* niezbyt urodzajnej ziemi. Jego wuj, Yu Wielki Ząb, który trudnił się handlem mułami i końmi, wspierał niekiedy siostrzeńca i jego matkę, lecz wielkość tej pomocy była ograniczona. Kiedy Zhan’ao miał trzynaście lat, jego matka zaczęła romansować z mnichem ze świątyni Tianqi. Mnichowi dobrze się powodziło i często przynosił im ryż lub makaron. Zawsze

---

\* Mu – 0,0667 ha.

gdy się zjawiał, matka wyganiała Yu Zhan'ao na podwórko i zamykała drzwi. Gdy chłopak słyszał dobiegające ze środka odgłosy radosnych swawoli, w jego sercu szalał ogień gniewu i ledwie się powstrzymywał, by nie podpalić domu.

Kiedy miał szesnaście lat, kochankowie widywali się bardzo często i wieś huczała od plotek. Jego przyjaciel Mały Cheng Kowal podarował mu krótki miecz i pewnej wiosennej deszczowej nocy tym właśnie mieczem Yu Zhan'ao zadźgał mnicha na brzegu Strumienia Kwiatu Gruszy. Brzegi owego strumyka porastały grusze – noc zabójstwa mnicha przypadała na czas ich kwitnienia i wilgotne powietrze było przesycone delikatną wonią. Potem Yu Zhan'ao uciekł z wioski, imał się najróżniejszych zajęć, a w końcu został zapalonym hazardzistą. Jego umiejętności z dnia na dzień rosły i wkrótce miedziane monety zabarwiły jego dłonie na zielono. Kiedy powiatem Gaomi zaczął rządzić Cao Mengjiu, niezmordowany tępicieł hazardzistów, Yu Zhan'ao złapano na cmentarzu, wlepiono mu dwieście uderzeń podeszwą buta, skazano na noszenie spodni o jednej nogawce czerwonej i jednej czarnej oraz na dwa miesiące zamykania ulic w miasteczku powiatowym. Po odbyciu kary Yu Zhan'ao powędrował do Północno-Wschodniego Gaomi i został pracownikiem najemnym. Kiedy usłyszał, że po śmierci mnicha jego matka powiesiła się w progu, pewnej nocy odwiedził dom po raz ostatni. Niedługo później spotkał swoją babkę na gaomijskim polu.

Po opuszczeniu gospody Yu Zhan'ao wrócił na pola. Tam, patrząc na wątlą poświatę lampki olejnej dobiegającą od strony gospody, czekał, aż księżyc wzejdzie, a potem zakończy wędrówkę po rozgwieżdżonym niebie. Zimne krople rosy kapały ze zboża, nad ziemią zawisło lodowate powietrze. W środku nocy usłyszał skrzyp otwierających się drzwi gospody. Snop światła padł na drogę i pojawił się w nim cień grubej postaci. Ktoś, kto rzucał ów cień, rozejrzał się wokoło i wrócił do środka. Yu Zhan'ao rozpoznał starucha. Kiedy Kореaniec zniknął, z gospody żwawo wyskoczył postawny zbój, Plamista Szyja, i natychmiast rozpląnął się w ciemności. Gruby staruch zamknął drzwi i zgasił lampę. Podarty szyld nad drzwiami gospody kołysał się na wietrze w blasku gwiazd niczym proporzec wieszany przed trumną. Po chwili Plamista Szyja pojawił się na drodze, Yu Zhan'ao wstrzymał oddech i zastygł w bezruchu. Wstrętne woń zaatakowała jego nozdrza, kiedy dokładnie naprzeciwko niego Plamista Szyja przystanął, by się wysikać. Trzymając w ręku miecz, Yu Zhan'ao rozmyślał: gdyby teraz zaatakował, mógłby z łatwością pozbawić życia słynnego herszta bandytów. Napiął mięśnie. Stwierdził jednak, że nie żywi urazy do Plamistej Szyi – w końcu on także miał na pieńku z naczelnikiem powiatu Cao Mengjiu, który kazał wlepić jemu, Yu Zhan'ao, dwieście razy podeszwą buta – toteż zabicie bandyty nie miałyby większego sensu. Zawsze

mógł jednak powiedzieć: oto miałem sposobność, by zamordować słynnego zbója Plamista Szyję, lecz z rozmysłem tego nie uczyniłem.

Plamista Szyja, rzecz jasna, nie miał pojęcia o niebezpieczeństwie, którego uniknął, a tym bardziej nie przeczuwał, że za dwa lata utonie nagi w Rzece Czarnej Wody, zabity przez tego właśnie młodzika.

Yu Zhan'ao podniósł się i ruszył w stronę cichej wioski. Stąpał bezszelestnie, by nie wystraszyć psów, które miało tu każde gospodarstwo. Kiedy dotarł do domostwa Shanów, wstrzymał oddech i skoncentrował się, uważnie obserwując okolicę. Siedziba rodziny Shanów był to zespół budynków – w sumie dwadzieścia izb – podzielonych murem na dwie zamknięte części, do których prowadziły dwie główne bramy. We wschodnim skrzydle mieściła się gorzelnia, zachodnie służyło jako mieszkanie. W części mieszkalnej od zachodniej strony były trzy boczne izby. Podobnie w części wschodniej – trzy boczne izby od wschodu, gdzie mieszkali parobcy. Na dziedzińcu wschodniego skrzydła domu stał wielki namiot z młyńskim kamieniem, tam też mieszkały dwa czarne muły. We wschodnim skrzydle znajdowały się także trzy pokoje, do których wchodziło się od południa przez małe drzwi – tam właśnie sprzedawano alkohol. Mur był wysoki – Yu Zhan'ao nie mógł dojrzeć, co znajduje się wewnątrz; nawet wspinając się na palce i wyciągając szyję, nie sięgał jego szczytu. Skoczył więc i wspiał się po murze. Na ten odgłos rozszczękały się psy, toteż Yu Zhan'ao przyczał się na skraju placu, gdzie rodzina Shan składowała sorgo, i zaczął obmyślać, co dalej. Na placu leżały wiązki sorgowej słomy i sterta sorgowych liści. Niedawno ścięte i wysuszone na słońcu, wydzielały przyjemny, zadziwiająco świeży zapach. Przykucnąwszy obok wiązek słomy, Yu Zhan'ao wyjął krzesiwo i podpalił ją. Nagle wpadł na inny pomysł i czym prędzej zdusił rękoma tłący się ogień. Podkrał się do znajdującej się o dwadzieścia kroków dalej sterty liści i ją także podpalił. Liście, miększe i luźniej ułożone, zapalają się szybciej i łatwiej je zgasić. Noc była bezwietrzna, na niebie migotały gwiazdy Drogi Mlecznej. Płomienie strzelały w górę i wkrótce w połowie wioski zrobiło się jasno jak w dzień.

– Pali się! – wrzasnął z całej siły Yu Zhan'ao. – Pali się!

Potem schował się w cieniu zachodniego muru domostwa Shanów. Języki ognia lizały niebo, płomienie huczały, wszystkie psy w wiosce ujadają chórem. Śpiący we wschodnim skrzydle domostwa Shanów ludzie obudzili się i zaczęli krzyczeć. Brama otworzyła się z trzaskiem i wypadło z niej kilkunastu niedbale odzianych mężczyzn. Zachodnie wejście również się otworzyło i niepewnym krokiem z domu wyszedł chuderlawy starzec z warkoczykiem, lamentując w głos. Za nim wybiegły dwa żółtobeżowe psy, zbliżyły się do płomieni i zaczęły wyć jak oszalałe.

– Gaście pożar... Gaście... – wołał płacząco mizerny staruszek. Robotnicy z gorzelni zawrócili, złapali wiadra na koromysłach i pobiegli do studni.

Yu Zhan'ao zrzucił pelerynę, przemknął pod murem, wśliznął się do zachodniego skrzydła i skryty za parawanową ścianą patrzył na biegających w tę i z powrotem ludzi. Jeden z nich wylał na ogień wiadro wody. Strumień cieczy w świetle płomieni przypominał płachtę białego, lśniącego jedwabiu, który skręcał się i zwijał pod wpływem gorąca. Mężczyźni polewali płomień kolejnymi porcjami wody – krzyżujące się to łukowate, to proste strumienie tworzyły wyjątkowo malowniczy obraz.

Wtem rozległ się głos, w którym pobrzmiwał rozsądek i doświadczenie:

– Panie szefie, nie ma po co tego gasić. Samo się wypali.

– Gaście... Gaście... – płakał starzec. – Szybko, zgaście to... To pasza dla mułów na całą zimę...

Yu Zhan'ao zrezygnował z obserwacji wydarzeń na podwórzu i wkradł się do domu. Uderzyła go panująca tam wilgoć, która zmierzwiła mu włosy. Z pomieszczenia położonego po zachodniej stronie dobiegł zawilgły, jakby zapleśniały głos:

– Tato... Co tam się pali?...

Yu Zhan'ao stał dłuższą chwilę bez ruchu – po przebywaniu na rozświetlonym płomieniami dziedzińcu musiał przyzwyczać oczy do ciemności. Kiedy rozległ się znowu pytający głos, podążył ku niemu. Pokój był oświetlony przesączającym się przez papierowe okno blaskiem ognia. Yu Zhan'ao dostrzegł leżącą na poduszce podłużną, spłaszczoną głowę. Wyciągnął rękę i przygwoździł głowę do łóżka.

– Kto to?! Ktoś ty?! – usłyszał przerażony krzyk.

Dwa zakrzywione szpony wpiły się w wierzch dłoni Yu Zhan'ao. Ten wyciągnął swój krótki miecz i ciał bladą, długą szyję. Poczul na przegubie chłodny powiew, wydobywający się z przeciętego gardła, po czym gorąca, lepka krew zalała mu dłoń. Zemdlilo go i z przerażeniem puścił ofiarę. Pomarszczona, płaska twarz drgała konwulsyjnie na poduszce, złota krew tryskała falami. Yu Zhan'ao chciał wytrzeć zakrwawioną dłoń w kołdrę, ale im dłużej tarł, tym bardziej ciecz się lepiała, co przyprawiało go o coraz silniejsze mdłości. Trzymając miecz za śliską rękonoż, wybiegł do głównego pomieszczenia, wyciągnął z paleniska garść trawy i wytarł nią ręce i ostrze, aż zamigotało, jakby ożywając w jego ręku...

Odkąd dostał ten miecz w prezencie od Małego Chenga Kowala, codziennie potajemnie się nim bawił, a za każdym razem gdy słyszał szepty

kochanków – matki i mnicha – na przemian wyjmował go i chował w pochwie. Wieśniacy zaczęli przezywać go „małym mniszkiem”, a on odpowiadał im wściekłym, ociekającym krwią spojrzeniem. Chowany pod poduszką miecz prawie każdej nocy wydawał przeraźliwe piski, nie pozwalając mu zmrużyć oka. W końcu Yu Zhan’ao uznał, że nadszedł czas. Tamtej nocy powinien był świecić księżyc, ale zasłaniała go gruba warstwa ołowianych chmur. Kiedy wieśniacy zasypiali, zaczął padać drobny deszcz. Maleńkie, białe kropelki powoli nasączały ziemię, zamieniając wszelkie zagłębienia w kałuże srebra. Mnich z parasolem z żółtej ceraty otworzył drzwi i wszedł do środka. Yu Zhan’ao leżał w swoim małym pokoiku i obserwował go, jak składa parasol, błyskając łysiną, i niespiesznie wyciera zabłocone buty o próg.

– Ty tutaj, o tej porze? – usłyszał pytanie matki.

– Dziś był siódmy dzień ceremonii pogrzebowej matki Podgryzacza z Zachodniej Wsi, musiałem pośpiewać trochę sutr...

– Ale że chciało ci się przyjść tak późno? Myślałam, że już się nie pojawisz.

– A czemu miałbym nie przyjść?

– Pada deszcz!

– No i co z tego? Choćby padało nożami, wsadziłbym garnek na głowę i też przyszedł!

– Wchodź szybko do środka. Mnich wśliznął się do izby i szepnął:

– Brzuch cię jeszcze boli?

– Nawet nie bardzo...

– Masz jakieś zmartwienie?

– To już dziesięć lat, jak jego ojciec nie żyje... Tak już ze mną jest: z tym mi źle i bez tego niedobrze.

– Lepiej z tym. Zaśpiewam ci sutrę...

Yu Zhan’ao tej nocy leżał z otwartymi oczyma, słuchając krzyków miecza, szumu deszczu za oknem, miarowego chrapania mnicha i głosu mówiącej przez sen matki. Nagle usłyszał dziwne pohukiwanie – zapewne siedzącej na pobliskim drzewie sowy – i aż usiadł z wrażenia. Podniósł się, ubrał i z mieczem w ręku stanął, nasłuchując, w drzwiach do pokoju, w którym spali matka i mnich. Biała pustka wypełniała jego serce. Ostrożnie otworzył drzwi, wyszedł na podwórze i spojrzał w niebo – ołowiane chmury nieco się przerzedziły, przepuszczając odrobinę światła brzasku. Wiosenny deszcz padał wciąż tak samo jak wieczorem, niespiesznie, krople zwilżały ziemię w ciszy, tylko te trafiające w kałuże wydawały słaby plusk. Poszedł krętą drogą

prowadzącą do świątyni Tianqi. Miała ona długość trzech *li* i przecinał ją wąziutki, cicho szemrzący strumyk, który przekraczało się po kilku czarnych głazach. W dzień woda w strumyku była tak krystalicznie czysta, że dało się policzyć wszystkie maleńkie rybki i krewetki przy piaszczystym dnie. Teraz jednak strumień był szary i mętny, skryty pod grubą warstwą mgły, dźwięk kropel deszczu wpadających do wody budził niepokój i smutek. Woda połyskiwała między mokrymi głazami. Yu Zhan'ao stanął na kamieniu i długo patrzył, jak fale pienia się, uderzając o przeszkodę. Brzeg strumienia był równy i piaszczysty, dalej rosły kwitnące grusze. Yu Zhan'ao przeskoczył przez strumyk i wszedł między drzewa. Piasek u ich stóp był twardy, lecz sprężysty, od czasu do czasu na ziemię kapały wielkie krople. Kwiaty gruszy, wyłaniające się tu i tam we mgle, przyciągały wzrok, lecz ich zapach był niewyczuwalny w zimnym powietrzu.

W głębi gruszonego gaju Yu Zhan'ao odnalazł grób swojego ojca. Mogiłę porastało kilkadziesiąt kęp suchej trawy, między którymi ziały spore mysie nory. Usilnie starał się przypomnieć sobie, jak wyglądał ojciec – przez mgłę zobaczył tylko szczupłą sylwetkę mężczyzny o bladej twarzy, z rzadkim wąsikiem nad górną wargą.

Wrócił na skraj ścieżki, tam gdzie przecinał ją strumyk, i skryty za jednym z drzew wpatrywał się w białe, spienione fale, uderzające w czarne głazy. Niebo powoli jaśniało, chmury rzedły, zarys ścieżki stawał się coraz bardziej widoczny. Wreszcie dojrzał na niej idącego pospiesznie mnicha z głową ukrytą pod żółtym parasolem; zielonkawa mnisia szata upstrzona była plamkami wilgoci. Grubawy mężczyzna jedną ręką zadarł przód szaty, drugą uniósł wysoko parasol i kołysząc biodrami, przeprowił się na drugą stronę. Yu Zhan'ao udało się zobaczyć jego twarz, nieco napuchłą i bladą. Trzymając kurczowo miecz, znowu usłyszał przenikliwy pisk. Nadgarstek bolał go i drętwiał, palce drżały. Po przekroczeniu strumienia mnich puścił szatę i zatupał w miejscu, po czym wygładził przód ubrania, strącając zeń dwie grudki błota. Był zawsze czyściutki i wymuskany, a jego ciało wydzielало dziwny, przyjemny zapach mydła. Yu Zhan'ao wyczuł tę woń, gdy mnich otrząsnął parasol z wody, złożył go i wetknął go pod pachę. Na bladospinej, łysej skórze na czubku głowy błysnęło dwanaście okrągłych blizn. Yu Zhan'ao pamiętał matkę gładzącą dłońmi tę głowę, która spoczywała na jej kolanach niby uśpione niemowlę, jakby dotykała drogocennego buddyjskiego talizmanu. Mnich był już tak blisko, że Yu Zhan'ao słyszał jego wysiłony oddech. Rękojeść miecza stała się śliska jak piskorz i niemal wysliznęła mu się ze spoczonej dłoni. Widział wszystko jak przez mgłę, czuł zawrót głowy, jakby zaraz miał zemdleć. Mnich przeszedł obok, spluwając paskudną, lepką flegmą, która zawisała ciężko na jednym ze źdźbeł przydrożnej trawy, wywołując u Yu Zhan'ao mrowie budzących wstręt skojarzeń. Poderwał się, czując w głowie

takie napięcie, jakby miał tam bęben świeżo obciągnięty skórą, w skroniach mu łomotało. Miecz jakby sam wbił się w pierś mnicha. Ten, zataczając się, zrobił dwa kroki, po czym chwycił się ręką pnia gruszy i odwróciwszy głowę, spojrzał na Yu Zhan'ao. Jego oczy miały bolesny, budzący litość wyraz, jakby ogarniał go ogromny żal. Nie powiedział ani słowa, tylko oparty o drzewo z wolna osunął się na ziemię.

Yu Zhan'ao wyciągnął miecz z piersi mnicha – buchający z niej strumień ciepłej krwi był miękki i śliski niczym puch na ptasich skrzydłach. Zebrana na gruszy spora ilość wody w końcu nie mogła dłużej trzymać się drzewa i chlusnęła na piaszczysty grunt, dziesiątki kwiatów obsypały ziemię dookoła. W głębi gruszonego zagajnika zerwał się chłodny powiew – w tym momencie Yu Zhan'ao poczuł delikatny zapach kwiatów.

Po zamordowaniu Shana Bianlanga nie czuł ani żalu, ani lęku – tylko nieznośne obrzydzenie. Ogień stopniowo wygasł, ale wciąż było bardzo jasno. Pod murem przemknął z szelestem jakiś cień. Szczekanie psów zalewało wioskę niczym fala. Dzwoniły metalowe wiadra. Zalewany wodą ogień syczał i skwierczał.

Przed sześcioma dniami stał na tym samym dziedzińcu, nasiąknięty wodą jak zmokła kura, razem z innymi tragarzami, grajkami oraz przemoczoną panną młodą, która suche miała jedynie plecy. Sterczeli tak z nogami w kałużach, patrząc, jak dwóch podstarzałych, niechlujnych mężczyzn prowadzi pannę młodą do domu. Nie zjawiał się nikt inny, by przyglądać się temu wydarzeniu, mimo że wioska była spora. Pan młody nie pokazał się wcale. Z wnętrza dobiegała woń rdzy i brązu. Zarówno on, jak i pozostali tragarze domyślali się, że ukrywający się pan młody musi być rzeczywiście chory na trąd. Grajkowie, widząc, że nie mają słuchaczy, nie wysilając się zbyt, zagrali jakąś melodyjkę. Mizerny staruszek wyszedł na podwórze z małym koszykiem miedziaków.

– Zapłata, zapłata! – zaskrzeczał, nabrał garść monet i sypnął nimi wokoło. Tragarze i muzykanci obserwowali pieniądze wpadające z pluskiem do wody, żaden z nich jednak nie kwapił się, by je zbierać. Staruch zerknął na nich koso, po czym sam schylił się i jał podnosić monety z błota, jedną po drugiej. W tej właśnie chwili w umyśle Yu Zhan'ao zrodziła się myśl, by wbić ostrze w tę chudą szyję. Teraz luna pożaru oświetlała podwórze i naklejone nad bramą okolicznościowe napisy. Ponieważ Yu Zhan'ao umiał trochę czytać, gdy je odcyfrował, płomień gniewu strawił cały chłodny spokój w jego sercu. Rozgrzeszył sam siebie. Przyszło mu na myśl, że dobre uczynki i zasługi nader często wcale nie gwarantują człowiekowi naturalnej śmierci, za to mordowanie i podpalanie mogą przynieść mu sukces i bogactwo. W dodatku już złożył tej młodej dziewczynie obietnicę i zamordował młodszego. Jeśli pozostawi przy



życiu ojca, przysporzy mu tylko smutku na widok zwłok pierwородnego syna. Nie było już odwrotu – tykwa przewrócona, olej rozlany, trzeba podarować tej dziewczynie nowe życie. Stary Shanie, stary Shanie – wymamrotał do siebie – za rok od dziś będzie rocznica twojej śmierci!

Płomienie dogasały, mrok na powrót ogarniał ziemię i niebo, na którym znowu widać było mrowie gwiazd. W spalonej stercie tu i ówdzie tlił się jeszcze czerwonawy żar. Kiedy parobcy zalewali go wodą, śnieżnobiałe kłęby pary razem z iskrami wlatywały kilkanaście metrów w górę. W końcu stanęli niepewnie z wiadrami w rękach, rzucając wielkie cienie.

– Nie ma się co martwić, szefie. Mała strata, dobrze, że na tym się skończyło – odezwał się znowu rozsądny głos.

– Bądź posłuszny Niebiosom i własnemu sumieniu... – wymamrotał Shan Tingxiu.

– Dajmy ludziom wrócić do środka i czegoś się napić, szefie. Jutro od rana trzeba brać się do roboty.

– Bądź posłuszny Niebiosom... Bądź posłuszny Niebiosom...

Mężczyźni, słaniając się, wracali do wschodniej części domu. Yu Zhan'ao, skryty w cieniu muru, przysłuchiwał się pobrzękiwaniu wiader, które w końcu ustąpiło miejsca zupełnej ciszy. Shan Tingxiu stał przez jakiś czas w bramie, mamrocząc swoje „Bądź posłuszny Niebiosom...”, w końcu mu się znudziło i z glinianym dzbanem w ręku wrócił na swoje podwórko. Dwa psy, które szły przed nim, zapewne już zmęczone, na widok Yu Zhan'ao zaszczekały tylko dwa razy, po czym padły na swoje legowiska. Yu Zhan'ao słyszał dobiegające ze wschodniego dziedzińca tupot kopyt czarnych mułów i zgrzytanie ich zębów. Trzy Gwiazdy świeciły już na zachodnim niebie, musiało więc być po północy. Yu Zhan'ao zebrał się w sobie i z mieczem gotowym do ciosu obserwował Shana Tingxiu, czekając, aż zbliży się na odległość czterech, pięciu kroków do drzwi. Gdy nadeszła ta chwila, skoczył i pchnął go mieczem z taką siłą, że całe ostrze zagłębiło się w piersi staruszka. Shan Tingxiu runął do tyłu z rozpostartymi rękami, jakby szybował, i padł na wznak. Gliniany dzban roztrzaskał się na ziemi niby rozkwitający kwiat. Psy wydały kilka jękliwych odgłosów i przestały zwracać na nich uwagę. Yu Zhan'ao wyciągnął miecz, wytarł go o ubranie starca i już chciał odejść, ale się rozmyślił.

Wywłókł trupa Shana Bianlanga na dziedziniec, odczepił sznur od koromysła leżącego pod murem i związał oba ciała w pasie. Tak połączone podniósł je z wysiłkiem i wyszedł na ulicę. Zwisaly mu bezwładnie z ramienia, dotykające ziemi stopy rysowały na niej białawe linie, a sącząca się z ran krew rysowała czerwone linie. Yu Zhan'ao zataszczył zwłoki ojca i syna do stawu w zachodniej części wioski. Woda była gładka jak lustro, odbijała się w niej

połowa gwiazd nieboskłonu. Na powierzchni unosiło się wdzięcznie kilka białych lotosów, niczym jakieś iluzoryczne, nadprzyrodzone istoty. Trzydzieści lat później, gdy Niemowa zastrzelił w tym miejscu wuja Yu Zhan'ao, Yu Wielkiego Zęba, w stawie nie było zbyt wiele wody, lotosy jednak nadal tu rosły. Yu Zhan'ao wrzucił oba trupy do wody, w której zanurzyły się z głośnym chlupotem, po czym opadły na dno, a gdy ustały fale, powierzchnię stawu znowu wypełniło odbicie nieba. Yu Zhan'ao umył ręce, twarz i miecz, lecz za nic nie mógł zmyć z nich woni krwi i pleśni. Zapomniawszy całkiem o pelerynie, którą zostawił pod murem domu Shanów, ruszył drogą na zachód. Kiedy oddalił się od wioski na pół *li*, skręcił w pole. Potknął się i upadł na ziemię. W tym momencie poczuł tak ogromne wyczerpanie, że nie zważając na wilgoć, przeturlał się na wznak i przez szczelinę między źdźbłami patrzył na gwiazdy, po czym zapadł w sen.

## 5

Sołtys Shan Pięć Małp, czując, że w nocnym pożarze musi być coś podejrzanego, rozważał wypełnienie swoich urzędowych obowiązków, w którym to celu musiałby wstać i pomóc w gaszeniu. Ale Białe Jagniątko, handlarka opium, objęła go mocno i nie chciała puścić. O jej dorodne ciało, jasną skórę i uwodzicielskie spojrzenie wilgotnych oczu walczyły dwa bandyckie gangi, co w ich fachowym żargonie nosiło nazwę „walki o gniazdo”.

W 1923 roku Cao Mengjiu już od trzech lat piastował stanowisko naczelnika powiatu Gaomi. On sam podlegał Rządowi Północnemu, a „trzy pochodnie” – jego trzy hasła – jaśniały nad jego głową.

Był bez wątpienia jedną z najsłynniejszych postaci w historii powiatu Gaomi. Jego sława, zasługi i osiągnięcia nie wytrzymały może porównania z pochodzącymi również stąd Yan Yingiem (pierwszym ministrem w dawnym państwie Qi) czy Zheng Xuanem (wielkim uczonym z czasów dynastii Wschodniej Han), jednak na tle najważniejszych działaczy z czasów „rewolucji kulturalnej” był osobistością wybitną. Ponieważ jego ulubionym narzędziem wymierzania kary była podeszwa buta, nazywano go Cao Podeszwa Drugi. Ukończył pięć klas prywatnej szkoły, przez kilka lat służył w wojsku. Według niego bandytyzm, opium i hazard stanowiły główne przyczyny chaosu na świecie i twierdził, że aby zaprowadzić porządek, należy zacząć od wyeliminowania bandytów, zakazu opium oraz delegalizacji hazardu. Stosował sporo niestandardowych praktyk i nikt nie umiał przeniknąć jego dziwacznych metod. Krążyło o nim mnóstwo anegdot, a opowieści o Cao Mengjiu do dziś nie schodzą z ust mieszkańców Gaomi. Był postacią złożoną, którą trudno oceniać w kategoriach dobra i zła. Z moją rodziną łączyło go wiele, toteż wprowadzam

jego postać w tym miejscu, jako ogniwo spajające wcześniejszy tekst z tym, który nastąpi.

Po dwóch latach skutki polityki „trzech pochodni” Cao Mengjiu – ukrócenie hazardu, zakaz opium i walka z bandytami – były już całkiem zauważalne. Jednakże w północno-wschodniej części powiatu, oddalonej od stolicy, mimo surowych obostrzeń wszystkie trzy plagi, słabo widoczne na powierzchni, rozkwitały tu w ukryciu.

Shan Pięć Małp z Białym Jagniątkiem w objęciach spał aż do rana. Kobieta obudziła się pierwsza, zapaliła lampkę na olej sojowy, nadziała bryłkę opium na srebrną szpilkę i umieściła nad płomieniem. Gdy bryłka się zapaliła, wepchnęła ją do srebrnej fajki i podała Shanowi Pięć Małp, który skulony na łóżku zaciągał się dymem przez kilka minut. Kiedy bryłka zamieniła się w biały punkcik, wstrzymał oddech na dwie minuty, po czym wypuścił ustami i nosem smugę rzadkiego, sinego dymu. W tym momencie do drzwi zaczął dobijać się jeden z parobków rodziny Shan.

– Panie sołtysie! Panie sołtysie! Straszne rzeczy! Morderstwo!

Shan Pięć Małp dał się zaprowadzić do domostwa Shanów, za nimi poszli inni. Kiedy po śladach krwi ruszył do stawu w zachodniej części wioski, podążał już za nim spory tłumek.

– Pewnie są w wodzie! – skonstatował.

Tłum milczał.

– Kto się odważy ich wyciągnąć? – spytał głośno Shan.

Ludzie popatrzyli po sobie, ale nikt nie odpowiedział.

Na zielonej jak jadeit wodzie nie było ani jednej zmarszczki. Białe lotosy unosiły się na niej w absolutnym spokoju, nieliczne krople rosy, okrągłe i lśniące niczym perły, zdobiły brzegi liści.

– Dam srebrnego dolara. Kto wejdzie?

Wciąż nikt się nie odzywał.

Nad stawem uniósł się obłok przykrej woni, czerwone sorgo rzucało złowrogą poświatę na ślady krwi w trawie na brzegu. Znad zboża wylaniała się tarcza słoneczna, szeroka u dołu i zwężająca się ku górze niczym dzban na zboże, górą biała, dołem zielona, jak sycząca hartowana w ogniu stal. Wzdłuż horyzontu, równoległe do łańców sorga, ciągnęła się w dal niewiarygodnie równa linia czarnych chmur. Woda w stawie lśniła jak złoto, w złocie tkwiły białe lotosy, które wydawały się całkiem nie z tego świata.

– No, kto zejdzie i ich wyciągnie? Srebrny dolar czeka! – zawołał głośno Shan Pięć Małp.

Dziewięćdziesięcioletnia staruszka z naszej wioski opowiadała mi: „O matko jedyna! Kto by się odważył wejść do tej wody, pełnej krwi trędowatych? Przecież by się zaraził! A gdyby weszło dwóch – zaraziliby się obaj. Nikt by nie zaryzykował, za żadne pieniądze... Twoja babka i dziadek zasiali to zło!”. Nie podobało mi się, że jakaś stara jędza rzuca oskarżenia na mojego dziadka i babkę, ale tylko spojrzałem na jej siwą, podobną do glinianego dzbanka głowę i uśmiechnąłem się blado.

– Żaden się nie odważy zejść? Żaden, kurwa? Skoro tak, to zostawimy ich tam, ojca i syna, niech sobie zażywają chłodu! Stary Liu, Liu Luohanie, ty jesteś u nich zarządcą, idź do powiatu i zgłoś sprawę Cao Podeszwie Drugiemu!

Liu Luohan zjadł coś pospiesznie, zaczerpnął pół tykwy wódki i wypił. Następnie wyprowadził czarnego muła, przytroczył mu na grzbiecie jutową torbę i chwytając zwierzę za szyję, dosiadł go. Ruszył drogą na zachód, w kierunku stolicy powiatu.

Tamtego ranka wuj Luohan miał ponurą minę – nie wiadomo, bardziej z rozgoryczenia czy z gniewu. To on odkrył zabójstwo starszego i młodszego szefa. Nocny pożar wydał mu się podejrzany, dlatego już o świcie wstał i poszedł się rozejrzeć. Stwierdził z zaskoczeniem, że brama zachodniego skrzydła jest otwarta. Kiedy wszedł na podwórze, zobaczył ślady krwi, w domu było ich jeszcze więcej. Zamarł z przerażenia, ale mimo szoku doszedł do wniosku, że morderstwo i podpalenie musiały być ze sobą związane.

Ponieważ zarówno on, jak i jego podwładni wiedzieli, że młody pan jest trędowaty, starali się nie wchodzić za często do zachodniego skrzydła, a po wyjściu stamtąd brali po hańście wódki, nadymali policzki i opryskiwali się alkoholem. Wuj Luohan twierdził, że wódka z sorga zabija wszelkie mikroby. W dniu zaślubin Shana Bianlanga, jako że nikt z wioski nie zjawiał się, by asystować przy ceremonii, właśnie wuj Luohan razem z innym starym parobkiem wyprowadzili moją babkę z lektyki. Trzymając ją za rękę, zerkał na jej maleńkie „złote lotosy”, na podobny do korzenia lotosu przegub dłoni i nie mógł powstrzymać westchnienia. Kiedy był w szoku po zabójstwie Shanów, w jego umyśle co chwila pojawiał się obraz owych drobnych stopek i pulchnego nadgarstka. Po tych wszystkich krwawych widokach sam już nie wiedział, czy powinien się smucić, czy cieszyć.

Wuj Luohan poganiał muła batem, marząc, by wyrosły mu skrzydła. Spodziewał się, że wkrótce nadejdą radosne chwile – już jutro rano miała na swoim osiołku wrócić zachwycająca jak kwiat, piękna jak jadeit młoda pani. W czyich rękach znajdzie się teraz niemały majątek rodu Shan? Liu Luohan sądził, że decyzja o tym powinna należeć do naczelnika Cao. Cao Mengjiu w

ciągu trzech lat sprawowania władzy w Gaomi dorobił się przydomku „sprawiedliwy sędzia” – mawiano, że rozsądza spory mądrze niczym bóg i błyskawicznie jak burza, sprawiedliwie, honorowo, nie plamiąc się kumoterstwem, i że bez mrugnięcia okiem feruje wyroki śmierci. Wuj Luohan jeszcze raz przyłożył mułowi batem.

Kiedy tak mknęli w stronę miasta, zad zwierzęcia lśnił w słońcu. W chwili gdy przednie nogi muła się zginały, tylne, wyprostowane, uderzały kopytami w ziemię, gdy zaś tylne odrywały się od ziemi, przednie wyciągały się naprzód. Cztery kopyta biły w ziemię jak w bęben w wyraźnym, regularnym rytmie, mimo że galop ten z pozoru wydawał się chaotyczny. Pył rozpryskiwał się wokół lśniących podków niby rozkwitające kwiaty. Słońce było wciąż na południowym wschodzie, gdy wuj Luohan na grzbiecie czarnego muła dotarł do linii kolejowej z Jiaonanu do Jinanu. Muł nie chciał przejść przez tory, toteż wuj Luohan zsiadł i z całej siły starał się przeciągnąć go na drugą stronę, zwierzę jednak zapierało się tylnymi nogami jak mogło. Ponieważ wuj miał niewiele sił i nie mógł być dla muła godnym przeciwnikiem, zrezygnował z prób i zdyszany usiadł, by się namyślić, co począć. Biegnące od wschodu szyny lśniły oślepiająco w słońcu. Wuj zdjął kurtkę, zasłonił nią oczy muła i poprowadził zwierzę w kółko. Po kilku okrążeniach udało mu się przeprowadzić muła przez tory.

Północnej bramy stolicy powiatu strzegło dwóch policjantów w czarnych mundurach, każdy z nich trzymał w ręku strzelbę Hanyang. W Gaomi był właśnie dzień targowy: tłum handlarzy pchających wózki, objuczonych koromysłami, jadących na osłach i idących piechotą wlewał się bez końca przez bramę. Niezwracający uwagi na ten nawał czarno odziani policjanci byli zajęci wyłącznie gapieniem się na ładne dziewczęta.

Wuj Luohan ostrożnie przekroczył bramę i ruszył główną, wyłożoną zielonkawym brukiem ulicą, kopyta muła stukotały głośno niczym kamienna kołatka. Zwierzę z początku rozglądało się trochę niepewnie. Na ulicy przechodniów było niewielu i mieli znudzone miny. Za to leżący na południe od drogi plac wypełniało morze ludzi najróżniejszego autoramentu i fachu, którzy targowali się, pokrzykiwali oraz handlowali wszystkim, czym się dało. Wuj Luohan, który nie miał ochoty mieszać się z tłumem, poprowadził muła ku bramie siedziby władz powiatowych. Budynek wyglądał jak zrujnowany klasztor: kryty glinianą dachówką dach porastały požółkłe trawy i zioła, czerwona farba odchodziła płatami od drzwi. Po lewej stronie stał uzbrojony strażnik, a po prawej – goły do pasa człowiek wsparty oburącz na drewnianym kiju, który to kij stał w środku śmierdzącego nocnika.

Wuj Luohan, prowadząc muła, podszedł do strażnika, ukłonił się i oznajmił:

- Panie oficerze, chciałbym złożyć raport panu naczelnikowi Cao.
- Naczelnik Cao poszedł na targ z panem Yanem – odparł strażnik.
- A kiedy pan naczelnik wróci?
- A skąd ja mogę wiedzieć? Jak się panu spieszy, idź pan na rynek i poszukaj go.

Wuj Luohan znowu skłonił się uprzejmie.

- Dziękuję za wskazówki, panie oficerze.

Dziwny człowiek stojący po prawej stronie drzwi, zorientowawszy się, że wuj Luohan zbiera się do odejścia, nagle się ocknął i trzymając kij obiema rękami, zaczął stukać nim w nocnik i krzyczeć:

- Patrzcie ludzie, patrzcie ludzie! Nazywam się Wang Haoshan, oszukiwałem ludzi, fałszowałem umowy i za to naczelnik skazał mnie na mieszanie w nocniku!

Wuj Luohan, wciąż z mułem, wszedł na zatłoczony rynek, gdzie sprzedawano bułki, placki, sandały ze słomy... Byli tam skrybowie, wróżbici, naciągacze, żebracy, kupcy handlujący środkami na potencję, tresowane małpy, bijący w gongi sprzedawcy słodowych cukierków i figurek i inni, zachęcający do kupna glinianych lalek, opowiadacze historii o legendarnych bohaterach, akompaniujący sobie potrząsaniem blaszanymi kołatkami, sprzedawcy dymki, ogórków i czosnku, kupcy oferujący brzytwy i fajki, fasolowy makaron, trutkę na szczury, miodowe brzoskwinie, handlarze dziećmi... Był tam bowiem specjalny „targ dzieci”, gdzie wystawiano „towar” z wiechciami słomy wetkniętymi za kołnierze. Muł co rusz szarpał głową, dzwoniąc wędzidłem. Wuj Luohan bał się, że zwierzę może kogoś podeptać, toteż co chwila wydawał ostrzegawcze okrzyki. Zbliżało się południe, słońce paliło i wuj był tak zlany potem, że jego kurtka z płótna nankin zrobiła się całkiem mokra.

Na kurzym targu wuj Luohan znalazł naczelnika Cao.

Naczelnik miał rumianą twarz, wytrzeszczone oczy, kwadratowe usta, a nad jego górną wargą tkwił cienki wąsik w kształcie znaku „osiem”. Miał na sobie granatową tunikę w stylu Sun Jat-Sena, na głowie brązowy wełniany kapelusz, w ręku trzymał laskę. Otoczony sporym tłumem właśnie rozsądzał jakiś spór. Wuj Luohan nie chciał w takiej chwili przepychać się do niego, wyprowadził więc muła z ludzkiej ciżby. Setki głów całkiem zasłaniały mu pole widzenia, nie pozwalając dostrzec, co dzieje się w centrum zbiegowiska. Nagle wuja olśniło i wskoczył na grzbiet muła: z tej wysokości miał na wszystko doskonały widok.

Naczelnikowi towarzyszył niski, energiczny mężczyzna – wuj Luohan przypuszczał, że to właśnie jest „pan Yan”, o którym wspomniał strażnik. Przed naczelnikiem stało z opuszczonymi rękoma dwóch mężczyzn i jedna kobieta, wszyscy mieli spocone twarze, a policzki kobiety były mokre od łez. Na ziemi u stóp kobiety siedziała wielka, tłusta kura.

– Sprawiedliwy panie! – łkała kobieta. – Moja teściowa bez przerwy krwawi. Nie mamy pieniędzy na receptę na zioła. Dlatego chcieliśmy sprzedać tę kurę nioskę... A on się upiera, że to jego kura...

– Bo to moja kura. Ta kobieta jest bezczelna. Panie naczelniku, jeśli nie wierzycie, zapytajcie mojego sąsiada.

– Może pan to potwierdzić? – spytał naczelnik Cao, zwracając się do mężczyzny w mycce.

– Szanowny panie naczelniku – odrzekł człowiek w mycce – jestem sąsiadem Wu Trzeciego, ta kura codziennie przybiega na moje podwórko i wykrada jedzenie naszym kurom, moja żona wiecznie się przez to denerwuje.

Twarz kobiety zmarszczyła się w płaczkowym grymasie. Nie mogąc wydobyć słowa, kobieta wybuchnęła głośnym szlochem.

Naczelnik Cao zdjął kapelusz, zakręcił nim na palcu, po czym włożył z powrotem na głowę.

– Czym nakarmiliście kury dziś rano? – spytał Wu Trzeciego.

Wu Trzeci przewrócił oczami z namysłem.

– Sieczką zmieszaną z otrębami – odparł.

– Prawdę mówi – potwierdził człowiek w mycce. – Byłem dziś u niego pożyczyć siekiere, widziałem, jak jego żona mieszała paszę dla kur.

Naczelnik Cao zwrócił się do zapłakanej kobiety:

– Nie płaczcie, dobra kobieto! Pytam was: czym dziś karmiliście wasze kury?

– Sorgiem, panie naczelniku – wyjąkała kobieta.

– Mój Młody Yanie, poderżnij gardło tej kurze!

Młody Yan błyskawicznie rozciął kurze wole i ścisnął je, wydobywając ze środka posklejane ziarna. Naczelnik Cao zaśmiał się złowieszczo.

– Nicponiu Wu Trzeci! Ponieważ z twojego powodu ta kura została zabita, zapłacisz za nią. Trzy srebrne dolary!

Wu Trzeci, drżąc z przerażenia, wyciągnął z kieszeni dwa srebrne dolary i dwadzieścia miedziaków, mówiąc:

– Szanowny panie naczelniku, mam przy sobie tylko tyle!

– Tanio się wymigałeś! – odparł naczelnik, po czym wręczył dolary i miedziaki kobiecie.

– Szanowny panie naczelniku, ta kura nie była warta takich pieniędzy, nie mogę przyjąć aż tyle – powiedziała kobieta.

Naczelnik przyłożył dłonie do czoła.

– Ach! – zakrzyknął. – Jakaż dobra, uczciwa z was kobieta! Cao Mengjiu składa wam pokłon! – mówiąc to, złączył nogi, zdjął kapelusz i skłonił się nisko przed kobietą.

„Dobra kobieta” była tak wstrząśnięta, że potrafiła tylko patrzeć na Cao Mengjiu oczami pełnymi łez. Po dłuższej chwili oprzytomniała i padła przed nim na kolana z okrzykiem:

– Sprawiedliwy panie naczelniku! Sprawiedliwy panie naczelniku!

Cao Mengjiu trącił ją laską w ramię, mówiąc:

– Wstańcie, wstańcie! „Dobra kobieta” podniosła się.

– Widzę po waszym zniszczonym ubraniu i mizernej twarzy, że jesteście cnotliwą synową, skoro przyszedliście tu na targ, żeby sprzedać kurę na lekarstwa dla teściowej. Naczelnik powiatu najbardziej ze wszystkiego szanuje rodzinną troskę, która godna jest wszelkiej nagrody. Weźcie te pieniądze i dbajcie o zdrowie teściowej. Weźcie też kurę, oskubcie, wypatroszcie i ugotujcie dla niej.

Kobieta schowała pieniądze i z kurą w ręku, cała w podziękowaniach, odeszła.

Tymczasem wyludzacze kur, Wu Trzeci i jego świadek w mycce, dalej stali w słońcu, trzęsąc się ze strachu.

– Niecny Wu Trzeci! – zaczął naczelnik. – Zdejmuj portki!

Zawstydzony Wu Trzeci nawet się nie poruszył.

– W biały dzień próbowałeś oszukać tę dobrą kobietę! A teraz się wstydzisz – rozsierdził się naczelnik. – Co ty w ogóle wiesz o wstydzie? Wiesz, ile kosztuje kilo? Ściągaj portki, ale już!

Wu Trzeci zdjął spodnie.

Cao Mengjiu schylił się i ściągnął jeden but, po czym podał go stojącemu obok Młodemu Yanowi i rzekł:

– Wlep mu dwieście razów, po połowie w zadek i w gębę!



Trzymając w ręku trzewik o grubej podeszwie, Młody Yan kopniakiem powalił Wu Trzeciego na ziemię i wymierzył mu po pięćdziesiąt uderzeń w każdy pośladek, aż nieszczęśnik zaczął błagać o litość i wzywać ojca i matkę, a zadek puchł mu w oczach. Skończywszy z tyłkiem, Młody Yan zabrał się za twarz – po pięćdziesiąt razy w każdy policzek. Wu Trzeci nie miał już siły wrzeszczeć. Cao Mengjiu dotknął laską czoła Wu Trzeciego i zapytał:

– Niecnoto! Czy obiecujesz nigdy więcej nie postępować wbrew prawu i porządkowi?

Wu Trzeci, którego policzki tak spuchły, że prawie nie mógł otworzyć ust, uderzył parę razy głową o ziemię, jakby rozgniatał czosnek.

– A teraz zajmę się tobą! – zwrócił się naczelnik do świadka. – Trzeba być najgorszym bezwstydnikiem na świecie, żeby wymyślać takie kłamstwa dla przypodobania się jakiemuś draniowi. Naczelnik nie będzie cię bił, nie będzie brudził sobie podeszew twoją dupą. Skoro jednak lubisz lizać cudze tyłki, mam dla ciebie prawdziwy przysmak. Będiesz oblizywał dupę swojego bogatego przyjaciela! Młody Yanie, skocz no po słoik miodu!

Młody Yan czym prędzej ruszył wykonać polecenie, a tłum rozstąpił się przed nim. Fałszywy świadek padł na kolana i jał bić pokłony, aż mycka spadła mu z głowy.

– Wstawaj, wstawaj! – rozkazał Cao Mengjiu. – Nie będę cię bił ani karał, dam ci tylko spróbować trochę miodu, jakiejś więc krzywdy mam ci oszczędzić?

Młody Yan wrócił z miodem.

– Wysmaruj mu tym zadek! – polecił Cao Mengjiu, wskazując na Wu Trzeciego,

Młody Yan obrócił leżącego Wu Trzeciego na brzuch, znalazł gdzieś patyk i rozprowadził nim cały garnuszek miodu na jego spuchniętych pośladkach.

– A teraz zlizuj! – rozkazał Cao Mengjiu fałszywemu świadkowi. – Lubisz lizać tyłki, co? No to do roboty!

Fałszywy świadek wciąż hałaśliwie bił pokłony i wołał:

– Szanowny panie naczelniku, przysięgam, już więcej tego nie zrobię!

– Młody Yanie – polecił Cao – bierz ten but i spuść mu lanie, a przyłóż się!

– Nie bijcie... Nie bijcie... Będę zlizywał! – zgodził się fałszywy świadek.

Podpełzł do Wu Trzeciego, wystawił język i zaczął raz po razie przeciągać nim po przezroczystej, lepkiej warstwie. Miny na spoconych twarzach gapiów były trudne do opisania.

Fałszywy świadek lizał to szybciej, to wolniej, wymiotując od czasu do czasu, przez co zadek Wu Trzeciego uzyskiwał coraz bardziej urozmaicony wygląd. Cao Mengjiu, widząc, że cel został osiągnięty, zakrzyknął:

– Wystarczy, świnio!

„Liżydupa” legł na ziemi i zasłonił głowę kurtką.

Gdy Cao Mengjiu i Młody Yan zbierali się do odejścia, wuj Luohan zeskokczył z muła i zawołał:

– Panie sprawiedliwy naczelniku! Chciałbym złożyć doniesienie...

## 6

Moja babka już miała zsiąść z osiołka, gdy sołtys Shan Pięć Małp ją powstrzymał:

– Panienko, nie zsiadaj jeszcze. Pan naczelnik powiatu chce cię widzieć.

Dwóch uzbrojonych w strzelby strażników, idąc za osłem jeden z prawej, drugi z lewej strony, eskortowali babkę w stronę stawu w zachodniej części wioski. Mój pradziadek miał skurcze łydek i nie mógł iść, ale kiedy jeden ze strażników przystawił mu lufę do pleców, odzyskał sprawność i pokuśtykał za osiołkiem.

Babka zauważyła czarnego źrebaka przywiązanego do drzewa nad stawem. Był elegancko osiodłany, jego czoło zdobił czerwony chwost. Trzy metry od niego stał kwadratowy stolik, a na nim czajniczek i czarki na herbatę. Przy stoliku siedział jakiś mężczyzna – babka nie wiedziała jeszcze, że to słynny naczelnik Cao we własnej osobie. Obok stał drugi człowiek, nieznaną jeszcze babce jego zaprawiony w bojach pomocnik, Młody Yan, który naprawdę nazywał się Yan Luogu. Przed stolikiem stali wszyscy mieszkańcy wioski stłoczeni blisko siebie, jakby chcieli się ogrzać. Tłumek ten otaczało dwudziestu paru żołnierzy, rozproszonych naokoło niczym gwiazdy na niebie.

Przed stołem stał wuj Luohan, przemoczony do suchej nitki.

Zwłoki obu Shanów leżały u stóp wierzby na dwóch drewnianych skrzydłach drzwi, niedaleko od źrebaka. Zaczynały już rozkładać się i cuchnąć – żółtawa ciecz wyciekała na deski. Kilkadziesiąt wron skakało po gałęziach wierzby – w koronie drzewa wrzało jak w kotle.

Wuj Luohan mógł wreszcie dokładnie przyjrzeć się babce. Miała pełną twarz, duże oczy w kształcie migdałów, długą alabastrową szyję; jej włosy, zebrane w kok z tyłu głowy, wyglądały na bardzo ciężkie. Osioł zatrzymał się przed stołem „ośmiu nieśmiertelnych”, a dosiadająca go babka, wyprostowana, z wypiętą piersią, budziła zachwyt wdzięczną postawą. Wuj Luohan patrzył, jak surowe spojrzenie czarnych oczu naczelnika wędruje nieprzerwanie po jej twarzy i torsie. Nagle niczym błyskawica zaświtała mu w głowie myśl: stary i młody szef zginęli za sprawą tej kobiety! Na pewno przygadała sobie jakiegoś kochanka, ten podłożył ogień, by „wywabić tygrysa z jaskini”, po czym zamordował ojca i syna – wyrwiesz rzodkiew, ziemia pusta! – i od tej chwili ona może wyprawiać, co jej się żywnie podoba!

Kiedy jednak zerknął jeszcze raz na siedzącą na osle babkę, ogarnęły go wątpliwości: prawdziwy morderca, żeby nie wiedzieć jak się maskował, nie zdoła ukryć czającego się w nim zła. A ta kobieta... Moja babka, piękna niczym woskowa figurka, siedziała na grzbiecie osiołka, jej drobne stopki sterczały kusząco, twarz zaś wyrażała powagę, spokój i smutek. Nie przypominała bodhisattwy\* – była jeszcze piękniejsza. Sterczący obok osiołka pradziadek wprowadzał jaskrawy kontrast: żywotność i nieruchawość, starość i młodość, wyblakłość i świeżość barw – który jeszcze bardziej wzmacniał blask, jaki roztaczała moja babka.

– Niech ta kobieta zsiądzie z osła, podejdzie tu i odpowie mi na kilka pytań – polecił naczelnik Cao.

Babka siedziała bez ruchu, ale sołtys Pięć Małp powoli ruszył ku niej, wołając:

– Zsiadaj! Szanowny pan naczelnik kazał ci zsiąść!

Naczelnik Cao skinął dłonią, by zatrzymać sołtysa, po czym wstał i rzekł dobrodusznie:

– Dobra kobieto, zejździe, proszę, z osła, naczelnik ma do was kilka pytań.

Pradziadek pomógł babce zsiąść.

– Jak się nazywacie?

Babka stała bez ruchu, z przymkniętymi powiekami, bez słowa. Pradziadek odezwał się drżącym głosem:

---

\* *Bodhisattwa* – w buddyzmie istota oświecona, która dąży do najwyższej doskonałości poprzez działanie dla dobra innych. Jednym z najsłynniejszych jest *bodhisattwa* miłosierdzia-Awalokiteśwara, po chińsku: Guanyin, przedstawiany jako piękna bogini.

– Szanowny panie, dziewczyna nazywa się Dai, na imię jej Fenglian. Jej dziecinne imię to Jiu'er, Dziewiątka – urodziła się dziewiątego dnia szóstego miesiąca.

– Milczeć! – warknął naczelnik.

– Kto ci pozwolił mówić? – ofuknął pradziadka Pięć Małp.

– Durnie! – Naczelnik huknął pięścią w stół, aż Pięć Małp i pradziadek skulili się ze strachu, po czym znowu przybrał dobrotliwy wyraz twarzy i wskazując palcem leżące pod wierzbą zwłoki obu Shanów, zapytał: – Czy poznajecie, kobieto, tych dwóch ludzi?

Babka zerknęła w bok, po czym zbladła i pokręciła głową w milczeniu.

– To wasz mąż i teść! Zostali zamordowani! – wykrzyknął naczelnik.

Babka zachwiała się i zemdląła. Thum ruszył, by ją podtrzymać, w zamieszaniu srebrne spinki wysunęły się z koka i chmura czarnych włosów opadła jej na plecy niczym wodospad. Babka, której twarz lśniła złościście, załkała kilka razy, potem się zaśmiała, a na jej dolnej wardze pokazała się strużka świeżej krwi.

Naczelnik Cao ponownie uderzył w stół i przemówił:

– Słuchajcie wszyscy! Oto mój werdykt: Kiedy kobieta nazwiskiem Dai, subtelna niby gałązka wierzby na wietrze, godna i cnotliwa, ni służalcza, ni zuchwała, usłyszała, że mąż jej został zabity, tak wielka rozpacz poraziła jej serce, że zaczęła pluć krwią, a czarna chmura spłynęła jej na ramiona niczym całun żałobny. Czy tak dobrotliwa istota mogłaby uknuć z kochankiem morderstwo męża? Sołtysie Shanie Pięć Małp, po twojej mizernej twarzy domyślam się, że jesteś palaczem opium i hazardzistą. Nic cię nie usprawiedliwia, ponieważ jesteś sołtysiem, a łamiesz prawo obowiązujące w tym powiecie; szkalowanie czyjś dobrego imienia, rzucanie fałszywych oskarżeń na niewinnego to kolejne z twoich przewinień. Sędzia widzi wszystko wyraźnie – sładzy zła, choćby nie wiem jak sprytni, nie skryją się przed oczyma prawa. Zabójstwo Shana Tingxiu i jego syna to z pewnością twoja sprawa. Pożądałeś majątku Shanów, a także tej pięknej kobiety, nazwiskiem Dai. Dlatego próbowałeś zmanipulować organ władzy i zwieść mnie, jej urzędnika. To tak, jakbyś wymachiwał siekierą przed drzwiami domu Lu Bana\*, dobywał miecza u progu mistrza Guana\*\* albo recytował *Księgę trzech*

---

\* Lu Ban (507-440 p.n.e.) – sławny cieśla, wynalazca, filozof i strateg, patron budowniczych.

\*\* Być może chodzi o Guana Yu (zm. 219), wybitnego generała z czasów Wschodniej Dynastii Han, czczonego jako bóstwo w kilku religiach, jednego z bohaterów powieści *Dzieje Trzech Królestw Luo Guanzhonga* (ok. 1330-1400).

*ideogramów*\*\*\* u wrót domu Konfucjusza bądź szeptał Li Shizhenowi\*\*\*\* do ucha tekst *Poematu o naturze lekarstw*. Brać go!

Kilku żołnierzy ruszyło w stronę Shana Pięć Małp i związało mu ręce za plecami.

– Jestem niewinny, jestem niewinny, panie sprawiedliwy sędzio! – protestował Pięć Małp.

– Zamknąć mu gębę podeszwą buta!

Młody Yan wyciągnął z za pasa wielki but, uszyty specjalnie do tego celu, i wymierzył Shanowi Pięć Małp trzy ciosy w twarz.

– Zabiłeś ich czy nie?

– Jestem niewinny, jestem niewinny, jestem niewinny!

– Jak nie ty, to kto ich zabił?

– To... Ajajaj! Nie wiem, nie wiem!

– Przed chwilą rozmawiałeś ze mną i mówiłeś, że sprawa jest jasna, a teraz twierdzisz, że nie wiesz. Podeszwą go!

Młody Yan wymierzył Shanowi kilkanaście razy podeszwą, aż na jego poranionych wargach ukazała się krwawa piana.

– Powiem... powiem... – wyjąkał Pięć Małp.

– Kto zabił?

– To był... to był ten bandyta, Plamista Szyja!

– Zrobił to na twoje polecenie, tak?

– Nie! Tak, tak, tak, wasza miłość, proszę, nie bijcie mnie!

– Słuchajcie wszyscy! – rozpoczął Cao Mengjiu. – Odkąd objąłem urząd naczelnika powiatu, czyniłem wysiłki, by zakazać opium, ukrócić hazard i zniszczyć bandytów. W walce z opium i hazardem odniosłem sukces, pozostali tylko bandyci, z którymi wciąż nie udało się rozprawić. Bandytyzm szerzy się we wschodniej części naszego powiatu. Władze powiatowe apelują do praworządnych obywateli, by składali doniesienia i oskarżali przestępców, byśmy wspólnie przywrócili naszej ziemi spokój! Pani Dai została legalnie poślubiona członkowi rodu Shan, zatem majątek tego rodu jej się należy. Każdy, kto ośmieli się próbować wykorzystać tę słabą kobietę lub spiskować przeciwko niej, zostanie ukarany za bandytyzm!

---

\*\*\* *Księga trzech ideogramów* – napisany w XIII w., stosowany w nauczaniu dzieci tekst zawierający elementy historii i kultury Chin oraz zasady moralności konfucjańskiej.

\*\*\*\* Li Shizhen (1518-1593) – jeden najsłynniejszych chińskich medyków, zielarz i akupunkturzysta, autor m.in. *Kompendium ziołolecznictwa*, encyklopedii farmaceutycznej.

Moja babka zrobiła trzy kroki i padła na kolana przed naczelnikiem Cao. Zwracając ku niemu swoją piękną twarz, zawołała:

– O panie! To ty jesteś moim prawdziwym ojcem!

– Nie jestem waszym ojcem – pouczył ją naczelnik. – Wasz ojciec stoi tam i trzyma osła! Babka zbliżyła się do Cao na kolanach i objęła go pod nogi.

– Ojczy, mój ojczy, teraz, gdy jesteś naczelnikiem powiatu, nie poznajesz własnej córki? Dziesięć lat temu uciekałeś razem z nią przed głodem i sprzedałeś ją. Nie poznajesz jej teraz, ale ona poznaje ciebie...

– Hola, hola! Cóż to ma znaczyć? To jakieś bzdury!

– Ojczy, czy moja matka jest zdrowa? Braciszek powinien mieć już trzynaście lat, prawda? Chodzi do szkoły? Ojczy, sprzedałeś mnie za dwie miarki czerwonego sorga, a ja trzymałam cię za rękę i nie chciałam puścić. Powiedziałeś wtedy: „Jiu'er, kiedy ojciec wróci z wędrówki, zabierze cię z powrotem”... A teraz jesteś naczelnikiem powiatu i już mnie nie poznajesz...

– Ta kobieta oszalała! Mylisz mnie z kimś innym!

– Z nikim cię nie mylę! Ojczy, drogi ojczy!

Babka, obejmując kolana naczelnika, kołysała się w przód i w tył, jej twarz błyszczała od łez, w ustach lśniły piękne jak jadeit zęby.

Naczelnik Cao podniósł ją i oznajmił:

– Dobrze więc, możesz zostać moją przybraną córką!

– Ojczy! – Babka znowu padła na kolana, ale Cao i tym razem podał jej ramię i pomógł wstać. Babka chwyciła go za rękę i tonem rozkapryszonego dziecka zapytała:

– Tato, kiedy zabierzesz mnie do mamy?

– Niedługo, niedługo! A teraz puść mnie, puść mnie! Babka puściła rękę Cao.

Naczelnik Cao wyjął chusteczkę i otarł spoconą twarz. Wszyscy przyglądali się naczelnikowi Cao i mojej babce ze zdumieniem. Cao Mengjiu zdjął kapelusz, zakręcił nim na palcu i wyjąkał:

– Drodzy rodacy... Naczelnik powiatu zawsze stawiał sobie trzy cele: zakazać opium... ukrócić hazard... zwalczyć bandytyzm...

Ledwie skończył, rozległ się huk: Bum, bum, bum! – zagrzmiały trzy wystrzały. Znad pola sorga za stawem nadleciały trzy kule i przebiły brązowy kapelusz nasadzony na środkowy palec naczelnika, w powietrzu uniosły się

trzy smużki siwego dymu. Kapelusz sfrunął z ręki naczelnika, jakby chwycił go jakiś demon, i wylądował na ziemi, wciąż się obracając.

Gdy wybrzmiał huk, od strony tłumu dało się słyszeć westchnienia i gwizdy. Ktoś krzyknął:

– To Plamista Szyja!

– To Trzykroć Kiwający Głową Feniks!

Naczelnik Cao schował się pod stołem.

– Spokój! Zachować spokój! – wołał.

Ludzie wzywający z przerażenia ojców i matki rozbiegli się jak spłoszone zwierzęta.

Młody Yan czym prędzej odwiązał źrebaka od wierzby, wyciągnął naczelnika Cao spod stolika i wsadził na konia, po czym przyłożył zwierzęciu podeszwą buta w zad. Żrebak z nastroszoną grzywą i sterczącym ogonem pomknął jak błyskawica, a żołnierze, oddawszy kilka przypadkowych strzałów w kierunku pola sorga, niczym stado os rzucili się w pościg za zadkiem naczelnikowego wierzchowca.

Nad stawem zapanowała niepokojąca cisza.

Babka z poważną miną, trzymając dłoń na łbie osiołka, zwróciła się twarzą w stronę, z której nadleciały kule. Pradziad wcisnął się pod brzuch osła i zakrył dłońmi uszy. Wuj Luohan nadal stał w oddaleniu, bez ruchu, z jego ubrania unosiła się siwa para.

Woda w stawie była spokojna jak zawsze. Białe lotosy zachwycaly urodą, rozpościerając jędrne, jakby wyrzeźbione w kości słoniowej płatki.

Sołtys Pięć Małp, z twarzą i nosem sinymi i opuchniętymi od bicia podeszwą buta, zawołał skrzekliwie:

– Zostawcie mnie! Zostawcie! Plamista Szyjo, ratuj!

W odpowiedzi na jego wrzaski rozległy się kolejne trzy wystrzały. Babka na własne oczy widziała, jak trzy kule przebijają czaszkę sołtysa. Wraz z hukiem wystrzałów włosy stanęły mu dęba w trzech miejscach. Upadł, ustami dotykając ziemi, a z celującej w niebo potylicy popłynęła szara ciecz.

Twarz babki nawet nie drgnęła, nadal wpatrywała się w sorgo, jakby na coś czekała. Podmuch wiatru zmarszczył lustro wody, zakołysał lotosami, promienie słońca załamały się na falach. Połowa siedzących na wierzbach wron zerwała się w powietrze i obsiadła ciała Shanów, reszta została na gałęziach, pokrakując obojętnie. Pióra ich ogonów rozpościerały się na wietrze niczym wachlarze, odsłaniając siną skórę.

Z gęstwiny zboża wyłonił się postawny mężczyzna i okrążył staw, idąc wzdłuż brzegu. Miał na sobie pelerynę, która sięgała mu do kolan, a na głowie stożkowaty kapelusz upleciony z liści sorga, pokryty żółtawą warstwą oleju tungowego. Na sznurek, który służył do przytrzymania kapelusza, nawleczone były szklane koraliki szmaragdowej barwy. Szyję miał obwiązaną chustką z czarnego jedwabiu. Podeszedł do martwego sołtysa i zmierzył go wzrokiem. Następnie zbliżył się do leżącego na ziemi kapelusza naczelnika Cao, podniósł go, zakręcił nim parę razy na lufie pistoletu i rzucił w powietrze – kapelusz poszybował równo, wciąż kręcąc się wokół własnej osi, aż w końcu opadł łukiem do wody.

Mężczyzna spojrzał prosto na moją babkę, a ona na niego.

– Shan Bianlang spał z tobą? – zapytał.

– Spał – odparła babka.

– Skurwysyn! – zaklął mężczyzna, odwrócił się i ruszył z powrotem w stronę pola.

Wuj Luohan po tym wszystkim, co rozegrało się przed jego oczyma, miał kompletny zamęt w głowie.

Ciała starego i młodego szefa obsiadły wrony i twardymi, stalowoszarymi dziobami wyjadały im oczy.

Wujowi Luohanowi przypominały się wydarzenia wczorajszego dnia, gdy przyszedł na wielki targ Gaomi, by złożyć skargę. Naczelnik Cao kazał mu pójść ze sobą do siedziby władz powiatowych. W głównej sali, przy zapalonych świecach, rozmawiali we dwóch, pogryzając rzodkiew. Wczesnym rankiem następnego dnia wuj Luohan na grzbiecie czarnego muła poprowadził naczelnika do Północno-Wschodniego Gaomi. Naczelnik dosiadał czarnego żrebaka. Za żrebakiem podążał Młody Yan i dwudziestu paru żołnierzy. Około dziesiątej byli już w wiosce. Naczelnik obejrzał miejsce zbrodni, po czym wezwał sołtysa Shana ięć Małp, kazał mu zebrać wszystkich wieśniaków i zorganizować wyłowienie zwłok.

Powierzchnia wody lśniła jak wypolerowana, trudno było ocenić jej głębokość. Naczelnik Cao kazał Shanowi Pięć Małp wyłowić zwłoki, ten jednak cofnął się i odparł, że nie umie pływać. Wuj Luohan zebrał się na odwagę i powiedział:

– Panie naczelniku, to moi szefowie, więc ja powinienem ich wyciągnąć.

Poleciał jednemu z parobków, by pobiegł po butelkę wódki. Natarł całe ciało alkoholem i wskoczył do wody. Była głęboka na długość bambusowego drąga. Wuj Luohan zaczerpnął spory haust powietrza, zanurzył się i dotknął palcami stóp ciepłego, miękkiego mułu. Nurkował, macając dookoła to tu, to



tam, ale bez rezultatu. Wypłynął więc, wziął głęboki oddech i zanurkował jeszcze głębiej. Woda w głębinie była chłodniejsza. Otworzył oczy, lecz nie zobaczył nic poza żółtą barwą. W uszach mu szumiało. Jak przez mgłę dostrzegł, że pod pływa do niego coś dużego. Wyciągnął rękę w tę stronę – coś ukuło go boleśnie w palec, jak żądło osy. Otworzył usta do krzyku i połknął łyk wody, która miała smak krwi. Niewiele myśląc, zamachał co sił rękoma i nogami, wynurzył się czym prędzej na powierzchnię, podpłynął do brzegu, wyszedł z wody i usiadł na ziemi, chwytając nerwowo powietrze.

– Znalazłeś ich? – spytał naczelnik Cao.

– Nie... Nie znalazłem... – odparł wuj Luohan z pobladłą twarzą. – Tam w wodzie... Coś dziwnego...

Naczelnik Cao spojrział na staw, zdjął kapelusz i zakręcił nim na palcu dwa kółka. Następnie włożył go z powrotem, odwrócił się i przywołał dwóch żołnierzy.

– Wrzucie tam jakąś bombę – polecił.

Młody Yan przepędził wieśniaków dwadzieścia parę kroków od brzegu.

Naczelnik Cao usiadł za stołem.

Dwaj żołnierze ułożyli się na brzegu, strzelby umieścili obok, po czym każdy z nich wyjął zza pasa czarny granat w kształcie melona kantalupa, wyciągnął zawleczkę, stuknął nim o kolbę strzelby i cisnął do stawu. Czarne granaty, obracając się wokół własnej osi, wpadły do wody, wzbudzając na jej powierzchni nieskończoną liczbę kolistych fal. Żołnierze czym prędzej schylili głowy i przycisnęli je do ziemi. Zapadła cisza – nawet ptaki się nie odzywały. Minęła dłuższa chwila, lecz w wodzie nic się nie wydarzyło. Gdy koncentryczne fale dotarły do brzegu, woda znowu stała się gładka i tajemnicza jak lustro z brązu.

– Rzucić następne! – wycedził przez zęby naczelnik.

Żołnierze wyjęli kolejne dwa granaty i powtarzając dokładnie tę samą procedurę, wrzucili je do wody. Granaty świszczwały w locie, za nimi ciągnęły się smużki białego dymu. Gdy zderzyły się z wodą, dwa stłumione grzmoty wytoczyły się z głębin na powierzchnię. Ze stawu wystrzeliły dwa słupy wody, wysokie na pięć metrów, rozczapierzyły się u szczytu i podobne do oszronionych drzew zastygły, migocząc, po czym runęły z hukiem w głębie.

Naczelnik Cao ruszył biegiem ku brzegowi, za nim podążyli wieśniacy. W stawie nadal kłębiły się dwie bulgoczące chmury. Kiedy woda się uspokoiła, w głębinie pokazały się strumienie bąbelków, które dotarwszy na powierzchnię, pękały, wraz z nimi wynurzyło się brzuchami do góry kilkadziesiąt dorodnych srebrnych karpia o niebieskawych grzbietach. Gdy fale ustały, dokoła rozeszła

się paskudna woń. Słońce znów rozświetliło powierzchnię wody – białe lotosy o lekko drżących łodygach i liściach unosiły się na niej nadal z niezrównanym wdziękiem i niezmaconym spokojem. Blask padł także na wieśniaków, twarz naczelnika Cao zaczęła lśnić. Wszyscy patrzyli wyczekująco, z ponurymi minami, wyciągając szyje, na coraz bardziej nieruchomą wodę stawu.

Nagle ze środka wynurzyły się z bulgotem dwa strumienie różowych bąbli. Wszyscy wstrzymali oddech, nasłuchując, jak pękają jeden po drugim, dotknawszy powierzchni. W blasku słońca woda pokryła się jakby warstwą złotych muszelek, oślepiając patrzących, po chwili jednak nadpłynął ciemny obłok i zasłonił słońce, a złoto ustąpiło miejsca szmaragdowej zieleni. W ślad za strumieniami bąbelków z głębiny zaczęły się wyłaniać dwa czarne przedmioty. Bliżej powierzchni przyspieszyły i nad wodę wychynęły dwie wypukłe pary pośladków. Następnie, jedno po drugim, ciała Shanów odwróciły się, wystawiając napuchnięte brzuchy ku niebu. Ich twarze pozostały zanurzone tuż pod powierzchnią, jakby wstydziły się je pokazać.

Naczelnik kazał wyciągnąć trupy z wody. Posłał jednego z parobków z gorzelni po długi kij zakończony żelaznym hakiem. Tym kijem wuj Luohan złapał nogi obu Shanów – hak wbijał się w mięso z trzeszczącym odgłosem, wszystkim wokoło ślina zebrała się wokół zębów, jakby jedli kwaśne morele – i powoli przyciągnął oba ciała do brzegu.

Osiólek podniósł głowę ku niebu i zaryczał.

– I co teraz zrobimy, młoda pani? – spytał wuj Luohan.

Babka zastanowiła się.

– Niech nasi ludzie pójda do stolarza po jakieś lekkie trumny, żebyśmy mogli ich czym prędzej pogrzebać. Trzeba wyszukać miejsce na grób, im szybciej, tym lepiej. Jak skończycie, przyjdź do zachodniego skrzydła, muszę z tobą porozmawiać – zarządziła.

– Tak jest, młoda pani – odparł wuj Luohan z szacunkiem.

Wuj Luohan wraz z kilkunastoma parobkami złożył ciała starego i młodego szefa do trumien i pogrzebał na sorgowym polu. Pracowali szybko, w całkowitym milczeniu. Gdy skończyli, słońce chyliło się ku zachodowi. Wrony kołowały nad grobem, słoneczna poświata zabarwiała ich skrzydła na purpurowo.

– Chłopaki, wracajcie i czekajcie na mnie. Nie mówcie za wiele i nic nie róbcie, póki nie powiem – poleciał wuj Luohan i poszedł na zachodni dziedziniec, by wysłuchać poleceń swojej babki.

Babka siedziała po turecku na kocu, który zdjęła z oślego grzbietu. Pradziadek karmił zwierzę trzymanym w ręku wiechciem siana.

– Już skończyliśmy, proszę pani – powiedział wuj Luohan. – To są klucze, które nosił przy sobie starszy pan.

– Zatrzymaj je na razie. Powiedz mi, czy można gdzieś tu we wsi kupić nadziewane bułeczki? – spytała babka.

– Można.

– Więc kup dwa koszyki, rozdaj ludziom. Kiedy się posilą, każ im tu przyjść. Mnie też przynieś dwadzieścia.

Wuj Luohan wrócił z dwudziestoma bułeczkami owiniętymi w świeże liście lotosu. Babka wzięła je.

– A teraz idź do wschodniego skrzydła i dopilnuj, żeby szybko zjedli – poleciła.

Wuj Luohan wycofał się, mamrocząc podziękowania.

Babka postawiła swoje bułki przed pradziadkiem i oznajmiła:

– Masz na drogę!

– Jiu'er... Córeczko! – zaprotestował pradziadek.

– Odejdź stąd i nie zawracaj mi głowy!

– Jestem twoim rodzonym ojcem! – rozgniewał się pradziadek.

– Nie jesteś moim ojcem. Od dziś nie masz wstępu do tego domu!

– Jestem twoim ojcem!

– Moim ojcem jest naczelnik Cao, nie słyszałeś?

– Hola, tak łatwo ci nie pójdzie! Ledwie znalazłaś sobie nowego tatusia, już wypędzasz starego? Myślisz, że mnie i matce łatwo było cię wychować?

Babka cisnęła mu w twarz zawiniątkiem z bułkami, jakby to był granat.

Pradziadek, ciągnąc za sobą osła, pospieszył do bramy, przeklinając i pomstując:

– Ty bękarcie! Ty wyrodny, niewdzięczny pomioście! Pójdę do powiatu, złożę na ciebie skargę, że nie szanujesz własnej rodziny! Ze się skumałaś z jakimś bandytą! Uknęłaś morderstwo własnego męża!

Wrzaski pradziadka stopniowo milkły w oddali. Tymczasem wuj Luohan przyprowadził na dziedziniec trzynastu parobków.

Babka przyglądała dłonią włosy i poprawiła ubranie, po czym oświadczyła uroczyście:

– Panowie, ciężko się napracowaliście! Ja jestem młoda, nie mam doświadczenia w gospodarowaniu. Liczę na to, że mi w tym pomożecie. Wuj Luohan, służyłeś temu domowi ponad dziesięć lat. Od dziś prowadzenie gorzelni będzie twoim zadaniem. Stary i młody pan odeszli, musimy więc sprzątnąć ze stołów i nakryć je na nowo. W powiecie mamy mojego przybranego ojca, który będzie nas wspierał, nie będziemy też szukać zwady z naszymi przyjaciółmi z zielonych lasów. Jeśli będziemy traktowali uczciwie każdego klienta – i tych z naszej wioski, i kupców z daleka – to jestem pewna, że interes będzie szedł jak dawniej. Przez trzy dni – jutro, pojutrze i popojutrze – gorzelnia nie będzie pracowała, a wy wszyscy pomożecie mi wysprzątać dom. Rzeczy, których używał stary i młody pan, spalimy, a to, czego nie da się spalić, pogrzebiemy. A dziś odpoczywamy. Co ty na to, wuju Luohanie?

– Zrobimy, co młoda pani każe – odparł Luohan.

– A może ktoś nie ma ochoty? Nikogo nie będę zatrzymywała. Jeżeli komuś nie odpowiada praca u szefa kobiety, niech poszuka sobie innego zajęcia.

Mężczyźni spojrzeli po sobie.

– Będziemy pracować u pani – potwierdzili wszyscy.

– No to możecie już iść – zakończyła babka.

Parobcy zebrali się w bocznej izbie we wschodnim skrzydle, rozmawiając z ożywieniem.

– Idźcie już spać. Jutro musimy wstać wcześniej – powiedział wuj Luohan.

Późną nocą, kiedy wuj Luohan poszedł dołożyć paszy mułom, usłyszał dobiegające z zachodniego skrzydła łkanie babki.

Wczesnym rankiem następnego dnia Luohan wstał i wyszedł za bramę, by się rozejrzeć. Wejście do zachodniego skrzydła było zamknięte na głucho, na dziedzińcu panowała cisza. Wrócił więc do wschodniego skrzydła i wszedł na stołek, by zajrzeć do środka. Babka siedziała na rozłożonym na ziemi pośłaniu i spała, oparta plecami o mur.

W ciągu następnych trzech dni domostwo Shanów zostało przewrócone do góry nogami. Wuj Luohan i parobcy, spryskawszy się wódką od stóp do głów, wynieśli na podwórze wszystko, co należało do starego i młodego Shana: pościel, ubrania, naczynia i nakrycia, przybory do szycia i inne drobiazgi – i rzucili na ziemię. Następnie oblali stos wódką i podpalili. To, czego nie udało się spalić, wrzucili do głębokiego dołu i zakopali.

Kiedy dom został opróżniony, wuj Luohan przyniósł babce pęk mosiężnych kluczy w czarce pełnej alkoholu.

– Oto klucze, proszę pani. Były moczone w wódce trzy razy – powiedział.

– Wuju, te klucze teraz będą pod twoją opieką. Mój majątek jest teraz także twoim majątkiem. Wuj Luohan poczuł taki lęk, że nie mógł wydobyć słowa.

– Wuju, to nie jest czas na odmowę. Idź, nakup płótna i wszystkiego, co potrzebne do urządzenia domu, zamów nową pościel, moskitiery. O pieniądze się nie martw. I każ ludziom wziąć wódkę i spryskać wszystko: dom w środku i od zewnątrz, ściany, mury,

– Ile wódki mają zużyć? – spytał wuj Luohan.

– Niech wezmą tyle, ile trzeba.

Mężczyźni skąpali więc niebo i ziemię w alkoholu, a babka stała uśmiechnięta w oparach wódki.

Na wielką dezynfekcję zużyto dziewięć kadzi. Na koniec babka kazała parobkom wziąć świeże płótno, zamoczyć w wódce i powycierać wszystko, co się dało, przynajmniej trzy razy. Następnie pobielili ściany wapnem, pomalowali drzwi i okna, na kangu rozłożyli świeżą słomę i nowe maty. Zbudowali nowe niebo, nową ziemię – nowy świat.

Po skończonej pracy babka wręczyła każdemu z mężczyzn po trzy srebrne dolary.

Pod kierownictwem mojej babki i wuja Luohana gorzelnia wkrótce zaczęła działać pełną parą.

Po dziesięciu dniach od wielkiego odkażania dom przestał wydzielać woń alkoholu, a zapach wapna wprawiał wszystkich w dobry nastrój. Zadowolona babka poszła do wioski, gdzie w sklepiku z różnościami kupiła nożyczki, czerwony papier, igły i nici, i mnóstwo różnych innych kobiecych przyborów. Wróciwszy do domu, usiadła na kangu przy wyklejonym nowym, białym papierem oknie i zabrała się do robienia ozdobnych wycinanek. Od dziecka odznaczała się bystrością i zręcznością. Kiedy jako młoda dziewczyna mieszkała w domu rodziców i zajmowała się wycinaniem i haftowaniem w towarzystwie dziewcząt z sąsiedztwa, zawsze przewyższała je swoimi umiejętnościami. Moja babka była wybitną artystką ludową i bardzo się przyczyniła do rozwoju sztuki wycinanek w Północno-Wschodnim Gaomi.

Gaomijskie wycinanki były kunsztownie wykrojone, pełne prostoty i wigoru, ich oryginalny styl miał w sobie nieskrępowaną moc, niczym niebiański rumak galopujący wśród przestworzy.

Babka ujęła nożyczki i wycięła z czerwonego papieru kwadrat. Nagle poczuła się jak rażona gromem – jej serce ogarnęło wielkie wzburzenie. Ciałem pozostała na kangu, jej serce jednak wyfrunęło przez okno i poszybowało niczym gołąb nad rozległymi jak morze polami sorga... Od dzieciństwa jej życie upływało w zamknięciu, we wnętrzu domu, w odcięciu od świata. Kiedy dorastała, słuchała rodziców i swatki, którzy chcieli jak najszybciej wydać ją za mąż. Przez ostatnich kilkanaście dni wszystko wywróciło się do góry nogami: wicher smagał lotosy, deszcze biły w wodną rzesę, w stawie wśród podartych liści – para kaczek mandarynek... W ciągu tych kilkunastu dni serce mojej babki zostało skąpane w miodzie, zanurzone w wodzie z lodem, gotowało się we wrzątku i moczyło w wódce z sorga – poznało setki smaków, odniosło tysiące ran. Babka miała nadzieję, czekała na coś – nie wiedziała jednak na co. Chwyciła nożyczki, niepewna, co dalej. Jej dawne marzenia i fantazje zostały zniweczone przez cały ten łańcuch zaskakujących wydarzeń. Gdy starała się przenieść w świat wyobraźni, usłyszała dobiegające znowo wczesnojesiennych łąk i przepojonych alkoholową wonią pól sorga melancholijne cykanie świerszczy. Zobaczyła w myślach jasnozielonego, drobnego owada, który przycupnięty na jasnoczerwonym kłosie wibruje delikatnymi czułkami i porusza skrzydełkami. W jej głowie zabłysła nowa, odważna wizja: oto świerszcz wydostał się ze swojej pięknej klatki i usiadł na jej szczycie, trąc skrzydełkami i śpiewając.

Kiedy babka skończyła wycinać świerszcza, który uciekł z klatki, stworzyła jelenia z kwitnącą śliwą. Zwierzę z ukwieconym drzewem na grzbiecie, z podniesioną głową i wypiętą pierśią, wędruje po świecie wolności w poszukiwaniu szczęśliwego życia, pozbawionego trosk i ograniczeń.

Dokonujący wielkich czynów nie dbają o drobnostki, ludzie wielkiej kultury nie obawiają się drobnych uchybień. Aspiracje babki sięgały wyżej niż niebo, a jej życie było kruchsze niż najcieńszy papier. Nie bała się buntu, nie unikała walki, wszystko przewyciężała jej wewnętrzna jedność. W rozwoju ludzkiej osobowości bez wątpienia istotne są tak zwane warunki obiektywne. Jeśli jednak nie ma warunków wewnętrznych, żadne zewnętrzne warunki obiektywne na nic się nie zdadzą. Jak powiedział przewodniczący Mao: „Ciepło może sprawić, by kurczak wylął się z jaja, nie może jednak spowodować, by wylął się z kamienia”. Konfucjusz powiedział: „Nie da się rzeźbić ze spróchniałego drewna, a ściany ulepionej z gnoju nie można zabrudzić”. Sądzę, że chodziło im o to samo.

Niezwykłe pomysły mojej babki świadczą niezbicie o tym, że była kobietą wyjątkową. Tylko ona miała tyle odwagi, by umieścić kwitnącą śliwę na grzbiecie jelenia. Ilekroć oglądam jej wycinanki, mój podziw dla niej rośnie. Gdyby parała się literaturą, zawstydziłaby niejednego wielkiego pisarza. Była Stwórczynią o złotych ustach i jadeitowych zębach. Powiedziała: świerszcz

wydostał się z klatki, i świerszcz się wydostał. Powiedziała: śliwa wyrosła na grzbiecie jelenia – i śliwa wyrosła.

Babciu, w porównaniu z tobą jestem mizerny jak wesz, która głodowała przez trzy lata.

Tnąc papier, babka nagle usłyszała, jak główna brama otwiera się ze skrzypnięciem. Jakiś znajomy, lecz obco brzmiący głos zawołał z podwórza:

– Szefowo, potrzebujecie ludzi do roboty?!

Nożyczki wyśliznęły się z dłoni babki i upadły na kang.

## 7

Ojciec, obudzony przez swojego dziadka, zobaczył na wale długiego, wijącego się smoka, który zbliżał się ku nim jak na skrzydłach. Dziarskie okrzyki zabrzmiały spod niesionych w górze pochodni, a ojciec zastanawiał się, jak to możliwe, że widok tej skręcającej się linii płomieni tak poruszył dziadka – mężczyznę, który potrafił bez mrugnięcia okiem zabić człowieka. Dziadek płakał głośno, siąkając nosem.

– Douguan... – wyjąkał. – Synku... To ludzie z naszej wioski...

Otoczył ich tłum liczący parę setek ludzi: młodych i starych, mężczyzn i kobiet. Ci, którzy nie mieli pochodni, nieśli motyki, łopaty i kije. Najlepsi przyjaciele ojca przepchali się na sam przód, trzymając pochodnie zrobione z sorgowej słomy, owinięte na końcach bawełnianą watą nasączoną olejem sojowym.

– Komendancie Yu, zwyciężył pan!

– Komendancie Yu, zarżnęliśmy cielaki, świnie i owce na ucztę, czekając, aż wrócą nasi bracia!

Dziadek padł na kolana przed tymi uroczystymi, świętymi pochodniami, które oświetlały wodę meandrującej rzeki i majestatyczne łąny zbóż, i powiedział łamiącym się głosem:

– Rodacy! Ja, Yu Zhan'ao, jestem winny wielkiej zbrodni – przegrałem z Ospowatym Lengiem, dałem się nabrać na jego zdradziecką intrygę... Nasi bracia... wszyscy zginęli w bitwie!

Pochodnie ścisnęły się jeszcze gęściej, dym uleciał wyżej w niebo, płomienie migotały niespokojnie. Krople rozgrzanego oleju, skwiercząc i rysując w powietrzu czerwone linie, ściekały w dół i żarzyły się dalej na ziemi. U stóp tłumy na wale rozkwitały ogniste kwiaty. Od strony pół dobiegło wycie lisa. Zwabione światłem ryby stłoczyły się pod powierzchnią wody, kaczki

pokwakiwały. Nikt nie mógł wydobyć słowa. Wśród syku płomieni dał się słyszeć jakby głuchy grzmot, toczący się ku nim z głębi pól sorga.

Jakiś mężczyzna o twarzy ciemnej jak czarna farba i śnieżnobiałej brodzie, jednym okiem dużym, a drugim małym, oddał swoją pochodnię stojącemu obok człowiekowi, wsunął ręce pod ramiona dziadka i powiedział:

– Proszę wstać, komendancie Yu, proszę wstać!

– Proszę wstać, komendancie Yu, proszę wstać! – zawtórował mu tłum.

Dziadek podniósł się z wolna; mięśnie jego ramion rozgrzały się pod dotykiem gorących dłoni starca.

– Chodźmy na most, rodacy – zaproponował dziadek.

Dziadek i ojciec otwierali pochód, ludzie z pochodniami podążyli za nimi. Przez całą drogę, aż do pola walki wokół mostu, blask płomieni oświetlał zasnutą oparem koryto rzeki i połacie sorga. Kilka zielonkawych obłoków strzegło krawędzi tragicznie krwistoczerwonego sierpu księżyca. Światło pochodni padło na most i kilka zniszczonych ciężarówek, rzucających posępne cienie. Nad zasłanym trupami polu bitwy przez głęboki, wszechogarniający zapach sorga i długo płynącej wody przebijała się intensywna woń krwi zmieszana z odorem spalenizny.

Kilkadziesiąt kobiet zaczęło rozpaczliwie lamentować, gorący olej z sorgowych pochodni kapał na ręce i stopy ludzi. Twarze mężczyzn w blasku ognia przypominały rozgrzaną do czerwoności stal. Biały kamienny most nabrał barwy jaskrawego szkarłatu i wyglądał jak wysoki łuk tęczy. Starzec z czarną twarzą i białą brodą zawołał głośno: – Czemu płaczecie? Czyż to nie było wielkie zwycięstwo? W Chinach mieszka czterysta milionów ludzi. Gdyby tak stanąć naprzeciw Japończyków jeden na jednego, to jak myślicie, ilu ludzi może wystawić przeciwko nam ten mały kraik? Gdyby tak sto milionów Japończyków zgładziło sto milionów Chińczyków, to zostanie nas jeszcze trzysta milionów! Czy nie oznacza to wielkiego zwycięstwa? To był ogromny sukces, komendancie Yu!

– Wuju, mówicie to tylko po to, by mnie pocieszyć – odparł dziadek.

– Skądże, panie komendancie. To naprawdę wielkie zwycięstwo. Wydaj nam tylko rozkaz, a my go wykonamy. Chiny mogą niczego nie posiadać, ale ludzi mają mnóstwo.

Dziadek stanął prosto.

– Ludzie! Pozbierajcie zwłoki naszych braci! – rozkazał.

Tłum się rozszedł. Pozbierano zwłoki żołnierzy leżących na polach sorga po obu stronach drogi i złożono je na wale bliżej zachodniego końca mostu, w



długim rzędzie, głowami na południe, nogami na północ. Trzymając mego ojca za rękę, dziadek ruszył wzdłuż rzędu ciał, licząc, je. Był tam Wang Wenyi i jego żona, Fang Szósty, Fang Siódmy, Trębacz Liu, Gruźlik Czwarty... Ciąg twarzy, znajomych i nieznajomych. Strumienie łez ciekły po drżącej, pobrużdżonej twarzy dziadka, w blasku płomieni przypominały roztopioną stal.

– Gdzie jest Niemowa? – spytał dziadek. – Douguan, widziałeś gdzieś wujka Niemowę?

Mój ojciec natychmiast przypomniał sobie, jak Niemowa obcina swoim ostrym długim nożem głowę Japończykowi i jak głowa ta, wrzeszcząc, wlatuje w powietrze.

– Na ciężarówce – powiedział.

Pochodnie otoczyły jeden z wozów. Wskoczyło nań trzech mężczyzn i przerzuciło zwłoki Niemowy przez poręcz. Dziadek podbiegł i dźwignął martwe ciało, zaraz też znalazło się dwóch innych ludzi, z których jeden podtrzymał głowę zmarłego, drugi nogi. Z wysiłkiem wspięli się na wał. Niemowę położyli na wschodnim końcu rzędu zwłok. Był zgięty w pasie i wciąż trzymał w ręku zakrwawiony długi nóż, a jego oczy i usta były otwarte jak do krzyku.

Dziadek ukląkł i nacisnął mocno na klatkę piersiową i kolana zmarłego, aż kręgosłup Niemowy wyprostował się z trzaśnięciem. Próbował odebrać mu nóż, lecz bez skutku, zdołał tylko przywieść jego ramię do tułowia, by broń znalazła się przy nodze. Jakaś kobieta uklękła obok i masowała powieki Niemowy.

– Zamknij oczy, bracie, zamknij oczy, komendant Yu pomści twoją śmierć... – przemawiała.

– Tato, mama leży tam, na polu... – powiedział płacząco mój ojciec.

– Idź... – odparł dziadek i wzmocnił swoje słowa gestem. – Weź kilku ludzi i przynieście ją tutaj.

Ojciec wszedł na pole, a za nim kilku wieśniaków z pochodniami. Gorący olej kapał na gęsto rosnące sorgo – na wpół wyschnięte liście z urazą zajmowały się ogniem, po czym całe źdźbła z ochryplym jękiem ciężko schylały głowy.

Ojciec odgarnął zboże, odsłaniając ciało babki, która leżała na wznak z twarzą zwróconą ku dalekiemu, rozgwieżdżonemu, niepowtarzalnemu niebu Północno-Wschodniego Gaomi. Żegnając się z życiem, babka zawołała ku Niebiosom z głębi swojej duszy, a Niebiosy odpowiedziały jej przeciągłym, wzruszonym westchnieniem. Po śmierci jej twarz pozostała piękna jak jadeit, a między rozchyłonymi wargami lśniły czyściutkie zęby, ozdobione podobnymi do pereł ziarnami sorga, które wypadły z zielonych dzióbek białych gołębi.

Przebita kulami pierś wznosiła się dumnie, pełna pogardy dla wszelkich zasad i wzniosłych nauk> ucieleśniając siłę i wolność, wielkość życia i wspaniałość miłości. Jej pamięć żyć będzie wiecznie!

Zbliżył się dziadek, zwłoki babki otoczyło kilkadziesiąt pochodni. Przypalane płomieniami liście drżały, w zbożu wił się ognisty wąż. Widok cierpiących kłosów był trudny do zniesienia.

– Przenieście ją – powiedział.

Grupka młodych kobiet dźwignęła ciało babki. Pochodnie prowadziły pochód i oświetlały go z lewej i z prawej strony. Pole sorga przypominało krainę nieśmiertelnych, każdą z ludzkich postaci otaczała niezwykła poświata.

Zwłoki babki zostały zaniesione na wał i złożone na zachodnim końcu rzędu.

Mężczyzna o czarnej twarzy i siwej brodzie zapytał dziadka:

– Komendancie Yu, skąd weźmiemy tyle trumien? Dziadek zastanowił się.

– Nie będziemy zabierać ich z powrotem, trumny nam niepotrzebne. Pochowamy ich tu, na sorgowym polu. Potem, kiedy już odbuduję oddział, urządzę naszym braciom uroczyste pożegnanie!

Starzec kiwnął głową z aprobatą. Zwołał kilku ludzi i kazał im sporządzić więcej pochodni, jako że mieli pracować jeszcze długo w noc przy grzebaniu zwłok.

– Przy okazji przyprowadźcie trochę zwierząt – dodał dziadek – żebyśmy mogli ściągnąć tę ciężarówkę.

Kopanie grobów przy światłach pochodni trwało do północy. Dziadek kazał ludziom naciąć sorga, by wyמוścić nim doły, a potem przykryć ciała przed usypaniem kopców grobowych.

Babka została złożona w grobie na końcu. Po raz kolejny sorgo okryło jej ciało. Ojciec patrzył, jak ostatnie źdźbło zasłania jej twarz. Krzyknął w duchu, a w jego zbolalym sercu otworzyła się kolejna głęboka rana, która nie zabiłżniła się nigdy przez całe jego długie życie. Pierwszą garść ziemi rzucił dziadek. Grudy czarnej gleby uderzały z hukiem w warstwę zboża niczym bomby, po czym wpadały w szczeliny między źdźbłami z szelestem, który przypominał świst przecinających powietrze odłamków. Serce ojca w jednej chwili skurczyło się, jakby krew trysnęła z owej świeżo otwartej rany. Przygryzł dolną wargę dwoma ostrymi siekaczami.

Nad grobem babki usypano kopiec. W polu wznosiło się ich pięćdziesiąt. Starzec zawołał:

– Rodacy! Na kolana!

Wszyscy starsi mieszkańcy wsi poklękali obok siebie przed świeżymi mogiłami, wielki płacz wstrząsnął całym polem. Pochodnie powoli się dopalały. Na południowym krańcu nieba zabłysła spadająca gwiazda, jej oślepiające światło przygasło dopiero wtedy, gdy zniknęła za zasłoną zbóż.

Zmieniono pochodnie przed świtem, gdy mleczny blask wody zaczął przebijać się przez nadrzeczne opary. Przyprawione w nocy stadko kilkunastu zwierząt skubało żdźbła sorga i chrupało kłosa.

Dziadek kazał ludziom ściągnąć z drogi połączone brony, a pierwszą ciężarówkę z poprzebijanymi oponami zepchnąć najpierw z mostu na drogę, a potem do rowu po wschodniej stronie. Sam zaś wziął strzelbę, wycelował w bak z paliwem i wypalił. Setki śrutowych kulek wielkości ziaren sorga wybiły w nim mnóstwo dziur, przez które trysnęła benzyna. Wtedy dziadek wziął z czyjejs ręki pochodnię, cofnął się o kilka kroków, wymierzył i rzucił. Biały płomień wystrzelił w górę niczym wielkie drzewo, rama wozu zajęła się błyskawicznie, blachy i stalowe pręty gięły się i skręcały w ogniu.

Dziadek kazał ludziom zepchnąć z mostu na drogę także drugą, załadowaną ryżem, nienaruszoną ciężarówkę. Spalone wozy trzeci i czwarty wrzucono do rzeki. Piątej ciężarówce, która cofnęła się z mostu na drogę, także przestrelono bak i podpalono – w okamgnieniu zamieniła się w słup ognia. Na moście został tylko popiół i spalone resztki. Po południowej i północnej stronie rzeki dwa wielkie płomienie biły w niebo, od czasu do czasu dały się słyszeć huk wybuchających pocisków. Płonące na ciężarówkach trupy Japończyków skwierczały, wydzielając tłuszcz i woń pieczonego mięsa, która mieszała się ze wstrętnym odorem unoszącym się w powietrzu. Ludzie czuli mdłości i drapanie w gardle. Starzec zapytał dziadka:

– Co pocznjemy z trupami tych diabłów, panie komendancie?

– Nie pochowamy ich w naszej ziemi, bo ją zatrują! – odparł dziadek. – Wrzucić w ogień? Też nie, bo zanieczyszczą nam powietrze. Najlepiej zepchnąć ich do rzeki, niech sobie płyną z powrotem do Japonii!

Trzydzieści ciał zwleczono na most na hakach, wśród nich trupa starego Japończyka, pozbawionego generalskiego munduru przez żołnierzy pododdziału Lenga.

– Kobiety, odwrócić się – polecił dziadek.

Wyciągnął swój krótki miecz, porozcinał spodnie Japończyków w kroku i obciął wszystkim genitalia. Następnie polecił kilku co twardszym wieśniakom włożyć owe precjoza martwym do ust, każdemu jego własne. Na koniec kilkunastu mężczyzn, parami, podniosło zwłoki tych zapewne przystojnych, młodych, silnych żołnierzy i na raz, dwa, trzy – z okrzykiem „Japońskie psy, płyńcie do domu!” – wrzuciło ich do wody. Wszyscy jednocześnie, z rodzowymi

klejnotami w ustach, poszybowali z mostu jak na skrzydłach, po czym cała ławica ruszyła na wschód.

Blady świt zastał mieszkańców wioski wyczerpanych i bez sił. Na obu brzegach rzeki ogień dogasał, a tam, gdzie nie sięgał blask płomieni, czarne niebo nabierało żywej, jadeitowozielonej barwy. Dziadek kazał ludziom uwiązać zwierzęta do przedniego zderzaka nienaruszonej, załadowanej ryżem ciężarówki. Zwierzęta nateżyły się, liny się napięły, osie zaskrzypiały i samochód popęzł naprzód niczym gigantyczny, niezgrabny żuk. Przednie koła skręcały raz w jedną, raz w drugą stronę, zamiast jechać prosto, dziadek kazał więc zatrzymać zwierzęta, otworzył drzwiczki szoferki i wskoczył do środka. Spróbował kręcić kierownicą tak, jak czynią to kierowcy. Zwierzęta ciągnęły, naprężone liny drgały, a dziadek za kierownicą próbował i kombinował – aż w końcu okazało się, że prowadzenie samochodu to żadna filozofia. Ciężarówka ruszyła prosto, a wieśniacy pełni obaw podążyli za nią. Dziadek, trzymając jedną ręką kierownicę, drugą macał dookoła, aż znalazł włącznik reflektorów. Dwa snopy światła wystrzeliły naprzód.

– Otworzyła oczy! Otworzyła oczy! – krzyknął ktoś z tłumu.

Reflektory oświetliły spory odcinek drogi. Świeciły tak jasno, że widać było każdy włos na grzbietach koni i mułów. Zadowolony dziadek zaczął naciskać, kręcić i przestawiać każdy przycisk, pokrętko i dźwignię, jaką znalazł, aż rozległ się przeraźliwy ryk klaksonu. Zwierzęta zastrzygły uszami i rzuciły się do galopu, jakby od tego miało zależeć ich życie.

„A więc umiesz też ryczeć!” – pomyślał dziadek.

Rozochocony przekręcił zapłon. Z brzucha samochodu dobył się głośny warkot, po czym wóz wyrwał się do przodu jak szalony, przewracając osły i woły, ciągnąc za sobą muły i konie. Dziadek tak się przeraził, że plecy i tors miał złane potem – oto wsiadł na grzbiet tygrysa i nie miał pojęcia, jak z niego zejść.

Wieśniacy zamarli z przerażenia na widok ciężarówki ciągnącej za sobą i obalającej na ziemię osły, woły, muły i konie. Wóz przejechał kilkadziesiąt metrów, po czym utknął w rowie po zachodniej stronie drogi, jęcząc i sapiąc; koła z boku kręciły się w powietrzu niczym wiatraki. Dziadek zbił szybę i wydostał się na zewnątrz, miał całkiem zakrwawioną twarz i rękę.

Gdy tak stał bez ruchu, wpatrując się w mechanicznego demona, nagle jego wargi rozciągnęły się w złośliwym uśmiechu.

Kiedy wieśniacy wyładowali ryż z ciężarówki, dziadek znowu przestrzelił bak, rzucił pochodnię i słup ognia wzniosł się w niebo.

Czternaście lat wcześniej Yu Zhan'ao ze zwiniętym w rulon materacem na plecach, ubrany w białą, wykrochmaloną płócienną kurtkę i spodnie stał na podwórzu naszego domu i wołał:

– Szefowo! Potrzebujecie ludzi do roboty?

Sto myśli kłębiło się w głowie babki, jej wrodzona intuicja skapitulowała. Upuściła nożyczki na kang i padła na wznak na nowiutką pościel z bordowego płótna.

Yu Zhan'ao, czując dochodzącą z wnętrza domu świeżą woń wapna i delikatny zapach kobiety, zebrał się na odwagę i otworzył drzwi przed sobą.

– Potrzebujecie ludzi, szefowo?

Babka leżała na kangu z zamglonym spojrzeniem.

Yu Zhan'ao rzucił na bok swój tobolek i wolnym krokiem podszedł do kangu. Jego serce w tej chwili bardzo przypominało ciepły staw, pełen pluskających się żab, z jerzykami śmigającymi tuż nad powierzchnią wody. Kiedy jego sinawy podbródek zbliżył się do twarzy babki na grubość cienkiego papieru, babka wyciągnęła rękę i wymierzyła mu klapsa w błyszczącą, szarawą ogoloną głowę. Następnie usiadła prosto, chwyciła nożyczki i krzyknęła:

– Kim ty jesteś? Na co sobie pozwalasz? Jak śmiesz wdzierać się do domu obcej kobiety i napastować ją?

Yu Zhan'ao cofnął się zaskoczony.

– Nie poznajesz mnie? – zapytał.

– A to co znowu za gadanie? Od małego siedziałam zamknięta w domu rodziców, od dnia, gdy wyszłam za męża, nie minęły nawet dwa tygodnie. Skąd mam cię znać?

Yu Zhan'ao uśmiechnął się.

– Dobra, niech ci będzie. Słyszałem, że potrzebujecie ludzi do pracy w gorzelni, to pomyślałem, że trochę popracuję, zarobię sobie na miskę ryżu.

– A nie boisz się ciężkiej pracy? Jak się nazywasz i ile masz lat?

– Nazywam się Yu, na imię mam Zhan'ao, mam dwadzieścia cztery lata.

– Zabierz materac i wyjdź stąd.

Yu Zhan'ao posłusznie wyszedł za bramę i czekał. Jak okiem sięgnąć, ziemia była spalona słońcem, a wiodąca na zachód droga do stolicy powiatu,

wciśnięta między zboże, wydawała się niezwykle wąska i długa. Resztki spalonych w pożarze liści sorga sprawiały, że niedawne wydarzenia stały się mu przed oczami jak żywe. Czekał za bramą dobre pół godziny, coraz bardziej się niecierpliwiąc, chciał już wrócić do środka i rozmówić się z tą kobietą, ale się nie odważył.

Tamtego dnia, gdy zabił Shanów, nie uciekł nigdzie daleko, lecz ukrył się wśród zboża i obserwował zamieszanie nad stawem. Nie mógł wyjść z podziwu, jak doskonale poradziła sobie babka – wiedział już, że mimo młodego wieku ma ostre zęby, jest przebiegła i niepokorna. Być może potraktowała go dziś w ten sposób, by nie narazić się na plotki. Począł jeszcze trochę, ale babka wciąż się nie zjawiała. Na dziedzińcu panowała cisza, słychać było tylko skrzeczenie sroki siedzącej na kalenicy. Fala gniewu uderzyła mu do głowy i już wchodził z powrotem przez bramę, gdy usłyszał głos babki zza papierowego okna:

– Zgłoś się do biura we wschodnim skrzydle!

Zrozumiawszy swój błąd – nie powinien pomijać bezpośrednich przełożonych – Yu Zhan’ao uspokoił się i zarzuciwszy tobolek na plecy, skierował się na wschodni dziedziniec, pełen kadzi z wódką i stosów sorga. W gorącej, zaparowanej gorzelni uwijali się pracujący mężczyźni. Wszedł do wielkiego namiotu i zagadnął jednego z parobków, który stojąc na wysokim stołku, ładował ziarno do wiadra zawieszzonego na linie nad młyńskim kołem:

– Hej, stary, kto tu jest kierownikiem?

Mężczyzna spojrzał na niego koso. Załadował zboże, zszedł ze stołka i trzymając w jednym ręku szufłę, a drugą odciągając na bok stołek, krzyknął na muła. Zwierzę z czarną zasłoną na oczach zaczęło obracać młyńskie koło, otoczone rowem wydeptanym przez jego kopyta. Zachrzącało, gęsty deszcz pokruszonych ziaren sypnął z szelestem spomiędzy kamieni na drewnianą tacę obok.

– Zarządca jest w sklepie – odparł mężczyzna, wskazując podbródkiem trzy pokoje na zachód od bramy.

Z materacem na plecach Yu Zhan’ao wkroczył przez tylne drzwi do domu i dostrzegł znajomą postać: stary mężczyzna siedział za kontuarem i liczył coś na liczydło. Obok liczydła stał mały dzbanek na wódkę ze szmaragdowej porcelany. Od czasu do czasu mężczyzna sięgał po niego i pociągał łyk.

– Kierowniku – zagadnął Yu Zhan’ao – potrzebujecie ludzi?

Wuj Luohan spojrzał na przybysza, zastanowił się i spytał:

– Na dłużej czy na tymczasem?

– Wedle potrzeby, kierownika. Im dłużej, tym lepiej.

– Jak na tydzień, dwa, to cię przyjmę. Ale jeśli szukasz stałej pracy, muszę mieć zgodę szefowej.

– No to spytaj ją o tę zgodę czym prędzej – zasugerował Yu Zhan’ao, po czym cofnął się i usiadł na taborecie.

Wuj Luohan opuścił deskę kontuaru i wyszedł tylnymi drzwiami, lecz zaraz wrócił, wziął dużą czarke o grubych ściankach, napełnił ją do połowy wódka, postawił na blacie i powiedział:

– Napij się, musisz być spragniony.

Yu Zhan’ao sączył napój, rozmyślając nad sprytem tej kobiety i wzdychając z podziwem. Wkrótce wuj Luohan wrócił ze słowami:

– Szefowa chce cię widzieć.

Kiedy weszli do zachodniego skrzydła, wuj Luohan polecił:

– Poczekaj tutaj.

Babka wyszła na podwórze krokiem eleganckim i godnym, energicznie zadała przybyszowi kilka pytań, po czym skinęła ręką i oznajmiła:

– Weźmy go, niech popracuje przez miesiąc na próbie. Ma mieć płacone od jutra.

Tak Yu Zhan’ao został pracownikiem naszej gorzelni. Był krzepki, zręczny, miał silne ręce i swoją pracę wykonywał znakomicie. Wuj Luohan nie mógł się go nachwalić. Kiedy minął pierwszy miesiąc, zawołał go do swojego kantorka i rzekł:

– Szefowa jest z ciebie zadowolona, więc możesz zostać. – Wręczył mu płócienne zawiniątko. – To dla ciebie, od szefowej – dodał.

Yu Zhan’ao odwinał pakunek. W środku była para nowiutkich płóciennych pantofli.

– Kierowniku, powiedz szefowej, że Yu Zhan’ao uprzejmie jej dziękuje.

– Idź i pracuj dobrze.

– Będę się starał – obiecał Yu Zhan’ao.

Kolejne dwa tygodnie szybko minęły, a Yu Zhan’ao powoli tracił cierpliwość. Szefowa codziennie zjawiała się we wschodnim skrzydle i robiła obchód, ale dopytując o różne rzeczy, zwracała się wyłącznie do wuja Luohana, nie przejmując się zbytnio pracującymi w pocie czoła mężczyznami – Yu Zhan’ao czuł się tym głęboko dotknięty.

Za rządów Shana i jego syna posiłki dla robotników gorzelnianych dostarczało kilka wiejskich jadłodajni. Kiedy babka przejęła interes, zatrudniła kobietę po pięćdziesiątce, którą wszyscy nazywali Babką Liu, oraz młodą dziewczynę, trzynasto-, może czternastoletnią, o imieniu Miłość. Obie mieszkały w zachodnim skrzydle i zajmowały się gotowaniem dla wszystkich. Do dwóch dużych psów babka dokupiła trzy średnie: jeden miał sierść czarną, drugi zielonkawą, a trzeci rudą. Zachodnie skrzydło zamieszkiwały więc już trzy kobiety i pięć psów – razem tworzyli całkiem gwarny mały światek. Nocą, ledwie wiatr zaszumiał w trawie, cała piątka zwierzaków podnosiła alarm – każdy intruz, nawet gdyby nie został zagryziony na śmierć, z pewnością śmiertelnie by się wystraszył.

Yu Zhan'ao pracował w gorzelnii już dwa miesiące. Dziewiąty miesiąc był w pełni, sorgo stało dojrzałe. Babka kazała wujowi Luohanowi wynająć kilku ludzi na tymczasem, żeby uporządkowali dziedziniec i przygotowali kadzie na ziarno, jako że zbliżał się czas skupu zboża. W tamtych dniach słońce stało wysoko na bezchmurnym niebie, powietrze było przejrzyste. Babka, ubrana od stóp do głów w biały jedwab, w czerwonych pantofelkach, z obraną z zielonej kory wierzbową witką grubości palca w rękę, krzątała się po podwórzu otoczona stadem psów. Na ten widok wieśniacy marszczyli brwi i robili dziwne miny, w jej obecności jednak nikt nie odważył się nawet pierdnąć. Yu Zhan'ao kilka razy próbował się do niej odezwać, ale babka wyniośle milczała.

Pewnego wieczoru Yu Zhan'ao wypił kilka czarek za dużo i trochę szumiało mu w głowie. Leżał na wspólnym kangu i przewracał się z boku na bok, nie mogąc zmrużyć oka. Światło księżyca wpadało do pokoju przez dwa okna. Dwóch parobków zasiadło przy lampce olejnej, cerując ubrania.

Stary Du, który grywał na *banhu*\*, wyciągnął swój instrument i zaczął wygrywać łzawe melodie – jego smyczek wprawiał serca słuchaczy w drżenie. Coś wisiało w powietrzu... Jeden z cerujących mężczyzn był tak poruszony, że poczuł mrowienie w gardle i zaczął nucić ochryplym głosem: „Samotnemu źle się żyje, kto ubranie mi zaszyje...”.

- Daj szefowej, niech ci załata!
- Szefowej? Ciekawe, kiedy jakiś sokół wreszcie skubnie tę łabędziczkę!
- Nasi byli szefowie mieli ochotę sobie dziobnąć, ale postradali życie,
- Aha, słyszałem, że miała romans z Plamistą Szyją, kiedy była jeszcze panienką!
- Skoro tak, to pewnie faktycznie on zamordował starego i młodego.
- Nie gadaj tyle. Ściany mają uszy.

---

\* *Banhu* – tradycyjny chiński instrument smyczkowy o dwóch strunach.



Wylegujący się na kangu Yu Zhan'ao zaśmiał się szyderczo.

– Co cię tak rozśmieszyło, młody Yu? – spytał jeden z parobków.

– To ja ich załatwiłem! – wypalił z pijacką odwagą.

– Jesteś zalany!

– Zalany? Sam jesteś zalany. Załatwiłem ich i tyle!

Yu Zhan'ao podniósł się, sięgnął do woreczka wiszącego na ścianie i wyciągnął swój krótki miecz. Kiedy wyjmował go z pochwy, ostrze zaślnęło w blasku księżyca niczym srebrny karaś.

– Mówię wam... – ciągnął bełkotliwie – spałem z nią wcześniej... tam, na polu... A potem przyszedłem w nocy, podpaliłem... I ciach go nożem... I drugiego też ciach...

Zapadła cisza, jeden z mężczyzn zdmuchnął lampę i sypialnia pogrążyła się w mroku – w księżycowym świetle miecz wydawał się błyszczeć jeszcze mocniej.

– Lepiej idź już spać! Jutro trzeba rano wstać i warzyć wódkę!

– Kurwa twoja mać... – mamrotał dalej Yu Zhan'ao – ledwie podciągnęłaś spodnie i już udajesz, że mnie nie znasz... Haruję dla ciebie jak wół... Ale nic z tego... Dziś w nocy pójdę... i cię zarżnę!

Zwłókł się z kangu z mieczem w ręku i zataczając się, wyszedł na dwór. Mężczyźni leżeli w ciemności i szeroko otwartymi oczyma wpatrywali się w błyszczącą stal. Żaden nie odważył się nawet pisnąć.

Yu Zhan'ao wyszedł na dziedziniec zalany księżycowym blaskiem. Stojące rzędem, pokryte barwnym szkliwem kadzie lśniły jak drogie kamienie. Podmuch południowego wiatru, niosącego znad pól słodko-gorzki zapach dojrzałego sorga, przyprawił go o dreszcz. W zachodnim skrzydle rozległ się kobiecy śmiech. Kiedy wśliznął się do namiotu, chcąc wyciągnąć stamtąd wysoki taboret, muł uwiązany za korytem na powitanie uderzył kopytem w ziemię i głośno parsknął. Nie zwracając uwagi na zwierzęta, Yu Zhan'ao wziął stołek, zataszczył go pod mur i wdrapał się nań – mur wciąż sięgał mu do klatki piersiowej. Dojrzał jaśniejące mocnym światłem okna z białego papieru wyklejonego czerwonymi wycinankami. Szefowa właśnie figlowała na kangu z Miłością.

– Jesteście jak para niesfornych małp. Pora spać! – usłyszał głos Babki Liu. – Miłość, lepiej idź zobaczyć, czy ciasto już wyrosło! – dodała.

Trzymając miecz w ustach, Yu Zhan'ao wspiął się na mur. Na to nadbiegły wszystkie psy i jęły ujadać wniebogłosy, co przeraziło go tak bardzo, że runął na łeb na szyję prosto na zachodni dziedziniec. Gdyby moja babka

nie nadeszła tak błyskawicznie, psy najpewniej zdążyłyby rozszarpać na strzępy dwóch takich jak on.

Babka uspokoiła psy i zawołała:

– Miłość! Chodź tu z latarnią!

Babka Liu wypadła na podwórze na swoich „półdużych”, niegdyś krępowanych, a następnie uwolnionych stopach, z wałkiem do ciasta w dłoni, krzycząc:

– Złodzieje! Łapać złodzieja!

Miłość podążała za nią, trzymając latarnię. Światło padło na poobijaną twarz Yu Zhan’ao. Na ten widok babka zaśmiała się lodowato.

– Ach, to ty!

Podniosła z ziemi miecz, obejrzała go sobie dokładnie, po czym wsunęła do rękawa.

– Miłość, idź, zawołaj tu wuja Luohana – poleciła.

Ledwie dziewczyna otworzyła bramę, stanął w niej Luohan.

– Co się tu dzieje, pani szefowo? – zapytał. – Ten parobek jest pijany – odparła babka.

– Ano, pijany – potwierdził wuj Luohan.

– Miłość, przynieś tu moją witkę!

Dziewczyna podała szefowej okorowaną, śnieżnobiałą gałązkę wierzby.

– Już ja cię otrzeźwię! – zapowiedziała babka.

Zakręciła witką w powietrzu i wymierzyła cios prosto w pośladki Yu Zhan’ao.

Dreńczony palącym bólem Yu Zhan’ao nieoczekiwanie poczuł coś w rodzaju dreszczu rozkoszy, doznanie to podeszło mu do gardła, wprowadziło w ruch szczęki i wyrwało się w postaci bełkotliwego: „Panienkopanienkopanienko! Panienko... panienko...” W końcu zmęczone biciem ramię babki opadło i kobieta znieruchomiała, ciężko dysząc.

– Zabierz go stąd! – poleciła.

Wuj Luohan próbował podnieść Yu Zhan’ao z ziemi, ten jednak nie dał się ruszyć.

– Panienko... Jeszcze parę razów... jeszcze trochę... – domagał się. Babka wycelowała w kark i uderzyła kilkakrotnie, z całej siły.

Yu Zhan'ao zwinął się w kłębek i turlał się po ziemi, wierzgając nogami jak małe dziecko. Przywołani przez wuja Luohana mężczyźni zatargali go do bocznej izby i rzucili na kang, gdzie dalej miotał się, plując przekleństwami. Wuj Luohan przyniósł dzbanek wódki, kazał ludziom przytrzymać go za ręce i nogi i wlał mu całą zawartość naczynia do gardła. Gdy go puścili, zwiesił głowę na piersi i nie wydał już żadnego głosu.

– Utopiliście go! – krzyknął z przestraszeniem jeden z parobków.

Kiedy przysunęli lampę bliżej, twarz Yu Zhan'ao zmarszczyła się i mężczyzna kichnął potężnie, zdmuchując płomień.

Yu Zhan'ao obudził się dopiero, gdy słońce było już wysoko na niebie. Wszedł do gorzelni na nogach jak z waty, parobcy przyglądali mu się z dziwnymi minami. Na niewyraźne wspomnienie lania, które spuszczone mu poprzedniego wieczora, zaczął rozcierać sobie kark i pośladki, ale nie czuł bólu. Był spragniony, wziął więc czerpak, zanurzył w strumieniu ciepłej wódki, zaczerpnął połowę naczynia i wypił, odchylając głowę do tyłu. Stary Du, ten, który grał na *banhu*, powiedział:

– Młody Yu, szefowa spuściła ci wczoraj niezły łomot, pewnie już nie będziesz skakał przez mur, co?

Parobcy już zaczęli traktować ponurego młodzieńca z pewną rezerwą, ale gdy usłyszeli jego rozpaczliwe wrzaski, cała ich ostrożność znikła i zaczęli na wypródki kpić sobie z niego. Yu Zhan'ao nie zaszczycił ich odpowiedzią, za to przyciągnął jednego do siebie, zamierzył się pięścią i przyłożył mu prosto w twarz. Pozostali popatrzyli po sobie, po czym niewiele myśląc, przewrócili go na ziemię i rzucili się na niego z pięściami. Kiedy mieli już dość bicia, zdjęli mu pasek, wepchnęli głowę w krok spodni, wykręcili i związali ręce i zostawili go na ziemi. Niczym tygrys na pustyni albo wodny smok na mieliźnie Yu Zhan'ao miotał się i turlał tyle czasu, ile zajmuje wypalenie dwóch fajek. W końcu stary Du zlitował się, rozwiązał mu ręce i pomógł uwolnić głowę ze spodni. Skóra na twarzy Yu Zhan'ao przypominała złoty papier, gdy tak leżał niczym umierający wąż na stercie drewna, długo nie mogąc złapać tchu. Tymczasem mężczyźni nie rozstawali się z narzędziami, na wypadek gdyby młodzieniec zapragnął wyrównać z nimi rachunki. On zaś powłókł się do jednej z kadzi, zaczerpnął wódki metalowym czerpakiem i zaczął chleptać z niej jak szalony. Kiedy zaspokoił pragnienie, wczołgał się z powrotem na stertę drewna i zasnął głęboko.

Od tamtej pory Yu Zhan'ao regularnie spijał się do nieprzytomności i całymi dniami leżał na stercie drewna z półotwartymi niebieskimi, wilgotnymi oczyma i dwoistym uśmiechem: lewa strona jego ust wyglądała głupawo, a prawa chytrze, albo odwrotnie. Przez pierwsze dwa dni parobcy przyglądali mu się z zaciekawieniem, potem zaczęli na niego narzekać. Wuj Luohan próbował

skłonić go do jakiejś pracy, Yu Zhan'ao jednak tylko spojrział na niego krzywo i powiedział:

– Za kogo ty się uważasz? Ja tu rządę. To dziecko w brzuchu szefowej jest moje.

Tymczasem mój ojciec w brzuchu babki dorósł już do rozmiarów małej piłeczki, a odgłosy torsji, nękających babkę co rano po przebudzeniu, niosły się z zachodniego dziedzińca na wschodni. Starsi, dobrze poinformowani robotnicy rozprawiali o tym z zapalem. Pewnego dnia, gdy Babka Liu przyniosła im jedzenie, jeden z mężczyzn zapytał:

– Babko Liu, czy to prawda, że szefowa spodziewa się potomka? Kobieta spojrzała na niego z dezaprobatą.

– Uważaj, żeby ci ktoś języka nie uciął!

– Czyli jednak Shanowi Bianlangowi nic nie brakowało!

– A może to starego szefa?

– Nie gadaj bzdur! Myślisz, że taka rezolutna kobieta pozwoliłaby się dotknąć któremuś z nich? Gwarantuję ci, że to był Plamista Szyja!

Yu Zhan'ao zeskoczył ze sterty drewna i zaczął pokrzykiwać, dziko wymachując rękoma i nogami:

– To byłem ja! Cha, cha! To ja!

Wszyscy spojrzeli na niego, wybuchnęli gromkim śmiechem i zaczęli obrzucać go wyzwiskami.

Wuj Luohan wiele razy namawiał babkę, by zwolniła Yu Zhan'ao, babka jednak zawsze odpowiadała:

– Pozwólmy mu się wyszumieć. Za parę dni zrobię z nim porządek.

Pewnego dnia babka, już z wyraźnie powiększonym brzuchem, weszła na wschodni dziedziniec, żeby porozmawiać z wujem Luohanem.

Wuj Luohan, nie śmiać podnosić na nią wzroku, rzekł cicho:

– Szefowo, czas już skupować sorgo.

– Czy plac i kotły na ziarno są już gotowe? – spytała babka.

– Gotowe.

– W zeszłym roku kiedy zaczynaliście skup?

– Mniej więcej o tej porze.

– No to w tym roku odłóżmy to trochę.

– Tylko żebyśmy zdążyli kupić tyle ile trzeba. Tu w okolicy jest ponad dziesięć gorzelni.

– W tym roku są dobre plony, nie dadzą rady zużyć wszystkiego. Wywieś ogłoszenie, że nie jesteśmy jeszcze gotowi. Poczekajmy, aż tamci nakupią, ile się da, i zacznijmy skup. Wtedy my będziemy dyktować cenę, a i ziarno tymczasem podeschnie – oznajmiła babka.

– Co racja, to racja, szefowo – potwierdził wuj Luohan.

– Masz do mnie jeszcze jakąś sprawę?

– Nic ważnego, tylko ten parobek, dzień w dzień w sztok pijany, dajmy mu parę groszy i wyrzucmy go.

Babka zamyśliła się.

– Zaprowadź mnie do gorzelni.

Wuj Luohan poszedł przodem, babka za nim. Mężczyźni właśnie ładowali sfermentowany sorgowy zacier do kotła destylacyjnego. Drewniane szczapy trzaskały w piecyku, woda w garach bulgotała, buchała gorąca para z kotła. Wysoki na ponad metr, zrobiony z drewna kocioł stał na piecyku, na gęsto splecionej bambusowej podkładce. Czterech parobków szuflami nabierało z kadzi upstrzoną zielonkawymi plamkami niczym stuletnie jajo, wydzielając słodki zapach miazgę i ładowało ją do rozgrzanego, parującego kotła. Para szukała ujścia i szła do góry, wciskając się w każdą szczelinę. Mężczyźni z szuflami mieli oczy szeroko otwarte, obserwowali, skąd wydobywa się para, i wrzucali tam ziarno, by nie pozwolić gorącemu wydostać się na zewnątrz.

Na widok zbliżającej się babki zabrali się do pracy z jeszcze większym zapalem. Leżący na stercie drewna Yu Zhan'ao, potargany, z brudną twarzą, w łachmanach jak uliczny żebrak, utkwiał w niej spojrzenie lodowatych oczu.

– Chcę dziś zobaczyć, jak czerwone sorgo zamienia się w wódkę – oznajmiła babka.

Wuj Luohan przysunął jej stółek i zaprosił, by usiadła.

Parobkom, którzy czuli się zaszczytzeni jej obecnością, robota paliła się w rękach. Jeden z nich, pilnujący ognia, bezustannie ładował drewno do dwóch piecyków; ogień buzował, obejmując dna garów, woda bulgotała w dwóch wielkich naczyniach. Strumienie gorącej pary z sykiem, wijąc się, ulatywały z wnętrza wielkiego kotła i mieszały się z ciężkimi oddechami robotników. Kiedy wielki kocioł został wypełniony miazgą, przykryto go okrągłą pokrywą, pełną otworków. Po chwili przez otworki zaczęły wydobywać się cieniutkie strużki pary. Mężczyźni przynieśli zrobiony z cyny dziwaczny dwupiętrowy przedmiot, wklęsły u góry.

– To jest właśnie aparat do destylacji – wyjaśnił Luohan babce.

Babka wstała i podeszła bliżej, żeby dokładnie przyjrzeć się urządzeniu, o nic jednak nie pytała. Po chwili usiadła z powrotem na stolku.

Parobcy umieścili cynowy aparat na drewnianym kotle, blokując uchodzenie pary. Słychać było tylko szum płomieni, a kocioł robił się to biały, to pomarańczowy. Delikatny, słodki aromat, już trochę, ale jeszcze nie całkiem przypominający zapach wódki, rozszedł się wokoło.

– Dolejcie zimnej wody – polecił wuj Luohan.

Mężczyźni stanęli na wysokiej ławie i włąli dwa wiadra zimnej wody do zagłębienia w metalowym destylatorze. Jeden z nich szybko zamieszał wodę we wgłębieniu drewnianym narzędziem w kształcie wiosła. Gdy minęło tyle czasu, ile zajmuje wypalenie się połowy kadzidełka, babka poczuła wyraźny zapach wódki.

– Przygotujcie się, zaraz zbieramy wódkę – powiedział wuj Luohan.

Dwóch mężczyzn przyniosło dzbany, oplecione woskowaną wikliną pokrytą dziesięcioma warstwami papieru i zabezpieczoną stoma warstwami oleju, i przystawiło je do dwóch wylotów destylatora, podobnych do kaczych dziobów.

Babka wstała i obserwowała wypływanie cieczy. Jeden z parobków wybrał kilka szczap nasączonych mocno żywicą i dorzucił do pieca, płomienie buchnęły z trzaskiem, biały blask oświetlił lśniąca od potu i tłuszczu torsy mężczyzn.

– Zmienić wodę! – zakomenderował wuj Luohan.

Dwóch parobków pobiegło na podwórze i przyniosło cztery wiadra studziennej chłodnej wody. Stojący na wysokim taborecie mężczyzna przekręcił kurek w górnej krawędzi destylatora, spuszczać gorącą wodę na ziemię, po czym wlał nową, zimną wodę, nie przestając pilnie mieszać.

Potężny kocioł do gotowania wódki górował nad nimi, parobcy sumiennie i metodycznie wykonywali swoje zadania. Babka była oczarowana tą uroczą, uświęconą pracą. Poczwała, jak mój ojciec poruszył się w jej brzuchu. Zerknęła na leżącego na stercie dREW Yu Zhan'ao, który spoglądał na nią ponuro, jego oczy były jedynymi zimnymi punktami w gorącej gorzelnii. Jej emocje ochłodziły. Spokojnie obserwowała dwóch mężczyzn z dzbanami w rękach, którzy czekali na wódkę.

Aromat alkoholu jeszcze bardziej się wzmógł, cieniutkie strumyczki pary uciekały przez szczeliny w drewnianym kotle. Babka zauważyła, że wyloty cynowego destylatora zaśniły, blask ten najpierw stężał, a potem zaczął drgać

i jedna po drugiej lśniące krople wódki, podobne do łez, zaczęły spływać do dzbanów.

– Zmienić wodę! Dołożyć do ognia! – zarządził wuj Luohan.

Dwóch parobków przyniosło zimną wodę, znowu odkręcono krany i spuszczone gorącą wodę, dolewając jednocześnie zimnej. Dzięki utrzymaniu niskiej temperatury para między piętrami cynowego destylatom schładzała się i skraplała, po czym wypływała przez wyloty na zewnątrz.

Pierwsza partia sorgowej wódki była gorąca, przejrzysta i parująca. Wuj Luohan wyszukał czysty czerpak, napełnił go do połowy i podał babce ze słowami:

– Szefowo, prosimy skosztować.

Babka poczuła silny aromat, aż język zaswędziało ją w ustach. Mój ojciec znowu poruszył się w jej brzuchu, jakby też chciał się napić. Babka przyjęła czerpak, najpierw powąchała, potem zanurzyła czubek języka w napoju, wreszcie wessała odrobinę wargami i uważnie posmakowała. Wódka była niezwykle aromatyczna i jednocześnie bardzo paląca. Babka pociągnęła łyk i zatrzymała w ustach, czując po wewnętrznej stronie policzków dziwną miękkość, jakby pocierano je jedwabistymi tamponikami. Jej gardło się rozluźniło i łyk wódki wśliznął się do przełyku. Wszystkie pory na ciele babki najpierw otworzyły się, a następnie zamknęły; ogarnęła ją niezwykła radość. Wypiła trzy duże łyki, jeden po drugim, czując się tak, jakby jej brzuch masowała od środka jakaś chciwa malutka rączka. Na koniec odchyliła głowę i opróżniła cały czerpak. Po wypiciu tej porcji jej twarz zarumieniła się, oczy rozblęskły – wydawała się jeszcze bardziej olśniewająca, jeszcze bardziej pociągająca niż zwykle. Mężczyźni wpatrywali się w nią jak zaczarowani, zapominając, co mieli właśnie zrobić.

– Pięknie pani pije, szefowo! – rzekł z podziwem jeden z parobków.

– Nigdy jeszcze nie piłam wódki – odparła skromnie moja babka.

– Skoro tak wygląda pani pierwszy raz, niedługo będzie pani umiała osuszyć cały dzban!

Wódka z bulgotem zapełniła pierwsze dzbany, potem następne. Ustawiano je obok sterty dREW. Wtem Yu Zhan'ao zwlókł się ze swojego legowiska, rozpiął spodnie i zaczął sikać do jednego z dzbanów. Oniemiali parobcy patrzyli na strugę błyszczącego moczu, która wlewała się do naczynia, rozchlapując dookoła wódkę. Wysikawszy się, Yu Zhan'ao rozciągnął wargi w uśmiechu i podszedł chwiejnym krokiem do swojej babki. Babka stała bez ruchu, policzki jej płonęły. Yu Zhan'ao objął ją ramieniem i pocałował. Babka

zbladła, zachwiała się i usiadła na stołku. Yu Zhan'ao spytał gniewnym tonem:

– To dziecko w twoim brzuchu jest moje czy nie?

– Skoro tak mówisz, to znaczy, że twoje... – odrzekła babka i rozplakała się.

Oczy Yu Zhan'ao rozbłysły, wszystkie mięśnie napięły się jak u muła, który wytarzał się w ziemi i właśnie wstaje. Rozebrał się do krótkich spodenek i rzekł do babki:

– Patrz, teraz będę opróżniał kocioł!

Czyszczenie kotła to najcięższa praca w całej gorzelni. Kiedy cały alkohol już wypłynie, zdejmuje się cynowy destylator, a następnie ażurową drewnianą pokrywę, odsłaniając wnętrze drewnianego kotła pełne wygotowanego sorga. Ziarno ma kolor ciemnożółty i jest bardzo gorące. Yu Zhan'ao stanął na stołku i drewnianą łopatką o krótkim trzonku jał wybierać ziarno ze środka i wrzucać je do bambusowego kosza. Pracował oszczędnymi ruchami, jakby w tej czynności brały udział tylko jego przedramiona. Jego tors poczerwieniał od gorącej pary, a spływający po plecach pot zamienił się w małą rzeczkę o silnym zapachu wódki.

Mój dziadek Yu Zhan'ao pracował tak wydajnie i zręcznie, że wszyscy parobcy i wuj Luohan przyglądali mu się z podziwem. Ukrywane miesiącami zdolności dziadka wreszcie objawiły się w pełnej krasie. Kiedy dziadek opróżnił kocioł, napił się wódki i rzeki do wuja Luohana:

– Kierowniku, mam jeszcze jeden pomysł. Kiedy wódka wypływa przez wyloty, unosi się z niej para. Gdyby na wylotach zainstalować jeszcze jeden mały destylator, mielibyśmy najlepszą wódkę.

– Hmm, nie wiem... czy to możliwe? – pokręcił głową wuj Luohan.

– Dam sobie za to rękę uciąć!

Wuj Luohan spojrzał na babkę, która siąknęła nosem parę razy.

– Wszystko mi jedno, niech sobie robi, co chce – powiedziała i łkając wróciła do zachodniego skrzydła domu.

Od tamtej pory dziadek i babka kochali się niczym para kaczek mandarynek albo feniksów. Wuj Luohan i parobcy byli tak znużeni widokiem bosko-diabelskich ekscesów tych dwojga, że utracili zdolność myślenia i chociaż serca mieli pełne mieszanych uczuć, nie potrafili nazwać dręczących ich wątpliwości. Wkrótce jednak wszyscy po kolei stali się wiernymi poddanymi mego dziadka. Jego nowa technologia zrewolucjonizowała proces produkcji i uczyniła z Północno-Wschodniego Gaomi ojczyznę najwyższej



jakości wódki z tak zwanej małej destylacji. Jeśli chodzi o dzban, do którego nasikał dziadek, żaden z parobków nie ośmielił się nic z nim zrobić – przestawiono go tylko w kącie podwórza. Pewnego popołudnia, gdy niebo było wyjątkowo zachmurzone i wiał południowo-wschodni wiatr, mężczyźni niespodzianie wyczuli w oparach otaczającej ich zewsząd alkoholowej woni, do której już przywykli, jakąś wyjątkowo przyjemną, silną nutę. Wuj Luohan, jako że miał znakomity węch, poszedł szukać jej źródła i ze zdumieniem odkrył, że ów zachwycający aromat dobiega z dzbanu zawierającego dodatek moczu. Nic nikomu nie mówiąc, w tajemnicy zaniósł dzban do swojego kantorka, zamknął tylne i frontowe drzwi, zablokował okna, zapalił olejną lampkę, podkręcił knot i rozpoczął analizę. Najpierw wziął miarkę, zaczerpnął wódki i przechylając powoli naczynie, wlał ją z powrotem do dzbanu. Płyn rozpostarł się w delikatnie zielonkawą zasłonę, która w zetknięciu z powierzchnią cieczy w dzbanie rozprysnęła się w kwiat o dziesiątkach płatków podobny do chryzantemy, a przyjemny zapach rozszedł się z jeszcze większą intensywnością. Wuj Luohan znowu nabrał odrobinę wódki i skosztował najpierw czubkiem języka, a potem pociągnął śmiały łyk. Następnie wypłukał usta zimną wodą i spróbował łyk z innego, zwykłego dzbanu. Wypuścił miarkę z ręki. Zerwał się, wpadł przez bramę na zachodni dziedziniec, podbiegł do okna i zakrzyknął: – Szefowo! Wielkie szczęście!

Mój pradziadek, kiedy babka wypędziła go z domu z workiem bułeczek, wrócił ze swoim osiołkiem do domu. Przez całą drogę przeklinał, a po powrocie nieskładnie opowiedział prababce całą historię, jak to babka uznała naczelnika Cao za swojego ojca i jak wyrzekła się własnego. Prababka, oburzona, także zaczęła gderać. Przypominali parę ropuch awanturujących się o siedzącą na drzewie cykadę. W końcu prababka oznajmiła:

– Nie ma co się złościć, stary. Jak to mówią, wichura zawsze kiedyś cichnie, a kłótnie między krewnymi nie trwają długo. Za dwa dni idź do niej jeszcze raz. Odziedziczyła takie bogactwo, że nam, dwojgu staruszków, wystarczy na utrzymanie to, co przecieknie jej przez palce.

– Niech i tak będzie. Pójdę do tej niewdzięcznicy za dwa tygodnie.

Po dwóch tygodniach pradziadek wsiadł na osła i ruszył, lecz na miejscu okazało się, że babka zamknęła szczelnie bramę i pradziadek musiał wykrzykiwać swoje żale zza muru. Zmęczony się, wsiadł na osła i pojechał z powrotem.

Kiedy wrócił po raz drugi, mój dziadek już pracował w gorzelnii, a pięć psów babki stanowiło całkiem silną sforę. Gdy pradziadek znowu zapukał do bramy, cały dziedziniec rozbrzmiewał ich ujadaniem. Babka Liu otworzyła bramę, psy natychmiast otoczyły pradziadka, po czym przestały szczekać. Staruszek przywarł plecami do osiołka i próbował robić jakieś przyjazne gesty, osiołek zaś trząsał się ze strachu.

– Ty do kogo? – spytała Babka Liu.

– A ty kto jesteś? Przyszedłem odwiedzić własną córkę! – odparł gniewnie pradziadek.

– A kimże jest twoja córka?

– Właścicielką tego domu!

– Poczekaj, pójdę zapytać.

– Powiedz, że przyszedł jej rodzony ojciec! Babka Liu wróciła ze srebrnym dolarem w ręku.

– Starcze – powiedziała – szefowa mówi, że nie ma ojca. Kazała dać ci tego dolara, kup sobie ciepłych bułeczek na drogę.

– Wylaż tu zaraz, bękarcie! – wrzasnął pradziadek. – Wzbogaciłaś się i teraz własnego ojca nie poznajesz, do czego to podobne!

Babka Liu rzuciła monetę na ziemię.

– Idź precz, uparty staruchu, bo jak szefowa wpadnie w złość, to dopiero się doigrasz!

– Jestem jej rodzonym ojcem! Zamordowała własnego teścia, może teraz i ojca chce doprowadzić do śmierci?

– Zjeżdżaj stąd wreszcie, bo psami poszczuję!

Babka Liu gwizdnęła na psy, zwierzęta znów zaroily się dookoła. Ten o zielonkawej sierści uszczypnął osiołka w nogę. Osiołek ryknął, wyrwał lejce z rąk pradziadka i uciekł. Pradziadek schylił się po srebrnego dolara i potruchtał niezdarne za swoim wierzchowcem, a szczekające i skaczące wokół psy odprowadziły ich do granic wioski.

Kiedy pradziadek odwiedził babkę po raz trzeci, zażądał czarnego muła, twierdząc, że przyobiecał mu go teść córki i że jego śmierć nie unieważniła umowy. Zagroził, że pójdzie na skargę do urzędu powiatowego, jeśli obietnica nie zostanie dotrzymana.

– Nie znam cię i nie chcę znać – odpowiedziała mu babka. – Jeśli będziesz mnie dalej nachodził, złożę na ciebie skargę.

Mój dziadek wywlókł się z domu w przydepniętych kapciach, zbeształ go i kilkoma pchnięciami wyrzucił za drzwi.

W końcu pradziadek znalazł kogoś, kto sporządził mu pismo, po czym na grzbiecie osiołka udał się do urzędu powiatowego, żeby złożyć donos na moją babkę.

Po powrocie z ostatniej wizyty w Północno-Wschodnim Gaomi, kiedy to Plamista Szyja oddał do niego trzy strzały i śmiertelnie go przeraził, naczelnik Cao okropnie się rozchorował. Gdy zobaczył pisemną skargę, wyraźnie związaną ze sprawą tamtego zabójstwa, pot pociekł mu strumyczkami spod pach.

– Starcze – zwrócił się do pradziadka – oskarżasz własną córkę o korszachty z bandytą. Czy masz na to jakieś dowody?

– Szanowny panie naczelniku, ten bandyta właśnie śpi na jej kangu! To Plamista Szyja, ten sam, który oddał trzy strzały do pańskiego kapelusza.

– Czy jesteś świadom, starcze, że jeśli to prawda, twoja córka jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie?

– Panie naczelniku... Sprawiedliwość jest dla mnie ważniejsza od lojalności wobec rodziny... Chodzi o to... że majątek mojej córki...

– Ach, więc to tak, chciwy stary draniu! Dla pieniędzy bez skrupułów oskarżasz własne dziecko! Nic dziwnego, że nie chce cię znać. Co z ciebie za ojciec? Wlepcie mu tu zaraz pięćdziesiąt razy podeszwą i niech zjeżdża!

Nie dość, że skarga pradziadka nie została przyjęta, to jeszcze złożono mu tyłek tak mocno, że nie mógł nawet dosiąść swojego osiołka. Prowadząc go za sobą, chwiejnym krokiem ruszył na piechotę, pogrążony w niewysłowionym żalu. Niedługo po tym, jak opuścił stolicę powiatu, usłyszał za plecami tętent – był to czarny żrebak naczelnika Cao. Pradziadek przeraził się śmiertelnie, nogi ugięły się pod nim i padł na kolana.

Jeźdźcem okazał się Młody Yan, wierny pomocnik naczelnika Cao.

– Wstań, proszę, starcze – rzekł. – Naczelnik powiedział, że ponieważ twoja córka jest jego przybraną córką, łączą was więzy rodzinne. Chłosta miała nauczyć cię przyzwoitości. Ale to już sprawa zamknięta. Naczelnik daje ci te dziesięć srebrnych dolarów, żebyś mógł otworzyć mały interes i porzucił nieczne zamiary zdobycia nienależnego majątku.

Pradziadek przyjął pieniądze i złożył czolobitny pokłon, dziękując wylewnie. Dopiero gdy koń Młodego Yana sforsował tory kolejowe, zdecydował się podnieść z ziemi.

Naczelnik Cao od pół godziny siedział w głównej sali urzędu powiatowego i rozmyślał. Kiedy Młody Yan wrócił po misji wręczenia pieniędzy, naczelnik zaprowadził go do sekretnego pokoju i rzekł:

– Jestem pewien, że mężczyzną, który sypia na kangu tej kobiety nazwiskiem Dai, musi być Plamista Szyja. To jeden z najsłynniejszych bandytów w całym Północno-Wschodnim Gaomi i jeśli uda nam się go złapać, tamtejsi zbóje pierzchną jak małpy ze ściętego drzewa. Lanie, które kazałem ci spuścić temu staruszkowi, było po to, żeby zamknąć mu usta.

– O, jakże wielka jest pana przezorność, panie naczelniku! – rzekł Yan.

– Ta kobieta, Dai, zwiodła mnie – przyznał naczelnik.

– Nawet największym mędrcom zdarzają się pomyłki.

– Weź dziś w nocy dwudziestu zuchów, daj im szybkie konie, i jedźcie na północny wschód pojmać tego herszta zbójów.

– Kobietę też?

– Nie, nie, w żadnym wypadku! Gdybyście wzięli i ją, pewien człowiek nazwiskiem Cao straciłby twarz, nie uważasz? Poza tym, wydając taki, a nie inny wyrok, chciałem jej pomóc – to wielkie nieszczęście dla tak pięknej kobiety być wydaną za trędowatego, a więc fakt, że wzięła sobie kochanka, jest

całkiem usprawiedliwiony. Złapmy Plamistą Szyję, a ją zostawmy w spokoju, niech sobie żyje szczęśliwie.

– Ale dom Shanów jest otoczony wysokim murem i trzymają tam złe psy – zauważył Młody Yan. – Plamistą Szyję niełatwo zaskoczyć. Jeśli zaczniemy dobijać się do bramy i przeskakiwać przez mury, będzie tak, jakbyśmy weszli mu prosto pod łufę.

– Ech, ależ naiwniak z ciebie! Rzecz jasna, dokładnie wszystko zaplanowałem.

Zgodnie z planem naczelnika Młody Yan i dwudziestu żołnierzy w środku nocy wyruszyli z miasta, zmierzając do Północno-Wschodniego Gaomi. Był dziesiąty miesiąc, czyli głęboka jesień, całe sorgo zostało już skoszone i słoma w wielkich stertach leżała wszędzie na polach. Gdy konni dotarli do zachodniego krańca naszej wioski, wstawał świt, biała rosa pokrywała ciemnozielone trawy, lodowate jesienne powietrze kąsało skórę. Żołnierze zsiadli z koni i czekali na rozkazy Młodego Yana. Młody Yan kazał zaprowadzić konie za stertę sorgowej słomy i związać je lejcami razem, dwóch żołnierzy miało zostać i pilnować zwierząt. Reszta przebrała się i przygotowała do ataku.

Słońce wschodziło czerwono, czarną ziemię jak okiem sięgnąć pokrywał biały osad; warstwa drobnych kropelek rosy osiadła na rzęsach i brwiach ludzi i włoskach porastających końskie pyski. Konie skubały z chrzęstem liście sorga. Młody Yan spojrzał na zegarek.

– Ruszamy! – zarządził.

Wkroczył ostrożnie do wioski, a za nim osiemnastu żołnierzy. Nieśli krótkie strzelby, naładowane i gotowe do strzału. Dwóch zostało na skraju wsi. Przy wylocie uliczki zajęło pozycje kolejnych dwóch. Następna uliczka, i kolejna dwójka. Kiedy dotarli do bramy naszego domu, z oddziału został tylko Młody Yan i sześciu żołnierzy przebranych za zwykłych wieśniaków. Jeden z nich, wysoki mężczyzna, niósł koromysło z dwoma pustymi dzbanami na wódkę.

Kiedy Babka Liu otworzyła bramę, Młody Yan dał znak i niosący dzbany żołnierz wepchnął się do środka.

– A wy tu czego? – spytała ze złością Babka Liu.

– My do waszej szefowej – odparł dryblas. – Przedwczoraj kupiłem u was dwa dzbany, dziesięciu ludzi w moim domu się napiło i umarło! Co to za truciznę dodajecie do tej swojej wódki?

Tymczasem Młody Yan i pozostali, korzystając z okazji, także wśliznęli się na dziedziniec i stanęli bez ruchu w załomie muru. Psy otoczyły obładowanego dzbanami z głośnym szczekaniem.

Z domu wyszła zaspana babka, zapinając po drodze ubranie.

– Jak macie sprawę, idźcie tam, do kantorka – rzuciła gniewnie.

– W waszej wódce jest trucizna, dziesięciu ludzi zatrulo się nią na śmierć, chcemy rozmawiać z właścicielem! – oświadczył dryblas.

– Co to za bzdury? – rozzłościła się babka. – Sprzedajemy wódkę do wszystkich wsi i miasteczek w okolicy, jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziła. I nagle tylko u was ludzie się potruili?

Korzystając z awantury między dryblasem i babką wspomaganą przez pięć psów, Młody Yan dał sygnał i z pięcioma żołnierzami wtargnął do domu. Żołnierz niosący dzbany zdjął swoje brzemię, wyciągnął zza pasa pistolet i wycelował w babkę.

Dziadek właśnie się ubierał, gdy Młody Yan i jego ludzie przycisnęli go do kangu, związali mu ręce za plecami i wywlekli na podwórze.

Na ten widok psy rzuciły się na ratunek, a żołnierze zaczęli strzelać. Sierść fruwała w powietrzu, psia krew pryskała wokoło.

Babka Liu zsikała się w spodnie i osunęła na ziemię.

– Panowie, my tu nie mamy zamiaru z nikim zadzierać ani robić sobie wrogów – powiedziała babka. – Jeśli chcecie pieniędzy albo jedzenia, po prostu nam powiedzcie. Po co od razu strzelać?

– Milczeć! Zabrać go! – rozkazał Młody Yan.

Babka przyjrzała mu się dokładniej i rozpoznała pomocnika naczelnika Cao.

– Nie pracujesz ty czasem u mojego przybranego ojca? – spytała pospiesznie.

– Ty nie masz z tym nic wspólnego. Żyj sobie w spokoju – odparł Młody Yan.

Kiedy wuj Luohan usłyszał strzały na zachodnim dziedzińcu, wybiegł ze sklepu, lecz gdy tylko wystawił głowę przez bramę, pocisk przeleciał mu koło ucha. Z przestrachem się cofnął. Na ulicy nie było żywej duszy, rozlegało się za to wycie i szczekanie psów z całej wioski. Młody Yan i jego oddział wyprowadzili mojego dziadka za mury. Dwóch żołnierzy, którzy zostali, żeby pilnować koni, przyprowadziło je ze sobą, a ci rozstawieni przy wejściu do wioski i przy wylotach uliczek, widząc, że wszystko przebiega jak należy, również nadbiegli i wsiedli na swoje wierzchowce. Mojego dziadka przerzucili związanego przez grzbiet jednego z koni, twarzą w dół. Młody Yan dał sygnał i ruszyli galopem w stronę stolicy powiatu.

Kiedy oddział dotarł do siedziby władz powiatowych, żołnierze zwlekli dziadka z konia. Naczelnik Cao wyszedł mu na powitanie, podkrecając węża i uśmiechając się promiennie.

– No cóż, Plamista Szyjo, wystrzelełeś w kapeluszu naczelnika trzy dziury, więc naczelnik odplaci ci dzisiaj trzema setkami razów podeszwą buta.

Mój dziadek, potłuczony i oszołomiony po tym obijaniu się o koński grzbiet, kiedy go ściągnęli z konia, wyglądał jak ledwie żywy i okropnie wymiotował.

– Zaczynamy chłostę! – zarządził Młody Yan.

Kilku żołnierzy zbliżyło się do dziadka i kopniakami powaliło go na ziemię, po czym złapali kije z przybitymi na końcu wyjątkowo wielkimi podeszwami i zaczęli walić z całej siły. Dziadek z początku zacisnął zęby i milczał, wkrótce jednak zaczął żałośnie wzywać matkę i ojca.

– No i co, Plamista Szyjo? Wiesz już, że nie warto zadzierać z Cao Podeszwą Drugim? – zapytał Cao Mengjiu.

Lanie otrzeźwiło mojego dziadka i z jego ust popłynął potok słów:

– Złapaliście nie tego człowieka! To nie ja jestem Plamista Szyja! To nie ja!

– I jeszcze śmiesz oszukiwać? Wlepcie mu jeszcze drugie trzysta! – wrzasnął naczelnik Cao.

Żołnierze przygwoździli dziadka do ziemi i znowu posypał się grad razów podeszwami. Dziadek niemal stracił czucie w pośladkach. W końcu podniósł głowę i zakrzyknął:

– Cao Mengjiu! Ludzie nazywają cię Cao Sprawiedliwym Sędzią, ale tak naprawdę jesteś durnym jak psie gówno urzędasem! Plamista Szyja ma plamę na szyi! Spójrz no na moją szyję, widzisz tam coś?

Cao Mengjiu zrobił zdziwioną minę i gestem odsunął uzbrojonych w podeszwy żołnierzy. Dwóch z nich podniosło dziadka. Naczelnik podszedł bliżej, by przyrzeć się dokładnie jego szyi.

– A ty skąd wiesz, że Plamista Szyja ma plamę na szyi? – zapytał.

– Bo go widziałem na własne oczy! – odparł dziadek.

– Skoro go znasz, to znaczy, że sam też jesteś bandziorem. A więc to nieprawda, że złapaliśmy nie tego człowieka!

– Tysiące ludzi w Północno-Wschodnim Gaomi znają Plamista Szyję, chyba wszyscy nie mogą być bandziorami?

– W środku nocy spałeś na kangu wdowy, więc nawet jeśli nie jesteś bandziorem, to i tak diabelskie z ciebie nasienie. Słusznie więc zostałeś schwytany!

– Ale twoja przybrana córka na to pozwoliła!

– Co to znaczy: pozwoliła?

– Ano pozwoliła!

– A kim ty właściwie jesteś?

– Parobkiem w jej gorzelnii!

– Ajajaj! Młody Yanie, zamknijcie go! – zarządził Cao Mengjiu.

Tymczasem pod bramą urzędu zjawili się wuj Luohan i moja babka, każde na grzbiecie czarnego muła. Wuj Luohan został za bramą, trzymając zwierzęta, a babka z płaczem i lamentem wpadła do środka. Strażnik zagroził jej drogę strzelbą. Babka splunęła mu w twarz.

– To przybrana córka naczelnika powiatu – wyjaśnił wuj Luohan.

Strażnik nie śmiał jej dłużej zatrzymywać. Wtargnęła do głównej sali...

Po południu naczelnik sprowadził lektykę z baldachimem i odesłał nią mojego dziadka do domu.

Przez kolejne dwa miesiące dziadek leczył rany na kangu mojej babki.

Pewnego dnia babka pojechała na mule do urzędu powiatowego, wioząc całą paczkę podarunków dla swojej przybranej matki.

## 10

Dwudziestego trzeciego dnia dwunastego miesiąca tradycyjnego kalendarza roku 1923, w dzień wyprawienia Boga Kuchni w podróż do Niebios\*, ludzie z bandy Plamistej Szyi uprowadzili moją babkę. Porwanie miało miejsce rano, a już po południu przyszło żądanie okupu: gorzelnia ma zapłacić tysiąc srebrnych dolarów, by zakładniczka wróciła do domu żywa. W przypadku niezapłacenia tej kwoty znajdą jej zwłoki w świątyni Boga Ziemi na wschodnim krańcu wioski Wzgórze Śliw.

---

\* Według chińskiej religii ludowej Bóg Kuchni, jedno z najważniejszych bóstw opiekujących się domem, raz w roku udaje się do Niebios, by zdać tam raport ze wszystkiego, co wydarzyło się w domu w ciągu minionego roku. Jego podróż odbywa się tuż przed chińskim Nowym Rokiem.



Mój dziadek przetrząsnął szafki i skrytki i uzbierał dwa tysiące srebrnych dolarów. Zapakował pieniądze do worka na mąkę, kazał wujowi Luohanowi wskoczyć na muła i zawieźć je w wyznaczone miejsce.

– Czy nie miał być tylko tysiąc? – spytał wuj Luohan.

– Nie gadaj tyle, zawieź pieniądze i już – odparł dziadek. Wuj Luohan wsiadł na muła i odjechał.

O zmierzchu przywiózł babkę. Eskortowało ich dwóch uzbrojonych w strzelby bandytów na koniach.

Na widok dziadka oświadczyli:

– Szefie, nasz przywódca mówi, że od dzisiaj możecie spać spokojnie i nie zamykać bramy!

Dziadek kazał wujowi Luohanowi przynieść ten dzban wódki, w której był mocz, i wręczył go przybyszom ze słowami:

– Zawieźcie to waszemu szefowi, niech spróbuje naszej wódki.

Potem uścisnął im dłonie i odprowadził do wyjścia z wioski. Kiedy wrócił, zamknął za sobą bramę, drzwi domu i drzwi do pokoju. Przytulili się do siebie z babką.

– Czy Plamista Szyja nie pozwalał sobie z tobą na zbyt wiele? – spytał babkę.

Babka pokręciła głową, łzy pociekły jej po policzkach.

– Co się stało? Nie zgwałcił cię, mam nadzieję?

Babka wtuliła twarz w ramię dziadka.

– Dotykał... moich piersi...

Dziadek zerwał się z furją.

– Ale dziecku nic się nie stało?

Babka pokręciła głową.

Wiosną 1924 roku dziadek wsiadł na muła i w tajemnicy pojechał do Qingdao, gdzie kupił dwa pistolety i pięć tysięcy naboju. Jeden z pistoletów był niemieckim „bębnem u pasa”, a drugi hiszpańskim „gęsim łbem”.

Kiedy wrócił z bronią, zamknął się w pokoju i przez trzy dni to rozbierał oba pistolety na drobne części, to składał je z powrotem. Nadeszła wiosna, lód na rzece stopniał, a mizerne ryby, które dusiły się pod nim przez całą zimę, podpływały otępiałe pod powierzchnię i grzały się w słońcu. Dziadek wziął

pistolet i pełen koszyk nabojów nad staw i zaczął polować na ryby. Strzelał do nich od rana do wieczora przez całą wiosnę, a kiedy wybił już wszystkie większe, zabrał się za małe. Kiedy ktoś mu się przyglądał, nie zabijał ani jednej rybki, ale gdy nie miał widzów, każdy pocisk bezbłędnie trafiał w rybi łeb. Nadeszło lato, urosło sorgo. Dziadek znalazł żelazny pilnik i zeszlifował muszki na obu lufach.

Nocą siódmego dnia siódmego miesiąca zerwała się ulewa z grzmotami i błyskawicami. Babka podała Miłości mojego ojca, który niedługo miał skończyć cztery miesiące, i poszła z dziadkiem do wschodniego skrzydła, do sklepu. Tam pozamykali drzwi i okna, a wuj Luohan zapalił lampę. Babka wyjęła siedem miedzianych monet, ułożyła je na ladzie w kształt kwiatu śliwy, po czym usunęła się na bok. Dziadek defilował przed ladą w tę i z powrotem zamaszystym krokiem. Wtem nagle się obrócił, wyciągnął za pasa oba pistolety, wyrzucił ręce w przód i: pif paf, pif paf, pif pif paf! – strzelił siedem razy. Siedem monet wyleciało w powietrze i trafiło w ścianę; trzy pociski upadły na podłogę, cztery utkwily w murze.

Babka i dziadek podeszli razem do lady, poświecili sobie lampą – na ladzie nie było nawet zadrapania.

Dziadek opanował technikę „siedmiopłatkowego kwiatu śliwy”.

Dziadek udał się na czarnym mule do gospody na wschodnim krańcu wioski. Drzwi były zamknięte na głucho, z framugi zwisało kilka pajęczyn. Pchnął drzwi i wszedł do środka. Od silnej woni rozkładu zakręciło mu się w głowie. Zatkał nos rękawem i rozejrzał się uważnie. Stary grubas siedział pod belką sufitową, w zgięciu kolan miał wąską ławkę, a na szyi sznur. Wytrzeszczone oczy patrzyły ślepo, z ust wystawał mu długi, czarny język. Zwisająca obok jego głowy końcówka sznura kołysała się w powiewie wpuszczonym do wnętrza przez otwarte drzwi.

Dziadek splunął dwa razy, wyszedł i ruszył, prowadząc muła, na skraj wioski. Tam stanął i długo rozmyślał, a muł dreptał w miejscu, wymachując łysym ogonem i opędzając się od much wielkości ziaren czarnej fasoli. Namysłiwszy się, wsiadł w końcu na swojego wierzchowca, a zwierzę, wyciągając szyję, skierowało się w stronę domu, jednak zimny kawał żelaza tkwiący w pysku zawrócił je z drogi. Dziadek klepnął go w zad, muł podskoczył w miejscu i ruszył ścieżką wśród pól sorga.

W owym czasie drewniany mostek na Rzece Czarnej Wody nie był jeszcze zniszczony. Nastąpiła właśnie pora deszczów i woda w rzece podniosła się, niemal sięgając mostu. Białe, spienione fale podobne do miedz na granicach pól ryżowych zalewały deski, woda huczała. Wystraszony muł zatrzymał się

przed mostem, przebijając w miejscu kopytami, i nie zamierzał iść dalej. Dziadek pogroził mu pięścią, lecz zwierzę nadal się opierało. Dopiero gdy podniósł się w siodle i natychmiast znów usiadł z rozmachem, muł skulił grzbiet i drobnymi kroczkami wszedł na środek mostu. Dziadek ściągnął lejce i zatrzymał go. Przez most przelewał się strumień płytkiej, czystej wody. Długi jak ludzkie ramię karp z czerwonym ogonem wyskoczył z rzeki po zachodniej stronie, malując w powietrzu tęczę, i wylądował po wschodniej. Dziadek siedział na grzbiecie muła i patrzył, jak tocząca się na zachód woda zalewa kopyta zwierzęcia, obmywając czarną sierść u ich nasady. Muł spróbował dotknąć wargami rozpryskujących się fal, woda ochlapała mu długi, wąski pysk. Zwierzę zacisnęło nozdrza i obnażyło białe, równe zęby.

Na południowym brzegu rzeki zielone, pączkujące sorgo kołysało się na wietrze, podobne do rozległego lazurowego jeziora. Dziadek ruszył wzdłuż rzeki na wschód. W południe zsiadł i wprowadził muła w zboże. Kopyta zwierzęcia i pięty dziadka zagłębiały się w czarnej, nasiąkniętej deszczówką ziemi jak w miękkiej paście. Muł z wysiłkiem pchał swoje ciężkie ciało naprzód, cztery oblepione błotem kopyta zrobiły się wielkie jak napuchnięte ludzkie głowy. Z wielkich nozdrzy zwierzęcia buchała biała para i zielonkawa piana, kwaśny jak ocet odór jego potu oraz zgniła woń czarnego błota stały się tak intensywne, że dziadek miał ochotę kichnąć. Wraz z mułem rozgarniali gęste, miękkie, zielone zboże, tworząc nową ścieżkę, lecz wkrótce żdźbła powoli się prostowały i po przemarszu nie zostawał żaden ślad.

Do zagłębień pozostawionych przez stopy dziadka i kopyta muła podchodziła woda i natychmiast je wypełniała. Dolna połowa ciała dziadka i brzuch muła pokryły się mniejszymi i większymi plamami błota. Cmokające odgłosy stapania po błocie w tym dusznym, nieokiełznanym gąszczu sorga brzmiały chrobotliwie i nieprzyjemnie. Wkrótce oddech dziadka stał się ciężki, zaschło mu w gardle, język zrobił się lepki, w ustach miał niesmak. Dziadek pomyślał, że muł też pewnie ma suche gardło i język mu się lepi. Ciało dziadka pokrywał już nie pot, ale kleista ciecz podobna do żywicy, która szczypała go w skórę. Ostre liście sorga cięły jego nagą szyję.

Muł z irytacją potrząsał łbem, marząc o tym, by móc wskoczyć na równą płaszczyznę, jaką tworzyły wierzchołki żdźbeł, i pogalopować po niej w dal. Tymczasem drugi muł właśnie teraz z kłapkami na oczach obracał zapewne ciężkie młyńskie koło albo stał przy korycie i skubał ze znużeniem mieszankę suchej siewki z liści sorga i podprażonych ziaren.

Dziadek, postępując według dokładnie przemyślanego planu, pomaszerował zdecydowanie i pewnie wzdłuż rowu. Idący za nim muł, którego oczy łzawiły, nieustannie drażnione liśćmi sorga, spoglądał na swojego pana to smutno, to ze złością. Na ziemi pojawiły się czyjeś świeże ślady. Dziadek

wyczuł zapach, na który czekał od dawna. Muł stał się wyraźnie nerwowy. Parskając co chwila, posuwał się chwiejnym krokiem między źdźbłami. Dziadek zakasłał przesadnie głośno, do nozdrzy napłynęła mu nowa fala oszałamiającego aromatu. Coś mówiło mu bardzo wyraźnie, że już niedaleko, dosłownie dwa kroki dalej, znajduje się miejsce, do którego od tak dawna chciał dotrzeć.

Siady przed nimi były wypełnione wodą. Dziadek, choć prawie na nie nie patrzył, szedł bezbłędnie wzdłuż tropu. Zaczął podśpiewywać: „O jednego konia od granic królestwa Xi-liang...”.

Wtem usłyszał za sobą odgłos kroków, ale szedł dalej, jakby nic nie zauważył. Nagle jakiś twardy przedmiot szturchnął go w plecy. Dziadek posłusznie podniósł ręce do góry. Czyjeś dłonie obmacały jego tors i wyjęły pistolety zza pasa. Oczywiście zawiązano mu wąskim paskiem czarnego materiału.

– Chcę się widzieć z waszym szefem – oznajmił dziadek.

Bandyta objął dziadka w pasie i obracał nim w miejscu przez jakieś dwie minuty, po czym go puścił. Dziadek upadł głową prosto w miękką, czarną ziemię. Kiedy wstał, przytrzymując się źdźbeł sorga, czoło i dłonie miał uwalane błotem. W głowie mu brzęczało, przed oczyma robiło mu się to zielono, to czarno. Słyszał chrapliwy oddech mężczyzny stojącego obok. Bandyta złamał źdźbło sorga i podał jeden koniec dziadkowi.

– Idziemy! – rozkazał.

Dziadek słyszał za sobą kroki bandziora i cmokanie kopyt muła wyciąganych z lepkiego błota.

Kiedy zbój zdjął mu opaskę, dziadek zakrył na chwilę twarz rękoma, z oczu pociekły mu łzy. Przed nim rozpościerało się obozowisko, złożone z dwóch wielkich szalasów ustawionych na rozległym, wydeptanym w zbożu placu. Przed szalasami stało kilkunastu bandytów w pelerynach, a przy wejściu do jednego z nich siedział na drewnianym pieńku postawny mężczyzna z plamą na szyi.

– Chcę się widzieć z szefem – powtórzył dziadek.

– O proszę, właściciel gorzelni! – oznajmił Plamista Szyja.

– Tak, to ja.

– Po co tu przyszedłeś?

– Do mistrza na naukę!

Plamista Szyja zaśmiał się szyderczo.

– Przecież codziennie strzelasz do ryb nad stawem.

– Ale ciągle nie trafiam.

– Niezła broń. Po co chcesz się uczyć strzelania? – spytał.

– Żeby walczyć z Cao Mengjiu.

– Nie jest on czasem przybranym ojcem twojej żony?

– Wlepił mi trzysta pięćdziesiąt razy podeszwą. I to za ciebie tak oberwałem!

Plamista Szyja roześmiał się i powiedział:

– Zamordowałeś dwóch facetów i porwałeś ich kobietę, powinni obciąć ci łeb.

– Trzysta pięćdziesiąt razy!

Plamista Szyja podniósł prawą rękę. Pif pif paf! – strzelił trzy razy, po czym zrobił to samo lewą ręką. Dziadek uklęknął na ziemi, chowając głowę w ramionach i krzycząc z przerażenia. Rozległ się chóralny śmiech.

– Jakim cudem ten biedny króliczek dał radę kogokolwiek zabić? – nie mógł się nadziwić Plamista Szyja.

– Musiał być niezłe napalony! – oznajmił jeden ze zbójów.

– Wracaj i zajmij się lepiej swoim interesem – powiedział herszt do dziadka. – Teraz, gdy Koreaniec nie żyje, twój dom będzie naszym punktem kontaktowym.

– Chcę się nauczyć strzelania, żeby zabić Cao Mengjiu! – upierał się dziadek.

– Życie Cao Mengjiu jest w moich rękach, mogę mu je odebrać w każdej chwili – powiedział Plamista Szyja.

– A więc przyszedłem tu na próżno? – spytał dziadek z rozczarowaniem w głosie.

Plamista Szyja rzucił mu z powrotem jego pistolety. Dziadek złapał tylko jeden, drugi upadł na ziemię, lufa wbiła się w błoto. Dziadek podniósł go, wytrząsnął ziemię z lufy i rękawem wytarł broń do czysta.

Jeden z bandytów chciał znowu założyć mu opaskę na oczy, ale Plamista Szyja powstrzymał go gestem.

– Nie trzeba – powiedział, wstając. – Chodźmy, wykapiemy się w rzece. Odprowadzimy kawałek naszego gorzelnika.

Jeden z bandytów poprowadził muła, dziadek ruszył za nim, a pochód zamykał Plamista Szyja ze swoją bandą.

Kiedy dotarli do brzegu rzeki, herszt spojrział zimno na dziadka. Ten wytarł zabłoconą i spoconą twarz.

– Nie warto było się tu wlec taki kawał, zupełnie nie warto. Zdechnąć można z tego gorąca – rzekł.

Ściągnął zabłocone ubranie, broń rzucił niedbale na stertę odzieży, przeszedł żwawo kilka kroków i wskoczył do rzeki. Zanurkował od razu, niczym paluszek z ciasta wrzucony do głębokiego tłuszczu. Jego głowa to wynurzała się, to zanurzała; poruszał przy tym rękoma tak, jakby bezskutecznie próbował wyrwać źdźbło ryżu.

– Facet chyba nie umie pływać – zauważył jeden z bandytów. Plamista Szyja przytaknął mruknięciem.

Od wody dobiegał głośny szum i różne odgłosy, to mój dziadek szamotał się i krztusił. Rwący nurt rzeki powoli znosił go na wschód.

Plamista Szyja ruszył w tym samym kierunku wzdłuż brzegu.

– Szefie, on się topi!

– Właźcie do wody i wyciągnijcie go – rozkazał Plamista Szyja.

Czterech zbójów wskoczyło do wody i wywlekło opitego wodą dziadka na brzeg. Leżał sztywno, jak martwy.

– Przyprowadźcie tu jego muła – polecił herszt.

Jeden z bandytów podprowadził zwierzę.

– Wsadźcie mu go na grzbiet.

Mężczyźni podnieśli dziadka i przerzucili przez grzbiet wierzchowca, przyciskając jego wzdęty brzuch do siodła.

– Popędźcie go – zarządził Plamista Szyja.

Jeden z bandytów trzymał lejce, drugi poganiał muła, innych dwóch przytrzymało dziadka. Wielki, czarny muł popędził brzegiem rzeki. Nim przebiegli odległość dwóch strzałów z łuku, równy strumień wody wystrzelił z ust dziadka.

Zbóje ściągnęli go z muła i położyli nagiego na nasypie. Jego białawe, podobne do ślepi śniętej ryby oczy spojrzały na rosłego herszta.

Plamista Szyja zdjął pelerynę i uśmiechnął się przyjaźnie.

– Dostałeś nowe życie, stary – powiedział.

Dziadek był bladoszyny. Policzki drgały mu boleśnie. Plamista Szyja i pozostali zbóje pościągali ubrania i skoczyli do Rzeki Czarnej Wody. Wszyscy

byli doskonałymi pływakami. Pluskali się w falach, siłowali się ze sobą na niby.

Dziadek powoli się dźwignął i narzucił na ramiona pelerynę Plamistej Szyi. Wydmuchał nos, odchrząknął, rozprostował ręce i nogi. Siodło było całe mokre, więc wytarł je do sucha ubraniami herszta. Muł wyciągnął lśniąca, jedwabista szyję i czule otarł się o dziadka. Dziadek poklepał go, mówiąc:

– Zaraz, zaraz, Czarny. Jeszcze trochę poczekaj.

Podniósł pistolety, bandyci zaś podpłynęli z powrotem do brzegu, niczym stadko kaczek. Dziadek w odmierzonym tempie wystrzelił siedem razy. Mózg i krew siedmiu zbrojów rozpląnęły się w zimnych, bezlitosnych falach Rzeki Czarnej Wody.

Dziadek oddał kolejnych siedem strzałów.

Plamista Szyja tymczasem wspiał się na brzeg. Woda wymyła jego skórę tak, że stała się biała jak płatek śniegu. Stojąc bez lęku wśród bujnych, zielonych szuwarów na piaszczystej plaży, oznajmił z bezgranicznym podziwem:

– Dobrze strzelasz!

Gorące, złote promienie słońca lśniły w kropelkach wody, które spływały po jego ciele.

– Dobierałeś się do mojej kobiety, Plamisty? – spytał dziadek.

– Niestety owszem!

– Czemu w ogóle robisz w tym fachu?

– Ty też, jak widzę, nie umrzesz na kangu – odparł Plamista Szyja.

– Nie wszedłbyś z powrotem do wody?

Plamista Szyja cofnął się parę kroków. Stojąc na płyciźnie, wskazał palcem na serce.

– Tu celuj. Rozwalone głowy są takie wstrętne!

– W porządku – zgodził się dziadek.

Siedem pocisków podziurkowało serce Plamistej Szyi tak, że przypominało plaster miodu. Bandyta wydał pojedynczy jęk, przechylił się w tył i osunął gładko do rzeki; jego nogi przez chwilę wystawały ponad powierzchnię, zanim cały zanurzył się w wodzie jak ryba.

Następnego ranka dziadek i babka wsiedli na dwa czarne muły i pojechali do domu pradziadka. Pradziadek właśnie topił srebro na amulety

długowieczności w kształcie kłódek. Na widok dziadka i babki z wrażenia przewrócił kociołek do wytapiania.

– Podobno Cao Mengjiu dał ci w nagrodę dziesięć srebrnych dolarów, prawda to?

– Oszczędź mnie, drogi zięciu... – Pradziadek padł na kolana. Dziadek wyciągnął z kieszeni dziesięć srebrnych monet i umieścił je na błyszczącej łysinie pradziadka.

– Trzymaj głowę prosto i nie ruszaj się! – polecił surowo i cofnął się kilka kroków. Pif, paf! – strzelił i dwa srebrne dolary sfrunęły z głowy staruszka.

Strzelił jeszcze dwa razy i strącił kolejne dwie monety.

Pradziadek coraz bardziej kulił się ze strachu; w końcu, nie czekając, aż dziadek wystrzeli po raz piąty, przypadł do ziemi.

Babka wyciągnęła zza pazuchy sto dolarów. Podłoga załśniła blaskiem srebra.

## 11

Mój dziadek i ojciec wrócili do zrujnowanego domu, ze skrytki w ścianie wydłubali pięćdziesiąt srebrnych dolarów i przebrani za żebraków wyruszyli do stolicy powiatu. Tam, w małym sklepiku w pobliżu stacji kolejowej, z czerwonym lampionem nad wejściem, od mocno umalowanej kobiety nabyli pięćset nabojów. Ukrywali się przez kilka dni, aż w końcu udało im się wymknąć z miasta. Zamierzali odszukać Ospowatego Lenga i wyrównać z nim rachunki.

W dniu, kiedy dziadek i ojciec dotarli na sorgowe pola od strony zachodniego krańca wioski, prowadząc ze sobą kozę ledwie żywą od zbierających się w jej jelicie odchodów, minęło właśnie sześć dni od bitwy przy moście na Rzece Czarnej Wody. Było popołudnie piętnastego dnia ósmego miesiąca tradycyjnego kalendarza, rok 1939. Ponad czterystu Japończyków i sześć setek kolaborantów otoczyło naszą wioskę niczym stalowy mur. Dziadek i ojciec czym prędzej odetkali kozia odbytnicę i zwierzę wydalilo kilogram odchodów oraz kilkaset nabojów. Dziadek i ojciec pozbierali je pospiesznie, nie zważając na brud i smród, po czym rozpoczęli z najeźdźcami tragiczną i bohaterską bitwę na polach sorga. Chociaż zastrzelili kilkudziesięciu Japończyków i drugie tyle kolaborantów, wciąż byli za słabi, by poprawić sytuację. O zmierzchu wieśniacy próbowali wydostać się z wioski przez niebroniony odcinek na południu, ale powstrzymał ich intensywny ostrzał



japońskich karabinów maszynowych. Setki mężczyzn i kobiet zginęło na polu, a ich ranni rodacy miotali się w śmiertelnych konwulsjach, łamiąc niezliczone źdźbła sorga.

Japończycy, zanim się wycofali, przed odejściem podpalili wszystkie domy. Ogromne płomienie buchały w niebo i wypalały je do białości. Księżyc tamtej nocy był okrągły i czerwony jak krew, ale wojna sprawiła, że zbladł i osłabł. Wyglądał jak wyblakła, samotna, smutna wycinanka przyklejona do nieboskłonu.

– Dokąd teraz pójdziemy, tato? – spytał mój ojciec.

Dziadek milczał.

## **CZEŚĆ III**

# **Psia droga**

Chlubna historia ludzkości obfituje w legendy i historie o psach: psach godnych szacunku i psach plugawych, psach przerażających, psach skrzywdzonych. Kiedy mój ojciec i dziadek stali, pełni wahań, na życiowych rozstajach, setki tych zwierząt pod wodzą trzech psów z naszego domu: czarnego, zielonego i czerwonego, ryło twardymi pazurami blade ścieżki tam, gdzie dokonała się masakra wśród zbóż na południe od naszej wioski. Nasza rodzina hodowała pięć psów; dwa z nich, żółte, po burzliwym życiu zdechły w roku, w którym mój ojciec skończył trzy lata. Czarny, zielony i czerwony zaś, w roku, w którym dały się poznać jako przywódcy stada grasującego po polu bitwy, miały po piętnaście lat, co dla człowieka stanowi wiek młodzięńczy, a dla psa jest wiekiem średnim.

W dniach po wielkiej masakrze bolesne wspomnienie o zasadzce i bitwie koło mostu na Rzece Czarnej Wody i o tym, jak uwalani czarną krwią wędrowali po polach, jak ciemna chmura przysłaniało dziadkowi i ojcu czerwone słońce. Myśl o babce przedzierała się jednak niczym słoneczny blask przez gęste zasłony, promieniowała przez szczeliny. To skryte za czarną chmurą słońce musiało niewyobrażalnie cierpieć. Wizja przesywających mgłę promieni przyprawia mnie o drżenie. Myśl o tym, że mój ojciec w każdej chwili wytchnienia po zażartej walce z oszalałymi, pożerającymi zwłoki psami rozpaczliwie tęsknił za swoją matką, budzi we mnie lęk, czuję się zagubiony niczym biedny, zabłąkany kundel.

W masakrze, która wydarzyła się nocą Święta Środka Jesieni w 1939 roku, prawie wszyscy mieszkańcy naszej wioski zostali zgładzeni, a kilka setek wioskowych psów straciło panów. Dziadek bezustannie strzelał do zwabionych zapachem krwi padlinożernych kundli, aż pistolet w jego ręku ochrypnął i zaczął wydzielać woń gorącego metalu. Lufa jarzyła się czerwono w białym jak szron i zimnym jak lód świetle jesiennego księżyca. Po zażartych walkach pole sorga zalane czystym, posępnym blaskiem wydawało się dziwnie spokojne. W wiosce wciąż szalał ogień, języki płomieni lizały nisko wiszące niebo, szumiąc jak trzepoczące na wietrze chorągwie. Japońscy żołnierze i kolaboranci po zabiciu mieszkańców podpalili wszystkie domy, po czym opuścili wioskę przez północny mur. Było to trzy godziny wcześniej. Teraz odniesiona przed tygodniem rana w ramieniu dziadka otworzyła się i ręka zwisała bezwładnie, jak martwa, nie mogąc utrzymać broni. Ojciec pomógł mu zabandażować ranę. Dziadek rzucił rozgrzany pistolet na wilgotną czarną ziemię na polu sorga. Metal syczał. Gdy opatrunek był gotowy, dziadek siadł na ziemi, nasłuchując parskania i rżenia japońskich koni i podobnego do wichury tę-

tentu kopyt. Odgłosy te oddalały się stopniowo w kierunku północnym, gdzie znowu zbierali się najeźdźcy, aż w końcu ginęły wśród cichych pól, a wraz z nimi milkły porykiwania jucznych mułów i kroki wyczerpanych żołnierzy.

Ojciec stał obok dziadka, starając się skupić na nasłuchiowaniu stukotu kopyt. Po południu o mało nie umarł ze strachu, gdy ogniście czerwony ogromny rumak rzucił się na niego – widział tylko wielkie jak talerz, podkute kopyto celujące prosto w jego głowę; blask półkolistej podkowy wdarł się w jego umysł niczym oślepiająca błyskawica. Odruchowo zawołał dziadka na ratunek, zakrył głowę rękoma i skulił się w zbożu. Owionęły go zapachy wydzielane przez brzuch konia, smród moczu i kwaśny odór potu – wonie te oblepiły jego głowę i całe ciało, czuł, że nigdy się ich nie pozbędzie. Napierające tłuste cielsko japońskiego konia tratowało zboże, łodygi gięły się na wszystkie strony. Przejrzałe, intensywniej niż zwykle szkarłatne ziarno sypało się gradem na głowę ojca, ziemię zasłała warstwa biednych nasionek. Przypomnił sobie obsypaną ziarnem twarz babki, gdy leżała na wznak wśród źdźbeł. Siedem dni temu sorgo było dojrzałe, ale jeszcze nie zdążyło się zestarzeć. Ziarno pryskało wokół, wydziobywane z kłosów przez gołębie, co nie przypominało gradu, lecz łagodne krople lekkiego deszczu. Między rozchylonymi bladymi, bezkrwistymi wargami babki lśniły perłowe zęby, wysadzone połyskliwymi jak diamenty nasionami czerwonego sorga – ten poruszający obraz błysnął ojcu przed oczyma i równie szybko zniknął. Japoński koń z trudem zawrócił, a źdźbła zboża za nim odbywały bolesną walkę: niektóre łamały się, inne gięły, jeszcze inne prostowały, drżąc w podmuchach jesiennego wiatru niczym chorzy na malarię. Ojciec widział rozdęte nozdrza i rozchylone czerwone wargi dyszącego konia; krwista piana wydobywała się spomiędzy śnieżnobiałych zębów i kapiała z pyska. Oczy zwierzęcia łzawiły od drażniącego pyłku rozsiewanego przez zboże. Sierść konia lśniła, a wysoko w siodle siedział młody, przystojny japoński żołnierz w rogatywce na głowie, ledwie wystającej nad zbożem. Podczas tej groźnej sceny kłosa smagały bezlitośnie japońskiego żołnierza, szturchały go i kłuły, a nawet złośliwie łaskotały. Mimowolnie mrużył oczy. Wyraźnie miał już dość, wręcz nienawidził tych roślin, które uporczywie raniły jego przystojne oblicze. Ojciec patrzył, jak z wściekłością ścina kłosa szablą – jedne opadały na ziemię bezszelestnie i zostawały po nich tylko nieruchome łodygi, inne głośno szumiały, a nadłamane kłosa bezgłośnie lamentowały, zwisając z łodyg o drżących liściach. Jeszcze inne sprężyście gięły się pod ciosem szabli, a potem prostowały jak przyklejone do ostrza. Ojciec zobaczył, że japoński żołnierz spina konia i wznosząc broń, szarżuje znowu. Chwycił swój chwilowo bezużyteczny browning, który popełnił już tyle zbrodni, i cisnął nim w kanciasty pysk konia; broń poszybowała prosto i trafiła w czoło zwierzęcia z głuchym odgłosem. Koń gwałtownie uklęknął na przednich nogach, jego wargi ucałowały czarną glebę, szyja przekrzywiła się i łeb legł na ziemi. Wyrzucony z siodła Japończyk złamał rękę, w której trzymał szablę –

ojciec widział padającą na ziemię broń. Ramię żołnierza głośno trzasnęło, ostra kość przedarła się przez rękaw, zwisające bezwładnie ramię zaczęło podrygiwać, jakby żyło własnym życiem. W okolicy rozdarcia z początku nie było wcale krwi; biała kość wydzielala złowrogą, grobową woń. Wkrótce jednak z rany popłynął szkarłatny strumień, to mocniejszy, to słabszy; przypominał toczące się jaskrawoczerwone wiśnie. Jedna noga Japończyka została przygnieciona końskim brzuchem, druga leżała na łbie zwierzęcia, obie tworzyły kąt rozwarty. Ojciec był bezbrzeżnie zdumiony – nie przyszłoby mu nigdy do głowy, że można tak łatwo pokonać dzielnego japońskiego wojownika i jego wielkiego, wspaniałego rumaka. Wtem spomiędzy zboża wychynął skulony dziadek i zawołał cicho: „Douguan!”.

Ojciec wstał niepewnie i spojrział na dziadka.

Japońska kawaleria znowu szarżowała jak wichur z głębi sorgowego pola, słyhać było ciężki tętent kopyt na miękkiej czarnej ziemi i ostre trzaski łamanych źdźbeł. Jeźdźcy poruszali się chaotycznie, to galopując prosto przed siebie, to pędząc zygzakiem. Niedawne celne snajperskie strzały mego ojca i dziadka doprowadziły ich do ostateczności. Nie mieli wyjścia, musieli wstrzymać frontalny atak na naszą stawiającą niezłomny opór wioskę i wycofać się w pola, by znów zaatakować z zaskoczenia, jakby zarzucali sieci.

Dziadek objął ojca ramieniem i obaj płasko przywarli do czarnej ziemi; potężne piersi koni i ich wielkie kopyta pędziły obok nich, wzbijały w powietrze jęczące boleśnie grudki czarnej ziemi i zmuszały zboże do falowania. Czerwonozłote ziarno sypało się na ziemię, wypełniając głębokie ślady podków.

Gdy kawaleria była już daleko, falowanie zboża ustało. Dziadek wstał. Ojciec także z trudem się podniósł i dopiero na widok głębokich odcisków swoich kolan w czarnej glebie uświadomił sobie, jak mocno dziadek przyciskał go do ziemi.

Japoński kawalerzysta nie był martwy. Ostry ból przywrócił mu przytomność. Opierając się na zdrowej ręce, próbował zdjąć prawdopodobnie wybitą ze stawu nogę z końskiego łba i znaleźć się w siodle. Każdej próbie poruszenia nogą, która odmawiała mu posłuszeństwa, towarzyszył żalostny jęk. Pot lał się strumieniami z jego czoła, zmywał z twarzy czarną ziemię i proch, odsłaniając bladą skórę. Koń także jeszcze żył, jego szyja wila się na ziemi niczym wąż boa, szmaragdowozielone oczy patrzyły smutno na obce niebo i słońce Północno-Wschodniego Gaomi. Japończyk odpoczął chwilę, po czym nateżył się, chcąc wyciągnąć drugą nogę spod końskiego brzucha.

Dziadek podszedł do żołnierza i pomógł mu wydobyć nogę, a następnie chwycił go za kark i postawił na ziemi. Nogi Japończyka były tak słabe, że całym ciężarem wisiał w rękach dziadka. Gdy tylko dziadek rozluźnił chwyt, osunął się na ziemię niczym posażek z mokrej gliny. Dziadek podniósł jego

błyszcząca szablę, wziął zamach i ciał skosem kępę sorga raz w tę, raz w drugą stronę. Ściał równiutko kilkadziesiąt kłosów, pozostawiając sterczące z ziemi wyschnięte łodygi.

Następnie podstawił ostry koniec lśniącej japońskiej szabli pod sterczący, urodziwy biały nos japońskiego kawalerzysty i rzekł zduszonym głosem:

– Japoński diable! Gdzie teraz twoja duma, co?

Japończyk zamrugał nerwowo czarnymi oczyma, a z jego ust wydobył się strumień bełkotliwej mowy; ojciec domyślał się, że błaga o litość. Żołnierz sięgnął sprawną ręką do kieszeni i wyjął okładkę z przezroczystego plastiku, podał dziadkowi i rzekł:

– Dziguluminlulala...

Ojciec podszedł bliżej i przyjrzał się foliowej kieszonce, w której znajdowała się kolorowa fotografia. Przedstawiała młodą, ładną kobietę o białych jak śnieg ramionach, trzymającą w objęciach pulchne niemowlę. Na ich twarzach malowały się spokojne uśmiechy.

– To twoja żona? – spytał dziadek.

– Dziguluminlulala...

– A to twój syn?

– Łulajadzidzisici...

Ojciec przysunął głowę jeszcze bliżej i dojrzał słodki uśmiech kobiety oraz rozbijającą niewinną twarzyczkę dziecka.

– Myślisz, że tym mnie wzruszysz, wstrętna świnio? – Dziadek cisnął fotografię w powietrze; okładka niczym motyl uleciała ku słońcu, po czym zaczęła opadać, zabierając jego blask ze sobą. Dziadek zabrał ostrze sprzed nosa Japończyka i zamachnął się z pogardą na spadające zdjęcie; szabla zalśniła zimnym blaskiem, okładka podskoczyła w powietrzu, rozpadła się na dwie części i wylądowała na ziemi u stóp dziadka i ojca.

Ojcu pociemniało w oczach, przeszył go lodowaty dreszcz. Zielone i czerwone błyski na zmianę przenikały przez jego zaciśnięte powieki. W sercu czuł nieopisany ból. Bał się otworzyć oczy, które z pewnością zobaczyłyby przecięte na pół postaci pięknej, łagodnej kobiety i niewinnego dziecka.

Japoński kawalerzysta rozpaczliwym wysiłkiem dowłókł się w pobliże ojca i drżącą ręką podniósł przeciętą szablą na pół plastikową okładkę. Druga, zraniona ręka zwisała bezwładnie i już nie słuchała jego rozkazów; żywa krew kapłała z czubków żółtawych palców. Zdrową ręką niezdarnie usiłował

połączyć przedarte połówki fotografii żony i syna, jego wyschnięte wargi drżały, spomiędzy dygocących szczęk wydobywały się urywane słowa:

– Aja... ła... tu... lu... he... cia... haj... min...

Dwa strumienie błyszczących łez popłynęły po brudnej skórze szczupłych policzków. Japończyk przytknął fotografię do ust i ucałował, z jego gardła wydobył się bulgotliwy odgłos.

– Płakać też potrafisz, świniu? Umiesz całować swoją żonę i bachora, ale nasze żony i dzieci mordujesz bez skrupułów? Myślisz, że jak wyciśniesz z oczu trochę sików, to daruję ci życie?! – wykrzykiwał dziadek, zamierzając się na niego błyszczącym ostrzem japońskiej szabli.

– Tato! – krzyknął przeciągle mój ojciec i oburącz uwiesił się na ramieniu dziadka. – Tato! Nie zabijaj go!

Ręka dziadka – człowieka o sercu ze stali, który potrafił zabijać bez mrugnięcia okiem – zadrżała w objęciach mojego ojca, który patrząc na niego parą załzawionych, smutnych oczu, błagał o litość.

Dziadek zwiesił głowę. W tym momencie dobiegła ich fala dźwięków: ogłuszający huk japońskich moździerzy bombardujących wioskę, łoskot wystrzałów z karabinów maszynowych, wymierzonych w walczących w oblężeniu wieśniaków; z głębi pól dobiegało znowu groźne rżenie japońskich koni i tętent kopyt uderzających w czarną ziemię. Dziadek potrząsnął ramieniem i odepchnął ojca.

– Co cię opętało, głupi bachorze? Czego beczysz? Płaczesz za matką? Za wujem Luohanem? Za wujem Niemową i całą resztą? – łajał dziadek. – Bo chyba nie nad tym skurwysynem? Czy to nie ty przyłożyłeś browningiem jego koniowi? Czy to nie ten łajdak przed chwilą chciał cię stratować kopytami, ściąć swoją szablą? Otrzyj łzy, synu! Masz tu szablę i utnij mu łeb!

Ojciec cofnął się zalany łzami.

– Chodź no tu!

– Nie, tato... Me mogę...

– Ty nieszczęsny tchórze!

Dziadek wymierzył ojcu kopniaka i z szablą w rękę zrobił krok w tył. Zyskawszy odpowiedni dystans, wznosił ją nad głowę.

Ojciec zobaczył błysk, po którym natychmiast zapadła ciemność. Odgłos wymierzonego Japończykowi ciosu, wilgotny, podobny do dźwięku dartego jedwabiu, zagłuszył huk moździerzy i wprowadził w drganie bębenki jego uszu; w środku cały się trząsnął. Kiedy odzyskał zdolność widzenia, młody, przystojny japoński kawalerzysta leżał przecięty na pół. Ostrze weszło w lewe ramię i

wyszło pod najniższym prawym zębem. Wielobarwne wnętrzości podrygiwały, wydzielając gorącą, przykrą woń. Żołądek i jelita ojca skurczyły się i wcisnęły do klatki piersiowej, z ust chlusnęła mu zielona ciecz. Ojciec odwrócił się i uciekł.

Mimo że nie śmiał spojrzeć w szeroko otwarte, okolone rzęsami oczy Japończyka, obraz przeciętego mieczem na pół ciała na zawsze zapisał się w jego pamięci. Tym cięciem dziadek jakby przeciął wszystko na dwoje. Sam także został przecięty na dwoje. Ojciec doznał nagłej wizji: lśniąca krwawym blaskiem, ogromna szabla unosi się w powietrzu i przekrawa na pół kolejno dziadka, babkę, wuja Luohana, japońskiego kawalerzystę, jego żonę i dziecko, wuja Niemowę, trębacza Liu, braci Fangów, Gruźlika Czwartego, adiutanta Rena – jakby kroił melony.

Dziadek rzucił na ziemię szablę z zastygającym na brzegu ostrza lepkiem, półprzejrzystym pasmem krwi i ruszył za ojcem, który biegł na oślep przez zboże. Japońska kawaleria znowu pędziła jak huragan, od pół nadlatywały ze świstem pociski moździerzowe i spadając niemal pionowo na wieś, wybuchały w tłumie jej niezłomnych obrońców, uzbrojonych w strzelby i działa.

Dziadek złapał ojca za kark i potrząsnął.

– Douguan! Douguan! Ty zółwie nasienie! Zglupiałeś do reszty? Chcesz zginąć? Już ci życie niemiłe?

Ojciec wpił się paznokciami w potężne ręce dziadka i zaczął rozpaczliwie krzyczeć:

– Tato! Tato! Zabierz mnie stąd! Zabierz mnie stąd! Nie chcę już walczyć! Nie chcę! Widziałem mamę! Widziałem wuja!

Dziadek spoliczkował go bez śladu litości. Pod potężnym ciosem szyja ojca zwiotczała, głowa zwisała mu na piersi, a z ust wyciekło zabarwione krwią pasemko śliny.

## 2

Japończycy wycofali się. Wielki, blady i cienki jak papier do wycinanek księżyc wznosił się nad szczytami źdźbeł sorga, świecąc uparcie, mimo że jego tarcza już zaczynała się zmniejszać. Udręczone sorgo stało uroczyście, milcząc, w jego blasku, syjąc z rzadka ziarnem na czarną glebę, jakby płakało kryształowymi łzami. W powietrzu gęstniał słodkawy zapach, czarna ziemia na południe od naszej wioski była nasiąknięta ludzką krwią. Odblaski płonącego we wsi ognia podrygiwały na niebie niczym lisie ogony; od czasu do czasu rozlegały się odgłosy wybuchów, podobne do trzasków palącego się drewna, z



wioski dobiegał swąd spalenizny, tworząc duszącą mieszanę z unoszącą się nad polami wonią krwi.

Stan rany na ramieniu dziadka przez ostatnie trzy i pół godziny nieustannie się pogarszał. Owrzodzenia pękały i sączyła się z nich obficie czarna krew, tu i ówdzie zabarwiona na białą cuchnącą ropą. Dziadek kazał ojcu pomóc mu ją wycisnąć. Wylęknięty ojciec lodowatymi palcami nacisnął sinoczerwoną skórę w pobliżu rany. Po chwili ze szczeliny wydobył się strumyk tęczowych pęcherzyków powietrza wraz z zepsutą wonią jakby kiszonych warzyw. Dziadek podniósł arkusik żółtego papieru ofiarnego, który leżał na pobliskiej mogile przygnieciony grudką ziemi, i kazał ojcu zeskrobać na niego trochę białego, podobnego do soli pyłku sorga. Ojciec, trzymając oburącz papier z kupką proszku, wręczył go dziadkowi z szacunkiem. Dziadek zębami otworzył jeden nabój, wysypał na papier nieco zielonkawego prochu, zmieszał z białym pyłkiem sorga i szczyptą tej mikstury posypał ranę.

– A może by tak dodać trochę czarnej ziemi? – spytał nieśmiało ojciec.

Dziadek zastanowił się, po czym odparł:

– Dodać.

Ojciec schylił się i wygrzebał grudkę gleby spod korzeni jednego z pędów sorga, skruszył ją w palcach i rozsypał na papierze. Dziadek przyłożył sobie do rany wszystkie trzy substancje, razem z papierem, a ojciec pomógł mu zawinąć ten okład nieprawdopodobnie brudnym bandażem.

– Już mniej boli, tato? – spytał ojciec.

Dziadek poruszył ręką kilka razy.

– Dużo mniej, Douguan. Takie lekarstwo wyleczy każdą ranę, nawet bardzo ciężką.

– Tato, a gdyby to samo lekarstwo dać wtedy mamie, toby pewnie nie umarła?

– Pewnie nie – odparł dziadek. Jego twarz posmutniała.

– Jaka szkoda, tato, że nie powiedziałeś mi wcześniej. Z ran mamy płynęło tyle krwi, więc zatykałem je czarną ziemią i zatykałem, zatamowałem krew na trochę, ale zaraz znowu zaczęła płynąć. Gdybym wtedy dodał tego białego pyłku z sorga i prochu, to na pewno by pomogło...

W trakcie gadaniny ojca dziadek zranioną ręką ładował pistolet. Wystrzały z japońskiego moździerza wzbijały obłoki żółtego dymu nad murem otaczającym wioskę.

Browning mojego ojca został pod brzuchem japońskiego konia. W czasie ostatniej bitwy tego popołudnia ojciec posługiwał się więc japońskim

karabinem, niewiele mniejszym od niego, a dziadek używał swojego niemieckiego „automatu”. Strzelał zeń nieustannie, młodość pistoletu błyskawicznie przeminęła i nadawał się już tylko na złom. Ojciec miał wrażenie, że lufa dziadkowej broni nie tylko pogięła się i powgniatła, ale też zrobiła wyraźnie dłuższa. Niebo nad wioską nadal oświetlały płomienie, ale na polach panowała już nocna cisza. Coraz bardziej posępny, jasny blask księżyca padał na uroczo pochylone główki więdnącego sorga. Ojciec, wlokąc za sobą karabin, szedł za dziadkiem. Okrążyli miejsce masakry – ich stopy zapadały się w nasiąkniętej krwią ziemi jak w miękkiej glinie. Zwłoki ludzi mieszały się z trupami powalonego zboża. Kałuże krwi lśniły w blasku księżyca.

Zamglony widok przerażająco powykrzywianych twarzy niszczył ostatnie chwile młodości mojego ojca. Wydawało mu się, że wśród pól tu i ówdzie rozlegają się bolesne jęki i że w stosach trupów widać ruchy wciąż jeszcze żywych ludzi. Chciał namówić dziadka, żeby poszukali ocalałych, ale gdy podniósł głowę i spojrzał na jego zrezygnowaną twarz, upstrzoną zielonkawymi i rdzawymi plamkami, jakby była z brązu, słowa uwięzły mu w gardle.

W najbardziej krytycznych chwilach ojciec zawsze zachowywał się nieco przytomniej od dziadka – pewnie dlatego, że jego myśli sięgały jedynie powierzchni rzeczywistości, nie zagłębiały się w nią, dzięki czemu świetnie nadawał się na partyzanta. W takich momentach myśli dziadka skupiały się na jednym szczególe – mogła to być wykrzywiona twarz, połamana strzelba, lecący pocisk. Nie zauważał innych widoków, nie słyszał innych dźwięków. Ta wada czy też cecha dziadka pogłębiała się w ciągu następnych kilkunastu lat. Kiedy wrócił do Chin z gór Hokkaido, w jego oczach widać było niezmierną głębię. Gdy skupiał na czymś wzrok, wyglądało to tak, jakby chciał, by ta rzecz wybuchła. Ojcu nigdy nie udało się osiągnąć takiego stopnia filozoficznego wglądu. W roku 1957, kiedy po niewyobrażalnych trudach wydostał się z nory, którą wykopała dla niego matka, jego oczy były wciąż takie jak w młodości: żywe, zagubione, zmienne. Przez całe życie nie udało mu się zgłębić związków człowieka z polityką, społeczeństwem, wojną, mimo że sam kręcił się w jej wirze. Promień jego osobowości przebijał się z trudem przez lodowaty pancierz. Mogła w każdej chwili zaświecić wspaniałym blaskiem, ale promień ten również był zimny, skrzywiony, z domieszką brutalności i cech zwierzęcych.

Obaj okrążyli miejsce masakry kilkanaście razy, w końcu ojciec poskarżył się płaczliwie:

– Tato... Nie dam rady dalej iść...

Dziadek obudził się z transu, w którym poruszał się jak maszyna, wziął ojca za rękę, cofnął się dziesięć kroków i usiadł na spłachetku twardej, suchej, niezachlapanej krwią czarnej ziemi. Huk płomieni szalejących w wiosce

sprawił, że cisza i chłód panujące wśród pól były jeszcze bardziej przejmujące. Słaby, złoty blask ognia drżał w srebrnym świetle księżyca. Dziadek posiedział chwilę, po czym padł na wznak niczym zwalony mur. Ojciec położył głowę na jego brzuchu i zapadł w półsen. Czuł głaszczącą go po głowie rozpaloną, wielką dłoń dziadka i przypominało mu się, jak przed kilkunastoma laty leżał w objęciach babki i ssał jej pierś.

Miał wtedy cztery lata i nie spodobała mu się twarda, żółtawa brodawka, którą matka wepchnęła mu do ust. Ssąc tę kwaskową, sztywną *rzecz*, poczuł w sercu falę nienawiści. Spojrzał złymi oczyma małego zwierzątka na obojętną twarz babki i z całej siły ugryzł brodawkę. Poczuł skurcz w jej piersi i gwałtowne szarpnięcie. Strumyki słodkiej cieczy ogrzały jego usta. Babka wymierzyła mu solidnego klapsa w pośladki i odepchnęła go. Przewrócił się, a następnie usiadł, wpatrując się w czerwone krople krwi kapiące z podobnej do dorodnego melona obwisłej piersi. Załkał, lecz jego oczy pozostały suche. Babka zaś płakała boleśnie, drżąc na całym ciele i zalewając się łzami. Usłyszał, jak przeklina go, nazywa wilczym szczeniakiem, bestią dziką jak wilk, jego ojciec. Dopiero później dowiedział się, że w tym samym roku, w którym skończył cztery lata, dziadek zakochał się w służce babki, Miłości, która przez ten czas zdążyła wyrosnąć na ładną dziewczynę o lśniących czarnych oczach. Kiedy ojciec gryzł matkę w pierś, dziadek mieszkał razem z Miłością w sąsiedniej wiosce, w innym domu, który kupił, gdy miał już dość porywów zazdrości babki. Chodziły słuchy, że moja druga babka też nie należała do „oszczędnych lampek” i że babka się jej bała – to jednak wyjaśnię później. Druga babka urodziła mi małą siostrzyczkę, którą w 1938 roku zakłuli bagnietami Japończycy, a ją samą zgwałcili – o tym jednak również później opowiem.

Dziadek i ojciec byli wyczerpani, rana na ręce dziadka pulsowała boleśnie, całe ramię płonęło. Obaj mieli stopy obolałe, spuchnięte, ledwie mieszczące się w płóciennym obuwiu, i marzyli o tym, by wysuszyć cuchnące kończyny w blasku księżyca, ale żaden nie miał siły wstać i ściągnąć butów.

Leżeli w otępiałym półśnie. Ojciec odwrócił się na wznak i trzymając głowę na twardym brzuchu dziadka, patrzył w rozgwieżdżone niebo, promienie księżyca świeciły mu prosto w oczy. Dobiegał go falami nieartykułowany szept Rzeki Czarnej Wody. Na tle Drogi Mlecznej pasma czarnych chmur to wiły się jak węże, to zastygały w bezruchu.

Ojciec przypominał sobie, jak wuj Luohan mówił kiedyś, że gdy Droga Mleczna pokaże się na niebie poziomo, jesienią spadną wielkie deszcze. Ojciec tylko raz w życiu widział jesienną powódź. Sorgo stało już gotowe do żniw, gdy Rzeka Czarnej Wody wystąpiła z brzegów, przerwała wały i tamy, zalała pola i wsie. Sorgo z wysiłkiem podnosiło głowy, szczury i węże wpełzały na źdźbła,

chroniąc się przed utonięciem. Ojciec poszedł z wujem Luohanem pracować przy podwyższaniu muru wokół wioski. Patrzył z niepokojem na żółtawą wodę, która wydawała się napływać spoza granic świata. Ponieważ woda nie chciała opaść, wieśniacy porobili tratwy i wypłynęli nimi w pole, by zżąć sierpami wypuszczające już nowe, zielone paczki kłosy. Wiązki mokrego ciemnoczerwono-szmaragdowego zboża obciążały tratwy tak bardzo, że wyglądały, jakby miały zaraz zatonać. Smagli, żyłaści mężczyźni o nagich stopach i torsach, w zniszczonych słomianych kapeluszach, stali w rozkroku na tratwach i odpychając się długimi drągami to z lewej, to z prawej strony, powoli zbliżali się do otoczonej murem wioski. A tam w uliczkach woda sięgała po kolana, stały w niej zwierzęta gospodarskie, wokół pływały ich odchody. W wieczornych promieniach jesiennego słońca powierzchnia wody lśniła niczym stopione złoto; w oddali nieścięte kłosy sorga formowały na niej czerwonozłotą pokrywę. Wyżej pokrywały stada dzikich gęsi, chłodne podmuchy ich skrzydeł wzbudzały na wodzie drobniutkie fale. Między podobnymi do płyt tektonicznych połączeniami sorga ojciec dostrzegł szeroki, wolno płynący nurt, wyraźnie widoczny na tle otaczającej go żółtawej wody – domyślił się, że to Rzeka Czarnej Wody. Pchający tratwy mężczyźni wzdychali głośno z ulgą i pozdrawiali się wzajemnie, zbliżając się powoli do wioski. Na tratwie pewnego młodego chłopca leżał wielki amur biały o srebrnym brzuchu i niebieskawym grzbiecie, z policzkami przebitymi ostrym żdźbłem. Młodzieniec podniósł go, by pochwalić się zdobyczą ludziom na murach; ryba miała długość prawie połowy wzrostu człowieka. Krew sączyła się z jej skrzeli, pysk był otwarty, a martwe oczy smutno patrzyły na mojego ojca. Ojcu przypomniało się, jak wuj Luohan kupił tę wielką rybę. Babka własnoręcznie oskrobała ją i wypatroszyła, a potem ugotowała z niej garnek zupy.

Wspomnienie wybornego smaku ryby pobudziło jego apetyt. Usiadł i oznajmił:

– Tato, zjadłbyś coś? Bo ja jestem głodny. Tato, daj mi coś do jedzenia, umieram z głodu...

Dziadek usiadł, pomacał się ręką w pasie. Wyjął nabój, a potem pistolet, odciągnął zamek, wsunął nabój do środka, puścił zamek i nabój trafił do komory. Następnie pociągnął za spust i bum! Kula wystrzeliła z komory.

– Chodź, Douguan... Chodź, poszukamy twojej matki... Ojciec, wystraszony, zaprotestował piskliwie:

– Co ty, tato! Mama umarła, a my jeszcze żyjemy, jestem głodny, chodźmy poszukać czegoś do jedzenia!

Pociągnął dziadka i zmusił go do wstania.

– Ale dokąd mamy iść? – mamrotał dziadek jakby do siebie. – Dokąd iść?

Ojciec wziął go za rękę i ruszyli w pole. Niezdarnie, potykając się, brnęli naprzód, jakby chcieli dojść na Księżyc, który wisiał jeszcze wyżej na niebie i świecił jeszcze bardziej lodowatym blaskiem.

Od leżących w pobliżu zwłok dobiegło warczenie jakiegoś zwierzęcia. Dziadek i ojciec odwrócili się i spojrzeli w tym kierunku – zobaczyli kilkanaście podobnych do błędnych ogników par zielonych ślepiów i czające się przy samej ziemi stalowoniebieskie cienie. Dziadek wyjął pistolet i wypalił do jednej z par oczu. Rozbłysk ognia, zielone ślepiea zgasły i z gęstwiny zboża dobiegł skowyt zdychającego psa. Dziadek wystrzelił siedem razy i po chwili gromada rannych zwierząt tarzała się w agonii między trupami ludzi. Kiedy dziadek strzelał do psów, te, których nie udało mu się trafić, czmychały w pole i z odległości kilku lotów strzały warczały wściekle na prześladowców.

Kilka ostatnich pocisków z broni dziadka przeleciało odległość trzydziestu kilku kroków i zaryło się w ziemię. Ojciec patrzył, jak wirują w locie, odbijając światło księżyca, tak wolno, że można by chwycić je wyciągniętą ręką. Huk wystrzałów także stracił dawną dźwięczność i brzmiał jak pokasływanie zgrzybiałego starca. Dziadek podniósł pistolet do oczu i przyjrzał mu się, na jego twarzy malował się smutek.

– Skończyły ci się naboje, tato? – spytał ojciec.

Pięćdziesiąt nabojów, które dziadek i ojciec przetransportowali ze stolicy powiatu w brzuchu kozy, zostało wystrzelonych w ciągu kilkunastu godzin. I tak jak czasem człowiek starzeje się w jeden dzień, tak samo pistolet dziadka w jednym dniu utracił młodość. Dziadek uświadomił sobie z żalem, że ponieważ broń coraz mniej słucha jego rozkazów, nadchodzi czas, by się z nią rozstać.

Trzymając pistolet w wyciągniętej poziomo ręce, przyglądał się stłumionemu odbiciu księżycowego światła w metalu. Po chwili rozluźnił dłoń i broń ciężko upadła na ziemię.

Zielonookie psy znowu przypadły do trupów; z początku posuwały się ostrożnie, w ich ślepiach tlił się płomień strachu. Wkrótce jednak światła ich oczu przygasły, a blask księżyca padł na falujące, szaroniebieskie futra. Dziadek i ojciec słyszeli odgłosy rozszarpywanego mięsa i mlaskanie psich języków.

– Wracajmy do wioski, tato – poprosił mój ojciec.

Dziadek zawahał się, ale ojciec pociągnął go za rękę, musiał więc pójść za nim.

Ogień w wiosce powoli dogasał; ciemnoczerwony żar, który dopalał się wśród walących się murów i zgliszczy, wydzielał gorzki swąd. Uliczkami wiały

gorące podmuchy, powietrze było zamglone i duszące, czarne i białe dymy mieszały się i kłębiły w koronach spalonych drzew. Drewniane wsporniki pękały z trzaskiem, pozbawione podparcia dachy zapadały się, wzbijając w powietrze chmury popiołu i żaru. Na murze otaczającym wioskę, na uliczkach – wszędzie było pełno trupów.

Przewrócono kolejną stronę w kronice naszej wioski. Pierwotnie było tu pustkowie porośnięte krzewami i szuwarami, raj dla lisów i zajęcy, potem przyszli ludzie i postawili kilka chat, później pojawili się wyjęci spod prawa mordercy, nałogowi pijacy i hazardziści, którzy wybudowali domy, zaczęli uprawiać ziemię i przerobili to miejsce na raj dla ludzi. Lisy i króliki, wypędzone ze swojej ojczyzny, na pożegnanie wyły oskarżycielskim chórem. Teraz wioska legła w gruzach: stworzona przez ludzi i przez ludzi zniszczona. W teraźniejszych czasach na ruinach wzniesiono na pół szczęśliwy, na pół nieszczęśliwy raj nie raj. W 1960 roku, kiedy nad Półwyspem Szantuńskim zawisła czarna chmura klęski głodu, przeczuwałem – choć miałem tylko cztery lata – że Północno-Wschodnie Gaomi od zawsze było ruiną i że w sercach i duszach mieszkańców tej ziemi zawsze już będą sterty gruzów, które nigdy nie zostały i nie mogły zostać uprzątnięte.

Tamtej nocy, gdy dachy domów przestały płonąć i dymić, nasze dwudziestoizbowe domostwo wciąż jeszcze się paliło. Tańczyły w nim zielone płomienie, a oszalamiający aromat alkoholu, którym było przesycone, uwolniony po wielu latach przez ogień, unosił się wokoło. Niebieskie dachówki, wypaczone pod wpływem gorąca i przepalone na ciemnoczerwono, gwałtownie i z trzaskiem wylatywały w powietrze, niczym odłamki w czasie eksplozji. Płomień oświetlił posiwiałą głowę dziadka – w ciągu zaledwie tygodnia trzy czwarte jego czarnych włosów zmieniło kolor na biały. Dach naszego domu zawalił się z hukiem, dusząc na moment płomienie, które po chwili rozszalały się jeszcze bardziej, strzelając jeszcze wyżej. Szok spowodowany hałasem sprawił, że ojciec i dziadek nie mogli złapać tchu. Nasz wielki dom, niegdyś schronienie dla bogaczej się rodziny Shanów, a następnie dla babki oraz dziadka, podpalacza i mordercy, wuja Luohana i wszystkich, którzy dla nich pracowali, świadek ich dobrych uczynków i wzajemnych zatargów, zakończył swoją tak zwaną historyczną misję. Nienawidziłem tego schronienia, pod którego dachem nie tylko czyniono dobro i pławiono się w serdecznych uczuciach, ale także popełniano najróżniejsze okropieństwa i zbrodnie. Ojciec, gdy w 1957 roku siedział ukryty w dole wykopanym pod moim domem, każdego dnia i każdej nocy w wiecznej ciemności przywoływał tamte minione dni. Co najmniej trzysta sześćdziesiąt pięć razy przypominał sobie walący się w płomieniach dach naszego domu o dwudziestu pokojach i zastanawiał się, co myślał wtedy twój ojciec, a mój

dziadek. Moje wyobrażenia podążają teraz za twoimi tak samo, jak twoje usiłowały dogonić myśli dziadka.

Kiedy dziadek patrzył na walący się dach, miał bardzo podobne uczucie jak wtedy, gdy zakochawszy się w dziewczynie imieniem Miłość, opuścił swoją babkę i wyprowadził się do sąsiedniej wioski, a potem dowiedział się, że babka bezwstydnie romansuje z jakimś Czarnookim, głową organizacji zwanej Żelaznym Stowarzyszeniem: nie był pewien, czy czuje nienawiść, czy miłość, ból czy gniew. Kiedy później wrócił w objęcia babki, jego uczucia do niej były tak powikłane i niejasne, że nie dało się określić ich zabarwienia ani smaku. W całej tej emocjonalnej wojnie podjazdowej z początku każde z nich raniło tylko siebie, później zaś zaczęli ranić się nawzajem. Dopiero uśmiech na twarzy babki, gdy leżała martwa na polu sorga, uświadomił mu, jak surową karę wymierzyło mu życie. Kochał swojego ojca tak, jak sroka kocha ostatnie jajko w swoim gnieździe. Było już jednak za późno – los zaplanował dla niego okrutny koniec i czekał na jego drodze, śmiejąc się szyderczo.

– Tato, nie ma naszego domu... – powiedział mój ojciec.

Dziadek pogłaskał go po głowie, patrząc na zrujnowane domostwo, po czym wziął go za rękę i w słabnącym blasku płomieni i coraz mocniejszym świetle księżyca chwiejnym krokiem ruszył drogą.

W pobliżu wejścia do wioski usłyszeli głos jakiegoś starca:

– To ty, Trzeci? Czemu nie przyprowadziłeś furmanki? – zabrzmiało pytanie.

Dźwięk ludzkiego głosu tak uradował dziadka i ojca, że zapominając o zmęczeniu, pospieszyli w jego stronę.

Zgarbiony staruszek wyszedł im na powitanie i z bliskiej odległości wlepił wzrok w twarz dziadka. Dziadkowi nie podobało się to uważne spojrzenie i odstręczał go odór chciwości, który wydzielają usta starego.

– Ty nie jesteś moim Trzecim – oznajmił staruszek, kręcąc smutno głową, i usiadł. To, na czym siedział, było wielką stertą rozmaitych sprzętów: walizek, szafek, stolików, narzędzi rolniczych, uprząży, podartych kołder, garnków, glinianych misek... Staruszek siedział na szczycie góry przedmiotów i pilnował jej jak wilk zdobyczy. Do pobliskiej wierzby przywiązane były dwa cielaki, trzy kozy i jeden muł.

– Ty stary psie! – warknął dziadek przez zaciśnięte zęby. – Zjeżdżaj stąd!

Staruszek podniósł się, po czym ukucnął i odezwał się przymilnie:

– Ależ bracie, po co ta zawiść? Narażałem życie, żeby wyciągnąć te rzeczy z ognia!

– Złaź stamtąd, pieprzyć twoją matkę, jeśli jeszcze żyje! – wrzasnął dziadek.

– O co ci chodzi? Nic ci nie zrobiłem, czemu na mnie krzyczysz? – skarżył się dziadek.

– Ja krzyczę? Ja cię zaraz zabiję! My tu bronimy ojczyzny przed Japończykami, stajemy do walki na śmierć i życie, a wy plądrujecie, korzystając z tego, że wybuchł pożar! Bydlak! Stary bydlak! Douguan, gdzie twoja broń?

– Została pod końskim brzuchem – odparł mój ojciec. Dziadek wskoczył na stertę rupieci i celnym kopniakiem zrzucił z niej starego. Starzec ukląkł na ziemi i zaczął błagać:

– Oszczędź mnie, żołnierzu Ósmej Armii\*! Oszczędź mnie!

– Nie jestem z żadnej armii, ani ósmej, ani dziewiątej. Jestem bandyta Yu Zhan'ao!

– Oszczędź mnie, panie komendancie Yu! Co by nam z tego przyszło, gdyby się to wszystko spaliło? Nie tylko ja tu zbieram spady – wszystko, co miało jakąś wartość, do cna wybierali złodzieje. Ja jestem stary i powolny, znalazłem tylko tych parę rupieci...

Dziadek podniósł drewniany stolik i cisnął nim w łysą głowę staruszka. Zaatakowany wrzasnął i trzymając się rękoma za krwawiącą czaszkę, przeturlał się po ziemi. Dziadek chwycił go za kołnierz, podniósł do góry i patrząc prosto w zboląłą twarz, oznajmił:

– Zbieracz „spadów”, nasz bohater!

Następnie wymierzył mu siarczysty cios pięścią. Ofiara padła na wznak, dziadek zbliżył się znowu i z rozmachem kopnął starca w twarz.

### 3

Moja mama i mój trzyletni wujek spędzili już cały dzień i całą noc ukryci w wyschniętej studni. Poprzedniego poranka matka poszła do innej studni po wodę z dwoma glinianymi dzbanami. Kiedy schyliła się nad cembrowiną i zobaczyła swoje odbicie w powierzchni wody, usłyszała dźwięk gongu dobiegający od strony muru otaczającego wioskę i przeciągłe okrzyki nocnego wartownika, Starego Wu:

– Japońcy! Japońcy otaczają wieś!

---

\* Ósma Armia – armia podlegająca Komunistycznej Partii Chin, utworzona w 1937 roku w czasie drugiej wojny chińsko-japońskiej, pod przywództwem Mao Zedonga.



Matka z przerażenia upuściła swoje brzemię. Dzbany razem z koromysłem wpadły do studni, a ona pognała z powrotem do domu. W drzwiach spotkała mojego dziadka ze strony matki, niosącego działko, oraz babkę, trzymającą mojego małego wujka i niewielki tobołek.

Od bitwy, jaką oddział mego dziadka stoczył przy moście na Rzece Czarnej Wody, mieszkańcy wioski stale przeczuwali rychłą katastrofę. Tylko trzy, może pięć rodzin zbiegło, pozostali w sytuacji zagrożenia czuli się jeszcze bardziej związani ze swymi walącymi się domami, studniami z gorzką i słodką wodą, z zimowymi i letnimi kołdrami. W tygodniu po bitwie dziadek razem z ojcem wybrali się do stolicy powiatu po naboże – dziadek chciał nakupić ich jak najwięcej, by zrealizować swój niewzruszony zamiar wyrównania rachunków z Ospowatym Lengiem, który tak haniebnie z nim postąpił. Nie podejrzewał, że Japończycy mogą wrócić i skapać jego wioskę we krwi.

Dziewiątego dnia ósmego miesiąca tradycyjnego kalendarza stary pan Zhang Ruolu, który odegrał kluczową rolę w czasie sprzątania pola bitwy i grzebania poległych bohaterów, wyedukowany w prywatnej szkole intelektualista o niezwykłej aparycji, z jednym okiem większym, a drugim mniejszym, zwołał zebranie wszystkich mieszkańców i zmobilizował ich, by wzmocnili mur otaczający wioskę, naprawili bramy, a w nocy wystawiali strażę. Na dźwięk gongu wszyscy wieśniacy, mężczyźni i kobiety, starzy i dzieci, mieli iść bronić murów. Matka opowiadała mi, że głos starego pana Ruolu był donośny i dźwięczny, jakby ktoś uderzał w metal. Starzec przemawiał:

– Drodzy mieszkańcy naszej wioski! Ludzie zjednoczeni duchem zdolni są poruszyć górę Tai\*. Jeśli wszyscy się zjednoczymy, Japończycy nie zdołają wdrzeć się do wsi!

W tej samej chwili z otaczających wioskę zagonów dobiegł huk wystrzału i czubek głowy starego wartownika eksplodował; mężczyzna zachwiał się i spadł z muru. Wszyscy, którzy znajdowali się na uliczkach, w popłochu zbili się w ciasną grupę. Ubrany w obcisłe spodnie i koszulę stary pan Ruolu stał pośrodku drogi i wołał:

– Mieszkańcy naszej wioski! Zachowajcie spokój! Trzymajcie się planu! Brońcie murów! Nie bójcie się śmierci! Śmierć dopadnie tylko tych, którzy się jej obawiają! Nawet za cenę życia nie możemy pozwolić, żeby Japończycy wdarli się do wsi!

Matka patrzyła na mężczyzn, którzy wspinali się na mur i zajmowali pozycje w obrastającym go gęsto jesionowym zagajniku. Moja babka ze strony

---

\* Góra Tai, Tai Shan – góra w prowincji Szantung, najważniejsza ze świętych gór taoizmu.

matki, pod którą trzęsły się kolana, a stopy przestępowały w miejscu, niezdolne zrobić choć jeden krok naprzód, zawołała płacząco:

– Ojciec mojej córki! Co zrobimy z dziećmi? Dziadek ze strony matki zawrócił, trzymając broń.

– I czego ryczysz? – zbeształ ją. – Teraz to i tak bez różnicy, czy przeżyjemy, czy nie!

Babka zamilkła, lecz z jej oczu nadal płynęły łzy. Dziadek odwrócił się i spojrzał w stronę muru, który jeszcze nie płonął, jedną ręką złapał swoją matkę, drugą matkę swojej matki i zaciągnął je do warzywnego ogródka za domem, gdzie rosły rzodkiew i kapusta. Pośrodku ogródka znajdowała się stara wyschnięta studnia z wysłużonym kołowrotem. Dziadek zajrzał głęboko do jej wnętrza i oznajmił:

– W tej studni nie ma wody, ukryjmy dzieci tutaj, a kiedy przegonimy Japończyków, wrócimy po nie.

Babka, otępiała niczym kłoc drewna, posłuchała jego polecenia.

Dziadek wziął koniec przywiązanej do kołowrotu liny i obwiązał nią w pasie swoją matkę. W tym momencie nad jego głową rozległ się przeraźliwy skrzek – jakiś czarny jak kruk przedmiot, wydając dziwne odgłosy, wylądował w zagrodzie dla świń u sąsiada. Potężny huk wstrząsnął niebem i ziemią, jakby wszystko wokół się zawaliło, nad zagrodą wyrósł słup dymu; odłamki, grudy błota, szczątki świń leciały na wszystkie strony Świńska noga wylądowała u stóp matki; kurczyły się w niej białe, podobne do pijawek ściegna. Był to pierwszy wybuch pocisku artyleryjskiego, jaki usłyszała jej matka w swoim piętnastoletnim życiu. Te świnie, które nie zostały wysadzone w powietrze, kwiczały jak szalone i uciekały z zagrody, forsując wysokie ogrodzenie. Jej matka i mały wujek płakali z przerażenia. Mój dziadek powiedział:

– Japończycy strzelają z armat! Urodziwa\*, masz już piętnaście lat, jesteś mądrym dzieckiem, zajmiesz się bractwem. Jak te diabły odejdą, ojciec wróci po ciebie.

Kiedy w wiosce wybuchał następny pocisk „diabłów”, dziadek kręcił kołowrotem, opuszczając swoją matkę do studni. Dotknęła stopami pokruszonych cegieł i grudek zeschniętej gliny pokrywających dno i otoczyła ją ciemność – widziała tylko daleko, daleko nad głową krąg światła wielkości młyńskiego kamienia, na którego tle pojawiła się twarz dziadka. Usłyszała jego słowa:

– Odwiąż linę!

---

\* Chińskie imię matki narratora brzmi Qian'er, co oznacza: urodziwa, piękna.

Matka rozwiązała linę w pasie i patrzyła, jak jej koniec metr za metrem unosi się w stronę wylotu studni. Potem usłyszała, że rodzice się kłóca, huk kolejnego wybuchu i płacz swojej matki. W kręgu światła znowu pojawiła się twarz jej ojca.

– Urodziwa! – zawołał dziadek. – Teraz zjeżdża twój braciszek! Uważaj, złap go dobrze!

Matka patrzyła, jak mój trzyletni wujek obwiązany liną zjeżdża w dół, wierzgając i płacząc wniebogłosy. Butwiejąca lina drgała niepokojąco, kołowrót głośno skrzypiał. Moja babka od strony matki nachyliła się nad studnią tak nisko, że prawie cała górna połowa jej ciała znalazła się w środku.

– Pokój, mój mały Pokój\*\*! – nawoływała, usiłując stłumić łkanie.

Matka widziała, jak lśniące łzy babki kropla po kropli wpadają do studni. Kiedy wujaszek dotknął stopami ziemi, wyciągnął rączki w jej stronę i zawołał z płaczem:

– Mamo! Ja nie chcę na dół, chcę na górę! Mamo! Mamo!

Matka dostrzegła, że moja babka natężyła się i zaczyna ciągnąć linę w górę, wołając:

– Pokój! Mój kochany! Mój syneczku!

Potem zobaczyła, jak duża ręka jej ojca odciąga matkę na bok, a ona uparcie nie chce puścić liny. W końcu dziadek odepchnął babkę z całej siły, lina runęła pionowo w dół i mały wujek wylądował w objęciach mojej matki.

Matka usłyszała, jak dziadek łaje babkę:

– Durna babo! Chcesz, żeby tu zginęli? Szybko na wały, bo jak Japońcy wejdą do wsi, nikt tu nie przeżyje!

– Urodziwa! Pokój! Urodziwa! Pokój! – dobiegały z daleka wołania babki. Potem znowu rozległ się huk eksplozji i posypały się na nich grudki ziemi. Gdy rumor ucichł, nie było już słyhać głosu babki. Nad ich głowami pozostał tylko okrągły skrawek nieba wielkości młyńskiego kamienia i stary kołowrót.

Wujaszek wciąż płakał. Moja matka rozwiązała go i zaczęła uspokajać:

– Pokój, braciszku kochany, nie płacz! Nie płacz, bo Japońcy usłyszą! Mają czerwone oczy i zielone paluchy i jak tylko usłyszą płacz małego dziecka, zaraz tu przyjdą!

Wujaszek przestał płakać, ale dostał czkawki. Wpatrzył się w twarz mojej matki dwójgciem czarnych, okrągłych oczu i objął ją pulchnymi rączkami za szyję. W górze wciąż grzmiały wybuchy, do których dołączyła się kanonada

---

\*\* Wujek narratora miał na imię An (Anzi), co oznacza: pokój, spokojny.

wystrzałów z karabinów automatycznych i strzelb. Ratatata, Ratatata. Matka patrzyła w niebo, w przerwach między salwami pilnie nasłuchując wszelkich odgłosów. Dobiegały ją słabo słyszalne nawoływania starego pana Ruolu i krzyki wieśniaków. Na dnie studni było wilgotno i ciemno. Od ściany odpadła cegła, odsłaniając białawą glebę i korzeń drzewa. Każdą cegłę na dnie pokrywała warstwa ciemnozielonego mchu. Wujaszek zaczął się wiercić w objęciach matki i popłakiwać.

– Siostrzyczko... Chcę do mamy... Chcę na górę...

– Pokój, braciszku... Mama i tata poszli bić Japońców, a jak już ich przepędzą, przyjdą i nas wyciągną.

Matka, próbując pocieszyć brata, sama też w końcu zaczęła szlochać. Mocno objęci brat i siostra płakali razem.

Matka po jaśniejącym skrawku nieba nad głową domyśliła się, że nadszedł świt. Długa noc nareszcie minęła. Absolutna cisza panująca w studni przerażała ją. Zauważyła, że czerwony promień padł bardzo wysoko na ścianę studni – znaczyło to, że wzeszło słońce. Wyteżała słuch, ale w wiosce panowała chyba podobna cisza jak na dole – chwilami tylko słyszała dobiegający z nieba huk podobny do grzmotu. Zastanawiała się, czy w tym nowym dniu zjawią się rodzice i wyciągną ich oboje ze studni na świat pełen światła, słońca i powietrza, na świat bez złowrogich pasiastych węży i czarnych, wychudłych ropuch. Wydarzenia poprzedniego ranka wydawały jej się tak odległe, że matka czuła się tak, jakby siedzieli w tej studni całe życie. Mamo, tato – mówiła w myślach – jeśli nie wrócicie, umrzemy tu na dnie. Nienawidziła ich, bo wrzucili ich oboje do studni i zniknęli, nie dbając o to, czy w ogóle żyją. Gdy ich znowu zobaczy, zrobi im wielką awanturę, wyrzuci z siebie wszystkie żale. Nie mogła wiedzieć, że gdy snuła te gniewne myśli, jej matka, a moja babka, już nie żyła, rozerwana na strzępy przez wybuch japońskiego pocisku, że jej ojcu, a mojemu dziadkowi, gdy za bardzo wychylił się zza muru, celny strzał z japońskiego karabinu rozplątał głowę na pół (matka opowiadała mi później, że przed czterdziestoma laty wszyscy Japończycy byli doskonałymi strzelcami).

Matka modliła się bezgłośnie: Mamo! Tato! Przyjdźcie szybko! Jestem głodna, spragniona, braciszek chory, jeśli nie przyjdziecie, będzie tak, jakbyście zabili swoje dzieci!

Wtem usłyszała słaby dźwięk przypominający gong, który chyba nie dochodził od strony murów, a potem wołanie:

– Jest tu ktoś żywy? Jest tu kto? Japońcy uciekli! Komendant Yu przybył!

Matka, trzymając w ramionach wujaszka, podniosła się i zaczęła wołać ochryplym głosem:

– Hej! Tu jesteście! Jesteście w studni! Pomocy!

Ciągle wołając, potrząsała liną zwisającą z kołowrotu. Po godzinie ramiona, w których trzymała braciszka, osłabły i malec upadł na ziemię. Jęknął słabo kilka razy i zamilkł. Matka, oparta o ścianę, osunęła się powoli na dno studni jak martwa i siadła bezwładnie na lodowatych ceglach. Była załamana.

Wujaszek wspiał jej się na kolana i powiedział prawie całkiem spokojnym tonem:

– Siostro, chcę do mamy...

Fala smutku zalała serce mojej matki. Objęła brata i powiedziała:

– Pokój, braciszku, mama i tata już nas nie chcą. Umrzemy tutaj, na dnie studni.

Malec był cały rozpalony i grzał moją matkę jak piecyk.

– Siostro... Chce mi się pić...

Matka spojrzała na ciemnozieloną kałużę wody, która zebrała się w zagłębieniu dna. Siedziała tam wychudła ropucha o grzbiecie upstrzonym czarnymi brodawkami wielkości ziarna fasoli, wydymała żółtawe podgardle i wlepiała w nią wrogie spojrzenie wyłupiastych ślepi. Matka wzdrygnęła się z odrazą i zacisnęła powieki. Ona też miała wyschnięte usta i gardło, ale wołałaby umrzeć z pragnienia niż napić się wody, w której taplało się to stworzenie.

Mój wujek zaczął gorączkować poprzedniego dnia po południu. Od chwili gdy znalazł się na dnie studni, praktycznie nie przestawał płakać – w końcu stracił głos i tylko kwilił cicho jak umierające kocię.

Poprzedni poranek matka spędziła w stanie ciągłego lęku: przerażały ją odgłosy wystrzałów dobiegające z wioski i spoza niej, do tego panicznie bała się o życie młodszego brata. Piętnastoletnia dziewczyna była jeszcze wątła i drobna i branie co chwila na ręce pulchnego braciszka, mimo że miał jeszcze siłę stać, a nawet podskakiwać, było dla niej sporym wysiłkiem. Raz dała mu klapsa, a ten wstrętny bachor, mój wujek, bezceremonialnie ją ugryzł.

Kiedy zaczęła się gorączka, chłopczyk był oszołomiony i przelewał się przez ręce. Matka, trzymając go w objęciach, siedziała na twardych, kanciastych ceglach, aż rozbolały ją pośladki i nogi jej zdrętwiały. Strzały rozbrzmiewały to częściej, to rzadziej, lecz ani na chwilę nie milkły. Promienie słońca wędrowały powoli po zachodniej, a potem po wschodniej stronie ściany

studni, aż w końcu zapadł mrok. Matka wiedziała więc, że przesiedziała w niej już całą dobę, i spodziewała się, że rodzice wrócą lada chwila. Pogłaskała rozpaloną twarz brata, jego oddech parzył jak płomień. Położyła dłoń na jego szybko bijącym sercu i usłyszała świst w klatce piersiowej. Uświadomiła sobie, że malec *rzeczywiście* może umrzeć, i przeszedł ją dreszcz, z całej siły jednak starała się odpędzić tę myśl. Jeszcze tylko chwila – pocieszała się – robi się ciemno, nawet jaskółki wróciły do gniazd, ojciec i matka na pewno się zjawia.

Plamy słońca na ścianach zmieniły kolor na ciemnożółty, potem czerwony. Odezwał się ukryty w szczelinie muru świerszcz, komary także odpaliły swoje miniaturowe silniczki i zaczęły bzyzczyć w powietrzu. Nagle matka usłyszała huk wybuchu dobiegający od otaczającego wioskę muru, po chwili dochodzące od północy głosy ludzi i zwierząt, a wkrótce potem kanonadę z karabinu maszynowego od strony południowej. Gdy strzały ucichły, przez wieś jak fala przetoczyły się okrzyki ludzi i tętent koni. Zapanował chaos. Stukot kopyt i odgłosy kroków dobiegały to z tej, to z tamtej strony studni, matka słyszała ludzi bełkoczących coś po japońsku. Wujaszek jęknął, lecz matka zakryła mu usta ręką, a sama wstrzymała oddech. Czuła, jak twarz malca krzywi się pod jej dłonią, i słyszała przyspieszone bicie swojego serca. Kiedy zaszło słońce, spojrzała w czerwony, rozpalony krąg nieba nad głową. Na zewnątrz huczały płomienie, do studni wlatywała gorąca sadza. Wśród syku ognia słychać było płacz dzieci i przeraźliwe krzyki kobiet oraz żalosne beczenie kozy, a może muczenie krowy. Nawet tu, w głębi studni, matka czuła swąd spalenizny.

Nie wiedziała, jak długo tam siedzi, trzęsąc się ze strachu w blasku płomieni, bo dawno już straciła poczucie czasu, za to niezwykle wyraźnie pamiętała wszystko, co zdarzyło się wcześniej. Ciemniejący nad jej głową skrawek nieba mówił, że pożar już dogasa. Na ścianach studni tańczyły słabe odbłaski ognia. W wiosce rozległy się strzały, a potem rumor walącego się domu, po czym zapadła cisza. Na krańku nieba zaświeciło słabym blaskiem kilka gwiazd.

Matka zasnęła w chłodzie, a gdy się obudziła, nadal było zimno. Jej wzrok przyzwyczaiał się do ciemności i gdy spojrzała na bladobłękitne poranne niebo i łagodne promienie słońca padające na ściany studni, poczuła zawrót głowy. Wilgotne powietrze na dole sprawiło, że jej ubranie stało się niemal całkiem mokre, zimno przenikało ją do szpiku kości. Mocno przytuliła brata, który był dużo cieplejszy od niej, mimo że gorączka nad ranem mu zelżała. Czerpała więc ciepło z jego ciała, a on ochładzał się dzięki niej; podczas tego wspólnego bytowania na dnie studni pomagali sobie nawzajem w przetrwaniu. Matka nie miała wówczas pojęcia, że rodzice już dawno nie żyją, i wciąż miała nadzieję, że za chwilę nad studnią zobaczy ich twarze, usłyszy echo dobrze

znanych głosów. Kto wie, czy bez tej świadomości wytrzymałaby trzy dni i trzy noce na dnie studni?

Rozmyślając o historii swojej rodziny, dochodzę do wniosku, że losy wszystkich jej głównych bohaterów były w taki czy inny sposób związane z jakąś ciemną czeluścią lub jaskinią. Jednym z nich była moja matka. Dziadek wzbil się na szczyt, ustanawiając w świecie cywilizowanych członków swego pokolenia rekord życia w jaskini. Dziełem mojego ojca zaś był epilog – z politycznego punktu widzenia nieprzynoszący ani trochę chwały, lecz z punktu widzenia ludzkiego wybitny. Gdy nadszedł czas, ojciec, machając ocalałą ręką, pobiegł na spotkanie świtu, swojego starszego brata, starszej siostry i mnie.

Matce było zimno, lecz w środku jej ciało palił ogień. Od poprzedniego ranka nic nie jadła ani nie piła, a od poprzedniego wieczora, gdy w wiosce wybuchł pożar, dręczyło ją pragnienie. W środku nocy głód osiągnął apogeum. Przed świtem jej żołądek i jelita zbiły się w jedną masę, nie czuła nic oprócz bolesnego skurczu. Teraz jednak na samą myśl o jedzeniu robiło się jej niedobrze. Ale najtrudniej było znieść pragnienie. Jej wyschnięte płuca przy każdym oddechu wydawały świst podobny do szelestu liści sorga, gardło było zdrętwiałe i bolesne. Ze spierzchniętych, pokrytych pęcherzykami warg wujaszka znowu wydobył się głos:

– Siostro... Pić...

Moja matka nie miała odwagi spojrzeć na wymizеровaną twarzyczkę brata, nie miała też dla niego słów pocieszenia. Wszystko, co obiecywała mu przez cały dzień i całą noc, okazało się nieprawdą; przez to, że rodzice się spóźniali, tak długo oszukiwała własnego brata i samą siebie. Gongi na murach dawno zamilkły, z wioski nie dochodziły ani krzyki ludzi, ani szczekanie psów. Matka rozumiała już, że jej rodzice mogli zginać, że mogli wpaść w ręce Japończyków. Oczy ją szczypały, ale nie miała już łez, by płakać. Widok cierpiącego brata sprawił, że dorosła. Nagle zapomniała o bólu dręczącym jej ciało. Położyła malca na ceglach, a sama wstała i zaczęła badać ściany studni wokoło. Były, rzecz jasna, wilgotne i obficie porośnięte mchem, nie nadawał się on jednak do picia ani jedzenia. Ukucnęła i wyciągnęła ze ściany jedną cegłę, potem drugą – były ciężkie, jakby nasiąknięte wodą. Z jakiejś dziury wypełzła czerwona stonoga; matka odskoczyła i przyglądała się, jak owad, przebierając oszałamiającą liczbą nóg, wspina się na ścianę nad ropuchą, a potem znika w szczelinie między ceglami. Nie odważyła się wyciągać więcej cegieł, bała się też usiąść, ponieważ poprzedniego ranka wystąpiło to niefortunne zjawisko, które uświadomiło jej, że jest już kobieta.

Kiedy byłem już żonaty, moja matka opowiedziała mojej żonie, jak dostała pierwszej miesiączki w zimnej, wilgotnej studni. Żona opowiedziała o tym mnie i oboje bardzo współczuliśmy mojej piętnastoletniej mamie.

Matka nie widziała innego wyjścia: zateęchła kałuża, w której siedziała ropucha, była jej ostatnią nadzieją. Paskudny wygląd stworzenia budził lęk i wywoływał mdłości, wstrętne ropuszysko miało jednak we władaniu wodę. Nieznośne pragnienie i wędzące z braku wody życie małego braciszka spowodowały, że w końcu znowu o niej pomyślała. Ropucha od wczoraj nie przesunęła się nawet o milimetr i z wciąż tym samym, pełnym dumy i godności wyrazem pyska wlepiała w moją matkę ciężkie spojrzenie odrażających ślepi. Odwaga matki nagle się ulotniła – miała wrażenie, że z oczu ropuchy wystrzeliwują trujące kolce i wbijają się w jej skórę. Czym prędzej odwróciła wzrok, lecz nie mogła pozbyć się przerażającego obrazu; miała ochotę krzyknąć.

Spojrzenie matki padło na ledwie żywego brata. W jej piersi szalał ogień, języki płomieni sięgały gardła. Nagle zauważyła kępkę mlecznobiałych grzybków, wyrastającą w szczelinie między cegłami. Z sercem łomoczącym z wrażenia ostrożnie je rozsunała i zerwała grzybki – na widok jedzenia jej żołądek i jelita się skurczyły, przygotowując ją o tępy ból. Wcisnęła sobie do ust jeden z grzybków i połknęła bez rozgryzania. Wyborny smak sprawił, że natychmiast znowu poczuła intensywny głód. Zjadła kolejnego grzybka. Mały wujaszek jęknął. Matka pocieszała się: owszem, powinnam była najpierw nakarmić braciszka, ale przecież te grzybki mogą być trujące – dlatego dobrze zrobiłam, że spróbowałam pierwsza, prawda? Oczywiście, że tak. Kolejnego grzybka matka włożyła do buzi braciszce, ale jego usta nie poruszyły się, patrzył tylko na nią spod półprzymkniętych powiek.

– Pokój, zjedz to. Siostra znalazła coś dobrego dla ciebie. Zjedz.

Zamachała mu kolejnym grzybkiem przed nosem. Braciszek poruszył szczęką, jakby żuł. Matka włożyła mu więc drugi grzybek do ust, ale malec zakasłał i wypluł obydwu. Wargi miał spierzchnięte do krwi. Leżał bezwładnie na kanciastych ceglach i ledwie oddychał.

Matka pochłonęła wszystkie kilkanaście grzybków – jej wnętrzności, do tej pory częściowo uśpione, zaczęły się skręcać jak szalone, wywołując nieznośne bóle i wydając bulgoczące odgłosy. Spociła się najmocniej, odkąd znalazła się na dnie studni – i był to ostatni raz. Jej cienkie ubranie było przemoczone, zgięcia kolan i pachy lepkie od potu. Poczowała bolesne drętwienie w nogach, mokrym ciałem wstrząsnął dreszcz. Zimne studzienne powietrze przeniknęło ją do szpiku kości. Matka osunęła się na ziemię i padła obok brata. W południe drugiego dnia pobytu w studni straciła przytomność.

Kiedy się ocknęła, nadchodził kolejny zmierzch. Na wschodniej ścianie studni zobaczyła czerwoną poświatę. Widok starego kołowrotu skapanego w blasku zachodzącego słońca wywoływał sprzeczne skojarzenia: z odległą przeszłością i ze zbliżającym się końcem. Ciągłemu brzęczeniu w jej uszach



towarzyszył teraz dobiegający z zewnątrz odgłos kroków, nie była jednak pewna, czy to rzeczywistość, czy złudzenie. Nie miała już siły krzyknąć; gdy tylko się ocknęła, poczuła w piersiach ogień pragnienia. Bała się nawet głębiej odetchnąć, ponieważ wywoływało to nieznośny ból. Jej mały braciszek nie czuł już ani cierpienia, ani radości. Był kawałkiem wędnącej, żółtawej skóry leżącym na ceglach. Kiedy matka spojrzała w jego zapadnięte, białawe oczy, jej własne oczy zasnuła ciemność. Na wyschniętą studnię padł czarny cień śmierci.

Druga, gwiazdzista noc na dnie studni minęła szybko; matka przez cały czas była półprzytomna. Kilka razy miała sen, że wyrosły jej skrzydła, na których unosi się ku wylotowi studni, nieskończenie głębokiej – matka leci, leci, leci, lecz do wyjścia jest wciąż tak samo daleko i im szybciej bije skrzydłami, tym bardziej wydłuża się studzienny korytarz. W środku nocy obudziła się na chwilę i poczuła obok siebie zimne ciało brata. Bała się pomyśleć, że umarł, starała się przekonać samą siebie, że to ona gorączkuje. Skośny promień księżycowego światła padł na zielonkawą kałużę, w jego blasku ropucha zaczęła przypominać drogocenny przedmiot – jej ślepia i skóra lśniły jadeitową poświatą, a woda przypominała płynny szmaragd. Matka wyobraziła sobie, że w tym momencie zmienia swój stosunek do ropuchy i osiąga z owym świętym stworzeniem coś w rodzaju porozumienia: jeżeli ropucha zechce użyć jej wody, w której siedzi, ona wyrzuci ją ze studni na zewnątrz, jak kamień. Matka planowała też, że następnego dnia, jeśli usłyszy odgłos kroków nad studnią, zacznie rzucać w górę kamieniami, nawet gdyby chodzący tam ludzie mieli okazać się japońskimi żołnierzami albo ich chińskimi pomagierami – musi zwrócić na siebie czyjąkolwiek uwagę!

Kiedy nastał świt, знаła już każdy, najdrobniejszy szczegół dna studni, a studzienny świat stał się dla niej znacznie rozleglejszy niż dotąd. Korzystając z porannego wigoru, zdrapała ze ściany warstewkę zielonego mchu i wepchnęła go sobie do ust. Smak był nieco zatechły, ale całkiem przyjemny. Miała jednak tak zdrętwiały przęłyk, że wszystko, co usiłowała połknąć, wracało. Jej wzrok znowu padł na kałużę – ropucha wyglądała tak samo jak wcześniej i dalej wlepiała w nią wrogie ślepia. Nie mogąc znieść tego prowokującego, bandyckiego spojrzenia, matka odwróciła się i rozplakała z gniewu i strachu.

W południe rzeczywiście usłyszała odgłos ciężkich kroków i gwar rozmów. Ogarnęła ją wielka radość. Wstała chwiejnie i próbowała wołać, lecz była jak zakneblowana – z jej gardła nie wydobył się żaden głos. Chwyliła odłamek cegły, chcąc cisnąć nim w kierunku wylotu, ale była w stanie podnieść go tylko na wysokość pasa, po czym odłamek wysliznął jej się z dłoni. Wszystko na nic – kroki i głosy oddaliły się. Zrezygnowana usiadła na ziemi obok brata. Spoglądając na bladą buzię dziecka, przyjęła w końcu do wiadomości, że nie żyje. Położyła dłoń na zimnej twarzyczce i poczuła niewyobrażalną odrazę.

Śmierć rozdzieliła ich na zawsze. Blask półprzymkniętych oczu braciszka należał już do innego świata.

Kolejną noc spędziła w stanie najwyższego przerażenia. Wydawało jej się, że widzi węża grubego jak trzonek sierpa. Stworzenie miało czarny, żółto nakrapiany grzbiet, głowę płaską jak łopata do nakładania ryżu i żółtą obwódkę wokół szyi. Zimna, posepna atmosfera studni miała swoje źródło w tym wężu. Matce wiele razy wydawało się, że gad owija się wokół jej ciała, wysuwa czerwony język i pluje mroźnym powietrzem.

Później rzeczywiście dostrzegła żółtawego węża, kryjącego się w dziurze w ścianie nad ropuchą – zwierzę wystawiło łeb z nory i wlepiło w nią złe, uparte spojrzenie. Matka zakryła oczy dłońmi i cofnęła się z wysiłkiem. Nie chciała już pić brudnej wody, której broniły jadowity wąż i wstrętne ropucha.

#### 4

Mój ojciec, Wang Guang (mężczyzna, piętnaście lat, niski i drobny, śniada cera), De Zhi (mężczyzna, czternaście lat, szczupły i wysoki, żółta cera, żółte białka oczu), Guo Yang (mężczyzna, po czterdziestce, kaleka, porusza się o kulach), Ślepiec Han (mężczyzna, prawdziwe nazwisko i wiek nieznane, zawsze ma przy sobie starą trójstrunową lutnię), Babka Liu (po czterdziestce, postawna, wrzody na nogach) – sześcioro ludzi ocalałych z wielkiej masakry – wlepiali, z wyjątkiem Ślepcy Hana, otępiełe spojrzenia w mojego dziadka. Siedzieli albo stali pod murem otaczającym naszą wioskę, wschodzące słońce oświetlało ich osmalone ogniem i okadzone dymem twarze. Obie strony muru zasłane były zwłokami bohaterskich obrońców i bezlitosnych napastników. W pełnym mętnej wody rowie za murem moczyło się kilkadziesiąt napuchniętych trupów japońskich koni o rozprutych brzuchach. Z wioski zostały gruz i zgliszcza, gdzieś kłębił się jeszcze biały dym. Dalej rozciągały się stratowane pola sorga. Wśród zapachów tego poranka dominowały spaleniźna i woń krwi, wśród kolorów czern i czerwień, a wśród nastrojów żałoba i wzniosłość.

Dziadek miał przekrwione oczy i prawie całkiem siwe włosy. Siedział zgarbiony; jego wielkie, obrzmiałe ręce niespokojnie spoczywały na kolanach.

– Moi rodacy... – odezwał się ochryplym głosem – sprowadziłem zagładę na całą naszą wioskę...

Wszyscy zaczęli szlochać, nawet puste oczodoły Ślepcy wypełniły się kryształowymi łzami.

– I co teraz zrobimy, panie komendancie Yu? – spytał Guo Yang, odsłaniając czarne zęby, po czym wstał, podpierając się kulami.

– Panie komendancie, czy japońskie diabły wróca? – zapytał Wang Guang.

– Panie komendancie, niech pan nam pomoże stąd uciec... – poprosiła płacząco Babka Liu.

– Uciec? A dokąd? – odpowiedział jej Ślepiec. – Jak chcecie, to uciekajcie. Ja wolę umrzeć tutaj.

Mężczyzna usiadł, wziął w ramiona swoją odrapaną lutnię i zaczął grać. Jego wargi krzywiły się, policzki drgały, a głowa kołysała się rytmicznie jak grzechotka.

– Nie możemy uciekać, rodacy – przekonywał dziadek. – Zbyt wielu ludzi tu zginęło. Japońcy mogą lada chwila wrócić, trzeba więc, póki czas, wziąć broń i amunicję zabitych. Będziemy walczyli dalej – i albo ryba zdechnie, albo sieć się rozerwie!

Ojciec i cała reszta rozproszyli się po polu, by zabrać broń i amunicję martwym Japończykom. Wracali raz po raz i układali zdobycz u podnóża muru. Kulawy Guo Yang i Babka Liu z wrzodami na nogach przeszukiwali bliższe zwłoki. Ślepiec siedział obok sterty łupów, nasłuchując pilnie jak sumienny strażnik.

Gdy na dobre nastał poranek, wszyscy zebrali się pod murem i patrzyli, jak dziadek inwentaryzuje broń. Ponieważ wczorajsza bitwa trwała aż do zmroku, Japończycy nie zdążyli przeczesać pola bitwy, co bez wątpienia okazało się korzystne dla dziadka.

Udało im się zebrać: siedemnaście japońskich karabinów powtarzalnych trzydziestekósemek i trzydzieści cztery skórzane sakwy, a w nich tysiąc siedem pocisków z miedzianym płaszczem, dwadzieścia cztery chińskie kopie czeskich siedemdziesiątek dziewiątek oraz dwadzieścia cztery płócienne ładownice, które zawierały czterysta dwanaście naboju. Do tego pięćdziesiąt siedem sztuk japońskich granatów w kształcie kantalupy, czterdzieści trzy sztuki chińskich granatów z drewnianymi trzonkami, jeden japoński pistolet „zółw” i trzydzieści dziewięć naboju. Pistolet parabellum i siedem naboju. Dziewięć japońskich szabel. Siedem japońskich krótkich karabinków i ponad dwie setki naboju.

Skończywszy inwentaryzację, dziadek poprosił Guo Yanga o fajkę, zapalił, siadł pod murem i zaciągnął się dymem.

– Sformujemy następną armię, tato! – powiedział mój ojciec.

Dziadek spojrzał na stertę broni, lecz nic nie odrzekł. Kiedy skończył palić, powiedział:

– No, dzieciaki, wybierajcie. Po jednej sztuce na głowę.

Sam wybrał dla siebie „żółwia” – pistolet w przypominającej panczyk żółwia wodnego skórzanej kaburze – i zawiesił go sobie u pasa. Do tego wziął trzydziestkęósemkę, wyposażoną w bagnet. Ojciec złapał parabellum. Wang Guang i De Zhi wybrali sobie po jednym japońskim karabinku.

– Lepiej daj ten pistolecik wujkowi Guo – polecił dziadek ojcu.

Ojciec zrobił nadaśaną minę.

– Taka broń nie nadaje się do bitwy – wyjaśnił dziadek. – Weź karabinek.

– Ja też chcę karabinek – zaprotestował Guo Yang. – A ten pistolet dajcie Ślepemu.

– Siostro, wykombinuj nam coś do jedzenia – zwrócił się dziadek do Babki Lin. – Lada chwila wrócą Japońcy.

Ojciec wziął do ręki trzydziestkęósemkę i gestem wytrawnego strzelca z trzaskiem to otwierał, to zamykał zamek.

– Lepiej się tym nie baw, bo może wypalić – ostrzegł dziadek, nie przejmując się jednak zbytnio.

– Nic się nie stanie, ja umiem – odparł ojciec.

W tym właśnie momencie Ślepiec odezwał się przyciszonym głosem:

– Nadchodzą, panie komendancie! Nadchodzą!

– Padnij! Szybko! – rozkazał dziadek.

Cała grupa przypadła do ziemi w jesionowym młodniku, obserwując czujnie sorgowe pola po drugiej stronie rowu. Tylko Ślepiec siedział wciąż obok stosu broni i kołysząc głową, brzdąkał coś na swoim instrumencie.

– Ty też! Na ziemię! – zawołał dziadek.

Twarz Ślepca skrzywiła się boleśnie; poruszał wargami, jakby coś żuł. Stara lutnia wygrywała wciąż te same tony, jak krople deszczu bębniące o blaszane wiadro.

Za rowem jednak pojawili się nie ludzie, lecz stado psów. Kilka setek tych czworonogów nadbiegło z różnych stron, kierując się ku leżącym na polu trupom. Sunęły skulone tuż przy ziemi, różnokolorowa sierść migiała to tu, to tam, a na czele watahy biegły trzy psy z naszego domu.

Mój ruchliwy ojciec zaczynał się niecierpliwić. Wycelował w psie stado i strzelił. Kula gwizdnęła w powietrzu, w dali wśród sorga coś się zakotłowało.

Wang Guang i De Zhi, którzy po raz pierwszy w życiu mieli w rękach broń palną, wycelowali w rozkołysane zboże. Wystrzelone przez nich kule albo

poszybowały wysoko w niebo, albo wbiły się w ziemię – żadna w nikogo nie trafiła.

– Nie strzelać! Marnujecie naboje na głupie zabawy! – rozsierdził się dziadek i wymierzył kopniaka prosto w wypięty zadek mojego ojca.

Zamieszanie w zbożu stopniowo się uspokoiło, po czym dało się słyszeć donośne wołanie:

– Nie strzelać! Swój! Z jakiej jednostki jesteście?

– Z jednostki twoich pieprzonych przodków! – odkrzyknął dziadek. – Wy przeklęte żółte psy!

Dziadek wyciągnął trzydziestkęósemkę i wystrzelił w tam, skąd dobiegało wołanie.

– Przyjaciele! Nie strzelajcie! Jesteśmy z Batalionu Jiaogao\* Ósmej Armii! To jednostka antyjapońska! – krzyczał dalej człowiek ukrywający się w zbożu. – Proszę o odpowiedź! Z jakiej jednostki jesteście?

– Zawsze ta sama śpiewka – rzucił dziadek, po czym wraz z kilkorgiem swoich podkomendnych wychynał z zarośli i stanął na murze.

Przygarbione sylwetki osiemdziesięciu żołnierzy Batalionu Jiaogao Ósmej Armii wyłoniły się z gęstwiny zboża. Obdarci i bladzi posuwali się naprzód lekliwie, jak spłoszone dzikie zwierzęta. Większość była nieuzbrojona, u pasa mieli tylko po parę granatów z drewnianymi trzonkami. Kilkunastu otwierających pochód niosło stare karabiny marki Hanyang, niektórzy mieli zwykłe flinty.

Poprzedniego popołudnia ojciec zauważył owych ósmaków – przyczajeni głęboko w zbożu celowali do atakujących wieś Japończyków.

Kiedy oddział zbliżył się do muru, wyglądający na dowódcę wysoki żołnierz wydał rozkaz:

– Kompania pierwsza – na punkty obserwacyjne, objąć wartę! Reszta może odpocząć.

Kiedy żołnierze Ósmej Armii zasiedli na murze, jeden z nich, przystojny młodzieniec, wystąpił naprzód, wyciągnął z chlebaka pożąłką kartkę papieru i machając ręką do rytmu, zaczął uczyć swoich towarzyszy pieśni:

– Wichry wyją... – zaczął młody żołnierz.

– Wichry, wichry, wichry wyją... – powtarzał nieskładnie oddział.

---

\* Jiaogao – skrótowa nazwa utworzona z nazw dwóch powiatów w prowincji Szantung: Jiao i Gaomi; w latach 1945-1949 były one połączone w jeden powiat o takiej właśnie nazwie.

– Uwaga! Śpiewajcie chórem, patrzcie na moją rękę – pouczał młodzieniec. – Konie rżą... Konie rżą... Fale Huanghe grzmia, fale grzmia, fale grzmia, fale grzmia... W Henanie i Hebei sorgo dojrzało, sorgo dojrzało... Za zielonymi zasłonami zbóż... Wola walki bohaterów antyjapońskiej wojny jest wielka... Mierzcie z karabinów i celujcie z dział, mierzcie z karabinów i celujcie z dział... Wznieście szable swe i lance, wznieście szable swe i lance... Brońcie swoich domów, brońcie Północy, brońcie Chin...

Mój ojciec patrzył z wielką zazdrością na zmęczone młode twarze żołnierzy Ósmej Armii, a na dźwięk wojskowej pieśni gardło ścisnęło mu się ze wzruszenia. Nagle przypomniał mu się adiutant Ren z oddziału dziadka – był tak samo młody i przystojny i tak samo dyrygował chórem żołnierzy, machając rękoma.

Razem z Wang Guangiem i De Zhi, trzymając broń, podeszli bliżej i przypatrywali się śpiewającej Ósmej Armii. Jej członkowie zaś z zazdrością zerkali na nowiutkie japońskie trzydziestkiósemki i karabinki.

Dowódca Batalionu Jiaogao, nazwiskiem Jiang, był bardzo wysokim mężczyzną, ale miał małe stopy, przez co dorobił się przydomka Jiang Małonogi. Podeszedł do dziadka w towarzystwie młodego, może siedemnastoletniego chłopaka.

Podpułkownik Jiang miał u pasa mały pistolet, a na głowie czapkę z szarego sukna z dwoma czarnymi guzikami na otoku. W jego ustach lśniły śnieżnobiałe zęby. Z niezbyt czystym pekińskim akcentem oznajmił:

– Jest pan prawdziwym bohaterem, komendancie Yu! Wczoraj widzieliśmy, jak stoczył pan mężną walkę z japońskim najeźdźcą!

Jiang wyciągnął dłoń. Dziadek spojrział na niego lodowato i mruknął coś pod nosem.

Jiang cofnął rękę zmieszany, po czym uśmiechnął się i powiedział:

– Z upoważnienia Komitetu Specjalnego Komunistycznej Partii Chin Okręgu Binhai przybyłem tu, by porozmawiać z komendantem Yu. Komitet Specjalny pragnie wyrazić podziw dla żarliwego patriotyzmu oraz bohaterskiego poświęcenia, którymi wykazał się komendant Yu podczas wielkiej ludowo-wyzwoleńczej wojny. Komitet Specjalny Okręgu Binhai polecił mi nawiązać kontakt z komendantem Yu, a następnie połączyć nasze siły, byśmy wspólnie stawili opór Japończykom i razem przyczynili się do ustanowienia zjednoczonej władzy demokratycznej...

– Nie wierzę wam za grosz! – przerwał mu dziadek. – Połączyć siły, też coś! Ciekawe, gdzie były te wasze siły, kiedy rozwalaliśmy konwój Japońców! Coś nie paliliście się do łączenia, kiedy japońskie diabły otoczyły naszą wieś,

wycięły w pień cały mój oddział, a krew niewinnych ludzi lała się strumieniami! A teraz przyłazicie tu i pieprzycie o połączeniu sił?

Dziadek z wściekłością kopnął leżącą na ziemi złotawą łuskę naboju tak mocno, że wylądowała w rowie. Ślepiec ciągle brzdąkał na swojej lutni: dong, dong, dong – odgłos deszczu bębniącego o wiadro.

Tyrada dziadka nieco speszyła Jianga, mimo to przemówił znowu z przekonaniem:

– Komendancie Yu, prosimy, niech pan nie zawodzi nadziei pokładanych w panu przez naszą partię. Prosimy też nie lekceważyć siły Ósmej Armii. Okręg Binhai z początku znajdował się pod kontrolą Kuomintangu. Nasza partia niedawno rozpoczęła działalność, a nasza armia nie jest jeszcze dobrze znana masom ludowym. Etap ten jednak nie będzie trwał długo – nasz przywódca Mao Zedong już wskazał nam właściwą drogę. Proszę posłuchać mojej przyjacielskiej rady: przyszłość Chin należeć będzie do partii komunistycznej. Naczelną zasadą Ósmej Armii jest prawość: my nie oszukujemy ludzi. Partia doskonale zna historię zasadzki, którą wasza jednostka zastawiła wraz z pododdziałem kapitana Lenga. Uważamy, że jednostka Lenga to ludzie pozbawieni moralności. Ósma Armia nigdy nie zawodzi przyjaciół. Nasze wyposażenie obecnie jest niewystarczające, w walce jednak nasze siły z pewnością wzrosną. Jesteśmy szczerze i z całego serca oddani ludowi i zdecydowani walczyć z najeźdźcą. Komendancie Yu, wczoraj miał pan okazję obserwować, jak z tymi paroma nędznymi karabinami w ręku zostaliśmy otoczeni przez wroga w zielonym gąszczu zbóż – sześciu naszych towarzyszy oddało życie. Ci, którym przypadła w udziale większość broni i amunicji zdobytej w bitwie nad Rzeką Czarnej Wody, mimo że nie brali w niej udziału, popełnili wielką zbrodnię wobec setek mieszkańców wioski, którzy ucierpieli w tej okrutnej masakrze. Komendancie Yu, czy już rozumie pan, co mam na myśli?

– Nie owijaj w bawełnę. Czego właściwie ode mnie chcecie? – spytał dziadek.

– Chcemy, by komendant Yu przyłączył się do Ósmej Armii i nadal mężnie walczył w wojnie obronnej pod przewodnictwem Komunistycznej Partii Chin.

– To znaczy, że mam przejść pod wasze dowództwo? – parsknął szyderczo dziadek.

– Może pan zostać częścią kadry przywódczej Batalionu Jiaogao.

– Jako kto?

– Jako mój zastępca!

– I mam słuchać twoich rozkazów?

– Wszyscy podlegamy Komitetowi Specjalnemu Okręgu Binhai i naszym zwierzchnikiem jest towarzysz Mao Zedong.

– Mao Zedong? Nie znam go. I nie słucham niczyich rozkazów!

– Komendancie Yu, mówi się, że naprawdę wybitną osobistością może zostać ten, kto dobrze rozumie swoje czasy, a ludzie prawdziwie uzdolnieni wybierają właściwych przywódców. Mao Zedong jest niekwestionowanym bohaterem naszych czasów. Proszę nie przegapić takiej szansy!

– To wszystko, co masz mi do powiedzenia?

– Komendancie Yu, będę szczery – uśmiechnął się Jiang. – Widzi pan, moja jednostka składa się z dzielnych mężczyzn o gorącej krwi, ale z pustymi rękoma. A ta broń i amunicja...

– Nawet o tym nie myśl!

– Pożyczymy je tylko, pan tymczasem będzie formował nowy oddział, a potem zwrócimy wszystko z podziękowaniami.

– Phi, a to dopiero! Myślicie, że Yu Znan'ao ma tyle rozumu co przedszkolak?

– Źle mnie pan zrozumiał, komendancie Yu. Gdy kraj jest w potrzebie, wszyscy muszą stanąć do walki. W walce z japońską najeżdżcą każdy daje z siebie, co może – kto ma ludzi, ten daje ludzi, kto ma broń, ten daje broń. Pozwalając, by ta broń i amunicja leżały tu bezużytecznie, może pan zostać oskarżony o zbrodnię przeciwko narodowi.

– Nie marnujcie mojego czasu. Nie będę sikał do waszego dzbanka. Jeśli macie jaja, sami zdobądźcie sobie broń od Japońców!

– Wczoraj braliśmy udział w bitwie!

– Ile fajerwerków puściliście? – zadrwił dziadek.

– Strzelaliśmy z karabinów, rzucaliśmy granaty. Straciliśmy sześciu towarzyszy! Należy nam się przynajmniej połowa tej broni!

– Pod mostem na Rzece Czarnej Wody straciłem cały oddział za jeden stary karabin maszynowy!

– Bo resztę zabrała wara jednostka Kuomintangu!

– A wam, żołnierzom partii komunistycznej, nie świecą się oczka na widok karabinów? O nie, mnie starego nikt już nie będzie robił w konia!

– Radzę być ostrożnym, komendancie Yu – rzekł Jiang. – My poczyniliśmy już wszelkie ustępstwa!



– To co, wyciągamy broń? – spytał nieprzyjaźnie dziadek, kładąc dłoń na swoim „żółwiu”.

Na twarzy Jianga gniew ustąpił miejsca uśmiechowi.

– Komendancie Yu, źle mnie pan zrozumiał. Ósma Armia nie kradnie ryżu z miski przyjaciela. To, że nie możemy teraz dobić targu, nie znaczy, że mamy być wrogami.

Podpułkownik podszedł do swoich żołnierzy i wydał polecenie:

– Uporządkujcie pole bitwy. Pogrzebcie zwłoki naszych rodaków, postarajcie się pozbierać wszystkie łuski.

Żołnierze Batalionu Jiaogao rozproszyli się po polu sorga w poszukiwaniu łusek od nabojów. W trakcie grzebania poległych żywi ludzie musieli stoczyć z rozszalałą watahą psów potyczkę, w wyniku której wiele zwłok zostało kompletnie rozszarpanych.

– Jesteśmy w niezwykle trudnym położeniu, komendancie Yu – zaczął znowu Jiang. – Nie mamy broni ani nabojów, zbieramy więc łuski i przekazujemy do fabryki broni, gdzie zamieniamy je na nowe naboje – pięć na dziesięć okazuje się niewypałami. Z jednej strony cisną nas bandyci z Kuomintangu, z drugiej szarpie nas armia kolaborantów. Komendancie Yu, tak czy owak musi nam pan odstąpić część tej pana broni. Nie ma pan powodu, by pogardzać Ósmą Armią. Dziadek popatrzył na żołnierzy taszczących zwłoki po polu.

– Bierzcie szable, karabinki siedemdziesiątki dziewiątki i granaty z drewnianymi trzonkami – powiedział.

Podpułkownik Jiang złapał go za dłoń i wykrzyknął:

– Komendancie Yu, prawdziwy z pana przyjaciel! Granaty z drewnianymi trzonkami produkujemy sobie sami, więc może zrobmy tak: nie weźmiemy granatów, ale zamiast tego dacie nam kilka trzydziestekósemek. Co pan na to?

– Nie zgadzam się.

– Tylko pięć sztuk!

– Nie!

– Więc niech będą trzy. Tylko trzy, dobrze?

– Nie.

– No to dwie. Dwie chyba możecie odstąpić?

– Sukinsyny! Jesteście jak handlarze bydłem na targu! – zżymał się dziadek.

– Kompania pierwsza, niech no paru podejździe tu i weźmie broń – polecił Jiang.

– Powoli, powoli – zatrzymał ich dziadek. – Stańcie trochę dalej!

Dziadek własnoręcznie przekazał żołnierzom dwadzieścia cztery czeskie siedemdziesiątki dziewiątki wraz z płóciennymi pasami pełnymi nabojów. Po dłuższej chwili wahania dorzucił jedną trzydziestkęósemkę.

– To tyle. Szable zostają u nas.

– Komendancie Yu – zaprotestował Jiang – przecież sam pan obiecał, że dacie nam dwie trzydziestkiósemki

– Jak będziecie dalej marudzić, nie dam nawet tej jednej! – odparł dziadek gniewnie.

– W porządku, w porządku! Bez nerwów! – mitygował go Jiang, machając ręką.

Żołnierze Ósmej Armii, którzy dostali do rąk nową broń, uśmiechali się od ucha do ucha. W czasie porządkowania pola bitwy zabrali jeszcze kilka strzelb, do tego automatyczny pistolet wyrzucony przez dziadka oraz pozostawiony przez mojego ojca browning. Wszyscy mieli kieszenie wypchane złotymi łuskami. Jeden z nich, drobny, ogorzały chłopak z zajęczą wargą, powiedział niewyraźnie, tuląc do piersi dwie lufy moździerzy:

– Podpułkowniku Jiang, znalazłem dwie armaty!

– Towarzysze! – polecił Jiang. – Czym prędzej pogrzebcie zwłoki i wycofujemy się. Japońcy mogą lada chwila wrócić po swoich poległych. Jeśli będą chcieli się bić, będziemy się bić. Zając, weź te lufy na plecy, dostarczymy je do fabryki i może coś z nich będzie.

Kiedy Batalion Jiaogao zbierał się za murem i przygotowywał do odejścia, drogą od wschodniego krańca wioski nadjechało pędem ponad dwadzieścia rowerów, błyskając kołami i szprychami. Podpułkownik Jiang wydał rozkaz i jego podkomendni przypadli do ziemi po obu stronach muru. Tymczasem rowerzyści wjechali na szeroki mur i zmierzali dumnie ku dziadkowi. Mieli na sobie szare mundury, wąskie spodnie i płócienne obuwie, a na głowach graniaste czapki z symbolem białego słońca, przypominającym koło zębate.

Był to oddział rowerowy kapitana Lenga. Doborowi strzelcy, każdy uzbrojony w pistolet. O samym Ospowatym Lengu mówiło się, że jest doskonałym rowerzystą i potrafi po szynie kolejowej przejechać jednym ciągiem całe pięć *li*.

Na głośny rozkaz Jianga wszyscy żołnierze Batalionu Jiaogao wychynęli z zagajnika i ustawili się w szeregu za dziadkiem. Rowerzyści Lenga czym

prędzej zsiadli ze swoich pojazdów i prowadząc je wzdłuż muru, podeszli bliżej. Na czoło wysunął się kapitan Leng, wokół stanęli jego uzbrojeni w pistolety podkomendni.

Na widok Ospowatego Lengą dziadek zacisnął dłoń na pistolecie.

– Spokojnie, komendancie Yu. – Szturchnął go stojący za jego plecami Jiang.

Kapitan Leng, cały w uśmiechach, uścisnął dłoń podpułkownika Jianga, nie zdjawszy nawet rękawiczki. Jiang również uśmiechał się promiennie. Kiedy skończyli potrząsać sobie dłonie, sięgnął do kieszeni spodni, wyciągnął z niej dorodną szarobrazową wesz i strzepnął ją do rowu.

– Pana szanowny oddział jak zwykle w centrum wydarzeń, nieprawdaż? – zagaił Leng.

– Nasza jednostka od wczorajszego popołudnia walczyła w okrażeńiu wroga – odparł Jiang.

– I zapewne okryła się chwałą zwycięstwa?

– Współdziałając z komendantem Yu, zgładziliśmy dwudziestu sześciu Japończyków, trzydziestu kolaborantów oraz cztery konie. A gdzież to wczoraj przebywały wasze znakomite wojska partyzanckie wraz z ich męznymi dowódcami?

– Wczoraj najechaliśmy miasto Pingdu, zmuszając wrogów do panicznego odwrotu. Udany manewr w stylu „otoczyć Wei, by uratować Zhao”, nie sądzi pan, podpułkowniku Jiang?

– Leng, ty ospowaty skurczybyku, kurwa twoja mać! – zaklął z mocą dziadek. – Popatrz no na tych Zhao, których uratowałeś! Tutaj są! – Dziadek wskazał na ślepego i kulawego, siedzących na murze.

Blade blizny na twarzy Lengą poczerwieniały.

– Moja jednostka wczoraj pod Pingdu przelewała własną krew. Ponieśliśmy wielkie straty. Sumienie mam czyste.

– Pańska znakomita jednostka wiedziała przecież, że wieś została otoczona przez armię wroga, dlaczego więc nie przybyła jej na pomoc? – zapytał Jiang. – Po co, zamiast ratować tych, którzy są blisko, najeżdżać miasto odległe o sto *li*? Zwłaszcza że pański szanowny oddział nie jest oddziałem motocyklowym, lecz rowerowym. Po najeździe na Pingdu powinien być jeszcze w trakcie odwrotu, tymczasem pan wygląda na wypoczętego, a na pańskim mundurze nie widać nawet plamki. Ciekaw jestem, w jaki sposób dowodził pan tą wielką potyczką?

– Nie będę się z tobą sprzeczał, Jiang! – Leng poczerwieniał po same uszy.  
– Wiem dobrze, skąd się tu wzięłeś, i ty wiesz doskonale, co mnie tu sprowadza!

– Panie kapitanie Leng, sędzę, że wczorajszy atak waszej szanownej jednostki na stolicę powiatu był błędem taktycznym. Gdybym to ja dowodził, również nie przełamywałbym okrażenia wioski, lecz wysłałbym ludzi na cmentarz, by przyczaili się za nagrobkami po dwóch stronach drogi. Następnie użyłbym tych ośmiu karabinów maszynowych, które zdobyliście po zasadzce nad Rzeką Czarnej Wody, by strzelać do Japończyków z ukrycia. Po całym dniu bitwy żołnierze i ich konie na pewno byli wyczerpani, amunicja im się kończyła, no i znajdowali się na nieznanym, a przy tym otwartym terenie, po zmroku. Gdyby wasza szanowna jednostka otworzyła ogień, wróg nie miałby dokąd uciekać. W ten sposób, po pierwsze, położylibyście wielkie zasługi dla narodu, po drugie, wielką korzyść waszej jednostce przyniosłoby dodanie do zwycięstwa nad Rzeką Czarnej Wody udanej zasadzki na drodze. Cóż to byłaby za chwala! Jaka szkoda, panie kapitanie Leng, że przegapił pan taką sposobność! Zamiast skorzystać i zasłużyć się przy okazji, przybył pan tu łupić wdowy i sieroty. Sam jestem co prawda człowiekiem bez honoru i wstydu, ale wstydę się za was głęboko! Twarz Leng'a była purpurowa.

– Jiang... – wyjąkał. – Masz mnie za nic... Ale poczekajcie, aż stoczmy większą bitwę, zobaczycie, ile jesteście warci...

– Jeśli do tego dojdzie, jak bracia staniemy u waszego boku i będziemy walczyć do upadłego! – odparł Jiang.

– Nie potrzebujemy waszej pomocy, sami będziemy się bić!

– Masz mój niekłamany podziw!

Kapitan Leng wsiadł na rower i już miał odjeżdżać, gdy dziadek złapał go za poły koszuli na piersiach i syknął morderczo:

– Niech no tylko pokonamy Japońców, a policzę się z tobą bardzo dokładnie, Leng!

– Nie boję się ciebie! – odparł Leng.

Nacisnął nogami pedały i pomknął jak strzała, a za nim popędziło jego dwudziestu paru podkomendnych, niczym stado psów goniących zająca.

– Komendancie Yu – rzekł Jiang do dziadka – Ósma Armia zawsze będzie waszym lojalnym sojusznikiem.

Jiang podał mu rękę, dziadek zaś niechętnie wyciągnął swoją i pozwolił mu ją uścisnąć. Wielka dłoń dowódcy była twarda, ale także ciepła.

Czterdzieści sześć lat później. Miejsce, gdzie mój dziadek, ojciec i matka stoczyli heroiczną walkę z watahą psów, pod wodzą trzech z naszego domu: Czarnego, Rudego i Zielonego. Pewnej burzliwej nocy piorun uderzył w mogiłę, w której pochowano komunistów, nacjonalistów, zwykłych cywilów, japońskich żołnierzy i chińskich kolaborantów – zwaną Grobowcem Tysięcy. Gnijące kości, rozrzucone w promieniu kilkunastu metrów, obmyte dokładnie przez deszcz zyskały białą, surową barwę. Spędzałem wtedy letnie wakacje w rodzinnym domu. Gdy usłyszałem o zniszczeniu Grobowca Tysięcy, czym prędzej udałem się na miejsce, a za mną pobiegł nasz mały piesek o niebieskawym futrze. Deszcz wciąż kropił, zwierzak truchtał obok mnie, głośno rozchlapując mętną wodę z kałuż. Szybko natknęliśmy się na rozrzucone eksplozją kości. Psiak obwąchał je i obojętnie potrząsnął łebkiem – nie interesowały go.

Wokół otwartej mogiły zebrała się grupka wystraszonych ludzi. Wepchnąłem się między nich i zobaczyłem leżące w środku szkielety, które po raz pierwszy ujrzały słońce. Obawiam się, że nawet sekretarz partii naszej prowincji nie byłby w stanie stwierdzić, które z nich należały do komunistów, które do nacjonalistów, które do Japończyków, kolaborantów, a które do cywilów. Wszystkie czaszki miały identyczny kształt, leżały ciasno ułożone na jednej stercie i padał na nie ten sam deszcz. Krople z rzadka uderzały w białe kości z przenikliwym, posepnym stukotem. Szkielety leżały na wznak, mocząc się w lodowatej wodzie niczym przechowywany latami zacier z sorga.

Wieśniacy zbierali porozrzucane kości i wrzucali je z powrotem do mogiły. Poczulem zawrót głowy. Gdy minął, spojrzałem znowu i odkryłem, że wewnątrz leżą także dziesiątki różnej wielkości psich czaszek. Między czaszkami zwierząt i ludzi nie było większej różnicy. Grobowiec wypełniała płytka warstwa białej, mglistej poświaty. Miałem przed sobą coś w rodzaju zaszyfrowanego przekazu, który wstrząsnął mną do głębi: oto jak z chwalebnią historią ludzkości splatają się psie legendy i psie wspomnienia, jak wiążą się ze sobą dzieje psów i ludzi.

Ja też chciałem wziąć udział w zbieraniu kości i dla higieny włożyłem białe rękawiczki, jednak wieśniacy zerkali na moje ręce z taką niechęcią, że czym prędzej je ściągnąłem i wepchnąłem do kieszeni spodni. Poszedłem obsypaną kośćmi drogą najdalej, jak się dało, aż do skraju sorgowego pola, sto metrów od mogiły. Tam, wśród niskiej, zielonej trawy, z której żdźbeł zwieszały się krople deszczu, leżała okrągła, potrzaskana ludzka czaszka; szerokie, płaskie czoło wskazywało, że zmarły był osobą wybitną. Ująłem ją trzema palcami, podniosłem i ruszyłem biegiem z powrotem. Po drodze w trawie zauważyłem słabą, bladą poświatę. Ta czaszka była wydłużona, w szczękach wciąż tkwiło kilka ostrych zębów – od razu zorientowałem się, że nie muszę jej

podnosić, gdyż należy do stworzenia tego samego gatunku co biegnący za mną szaro niebieski psiak. Może był to wilk, a może mieszaniec psa i wilka? Bez wątpienia jednak przyniosła ją tu fala uderzeniowa eksplozji – świeża, czysta barwa kości i upstrzona grudkami ziemi powierzchnia świadczyły o tym, że spoczywała wcześniej przez dziesiątki lat w wielkiej mogile. W końcu jednak podniosłem ją także. Wieśniacy bezceremonialnie wrzucali kości do dołu, a one, uderzając o siebie nawzajem, pękały i rozbijały się na kawałki. Wrzuciłem mój fragment ludzkiej czaszki do grobowca i stałem dalej z wielkim psim czerepem w ręku, nie mogąc się zdecydować. Jakiś staruszek powiedział: „Wrzuć ją, psy w tamtych czasach były lepsze od ludzi”. Wrzuciłem więc psia czaszkę do otwartej mogiły. Naprawiony Grobowiec Tysięcy niczym nie różnił się od tego sprzed uderzenia pioruna. Aby uspokoić wylęknione dusze zmarłych, matka spaliła nad grobem plik złotych ofiarnych pieniędzy.

Pomogłem zasypać mogiłę, a potem, razem z matką oddaliśmy cześć tysiącowi spoczywających w niej ciał, składając trzykrotny czołobitny pokłon.

– To było czterdzieści sześć lat temu. Miałam wtedy piętnaście lat – powiedziała matka.

## 6

Miałam wtedy piętnaście lat. Kiedy Japończycy okrążyli wieś, twój dziadek i babka ukryli mnie w wyschniętej studni razem z twoim maleńkim wujkiem. Nigdy więcej ich nie zobaczyłam, a potem dowiedziałam się, że tego samego ranka zostali zabici. Nie wiem, ile dni tkwiłam tam na dole. Twój wujek umarł, jego zwłoki zaczęły cuchnąć. Parszywa ropucha i jadowity wąż z żółtą obwódka na szyi gapiły się na mnie od rana do wieczora – myślałam, że umrę ze strachu. Właściwie to byłam pewna, że w tej studni zakończę życie. Ale potem przyszedł twój ojciec razem z twoim dziadkiem...

Dziadek zawiązał pięć trzydziestekósemek w olejowany papier, obwiązał je sznurem i zaniósł nad krawędź studni.

– Douguan, rozejrzyj się dobrze, czy nikogo tu nie ma – polecił.

Dziadek wiedział, że zarówno oddział Lenga, jak i Batalion Jiaogao są nadal żywo zainteresowane tymi karabinami. Poprzedniej nocy, gdy razem z innymi spał w ustawionym pod murem szałasie, Ślepiec, który siedział u wejścia, usłyszał jakieś zamieszanie. Dokładnie w środku nocy do jego uszu dobiegł szelest, jakby ktoś przedzierał się przez gęstwinę młodych jesionów obrastającą łagodne zbocze muru. Potem usłyszał odgłos bardzo ostrożnych kroków zbliżających się do szałasu: rozróżnił kroki dwóch ludzi, jednego odważnego i jednego lęklivego. Słyszał ich oddechy. Złapał pistolet i krzyknął:

– Stać!

Ślepiec usłyszał, że obaj pospiesznie przypadli do ziemi i zaczęli się czołgać do tyłu. Wycelował na wyczucie i: bum! Pocisk pofrunął w powietrze. Słyszał, że obaj mężczyźni turlają się do podnóża muru, a następnie kryją w zagajniku. Znowu wycelował w kierunku dźwięku. Ktoś krzyknął. Huk wystrzałów obudził dziadka i innych – wszyscy złapali za broń i rzucili się w stronę uciekających intruzów. Zobaczyli tylko dwa czarne cienie, przeskakujące przez rów i znikające w gęstwinie zboża.

– Nikogo nie ma, tato – rzekł mój ojciec.

– Zapamiętaj tę studnię.

– Będę pamiętał. To jest studnia rodziny Urodziwej.

– Jeśli zginę, wyciągniesz te karabiny i wręczysz je ósmakom na powitanie. Lepszy są od Lenga.

– Nie przyłączajmy się do nikogo, tato. Sami zrekrutujemy sobie wojsko! Mamy jeszcze karabin maszynowy.

– To nie będzie takie łatwe, synku – uśmiechnął się gorzko dziadek. – Twój ojciec jest wykończony.

Ojciec odzepił koniec liny od zardzewiałego kołowrotu, a dziadek obwiązał nią karabiny.

– To na pewno wyschnięta studnia? – spytał dziadek.

– Pewnie. Bawiliśmy się tu w chowanego z Wang Guangiem – odparł mój ojciec, nachylając się nad krawędzią. Wtem zauważył w ciemnej czeluści dwie szarawe postaci.

– Tato, tam ktoś jest! – krzyknął ojciec.

Ojciec i dziadek ukłękli nad cembrowiną, wpatrując się usilnie w mrok.

– To Urodziwa! – oznajmił ojciec.

– Przyjrzyj się dobrze. Żyje jeszcze?

– Chyba oddycha... Koło niej siedzi wielki wąż... Jej braciszek Pokój też tam jest... – Słowa ojca odbijały się echem w studni.

– Dałbyś radę tam zejść? – spytał dziadek.

– Jasne, tato. Urodziwa to moja przyjaciółka!

– Uważaj na tego węża.

– Węży się nie boję.

Dziadek odwiązał linę z karabinów i owinał nią w pasie mojego ojca. Obracając kołowrót, spuścił go powoli na dół.

– Uważaj! – mój ojciec usłyszał z góry wołanie dziadka. Wyczuł stopą wystającą cegłę, po czym stanął na dnie studni.

Czarny wąż podniósł łeb i syknął złowrogo na ojca, wystawiając rozdwojony język. Kiedy ojciec chodził na ryby i kraby nad Rzekę Czarnej Wody, posiadał sztukę chwytania węży. Jadł też węzowe mięso, które wuj Luohan piekł w wysuszonym krowim nawozie. Wuj Luohan mówił, że mięsem węża można wyleczyć trąd. Racząc się wężyną, czuli rozpływające się po całym ciele gorąco. Ojciec stał bez ruchu. Gdy tylko wąż opuścił łeb, złapał go za ogon i potrząsnął nim z taką siłą, że zatrzeszczały kręgi. Następnie chwycił stworzenie za szyję i przekręcił jego łeb.

– Tato! Wyrzucam go! – zawołał do dziadka.

Dziadek odsunął się od cembrowiny, z głębi studni poszybował w powietrze na wpół martwy wąż i wylądował na ziemi nieopodal. Dziadek poczuł, że włos mu się jeży.

– To żółwie nasienie ma nerwy jak stary złodziej! – wykrzyknął.

Ojciec pomógł mojej matce usiąść.

– Urodziwa! To ja, Douguan! Przyszedłem cię uratować!

Dziadek, ostrożnie kręcąc kołowrotem, wyciągnął moją matkę ze studni. Potem przyszedł czas na zwłoki mojego małego wujka.

– Tato, spuszczaaj karabiny! – zawołał ojciec.

– Odsuń się pod ścianę, Douguan – polecił dziadek.

Kołowrót zatrzeszczał i po chwili pęk karabinów znalazł się na dnie studni. Ojciec odczepił linę i obwiązał się nią w pasie.

– Wciągaj, tato! – zawołał.

– Dobrze zawiązałeś?

– Dobrze!

– Zrób to porządnie, nie byle jak!

– Już, tato!

– Mocny węzeł czy pętlę?

– Tato, no co ty? Urodziwą przecież sam zawiązałem, nie?

Ojciec i dziadek patrzyli na leżącą na ziemi dziewczynę. Jej twarz wyglądała jak czaszka obciągnięta skórą, oczodoły były zapadnięte, szczęki



wystawały, a włosy wyglądały jak oproszone mąką. Paznokcie u rąk jej małego braciszka miały siną barwę.

## 7

Zdrowie mojej matki poprawiało się stopniowo pod troskliwą opieką kulejącej Babki Liu. Moja matka i ojciec zawsze bardzo się przyjaźnili, lecz po sprawie ze studnią stali się dla siebie niemal rodzeństwem – jak młodszy brat i starsza siostra. Potem dziadek ciężko zachorował na tyfus i jego życie wisiało na włosku. Pewnego razu, gdy leżał półprzytomny, majaczył, że czuje zapach kleiku z sorga. Ojciec i inni szybko nazbierali ziarna i Babka Liu przyrzadziła je przy nim. Kiedy dziadek zjadł całą miseczkę sorgowego kleiku, drobne żyłki w jego nosie popękały i wypłynęła z nich spora ilość czarnej krwi. Od tego momentu powrócił mu apetyt i jego stan zaczął się powoli poprawiać. W połowie dziesiątego miesiąca, pomagając sobie laską, wdrapał się na mur otaczający wioskę i wygrzewał się tam w ciepłych promieniach jesiennego słońca.

W tamtym czasie, jak słyszałem, oddział Ospowatego Lenga starł się z jednostkami Jianga Małonogiego w pobliżu tamy Wang Gan i obie strony poniosły dotkliwe straty, dziadek jednak balansował wtedy na granicy życia i śmierci i nie miał siły nawet o tym myśleć.

Ojciec razem z innymi wybudowali sobie w wiosce kilka tymczasowych schronień, a potrzebne sprzęty wygrzebali w ruinach. W polu zdołali nazbierać tyle sorga, by starczyło im jedzenia na zimę i wiosnę. Pod koniec ósmego miesiąca zaczęły padać jesienne deszcze. Czarna, rodząca sorgo ziemia zamieniła się w błoto, a połowa nasiąkniętych wodą źdźbeł leżała i gniła. Ziarna, które wpadły w ziemię, ukorzeniały się i kielkowały, te, które pozostały w kłosach, również. Przez szczeliny w szaro niebieskich i ciemnoczerwonych pokładach zgnilizny przebijały się z wysiłkiem delikatne, zielone pędy, kłosy sterczały w górę albo też zwieszały się nisko, podobne do puchatych lisich ogonów. Ciemnoszare chmury pełne deszczu pędziły po niebie, rzucając na pola niewyraźne cienie. Suche źdźbła szeleściły pod uderzeniami ciężkich, lodowatych kropel. Stada wron z trudem poruszały nasiąkniętymi wodą skrzydłami, kołując nad podmokłym terenem w pobliżu wioski. W tamtych dniach każdy promień słońca był cenny jak złoto. Nad ziemią stale wisiała to gęściejsza, to rzadsza lepka mgła.

Kiedy dziadek zachorował, władzę objął mój ojciec. Pod jego przywództwem Wang Guang, De Zhi, Kulawy, Ślepiec i Urodziwa z karabinami w rękach prowadzili na mokradłach zajadłą wojnę z jedzącymi trupy psami.

Mój ojciec udoskonalił swoje umiejętności strzeleckie właśnie w trakcie tych potyczek.

Od czasu do czasu dziadek pytał go słabym głosem:

– Synu, co wy tam robicie?

– Walczymy z psami, tato! – odpowiadał ojciec, marszcząc brwi w morderczym grymasie.

– Ale po co?

– Nie możemy pozwolić, żeby jadły ludzi!

Na mokradłach zebrało się prawie tysiąc zwłok – ósmacy tylko zwalili trupy na jedną stertę, nie mając czasu porządnie ich pochować. Odrobinę czarnej ziemi, którą przysypane były ciała, zmyły wkrótce ciągle jesienne deszcze bądź rozgrzebali padlinożercy. Zwłoki z wolna puchły pod wpływem wilgoci, na całych mokradłach szerzył się nęący fetor padliny. Szybko pojawiły się stada wron oraz rozszalałe psy i jeły rozszarpywać martwe brzuchy, a fale trupiego odoru rozchodziły się z jeszcze większą siłą.

W czasach swojej największej świetności armia psów liczyła od pięciuset do siedmiuset sztuk. Dowodziła nią trójka naszych: Rudy, Zielony i Czarny. Jej trzon stanowiły psy z naszej wioski, których właściciele najprawdopodobniej gnili na bagnach. Pozostałe to pojawiały się, na wpół oszalałe, to znikwały – pochodziły zapewne z sąsiedniej wioski i miały dokąd wrócić.

Trzy grupy: moja matka i ojciec, Wang Guang i De Zhi, Kulawy i Ślepiec – zajęły pozycje w różnych punktach mokradeł. Czaili się w rowach, które sami wykopali, i obserwowali trzy wydeptane przez psy ścieżki, wychodzące z gęstwiny sorga. Ojciec trzymał swoją trzydziestkęósemkę, matka karabinek.

– Powiedz mi, Douguan, czemu ja nigdy nie mogę trafić? – dopytywała się matka.

– Za bardzo się denerwujesz. Trzeba powoli wycelować i spokojnie nacisnąć spust. Wtedy na pewno nie chybisz.

Ścieżka, którą obserwowali mój ojciec i matka, biegła z południowego wschodu. Kręta, biaława, miała dwie stopy szerokości i była osłonięta powalonym zbożem, dzięki czemu psy, gdy tylko się na niej znalazły, szybko znikwały bez śladu. Dróżki tej używał psi oddział dowodzony przez Rudego. Bogata, odżywcza trupia dieta sprawiła, że jego gęsta, ruda sierść pięknie lśniła, mięśnie będących w ciągłym ruchu nóg urosły i wzmocniły się, a wojna z ludźmi stanowiła doskonale ćwiczenie dla jego intelektu.

Kiedy promienie słońca poczerwieniały, spokojne ścieżki zasnuła mgła. Po trzech miesiącach regularnych potyczek siły psiej armii zmalały: około setki psów zginęło w okolicy sterty zwłok, dwie setki zdezerterowały. Pozostałe, w sumie około dwustu trzydziestu sztuk, nabrały zwyczaju łączenia się w mniejsze grupy. Ponieważ umiejętności strzeleckie ojca i jego podkomendnych stale rosły, w każdym szaleńczym ataku psów ginęło ich kilkadziesiąt. W wojnie psów i ludzi zwierzęta wyraźnie przejawiały swoją niższość zarówno pod względem intelektualnym, jak i technicznym. Ojciec i inni mogli spokojnie czekać na kolejne ataki, ponieważ następowały one z niezmienną regularnością: pierwszy następował rano, drugi w południe, trzeci wieczorem, całkiem jak ludzkie pory posiłków.

Słyszając, że w gąszczu sorga w oddali coś się porusza, ojciec szepnął do matki:

– Przygotuj się, idą.

Matka ostrożnie odbezpieczyła broń i przytuliła policzek do mokrej od jesiennego deszczu kolby. Fale powstające wokół poruszających się źdźbeł sorga dochodziły aż do skraju mokradeł; ojciec już słyszał dyszenie stada. Wiedział, że kilka setek par psich oczu już wpatruje się w leżące na mokradłach rozszarpane ludzkie kończyny, czerwone języki oblizują resztki mięsa z warg, w żołądkach bulgoczą zielone soki.

Jak na rozkaz, ponad dwieście zwierząt wypadło z gąszczu, ze zjeżoną na karkach sierścią, wściekle ujadając. Ich futra błyszcząły w białej mgłę, rozświetlonej krwistoczerwonymi promieniami słońca. Chrzęściły rozszarpywane zwłoki. Każdy cel znajdował się w ustawicznym ruchu. Wang Guang i Kulawy otworzyli ogień; ugodzone kulami psy zaczęły skamleć, a te, którym udało się uniknąć trafienia, pożywiały się dalej.

Ojciec wycelował w łeb czarnego niezdarnego psiska i wystrzelił. Kula oderwała mu ucho, stworzenie zaskomlało i uciekło w zboże. Zobaczył rozpryskujący się na kawałki łeb innego psa, białego – zwierzę, nie zdążywszy nawet pisnąć, upadło, wciąż z kawałkiem czarnego jelita w pysku.

– Urodziwa, trafiłaś! – zawołał głośno ojciec.

– To ja? Naprawdę? – ucieszyła się matka.

Ojciec właśnie miał na muszce Rudego. Schylony pędził jak błyskawica od jednej kępy sorga do drugiej. Ojciec strzelił: kula poszybowała, mijając o włos psi grzbiety. Rudy trzymał w pysku grubą białą nogę jakiejś kobiety, jego ostre zębiska wgrzyzały się z chrzęstem w kość. Potem wystrzeliła matka: jej kula zaryła się w ziemię przed psim pyskiem, ochlapując go czarnym błotem. Psisko otrząsnęło łeb, po czym, nie wypuszczając białej nogi, czmychnęło. Celne strzały Wang Guanga i De Zhi poraniły wiele psów. Ich świeża krew

zrosiła ludzkie zwłoki, a skomlenia zranionych zwierząt budziły w ludziach dreszcz zgrozy.

Psi oddział był w odwrocie. Ojciec i inni zabrali się do czyszczenia broni. Amunicja już im się kończyła. Ojciec zwrócił wszystkim uwagę, by starali się dobrze celować, podkreślając, że najważniejsze jest zgładzenie trzech psich przywódców.

– Te bestie są śliskie jak piskorze – zauważył Wang Guang. – Zanim przeładuję broń, już się wymykają.

De Zhi zamrugnął oczami o żółtych białkach.

– A może by tak zaatakować z zaskoczenia, co, Douguan? – spytał.

– Jak to z zaskoczenia?

– Ta wataha na pewno ma jakieś miejsce, gdzie odpoczywa, i założę się, że jest to gdzieś nad Rzeką Czarnej Wody. Kiedy nażrą się mięsa, na pewno idą tam do wodopoju.

– De Zhi dobrze gada – poparł go Kulawy.

– No to idziemy.

– Nie tak szybko – zaprotestował De Zhi. – Wróćmy najpierw i weźmy trochę granatów. Wysadzimy je w powietrze.

Ojciec, matka, Wang Guang i De Zhi rozdzielili się i ruszyli dwiema psimi ścieżkami. Błotnista ziemia, poorana setkami pazurów, była sprężysta jak guma. Ścieżki prowadziły prosto nad rzekę, ojciec i matka słyszeli już szum wody i psie głosy. W pobliżu brzegu wszystkie trzy ścieżki połączyły się w jedną, szeroką psią drogę. W tym miejscu ojciec i matka spotkali się ze swoimi dwoma towarzyszami.

Gdy zbliżyli się jeszcze bardziej do rzeki, oczom ojca ukazały się dwie setki psów, rozproszone po porośniętym szuwarami brzegu. Większość leżała, niektóre wygryzały sobie twarde, lśniące grudy czarnej ziemi pomiędzy pazurów, kilka podnosiło tylne łapy i sikało do rzeki, inne, wyciągając długie jęzory, chleptały mętną wodę. Obżarte ludzkim mięsem psiska krążyły wokół, puszczając brązowe, psie bąki. Zarośla pełne były czerwonych i białych psich głów – ani ojciec, ani inni nigdy przedtem nie czuli tak mocnej woni gazów i odchodów. Leżące psy wydawały się zupełnie spokojne. Trzech przywódców wmieszało się w stado, ale dało się je wyłowić jednym spojrzeniem.

– To co, Douguan, rzucamy? – spytał Wang Guang.

– Przygotujmy się najpierw. Rzucimy je jednocześnie.

Każde z nich trzymało w ręku dwa granaty w kształcie kantalupy. Wyciągnęli zawlecзки, stuknęli się granatami, po czym ojciec zakrzyknął: „Rzuć!” i osiem granatów wylądowało wśród psów, jedne dalej, drugie bliżej. Stworzenia z zaciekawieniem przyglądały się spadającym z nieba okrągławym czarnym przedmiotom, po czym instynktownie przypadły do ziemi. Ojciec podziwiał niezwykłą inteligencję i spryt trzech psisk z naszego domu, które od razu rozpląszczyły się na podłożu tak bardzo, jak się dało. Kiedy wybuchło osiem pierwszorzędných japońskich granatów, ogromna siła eksplozji rozrzuciła czarne, drobne jak ziarnka fasoli odłamki na wszystkie strony świata, kilkanaście psów zostało dosłownie wysadzonych w powietrze, a dwadzieścia kilka odniosło rany. Grad psiej krwi i kawałków psiego mięsa padał do rzeki, gdzie krwiożercze białe węgorze wszczęły hałaśliwą walkę o psie szczątki. Poranione psy skamlały przerażającym chórem, a te, które ocalały, gdzieś się rozbiegły. Niektóre pognały pędem wzdłuż rzeki, inne wskoczyły do wody i desperacko płynęły na drugi brzeg. Ojciec ogromnie żałował, że nie wziął karabinu. Kilka oślepionych wybuchem zwierząt z zakrwawionymi pyskami kręciło się w panice po brzegu, był to trudny do zniesienia widok. Trzy psy z naszego domu przepłynęły na drugą stronę rzeki, za nimi przeprowiło się kolejnych trzydzieści. Zmęczone, z podkulonymi ogonami, oblepione mokrym futrem wspinały się na brzeg, po czym otrząsały się, a woda z ich ogonów, brzuchów i podgardli chlapała na wszystkie strony. Rudy pies z naszego domu szczeknął z nienawiścią, patrząc na ojca, jakby oskarżał jego i innych o złamanie niepisanej umowy: po pierwsze, o napad na ich obóz, po drugie, użycie tak śmiercionośnej i nieludzkiej, a właściwie niepsiej, nowej broni.

– Rzućmy jeszcze na drugi brzeg! – zasugerował ojciec.

Każde z nich wzięło jeszcze po granacie i z całej siły cisnęli nimi przez rzekę. Na widok czarnych przedmiotów szybujących w ich stronę psy zaskamlały żalonym chórem, jakby wzywały swoich ojców i matki, po czym sturlały się z nasypu i popędziły w kierunku porastającego południową stronę rzeki sorga. Ojciec i inni rzucali jednak zbyt słabo i granaty wpadały do rzeki, gdzie wybuchaly, wzbijając w powietrze białe słupy wody. Pod powierzchnią zbulgotało i rzeka pokryła się warstwą śniętych białych węgorzy.

Po tym niespodziewanym ataku psy przez dwa dni unikały miejsca masakry. W tym czasie zarówno psie, jak i ludzkie stado przygotowywało się do kolejnej bitwy.

Ojciec i jego podkomendni, poznawszy niszczycielską siłę granatów, zbrali się, by przedyskutować kwestię ich kolejnych, bardziej owocnych zastosowań. Wysłali Wang Guanga na zwiady nad rzekę. Wang Guang zaraportował, że na brzegu leży kilka psich trupów, wszędzie jest pełno sierści

i panuje straszliwy smród, natomiast żywych psów w okolicy nie widać, z czego można wnioskować, iż zwierzęta przeniosły obóz gdzie indziej.

De Zhi zasugerował, że co prawda stado zostało rozproszone, ale jego przywódcy wciąż żyją, toteż nie minie wiele czasu, a psy z powrotem zewrą szyki i zaczną znowu walczyć o zwłoki poległych. Ich kolejny atak będzie z pewnością jeszcze zajadlejszy, ponieważ psy, którym udało się przeżyć, mają już duże doświadczenie bitewne.

W końcu moja matka wpadła na pomysł, by zakopać odbezpieczone granaty z drewnianymi trzonkami na psich szlakach. Jej plan spotkał się z entuzjazmem. Wszyscy podzielili się na grupy i zagrzebali czterdzieści trzy granaty wzdłuż trzech psich ścieżek. Granatów w kształcie kantalupy było na początku pięćdziesiąt siedem, dwanaście zużyli w czasie ataku nad Rzeką Czarnej Wody, zostało jeszcze czterdzieści pięć. Ojciec rozdzielił je równo między trzy grupy, każda dostała więc po piętnaście sztuk.

W ciągu dwóch dni po ataku jedność psiej armii poważnie ucierpiała z powodu dotkliwych strat oraz znacznej dezercji. Liczyła teraz zaledwie około stu dwudziestu zwierząt. Musiała się więc przeorganizować: zamiast wcześniejszych trzech oddziałów stworzono nową, zjednoczoną, pierwszorzędną wyszkoloną jednostkę. Ponieważ wstrętne ludzkie bękarty wysadziły w powietrze poprzedni obóz, obrzucając go dziwaczными, podobnymi do żuków gnojarzy przedmiotami, psy musiały przemieścić się wzdłuż rzeki o trzy *li* na wschód i zatrzymały się na południowym brzegu, nieopodal kamiennego mostu.

Poranek ten miał znaczenie decydujące. Zaniepokojone psy, nie mogąc doczekać się walki, przepychały się, podgryzały i prowokowały po drodze. Każdy z nich mierzył wzrokiem swego przywódcę. Nasze trzy: Rudy, Czarny i Zielony, niewzruszone, zerkały na siebie nawzajem z ukosa, na ich wydłużonych pyskach widniały przebiegłe uśmiechy.

Kiedy dotarły w pobliże mostu, ustawiły się w kręgu, przysiadły na zadach, wyciągnęły szyje i zaczęły wycić prosto w zasnuwane chmurami niebo. Czarny i Zielony drżały na całym ciele, sierść na ich grzbietach kołysała się niczym morskie fale. Ludzkie mięso, które jadły, sprawiło, że białka wszystkich psich oczu stały się przekrwione. Kilka miesięcy żywienia się padliną i tułaczego życia obudziło ukryte na dnie ich dusz wspomnienia, tłumione przez dziesiątki tysięcy lat udomowienia. Teraz na nowo nienawidziły do szpiku kości tych stworzeń, które chodzą wyprostowane na dwóch nogach – ludzi. Pożerając ich ciała, nie robiły tego już tylko w celu napełnienia głodnych żołądków. Zaczynały czuć, że rzucają wyzwanie ludzkości, że dokonują straszliwej zemsty na tych, którzy zniewolili je i władali nimi przez nieskończone tysiąclecia. Rzecz jasna, to dziełem naszych trzech psów było

wyniesienie tych wszystkich niewyraźnych impulsów na odpowiedni poziom abstrakcji i zinterpretowanie sekwencji wydarzeń w toku racjonalnego rozumowania. Dzięki tym właśnie zdolnościom uzyskały poparcie stada i zostały jego przywódcami. Oczywiście ich potężne i mocne ciała, zwinność, wigor i gotowość do zajadłego ataku z narażeniem życia także były tu nie do przecenienia.

Ludzka krew i ludzkie mięso zmieniły też wygląd tych istot. Skóra napięła się na żylastych ścięgnach, poziom hemoglobiny w mięśniach ogromnie wzrósł. Stały się też bardziej agresywne, skłonne do walki i zabijania. Na samo wspomnienie swej dawnej pożałowania godnej egzystencji, kiedy to żywiły się resztkami z ludzkich stołów, czuły się upokorzone. Wrogość wobec człowieka stała się już składnikiem zbiorowej podświadomości całego stada, a powtarzające się ostrzały w wykonaniu mojego ojca i jego kompanii jeszcze bardziej podsycaly antyludzkie emocje.

Zresztą już kilkanaście dni wcześniej między trzema psimi oddziałami zaczęły się konflikty. Szło z początku o drobnostki. Raz pewien członek oddziału Czarnego, łakome zwierzę z rozharataną wargą i obciętą połową nosa, ukradł i pożarł ludzką rękę, przyniesioną w pysku przez niedużego białego psiaka z oddziału Zielonego. Biały poszedł z pretensją do Obciętego Nosa, ten zaś odgryzł mu tylną łapę. Bandycki wybryk Obciętego Nosa rozwścieczył cały oddział Zielonego. Za aprobatą przywódcy Zieloni rzucili się na Obciętego i rozszarpali go dosłownie na kawałki, wywlekli z niego nawet wnętrzności. Ultralewicowa zemsta Zielonych to było więcej, niż Czarni mogli znieść. W rezultacie dwieście psów z obu oddziałów zwarło się w zażartym pojedynku; wydarte kłęby sierści kotłowały się w powietrzu, nadwodny wietrzyk zwiewał je w dół rzeki. Korzystając z okazji, psy z oddziału Rudego także postanowiły wyrównać swoje rachunki. Trzy psy z naszego domu siedziały nieporuszone, a do ich spoglądających lodowato ślepi napływała świeża krew.

Zażarta potyczka trwała jakieś dwie godziny. Siedem psów poległo, kilkanaście odniosło poważne rany i leżało na polu bitwy, żałośnie skamlać. Po walce wszystkie siadły na brzegu rzeki i jęły wylizywać rany czerwonymi jęzorami, pokrytymi bakteriobójczą śliną.

Dzień wcześniej zdarzył się inny incydent. Pewien samiec z oddziału Zielonego, bezwstydnik o grubych wargach, rybich ślepiach i pstrej niebieskawo-żółtawej sierści, pozwolił sobie na zbyt wiele wobec urodziwej suczki o łaciatym pysku z grupy Rudego, która była w wyjątkowo bliskich stosunkach z wodzem. Rudy się wściekł, zaatakował pstrego śmiałka i wepchnął go do rzeki. Pstry, wyskoczywszy z powrotem na brzeg, otrząsał futro z wody i zaczął nienawistnie pomstować na swojego prześladowcę.

Pozostali członkowie grupy Rudego szydzili z poszkodowanego, który przedstawiał sobą żaloszny, wstrętny widok.

Przywódca Zielonych zaszczekał głośno na Rudego, ten jednak zlekceważył go i wrzucił Pstrego do rzeki po raz drugi. Pstry, wystawiając nad powierzchnię wody jedynie okrągłe nozdrza, dopłynął do brzegu – przypominał gigantycznego szczura. Suczka o łaciatym pysku stała za Rudym, kołysząc potulnie ogonem.

Zielony znowu szczechnął, co zabrzmiało jak szyderstwo.

Rudy odszczeknął, co zabrzmiało jak szydercza odpowiedź.

Czarny stanął pomiędzy swoimi towarzyszami z dawnych lat i szczechnął pojednawczo, jakby brał na siebie rolę mediatora.

Teraz, gdy stado zebrało się w nowym obozie, zajęło się głównie pićm wody i lizaniem ran. W wolno płynącym nurcie Rzeki Czarnej Wody odbijały się promienie pradawnego słońca. Nieduży zając wystawił łebek zza nasypu, po czym ukradkiem czmychnął, śmiertelnie przerażony.

W łagodnym blasku jesiennego słońca wszystkie zwierzęta ogarnęło rozleniwienie. Trzy psy z naszego domu usiadły w trójkącie, mrużąc ślepią, jakby rozpamiętywały dawne dzieje.

Rudy wspominał, jak wiódł spokojne życie psa stróżującego u kierownika naszej gorzelni. Żyły wtedy jeszcze dwa żółte psy i mimo że między całą piątką zdarzały się niesnaski, w gruncie rzeczy panowała zgoda. Był wtedy najwątleszy i najmniejszy ze wszystkich i kiedy dostał świerzbu, towarzysze wypędzili go z legowiska. Wytarzał się więc w sorgowej słomie na wschodnim dziedzińcu i dolegliwość ustąpiła, ale gdy wrócił, stał się jakby mniej towarzyski. Mierziła go pogarda Czarnego i Zielonego dla słabych i podlizywanie się silniejszym, irytowało ich przymilne merdanie ogonami.

Teraz doskonale rozumiał, że podłożem obecnych konfliktów jest walka o władzę: odkąd niesnaski między psami w stadzie przeniosły się na wodzów, pozostałe psy zachowywały się spokojnie. Tylko pstrokaty samiec, który nie chciał się podporządkować mimo otrzymanej nauczki, teraz rozrabiał i siał zamieszanie w stadzie.

Punktem zwrotnym był moment, gdy pewna stara suka z naderwanym uchem podeszła do Czarnego i szturchnęła go zimnym, mokrym nosem, po czym odwróciła się i zamerdała do niego ogonem. Czarny podniósł się i zaczął okazywać dawnej kochance gorące zainteresowanie. Rudy i Zielony przyglądali się temu przez chwilę, po czym Rudy, wciąż spokojnie leżąc, rzucił Zielonemu kątem ślepią porozumiewawcze spojrzenie. Zielony błyskawicznym skokiem dopadł flirtującego Czarnego i rozplaszczyl go na piasku.



Całe stado podniosło się, by obserwować ten pojedynek na kły i pazury. Zielony, czym prędzej wykorzystując przewagę wynikłą z zaskoczenia przeciwnika, wgryzł się w kark Czarnego i potrząsnął nim z całej siły. Nastroszył zielonkawe futro, a z jego gardła wydobył się warkot złowrogi jak grzmot.

Czarny odwrócił zamroczony nagłym atakiem łeb i z wysiłkiem uwolnił szyję, tracąc przy tym kawałek mięsa wraz ze skórą, rozmiaru ludzkiej dłoni. Podniósł się, drżąc na całym ciele z powodu potwornego bólu. Był wściekły. Uważał napaść Zielonego za całkowicie sprzeczną z psimi zasadami. Ten zdradziecki atak był czymś niegodnym psa, a wygrana nie przysporzy zwycięzcy chwały. Ujadając, opuścił łeb, rzucił się na Zielonego i chwycił zębami skórę na jego piersi. Zielony tymczasem wgryzł się znowu w ranę Czarnego i nie tylko kąsał, ale wręcz przeżuwał jego ciało. Czarny zawył. Zielony wypuścił z pyska kark przeciwnika. Odgryziony płat skóry wisiał na piersi Zielonego niczym zasłona u drzwi. Rudy powoli wstał, spoglądając lodowato na oba psy. Kark Czarnego był prawie złamany: kiedy usiłował podnieść łeb, ten opadał z powrotem, krew tryskała z szyi jak woda ze źródła. Zbliżał się jego koniec. Zielony wpatrywał się bezwzględnie w pokonanego, po czym obnażył dumnie kły i szczeknął, lecz gdy się odwrócił, zobaczył przed sobą drwiący, długi pysk Rudego. Zadrżał. Rudy, wpijając w niego wzrok, z szyderczym uśmiechem rzucił się na Zielonego i swoim zwyczajem przewrócił zranionego psa na ziemię. Zanim Zielony zdołał się podnieść, Rudy schylił łeb, złapał zębiskami odgryziony przez Czarnego płat skóry i pociągnął z całej siły, odsłaniając gołe mięso na piersi przeciwnika. Kiedy Zielony wstał, płat skóry wisiał mu już między nogami i włókł się po ziemi. Zaskamlał na znak, że wie: walka skończona. Rudy jednym pchnięciem obalił ledwie trzymającego się na nogach przeciwnika, ten przekościółkował dwa razy. Zanim zdołał się podnieść, stado psów gradem ciosów i ugryzień zamieniło go w psi ochłap.

Pokonawszy najsilniejszego konkurenta, Rudy triumfalnie zakołysał ogonem i ryknął w stronę pokrwawionego Czarnego. Czarny zapiszczał i z podkulonym ogonem patrzył na niego smutnymi, zielonymi ślepiami; w spojrzeniu tym było błaganie o litość. Stado psów chciało jednak definitywnego rozwiązania konfliktu, napało więc na niego i zmusiło, by skoczył do rzeki, popełniając samobójstwo. Jego łeb unosił się jeszcze przez chwilę na powierzchni wody, po czym zatonął, a z głębiny z bulgotem wydobyło się kilka bąbli powietrza.

Psy wepchnęły Rudego w sam środek stada i obnażając śnieżnobiałe kły, uroczyście zawyły do bladego słońca, które wisiało na niebie w jeden z tak rzadkich wówczas słonecznych dni.

Nagle zniknięcie psiej watahy zaniepokoiło ojca i jego towarzyszy, wprowadzając w ich uporządkowane życie chaos i niepewność. Rzęsisty jesienny deszcz padał na wszystkie istoty z monotonnym szumem. Straciwszy podniętę, której dostarczała im wojna ze złymi psami, ojciec i jego towarzysze przypominali starych palaczy opium na głodzie – przysypiali, ziewając, z zasmakanyimi nosami.

Czwartego dnia po zniknięciu psów ojciec i inni leniwie zebrali się na skraju mokradeł. Patrząc na unoszącą się nad ziemią mgłę i cuchnące opary, dyskutowali z ożywieniem.

Kulawy już wcześniej oddał broń i wycofał się z antypsiego oddziału. Udał się do odległej wioski, gdzie zamierzał wspomóc swojego kuzyna w prowadzeniu jadłodajni. Ślepiec, jako niesamodzielny, przesiadywał ciągle w chacie, gawędząc z moim chorym dziadkiem. Zostali więc tylko ojciec, matka, Wang Guang i De Zhi.

– Douguan, te psy już się nie pokażą. Wystraszyły się granatów – orzekła moja matka, wpatrując się w trzy tajemnicze psie ścieżki. W gruncie *rzeczy* to ona najbardziej ze wszystkich pragnęła, by psy wróciły – jej myśli cały czas krążyły wokół czterdziestu trzech granatów zagrzebanych pod psimi drogami.

– Wang Guang, idź jeszcze raz na zwiady! – zarządził ojciec.

– Dopiero co byłem wczoraj. Psy pogryzły się na wschód od mostu, Zielony zginął. Na pewno się rozdzieliły. Według mnie, zamiast tracić tu czas, lepiej byłoby czym prędzej dołączyć do Ósmej Armii – odparł Wang Guang.

– Nie, na pewno wrócą. Nie przepuszczą takiej ilości dobrego żarcia.

– Teraz wszędzie leżą jakieś zwłoki. A te psiska głupie nie są, nie będą łązić tam, gdzie rzucają w nie granatami.

– Ale tutaj jest taka ilość trupów, że szkoda im będzie je zostawić – argumentował ojciec.

– A gdybyśmy mieli się do kogoś przyłączać, to lepiej już do Lenga – wtrącił się De Zhi. – Ci chociaż robią wrażenie. Szare mundury, skórzane pasy...

– Patrzcie! – krzyknęła matka.

Wszyscy pochylili się i skierowali spojrzenia w stronę psich ścieżek, tam gdzie wskazywała matka. Osłaniające dróżki żdźbła sorga zadrzały, lśniąca zasłona deszczowych kropel padała pod różnym kątem na poruszające się zarośla. Wszędzie pełno było delikatnych, żółtawych młodych roślinek, które wykiełkowały w niewłaściwej porze wśród powalonych, zwiędłych żdźbeł. W powietrzu wypełnionym mieszaniną deszczu i mgły wisiał zapach kiełków,

zgniła woń słomy, odór trupów, smród psiego moczu i kału. Ojciec i inni mieli przed sobą przerażający, brudny świat, w którym zło było w pełnym rozkwicie.

– Ida! – zakrzyknął rozochocony ojciec.

Sorgo wciąż poruszało się w okolicy trzech psich ścieżek, lecz żaden z granatów nie wybuchł.

– Co się dzieje, Douguan? – niepokoila się matka.

– Nie martw się, na pewno zaraz się zacnie.

– Postraszymy ich trochę karabinami – zasugerował De Zhi.

Nie mogąc się doczekać, matka nacisnęła spust. W sorgu coś się zakotłowało. Wreszcie huknął wybuch. W powietrze wystrzeliły połamane źdźbła sorga i pourywane psie kończyny, z gęstwiny dobiegał skowyt poranionych zwierząt. Ekspłodowało coraz więcej granatów, odłamki i szczątki z wizgiem przelatowały nad głowami ojca i pozostałych.

W końcu u wylotów trzech ścieżek pojawiło się dwadzieścia kilka psów. Ojciec i jego towarzysze oddali kilka strzałów i psy cofnęły się, co tylko wywołało kolejne eksplozje.

Matka podskoczyła z radości, klaszcząc w dłonie.

Ani ona, ani pozostali nie mieli jednak pojęcia o poważnych zmianach, które nastąpiły w psiej armii. Gdy tylko mądry Rudy został wodzem, przeprowadził wszystkie psy o kilkadziesiąt *li* od dawnego obozu, a potem dokonał gruntownej reorganizacji. Koncepcja tego ataku stanowiła tak błyskotliwy przykład dialektyki, że nawet bardzo inteligentni ludzie nie zdołaliby znaleźć błędu w rozumowaniu jej twórcy. Rudy wiedział, że jego przeciwnicy to tylko kilkoro sprytnych, dziwacznych dzieciaków, z których jeden wydawał mu się znajomy. Wystarczy pozbyć się tej bandy bękartów, a psy będą mogły wreszcie spokojnie cieszyć się wspaniałą ucztą na mokradłach. Kazał więc pewnemu kundlowi ze szpiczastymi uszami poprowadzić atak dawną drogą – atak ten był samobójczy i nie pozostawiał możliwości odwrotu. Sam zaś poprowadził sześćdziesiąt psów okreśną drogą za bagnami, by z zaskoczenia napaść i pozagryzać tych małych, krwiożerczych ludzkich drani. Zanim wyruszył, z podwiniętym ogonem podszedł do każdego ze swoich żołnierzy i dotknął zimnym nosem jego nosa. Następnie zabrał się do wygryzania grud zaschniętego błota spomiędzy pazurów, a pozostałe psy wzięły z niego przykład.

Kiedy przeprowadził oddział zaplanowaną drogą i przyglądał się siedzącym w okopach, bezładnie wymachującym kończynami ludzikom, usłyszał huk eksplodujących na psich ścieżkach granatów. Zaniepokoił się poważnie, widząc, jak odgłos ten podziałał na pozostałe psy: wspomnienie

zabójczych czarnych żuków gnojarzy wprawiło je w przerażenie. Wiedział, że jeśli teraz okaże słabość, przegrają na wszystkich frontach. Odwrócił więc łeb do wystraszonego stada, obnażył ostre kły i wydał przenikliwy szczek. Cała wataha z wodzem na czele, podobna do lśniącej, kolorowej, sunącej tuż przy ziemi chmury, ruszyła galopem na obóz mojego ojca.

– Psy! Są za nami! – krzyknął ojciec z przestraszeniem i bez celowania szybkim strzałem z trzydziestkiósemki powalił jednego z napastników. Spore brunatne zwierzę runęło na ziemię i zostało stratowane przez szarżujące stado.

Wang Guang i inni strzelali bez opamiętania, ale za zranionymi wrogami natychmiast wyrastali następni. Wszędzie błyskały ostre kły i psie ślepie, podobne do dojrzałych wiśni. Psia nienawiść do rodzaju ludzkiego osiągała właśnie apogeum. Wang Guang odrzucił broń i popędził w stronę mokradeł, gdzie natychmiast otoczyło go kilkanaście psów. Drobnego człowieka w ciągu kilku minut dosłownie zniknęło. Przywykłe do żywienia się ludzina stworzenia zdążyły już zamienić się w prawdziwe dzikie bestie, zwinne i wprawione w technice zabijania. Każdy z psów odgryzł kęs mięsa Wang Guanga i po krótkiej chwili ich zębiska ogryzały już tylko jego kości.

Ojciec, matka i De Zhi stali plecami do siebie, trzęsąc się z przerażenia; matka nawet zmoczyła spodnie. Spokój, z którym przez tyle dni strzelali do psów z daleka, wyparował w jednej chwili. Otoczeni przez krążące wokół nich stado prowadzili ciągły ogień. Udało im się zabić i poranić pewną liczbę zwierząt, lecz wkrótce skończyła im się amunicja. Trzydziestkaósemka ojca była wyposażona w bagnet, lśniące ostrze stanowiło dla psów wielkie zagrożenie, lecz matka i De Zhi mieli krótką broń, bez bagnatów, dlatego kręciło się wokół nich więcej napastników. Stykając się ze sobą plecami, cała trójka czuła, jak pozostali dygocą ze strachu.

– Douguan... Douguan... – szeptała matka.

– Nie bój się, tylko krzycz najgłośniej, jak potrafisz, tata usłyszy i przyjdzie nam na ratunek – powiedział ojciec.

Rudy, który zorientował się, że to mój ojciec jest przewodnikiem ludzkiego stada, zerkał kątem oka na ostrze jego bagnetu. – Tato! Pomocy! Ratuj! – zaczął krzyczeć ojciec.

– Wujku! Szybko! – wołała rozpaczliwie matka.

Psy próbowały przypuścić atak, lecz zaraz się wycofały, dotkliwie pobite: matka wepchnęła jednemu kolbę karabinu do paszczy, wybijając mu dwa zęby, drugiemu ojciec rozplątał pysk bagnetem. Rudy tymczasem siedział daleko, ze wzrokiem utkwionym w moim ojcu.

Impas trwał jeszcze tyle czasu, ile zajmuje wypalenie dwóch fajek. Ojciec czuł, że nogi robią mu się jak z waty, a ręce drętwieją. Po raz kolejny zawołał dziadka na ratunek. Plecy matki przywarły do jego pleców jak do ściany.

– Douguan... – szepnął De Zhi. – Odciągnę je, a wy uciekajcie.

– Nie! – sprzeciwił się ojciec.

– Biegnę!

De Zhi odłączył od nich i pognął w stronę sorga, a za nim rzuciło się kilkadziesiąt psów. Dogoniły go i zagryzły. Ojciec nie śmiał nawet zerknąć w tamtym kierunku, czując na sobie twarde spojrzenie Rudego.

Stamtąd, dokąd uciekł De Zhi, dobiegł podwójny huk wybuchających japońskich granatów; zgięte falą uderzeniową zboże wydało złowrogi szelest, ojciec poczuł bolesne drętwienie policzków. Rozległy się tapnięcia padających na ziemię psich ciał i żalosne wycie poranionych zwierząt. Te, które otaczały ojca i matkę, przerażone hukiem eksplozji cofnęły się o kilkanaście kroków – korzystając z okazji, matka wyciągnęła granat w kształcie kantalupy i cisnęła nim w sam środek stada. Na widok szybującego w ich kierunku, wirującego w powietrzu czarnego przedmiotu psy, skowycząc, rozbiegły się na wszystkie strony. Granat jednak nie wybuchł – matka zapomniała wyciągnąć zawleczkę. Ze wszystkich psów w pobliżu został tylko Rudy. Kiedy zauważył, że ojciec odwraca głowę ku matce, skoczył jak błyskawica. Szybujące w powietrzu ciało psiego wodza rozpostarło się i wygięło w piękny łuk, lśniący w szarosrebrnym blasku dnia. Ojciec cofnął się instynktownie, psi pazur jedynie drasnął go w twarz.

Pierwszy skok Rudego nie trafił w cel. W policzku ojca jednak wydarta została dziura prawie tak duża jak usta; sączyła się z niej lepka krew. Gdy Rudy zaatakował ponownie, ojciec zasłonił się karabinem. Pies przednimi łapami odsunął lufę i schyliwszy łeb przed bagnietem, rzucił się w stronę piersi ojca. Ojciec, wypatrzywszy na brzuchu Rudego kępkę białej sierści, wymierzył mu kopniaka, nie przewidział jednak, że w tym momencie matka się przewróci, a on wyląduje na wznak na ziemi. Korzystając z sytuacji, rzucił się na ojca i zmyślnie ugryzł go w krocze. Tymczasem matka odwróciła broń i uderzyła kolbą prosto w twardą czaszkę – pies cofnął się parę kroków, ale znowu ruszył do ataku. Gdy już szybował w powietrzu trzy stopy nad ziemią, jego łeb nagle opadł, w tym samym momencie rozległ się huk wystrzału – kula zmiażdżyła jedno z psich ślepi.

Oczom ojca i matki ukazał się wychudzony i przygarbiony, siwowłosy starzec, który trzymał w jednym ręku nadpalony drewniany kij, a w drugim dymiący japoński pistolet. Był to mój dziadek.

Dziadek zbliżył się chwiejnie i zdzielił Rudego kijem w łeb.

– Zdradliwa bestia! – rzucił.

Serce Rudego wciąż biło, płuca pracowały, potężne tylne łapy darły czarną ziemię, wydrapując w niej dwa głębokie rowy. Jego piękne, gęste futro jarzyło się niczym płomień.

## 8

Ugryzienie Rudego okazało się nie do końca skuteczne, zapewne dlatego, że ojciec miał na sobie dwie pary spodni, ale rana i tak była dość poważna. W mosznie ojca ziała dziura na wylot – jedno jądro wielkości przepiórczego jaja wydostało się na zewnątrz i tylko cienkie, białawe włókno łączyło je z resztą ciała. Kiedy dziadek dotknął tej okolicy, ciemnoczerwone jajko wypadło ojcu na spodnie.

Dziadek podniósł je i położył sobie na dłoni. Wydało mu się, że waży tonę, aż zgiął się pod jego ciężarem. Szorstka dłoń dziadka zadrżała, jakby oparzona przez ten maleńki przedmiocik.

– Co ci jest, wujku? – zapytała matka.

Matka patrzyła, jak mięśnie twarzy dziadka kurczą się w bolesnym grymasie. Błada twarz ozdrowieńca znowu przybrała żółty odcień. W jego oczach lśniła rozpacz.

– Koniec... Tym razem to już koniec... – wymamrotał głosem starca.

– Zniszczyłeś mnie! Przeklęty psie! – wrzasnął, wyciągając pistolet.

Wycelował w Rudego, który już ledwie dyszał, i oddał kilka strzałów.

Ojciec podniósł się z ziemi, strumyczek gorącej krwi popłynął mu wzdłuż uda. Wyraźnie nie czuł większego bólu.

– Zwyciężyliśmy, tato – oznajmił.

– Wujku! – krzyknęła matka. – Trzeba szybko opatrzyć Douguanowi ranę!

Ojciec spojrział na własne jądro w dłoni dziadka i zapytał z powątpiewaniem:

– Tato, to naprawdę moje?

Nagle poczuł falę mdłości, zakręciło mu się w głowie i zemdlał. Dziadek odrzucił kij, zerwał dwa czyste liście sorga, zawinał w nie jądro syna i wręczył matce.

– Urodziwa, pilnuj tego. Pójdziemy do doktora ZhangaXinyi – zarządził.

Dziadek schylił się, podniósł mojego ojca, wstał z trudem i ruszył chwiejnie naprzód. Na mokradłach wciąż rozlegały się żalosne skowyty poranionych granatami psów.

Doktor Zhang Xinyi, mężczyzna po pięćdziesiątce, czesał się z przedziałkiem pośrodku, co na wsi rzadko się widywało. Nosił ciemnoniebieską tunikę, miał sinoblada cerę, był chudy, drobny i wydawało się, że mógłby ulecieć z wiatrem.

Dziadek zjawił się u niego blady i zgięty wpół z wyczerpania.

– Czy to pan, komendancie Yu? – spytał doktor. – Bardzo się pan zmienił.

– Doktorze, zapłacę każdą cenę – rzekł ojciec. Położyli ojca na wznak na łóżku z desek.

– To pana syn, komendancie? Dziadek pokiwał głową.

– Ten, który zabił japońskiego generała pod mostem na Rzece Czarnej Wody?

– Mam tylko jednego syna!

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy – zapewnił doktor Zhang, sięgając do kufierka, z którego wyjął szczypce, nożyczki, buteleczkę wódki i buteleczkę jodiny. Następnie pochyliwszy się, oglądał ranę na twarzy mego ojca.

– Panie doktorze, niech pan najpierw zajrzy tam, niżej – rzekł ponuro dziadek, odwrócił się, odebrał matce zawinięte w sorgowe liście jądro i położył je na szafce obok. Liście rozpostarły się.

Doktor Zhang chwycił szczypcami nieszczęsną rzecz i przyjrzał się dokładnie. Jego poźółkłe od tytoniu palce drżały.

– Komendancie Yu... – wyjąkał. – Nie to, że nie jestem gotów dołożyć wszelkich starań... Ale rana pańskiego syna... Moje możliwości są ograniczone, nie mam też odpowiednich lekarstw... Musi pan poszukać kogoś o lepszych kwalifikacjach.

Dziadek pochylił się i wlepił spojrzenie zamglonych oczu w doktora.

– Gdzie teraz znajdę kogoś lepszego? – spytał ochryple. – Mów, gdzie są ci lepsi? Mam iść do Japończyków?

– Panie komendancie... Nie o to mi chodziło... Rana pańskiego syna jest w krytycznym miejscu... W razie błędu powstaje ryzyko braku potomstwa.

– Przyszedłem do pana, bo w pana wierzę, więc bierz się pan do roboty! – oznajmił dziadek.

Zhang Xinyi zacisnął zęby.

– Skoro tak pan komendant mówi, zaryzykuję – rzekł.

Nasaczył wacik wódką i oczyścił ranę. Ból ocucił ojca. Szarpnął się i prawie spadł z łóżka, lecz dziadek przytrzymał go, choć nogi się pod nim trzęsły.

– Trzeba go będzie przywiązać, panie komendancie – rzekł Zhang Xinyi.

– Douguan! Jesteś moim synem. Zaciśnij zęby i wytrzymaj, dasz radę! – perswadował dziadek.

– Tato... To boli... – jęknął ojciec.

– Musisz wytrzymać! – rzucił surowo dziadek. – Pomyśl o wujku Luohanie!

Ojciec nie śmiał się sprzeciwić. Jego czoło pokryło się potem. Doktor Zhang wziął igłę, zanurzył w wódcę, po czym nawłókł nić i zabrał się do zaszywania moszny ojca.

– Niech pan włoży to z powrotem! – rozkazał dziadek.

Zhang Xinyi spojrzał na leżące w liściach sorga na szafce jądro i powiedział z zakłopotaniem:

– Ależ, panie komendancie... To się nie da przyszyć...

– Chcesz pan, żeby ród Yu wyginał? – spytał ciężko dziadek.

Na twarzy doktora Zhanga lśniły krople potu.

– Panie komendancie... Proszę się zastanowić... Naczynia krwionośne zostały przerwane – jeśli włożę je do środka, i tak pozostanie martwe.

– To niech pan zszyje te naczynia z powrotem.

– Panie komendancie, na całym świecie nie słyszano o zszywaniu naczyń krwionośnych.

– To znaczy... że wszystko na nic?

– Trudno powiedzieć, panie komendancie. Drugie jest nienaruszone, więc może jedno mu wystarczy...

– Tak pan myśli?

– Bardzo możliwe.

– A niech to chuj strzeli! – zaklął dziadek posepnie. – Dlaczego mnie to wszystko spotyka właśnie mnie?

Po zaszyciu rany w dolnych rejonach doktor zajął się twarzą ojca. Mokre od potu ubranie przylgnęło mu do pleców. Gdy skończył, padł zmęczony na stołek, dysząc ciężko.



– Ile jestem winien, panie doktorze? – spytał dziadek.

– Nie ma o czym mówić. Panie komendancie, będę szczęśliwy, jeżeli pański syn wydobrzeje – odparł Zhang słabym głosem.

– Panie doktorze, ja, Yu Zhan'ao, nie prosperuję ostatnio najlepiej. Ale pewnego dnia podziękuję panu jak należy.

Dziadek wziął ojca na ręce i opuścił dom doktora.

Dziadek przyglądał się z uwagą ojcu, który leżał półprzytomny w chacie. Twarz miał zakrytą gazą, widać było tylko ruchliwe oczy. Doktor Zhang Xinyi zjawił się raz, by zmienić opatrunki.

– Panie komendancie, nie ma stanu zapalnego, a to bardzo dobry znak! – orzekł.

– Mówił pan, że wystarczy mu jedno, tak? – dopytywał się dziadek.

– Panie komendancie, nie ma co teraz o tym myśleć. Pański syn został pokąsany przez wściekłego psa, mamy szczęście, że uszedł z życiem – odparł Zhang.

– Po co komu takie życie, jak to i owo nie pracuje jak należy – burknął dziadek.

Widząc morderczą zawziętość na jego twarzy, doktor Zhang wymamrotał coś pojednawczego i czym prędzej się wymknął.

Dziadek z zamętem w sercu wziął pistolet i ruszył na przechadzkę po mokradłach. Panowała posepna jesień. Ziemię pokrywał szron, żółtozielone kielki sorga powiędły od przymrozków, a z nasiąkniętej wodą gleby wyrastały cienkie lodowe ciernie. Już koniec dziesiątego miesiąca – myślał dziadek – zima za pasem, a ja jestem chory i słaby, syn walczy o życie, mój rodzinny dom w ruinie, krewni zgładzeni. Lud wokół cierpi. Wang Guang i De Zhi zginęli, Kulawy odszedł do swojej wioski, z wrzodów na nogach Babki Liu sączy się ropa i krew. Ślepy całymi dniami siedzi i nic nie robi, Urodziwa jest jeszcze dzieckiem i nic nie rozumie... Z jednej strony jest Ósma Armia, która chce mnie wciągnąć, z drugiej strony rozpycha się oddział Lenga, a dla Japończyków jestem wrogiem... Podparty kijem stał na wzgórzu pośród mokradeł i patrzył na rozrzucone po polach szkielety ludzi i szczątki stratowanego zboża. W głowie miał zamęt, a w sercu wielki żal. W jego umyśle przesuwwały się wspomnienia przeszłych zdarzeń, szczęść i nieszczęść. Bogactwo i prestiż, miłość pięknych kobiet, rączy konie i celna broń, wino i śpiew – wszystko odeszło, przeminęło niczym obłoki płynące po niebie. Kilkadziesiąt lat walk, starań, umizgów – i wszystko, czego się doczekał, to ten ponury widok, który miał przed oczyma. Kilka razy kładł rękę na broni, po czym cofał ją z wahaniem.

Jesień 1939 roku była dla mojego dziadka wyjątkowo trudnym czasem. Jego oddział został wybity do nogi, ukochana żona zginęła, syn odniósł ciężkie rany, dom poszedł z dymem, a jego samego dręczyła choroba. Wojna zniszczyła niemal wszystko, co miał. Widział wokół siebie tylko zwłoki ludzi i psie truchła. Wszystko poplątało się ze sobą niby tysiące nitek, tworząc bezładny kłęb, w którym niczego już nie dało się rozróżnić. Ciągłe sięgał po pistolet, chcąc pożegnać się z tym przeklętym światem, lecz za każdym razem przemożna chęć zemsty wygrywała z tchórzostwem. Nienawidził Japończyków, tak samo jak żołdaków z Jiaogao oraz ludzi Lengy. Batalion Jiaogao zabrał mu ponad dwadzieścia sztuk broni, po czym zniknął bez śladu. Jakoś nie słyszał, żeby walczyli z Japończykami, doszło do niego natomiast, że naporzą się z Lengiem. Miał też podejrzenie, że to oni przywłaszczyli sobie tych piętnaście japońskich trzydziestekósemek, które ukryli z moim ojcem w starej studni, a które nie wiadomo kiedy rozplynęły się w powietrzu.

Babka Liu, której twarz zachowała wiele uroku, mimo że dawno przekroczyła czterdziestkę, odszukała dziadka na mokradłach. Popatrzyła z czułością na srebrną głowę i dotknęła jego ramienia szorstką, dużą dłonią.

– Bracie – powiedziała – nie siedź tu i nie pogażaj się w czarnych myślach. Chodźmy stąd. Jak mawiali starożytni, niebiosy nigdy nie zagrządzają ludziom drogi. Teraz jedź i pij jak najwięcej, oddychaj pełną piersią – podreperuj zdrowie, a potem się zobaczy.

Dziadek popatrzył ze wzruszeniem na łagodną twarz kobiety.

– Siostrze! – powiedział ze łzami w oczach. Babka Liu poklepała go po zgarbionych plecach.

– Proszę, mężczyzna ledwie koło czterdziestki, a już taki zmęczony życiem...

Wzięła go pod rękę i ruszyli z powrotem. Dziadek spojrział na jej chora nogę i zapytał z troską:

– Jak tam noga, lepiej choć trochę?

– Wrzód jest już wyleczony, ale tę nogę mam cieńszą.

– Z czasem się wzmocni.

– I myślę, że rana Douguana nie jest wcale taka poważna.

– Jak myślisz siostrze, wystarczy mu to jedno, które mu zostało?

– Tak przypuszczam. Czosnek z jedną główką jest zawsze bardziej pikantny!

– Naprawdę?

– Młodszy brat mojego męża urodził się z jednym – wiesz, ile napłodził synów i córek?

– Aha.

Nocą dziadek złożył swoją umęczoną głowę na ciepłej piersi Liu, a kobieta gładziła dużymi dłońmi jego kościste ciało.

– Jesteś w porządku, bracie... – szepnęła miękko. – Masz jeszcze wigor... Nie przejmuj się niczym. Rób to ze mną, to zawsze poprawia humor, prawda?...

Czując słodko-kwaśną woń jej oddechu, dziadek zasnął natychmiast.

Matka nie mogła zapomnieć widoku doktora Zhanga, trzymającego w szczypcach ciemnoczerwoną, spłaszczoną kulkę. Doktor podniósł ją do oczu i przyjrzał się uważnie, po czym wrzucił do miski pełnej brudnych wacików, skrawków skóry i ciała. Jajko Douguana włożone do miski pełnej brudów. Wczoraj klejnot, dzisiaj śmieć... Matka, która miała już piętnaście lat i wiedziała co nieco o świecie, czuła mieszaninę wstydu i strachu. Kiedy doglądała mojego ojca i zerknęła na jego owiniętego w gazę ptaszka, jej serce łomotało, a policzki robiły się czerwone i gorące.

Potem odkryła, że Babka Liu sypia z dziadkiem.

Pewnego dnia Liu powiedziała:

– Urodziwa, skończyłaś piętnaście lat, jesteś już duża. Jeśli pogłaszysz Douguanowi ptaszka, a on zrobi się sztywny – to znaczy, że chłopak jest już twój!

Matka omal nie rozplakała się ze wstydu.

Mojemu ojcu zdjęto szwy.

Leżał w szalasiu i spał. Matka wśliznęła się ukradkiem do środka. Szła na paluszkach, policzki jej płonęły. Uklękła obok łóżka ojca i ostrożnie ściągnęła mu spodnie. W świetle księżycy zobaczyła jego oszpeconego przez ranę penisa: główka ptaszka sprawiała wrażenie nieustraszonej, szalonej i dzikiej. Matka ujęła ją nieśmiało w spoconą dłoń i poczuła, że robi się cieplejsza, nabrzmiwa i zaczyna pulsować w rytm bicia jej serca. Ojciec obudził się i spojrzał na nią spod przymrużonych powiek.

– Urodziwa, co robisz? – zapytał.

Matka krzyknęła z przestraszeniem i rzuciła się do ucieczki, wejściu do chaty wpadła prosto na dziadka. Dziadek złapał ją za ramiona.

– Urodziwa, co się stało?

Matka wybuchnęła płaczem, wyrwała się z jego uchwytu i uciekła co sił w nogach.

Dziadek wszedł do środka.

Nagle wybiegł z chaty jak oszalały, po czym dopadł Liu, złapał ją za piersi i ścisnął je mocno.

– Czosnek z jedną główką! Czosnek z jedną główką! – zakrzyknął bez sensu.

Następnie wystrzelił trzykroć w powietrze, złożył dłonie jak do modlitwy i zawołał wielkim głosem:

– Niebiosa mają oczy!

## 9

Dziadek opukiwał ścianę kostkami dłoni. Przez okno wpadały promienie słońca, oświetlając gaomijską glinianą figurkę stojącą na wypolerowanym na wysoki połysk stoliku na kangu. Okno było wyklejone wymyślnymi, oryginalnymi wycinankami, zrobionymi własnoręcznie przez babkę. Pięć dni później wszystko to miało spłonąć na popiół w ogniu walk. Był dziesiąty dzień ósmego miesiąca tradycyjnego kalendarza, rok 1939. Dziadek z ręką na temblaku, śmierdzący benzyną, wrócił właśnie z drogi. Razem z moim ojcem zakopali japoński karabin z krzywą lufą pod drzewem katalpy, po czym weszli do domu, żeby poszukać ukrytych przez babkę pieniędzy.

Kiedy ściana wydała głuchy odgłos, dziadek wybił w niej dziurę kolbą pistoletu, sięgnął do środka i wyciągnął zawiniątko z czerwonego płótna. Potrząsnął nim. Zabrzęczało. Wysypał zawartość na kang – pięćdziesiąt srebrnych dolarów.

– Idziemy, synu – oznajmił, chowając pieniądze do kieszeni.

– Dokąd, tato?

– Do miasta, kupić naboje. A potem policzymy się z Ospowatym Lengiem.

Kiedy ojciec i dziadek dotarli do północnych przedmieść stolicy powiatu, słońce już chyliło się ku zachodowi. Linia kolejową Jiaonan-Jinan, wijącą się wśród pól sorga niczym czarny smok, sunęła ze stukotem czarna lokomotywa, kłęby żółtawego dymu zawisały w powietrzu nad szczytami pędów, szyny iskrzyły się w słońcu oślepiającym blaskiem, niczym smocze łuski. Głośny gwizd lokomotywy wystraszył ojca, kurczowo chwycił dziadka za rękę.

Dziadek zaprowadził ojca do wielkiego kopca grobowego, przed którym stał kamień nagrobny wielkości dwukrotnie przewyższającej wzrost człowieka. Inskrypcja na nagrobku była tak wytarta, że trudno było cokolwiek odszyfrować, a rosnące wokół cedry tak grube, że dwóm ludziom ciężko byłoby objąć ich pnie. Mroczne korony drzew szumiały mimo braku wiatru. Grobowiec tkwił w krwistoczerwonym gąszczu zboża niby samotna, czarna wyspa.

Dziadek wykopał przed grobowcem niewielki dołek i włożył tam swój pistolet. Ojciec dołożył swój browning.

Przeszli przez tory i znaleźli się przed bramą miejską. Wisiała tam japońska flaga. Widniejący na niej wizerunek czerwonego, wschodzącego słońca kontrastował z chylącą się właśnie ku zachodowi prawdziwą tarczą słoneczną – był jaskrawy, pełen splendoru. Po obu stronach bramy stali strażnicy: po lewej Japończyk, po prawej Chińczyk. Chiński żołnierz wypytywał i przeszukiwał wchodzących, japoński natomiast stał i z bronią w ręku przypatrywał się rozmawiającym Chińczykom.

Kiedy tylko przekroczyli tory, dziadek wziął ojca na barana.

– Udawaj, że brzuch cię boli – szepnął. – Pojęcz trochę.

Ojciec jęknął dwa razy.

– Może być, tato? – spytał cicho.

– Wczuj się trochę bardziej.

Zbliżyli się do bramy, podążając za pozostałymi wchodzącymi. Chiński żołnierz zapytał warkliwie:

– Z jakiej wioski? Czego szukacie w mieście?

– Rybie Piaski, na północ stąd – odparł dziadek słabym głosem. – Mój syn dostał zapalenia kiszek, chcemy iść do doktora Wu...

Przysłuchując się ciekawie dialogowi dziadka ze strażnikiem, ojciec całkiem zapomniał o jęczeniu. Wrzasnął z bólu dopiero, gdy dziadek uszczypnął go w udo.

Strażnik machnął ręką i wpuścił ich.

Kiedy oddalili się na bezpieczną odległość, dziadek zapytał z gniewem:

– I czemuś nie jęczał, durniu?

– Nie szczył tak mocno, tato, to strasznie boli! – poskarżył się ojciec.

Dziadek poprowadził ojca wąską, wysypaną żużlem uliczką w stronę stacji kolejowej. Blask słońca dogasał w brudnym powietrzu. Ojciec zauważył koło zrujnowanego budynku stacji dwa nowo wybudowane spore bunkry, na

których powiewały japońskie fagi z krwawymi kołami. Obok po peronie przechadzało się dwóch japońskich żołnierzy z wilczurami na smyczy. Kilkudziesięciu podróżnych czekało na pociąg, stojąc lub kucając w rzędzie za żelazną barierką. Na peronie stał Chińczyk w czarnym uniformie z czerwoną latarką w ręku. Rozległ się gwizd i od wschodu nadjechał pociąg. Ziemia zadrżała ojcu pod stopami, psy szczekały, drobna staruszka sprzedająca papierosy i pestki dyni krążyła tam i z powrotem, drobiąc maleńkim kroczkami, wzdłuż kolejki podróżnych. Pociąg, postukując i sapiąc, zatrzymał się na stacji. Ojciec zobaczył ponad dwadzieścia wagonów, na początku kilkanaście prostopadłościennych, z oknami i drzwiami, dalej kilkanaście pozbawionych dachu, na których leżały jakieś czworoboczne przedmioty, przykryte trawiastzielonymi plandekami. W pociągu stało kilku Japończyków i bełkotało coś w swoim języku, witając się z żołnierzami na peronie.

Nagle od pół sorga na północ od torów rozległ się huk wystrzału. Wysoki Japończyk, który stał w jednym z wagonów towarowych, zachwiał się i runął na peron głową naprzód. Sygnał alarmowy podobny do wycia wilka dobiegł od strony jednego z bunkrów, ludzie wysiadający z pociągu oraz ci, którzy czekali, rozpięchli się na wszystkie strony. Wilczury szczekały jak szalone, a karabiny maszynowe zainstalowane na bunkrach otworzyły ogień w kierunku północnym. Wśród całego tego zamieszania pociąg ruszył, plując kłębami czarnego dymu i sadzy.

Dziadek, trzymając ojca za rękę, czym prędzej wciągnął go z powrotem w mroczną uliczkę. Otworzył uchyloną do połowy bramę i obaj weszli na niewielki dziedziniec. Pod okapem domu wisiał nieduży lampion, świecący słabym, tajemniczym światłem. W drzwiach stała kobieta o twarzy upudrowanej tak mocno, że nie dało się określić jej wieku. Uśmiechała się promiennie, między pomalowanymi na czerwono wargami błyskały dwa rzędy drobnych białych zębów. Kruczoczarne włosy zdobił jedwabny kwiat wpięty za skronią.

– Starszy bracie! Odkąd zostałeś dowódcą, całkiem zapomniałeś o młodszej siostrzyczce! – wykrzyknęła afektowanym tonem, po czym przytuliła się do niego kokieteryjnie.

– Trochę umiaru, nie przy moim synu – zaprotestował dziadek. – Dziś nie mam czasu do stracenia! Zadajesz się jeszcze z Piątym Bratem?

Kobieta wybiegła i zatrzasnęła bramę ze złością, po czym zdjęła z okapu lampion i wprowadziła ich do środka.

– Piątego Brata złapały i pobiły straże! – Wygięła wargi, jakby miała się rozpłakać.

– Przecież przysięgali sobie braterstwo z Songiem Shunem z komendy straży!

– Myślisz, że braterstwo kumpli od kielicha jest coś warte? Od wypadków w Qingdao siedzę tutaj jak na beczce prochu.

– Piąty Brat umie trzymać język za zębami, nigdy by cię nie sypnął. Cao Mengjiu nieźle go zahartował swego czasu – odparł dziadek.

– Po co tu przyszedłeś? Podobno pobiłeś japoński konwój, prawda to?

– To była klęska! Mam zamiar załatwić tego skurwysyna Ospowatego Lenga!

– Lepiej z nimi nie zadzieraj. Ci ludzie to zdraдлиwe gady, jeden w drugiego. Nie dasz im rady.

Dziadek wyciągnął z kieszeni zawiniątko ze srebrnymi dolarami i wysypał pieniądze na stół.

– Daj mi pięćset nabojów, tych w czerwonych łuskach – powiedział.

– Nie mam ani w czerwonych, ani w niebieskich. Kiedy złapali Piątego Brata, wszystkiego się pozbyłam. Nowych ci przecież nie urodzę.

– Nie spławisz mnie byle czym! Masz tu pięćdziesiąt dolarów. Powiedz mi, czy Yu Zhan'ao kiedykolwiek ile cię potraktował?

– Mój drogi starszy bracie – rzekła kobieta. – Co ty pleciesz? Przecież siostrzyczka zawsze jest dla ciebie jak rodzina.

– No to mnie nie wkurzaj! – rzucił lodowato dziadek.

– Nie uda wam się wyjść z miasta.

– To już nie twój problem. Dawaj pięćset dużych nabojów i pięćdziesiąt małych.

Kobieta wyjrzała na podwórze, nasłuchując, czy nikogo nie ma w pobliżu, po czym otworzyła sekretne drzwiczki w ścianie i wyjęła pudełko pełne lśniących złociście nabojów.

Ojciec wyjął sakwę, napełnił ją nabojami i przytroczył sobie do pasa.

– Idziemy! – zarządził. Kobieta złapała go za rękę.

– Którędy?

– Przez stację. Będziemy się czołgać wzdłuż torów.

– Nie uda wam się. Tam są bunkry, reflektory, psy i strażnicy.

– Ha, zobaczymy – zaśmiał się kpiąco dziadek. – Jeśli się nie uda, to wrócimy.

Dziadek i ojciec ruszyli z powrotem ciemną uliczką i dotarli w pobliże stacji – od tej strony nie było murów miejskich. Ukryci za warszatem kowalskim widzieli oświetlony rzeźbiście peron i przechadzających się po nim strażników. Dziadek szepnął coś ojcu do ucha i zaciągnął go na wschodnią stronę budynku stacji, gdzie był plac przeładunkowy. Ogrodzenie z drucianej siatki ciągnęło się od stacji aż do murów miejskich. Umieszczone na szczytach bunkrów reflektory omiatały teren, kilkanaście par szyn błyskało oślepiająco w ich świetle. Na placu przeładunkowym stał wysoki słup z elektryczną latarnią w kształcie byczego jądra, której zielonkawy blask zmieniał barwy wszystkiego wokół.

Ojciec i dziadek przypadli do ziemi i leżeli, przyglądając się przechadzającym się w tę i z powrotem strażnikom. Od zachodu nadjechał pociąg towarowy. Z szerokiego komina buchał dym pełen ciemnoczerwonych iskier, światło płynęło z reflektorów jak rzeka, szyny głośno skrzypiały.

Podczołgali się bliżej ogrodzenia i spróbowali rozgiąć drut kolczasty, żeby zrobić sobie przejście. Był jednak zbyt mocno naprężony, jeden z kolców wbił się w dłoń ojca. Ojciec jęknął cicho.

- Co się stało? – spytał szeptem dziadek.
- Ukląłem się w rękę, tato.
- Nie przejdziemy tędy. Wracamy.
- Z pistoletami dalibyśmy radę.
- Nie dalibyśmy.
- Moglibyśmy najpierw rozwalić tę latarnię!

Ojciec i dziadek wycofali się w ciemność. Dziadek podniósł z ziemi kawałek cegły i cisnął nim w stronę torów. Jeden ze strażników krzyknął przeraźliwie i strzelił. Reflektor natychmiast zaczął się obracać, ogień z karabinu maszynowego huknął jak wichra, niemal ogłuszając mojego ojca. Z bombardowanych kulami szyn tryskały złote iskry.

Piętnastego dnia ósmego miesiąca tradycyjnego kalendarza, w Święto Środka Jesieni, w stolicy powiatu Gaomi odbywał się wielki targ. Była wojna, ludzie jednak musieli jakoś żyć. Żeby żyć, trzeba mieć co jeść i w co się odziać – a po to potrzebny jest handel. Do miasta ściągały tłumy. O ósmej rano pewien młodzieniec nazwiskiem Gao Rong objął straż przy północnej bramie miejskiej. Surowo wypytywał i sprawdzał wchodzących i wychodzących, czując na sobie wyjątkowo niechętne spojrzenie japońskiego żołnierza stojącego naprzeciwko.



Starszy, ponadpięćdziesięcioletni mężczyzna i kilkunastoletni chłopak podeszli do bramy, prowadząc kozę. Starzec miał ciemną twarz, jego oczy lśniły szmaragdowym blaskiem, młodzieniec zaś był rumiany i spocony, wyglądał na zdenerwowanego.

Wokół bramy tłoczyło się mnóstwo ludzi, Gao Rong jednak sprawdzał każdego nader skrupulatnie.

– Dokąd idziecie?

– Wychodzimy z miasta, wracamy do domu! – odparł stary.

– Nie idziecie na targ?

– Już byliśmy. Kupiłem tę mizerną kozę, tanio było.

– Kiedy przyszliście do miasta?

– Wczoraj po południu. Przenocowaliśmy u krewnych, a z samego rana kupiliśmy tę kozę.

– A teraz dokąd się wybieracie?

– Do domu.

– No to idźcie.

Ojciec i dziadek wyszli przez bramę. Kozą miała tak ciężki brzuch, że ledwie kuśtykała. Kiedy dziadek smagnął ją łodygą sorga po zadku, beknęła i machnęła boleśnie ogonem, po czym potruchtała drogą w kierunku Północno-Wschodniego Gaomi.

Zatrzymali się przy grobowcu, żeby odkopać broń.

– Wypuścimy tę kozę, tato? – spytał ojciec.

– Nie, zabierzemy ze sobą. Zabijemy ją, kiedy dotrzemy na miejsce, będziemy mieli co jeść w Święto Środka Jesieni.

W południe znaleźli się w pobliżu wejścia do wioski. Gdy tylko dostrzegli z daleka odnowiony ostatnimi czasy mur z ziemi, usłyszeli huk wystrzałów. Dziadek przypomniał sobie obawy starego pana Zhanga Ruolu w przeddzień jego wyprawy, a także własne złe przeczucia: wiedział już, że katastrofa, której się lękał, właśnie się wydarzyła. W skrytości cieszył się, że wyruszyli do stolicy tak wcześnie rano. Co prawda podjęli ryzyko, ale udało im się, a teraz będą mogli zrobić coś dla wspólnego dobra.

Czym prędzej wnieśli ledwie żywą kozę w zboże. Ojciec rozciął konopną nić, którą zaszyty był jej odbył. Przecinając szwy, przypominał sobie, jak w domu tamtej kobiety wepchnęli kozie w tyłek pięćset pięćdziesiąt nabożów, aż

brzuch jej obwisł na kształt półksiężyca. Przez całą drogę obawiał się, że naboje rozerwą kozi brzuch albo że zwierzę je strawi.

Kiedy udało się przeciąć wszystkie szwy, kozi zadek otworzył się gwałtownie niby rozkwitający kwiat śliwy i wysypał się z niego obfity zapas kozich bobków. Ulżywszy sobie, zwierzę legło na ziemi.

– I co my teraz zrobimy, tato? Wszystkie naboje zamieniły się w kozie łajno!

Dziadek złapał zwierzę za rogi i zmusił do wstania, po czym zaczął nim potrząsać w górę i w dół, aż z koziego odbytu, który stracił już zdolność kurczenia się, wypadły błyszczące naboje. We dwóch pozbiali naboje, naładowali broń, resztę poupychali po kieszeniach. Nie zważając, czy zwierzę jeszcze żyje, popędzili przez zboże ku wiosce.

Nad otoczoną przez Japończyków wsią unosiła się chmura dymu z broni palnej, tu i ówdzie buchały płomienie. Ojciec i dziadek dojrzeli ukryte w zbożu lufy moździerzy – było ich osiem, każda długości połowy wzrostu człowieka, a w wylocie mogła zmieścić się pięść. Obsługiwało je dwudziestu japońskich żołnierzy w mundurach w kolorze khaki, pod komendą chuderlawego dowódcy, machającego małą chorągiewką. Na każdym moździerzu siedział okrakiem jeden Japończyk i oburącz trzymał skrzydlaty, błyszczący pocisk. Kiedy chudzielec machnął chorągiewką, wszyscy jednocześnie wpuścili pociski do luf. Zagrzało, buchnął ogień, lufy cofnęły się gwałtownie, z zakrwawionymi pyskami lśniąca przedmioty wystrzeliły w niebo i z gwizdem wylądowały za murem wioski. Nad wsią uniosło się osiem kłębow dymu, osiem grzmotów zlało się w jeden huk eksplozji. W każdym z ośmiu słupów dymu rozprysnęło się coś niewyraźnego i czarnego, co przypominało rozkwitający kwiat. Po chwili Japończycy wypalili znowu. Dziadek, jakby go ktoś obudził, złapał pistolet i wystrzelił: machający chorągiewką chudzielec osunął się na ziemię. Patrząc, jak kula wwierca się w podobny do wyschniętej rzodkwi łeb wroga, dziadek pomyślał: oho, bitwa się zaczęła! Nieco oszołomiony strzelił znowu: tym razem kula trafiła w podstawę moździerza i odbiła się od niej z brzękiem. Obsługujący działa Japończycy chwycili za broń i zaczęli chaotycznie strzelać. Dziadek złapał ojca za rękę i wciągnął go w gęstwinę zboża.

Japończycy i ich chińscy kolaboranci ruszyli do ataku. Chińczycy poszli przodem – schyliwszy grzbiety, przedzierali się rzędem przez sorgo i strzelali bez wytchnienia. Japończycy posuwali się za nimi, także zgięci wpół.

W zbożu terkotały karabiny maszynowe, na murach siedziały milczące wrony. Kiedy kolaboranci dotarli do murów, wyfrunęło zza nich kilkadziesiąt

granatów z drewnianymi trzonkami – dziadek nie wiedział, że stary pan Ruolu zakupił je od fabryki amunicji należącej do jednostki Lenga. Wszystkie granaty wybuchły jednocześnie, powalając kilkudziesięciu kolaborantów. Ich ocalali towarzysze uciekli, posuwający się za nimi Japończycy także. Na mury wyległy dziesiątki ludzi, uzbrojonych we flinty i własnej roboty działka, każdy wypalił ze swojej broni i czym prędzej schował się z powrotem za mur. Wewnątrz znowu zapanowała cisza.

Później ojciec i dziadek dowiedzieli się, że w innych częściach wioski: północnej, wschodniej i zachodniej, stoczono podobne, nieco absurdalnie wyglądające potyczki.

Japończycy znowu zaczęli strzelać z moździerzy, celując prosto w obita stalową blachą dwuskrzydłową bramę do wioski. Jeden pocisk – jedna dziura, drugi pocisk – druga dziura. Bum, bum, bum – i brama wyglądała jak sito, a pośrodku ział jeden wielki otwór.

Dziadek i ojciec przypuścili kolejny atak na japońską artylerię. Dziadek oddał cztery strzały – padło kolejnych dwóch żołnierzy wroga. Ojciec, trzymając pistolet oburącz, żeby pewniej trafić, strzelił tylko raz. Wycelował uważnie w Japończyka, który z pociskiem w dłoniach dosiadał moździerza. Celował w szerokie plecy, ale kula trafiła Japończyka w sam środek zadka. Przerażony upadł do przodu na lufę – rozległ się stłumiony huk eksplozji. Ojciec podskoczył z radości, lecz w tej samej chwili coś przeleciało mu z gwizdem nad głową. Kiedy nastąpił wybuch, rozżarzony rygiel wystrzelił w powietrze, przeleciał parędziesiąt metrów i spadł na ziemię niedaleko głowy ojca. Niewiele brakowało, a ojciec postradałby życie.

Nigdy nie zapomniał tego swojego wspaniałego strzału.

Kiedy brama do wioski została wysadzona, oddział japońskiej kawalerii ruszył do ataku z szablami w dłoniach. Ojciec przyglądał się pięknym, męznym bitewnym rumakom w jednej trzeciej z przerażeniem, w dwóch trzecich z zazdrością. Żdźbła sorga smagały ich kopyta i drapały pyski – konie biegły nerwowo, galop był bardzo utrudniony. Przed bramą wszystkie rumaki stłoczyły się razem i przestępowały z nogi na nogę, jakby weszły właśnie do stajni. Z wartowni po obu stronach bramy pofrunęły w ich stronę żelazne grabie i drewniane pługi, cegły i dachówki, a zdaje się, że i miski pełne wrzącego sorgowego kleiku. Jeźdźcy z wrzaskiem zasłaniali głowy rękoma, a przerażone konie cofały się i tupały w miejscu, niektóre wręcz zawracały.

Dziadek i ojciec obserwowali tę żalosalną obronę, a ich usta rozciągały się w złośliwych uśmieszkach.

Swoimi zaczepnymi działaniami ściągnęli uwagę całej masy kolaboranckich żołnierzy, w końcu zaleźli za skórę również kawalerii. Wiele

razy japońskie szable błyskały lodowato nad głową ojca, ale żdźbła sorga zawsze hamowały cios. Jakaś kula drasnęła dziadka w głowę. Gęste zboże ratowało im obu życie. Posuwali się tuż przy ziemi, jak ścigane zające. Po południu byli na brzegu Rzeki Czarnej Wody.

Policzyli amunicję i weszli z powrotem w zboże. Gdy przeszli mniej więcej jedną milę, usłyszeli okrzyki:

– Towarzysze – do ataku – naprzód! Bić japońskich imperialistów!

Gdy wybrzmiały slogany, rozległo się trąbienie wojskowych trąbek, a następnie terkot, jakby ciężkich karabinów maszynowych.

Podeksytowani ruszyli biegiem w stronę hałasu. Kiedy dotarli na miejsce, nie było tam żywego ducha, tylko ukryte w zbożu dwie stalowe beczki po nafcie, pełne wybuchających właśnie fajerwerków.

– Tylko ci z Ósmej Armii mogliby odwalić taki numer – zaśmiał się dziadek.

W beczkach huczało, a od wstrząsów z pobliskich kłosów sorga sypało się z szelestem dojrzałe ziarno.

Japońska kawaleria oraz chińska piechota, ostrzeliwując się, wykonywały właśnie manewr oskrzydający. Dziadek wycofywał się, ciągnąc za sobą ojca. Kilku żołnierzy Ósmej Armii, z granatami u pasa, biegło w ich kierunku ze schyłonymi grzbietami. Ojciec widział, jak jeden z nich przykląkł i zaczął strzelać w kierunku chwiejącego się zboża, które rozkołysał nadbiegający koń. Strzały terkotały głucho, jakby ktoś rozbijał gliniane skorupy. Żołnierz próbował odciągnąć zamek, żeby wyrzucić łuskę, ale bez skutku. Koń pędził na niego i ojciec zauważył, że dosiadający go Japończyk macha lśniąca szablą i już niemal trafia mężczyznę w głowę. Żołnierz wypuścił broń i rzucił się do ucieczki, lecz jeździec natychmiast go dogonił. Szabla rozplatała głowę piechura na pół, krew i mózg ochlapały liście sorga. Oczy ojca zasnęła ciemność, osunął się na ziemię.

Ojca i dziadka rozdzieliła szarżująca japońska kawaleria. Słońce prażyło kłosa, cienie zaczynały gromadzić się wśród zboża. Trzy puchate lisie szczenięta przemknęły tuż obok ojca. Kiedy złapał jedno z nich za śliczny puszysty ogonek, natychmiast dało się słyszeć gniewne warczenie i z gąszczu wyskoczyła ruda lisica, szczerząc kły. Ojciec czym prędzej wypuścił malca.

Huk strzelaniny dobiegał ze wschodniego, zachodniego i północnego końca wioski, tylko na południu panowała niezwykła cisza. Ojciec zaczął nawoływać z cicha, po chwili krzyczał już na cały głos, lecz dziadek nie odpowiadał. Serce ojca zasnęła złowroga chmura strachu. Przerażony ruszył

biegiem w stronę strzałów. W słabnącym blasku zachodzącego słońca wydawało się, że sorgo groźnie na niego naciera. Zaczął płakać.

Szukając dziadka, natknął się na trupy trzech żołnierzy Ósmej Armii – wszyscy zostali zaszlachtowani szablami, ich martwe twarze w zapadającym zmroku wyglądały wrogo i przerażająco. Potem wpadł na przycupniętą w zbożu trzęsącą się ze strachu grupkę chłopów z linami i koromysłami.

– Widzieliście może mojego tatę? – zapytał.

– Chłopcze, czy wejście do wioski jest otwarte?

Ojciec rozpoznał akcent z powiatu Jiao. Usłyszał głos staruszka, który napominał swojego syna:

– Tylko pamiętaj, Yinzhu: kołdry, nawet podarte, też bierz, ale najpierw rozejrzyj się za garnkiem, bo nasz się rozbił...

Zamglone oczy starca wyglądały jak wklejone do oczodołów glutu. Nie zaprzatając sobie głowy przybyszami, ojciec ruszył dalej na północ. Kiedy zbliżył się do wioski, zobaczył scenę, która nawiedzała sny babki, sny dziadka, a w końcu i jego własne.

Wśród huku wystrzałów i eksplozji, dobiegających od wschodniego, północnego i zachodniego krańca wioski, strumień mężczyzn i kobiet, starców i dzieci przelewał się przez mur i pędził w kierunku porośniętych sorgiem mokradeł.

Huragan kul zerwał się tuż przed ojcem i niczym szarańcza poszybował w kierunku zboża. Mężczyźni i kobiety, starcy i dzieci, padali jedno po drugim na ziemię, razem z przewracającymi się źdźbłami. Deszcz krwi zabarwił połowę nieba na czerwono. Ojciec siedział z otwartymi ustami na ziemi. Krew była wszędzie, powietrze wypełniała jej słodkawa woń.

Japończycy weszli do wioski.

Poplamione ludzką krwią słońce zaszło za górami, a czerwony księżyc środka jesieni wznosił się nad sorgowym polem.

Wtem ojciec usłyszał stłumione wołanie swojego dziadka:

– Douguan!

## **CZEŚĆ IV**

# **Pogrzeb wśród sorga**

Nadszedł okrutny czwarty miesiąc. Żaby zniosły już przejrzysty skrzek w rozświetlanej blaskiem gwiazd Rzece Czarnej Wody. W palących promieniach słońca w ciepłej, przypominającej świeżo wyciśnięty olej sojowy wodzie wykluły się stadka kijanek i niczym chmury czarnego tuszu dryfowały w łagodnie płynącym nurcie rzeki. Na brzegach rozrastały się jak szalone zarośla „psych bobków”, a dziki bakłażan, tak czerwony, że niemal fioletowy, rozkwitał wściekle wśród nadwodnej roślinności.

Był to dobry dzień dla ptaków. Skowronki o biało nakrapianych piórach w kolorze ziemi kołowały po niebie z piskliwym świergotem. Błyszczące jaskółki ocierały się bordowymi pierściami o szklistą powierzchnię wody; po rzece przemykały rzędy ptasich cieni o kształtach podobnych do nożyczek. Pod skrzydłami ptaków czarna ziemia Północno-Wschodniego Gaomi obracała się majestatycznie, przetaczały się po niej gorące wiatry z południowego zachodu. Tuman kurzu zasnuwał drogę Jiao-Ping.

Był to również dobry dzień dla babki. Dziadek, który przystąpił do Żelaznego Stowarzyszenia i z czasem został jego przywódcą zamiast Czarnookiego, postanowił wyprawić zmarłej przed dwoma laty babce uroczysty pogrzeb. Taką obietnicę złożył swego czasu nad jej prowizoryczną mogiłą. Wieść o ceremonii rozeszła się w wioskach Północno-Wschodniego Gaomi już miesiąc przed uroczystością. Datę wyznaczono na ósmy dzień czwartego miesiąca tradycyjnego kalendarza. Siódmego od rana ściągali do naszej wioski ludzie z odległych wsi; na wozach ciągniętych przez osły i woły siedziały kobiety i dzieci. Drobnymi handlarze rozkładali stragany wzdłuż uliczek i w cieniu drzew. Handlarze pierożkami ustawiali swoje piecyki, sprzedawcy placków rozgrzewali patelnie, dostawcy zimnego makaronu z fasoli rozwieszali białe płócienne zasłony. Siwe włosy i rumiane policzki, mężczyźni i kobiety, chłopcy i dziewczęta – ludzie byli wszędzie i wypełniali gwarem całą naszą wioskę.

Do wiosny 1941 roku kuomintangowska jednostka Lenga i komunistyczny Batalion Jiaogao bezustannie się ścierały, jednocześnie nękane porwaniami ich ludzi organizowanymi przez Żelazne Stowarzyszenie pod wodzą dziadka i pacyfikowane przez wojska japońskie. W końcu oddział Lenga ukrył się ponoć w rejonie Góry Trzech Rzek w powiecie Changyi, gdzie odpoczywał i zbierał siły, Batalion Jiaogao zaś lizał rany pod Mokrą Górą w powiecie Pingdu. Wprawdzie Żelazne Stowarzyszenie, pod wspólnymi rządami dziadka i jego dawnego rywala, w ciągu zaledwie roku urosło w siłę i liczyło już ponad dwustu uzbrojonych ludzi oraz ponad pięćdziesiąt wybornych koni, działało jednak w tak głębokiej tajemnicy, owiane mgłą mistycyzmu i

zabobonów, że Japończycy i ich kolaboranci najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy z jego istnienia. Jeśli chodzi o sytuację w całym kraju, w roku 1941 wojna chińsko-japońska była najbardziej zażarta. Północno-Wschodnie Gaomi jednak cieszyło się wówczas krótkotrwałym okresem spokoju. Ci, którzy przeżyli, sadzili nowe sorgo na zgniłych szczątkach poprzedniego. Wkrótce po zasiewach spadł krótki, niezbyt ulewny deszcz i żyzna ziemia nasiąkła wodą. Potem pięknie zaświeciło słońce i temperatura jeszcze wzrosła, dzięki czemu zboże wykiełkowało w ciągu jednej nocy. Na czubkach delikatnych młodych pędów w kolorze świeżej czerwieni lśniły krystaliczne krople rosy. Do pielenia było jeszcze trochę czasu – dzień pogrzebu babki przypadł więc na okres wolny od prac polowych.

Wieczorem siódmego dnia czwartego miesiąca nasza zrujnowana w pożarze z 1939 roku wioska roiała się od ludzi. Na zakurzonej drodze stało kilkadziesiąt drewnianych wozów, a osły i woły, w które były zaprzężone, uwiązano do okolicznych drzew. Zachodzące słońce oświetlało wyleniałą, brudną zimową sierść na grzbietach zwierząt, spod której błyskała goła skóra, i zabarwiało jeszcze nie do końca rozwinięte liście drzew na kolor krwistej czerwieni. Cienie liści na skórze wołów i osłów wyglądały jak piętna odbite starożytnymi monetami.

Kiedy słońce schowało się za górą, szeroką drogą od zachodu nadjechał na mule lekarz tradycyjnej medycyny. Z jego czarnych nozdrzy sterczały obfite kępy włosów, niczym jaskółcze pióra. Głowę i czoło medyka przykrywał wytarty filcowy kapelusz, niepasujący do pory roku, a pod opadającymi brwiami lśniły posępne oczy. Wjechawszy do wioski, mężczyzna zsiadł z chuderlawego muła i zamaszystym krokiem ruszył w stronę jej centrum, z miedzianym dzwoneczkiem w jednym ręku i zielonymi lejcamy w drugiej. Muł był już staruszką. Na jego grzbiecie, wśród martwych włosów, które jeszcze nie całkiem powypadały, zawiązki nowej sierści odznaczały się jaśniejszą barwą, dlatego wyglądał, jakby cierpiał na świerzb. Od czasu do czasu podwijał ku górze wiszącą luźno dolną wargę, która ledwie zakrywała purpurowe dziąsła, pod oczami w głębokich oczodołach ziały szczeliny tak wielkie, że dałoby się włożyć w nie kurze jaja.

Medyk i jego muł wmaszerowali na rynek, przyciągając całe mnóstwo spojrzeń tych, którzy przyszli na pogrzeb. Obaj prezentowali się dość niecodziennie, a przyjemny dla ucha dźwięk wspaniale błyszczącego miedzianego dzwonka roztaczał aureę niezgłębionej tajemnicy. Ludzie odruchowo tłoczyli się wokół nich, wzbijając stopami kurz, który opadał na lśniącą, tłustą twarz medyka i wydzielający odór potu grzbiet zwierzęcia. Mężczyzna zamrugał oczami i poruszył nozdrzami, wprawiając w ruch kępki wyrastających z nich czarnych włosów, po czym kichnął siarczysto, a muł przeciągle pierdnął. Gapie oniemieli ze zdumienia, po chwili wybuchnęli



śmiechem, a następnie rozeszli się po okolicy w poszukiwaniu miejsca na nocleg.

Blask księżycyca oświetlił korony drzew i wioskę wypełniły mgliste cienie. Znad pól zawaiał chłodny wiatr, głośnie kumkanie żab niosło się znad Rzeki Czarnej Wody. Wielu gości pogrzebowych nie zmieściło się już w wiosce, musieli więc spać pod gołym niebem, w zbożu. Po ceremonii na całej polaci o powierzchni tysięcy *mu*, która dzieliła naszą wioskę od rzeki, miękkie zboże zostało udeptane do cna. Kielki sorga, wgniecione w błoto, zamieniły się w pasemka zielonego roślinnego soku. Dopiero po wielkich deszczach, które spadły w piątym miesiącu, stwardniała ziemia odżyła. Na rozległych odłogach ocalałe sorgo z uporem przebijało ziemię podobnymi do miniaturowych ostrzy kielkami, w cieniu liści sorga i dzikich traw kryły się pokryte zieloną śniedzią miedziane łuski nabojów.

Medyk, podzwaniając dzwoneczkiem i kichając, doszedł do końca drogi biegnącej przez środek wioski, po czym okrążył wielki namiot, ustawiony tu przez Żelazne Stowarzyszenie mojego dziadka. Ta majestatyczna, budząca szacunek konstrukcja była najwyższą budowlą, jaką widziała kiedykolwiek nasza wioska. Mary babki stały pośrodku namiotu, przez szczeliny wlewał się do środka jasny blask świec. Wejścia strzegło dwóch strażników uzbrojonych w pistolety. Głowy nad czołem mieli wygolone, w nagich miejscach lśniła sinawa skóra. Każdy z członków Żelaznego Stowarzyszenia nosił taką właśnie fryzurę, która już z daleka budziła lęk. Wszystkich dwustu żołnierzy zakwaterowano w mniejszych namiotach otaczających główny, a pięćdziesiąt dorodnych koni uwiązano do krzywych pni rosnących w pobliżu wierzb płaczących. Przed końmi ustawiono długie koryta: zwierzęta parskwały, przytupywały i wymachiwały ogonami, opędzając się od gzów.

Muł medyka, skuszony apetycznym zapachem paszy, uparcie wyciągał szyję w kierunku koni. Jego właściciel, kierując kpiące spojrzenie ku temu, w co żałościwie wpatrywało się zwierzę, rzekł ni to do niego, ni to do siebie:

– Głodny jesteś? Coś ci powiem. Czy to wrogowie, czy kochankowie nie spotkaliby się nigdy, gdyby nie byli sobie przeznaczeni. Ludzie umierają dla bogactwa, ptaki giną dla pożywienia. Niech młody nie śmieje się ze starca, bo żaden kwiat nie kwitnie wiecznie. Trzeba wiedzieć, kiedy ustąpić drugiemu. Ustępowanie nie oznacza głupoty. Potem może ci się to opłacić...

Chaotyczna mowa starca i jego podejrzanе zachowanie w końcu zwróciło uwagę członków Żelaznego Stowarzyszenia, przebranych za zwykłych ludzi. Dwóch z nich zaczęło go obserwować. Kiedy bez ustanku mamrocząc i podzwaniając swoim dzwoneczkiem, po raz kolejny zbliżył się wraz z mułem do koni, zatrzymali go, grożąc dziwnemu starcowi bronią – jeden zaszedł go od przodu, drugi od tyłu.

Przybysz bez cienia strachu zaśmiał się posepnie w mroku, a przeguby trzymających pistolety dłoni zadrżały. Żołnierz, który stał z przodu, widział płonące niczym rozżarzone węgle oczy starca, ten z tyłu zaś patrzył, jak sztywnieje mu kark, kiedy się śmieje. Wielki, złowrogi cień muła padał na ziemię jak zwalony mur, przy korycie zabrzmiało rzenie koni walczących o paszę.

W największym namiocie płonęły dwadzieścia cztery wielkie czerwone świece z baraniego łożu – w ich migoczącym świetle wszystko, co znajdowało się wewnątrz, rzucało niespokojne, drżące cienie. Blask płomieni otaczał ustawione pośrodku mary tajemniczą złotą poświatą. Wokół trumny rozstawione były śnieżne sosny i wierzby zrobione z papieru. Po lewej stronie stała figura chłopca odzianego na zielono, po prawej – ubranej na czerwono dziewczynki. Obie były dziełem słynnego w całym powiecie artysty Bao'ena, który zrobił je z pędów sorga i kolorowego papieru – parę zwykłych patyków dzięki zręczności jego rąk przeobraziło się w dwie nadprzyrodzone istoty. Za trumną babki stała tabliczka z inskrypcją: „Duszy mej szanownej zmarłej matki z domu Dai ofiarowuję – kochający syn Yu Douguan”.

Przed tabliczką paliły się w ciemnobrazowej kadzielnicy morelowożółte kadzidelka, w powietrzu wiły się smugi wonnego dymu, popiół nie chciał opadać znad żarzących się czerwono koniuszków. Nad czołem mojego ojca lśnił placek wygolonej skóry, na znak, że on także czuje się członkiem Żelaznego Stowarzyszenia. Dziadek, który również wygolił sobie brzytwą półksiężyc na głowie, siedział obok wodza Czarnookiego za ustawionym w namiocie długim, wąskim stołem, obserwując, jak przybyły ze stolicy powiatu Jiao mistrz ceremonii, biegły w rytuałach pogrzebowych, instruuje mojego ojca w kwestii trzech przyklęknień, sześciu pozdrowień i dziewięciu czołobitnych pokłonów. Mistrz miał około sześćdziesiątki, cienką, srebrną bródkę, perłowe zęby oraz cięty język. Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie inteligentnego, rozsądnego i kompetentnego.

Z niezmierną cierpliwością pouczał mego ojca, który serdecznie się nudził i wszystkie czynności wykonywał kompletnie na odczepnego.

– Douguan! – rzucił z boku dziadek surowo. – Nie wygłupiaj się, masz okazać szacunek swojej matce jak się należy! Nic ci nie zaszkodzi, jeśli się trochę zmęczysz!

Ojciec pilnie wykonał kilka ćwiczeń, ale gdy tylko się zorientował, że dziadek nie patrzy i rozmawia z Czarnookim, znowu przestał się starać. Do namiotu wszedł jakiś człowiek, żeby załatwić z mistrzem sprawy finansowe. Mistrz, za pozwoleniem dziadka, wyszedł razem z nim.

Na pokrycie kosztów pogrzebu babki Żelazne Stowarzyszenie wyasygnowało olbrzymie sumy. Żeby pokryć swoje wydatki, kiedy jednostki

Lenga oraz Jianga odeszły, organizacja zaczęła emitować własną walutę. Pieniądze drukowali na surowym papierze czerpanym – były to banknoty o nominałach tysiąca i dziesięciu tysięcy juanów, zdobione raczej oszczędnie wizerunkiem przypominającej człowieka postaci posiadającej tygrysa i sporządzane własnym sumptem za pomocą drewnianych klocków używanych do odbijania noworocznych obrazków. W owym czasie w Północno-Wschodnim Gaomi były w obiegu co najmniej cztery różne waluty, których wartość i siła nabywcza to rosła, to malała, w zależności od aktualnej kondycji organizacji, która je emitowała. Pieniądze emitowane przez organizacje dysponujące siłą militarną pochodziły z bezwzględniego wyzysku zwykłych ludzi. Dziadek mógł sfinansować pogrzeb babki wyłącznie dzięki tym właśnie metodom ukrytego terroru. Kiedy odparto jednostki Jianga i Lenga, drukowana przez oddział dziadka waluta stała się niezwykle mocna. Ta dobra passa jednak trwała tylko kilka miesięcy – po pogrzebie banknoty z osiodłanym tygrysem niemal zupełnie straciły wartość.

Dwóch żołnierzy Stowarzyszenia weszło do namiotu-kaplicy pogrzebowej, eskortując medyka. Wszyscy mrugali w blasku świateł.

– A wy tu czego? – warknął dziadek, podnosząc się z miejsca.

Stojący na przodzie żołnierz przyklęknął i zasłonił dłońmi błyszcząca łysiną na czole.

– Melduję panu zastępcy naczelnika, że złapaliśmy szpiega!

Czarnooki, przywódca Stowarzyszenia, śniadoskóry i rosły, z lewym okiem otoczonym obwódka czarnych znamion, kopnął w nogę stołu i wykrzyczał rozkaz:

– Zabrać go, ściąć, a serce i wątrobę ugotować na zakąskę do wódki!

– Nie tak szybko! – zwrócił się dziadek do dwóch podkomendnych, po czym rzekł do Czarnookiego: – Czarny, a może by go najpierw przesłuchać, a potem ubić?

– A po chuj go słuchać? – Czarnooki chwycił stojący na stole czajniczek z herbata, cisnął nim o ziemię i wstał. Z ręką na wystającym zza pasa pistolecie wlepił rozzłoszczone spojrzenie w raportującego żołnierza.

– Panie naczelniku... – wyjąkał przerażony podkomendny.

– Zhu Shun, pieprzyć twoją matkę! Naczelnik coś jeszcze dla ciebie znaczy? Zjeżdżaj stąd i nie wchodź mi w drogę, sukinsynu! Twój parszywy widok kłuje mnie w oczy!

Rozwścieczony Czarnooki kopnął w leżący na ziemi czajniczek, roztrzaskując go na kawałki. Gliniane odłamki wylądowały w rozstawionym wokół trumny papierowym zagajniku, zaszeleściły białe wierzby.

Jakiś chłopak w wieku zbliżonym do mojego ojca schylił się, pozbierał skorupy i wyrzucił na zewnątrz.

– Fulai, zaprowadź naczelnika do kwatery, bo jest pijany! – rzucił dziadek do młodzieńca.

Fulai zbliżył się, objął Czarnookiego za ramiona i zatoczył się pod jego ciężarem.

– Pijany? Kto tu jest pijany? – awanturował się Czarnooki. – Ty niewdzięczny pętaku! Ja prowadzę ten interes, a ty tylko przyłazisz się najeść! Tygrys poluje, żeby niedźwiedź mógł napchać brzuch! Ale ja nie pozwolę sypać piaskiem w moje czarne oko! Nie puszcę ci tego płazem!

– Ej, Czarny, nasi ludzie patrzą. Nie boisz się kompromitować przed nimi? – przestrzegł dziadek ze złośliwym uśmieszkiem, a w kącikach jego ust pojawiły się dwie okrutne zmarszczki.

Czarnooki położył dłoń na bakelitowej kolbie pistoletu.

– Spierdalaj stąd. I zabierz ze sobą swojego jebanego szczeniaka – powiedział zmęczonym, ochryplym głosem.

– Jak to się mówi, łatwo zaprosić bogów do swego domu, trudniej się ich pozbyć – zauważył dziadek.

Czarnooki wyciągnął pistolet i zamachał nim dziadkowi przed nosem.

Dziadek podniósł ze stołu czarkę z zielonej porcelany napełnioną wódką, wciągnął nieco płynu, wyplukał usta, wydymając policzki, pochylił się do przodu i pffff! – wypluł wszystko Czarnookiemu prosto w twarz. Potem wziął czarkę wielkości kurzego jaja i cisnął nią prosto w wylot pistoletu wodza. Naczynie roztrzaskało się, skorupy poleciały wokoło. Przegub Czarnookiego drgnął i lufa opadła.

– Schowaj broń! – warknął dziadek głosem twardym jak stal. – Mam z tobą stare porachunki do załatwienia, Czarny, więc lepiej ze mną nie zadzieraj!

Czarnooki, ze spoconą twarzą, wymamrotał coś niewyraźnie, wetknął pistolet z powrotem za skórzany pas i wrócił na swoje miejsce za stołem.

Dziadek rzucił mu pogardliwe spojrzenie, ten zaś odpowiedział wzrokiem pełnym gniewu.

Medyk, który przyglądał się temu wszystkiemu z kamienną twarzą, nagle roześmiał się w głos. Śmiał się do rozpuku, zgięty w pół, i machał bezładnie

rękoma i nogami, trzymany pod pachy przez eskortujących. Pod wpływem tego dziwnego rehotu ludzie w namiocie poczuli się nieswojo, nie bardzo wiedząc, jak się zachować. Starzec dalej śmiał się do rozpuku, aż gorące łzy popłynęły mu po policzkach.

– Z czego się śmiejesz, pętaku? Pieprzyć twoją matkę! – rozzłościł się Czarnooki.

Śmiech medyka ucichł tak samo błyskawicznie, jak wybuchł.

– Ależ proszę bardzo – odparł poważnie starzec. – Moja matka jest trupem, już od dziesięciu lat leży w czarnej ziemi. Pieprz sobie na zdrowie!

Czarnooki oniemiał; a znamiona wokół jego oka nabrały barwy zielonych liści. Przeskoczył przez stół i przyłożył medykowi siedem albo i osiem razy w twarz, przestawiając mu nos. Z obu nozdrzy starca cienkimi strumyczkami popłynęła krew i kapłała ze sterczących kępek czarnych włosów na wargi oraz wystający podbródek, podobny do sztabki\* złota. Medyk oblizał się ze smakiem, plamiąc na czerwono białe, lśniące zęby.

– Kto cię tu przysłał? – spytał dziadek.

– Mój muł! – odparł starzec, wyciągając szyję, jakby przełykał krew. – Gdzie jest mój muł? Coście z nim zrobili?

– To na pewno japoński szpieg! – rzekł Czarnooki. – Dajcie no bat, wychłosczyć sukinsyna!

– Mój muł! Oddajcie mi muła! – krzyczał starzec z przerażeniem w głosie. Wyrwał się i ruszył biegiem do wyjścia z namiotu, ale jeden ze strażników powalił go potężnym ciosem w skroń. Rozległo się głucho klaśnięcie, szyja medyka zwisała jak złamane źdźbło sorga. Starzec osunął się miękko na ziemię.

– Przeszukać go! – rozkazał dziadek.

Członkowie Żelaznego Stowarzyszenia przetrząsnęli kieszenie medyka, ale znaleźli tylko dwie szklane kulki do zabawy dla dzieci, jedną szmaragdowozieloną, drugą jaskrawoczerwoną. W każdej był podobny do kociego oka pęcherzyk. Dziadek obejrzał je pod światło – szkło zaświeciło pięknymi kolorami. Pokręcił głową ze zdumieniem i odłożył kulki na stół. Natychmiast zbliżył się ojciec i zabrał je.

– Daj jedną Fulaiowi – polecił dziadek.

Ojciec niechętnie wyciągnął rękę w stronę Fulaia, który był przybocznym wodza Czarnookiego.

---

\* W Chinach sztabki złota miały kształt podobny do miniaturowych łódek o końcach wywiniętych ku górze.

- Który chcesz kolor? – zapytał.
- Chcę czerwoną – powiedział Fulai.
- Nie! Dam ci zieloną – odparł ojciec.
- Ale ja chcę czerwoną!
- Dam ci zieloną i już! – uparł się ojciec.
- No dobra, niech będzie zielona. – Fulai z rezygnacją zabrał zieloną kulkę z dłoni swojego ojca.

Szyja medyka powoli się wyprostowała; zły blask w jego oczach był tak samo jasny jak przedtem, a porośnięty gęstym, obecnie zakrwawionym zarostem podbródek sterczał tak samo uparcie.

- Gadaj, jesteś japońskim szpiegiem czy nie? – spytał dziadek.
- Mój muł, mój muł! – powtórzył starzec z dziecinnym uporem. – Nic nie powiem, póki mi go nie oddacie!

Dziadek uśmiechnął się złośliwie.

- Przyprawicie to zwierzę – oświadczył łaskawie. – Zobaczymy, co też ten tutaj ma nam do sprzedania.

Chuderławy muł został wprowadzony do namiotu. Oślepiające światło świec, lśniaca trumna i złowrogie figury z papieru sprawiły na nim iście piekielne wrażenie – przerażony zatrzymał się u wejścia i nie chciał ruszyć dalej. Medyk zbliżył się do niego i zakrył mu ślepią dłońmi, po czym wprowadził muła do środka. Zwierzę stanęło przed dziadkiem i innymi na trzęsących się, chudych nogach, wypuszczając serię głośnych pierdnięć w stronę trumny babki.

Medyk objął muła za szyję i pogłaskał po płaskim czole, mamrocząc:

- Boisz się, staruszkę? Nie bój się, mówię ci – nawet jeśli obetną ci głowę i zostanie ci po niej rana wielkości miski, to żaden powód do strachu.

- Dużej miski! – wtrącił się Czarnooki.

- Nawet jeśli będziesz miał ranę wielkości cebra, nie masz się czego bać – za dwadzieścia lat i tak zostaniesz bohaterem!

- Gadaj! Kto cię tu przysłał i po co? – powtórzył dziadek.

- Przysłał mnie duch mego ojca, żebym sprzedawał swoje lekarstwo – odparł medyk, po czym z sakwy na grzbiecie muła wyciągnął paczuszkę specyfiku i zaczął recytować: – Jedno nasiono krotanu, dwa krowie kamienie żółciowe, trzy chrząszcze oparzyki, cztery miarki piżma, siedem białych cebulek, siedem daktyli, siedem nasion papryczki, siedem plasterków imbiru!

Wszyscy patrzyli ze zdumieniem na twarz, usta i trzymającą paczuszkę lekarstwa rękę medyka. Muł, który z czasem przywykł do otoczenia, przestał się trząść i leniwie drapał ziemię zniszczonymi, bladymi kopytami.

– Szybki środek poronny – uśmiechnął się chytrze medyk. – Choćbyś była bóstwem o głowie z brązu, rękach z żelaza i ciele ze stali, jedna paczuszka wzięta w trzech dawkach gwarantuje, że dziecko wyjdzie z ciebie migiem, a jak nie – zwracam pieniądze!

– Ty pieprzony, niemoralny skurwysynu! – sklął go Czarnooki.

– Mam jeszcze inne. – Medyk wyciągnął kolejną paczuszkę, podniósł ją i wyskandował: – Psi penis jest tu władcą, barani ministrem. Trochę ryżowego wina i żeńszenia książęcego, eukomia, paproć otężalek, genitalia uchatki niedźwiedzioskiej, pędy bambusa z trzeciego miesiąca dla wzmocnienia efektu!

– Na co to lekarstwo? – spytał Czarnooki.

– Na męskie niedomaganie. Choćbyś był cienki jak nitka jedwabnika i miękki jak bawełniana wata, starczy jedna paczuszka wypita w trzech dawkach, a będziesz miał włócznie jak ze stali, która pozwoli ci figlować całą noc. Jak nie podziała – zwracam pieniądze!

Czarnooki potarł ręką błyszczące czoło i uśmiechnął się lubieżnie.

– A niech cię, jesteś medykiem dla prawdziwych dzikusów! – powiedział i zażądał pokazania reszty specyfików.

Starzec zdjął sakwę z grzbietu muła, podszedł z nią bliżej do dziadka i Czarnookiego i jął wyciągać ze środka lekarstwa, wymieniając jednocześnie różne dziwaczne nazwy. Czarnooki otworzył jedną z paczuszek, wyjął coś, co przypominało zeschniętą gałązkę, przytknął tę rzecz do nosa i powąchał.

– I to ma być psi penis?

– Tak, oryginalny psi penis w uczciwej cenie! – odparł medyk.

– Stary Yu, popatrz no – toż to zwykły suszony korzeń jakiegoś drzewa! – rzekł Czarnooki i podał podłużny przedmiot dziadkowi. Dziadek zbliżył go do światła i przyjrzał się zmrużonymi oczami.

Wtem medyk zaczął się trząść na całym ciele, jego zakrzywiona broda wpadła w dygot; te miejsca w siwym zaroście, które nie były poplamione krwią, połyskiwały jak srebro. Ojciec przestał się bawić szklaną kulką i z nerwowym biciem serca przyglądał się kurczącej się w sobie postaci staruszka. Stary muł tymczasem spuścił łeb, czerwony blask świecy padł na jego pysk o tępym wyrazie. Przypominał starą żonę, siadającą niepewnie na skraju

łóżka. Z jego nozdrzy wypływał zielonkawy śluz – ojciec pomyślał, że pewnie cierpi na nosaciznę, o której opowiadał mu kiedyś chłopak stajenny.

Medyk, nie przestając dygotać, niepostrzeżenie sięgnął lewą ręką do sakwy. Potem zamachał prawą ręką w powietrzu i z nagle rozpostartej niczym rozkwitający kwiat dłoni sypnęło się lekarstwo, trafiając prosto w twarz dziadka. W lewej dłoni medyka coś lodowato błysnęło – ojciec zobaczył sztylet o zielonkawym ostrzu. Wszyscy stali jak wryci, spokojnie patrząc, jak medyk ze zwinnością czarnego kota rzuca się z lśniącym nożem do gardła dziadka. Ten jednak w sekundę po ataku instynktownie uskokzył i zasłonił się ramieniem. Poczul na twarzy mroźny powiew, wzbudzony przez rękaw szaty medyka. Jego gardło co prawda uniknęło spotkania z ostrzem, sztylet jednak trafił go w ramię i wyciął w nim długą ranę. Dziadek przewrócił kopnięciem stół, wyciągnął pistolet i strzelił trzy razy. Ostry proszek podrażnił mu oczy tak mocno, że z trudem je otwierał, a twardy psi czy też barani penis uderzył go boleśnie w nos. Pierwsza kula trafiła w ścianę namiotu, a druga w trumnę, pokrytą wieloma warstwami oleju tungowego i dzięki temu twardszą od żelaza i kamienia, po czym odbiła się rykoszetem w stronę wyjścia z namiotu. Trzecia zaś złamała prawą tylną nogę muła. Zwierzę runęło w przód i dotknęło szerokim czołem ziemi, ale natychmiast podniosło się, rycząc żałośnie, a z roztrzaskanego kolana ciekła biała i czerwona posoka. Muł zatoczył się w stronę otaczających trumnę białych sosen i wierzb, które zaczęły przewracać się z szelestem papieru i słomy. Świece pospadały z wieka trumny, zachlapany łojem papier natychmiast zajął się ogniem. Tabliczkę nagrobną babki, która na moment znalazła się w mroku, znowu otoczyła jasna poświata, a sucha ściana namiotu już się chyliła w kierunku płomieni. Członkowie Żelaznego Stowarzyszenia nagle oprzytomnieli i rzucili się do wyjścia. W tym pożarze medyk, o skórze lśniącej jak starożytny brąz, ruszył znowu na dziadka.

Ojciec widział, jak sztylet w ręku starca, wijąc się niczym mały wężyk, zbliża się do gardła jego ojca. Czarnooki trzymał w ręku pistolet, lecz nie strzelał; na jego twarzy majaczył cień zadowolonego uśmieszku. Ojciec wyjął swój pistolet, odciągnął kurek i strzelił – pocisk o zaokrąglonej końcówce gwizdnął w powietrzu i trafił starucha prosto w ramię podniesionej ręki. Ręka zwisła, sztylet upadł na stół, a za nim i sam medyk. Ojciec znowu odciągnął kurek, lecz kolejny pocisk się zaklinował. Przekrwione oczy dziadka płonęły.

– Nie strzelać! – krzyknął.

Paf, paf, paf! – huknął pistolet Czarnookiego i głowa medyka wybuchła niczym zbyt długo gotowane jajko. Dziadek spojrzał nienawistnie na wodza.

Thum członków Żelaznego Stowarzyszenia wpadł do namiotu. Pożar szalał, ściany trzeszczały niepokojąco. Płonący muł tarzał się po ziemi, ogień



na jego grzbiecie to przygasał, to znów się rozżarzał. Dusząca woń palącej się skóry drażniła gardła.

Ludzie znowu zaroili się przy wyjściu.

– Gasić ogień! Szybko gasić ogień! – wołał Czarnooki. – Pięćdziesiąt milionów „tygrysów” dla tego, kto wyciągnie trumnę!

Było świeżo po wiosennych deszczach, a rów w pobliżu wejścia do wioski po brzegi wypełniała woda. Członkowie Żelaznego Stowarzyszenia wraz z gośćmi pogrzebowymi wspólnie wdeptali w ziemię czerwoną, płonąca chmurę i ugasili pożar.

Woda z kilkudziesięciu wiader ugasiła zielonkawe płomienie tańczące wokół trumny babki, teraz unosił się z niej tylko zielonosiny dym. W słabym świetle wyglądała wciąż tak samo potężnie i solidnie. Powykęcane ciało muła leżało obok, rozsiewając woń spalenizny. Ludzie zasłaniali nosy rękawami. Słysząc było ciche trzaski pokrywającej trumnę powłoki olejowej, która pękała, stygnąc.

## 2

Mimo nieprzewidzianych wypadków z poprzedniego wieczora data pogrzebu babki nie została przesunięta. Kiedy w nocy stary koniuszy Żelaznego Stowarzyszenia, który znał się co nieco na medycynie, opatrywał ranę dziadka, Czarnooki stał obok z kpiącą miną i doradzał odłożenie pogrzebu. Dziadek nawet na niego nie spojrział – wpatrując się w strumyczki białych, gęstych łez, które zastygły na świecznikach, zdecydowanie odrzucił jego propozycję.

Dziadek nie zmrużył oka przez całą noc. Siedział na stołku, przekrwione oczy miał przymknięte, a jego lodowata dłoń spoczywała bez ruchu na bakelitowej kolbie pistoletu jak przyspawana.

Ojciec leżał na trzcinowej macie i patrzył na niego, póki nie zapadł w sen. Kiedy obudził się przed świtem i zerknął na dziadka, ten wciąż siedział w tym samym miejscu w chwiejnym blasku świec. Zauważył na jego ramieniu plamę czarnej krwi, która przesiąkła przez biały bandaż. Nie odważywszy się odezwać, znowu zamknął oczy. Rankiem przybyło na próbę pięciu grajków, którzy chcąc zrobić na złość lokalnym kolegom po fachu, postanowili *wyrwać* ich ze snu głośnym trąbieniem. Gniewne dźwięki trąb obudziły ojca, który westchnął ciężko jak zmęczony życiem staruszek. Poczul kręcenie w nosie; gorące jak wrzątek łzy pociekły mu z oczu, spływając aż do uszu. Ledwie się obejrzałem, a mam już szesnaście lat, pomyślał. Ciekawe, kiedy wreszcie skończą się te oszalałe czasy i będzie wreszcie spokój... Patrzył na majaczące

przed nim w półmroku krwawiące ramię dziadka, w jego woskową twarz, i niecodzienna w tym wieku ponura melancholia wkradła się do jego poranionego, znużonego serca. Pianie jedyne go ocalałego w wiosce koguta obwieściło nadchodzący dzień, lekki poranny wietrzyk wniósł do namiotu cierpki aromat kwietniowych pól i zachwiał płomykami dogasających świec. Z wioski zaczął dobiegać gwar ludzkich głosów, uwiązane do pobliskich wierzb konie parskały i tupały. Chłód porannego wietrzyka sprawił, że ojciec zwinął się wygodnie na swoim posłaniu. Zaczął wspominać Urodziwą, moją przyszłą matkę, oraz rosłą kobietę, Babkę Liu, którą należałoby nazwać moją trzecią babką. Trzy miesiące wcześniej obie zniknęły. Ojciec i dziadek wraz z resztą Żelaznego Stowarzyszenia udali się wtedy na ćwiczenia do odległego przyczółka na południe od linii kolejowej, a kiedy wrócili, nikogo nie zastali. Ziemiarki, które zbudowali zimą 1939 roku, obrosły pajęczyną.

Kiedy weszło czerwone słońce, w wiosce już wrzało. Handlarze jedzeniem przeciągle nawoływali, zachwalając swój towar, a znad bułeczek w piecykach, pierożków w garnkach i placków na patelniach unosiły się kłęby pary oraz smakowite aromaty. Handlarz bułeczkami klócił się z dziobatym klientem, nie chcąc przyjąć od niego wydawanych przez Ósmą Armię banknotów „beihai”\*, klient z kolei nie miał przy sobie ani jednego wyemitowanego przez Żelazne Stowarzyszenie „tygrysa”. Kiedy dwadzieścia bułeczek znalazło się już w żołądku dziobatego, ten oznajmił:

– To wszystko, co mam, a skoro nie chcesz, musisz odżałować swoich dwadzieścia bułek!

Otoczający ich tłumek doradzał handlarzowi, by przyjął „beihai” – niech tylko Ósma Armia się odrodzi, wtedy jej waluta zyska znowu na wartości. Gdy dyskusja doszła do tego punktu, ludzie zaczęli się rozchodzić, a handlarz w końcu przyjął banknoty, mamrocząc coś pod nosem. Po chwili znowu pokrzykiwał dumnie: „Bułeczki! Świeże bułeczki! Bułeczki nadziewane mięsem, prosto z piecyka!”. Ci, którzy zjedli już śniadanie, otoczyli wielki namiot i czekali z nadzieją na rozwój wydarzeń, ale obawiając się patrolu wygolonych żołnierzy Żelaznego Stowarzyszenia w pełnym rynsztunku, nie śmieli podejść zbyt blisko. Namiot przetrwał nocny pożar tylko częściowo. Spalone na brunatny kolor ciała medyka i muła zostały zaciągnięte na brzeg rowu, który znajdował się o jakieś pięćdziesiąt kroków od namiotu, i leżały tam, przywabiając wonią padlinożerne ptaki. Te najpierw kołowały, potem opadały na dół niczym przegniłe dachówki i wkrótce oba trupy pokryły się stalowoszarą, ruchliwą warstwą pierzastych skrzydeł. Muł i jego pan, pamiętani przez gości wczorajszego wieczora jako pełne wigoru istoty, niemal

---

\* *Beihai* – dosłownie „północne morze”; taką nazwę nosi m.in. słynny park w Pekinie, dawny ogród cesarski.

w mgnieniu oka zamienili się w ucztę dla wron. W sercach patrzących kłębiła się mieszanina uczuć, która nie doczekała się głośnego wyrazu.

Szczałki namiotu walające się wokół trumny babki wysprzątało do czysta kilku członków Żelaznego Stowarzyszenia, uzbrojonych w miotłki i szufelki. Parę ocalałych czarek do wina, które wytoczyły się z popiołów, rozgnieciono przy okazji w drobny mak. W blasku świtu trumna babki sprawiała złowrogie wrażenie. Jej pierwotną ciemną czerwień, uroczystą i tajemniczą, strawiły płomienie – gruba na trzy palce powłoka z wielu warstw cienkiej gazy nasączonej olejem tungowym popękała, tworząc płatanię krzyżujących się szczelin. Trumna była teraz kruczoczarna i wyglądała, jakby pokryto ją tylko jedną nierówną warstwą śmierdzącego tłuszczu. Była też wyjątkowo wielka – kiedy mój szesnastoletni ojciec stał przed jej wysokim wezglowiem, mimo iż sięgała mu jedynie do grdyki, przytłaczała go swoim ogromem tak, że niemal brakowało mu tchu.

Przypomniało mu się, w jaki sposób została zdobyta. Jakiś staruszek, który miał chyba ze sto lat i nosił siwy warkoczyk z tyłu głowy, trzymał się kurczowo trumny i głośno lamentował:

– To mój dom! Nikt nie może mi go zabrać... Za dynastii Qing byłem uczonym, nawet naczelnik powiatu zwracał się do mnie per starszy bracie... Po moim trupie... Banda złoczyńców... – a kiedy już się napłakał, zaczął przeklinać.

Tamtego dnia dziadek nie ruszył się z miejsca, a po trumnę wysłał oddział kawalerii pod dowództwem swojego najbardziej zaufanego oficera. Mój ojciec pojechał z nimi. Słyszał, że trumna ta została zrobiona z czterech cyprysowych desek, grubych na cztery cale, w pierwszym roku Republiki. Co roku owijano ją nową warstwą gazy i nasączano olejem tungowym, i tak przez trzydzieści lat. Staruszek tarzał się po ziemi przed trumną jak osioł i nie było jasne, czy płacze, czy też się śmieje – bez wątpienia oszalał. Oficer rzucił mu grubą paczkę stowarzyszeniowych banknotów z osiodłanym tygrysem.

– Przecież płacimy ci za to, co twoje, stary skurczybyku – powiedział, marszcząc cienkie brwi.

Starzec rozerwał paczuszkę i jał rozszarpywać tygrysie banknoty nielicznymi przednimi zębami.

– Bandyci! Zbóje! – awanturował się. – Nawet cesarz nie odbierał ludziom trumien! Banda złodziei!

– Ty stary draniu! – odpowiedział mu oficer. – Słuchaj no! W wojnie wyzwoleniczej przeciwko Japonii każdy musi coś od siebie dać! Tobie, ośli pomocie, wystarczy, że zawiną cię w trochę słomy i pochowają w jakiejś

dziurze. Myślisz, że zasługujesz na taką trumnę? Ta trumna należy się bohaterowi wojennemu!

– A cóż to znowu za bohater?

– Małżonka dawnego komendanta Yu, teraz przywódcy Żelaznego Stowarzyszenia!

– Ajajajaj! Niebiosa nie mogą na to pozwolić! Zęby jakaś baba miała leżeć w moim domu... Po moim trupie!

Starzec pochylił się i natarł na trumnę, waląc w nią czołem. Jego czaszka uderzyła prosto w wezłowie z głuchym tąpnięciem. Ojciec patrzył, jak cienka szyja mężczyzny kurczy się i znika w klatce piersiowej, a przyplaszczona głowa zagłębia się między wystającymi, szpiczastymi kośćmi ramion. Kiedy przypomniał sobie kępki białych włosów w jego nozdrzach i wątłą siwą brodę wyrastającą z zakrzywionego podbródka, nagły rozbłysk w jego myślach rozjaśnił mrok wątpliwości. Ojciec bardzo chciał podzielić się z dziadkiem tym nagle osiągniętym zrozumieniem, ale spojrzawszy na jego chmurną twarz, zdusił tę potrzebę.

Dziadek wsunął zranioną prawą rękę w temblak zrobiony z czarnego płótna, na jego mizernej twarzy pokazały się zmarszczki znużenia. Z miejsca, w którym stały konie, nadszedł dowódca kawalerii i zadał mu jakieś pytanie. Ojciec, stając u wejścia namiotu służącego mu za sypialnię, usłyszał:

– Pięć Awantur, cóż ja mam tu do powiedzenia, jedź.

Widział, jak dziadek spogląda długo i znacząco na dowódcę kawalerii zwanego Pięć Awantur, a ten kiwa ze zrozumieniem głową, odwraca się i odchodzi w stronę koni.

Wtem Czarnooki, który tymczasem wygramolił się z innego schronienia, zastąpił mu drogę.

– A ty dokąd? – spytał ze złością.

– Na zwiady – odparł lodowato Pięć Awantur.

– Nie wydałem takiego rozkazu! – rzekł Czarnooki.

– Zgadza się, nie ty go wydałeś – odpowiedział kawalerzysta. Zbliżył się dziadek.

– Hej, Czarny, coś ci nie pasuje? – spytał z krzywym uśmiechem.

– Nieważne, tak tylko pytałem – odparł Czarnooki. Dziadek poklepał go zdrową ręką po szerokich, mocnych barkach.

– Ten pogrzeb to także twoja sprawa. Naszymi porachunkami zajmiemy się, kiedy się skończy, co ty na to?

Czarnooki tylko wzruszył poklepanym wcześniej przez dziadka ramieniem i wrzasnął do tłoczących się daleko, w pobliżu muru ludzi, którzy wyczekująco patrzyli w ich stronę:

– Odsuńcie się trochę, niech was diabli! I założycie wreszcie te żałobne czapki czy nie?

Pięć Awantur stanął pod wierzbami, do których uwiązane były konie, wyjął z kieszeni gwizdek ze złotawego metalu i zagwizdał trzy razy. Pięćdziesięciu członków Żelaznego Stowarzyszenia wyskoczyło ze stojących w pobliżu wierzbowego zagajnika namiotów i każdy popędził do swojego konia. Konie rżały z podniecenia; krzywe wierzbowe gałęzie wokół nich były ogryzione z kory do białego drewna. Grupa składała się z samych doborowych żołnierzy, wyposażonych w lekkie i doskonałej jakości uzbrojenie: w rękach mieli wyborne szable, na plecach japońskie karabiny. Pięć Awantur i czterech najroślejszych zuchów dźwigało nie karabiny, lecz rosyjskie pistolety maszynowe. Wskoczyli na konie i zwarli szeregi, tworząc dwie kolumny. Konie, zgrabnie przebierając kopytami, pokłusowały w stronę polnej drogi prowadzącej ku mostowi na Rzece Czarnej Wody. Porastająca ich kopyta różnobarwna sierść powiewała na porannym wietrze, żelazne podkowy połyskiwały łagodnym srebrnym blaskiem, a członkowie Żelaznego Stowarzyszenia podskakiwali rytmicznie w swoich lśniących siodłach z czarnej skóry. Pięć Awantur, który dosiadał krzepkiego, dropiatego młodzika, kłusował na samym przodzie. Ojciec patrzył na konie, które sunęły po gładkiej, czarnej ziemi niczym przetaczająca się po niebie czarna, burzowa chmura.

Odziany w tradycyjną długą tunikę i kurtkę dostojny mistrz ceremonii stał na wysokim stołku i wołał na cały głos:

– Zespół dęty!

Stado odzianych w czarne stroje i czerwone czapki trębaczy i bębniaków wyrosło jak spod ziemi, po czym popędziło do ustawionych przy drodze podestów dla grajków. Sklecone z desek i trzciny mat miały pięć do siedmiu metrów wysokości. Na ulicy roilo się od ludzi. Muzycy przepchnęli się przez tłum i głośno tupiąc, wdrapali się na swoje stanowiska.

– Zaczynamy! – zawołał mistrz.

Rogi i oboje zabrzmiały chórem. Gapie ruszyli naprzód, wyciągając szyje, w rozpaczliwej chęci zobaczenia, co dzieje się na podestach. Stojący z tyłu napierali jak fala, a liche konstrukcje już zaczynały się chwiać i skrzypieć. Wystraszeni muzykanci wydawali przerażone okrzyki, a przywiązane do przydrożnych drzew woły i osły dyszały ciężko pod naporem tłumy.

– Czarny, robimy coś? – spytał dziadek z szacunkiem.

– Ej, Trzeci! – zawołał Czarnooki. – Dawaj tu oddział!

Pięćdziesięciu uzbrojonych w karabiny członków Żelaznego Stowarzyszenia także wyrosło jak spod ziemi i jęło poszturchiwać kolbami pozbawiony możliwości manewru, pchany do przodu tłum. Nie wiadomo, ile tysięcy ludzi przybyło na ten pogrzeb – było ich tak wielu, że pięćdziesięciu żołnierzy, zmordowanych i z pianą na ustach, nie zdołało powstrzymać naporu ludzkiej fali. Czarnooki wyciągnął pistolet i wystrzelił w niebo raz, a potem drugi raz, tuż nad morzem czarnych ludzkich głów; członkowie Żelaznego Stowarzyszenia wzięli z niego przykład i także zaczęli strzelać w powietrze. Na dźwięk wystrzałów ludzie na czele tłumy zaczęli się uchylać, potem cofać, ci z tyłu zaś nadal bezrozumnie parli naprzód. Stojący pośrodku zaś nagle zrobili się wyżsi, niczym środek grzbietu pełzającej do przodu czarnej gąsienicy. Tratowane przez ludzką gęstwę dzieci krzyczały rozpaczliwie. Dwa podesty przechyliły się z wolna i runęły, a stojący na nich grajkowie wkrótce dołączyli do wrzeszczącego tłumy. Ich krzyki mieszały się z wyciem tratowanych, tworząc najbardziej przeraźliwy chór. Jakiś osioł, który utknął w ludzkiej ciżbie, rozpaczliwie wyciągał szyję, jakby tonął w bagnie; jego budzące litość ślepia wielkości kurzych jaj wyszły na wierzch, wypukłe jak miedziane dzwonki i lśniące niebieskawym blaskiem. W tumulcie stratowano na śmierć co najmniej kilkunastu starych i słabych ludzi. Trupy osłów i wołów walały się po okolicy jeszcze przez kilka miesięcy, rozsiewając woń rozkładu i przyciągając muchy.

Strzelanina członków Żelaznego Stowarzyszenia sprawiła, że ludzie w końcu się uspokoili. Głośne lamenty kobiet stojących poza zbiegowiskiem stanowiły harmonijny akompaniament do przypominających przedśmiertne jęki dźwięków wygrywanych przez nieszczęsnych muzyków, którzy wleźli z powrotem na swoje podwyższenia. Ci, którzy już zrozumieli, że nie zdołają przepchać się do centrum wydarzeń, poszli na skraj wioski, gdzie ustawili się wzdłuż drogi prowadzącej do grobowca babki i czekali tam na przejście konduktu pogrzebowego. Młody i przystojny Pięć Awantur patrolował już drogę wraz ze swoim oddziałem kawalerii.

Ciężko wstrząśnięty mistrz ceremonii znowu stanął na swoim stołku i zakrzyknął:

– Mały baldachim!

Dwóch przepasanych białymi szarfami członków Żelaznego Stowarzyszenia wniosło mały błękitny baldachim: prostokątny, z wystającym pośrodku grzbietem i rogami wywiniętymi ku górze niby smocze łby. Wierzchołek zwieńczony był ozdobą z czerwonego szkła.

– Tabliczka nagrobna! – zarządził mistrz ceremonii.

Matka mówiła mi kiedyś, że tabliczka nagrobna reprezentuje duszę zmarłego. Później dopiero odkryłem, że jest to zupełnie co innego niż ta, przed którą składa się ofiary dla duszy przodka. Tabliczki nagrobnej używa się podczas pogrzebu, aby potwierdzić pozycję społeczną osoby zmarłej, stanowi ona dopełnienie proporców niesionych na czele procesji, a jej właściwa nazwa to „tabliczka ducha”. Tabliczka mojej babki spłonęła doszczętnie w pożarze, a na nowej, sporządzonej naprędce, tusz jeszcze nie zdążył wyschnąć; niosło ją dwóch przystojnych żołnierzy Żelaznego Stowarzyszenia. Napis na niej brzmiał: „Urodzona rankiem piątego dnia piątego miesiąca w trzydziestym drugim roku panowania Cesarza Guangxu z Wielkiej Dynastii Qing, zmarła w południe dziewiątego dnia ósmego miesiąca dwudziestego ósmego roku Republiki Chińskiej. Pierwsza małżonka Yu Zhan’ao, komendanta oddziału partyzanckiego powiatu Północno-Wschodniego Gaomi w Republice Chińskiej oraz przywódcy Żelaznego Stowarzyszenia. Potomkini rodu Dai. Wiek w chwili śmierci: trzydzieści dwa lata. Pochowana w yang Góry Białego Konia i yin Rzeki Czarnej Wody”.

Na tabliczce udrapowano biały całun z jedwabiu o długości trzech stóp, co przydawało jej elegancji i dostojności. Członkowie Żelaznego Stowarzyszenia ostrożnie umieścili ją pod małym baldachimem, po czym cofnęli się i stanęli na baczność po obu stronach.

– Wielki baldachim! – zakrzyknął mistrz ceremonii.

Przy dźwiękach orkiestry sześćdziesięciu czterech członków Żelaznego Stowarzyszenia wniosło uroczyście wielki baldachim w kolorze głębokiego szkarłatu, zwieńczony wielką błękitną ozdobą wielkości arbuza. Na czele szedł niewysoki dowódca, wybijając na gongu rytm sześćdziesięciu czterem maszerującym tragarzom. Gwar ucichł, słychać było tylko jęki fletów i piszczałek oraz rozpaczliwy płacz kobiet, których dzieci zostały stratowane w tłumie. Na głos gongu oczy wszystkich zwróciły się ku wielkiemu jak świątynia, posuwającemu się z wolna baldachimowi. Uroczysta powaga zakołowała w powietrzu nad tłumem, myśli obecnych zaczęły krążyć w potężnym, wspólnym wirze.

Koło zranionego ramienia dziadka ciągle kręciła się paskudna mucha, usiłując dobrać się do czarnej krwi nasączającej opatrunek. Kiedy dziadek wyciągał drugą rękę, żeby ją zabić, mucha zrywała się i latała wokół jego głowy, bzycząc donośnie. Dziadek z przyjemnością rozgniótłby ją na miazgę, ale ciągle nie trafiał, uderzając raz po raz w zranione ramię i zadając sobie dokuczliwy, kłujący ból.

Wielki baldachim w zharmonizowanych odcieniach czerwieni i błękitu, płynący chwiejnie przed trumną babki, chwytający za serce dźwięk gongu –

wszystko to sprawiło, że dziadek zanurzył się we wspomnieniach ze swego burzliwego, szybko przemijającego życia.

Kiedy zamordował mnicha, miał zaledwie osiemnaście lat – musiał wtedy uciec z domu i długo tułał się po świecie. W wieku lat dwudziestu jeden wrócił do Północno-Wschodniego Gaomi i został tragarzem w Przedsiębiorstwie Ślubno-Pogrzebowym. Zdażył już przedtem posmakować trudów życia, w tym – haniebnego zamiatania ulic w czerwono-czarnych portkach. Z sercem twardym jak oś i ciałem silnym jak u goryla, miał już wszystkie niezbędne przymioty, by zostać wybitnym bandytą. Wiedział, że robota tragarza nie jest lekka, lecz to go nie zrażało. W jego pamięci na zawsze zapisało się upokorzenie, którego doznał, gdy w 1920 roku w mieście powiatowym Jiao dostał w twarz w domu uczonego Akademii Hanlin\*, nazwiskiem Qi.

Nie pamiętał już o natrętnej musze, która jeszcze przed chwilą doprowadzała go do szału. Ta, korzystając z okazji, przysiadła na zakrwawionym bandażu i bezustannie to pluła śliną, to wsysała słonawą krew. Oślepiające złote promienie słońca padały na wydęte jak piłki policzki trębaczy stojących na przechylonych niepewnych, bliskich upadku podestach, pot ściekał im z twarzy na szyje. Z krawędzi wylotów trąbek i obojów zwisały pasemka śliny, która spływała z ust trębaczy, pokonując po drodze kręte, blaszane korytarze wewnątrz instrumentów. By dojrzeć kondukt, ludzie stawali na palcach, a blask tysięcy oczu niczym światło księżycy otoczył drżącą poświatą znajdujące się wewnątrz kręgu osoby żywe i papierowe, oświetlając jednakowo to, co było przejawem wspaniałej, starożytnej kultury, i to, co wносиło do ceremonii zacofanie i reakcyjny zabobon.

Ojciec, skąpany w pięknym, lecz na wskroś złym świetle ludzkich spojrzeń, czuł z początku gniew, który nabrzmiewał w jego sercu niczym kiście purpurowych winogron, a potem ból, narastający niby kolejne pasy tęczy, jarzącej się wszystkimi kolorami. Miał na sobie grubą, sięgającą kolan żałobną szatę z białego płótna, przepasaną szarym konopnym sznurem; kwadratowa żałobna czapka zakrywała wygolone miejsce na jego czaszce. Kwaśny odór ludzkiego potu i woń spalonego oleju unoszące się wokół trumny tworzyły razem trudny do zniesienia smród; ojciec ledwie trzymał się na nogach. Spocił się na całym ciele, a mimo to czuł dreszcze. Złote nici posępnych, przeraźliwych dźwięków, wydobywanych przez grajków z blaszanych instrumentów, gapiący się bezmyślnie jak kłody drewna ludzie, którzy przybyli na pogrzeb, ich okrągłe, wytrzeszczone oczy – wszystko to biała siatka włókien nerwowych w kręgosłupie mojego ojca przewodziła jako jeden, zimny niczym marcowy przymrozek, słaby impuls. Trumna babki wydawała się niebywale

---

\* Akademia Hanlin – instytucja akademicka związana z dworem cesarskim, utworzona w VIII w., do zadań zrzeszonych w niej uczonych i artystów należało m.in. ustalanie oficjalnej interpretacji klasycznych dzieł konfucjańskich wymaganej na egzaminach urzędniczych.



ogromna; z pstrokatym wiekiem, niskim końcem i wysokim wezglowiem, ściętą skośnie jak nożem, kojarzyła się z wielkim i tępym dzikim zwierzęciem. Ojciec miał nieustanne wrażenie, że zwierzę to za chwilę ziewnie, podniesie się i ruszy do ataku na czarnogłowy tłum. Trumna ogromniała w myślach ojca, nabrzmiewała jak czarna deszczowa chmura, w oczach miał obraz doczesnych szczątków babki, zamkniętych między grubymi deskami, leżących w czerwonym pyłe. Tamtego popołudnia, gdy na brzegu Rzeki Czarnej Wody dziadek rozkopał łopatą porośniętą zieloną trawą mogiłę i zdjął, jedną po drugiej, kolejne warstwy przegniłego sorga, oczom ojca ukazała się jej twarz i ciało, które wyglądały zupełnie jak za życia. Od tamtej chwili, tak jak nie mógł zapomnieć widoku umierającej babki, wpatrującej się w czerwone sorgo nad głową, pamiętał także jej twarz w momencie, gdy wykopywano ją z grobu. Cudownie świeże, nierzeczywiste jak miraż oblicze w jednej chwili rozwiął ciepły, wiosenny wiatr.

Przeżywając w myślach na nowo wszystkie te niezwykle momenty, ojciec jednocześnie odprawiał skomplikowane żałobne rytuały, będące jego synowskim obowiązkiem. Mistrz ceremonii, który w blasku słońca prezentował się dość niepozornie, zakrzyknął:

– Podnieść trumnę!

Sześćdziesięciu czterech członków Żelaznego Stowarzyszenia, którzy wnieśli baldachim, ruszyło w stronę trumny i otoczyło ją niczym stado mrówek martwą świnie. „W górę!” – zawołali chórem, lecz trumna nawet nie drgnęła, jakby zapuściła korzenie. Dziadek, przepędziwszy muchę, patrzył z pogardą na bezradnych wobec ciężkiej trumny „baldachimiarzy”. Gestem ręki przywołał owego niskiego oficera, który nimi kierował, i rzekł:

– Przynieście grube liny i płócienne pasy. Bez tego nie uda się wprowadzić tej trumny pod baldachim, choćbyście się siłowali do jutra rana.

Oficer patrzył na dziadka z obawą, ten jednak odwrócił wzrok – wyglądał, jakby wpatrywał się w Rzekę Czarnej Wody, przecinającą swoim korytem równinę czarnej ziemi.

Przed domem rodu Qi w mieście powiatowym Jiao stały dwa kompletnie odrapane z czerwonej farby maszty do zawieszania chorągwi; stare, spróchniałe drewno symbolizowało wielkość rodu. Senior, uczonej Akademii Hanlin, zmarł, a jego synowie i wnukowie, którzy wraz z nim cieszyli się urokami dostatniego życia, chcieli wyprawić mu wystawny pogrzeb. Wszystko było już przygotowane, wciąż jednak odkładano ogłoszenie daty pochówku. Trumnę umieszczono w tylnych rejonach rozległego domostwa rodziny Qi, toteż by wynieść ją na ulicę, należało przejść przez siedem wąskich bram.

Kilkunastu szefów różnych przedsiębiorstw ślubno-pogrzebowych, obejrzawszy trumnę oraz topografię terenu, wychodziło ze spuszczonej smutno głowami, mimo że rodzina Qi oferowała niespotykane wysoką zapłatę. Wieść dotarła w końcu do Przedsiębiorstwa Ślubno-Pogrzebowego w Północno-Wschodnim Gaomi. Suma pięciuset srebrnych dolarów za wyniesienie trumny stanowiła kuszącą przynętą dla dziadka i jego kolegów po fachu – byli zmieszani i podekscytowani jak młoda dziewczyna, która wpadła w oko przystojnemu mężczyźnie.

Poszli więc do głównego organizatora pogrzebu, pana Cao Drugiego, i przysięgli mu, że rozślawią Północno-Wschodnie Gaomi, a przy okazji zasłużą na owe pięć setek srebrnych dolarów. Pan Cao Drugi siedział w swoim staroświeckim fotelu nieporuszony jak głaz, nie zaszczyciwszy ich choćby pierdnięciem. Dziadek widział tylko, jak poruszają się jego inteligentne, zimne oczy. Jedynym odgłosem zaś było bulgotanie fajki wodnej, którą oburącz trzymał gospodarz.

– Panie Drugi, nam nie chodzi o pieniądze! – przekrzykiwali się z zapalem koledzy dziadka. – Żyje się raz, trzeba się czymś odznaczyć! Nie chcemy, aby świat miał nas za nic, aby myślano, że w Północno-Wschodnim Gaomi nie ma zdolnych ludzi!

W tym momencie pan Cao Drugi w końcu poruszył zadkiem na fotelu i pierdnął przeciągle.

– Lepiej idźcie sobie odpocząć. Ujmę to tak: jeżeli w razie niefortunnego wypadku ktoś zostanie zgnieciony na śmierć – nic mnie to nie obchodzi. Ale jeśli splamicie honor Północno-Wschodniego Gaomi i przy okazji popsujecie mi interes – sprawa będzie poważna. Jeśli zaś bardzo potrzebujecie grosza, Drugi was poratuje...

To powiedziawszy, pan Cao Drugi zamknął oczy. Sprowokowani tragarze podnieśli rwetes:

– Panie Drugi! Niech pan nas nie obraża!

– Nie połykaj sierpu, jeśli nie masz krzywego żołądka – odparł Cao. – Myślicie, że tych pięćset dolarów tak łatwo zarobić? Dom rodu Qi ma siedem bram. Trumna nie jest lekka, albowiem w środku jest pełna rtęci! Rzęci! Ruszcie swoimi psimi mózdzkami i policzcie, ile to waży! – rzucił z pogardą Cao Drugi, spoglądając na nich chłodno spod półprzymkniętych powiek.

Tragarze popatrzyli po sobie; ich oczy przesłaniała mgła nieustępliwości i zarazem tajonej obawy. Cao parsknął.

– Lepiej się stąd zabierajcie! Duże pieniądze niech poczekają na prawdziwego bohatera! A mali ludzie niech mają swoje małe zasługi. Noście

sobie liche trumny biedaków, dwadzieścia czy trzydzieści juań to zawsze coś.

Jego słowa niczym zatrute strzały ugodziły tragarzy w serca. Dziadek wystąpił naprzód i oznajmił głośno:

– Panie Cao Drugi! Żadna pierdolona przyjemność pracować dla takiego beznadziejnego durnia jak pan! Głupi żołnierz to kłopot, a głupi generał to coś stokroć gorszego! Nic z tego, nie będę dla was robił!

Młodzi, zapalczywi tragarze zawtórowali mu. Cao Drugi wstał, podszedł ciężkim krokiem do dziadka i mocno poklepał go po ramieniu.

– No, wreszcie mówisz do rzeczy, Zhan’ao! – wypalił z uczuciem. – Znać, żeś potomek Północno-Wschodniego Gaomi. Ród Qi doszedł do swojej pozycji, wykorzystując takich ludzi jak my, tragarzy, którzy żyją z noszenia ciężarów. Jeśli wam się uda wynieść tę trumnę, rozśławicie Północno-Wschodnie Gaomi, a prawdziwej sławy nie kupi się za żadne pieniądze! Tylko pamiętajcie, że rodzina Qi to potomkowie członka Akademii Hanlin, więc przywiązują wielką wagę do ceremoniału. To nie będzie łatwe zadanie. Jeśli dziś w nocy nie będziecie mogli zasnąć, zastanówcie się dobrze, jak pokonać tych siedem bram!

Kiedy tragarze zbierali się do wyjścia, do środka jak na zawołanie weszło dwóch eleganckich mężczyzn. Przedstawili się jako zarządcy domu Qi, którzy przyszli zaproponować tragarzom z Północno-Wschodniego Gaomi dobrze płatne zadanie.

Gdy tylko wyjaśnili cel swojej wizyty, Cao Drugi zapytał obojętnie:

– Ile?

– Pięćset srebrnych dolarów! Niełatwo o tak dużą stawkę, kierowniku! – odparli zarządcy domu Qi.

Cao Drugi rzucił swoją srebrną fajkę wodną na stół i zaśmiał się szyderczo.

– Roboty mamy dosyć, to raz. Gotówki też nam nie brakuje, to dwa. Poszukajcie lepiej innej firmy.

Zarządcy domu Qi uśmiechnęli się ze zrozumieniem.

– Szefie, żaden z nas nie jest w biznesie od wczoraj... – rzekł jeden z nich.

– Zgadza się – odparł Cao Drugi. – I za takie pieniądze zawsze znajdziecie chętnego do roboty – dodał, zamykając spokojnie oczy.

Zarządcy wymienili spojrzenia. Ten stojący bardziej z przodu oznajmił:

– Szefie, dość owijania w bawełnę. Podaj, proszę, swoją cenę!

– Nie będę ryzykował życia moich ludzi za parę dolarów – odparł Cao Drugi.

– Sześćset! Sześćset srebrnych dolarów! – odrzekł zarządca.

Cao Drugi siedział nieruchomo jak skała.

– Siedemset. Siedemset dolarów! W interesach też trzeba mieć sumienie, szefie!

Cao Drugi wydał wargi.

– Osiemset, i to już nasze ostatnie słowo!

Cao otworzył oczy.

– Tysiąc! – rzucił.

Jeden z zarządców wydał policzki, jakby bolały go zęby, i patrzył tępo na bezlitosną twarz Cao Drugiego.

– Szefie... Nie możemy podjąć takiej decyzji...

– No to wracajcie i zapytajcie swojego szefa. Tysiąc dolarów, nie podejmiemy się tego za ani trochę mniej.

– W porządku, damy znać.

Następnego ranka z miasta powiatowego na ustrojonym w purpurę koniu przybył jeden z zarządców. Ustalona została data wyniesienia trumny i zapłacona zaliczka w wysokości pięciuset srebrnych dolarów, pozostałe pięć setek miano przekazać po wykonaniu zadania. Koń był spocony od szybkiego biegu, w kącikach jego warg zebrały się białe bąbelki piany.

W dniu pogrzebu sześćdziesięciu czterech tragarzy wstało przed świtem. Zapalili ogień pod kuchnią, spożyli niezwykle obfite śniadanie, przygotowali narzędzia i w blasku gwiazd wyruszyli do stolicy powiatu Jiao. Pochód zamykał pan Cao Drugi na czarnym ośle.

Dziadek dobrze pamiętał, że niebo tego ranka było usiane gwiazdami, rosa była lodowata, a stalowy hak, który miał zatknięty za pas, obijał mu się ciężko o biodro. Kiedy dotarli do Jiao, nastał świt, a ulice były już pełne ludzi, którzy przyszli popatrzeć na pogrzeb. Dziadek i jego koledzy, słysząc szepty dobiegające z tłumu, maszerowali z podniesionymi głowami i wypiętymi piersiami jak dumni bohaterowie, starając się robić wrażenie na gapiach, w głębi duszy jednak trawił ich niepokój, a serca przygniatał ciężar troski.

Domostwo rodziny Qi składało się z rzędu krytych dachówką budynków. Dziadek i pozostali poszli za służącymi przez trzy kolejne bramy i zatrzymali się na dziedzińcu pełnym sztucznych śnieżnobiałych drzew o srebrnych

kwiatach. Ziemię pokrywały papierowe pieniądze ofiarne, dym kadzideł unosił się w powietrzu. Na taki przepych i wystawność stać było niewiele rodzin.

Do pana Cao Drugiego zbliżył się zarządca w towarzystwie głowy rodu. Był to mężczyzna około pięćdziesiątki, miał mizerną twarz i mały haczykowaty nos wyrastający wysoko nad szerokimi ustami. Omiótł spojrzeniem przypro- wadzonych przez Cao tragarzy. Dziadek dostrzegł w jego trójkątnych oczach groźne błyski. Mężczyzna skinął głową Cao Drugiemu i powiedział:

– Jak się płaci tysiąc dolarów, to i oprawa musi swoje kosztować.

Cao Drugi także skinął głową i przeszedł za gospodarzem przez ostatnią z bram.

Kiedy wyłonił się z powrotem, jego zwykle czerstwa, lśniąca twarz była szara jak popiół, a palce o długich paznokciach drżały. Przywołał tragarzy pod mur i wyjąkał przez zęby:

– No to po nas, chłopcy.

– Co się stało, panie Drugi? – spytał dziadek.

– Bracia... Trumna jest prawie tak samo szeroka jak ta brama, a na wieku stoi czarka po brzegi pełna wódki. Senior rodu Qi powiedział, że jeśli wylejemy choćby kroplę, zapłacimy sto dolarów kary!

Jego podwładni oniemieli z przerażenia. Z komnaty dobiegły lamenty żałobników, które brzmiały jak smutna pieśń.

– Co robić, Zhan'ao? – spytał Cao Drugi.

– Teraz już za późno, żeby tchórzyc. Wytargamy tę trumnę, choćby była z litego żelaza!

– No dobrze, chłopcy – odrzekł cicho Cao Drugi. – Jeśli wam się uda, będziecie dla mnie jak synowie. Z tego tysiąca dolarów Cao nie weźmie ani grosika – wszystko będzie wasze!

Dziadek zerknął na niego.

– Już niech pan tyle nie gada – odparł.

– No to przygotujcie się. Zhan'ao, Sikui, wy zajmiecie się liną, jeden z tyłu, drugi z przodu. Dwudziestu – na środek. Kiedy trumna zostanie podniesiona, wejdziecie pod spód i oprzecie ją na grzbietach. Pozostali niech czekają tu przed drzwiami, a potem ruszą w rytm mojego gongu. Bracia, Cao Drugi jest wam głęboko wdzięczny!

Pan Cao Drugi, zwykle tak despotyczny, tym razem zgiął się przed swoimi pracownikami w pokłonie, a w jego oczach zalśniły łzy.

Mężczyzna z rodu Qi zbliżył się do nich z grupą służących.

– Nie spieszcie się tak – powiedział z szyderczym uśmiechem. – Najpierw trzeba was przeszukać.

– A cóż to za obyczaj? – zapytał z oburzeniem Cao Drugi.

– Tysiąc dolarowy! – uciał lodowato głowa rodu Qi.

Służący powyciągali stalowe haki zza pasów tragarzy i rzucili na ziemię. Haki padały z brzękiem, a twarze mężczyzn wyglądały, jakby pokryto je warstwą szarej farby.

Mężczyzna z rodu Qi patrzył na stertę haków z kpiącym uśmiechem.

No dobra, pomyślał dziadek. Kto nie umie ruszyć trumny bez stalowych haków, ten mięczak. Do jego serca napłynęło wzniosłe, dramatyczne uczucie, jakby był skazańcem idącym na śmierć. Zawiązał ciasno nogawki spodni u dołu, po czym wstrzymał oddech i zacisnął pas tak mocno, jak potrafił.

Kiedy tragarze weszli do komnaty żałobnej, otaczający trumnę członkowie rodziny Qi, mężczyźni i kobiety, przestali lamentować. Wszystkie oczy otwarły się szeroko i wpatrzyły w tragarzy oraz czarke wybornego trunku, stojącą na trumnie. Komnatę wypełniał duszący dym, w którym twarze żywych wyglądały jak unoszące się w powietrzu złowrogie maski.

Ogromna, czarna trumna członka Akademii Hanlin spoczywała na czterech niskich stołkach niczym zakotwiczony w doku statek. Serca tragarzy biły niczym gongi.

Dziadek zdjął z pleców zwój grubej konopnej liny i poprowadził ją pod dnem trumny. Na jej końcach znajdowały się pętle z mocnego białego płótna. Tragarze dowiązali do liny kilkadziesiąt płóciennych pasów, podzielili je na dwie strony trumny i chwycili mocno w dłonie.

Pan Cao Drugi uniósł swój gong. Dang! – dźwięk rozdarł powietrze. Dziadek przykucnął z przodu trumny, czyli w najniebezpieczniejszym, najważniejszym i najbardziej honorowym miejscu. Do przyjęcia pozycji kucznej zmusiło go wezglowie trumny, ścięte skośnie niczym rufa statku. Grube płócienne pasy wbiły się w jego kark i ramiona – dziadek zaczynał przeczuwać jej prawdziwy ciężar.

Pan Cao Drugi uderzył trzykrotnie w gong.

– W górę! – zakrzyknął na całe gardło.

Usłyszawszy gong, dziadek głęboko wciągnął powietrze i wstrzymał oddech, kierując wszystkie swoje siły i energię do kolan. Oszołomiony, ledwie słysząc sygnał dany przez Cao, wyzwolił skumulowaną w kolanach moc. Wyobrażał sobie przy tym, że mieszcząca doczesne szczątki uczonego

Akademii Hanlin z rodu Qi trumna unosi się nad ziemią i lewituje, płynie niby parostatek, otoczona obłokami kadzidlanego dymu. Wizję zburzyło uderzenie pośladek o twardą podłogę i silny ból kręgosłupa.

Pan Cao Drugi na ten widok o mało nie zemdłał. Gigantyczna trumna tkwiła wciąż na miejscu niczym ogromne, głęboko zakorzenione drzewo, a jej tragarze poupadali na ziemię niczym jaskółki, które chcąc wylecieć przez okna, zderzyły się z szybami. Ich twarze przybrały barwy od jasnoczerwonej do sinofioletowej, po czym zrobiły się bladoszare niczym świński mocz, który stracił kolor. Cao już wiedział, że to koniec. Koniec pieśni, kłapa! Patrząc na swojego dziarskiego Yu Zhan'ao, siedzącego na ziemi z miną matki pochylonej nad martwym dzieckiem, nie miał już wątpliwości: to przedstawienie zakończyło się totalną klęską.

Dziadek wyobraził sobie, że słyszy szyderczy śmiech uczonego z rodu Qi, zanurzonego w przelewającym się żywym srebrze. Zarówno zmarli, jak i żywi członkowie rodziny Qi byli najwyraźniej zdolni wyłącznie do jednego rodzaju śmiechu. Uczucie trudnego do zniesienia upokorzenia, wściekłość na ów gigantyczny, ciężki przedmiot oraz spowodowany silnym bólem lęk przed śmiercią – wszystkie te emocje zlały się w jeden mętny nurt, który potężną falą wdarł się w jego serce.

– Bracia... – błagał Drugi Cao. – Bracia... Nie chodzi o mnie... Ruszcie to... Zróbcie to dla Północno-Wschodniego Gaomi... – Cao ugryzł się w opuszek środkowego palca, aż popłynęła z niego ciemna krew. – Bracia! – zawołał. – Dla Północno-Wschodniego Gaomi!

Znowu zabrzmiał gong, a dziadek poczuł rozdzierający ból. Tym razem pałeczka Cao uderzyła nie tylko w wypukłą powierzchnię instrumentu, lecz także prosto w jego serce oraz w serca wszystkich tragarzy.

Dziadek zamknął oczy i zaczął dźwigać się w górę w szalonym, samobójczym zrywie (tymczasem Cao zauważył, że korzystając z zamieszania, tragarz zwany Kogucikiem niepostrzeżenie, niezwykle szybkim ruchem zanurzył usta w czarce z wódką i zaczerpnął łyk). Trumna chwiejnie uniosła się nad stołkami. Komnatę wypełniła martwa cisza, w której słychać było tylko trzeszczenie stawów tragarzy.

Dziadek nie wiedział, że w chwili gdy podnosił trumnę, jego twarz była trupio blada. Czuł tylko, że płócienna pętla zaciska się na jego gardle, niemal łamie kark, a jego kręgi za chwilę staną się podobne do zgniecionych na miazgę owoców głogu. Nie mógł się wyprostować – krótki moment zwątpienia wystarczył, by osłabić niezłomną wolę. Kolana dziadka ugięły się niczym nadtopiona stal.

Sprawiło to, że rtęć wewnątrz trumny przemieściła się ku przodowi i gigantyczne wezglowie obniżyło się, jeszcze mocniej, naciskając na zgięty grzbiet dziadka. Czarka wódki na wieku już się przechylała i powierzchnia przejrzystego płynu niemal dosięgła wrąbka naczynia. Członkowie rodziny Qi wpatrywali się w nią szeroko otwartymi oczyma.

W tym momencie Cao Drugi wymierzył dziadkowi siarczysty policzek.

Dziadek pamiętał, że w głowie mu zahuczało, przestał czuć, że ma grzbiet, nogi, ramiona i szyję, jakby je wyparł ze świadomości, jakby zagarnął je jakiś nieznany duch. Zasłona z czarnego muślinu zawisała mu przed oczyma, rozświetlana przez sypiące się na nią z sykiem złote iskry.

Dziadek się wyprostował, a trumna podniosła się o trzy stopy w górę. Sześciu tragarzy wśliznęło się na czworakach pod jej dno i dźwignęło ją na swoich grzbietach. Dopiero w tym momencie dziadek wypuścił z płuc lepki oddech. Czuł, że wraz z tym wydechem wzbiera w nim ciepła fala, wypełnia krtani i tchawicę, wznosząc się z wolna ku górze.

Trumna została przeniesiona przez wszystkie siedem bram i umieszczona pod wielkim błękitnym baldachimem.

Dziadek zdjął z siebie białą płócienną pętlę i otworzył usta. Spomiędzy jego warg oraz z nozdrzy trysnęła czerwona krew.

Człowiek, który swego czasu wykazał się takim mistrzostwem, czuł pogardę dla stojących bezradnie wokół trumny babki członków Żelaznego Stowarzyszenia. Wolał jednak milczeć. Dopiero gdy jeden z żołnierzy nadbiegł ze zwojem namoczonego białego płótna, zbliżył się i osobiście obwiązał trumnę, wybrał starannie szesnastu ludzi, rozstawił ich i na jego komendę „w górę!” trumna została dźwignięta z ziemi. Kiedy trumnę babki wniesiono pod wielki baldachim, dziadek wrócił do wspomnień.

Kondukt pogrzebowy rodziny Qi przypominał gigantycznego białego smoka. Kiedy stapał po zielonkawym bruku, opuszczając stolicę powiatu Jiao, przechodnie nie zwracali najmniejszej uwagi na akrobatów na szczudłach, kukły lwów i połykaczy ognia – wszyscy wpatrywali się z żałobnymi minami w sześćdziesięciu czterech tragarzy, w ich śmiertelnie blade oblicza i kropelki krwi kapiące z nozdrzy. Dziadek przemieścił się wówczas na tył, gdzie na pręt napierał najmniejszy ciężar. Wypełniało go gorąco, w ustach miał słodki smak. Twarda powierzchnia brukowanej drogi wydawała się skwierczeć jak wrzący olej.



Mój ojciec ubrany w żałobny strój stał z karabinem w ręku na wysokim stołku, z twarzą skierowaną na południowy zachód. Uderzając drewnianą kolbą w ziemię raz po raz, skandował na cały głos:

– Matko! Matko! Zdażaj na południowy zachód! Przed tobą szeroka droga, wielki statek pełen skarbów, rącze konie, majątek na podróż! Matko! Matko! Odpoczywaj wśród słodczy, unikaj cierpienia i trudów, wydawaj pieniądze!

Mistrz ceremonii kazał mu trzykrotnie powtórzyć tę pożegnalną pieśń, bo jedynie pełne miłości nawoływania bliskich mogą zaprowadzić duszę zmarłego do rajy na południowym zachodzie. Ojciec jednak wyrecytował ją tylko raz – później gorzkie łzy zalały mu gardło. Z bronią wiszącą w ręku wykrzyczał jeszcze tylko jedno przeciągłe „matko...” – słowo to, niczym wielki jak wachlarz szkarłatny motyl o skrzydłach w idealnie symetryczne złote wzory, poszybowało w kierunku południowo-zachodnim, ku rozległym pustkowiom i powietrznym prądom, tam gdzie kwietniowe, niepewne słońce wzniosło biały parawan nad Rzeką Czarnej Wody. „Matko” nie umiało sforsować tej fałszywej zasłony, po chwili wahania zawróciło więc ku wschodowi, mimo nawoływań mego ojca, który wysyłał je na południowy zachód, by tam zażywało radości w rajy. Babka jednak wcale nie chciała tam iść. Podążała wzdłuż krętego wału, niosąc placki dla oddziału mego dziadka; od czasu do czasu zatrzymywała się i odwracała głowę, przyzywając spojrzeniem złotych oczu swego syna, a mego ojca. Gdyby ojciec nie podpierał się karabinem, już dawno osunąłby się na ziemię. Czarnooki zbliżył się i zdjął go ze stołka. Muzykanci zagrali piękną melodię, a wydzielany przez tłum smród, wspaniały blask pogrzebowych insygniów i dekoracji oraz gęsta mgła demonów spowiły ciało i duszę ojca niczym potrójna warstwa plastikowej folii.

Dwadzieścia dni wcześniej dziadek zabrał ze sobą ojca i poszli rozkopać grób babki. Nie był to dobry dzień dla jaskółek – na niskim niebie wisiał tuzin podobnych do poszarpanej watoliny, zgniłych chmurek, wydzielających woń zepsutych ryb i krewetek. Nieprzyjazny wiatr niósł złe powietrze wzdłuż Rzeki Czarnej Wody, gdzie na porośniętych zeszlými szuwarami płyciznach walały się gnijące, jeszcze nie całkiem rozłożone szczątki psów, rozerwanych ręcznymi granatami w trakcie wielkiej wojny psio-ludzkiej z zeszłej zimy. Jaskółki, które dopiero co nadleciały z wyspy Hainan, kołowały przerażone nad wodą, gdzie wymizerowane i poczerniałe, wyczerpane po długiej zimie, rozpalone namiętnością żaby właśnie zaczynały okres godowy.

Patrząc na jaskółki i żaby, na most na Rzece Czarnej Wody, naznaczony bólem i cierpieniem, ojciec czuł się samotny i przygnębiony. Obudzeni z

zimowego snu, szarzy ludzie sadzili sorgo w czarnej ziemi, z oddali dobiegał stukot siewników.

Ojciec stał nad mogiłą babki w towarzystwie dziadka i dziewiętnastu członków Żelaznego Stowarzyszenia, uzbrojonych w szpadle i motyki. Groby babki i groby towarzyszy broni dziadka tworzyły długą, wężowatą kolumnę. Na tle wyblakłej czarnej ziemi tu i ówdzie rozkwitały pierwsze złote mlecze.

Trzy minuty ciszy.

– To na pewno ten grób, Douguan? Dobrze pamiętasz? – spytał dziadek.

– Ten. Nigdy nie zapomnę.

– Dobra. Kopiemy!

Członkowie Żelaznego Stowarzyszenia unieśli swoje narzędzia, ale żaden jakoś nie śmiał zacząć. Dziadek zabrał jednemu z nich motykę, wcelował w wypukły niczym kobieca pierś kopiec nagrobny i uderzył z całej siły – ostrze ciężkiego narzędzia zagłębiło się w glebie z głośnym tąpnięciem. Dziadek pociągnął motykę do siebie i wielka czarna skiba stoczyła się z kopca na równą ziemię obok.

Kiedy dziadek wbijał motykę w grób, ojcu ścisnęło się serce. Poczul strach i nienawiść do tego brutalnego człowieka.

Dziadek odrzucił motykę na bok.

– Kopcie, kopcie... – powiedział słabym głosem.

Członkowie Żelaznego Stowarzyszenia otoczyli mogiłę babki i zabrali się do pracy. Po chwili kopiec był już zniwelowany, czarna ziemia odgarnięta na cztery strony, a pośrodku wyraźnie widniał kontur prostokątnego dołu. Gleba była wyjątkowo miękka i mało zbita, a dziura w ziemi kojarzyła się z pułapką na dzikie zwierzęta. Mężczyźni ostrożnie odgarniali glebę, warstwa po warstwie.

– Kopcie śmiało – zachęcał dziadek. – Mamy czas.

Ojciec przypomniał sobie wieczór dziewiątego dnia ósmego miesiąca 1939 roku, kiedy chowali babkę. Blask pożaru na moście i krąg pochodni oświetlały twarz zmarłej, sprawiając, że wyglądała jak żywa. Po chwili obraz ten zakryła czarna ziemia. Teraz odsłaniano go znowu i im cieńsza była warstwa gleby, tym większy niepokój odczuwał mój ojciec. Wydawało mu się, że przez ziemną zasłonę dostrzega uśmiech babki w chwili, gdy całowała się ze śmiercią.

\*

Czarnooki zaniósł mojego ojca do cienia.

– Douguan! Obudź się! – pokrzykiwał, poklepując go lekko po policzkach.

Ojciec ocknął się, ale nie chciał otwierać oczu. Jego spocone, rozpalone ciało i przegrzany umysł ogarnął chłód, jakby zimne tchnienie wydobywające się z mogiły babki wdarło się głęboko do jego serca i zamroziło je.

Kiedy łopaty napotkały szeleszczące źdźbła sorga, członkowie Żelaznego Stowarzyszenia zwolnili tempo. Odrzuciwszy ostatnią, przykrywającą zboże warstwę ziemi, wszyscy jednocześnie przestali kopać i spojrzeli błagalnie na dziadka i ojca. Ojciec patrzył na ich smutne twarze i drgające nosy. Z dołu wydobywał się silny smród rozkładu. Ojciec wdychał chciwie ową woń, jakby to był zapach mleka z piersi jego matki.

– Kopać, kopać! – wrzasnął bez krzty litości dziadek, patrząc gniewnym wzrokiem na zasmuconych mężczyzn.

Niechętnie schylili grzbiety, zaczęli wyciągać zboże z grobu i odrzucać je na bok. Gołe, pozbawione liści łodygi sorga były pokryte przejrzystymi kroplami wody. Wilgoć zabarwiła źdźbła na czerwono; gładkie i lśniące, przypominały mokry jasek.

Im głębiej się posuwali, tym bardziej wzmagał się smród; członkowie Żelaznego Stowarzyszenia zatykali rękawami nosy i usta, a oczy łzawiły im tak, jakby grzebali w posiekanej cebuli. W nozdrzach ojca jednak woń ta zamieniała się w mocny, upajający aromat sorgowej wódki, od którego kręciło mu się w głowie. Zauważył, że im bardziej mokre były źdźbła, tym jaskrawsza stawała się ich czerwona barwa. Ojciec przypuszczał, że to czerwony strój babki zabarwił sorgo na ten kolor. Pamiętał, że babka straciła krew do ostatniej kropli – przed śmiercią jej ciało było przezroczyste jak dojrzały jedwabnik, zatem tylko czerwone wdzianko mogło zafarbować szmaragdowo-zielone źdźbła.

Pozostała już tylko ostatnia warstwa; ojciec chciał jak najszybciej zobaczyć twarz babki i jednocześnie się tego bał. Mimo że zboża ubywało, babka wydawała się oddalać – podczas gdy materialna bariera między światem umarłych a światem żywych zmniejszała się, ta niematerialna stawała się coraz grubsza. Ostatnia warstwa słomy niespodzianie głośnie zaszeleściła: niektórzy członkowie Żelaznego Stowarzyszenia wydali przerażony okrzyk, inni byli zbyt przerażeni, by krzyczeć – z głębokiego dołu wydobyła się jakby potężna fala, która odsunęła ich od grobu. Dopiero po dłuższej chwili ich twarze odzyskały kolor i tylko dzięki naleganiom dziadka odważyli się w końcu zajrzeć do mogiły.

Ojciec zobaczył, jak wypełzają z niej cztery brązowe nornice. Była jeszcze piąta, biała, która przysiadła na samym środku grobu na wyjątkowo pięknym źdźble sorga, przebierając pazurkami. Spojrzenia wszystkich skupiły się

najpierw na czterech brązowych stworzeniach, które wspięły się po ścianach dołu i czym prędzej uciekły. Tymczasem biała siedziała dalej dumnie bez ruchu, spoglądając na ludzi czarnymi jak tusz ślepiami. Ojciec podniósł grudkę ziemi i rzucił w zwierzę. Nornica dała susa na dwie stopy w górę, ale nie dosięgła brzegów mogiły – wpadła z powrotem w głąb i biegła jak szalona wzdłuż ścian. Członkowie Żelaznego Stowarzyszenia, przepełnieni obrzydzeniem, zaatakowali gryzonia grudami ziemi i ciskali w niego tak długo, aż legł martwy. Słyszając bębnienie ziemi o ostatnią warstwę zboża, ojciec zaczął gorzko żałować tego, co uczynił – to on zaczął rzucać ziemią w nornicę, a pozostali poszli w jego ślady – tymczasem grudy, zamiast trafiać w zwierzę, uderzały w ciało jego matki.

Według ojca babka wyłoniła się z grobu piękna i świeża jak kwiat, a jej mogiła była pełna blasku i upajającego aromatu – wszystko wyglądało dokładnie tak jak w baśniach. Jednak obecni przy tym członkowie Żelaznego Stowarzyszenia negowali jego opowieść – wszyscy krzywili się na samo wspomnienie i ze szczegółami opisywali wstrętny widok rozkładającego się ciała i jego duszący odór. Ojciec twierdził, że kłamia. Pamiętał, że jego zmysły były owego dnia bardzo wyostrzone i że na własne oczy widział, jak po zdjęciu ostatniej warstwy sorga ukazała się piękna twarz babki, a jej cudowny, słodki uśmiech sprawiał, że powietrze wokół trzaskało niczym płomienie. Aromat, który wtedy poczuł, zapisał się na trwale w jego umyśle. Żałował tylko, że chwila ta trwała tak krótko. Ledwie wyjęto ciało babki z grobu, całe piękno, splendor i aromat zamieniły się w obłoczek dymu i rozpląnęły w powietrzu, pozostał jedynie biały szkielet. Ojciec przyznawał, że poczuł wówczas trudną do zniesienia, przykrą woń, ale w głębi duszy był przekonany, że nie jest to szkielet jego matki, a rozsiewany przezeń zapach także nie jest jej zapachem.

Były to chwile najsmutniejsze dla dziadka. Siedmiu członków Żelaznego Stowarzyszenia po wyjęciu ciała babki z grobu uciekło nad rzekę i wymiotowało tam ciemnozieloną cieczą do ciemnozielonej wody. Dziadek rozłożył dużą płachtę białego płótna i kazał ojcu, by razem z nim przeniósł szkielet babki na płótno. Pod wpływem dobiegających z rzeki odgłosów szyja ojca wyciągnęła się jak u piejącego kogucika, a z gardła wydobył się czkający dźwięk. Bardzo nie chciał dotykać tych białych kości, czuł do nich niebywały wstręt.

– Douguan, brzydzisz się kości własnej matki? – spytał dziadek.

Mój ojciec, poruszony rzadko widywanym na twarzy dziadka wyrazem rozpacz, schylił się i na próbę chwycił nogę szkieletu. Błede kości były tak zimne, że poczuł chłód w całym ciele, a w środku wszystko w nim zastygło w lodowatą bryłę. Dziadek tymczasem chwycił szkielet za łopatki i delikatnie spróbował go podnieść, kości jednak rozsypały się, tworząc bezładny stosik.

Pokryta wijącymi się długimi, czarnymi włosami czaszka uderzyła dziadka w stopę; z oczodołów, w których niegdyś były lśniące jak woda oczy babki, wypłynęły dwie czerwone mrówki, poruszając czułkami. Ojciec wypuścił piszczel babki, odwrócił się i uciekł z głośnym płaczem.

## 4

W samo południe, zgodnie z regułami ceremonii, mistrz ogłosił:

– Kondukt rusza!

Żałobnicy ruszyli, szli polem niby olbrzymia fala. Ci, którzy czekali wzdłuż drogi, dojrzeli najpierw czarnogłowy tłum wysypujący się z wioski, a potem niesioną przez tragarzy trumnę, która płynęła ku nim niczym góra lodowa. Po obu stronach drogi, mniej więcej co dwieście metrów, poustawiano otwarte szałas, w których znajdowały się bogate ofiary pogrzebowe: potrawy kwaśne, słodkie, gorzkie i ostre, gorące i tak aromatyczne, że gościom ciekła ślina. Kawaleria pod wodzą oficera Pięc Awantur pełniła straż po obu stronach drogi, galopując w tę i z powrotem wśród zboża. Pałace słońce stało wysoko na niebie, nad czarną ziemią zawisła sinawa para. Zlane potem konie rozdymały nozdrza, do piany w kącikach ich pysków lepił się kurz. Blask słońca odbijał się w lśniacej od tłustego potu skórze. Kopyta wierzchowców wzbijały wielkie obłoki czarnego pyłu, który długo wisiał w powietrzu, nie chcąc opaść.

Kondukt prowadził gruby mnich odziany w żółtą szatę, odsłaniającą lewe ramię. W ręku trzymał ozdobną halabardę obwieszoną dzwoneczkami, wywijał nią zręcznie i od czasu do czasu podrzucał w powietrzu to w górę, to ku patrzącym – bez względu na to, jak daleko rzucał, zawsze do niego wracała, jakby połączona z jego dłonią niewidzialną nicią. Część gapiów rozpoznawała w nim mnicha ze świątyni Tianqi, który nigdy nie palił kadzidełek ani nie śpiewał sutr, tylko opijał się winem i objadał mięsem i rybami, a w dodatku trzymał w świątyni kochankę – drobną, ale wyjątkowo płodną kobietę, która urodziła mu całą gromadkę małych mniszków. Wyrzucając halabardę w stronę ludzkich głów, z szerokim uśmiechem obserwował, jak tłum posłusznie rozstępuje się przed nim.

Za mnichem maszerował członek Żelaznego Stowarzyszenia z długim kijem w ręku, na którym wisiał przyzywający duchy proporzec zrobiony z trzydziestu dwóch pasków białego papieru, symbolizujących trzydzieści dwa lata życia babki. Papier szeleścił nawet w chwilach, gdy powietrze było całkowicie nieruchome. Za proporcem postępowała chorągiew honorowa, wysoka na dziesięć stóp, niesiona przez rosłego i krzepkiego żołnierza. Na chorągwi z białego jedwabiu, ozdobionej frędzlami, wypisano czarnym tuszem: „Mary pani Dai, która żyła trzydzieści dwa lata, żony Yu Zhan’ao, komendanta

oddziału partyzanckiego z Północno-Wschodniego Powiatu Gaomi w Republice Chińskiej”. Za chorągwią niesiono mniejszy baldachim, pod którym znajdowała się tabliczka ducha babki, a za nim wielki baldachim, osłaniający jej trumnę. Sześćdziesięciu czterech członków Żelaznego Stowarzyszenia maszerowało równo w rytmie żałobnej muzyki niczym sześćdziesiąt cztery marionetki. Za trumną podążał pochód niezliczonego mnóstwa chorągwi, parasoli, wachlarzy, zwojów ofiarnych, papierowych figur koni i ludzi, sosen i wierzb. Ojca, ubranego w żałobny strój z kapturem i trzymającego wierzbową gałązkę, niosło dwóch członków Żelaznego Stowarzyszenia z wygolonymi głowami. Na każdy krok przypadał jeden żałobny jęk. Lamenty należały do gatunku suchych – w spoglądających obojętnie w dal oczach ojca nie było łez. Taki lament, podobny do burzy bez deszczu, wzruszał słuchaczy bardziej niż płacz. Nieprzebrany tłum gości pogrzebowych był pod głębokim wrażeniem.

Dziadek i Czarnooki szli ramię w ramię za moim ojcem. Szli z ciężkimi sercami, a poważne twarze nie zdradzały ich myśli.

Obok nich maszerowało dwudziestu kilku uzbrojonych w karabiny żołnierzy Stowarzyszenia, bagnety połyskiwały w słońcu niebieskawym blaskiem. Mieli marsowe miny, niczym przed wielką bitwą. Za nimi podążało kilkanaście kapel z całego Północno-Wschodniego Gaomi, wygrywających piękną melodię, dalej tanecznym krokiem szli poprzebierani za postacie z mitów i legend akrobaci na szczudłach, a na końcu kukły dwóch wielkich lwów, wywijające łbami i ogonami.

Orszak wił się jak wąż przez co najmniej dwa *li*. Marsz był utrudniony ze względu na liczbę ludzi i wąską drogę, a także umieszczone wzdłuż niej szalasy ofiarne – przy każdym zatrzymaniu się i oddawano hołd duchom, paląc kadzidelka, a mistrz ceremonii, z pucharem z brązu w dłoni, odprawiał starożytny rytuał. Wszystko to sprawiało, że kondukt posuwał się niezwykle wolno. Zmęczony mnich z halabardą tak się spocił, że jego szata była cała mokra, dzwoneczki pobrzękiwały niemrawo, a halabarda wzlatywała w powietrze coraz niżej. Wszyscy uczestnicy ceremonii odczuwali wielkie znużenie ciała i ducha i z utęsknieniem wyczekiwali końca tego ciężkiego zadania. Dźwigający baldachim członkowie Żelaznego Stowarzyszenia popatrywali ze złością na mistrza ceremonii z pucharem, na wszystkie jego sztuczne, afektowane gesty, wykonywane niespiesznie i metodycznie, z udawaną powagą i smutkiem, i mieli coraz większą ochotę rzucić się na niego. Najbardziej zmordowani byli kawalerzyści pod dowództwem Pięciu Awantur, którzy kłusowali w tę i z powrotem pomiędzy wioską a cmentarzem: konie ledwie dyszały, a ich nogi i brzuchy pokrywała gruba warstwa czarnej ziemi.

Gdy kondukt oddalił się na trzy *li* od wioski, zatrzymano się kolejny raz, by złożyć ofiary. Mistrz ceremonii zachowywał się tak samo uroczyście i

poważnie jak wcześniej. Niespodzianie od strony czoła pochołu rozległ się huk wystrzału. Żołnierz Żelaznego Stowarzyszenia, który trzymał chorągiew honorową, osunął się z wolna i przysiadł na ziemi, a bambusowy pręt z chorągwią przechylił się i runął na głowy tłumu gapiów obok drogi. Ogłuszeni hałasem ludzie zaroili się niczym wielkie stado czarnych mrówek, przebierając niezliczoną liczbą nóg; wrzawa przypominała huk rzeki, która przerwała wał.

Po tym jak rozległ się strzał, z ciżby po obu stronach drogi wzbilo się w powietrze kilkanaście czarnych, lśniących ręcznych granatów i wylądowało u stóp członków Żelaznego Stowarzyszenia, plując białym dymem.

– Ludzie! Na ziemię! – krzyknął ktoś w tłumie.

Wieśniacy jednak byli tak stłoczeni, że ledwie mogli się poruszać – patrzyli tylko, jak żołnierze Stowarzyszenia kładą się na drodze, a granaty z drewnianymi trzonkami drgają, syczą i promieniują ciemnoniebieskim, śmiertelnym przerażeniem.

Granaty wybuchały po kolei; potężne, złoście eksplozje rozpryskiwały się w powietrzu na kształt wachlarzy. Kilkunastu członków Żelaznego Stowarzyszenia zostało zabitych lub poranionych, w tym Czarnooki, w którego pośladku ziała krwawiąca dziura. Zatykając ranę dłonią, krzyczał:

– Fulai! Fulai!

Niestety Fulai, chłopak w wieku mojego ojca, nie mógł odpowiedzieć na jego wołania, nie mógł już przyjść mu z pomocą. Kiedy poprzedniego wieczora wyciągnięto z kieszeni medyka dwie szklane kulki: czerwoną i zieloną, i ojciec dał mu zieloną, Fulai włożył ją sobie do ust niczym cenny klejnot i trzymał ją tam, turlając językiem. Teraz zielona kulka leżała w kałuży krwi płynącej z ust chłopca – zielona jak jadeit, najzieleńsza, jak tylko być może, jarząca się zielonym blaskiem, niczym eliksir nieśmiertelności wypluwany przez lisiego ducha z legend.

Odlamek wielkości ziarna soi trafił mistrza ceremonii, przecinając mu tętnicę szyjną, z rany trysnęła świeża czerwona krew. Mistrz osunął się na ziemię, upuszczając puchar, którego zawartość rozlała się po czarnej glebie i zamieniła w obłoczek pary. Krople krwi rannego uderzały o ziemię niczym gwałtowna ulewa, aż wybiły w niej dołek wielkości pięści. Duży baldachim przechylił się, odsłaniając czarną trumnę babki.

Z tłumu obok drogi znowu dało się słyszeć wołanie:

– Rodacy! Na ziemię! Padnij!

Zaraz potem nadleciały kolejne granaty. Dziadek, trzymając mojego ojca w ramionach, padł na ziemię i przeturlał się do przydrożnego rowu; dziesiątki stóp deptały jego zranioną rękę, ale nie czuł w niej bólu, tylko ucisk.

Przynajmniej połowa członków Żelaznego Stowarzyszenia rzuciła broń i uciekała w popłochu jak szczury, zasłaniając głowy rękoma, a reszta stała jak wryta, czekając, aż granaty wybuchną. W końcu dziadek dojrzał człowieka, który rzucał granatami. Jego twarz skojarzyła mu się z biegnącą w dal drogą, nad którą unosiły się dumnie tumany żółtego pyłu, a pył ten miał woń zdradliwych lisów. Twarz ta nosiła wyraźne piętno Ósmej Armii. Batalion Jiaogao! Ludzie Jianga Małonogiego!

Eksplodowały kolejne granaty. Dym kłębił się nad drogą, chmury pyłu ulatywały ku niebu, odłamki roily się w powietrzu jak szarańcza, z gwizdem strącając ludzi na ziemię jak ścinane kłosa. Kilkudziesięciu członków Żelaznego Stowarzyszenia powaliła potężna fala uderzeniowa – łamała grzbiety, obrywała kończyny. W powietrzu unosiła się woń wnętrzości i krwi, która niczym kulki gradowe – albo jak cudowna, czuła miłość – zraszała głowy tłumów.

Dziadek niezręcznie wyciągnął pistolet i wycelował w to pojawiającą się, to znikającą w masie innych głowę żołnierza Ósmej Armii. Nacisnął spust, kula trafiła prosto między brwi, dwie zielonkawe gałki oczne, podobne do jaj ćmy, wyskoczyły z oczodołów ofiary.

– Towarzysze! Do ataku! Zabrać im broń! – dobiegło z tłumy.

Członkowie Żelaznego Stowarzyszenia, a wśród nich Czarnooki, otrząsnęli się z szoku i zaczęli mierzyć i strzelać do tłumy. Każda kula trafiała w czyjeś ciało, a następnie przesywała kolejne, by w końcu albo utkwic w którymś na dobre, albo wyrwać się i zaryć w czarną ziemię, opisując przedtem w powietrzu piękny, melancholijny łuk.

Żołnierze Ósmej Armii walczyli rozpaczliwie o życie niczym tonący. Dziadek bezbłędnie wylawiał z morza przerażonych ludzi ich twarze – malujący się na nich wyraz drapieżnego okrucieństwa dźgał go w serce jak nóż. Kiełkujące w nim niegdyś przyjazne uczucia zamieniły się w zgrzytającą zębami nienawiść. Po kolei, precyzyjnie roztrzaskiwał te twarze, starając się nie trafić w nikogo niewinnego. Później, w latach samotności, doszedł do wniosku, że wszyscy ci, których dosięgły kule Czarnookiego i żołnierzy Żelaznego Stowarzyszenia, byli zwykłymi, niewinnymi ludźmi.

Ojciec wymknął się z objęć dziadka i wyciągnął swoje parabellum. Z zamglonym wzrokiem, ogłuszony potężną falą huk, odruchowo oddał strzał. Zgodnie ze swoim zwyczajem podążył wzrokiem za kulą: patrzył, jak okrągły pocisk wbija się prosto w czyjeś otwarte usta. Były to usta dwudziestolatki uczesanej w kok, o czerwonych wargach, białych perłowych zębach, obfitym podbródku – miała wszystkie cechy, które winna posiadać piękna kobieta. Dziadek usłyszał wydobywające się z jej ust skrzeknięcie podobne do żabiego; trysnęła z nich krew pełna białych odłamków roztrzaskanych zębów. Łagodne,



szarozielone, duże oczy wpatrywały się w ojca. Po chwili kobieta osunęła się na ziemię i zatoneła w ludzkim morzu.

Od wioski dobiegł dźwięk trąbki – sygnał do ataku. Dziadek zobaczył, jak ponad setka żołnierzy Jiaogao, prowadzona przez Małonogiego Jianga, pędzi na nich, wymachując szablami, karabinami i kijami. W polu sorga na południe od wsi Pięć Awantur uderzył płazem szabli w zad swojego dropiatego wierzchowca i poprowadził kawalerię galopem na północ. Koń dyszał ciężko jak gruźlik, jego szyję pokrywał pot, gęsty i lepki jak miód. Uciekający tłum blokował przejazd konnym; Pięć Awantur, poganiając dropiatego, wtargnął między ludzi, ci zaś, nie mogąc się zatrzymać, wpadali na konia. Wyglądało to tak, jakby kawaleria tonęła w bagnie: konie wyciągały w górę szyje, rżąc żałośnie. W pobliżu dowódcy oszalały, napierający tłum przewrócił dwa wierzchowce, obaj kawalerzyści spadli z siodeł. Konie i jeźdźcy, tratowani przez niezliczone czarne stopy, wydawali tak samo rozpaczliwe okrzyki. Jeden z żołnierzy Batalionu Jiaogao, uzbrojony w mauzer – być może on właśnie wcześniej zastrzelił niosącego chorągiew członka Żelaznego Stowarzyszenia – został przez tłum wepchnięty prosto pod konia oficera Pięć Awantur. Przy stojna twarz dowódcy w jednej sekundzie wykrzywiła się w złowrogim grymasie. Żołnierz wystrzelił, lecz kula poszybowała w niebo. Błysnęła japońska szabla dowódcy kawalerii i odcięty czubek ostrzyżonej na jeża głowy członka Ósmej Armii, podobny do czarnego kapelusika, pofrunął w stronę otaczającego tłumy, ochlapując czarną krwią twarze kilkunastu ludzi.

Członkowie Żelaznego Stowarzyszenia, którzy zostali na drodze, zwierali szyki, musztrowani surowo przez dziadka. Korzystając z osłony, jaką dawały proporce i flagi oraz przydrożne szałaszy do składania ofiar, zaczęli strzelać do podkomendnych Małonogiego Jianga.

Siły Batalionu Jiaogao zostały poważnie uszczuplone przez zaciągi do oddziałów dziadka, był on też słabo uzbrojony, lecz żołnierze walczyli mężnie i z poświęceniem. Mimo że padali jak muchy pod gradem kul, szarża nie zwalniała tempa. Ich prymitywna broń mogła być skuteczna tylko w walce wręcz, mimo to atakowali falą za falą, miażdżąc Żelazne Stowarzyszenie siłą swego bohaterstwa. Kule członków Stowarzyszenia częściej trafiały teraz w niebo. Skróciwszy dystans, żołnierze Jiaogao zaczęli miotać w nich granatami, a przerażeni stowarzyszeniowcy rzucali się do ucieczki, ścigani bezlitośnie przez szarpiące ich ciała odłamki. Ten atak granatów skończył się nieszczęśliwie dla zebranych po obu stronach drogi muzykantów, szczudlarzy i niosących lwie kukły. Potrzaskane trąbki i oboje wzleciały w niebo razem z fragmentami porozrywanych ciał grajków, po czym z wolna opadły na ziemię. Szczudlarze, których nogi przytwierdzone były do drewnianych prętów, nie mogli swobodnie się poruszać i kiedy zapanowała panika, niemal wszyscy zostali zepchnięci z drogi. Ich nogi tkwiły wciąż w czarnej ziemi, niby

wyschnięte drzewa posadzone wśród zboża. Krzyki trafianych odłamkami szrudlarzy budziły największą grozę, a ich twarze miały najbardziej przerażający wyraz.

Pięć Awantur, patrząc na pokonanych towarzyszy broni, był coraz bardziej zrozpaczony i dezorientowany. Wymachiwał wściekle szablą, raniąc wszystkich naokoło, a jego dropiaty rumak kąsał jak pies każdego, kto stanął mu na drodze. Przed nim i za nim rozbrzmiewał świst szabel tnących ludzkie ciała oraz histeryczny śmiech śmiertelnie przerażonych ludzi.

Pięć Awantur poprowadził swój oddział do ataku – prosto pod deszcz granatów żołnierzy Batalionu Jiaogao. Wiele lat później dziadek i ojciec wspominali ich doskonale wyćwiczoną technikę rzucania. Podobnie jak mistrz gry w szachy, pokonany przez słabego przeciwnika jakimś sprytnym ruchem, nie mogli nie przyznać się do porażki, w głębi duszy jednak czuli, że przegrali niezasłużenie.

Kiedy wycofywali się w stronę Rzeki Czarnej Wody, pocisk z odzysku, wystrzelony ze starego, zniszczonego karabinu Hanyang przez żołnierza Batalionu Jiaogao, trafił ojca w pośladek. Dziadek nigdy w życiu nie widział takiej rany postrzałowej. Cała we krwi, wyglądała jak po ugryzieniu wściekłego psa. Żołnierzom Jiaogao brakowało amunicji, toteż po każdej bitwie zbierali zużyte łuski, by przerobić je na nowe naboje. Nie wiadomo, jakiego nędznego materiału używali do ich produkcji – opuszczający lufę pocisk był już stopiony i ścigał potencjalną ofiarę niczym kleks rozżarzonej plwociny. Ojca trafiła taka właśnie kula.

Ostatnia partia granatów poczyniła spustoszenia wśród kawalerzystów. Ludzie padali, konie się przewracały. Dropiaty wierzchowiec dowódcy podskoczył, rżąc żałośnie, po czym runął na drogę jak zwalony mur; w jego brzuchu ziała dziura wielkości pięści, z której najpierw wypłynęły wnętrzości, a potem zaczęła cieknąć krew. Pięć Awantur znalazł się w płytkim przydrożnym rowie i gdy się z niego wygramolił, zobaczył żołnierzy Ósmej Armii, którzy szli ku niemu z lśniącymi bagnetami. Dowódca zdjął z szyi karabin półautomatyczny i po chwili tuzin przeciwników padł przed nim na ziemię, machając bezładnie rękoma. Kilkunastu konnych członków Żelaznego Stowarzyszenia, którzy nie doznali jeszcze żadnych ran, zaszarżowało na żołnierzy Ósmej Armii. Cięli ich szablami, tamci zaś kłuli bagnetami, włóczniami przebijali brzuchy koni. Słysząc było huk, trzask, gwizdy i charkoty; członkowie obu armii rzucali się z miłością na czarną ziemię Północno-Wschodniego Gaomi, lądując na plecach albo brzuchach, by już więcej nie wstać. Dwa konie, które cudem przeżyły salwę granatów, galopowały ku rzece z rozwianymi grzywami, wolne, niepowstrzymane, puste

strzemiona obijały im się o brzuchy, ogony unosiły się w obłokach czarnego pyłu.

Trzech żołnierzy Batalionu Jiaogao, zgrzytając zębami z wściekłości, wbiło bagnety w pierś i brzuch śmiertelnie niebezpiecznego człowieka, jakim był Pięć Awantur. Dowódca kawalerii chwycił oburącz jedną z rozgrzanych luf i targnął się w przód; jego gałki oczne odwróciły się, czarne źrenice zniknęły w oczodołach, długie rzęsy zasłoniły stalowoszare tęczówki, z ust popłynęła gorąca krew. Żołnierze Batalionu Jiaogao z dużym wysiłkiem wyciągnęli zakrwawione bagnety z jego ciała. Pięć Awantur stał jeszcze przez chwilę, zanim powoli osunął się do rowu; porcelanowe białka jego oczu w promieniach słońca jarzyły się słabym, przytłumionym światłem. Trzech żołnierzy rzuciło się zachłannie na trupa kawalerzysty, zabrano wiszący u jego szyi rosyjski karabin oraz zatknięty za pas niemiecki mauzer. Jakaś ogłupiała z przerażenia tupotem tysięcy stóp jaszczurka wpadła na pierś zmarłego i dreptała po niej, ciężko dysząc, jej szorstkie ciało po chwili było całe mokre od krwi, lodowate oczy lśniły budzącym u ludzi grozę blaskiem, charakterystycznym dla gadów.

Jakiś młody członek Żelaznego Stowarzyszenia, któremu wybuch urwał jedną nogę, wyciągał ku nadchodzącemu żołnierzowi Batalionu Jiaogao blade ręce. Jego górna warga z sypiącym się dopiero co delikatnym wąsikiem była wdzięcznie wydęta, wąskie szparki oczu wypełniały lży lęku przed śmiercią.

– Wuju... Nie zabijaj mnie... Wuju... Nie zabijaj... – błagał rozpaczliwie.

Żołnierz o żółtawych oczach zawahał się, schował granat ręczny, którym zamierzał rzucić w głowę młodzieńca, i schylił się po leżące nieopodal na ziemi karabin i szablę. Zanim się wyprostował, usłyszał chrzęst; czyjaś włócznia przebiła brzuch młodzieńca i wyszła przez plecy. Urodziwy jak młody ogórek chłopak trząsał się na całym ciele, trzymając kurczowo oburącz wbite w niego drzewce. „Mamo!” – jęk wyrwał się z szeroko otwartych ust, po czym piękna, młoda głowa zwiśla na bok. Żółtooki odwrócił się ze złością i zobaczył swojego towarzysza broni, mężczyznę w średnim wieku, o smagłej twarzy, obwieszzonego w pasie nabojami, który z bólem opierał się na włóczni, stanowiącej już jedną całość z ciałem chłopaka. W tym samym bowiem momencie, gdy włócznia zagłębiała się w brzuchu młodego członka Żelaznego Stowarzyszenia, pocisk z pistoletu należącego do zranionego kawalerzysty przebił jego lewą nerkę.

Masakra kawalerii zrujnowała morale Żelaznego Stowarzyszenia. Ci, którzy do niedawna z oddaniem walczyli pod osłoną pogrzebowych chorągwi, rozproszyli się i uciekli na południe, ciągnąc za sobą karabiny; nawet rozkazy dziadka i Czarnookiego nie powstrzymały ich przed gwałtownym odwrotem. Dziadek westchnął przeciągle, objął ramieniem mojego ojca i schylony ruszył biegiem w stronę Rzeki Czarnej Wody, ostrzeliwując się po drodze.

Bohaterscy żołnierze Batalionu Jiaogao zebrali porzuconą broń członków Żelaznego Stowarzyszenia i ruszyli w pościg niczym tygrysy, którym wyrosły skrzydła; prowadził ich Jiang Małonogi. Dziadek podniósł pozostawiony przez jednego z uciekinierów japoński karabin trzydziestkęósemkę, przypadł do ziemi za stertą nawozu i odciągnął zamek, by nabój wsunął się do komory (już przy pierwszych odgłosach walki zdjął zranioną rękę z temblaka) i oparł broń na obolałym, zdrętwiałym od opuchlizny ramieniu. Serce tłukło mu się w piersi jak oszalałe, głowa Jianga Małonogiego skakała, to wchodząc na linię strzału, to znikając. Dla większej pewności dziadek postanowił więc mierzyć w pierś. Wystrzelił. Mój ojciec usłyszał huk i zobaczył, jak Jiang Małonogi trzepocze rękami i pada na twarz. Żołnierze Batalionu Jiaogao, przed chwilą jeszcze tak pewni siebie, rzucali się na ziemię w popłochu. Dziadek tylko na to czekał – złapał ojca za rękę i pognął co sił w nogach, wzbijając stopami czarny pył, za swoim uciekającym oddziałem.

Strzał dziadka trafił Jianga Małonogiego w kostkę. Sanitariusz czym prędzej podbiegł, by go opatrzyć. Jiang miał pobladłą, zlaną potem twarz, mimo to ze stalowym uporem rozkazał:

– Dalej! Zostawcie mnie, ścigajcie tamtych! Zabierzcie im broń! Każdą sztukę, co do jednej! Do ataku, towarzysze!

Leżący na ziemi członkowie Batalionu Jiaogao, zagrzani do boju przez swego dowódcę, skoczyli na równe nogi i pognali dalej z siłą smoków i tygrysów na spotkanie z rzadka wystrzeliwanych ku nim pocisków. Wyczerpani członkowie Żelaznego Stowarzyszenia zrezygnowali z dalszej ucieczki: rzucili broń i czekali, aż będą mogli się poddać.

– Do walki! Ognia! – wrzeszczał gniewnie dziadek. Jakiś żołnierz odezwał się szczerym tonem:

– Panie komendancie, nie ma co ich denerwować. Oni chcą tylko naszej broni. Dajmy im ją, a potem możemy wrócić do domów i sadzić nasze sorgo.

Czarnooki oddał strzał, od którego żadnemu z wrogów nie spadł włos z głowy, a odpowiedzią na to był ogień z trzech karabinów maszynowych. Trzech członków Żelaznego Stowarzyszenia zostało rannych, jeden zginął. Te trzy karabiny dziadek zdobył swego czasu od Ospowatego Leng, a teraz zostały użyte przeciwko niemu. Skąd zaś miał je Leng, nikt nie wiedział.

Czarnooki chciał strzelić jeszcze raz, lecz jakiś postawny członek Żelaznego Stowarzyszenia objął go ramieniem.

– Już wystarczy, panie naczelniku. Nie ma sensu prowokować tych wściekłych psów.

Kiedy żołnierze Jiaogao byli już blisko, na widok owych złych, lecz uroczych chłopców dziadek, choć niechętnie, opuścił w końcu lufę karabinu.

Wtem zza wału nad Rzeką Czarnej Wody rozległa się podobna do psiego szczekania salwa z karabinu maszynowego. Członków Żelaznego Stowarzyszenia i Batalionu Jiaogao czekała jeszcze straszniejsza bitwa.

## 5

Ponura, deszczowa jesień 1939 roku zamieniła się w mroźną zimę. Ciała psów, zastrzelonych bądź wysadzonych w powietrze granatami przez matkę, ojca i ich bohaterskich towarzyszy, zamarzały na mokradłach razem ze żdźbłami sorga. Te zaś, które zginęły od japońskich granatów nad Rzeką Czarnej Wody albo zostały zabite w walkach o władzę w stadzie, przymarzały do zwiędłych szuwarów wzdłuż jej brzegów. Wygłodzone wrony fioletowymi dziobami dobierały się do zlodowaciałych trupów; ich stada, podobne do czarnych chmur, kołowały między rzeką a mokradłami. Rzekę pokrywała gruba kora, lód dookoła psich zwłok upstrzony był zielonkawym wronim guanem. Mokradła także skuł lód: zarośnięte wodorostami zagłębienia i ziemia wokół nich znalazły się pod białą pokrywą, która łamała się z trzaskiem pod stopami.

Dziadek, ojciec, matka i Babka Liu zimowali w zrujnowanej wiosce przez całą tę ciągnącą się w nieskończoność mroźną porę. Ojciec i matka wiedzieli już o związku dziadka z Babką Liu, ale ani trochę im to nie przeszkadzało. W mojej rodzinie przez dziesiątki lat pamiętano, jak ta kobieta troszczyła się o dziadka, ojca i matkę w ciężkich czasach. Jej nazwisko dumnie figuruje w spisie członków naszej rodziny, zaraz po Miłości, następnej po babce.

Kiedy mój ojciec stracił jadro w potyczce z psem imieniem Rudy, dziadek popadł w rozpacz. Liu pocieszała go wtedy, mówiąc, że czosnek z jedną główką jest zawsze bardziej pikantny. To dzięki jej zachętom Urodziwa, czyli moja przyszła matka, ożywiła jego zranionego, skrzywionego pod dziwnym kątem ptaszka, potwierdzając w ten sposób, że nasz ród nie zginie. Uradowany tą nowiną dziadek wybiegł z chaty i patrząc w błękitne niebo, złożył ręce jak do modlitwy.

Wszystko to wydarzyło się późną jesienią, kiedy na niebie pojawiały się klucze dzikich gęsi odlatujących na południe, a na mokradłach zaczęły wyrastać podobne do psich kłów sople lodu. Wraz z północno-zachodnim wiatrem nadeszła jedna z najmroźniejszych zim w historii.

Dziadek i inni naznosili do chaty, w której mieszkali, mnóstwo sorgowych liści, w kuchni było pełno ziarna. Żeby uzupełnić wspólny jadłospis bardziej

pożywnymi pokarmami, wzmocnić siły wszystkich i zdrowie, dziadek często chodził z ojcem polować na psy. Odziani w spodnie i krótkie kurtki, uszyte przez Babkę Liu z psich skór, w czapkach zrobionych przez obie kobiety z psiego futra, zaczajali się na zwierzynę za wzgórzem na tyłach mokradeł. Psy, które zabijali, były pojedynczymi, niezorganizowanymi jednostkami, żywiącymi się zwłokami ludzi. Po śmierci Rudego, psa z naszego domu, psy w Północno-Wschodnim Gaomi wiodły życie wędrownych maruderów i już nigdy nie stworzyły większego stada. Rodzaj ludzki, jesienią zdominowany przez psi, zimą na nowo odzyskał panowanie – pokryte białym pyłem psie ścieżki stopniowo wchłonęła czarna ziemia. Tylko pamięć i wyobraźnia pozwalały mniej więcej odtworzyć wyboiste szlaki z czasów dawnej tyranii.

Ojciec i dziadek polowali co drugi dzień i za każdym razem zabijali jednego psa. Pożywne psie mięso dostarczało im potrzebnych składników i zapewniało energię, dzięki czemu wiosnę przywitali pełni sił i wigoru. Psie skóry przybijali gwoździami do wałujących się ścian i murów w wiosce – z daleka wyglądały jak dekoracyjne murale. Wiosną 1940 roku ojciec był już wyższy o dwie pięści i widać było w nim blask świadczący o tym, że jadł psinę – i to tłustą. Odżywiające się mrożonym ludzkim mięsem psy były zdrowe i dorodne. Jedząc je przez całą zimę, ojciec tak jakby jadł ludzi. Wyrósł potem na wysokiego, krzepkiego mężczyznę, który potrafił bez mrugnięcia okiem zabić człowieka. Ciekawe, czy miało to coś wspólnego z tym, że tamtej zimy pośrednio żywił się ludzkim mięsem.

Rzecz jasna, od czasu do czasu pragnęli jakiejś odmiany. Wtedy dziadek zabierał ojca na mokradła, gdzie polowali na gęsi.

Wyruszali w porze, gdy słońce zachodziło za górami, i kryli się w gąszczu martwego sorga, patrząc, jak olbrzymia tarcza podobna do gigantycznego skrzepu powoli znika, a pokrywający mokradła biały lód czerwienieje niby obryzgany krwią. Wystające jeszcze tak niedawno z wody kości ludzkie i psie, teraz widoczne były ponad taflą lodu. Psie trupy szczyrzyły kły, ludzkie trupy także. Nażarte do syta wrony, trzepocząc złocistoczerwonymi w blasku słońca skrzydłami, fruwały do wioski, wracając do gniazd uwitych w gałęziach tamtejszych wysokich drzew. Na mokradłach zaczynały migotać zielone błędne ogniki (kilkadziesiąt lat później, w czasach największego wysypu, było ich pełno nawet w mgliste dni), z początku tylko z rzadka, kilkanaście sztuk – był to wyjątkowo piękny widok. Dziadek i ojciec, cali odziani w psie skóry, futrem do wierzchu, w dwóch trzecich przypominali psy, a tylko w jednej trzeciej ludzi.

Apetyt dopisywał ojcu – gryzł wielkimi kęsami sorgo we placki, nadziane obficie posolonym psim mięsem. Dziadek kazał mu mlaskać ciszej, obawiając

się, że spłoszy kołujące nisko nad ziemią dzikie gęsi. Powiedział, że gęsi mają wyjątkowo dobry słuch, z wiatrem słyszą na odległość dziesięciu *li*, a pod wiatr – pięciu. Ojciec nie bardzo w to wierzył, ale mimo że dalej opychał się plackami, mlaskania już nie było słychać. Słońce zaszło, przestrzeń między niebem a ziemią wypełniła gęsta, fioletowa mgła. Biały lód jarzył się słabym, martwym światłem. Stado dzikich gęsi liczyło ponad czterdzieści sztuk: go, go, ga, ga – gęgały, szybując im nad głowami. Te ponure, żałobne głosy sprawiły, że ojciec zaczął myśleć o mojej babce, a swojej matce. Nagle puścił wyjątkowo smrodliwego bąka.

- Nie obżeraj się tak! – sarknął dziadek, zatykając nos.
- Psie pierdy! – zaśmiał się ojciec. Dziadek uszczypnął go.
- Głupi bękart!

Gęsi szybowały tuż nad lodem, z szyjami wyciągniętymi do przodu i zwisającymi łapami. Gęganie umilkło, słychać było tylko szum skrzydeł. Dziadek i ojciec wstrzymali oddech i obserwowali, jak ląduje pierwsza gęś, a za nią pozostałe. Ptaki niezdarnie człapały po lodzie zaledwie dziesięć kroków od miejsca, w którym się ukrywali. Zbiły się w ciasną gromadę, z wyjątkiem jednej gęsi, która stała samotnie obok stada, z podniesioną głową i wypiętą pierśią niczym żołnierz na warcie. Niebo i ziemia miały barwę skórki pomarańczy, potem stały się stalowoszare, by w końcu szernieć. Na nieboskłonie zamigotało siedem, może osiem gwiazd, ich blask jednak nie zdołał oświetlić lodu. Stado gęsi zamieniło się w grupę niewyraźnych cieni. Dziadek wyjął schowane w blaszanym pudełku wysuszone łądygi sorga i podpalił. Stojąca na warcie gęś wydała sygnał alarmowy, stado ocknęło się i poderwało do lotu – całkiem inaczej niż w ludowych opowieściach. Według nich, kiedy poluje się na dzikie gęsi, najpierw trzeba dobrze się ukryć, a potem zapalić kadzidełko. Wtedy stojąca na warcie gęś budzi pozostałe, ptaki rozglądają się wokół czujnie i jeśli nie dostrzegą żadnego ruchu, z powrotem zapadają w sen. Tak trzeba zrobić trzy razy. W końcu stado dochodzi do wniosku, że wartownik oszukuje, i rzuca się na niego z dziobami. W tym momencie, korzystając z zamieszania, myśliwy rusza do ataku. W ten sposób można schwytać mnóstwo gęsi! Metoda ta z pozoru ma sens, praktyka jednak dowiodła, że kompletnie nie działa. Być może na dziesięć tysięcy prób udałoby się to raz albo dwa.

Ta zabawna, wręcz błyskotliwa opowieść nie umywa się jednak do metody łapania gęsi na haczyk, którą wymyślił mój ojciec. Pewnego dnia, gdy siedzieli z moją matką w chacie, ojciec powiedział:

– Urodziwa, chodźmy łowić gęsi. Zrobimy z drutu duży haczyk i zawiesimy na nim kawałek gotowanego psiego mięsa. Do haczyka dowiążemy długą linkę. Kiedy pierwsza gęś połknie haczyk, wyjmemy jej go przez tyłek,

kiedy druga połknie, zrobimy to samo, i tak samo z trzecią, czwartą, piątą, szóstą... Tym sposobem będziemy mieć całe stado złapane na jeden haczyk. Co ty na to?

– Całkiem zdumiałeś od tego objadania się psina! – odparła moja matka.

Kiedy gęsi wzbijały się w powietrze, ojciec rzucił się w ich stronę, wyciągał rękę, próbując chwytać je za łapy, żadnej jednak nie udało mu się dosięgnąć. Czuł na twarzy chłodny powiew, wzbudzany przez trzepoczące skrzydła. Nazajutrz wyszedł na polowanie z bronią i w krótkim czasie ustrzelił trzy sztuki. Przyniósł ptaki do domu, oskubał starannie, wypatroszył, wsadził do garnka i ugotował. Kiedy mięso było już miękkie, zasiedli we czwórkę wokół misy z ryżem i raczyli się gęsiną. Wtedy właśnie matka opowiedziała o łapaniu gęsi na haczyk – wszyscy śmiali się chórem. Nastąpiła wietrzna noc, wiatr przywiewał z pól zapach sorgowej słomy, z wysokiego nieboskłonu dobiegały krzyki samotnych gęsi, a z dalekich równin ledwie słyszalne poszczekiwanie psów. W aromacie gęsiny wyczuwało się świeżą nutę zielonej trawy, mięso jednak było twarde i niezbyt subtelne w smaku.

Nareszcie minęła zima i nastąpiła wiosna. Całą noc wiał ciepły wiatr z południowego wschodu, a rankiem znad Rzeki Czarnej Wody dobiegł trzask pękającego lodu. Nagle na wierzbach płaczących pojawiły się pączki wielkości ziarenek ryżu, na drzewach brzoskwiniowych rozkwitły różowe kwiatki. Wczesne jaskółki polatywały nad mokradłami i wzdłuż rzeki, stada zajęcy rozpoczęły godowe gonitwy, zazieleniły się trawy. Po kilku mglistych wiosennych ulewach ojciec i dziadek zdjęli swoje ubrania z psich skór. Czarne ziemie Północno-Wschodniego Gaomi wypełnił ruch i gwar budzących się do życia istot.

Dziadek i ojciec, pełni sił i wigoru, nie mogli usiedzieć w czterech ścianach chaty. Pewnego dnia poszli wzdłuż brzegu Rzeki Czarnej Wody aż do kamiennego mostu, by odwiedzić groby matki i towarzyszy broni dziadka.

– Może przyłączmy się do Ósmej Armii, tato? – zapytał ojciec.

Dziadek pokręcił głową.

– To może do oddziału Lenga?

Dziadek znowu pokręcił głową.

Słońce świeciło pięknie tego popołudnia, na niebie nie było ani jednej chmurki. Dziadek i ojciec stali nad grobem babki w milczeniu.

W oddali, na wschód od mostu, dojrzeli siedem koni, truchtających leniwie w ich stronę po północnym wale. Na ich grzbietach siedziało siedmiu ponurych jeźdźców, wszyscy mieli wygolone na czołach łysiny, a przewodził im ogorzały, rosły mężczyzna o prawym oku otoczonym czarnymi brodawkami.



Był to przywódca Żelaznego Stowarzyszenia, znany jako Czarnooki, który cieszył się sporą sławą już w czasach, gdy dziadek trudnił się rozbojem. Bandyci i Żelazne Stowarzyszenie nie wchodzili sobie wówczas w drogę, tak jak woda w studni nie miesza się z rzeczną, a dziadek w głębi duszy żywił do członków Stowarzyszenia pogardę. Aż wreszcie, wczesną zimą 1929 roku, na piaszczystych brzegach Rzeki Słonej Wody stoczył z Czarnookim pojedynek na śmierć i życie – pojedynek, w którym nie było ani zwycięzców, ani pokonanych.

Siedem koni dokłusowało w pobliże mogiły babki. Czarnooki ściągnął lejce, koń stanął, potrząsnął łbem i schylił się, by poskubać zeschniętą trawę.

Dłoń dziadka sama przyłgnęła do lśniącego „żółwia”, japońskiego pistoletu u jego boku.

Czarnooki, usadowiony wygodnie w siodle, przemówił:

– A więc to pan, komendancie Yu?

– Zgadza się – odparł dziadek, jego dłoń zadrżała. Wpił prowokujące spojrzenie w Czarnookiego. Ten zaśmiał się głupawo, zeskoczył z konia i stanął na wale z arogancką miną.

– Nie żyje? – spytał, patrząc na grób babki.

– Nie żyje! – potwierdził dziadek.

– Niech to szlag! – rzucił ze złością Czarnooki. – Taka fajna kobieta. Musiała źle skończyć, skoro dostała się w twoje ręce!

W oczach dziadka rozszalały się płomienie.

– Gdybyś wtedy pozwolił jej być ze mną, wszystko potoczyłoby się inaczej – dodał Czarnooki.

Dziadek wyciągnął pistolet i wycelował.

– Lepiej ją pomścij, jeśli potrafisz! Zabijając mnie, pokażesz tylko, jakim jesteś nędznym tchórzem!

Czym jest miłość? Na to pytanie każdy ma własną odpowiedź. To piekielne uczucie złamało i zgubiło nieskończoną liczbę mężnych i bohaterskich mężczyzn oraz szlachetnych i utalentowanych kobiet. Na podstawie analizy miłosnej historii mego dziadka, szalonych romansów ojca i bladego pustkowiec mojego własnego życia uczuciowego udało mi się odkryć schemat rządzący związkami we wszystkich trzech pokoleniach naszego rodu. Pierwszy element miłości to fanatyzm, którego esencją jest przeszywający serce ból. Z przekłutego serca kapie podobna do żywicy ciecz. Świeża krew płynie do żołądka, a stamtąd do jelita cienkiego i grubego, po czym opuszcza ciało w postaci smołowatego stolca. Drugim elementem jest okrucieństwo, ob-

jawiające się jako bezlitosna krytyka. Obie strony związku mają ochotę obedrzyć partnera żywcem ze skóry, zarówno fizycznie, jak i psychicznie, ze skóry materialnej i ze skóry duchowej. Gotowe są powyrywać sobie nawzajem żyły, obłupić się z mięśni, wydrzeć sobie wszystkie wewnętrzne organy, w tym czarne bądź czerwone serca, a potem cisnąć te serca w powietrze tak, by się ze sobą zderzyły i rozbiły. Trzeci element to oziębłość, czyli przeciągłe milczenie. Lodowate emocje zamieniają parę kochanków w słupy lodu: najpierw wystawiają ich na zimny wiatr, potem na śnieg, jeszcze potem wrzucają do zamarzającej rzeki, w końcu mrożą w nowoczesnej zamrażarce i wtrącają do chłodni, gdzie przechowuje się wieprzowinę i ryby. Twarze kochanków pokrywają się szronem, a temperatura ich ciał spada do dwudziestu pięciu stopni. Potrafią już tylko wydawać nieartykułowane dźwięki – chcą mówić, lecz nie mogą, a inni ludzie sądzą, że stracili mowę.

Podsumowując: miłość, czyli fanatyzm, okrucieństwo i oziębłość, równa się krwotok wewnętrzny plus obdarcie żywcem ze skóry, plus utrata mowy.

Miłość to proces, w którym krew zamienia się w smolisty stolec, przejawia się tym, że dwoje krwawiących, poranionych ludzi kładzie się razem do łóżka, a ostatecznym wynikiem są dwie lodowe figury o białych wytrzeszczonych oczach.

Latem 1923 roku dziadek zdjął babkę z grzbietu osiołka, zaniósł na pole sorga i położył na swojej rozpostartej na ziemi pelerynie – to był początek ich fazy „krwotoku wewnętrznego”. Wiosną 1926 roku, gdy ojciec miał trzy lata, służąca babki imieniem Miłość stała się tą trzecią, wciskając między dziadka a babkę swoje piękne uda – to był etap „obdzierania żywcem ze skóry”. Ich miłość z fanatycznego raję przeniosła się do piekła okrucieństwa.

Miłość była o rok młodsza od babki, która wiosną 1926 roku skończyła dziewiętnaście lat. Osiemnastoletnia Miłość była zdrowa i silna, miała długie nogi i duże stopy. Jej smagłą twarz zdobiły okrągłe, błyszczące oczy, drobny, subtelny nos oraz grube, zmysłowe wargi. W tamtym okresie gorzelnia należąca do naszej rodziny znakomicie prosperowała, a nasza wybornej jakości przejrzysta wódka z sorga zraszała ulewą osiemnaście powiatów w dziewięciu prefekturach. Aromat spirytualiów przez cały rok unosił się na obu dziedzińcach i we wszystkich izbach naszego domostwa, a w porze gdy dni były długie, a noce krótkie domownicy obojga płci rozwinęli zdolność spożywania naraz ogromnych ilości alkoholu. Dziadek i babka – to oczywiste, ale nawet Babka Liu, która nigdy wcześniej nie piła, teraz potrafiła osuszyć półlitrową flaszkę za jednym posiedzeniem. Z początku Miłość tylko dotrzymywała babce towarzystwa w picciu, ale już wkrótce nie mogła przeżyć nawet jednego dnia bez wódki. Alkohol sprawia, że człowiek staje się bezpośredni i śmiały, odważny i nieustraszony, gotów stawić czoła śmierci,

wywołuje także utratę wszelkich hamulców – człowiek coraz chętniej spija się na umór, degeneruje i stacza, a także popada w rozwiązłość. W tamtym okresie dziadek już rozpoczął swoją bandycką karierę – nie marzył jednak o wielkim bogactwie, wystarczało mu tyle, by przeżyć. Zemsta, odwet za zemstę, zemsta za odwet za zemstę – nieskończony łańcuch okrucieństwa zamienił tego uczciwego i ostrożnego, zwykłego człowieka w bandytę o czarnym sercu, wybitnych umiejętnościach i odwadze.

Po tym jak zamordował Plamistą Szyję i członków jego bandy, zastosowawszy wyćwiczoną wcześniej technikę „siedmiopłatkowego kwiatu śliwy”, i śmiertelnie wystraszył mojego chciwego pradziadka, dziadek porzucił gorzelnię dla gęstwiny szmaragdowych zbóż i romantycznego, pełnego przygód życia rozbójnika i bandyty. W Północno-Wschodnim Gaomi nasiona bandytyzmu kiełkowały wszędzie: władze produkowały zbójów, bieda produkowała zbójów, zdrady i afekty produkowały zbójów, zbójce produkowali zbójów. Bohaterska opowieść o tym, jak dziadek, mając tylko dwa pistolety i jednego muła, nad Rzeką Czarnej Wody zgładził niezwyciężonego Plamistą Szyję i wszystkich jego podwładnych, rozeszła się po okolicy z prędkością wichru i różni pomniejsi rzezimieszkowie zaczęli ściągać do jego drużyny. Lata 1925-1928 był to złoty wiek bandytyzmu w Północno-Wschodnim Gaomi. A wyczyny mojego dziadka wstrząsnęły nawet lokalną władzą.

Powiatem rządził wtedy człowiek o nieodgadnionej naturze, Cao Mengjiu. Dziadek wciąż nienawidził go za to, że kazał obić go podeszwą buta do krwi, do gołego mięsa, i tylko czekał na okazję, by odpłacić mu pięknym za nadobne. Odwaga, by otwarcie stawić czoła władzy, stanowiła ważny element sławy dziadka jako słynnego bandyty. Na początku 1926 roku dziadek i jego dwóch ludzi uprowadzili czternastoletniego syna Cao Mengjiu spod bramy urzędu powiatowego. Dziadek, z wrzeszczącym młodzikem pod pachą i pistoletem w dłoni, maszerował dumnym, rozkołysanym krokiem wybrukowaną szarym kamieniem ulicą, przy której mieścił się urząd. Bystry konstabl Yan Luogu, zwany Młodym Yanem, ruszył za nim w pościg na czele policyjnego oddziału. Ścigający co prawda nie bali się wrzeszczeć, ale bali się zbliżyć do ściganego. Strzelali bezładnie, a ich kule chybiały celu o całe metry. Dziadek odwrócił się i przyłożył lufę do skroni chłopaka.

– Ej ty, Yan! – zawołał. – Zabieraj się stąd migiem i powiedz temu staremu psu Cao Mengjiu, że może mieć swojego szczeniaka z powrotem za dziesięć tysięcy srebrnych dolarów. Czekam trzy dni. Jak tatuś nie będzie chciał rozstać się z forszą, synek rozstanie się z życiem!

– W jakim miejscu ma się odbyć przekazanie okupu, Stary Yu? – spytał spokojnie Młody Yan.

– Na środku mostu na Rzece Czarnej Wody, Północno-Wschodnie Gaomi  
– odparł dziadek.

Młody Yan i jego podkomendni zawrócili w stronę urzędu.

Dziadek i jego ludzie wyszli za bramy miasta. Chłopak wierzgał, jakby walczył o życie, i lamentował wniebogłosy, wzywając ojca i matkę. Miał białe zęby, czerwone usta i gdyby jego twarz nie była wykrzywiona płaczem, mógłby uchodzić za całkiem przystojnego.

– Przestań beczeć – fuknął dziadek. – Jestem twoim przybranym tatusiem i właśnie cię prowadzę do przybranej mamusi!

Chłopak rozplakał się jeszcze donośniej, co naprawdę zirytowało dziadka. Wyjął swój krótki mieczyk, podstawił chłopakowi pod nos i zagroził:

– Ucisz się. Jak nie przestaniesz się drzeć, to ci ucho obetnę! Chłopak natychmiast zamilkł i z otepiałą miną dał się prowadzić dwóm zbójom.

Kiedy oddalili się od miasta na mniej więcej pięć *li*, dziadek usłyszał za plecami tętent. Odwrócił się błyskawicznie i zobaczył na drodze chmurę pyłu otaczającą pędzące konie. Przewidując kłopoty, kazał dwóm zbójom odsunąć się na skraj drogi, gdzie przycupnęli blisko siebie i przystawili porwanemu lufę pistoletu do skroni.

Gdy jeźdźcy znaleźli się na odległość lotu strzały od dziadka i jego ludzi, na czoło kawalkady wysunął się dzielny Młody Yan i poprowadził ich w pole po zeszlórocznym sorgu. Zimowe wiatry zwiały wierzchnią warstwę gleby i ziemia na ściernisku była równa i twarda. Drużyna jeźdźców ominęła dziadka i jego ludzi wielkim łukiem, po czym skręciła z powrotem na drogę do Północno-Wschodniego Gaomi i popędziła dalej, wzbijając kurz.

Dziadek otrząsnął się z chwilowego stuporu i klepnął się po udach.

– Cholera! Tracimy tylko czas!

– Dokąd oni jada? – spytali jego towarzysze, nie rozumiejąc.

Dziadek bez słowa uniósł pistolet i strzelił do jeźdźców, ci jednak byli już daleko. Kule z dziadkowej broni trafiały tylko powietrze pełne pyłu i drażniącego uszy stukotu kopyt.

Dzielny Młody Yan i jego oddział zmierzali prosto do naszej wioski i do naszego domu. Mieli szybkie konie i znali drogę. Dziadek tymczasem ruszył biegiem, ile sił w nogach. Przyzwyczajony do życia w luksusach syn Cao Mengjiu rzecz jasna nie wytrzymał tempa i po kilku milach zwyczajnie padł na ziemię.

– Załatwmy go, i już, tylko zawadza – zasugerował jeden z bandziorów.

– Młody Yan jedzie porwać mojego syna! – odparł dziadek. Dźwignął zamroczonego „panicza Cao”, zarzucił go sobie na plecy i ruszył spokojnym krokiem. Kiedy towarzysze zaczęli go ponaglać, wyjaśnił:

– I tak jest już za późno, więc nic nie zaszkodzi, jak trochę zwolnimy. Dopóki mamy tego szczeniaka żywego, wszystko się da wynegocjować.

Młody Yan na czele swoich ludzi wtargnął do naszego domu, schwytał moją babkę i ojca i związanych wsadził na konie.

– Ty ślepy psie! – pomstowała z płaczem babka. – Jestem przybrana córką naczelnika powiatu!

– I właśnie po tę przybraną córkę tu przyjechaliśmy – odparł ze złośliwym uśmiechem Yan.

Drużyna Yana zawróciła i spotkała się z dziadkiem w połowie drogi. Obie strony czujnie trzymały pistolety przy skroniach zakładników. Przy mijaniu niemal trącili się ramionami, lecz nikt nie ośmielił się wykonać żadnego pochopnego ruchu.

Dziadek spojrział na babkę, która z wykręconymi do tyłu i związanymi rękoma siedziała na koniu, potem na ojca, którego w objęciach trzymał Młody Yan.

Kopyta koni wdzięcznie postukiwały, brzęczały dzwoneczki na końskich szyjach, a jeźdźcy mieli na twarzach uśmiechy – z wyjątkiem babki, która z gniewną miną spojrzała na zatroskanego dziadka i oznajmiła głośno:

– Zhan’ao! Wypuść szybko syna mojego przybranego ojca, żebyśmy mogli wrócić do domu!

Dziadek mocniej chwycił chłopaka za rękę – wiedział, że prędzej czy później będzie musiał puścić go wolno, ale lepiej się z tym nie spieszyć.

Miejszem wymiany zakładników pozostał wyznaczony wcześniej środek drewnianego mostu na Rzece Czarnej Wody. Dziadkowi udało się skrzyknąć prawie wszystkich bandytów z Północno-Wschodniego Gaomi – zebrało się dwustu trzydziestu ludzi. Wszyscy z naładowaną i gotową do użycia bronią leżeli albo siedzieli stłoczeni w pobliżu północnego krańca mostu. Rzeka jeszcze nie całkiem odtajała: przy brzegach wiosenne powietrze już stopiło lód, odsłaniając dwa pasy zielonkawej wody, lecz pośrodku wciąż tkwiła lodowa pokrywa, mokra, upstrzona nawianymi przez wiatr drobinami czarnej gleby.

Późnym rankiem krętym szlakiem po południowym wale zbiegł konny oddział z powiatu. Pośrodku czterech rosłych mężczyzn dźwigało kołyszącą się lektykę.

Kiedy stanęli na południowym krańcu mostu, obie strony wymieniły powitania. Naprzeciwko dziadka stanął pełen godności naczelnik powiatu Cao Mengjiu.

– Zhan’ao – powiedział przyjaźnie naczelnik, z łagodnym uśmiechem na twarzy – jesteś małżonkiem mojej przybranej córki. Jak mogłeś porwać własnego młodego szwagra? Jeśli potrzebowałeś pieniędzy, wystarczyło mnie poprosić!

– Nie chcę pieniędzy. Ale dobrze pamiętam tych trzysta razów podeszwą, które mi wlepiłeś!

Cao Mengjiu roześmiał się w głos, zacierając ręce.

– To była pomyłka, zwykła pomyłka! Ale gdybym cię wtedy nie obił, nie spotkalibyśmy się wszakże! Drogi zięciu, zgładziłeś Plamistą Szyję, co bez wątpienia jest wielką zasługą. Zamierzam przekazać tę wieść moim przełożonym, a oni godnie cię wynagrodzą.

– A na co komu twoje nagrody? – odparł beczelnie dziadek, lecz jego serce powoli miękło.

Młody Yan odsunął zasłone lektyki, z której powoli wyłoniła się babka z moim ojcem na ręku.

Kiedy zbliżyła się do czoła mostu, Młody Yan kazał jej się zatrzymać.

– Stary Yu! Doprowadź panicza Cao na skraj mostu, a potem na mój sygnał uwolnimy zakładników! – zawołał. – Teraz!

– Tato! – krzyknął młody Cao i ruszył biegiem w stronę południowego krańca mostu, podczas gdy babka z dzieckiem w ramionach szła spokojnie w kierunku północnym.

Bandyci dziadka mierzyli ze swoich pistoletów i rewolwerów, oddział powiatowy zaś celował z broni długiej.

Babka i młody Cao spotkali się pośrodku drewnianego mostu. Babka nachyliła się, chcąc mu coś powiedzieć, ten jednak ominął ją i z płaczem pobiegł dalej.

Owo komiczne porwanie sprawiło, że w umyśle Cao Mengjiu dojrzał plan niczym z *Opowieści o Trzech Królestwach*\* – który ostatecznie doprowadził złoty wiek bandytyzmu w Północno-Wschodnim Gaomi do smutnego końca. W trzecim miesiącu tego samego roku zmarła prababka. Babka, z moim ojcem

---

\* *Opowieść o Trzech Królestwach* – słynna powieść historyczna z xiv w., autorstwa Luo Guanzhonga, traktująca o upadku dynastii Han (206 p.n.e.-220 n.e.) i powstaniu na jej gruzach trzech państw aż do ponownego zjednoczenia (Epoka Trzech Królestw, 220—280 n.e.), pełna spisków i intryg towarzyszących walkom o władzę.

na rękę, na grzbiecie jednego z naszych czarnych mułów ruszyła do domu rodziców, by zająć się pogrzebem. Zamierzała pozostać tam trzy dni, Niebiosa jednak nieoczekiwanie pokrzyżowały jej plany. Następnego dnia po wyjeździe babki zerwała się nawałnica – deszcz lał się strumieniami tak gęstymi, że spajały niebo i ziemię w jedno, nie przepuszczając nawet wiatru. Ponieważ dziadek i jego ludzie nie mogli w tym czasie przebywać w swoich kryjówkach w gęstwinie szmaragdowych zbóż, wrócili do domów – w taką pogodę nawet jaskółki siedzą w gniazdach, sennie poćwierkując. Powiatowa policja także nie ruszała się z miejsca, zwłaszcza że od czasu porwania wczesną wiosną i zawarcia czegoś w rodzaju rozejmu przez dziadka i Cao Mengjiu w powiecie Gaomi między władzą a bandytami wciąż panował pokój. Zbóje wrócili do domów, powsadzali pistolety pod poduszki i całe dnie przesypiali.

Dziadek, zjawiwszy się w domu w wielkiej uplecionej z sitowia pelerynie, od Miłości dowiedział się, że babka wyjechała na pogrzeb do rodziny. Uśmiechnął się do siebie w duchu na wspomnienie, jak kilka lat wcześniej napędzili niezłego stracha temu staremu skapcowi, jej ojcu. Babka, pamiętając krzywdy, jakie wyrządzili jej rodzice, długo nie utrzymywała z nimi żadnych kontaktów, toteż dziadek nie spodziewał się, że po kilku latach wyruszy w deszcz i zawieruchę, by wyprawić pogrzeb matce. Zaiste prawdziwe jest powiedzenie, że wichura zawsze kiedyś cichnie, a kłótnie między krewnymi nigdy nie trwają długo.

Za oknami deszcz szumiał jak morskie fale, płynąc z okapu niczym wodospad. Mętna woda zbierała się na dziedzińcu, aż stała się tak głęboka, że sięgała połowy wzrostu człowieka; w końcu nasączyła glebę tak skutecznie, że podmyła zewnętrzny mur z jednej strony. Mur się zawalił, rozpryskując wodę na kilka metrów w górę. Szarozielone pola podeszły pod okna. Dziadek leżał albo siedział na kangu, wpatrując się w nieskończony, szarozielony ocean sorga, na chmury wiszące nisko nad falującym zbożem. Fale huczały, gęsty, rybi zapach ziemi zmieszany z wonią traw wypełniał cały dom. Deszcz wprowadził dziadka w stan niepokoju i otępienia zarazem: pił i spał, spał i pił, aż przestał odróżniać dzień od nocy – cały świat zasnuł mrok. Czarny muł zerwał się z postronka, wybiegł spod zadaszenia na wschodnim dziedzińcu i stanął nieruchomo pod oknem babki. Zaczerwienionymi od sorgowej wódki oczyma dziadek wpatrywał się w głupie stworzenie, aż poczuł na całym ciele dziwne łaskotanie, jakby spacerowały po nim stada mrówek. Strugi deszczu jak strzały siekły muli grzbiet – część rozpryskiwała się na boki, część ściekała po ciemnoszarej skórze, zbierała się na brzuchu i w końcu łączyła się z wodą, którą zalana była ziemia. Krople podskakiwały na niespokojnej powierzchni kałuż niczym prażona na patelni fasola. Muł stał bez ruchu, od czasu do czasu na krótką chwilę otwierał wielkie jak kurze jaja ślepią. Dziadek jeszcze nigdy w życiu nie czuł się taki rozdrażniony. Ściągnął koszulę, zdjął spodnie,

został w samych majtkach. Zaczął się drapać po porośniętych kręconym, czarnym włosiem torsie i udach, lecz im dłużej się drapał, tym bardziej go swędziało. Cały kang wydzielał rybią, słonawą woń kobiety. Dziadek wziął do ręki czarę na wódkę i cisnął nią o łóżko. Czarka się rozbiła. Na szczycie szafki pojawiła się mysz, zerknęła na dziadka kpiąco, po czym zeskokczyła zwinnie na parapet okna i przycupnęła wyprostowana na tylnych łapkach, przednimi myjąc spiczasty pyszczek. Dziadek chwycił pistolet i wypalił w zwierzę; strzał wyrzucił mysz przez okno, huk wstrząsnął całą izbą.

Do pokoju wbiegła Miłość z potarganymi czarnymi włosami. Na widok dziadka, który siedział skulony na kangu, obejmując rękoma kolana, w milczeniu schyliła się, pozbierała skorupy i odwróciła się, by odejść.

Fala gorąca wlała się dziadkowi do gardła.

– Hej, ty... – wyjąkał z trudem. – Stój...

Miłość odwróciła się znowu, przygryzła białymi zębami pełną dolną wargę i uśmiechnęła się słodko, wypełniając mroczny pokój złocistą poświatą. Dobiegający zza okna plusk deszczu ucichł, jakby oddzielony ścianą zieleni. Patrząc na rozwichrzone włosy Miłości, delikatne, niemal przejrzyste płatki uszu oraz wydatne piersi, dziadek rzekł:

– Wyrosłaś...

Kąciki warg dziewczyny zadrgały i dwa figlarne dołeczki pojawiły się po obu ich stronach.

– Co porabiasz? – spytał dziadek.

– Śpię! – ziewnęła Miłość. – Co za przekłeta pogoda! Ile to jeszcze potrwa? Chyba wypadło dno z Niebiańskiej Rzeki\*!

– Douguan i jego matka ciągle tam siedzą, a mówiła, zdaje się, że jada tylko na trzy dni. Staruszka pewnie już zgniła do reszty! – rzekł dziadek.

– Czy coś jeszcze mam zrobić? – spytała dziewczyna. Dziadek schylił głowę i zamyślił się.

– Nie, nic – odparł po chwili.

Miłość znowu przygryzła wargę, uśmiechnęła się, odwróciła i odeszła, kołysząc biodrami.

Pokój znowu pograżył się w mroku, szara zasłona deszczu za oknem stała się jeszcze grubsza i cięższa. Czarny muł wciąż tam stał, z nogami głęboko w wodzie. Dziadek spojrział na niego, zwierzę machnęło ogonem, na jego udzie zadrgał mięsień.

---

\* Niebiańska Rzeka (Tianhe) – tak po chińsku nazywa się Droga Mleczna.



Miłość wróciła. Stała oparta o framugę, patrząc na dziadka – jej przejrzyste jak woda oczy teraz były zasnuwane niebieskawą mgłą. Plusk ulewy znów wydawał się dobiegać jakby z bardzo daleka, dziadek czuł, jak podeszwy jego stóp i wnętrza dłoni wilgotnieją od potu.

– Czego chcesz? – spytał.

Miłość przygryzła wargę i uśmiechnęła się delikatnie. Izba znów rozjarzyła się złotym blaskiem.

– Napijesz się wódki? – spytała.

– A chcesz się ze mną napić?

– Chcę.

Miłość przyniosła butelkę i pokroiła solone kurze jaja na małym talerzyku.

Za oknem deszcz huczał jak grzmot, czarny muł tkwił tam niczym głaz; lodowate tchnienie zwierzęcia napłynęło do pokoju i ogarnęło ciało dziadka, aż wstrząsnął nim zimny dreszcz.

– Zimno ci? – spytała Miłość pogardliwym tonem.

– Gorąco! – odparł dziadek ze złością.

Miłość napełniła dwie czarki wódką, jedną podała dziadkowi, drugą uniosła w górę. Stuknęli się.

Oboje cisnęli puste naczynia na kang. Spojrzeli na siebie.

W złotym pożarze, który wypełniał całą izbę, dziadek zobaczył dwa tańczące niebieskie płomienie. Złoty ogień palił jego ciało, niebieski trawił jego serce.

– Zemsta człowieka szlachetnego może poczekać i dziesięć lat – oznajmił dziadek lodowato, chowając pistolet do kabury.

Czarnooki stanął wyprostowany na wale, podszedł do mogiły babki, okrążył ją, kopnął w kopiec grobowy, westchnął i rzekł:

– Ech, człowiek żyje tylko jedno życie, a trawa tylko do jesieni! Żelazne Stowarzyszenie też będzie walczyć z Japończykami. Przyłącz się do nas, stary Yu!

– Mam się przyłączać do jakiejś niby-mistycznej organizacji? – prychnął dziadek.

– Nie bądź takim pyszałkiem. Żelaznemu Stowarzyszeniu sprzyjają bóstwa, cieszymy się łaską Niebios i zaufaniem ludu. Przyjęcie do naszego

grona to dla ciebie zaszczyt! – oznajmił Czarnooki i znowu tupnął w grób. – To ze względu na nią Czarny tak cię namawia!

– Nie potrzebuję twojej pieprzonej łaski! Pewnego dnia policzę się z tobą, nie myśl, że to koniec! – odparł dziadek.

– Myślisz, że się boję? – Czarnooki poklepał rewolwer u pasa. – Ja też umiem się z tym obchodzić...

Z wału zszedł inny przystojny członek Żelaznego Stowarzyszenia, wyciągnął rękę w stronę dziadka i ze skromną, wyrafinowaną uprzejmością rzekł:

– Panie komendancie Yu, moi towarzysze z Żelaznego Stowarzyszenia zawsze żywili głęboki podziw dla pana męstwa, mając nadzieję, iż zechce pan dołączyć do nas. Gdy kraj pogrążony jest w chaosie, jego obrona to nasz wspólny obowiązek. Winniśmy porzucić zwady, a osobiste urazy odłożyć do czasu, gdy wróg zostanie pokonany!

Młodzieniec zaintrygował dziadka – przypominał mu jego własnego adiutanta, młodego, męznego Rena, który zginął tragiczną śmiercią przy czyszczeniu broni.

– Należysz do partii komunistycznej? – spytał kpiącym tonem.

– Nie należę ani do partii komunistycznej, ani do nacjonalistycznej – odparł młody mężczyzna. – Nienawidzę ich obu jednakowo!

– Podobasz mi się! – odparł dziadek.

– Nazywają mnie Pięc Awantur – rzeki młodzieniec.

– Zapamiętam – odrzekł dziadek i poklepał jego rękę.

Ojciec długo stał bez ruchu obok dziadka, przyglądając się z wielkim zaciekawieniem głowom członków Żelaznego Stowarzyszenia. Mieli wygolone czoła, co stanowiło ich znak rozpoznawczy, lecz ojciec nie miał pojęcia po co.

Miłość i dziadek oddawali się dzikim rozkoszom łoża przez trzy dni i trzy noce. Pełne wargi dziewczyny spuchły od pocałunków, krew z popękanej skóry sączyła się cienkimi strużkami do wnętrza jej ust. Smak tej krwi doprowadzał dziadka do szaleństwa. Rzęsisty deszcz padał nieustannie przez całe trzy doby. Gdy wreszcie przygasła wypełniająca pokój złoto-błękitna poświata, dziadek usłyszał dobiegający z pól szelest szarozielonych źdźbeł sorga, wilgotne kumkanie małych żabek i popiskiwanie zajęcy. Chłodne powietrze było przesycone tysiącem zapachów, lecz najsilniejsza ze wszystkich była woń czarnego muła. Zwierzę wciąż stało w tym samym miejscu, z nogami zagłębionymi na pół stopy w ziemię. Woń muła wywoływała w dziadku poczucie zagrożenia – obiecywał sobie, że przy najbliższej okazji wpakuje mu kulę z pistoletu prosto w twarde czoło. Już kilka razy chwycił za broń, lecz gdy ją podnosił, złote płomienie w pokoju rozpałały się na nowo.

Czwartego dnia rankiem dziadek obudził się i odkrył, że leżąca obok niego Miłość stała się chuda i mizerna. Miała podkrażone oczy, na spierzchniętych ustach widać było białe skrawki suchej, łuszczącej się skóry. Wtem z daleka dobiegł głuchy łoskot – gdzieś w wiosce zawałił się dom. Dziadek ubrał się czym prędzej i zwlókł z kangu, lecz zaraz potknął się i upadł. Leżał na ziemi i czuł, jak w brzuchu burczy mu z głodu. Podniósł się z wysiłkiem i słabym głosem zawołał Babkę Liu, ale nie doczekał się odpowiedzi. Otworzył drzwi izby, w której mieszkała razem z Miłością, zajrzał do środka – na kangu siedziała szmaragdowa żaba. Ani śladu Liu. Wrócił do pokoju, za którego oknem stał czarny muł, pozbierał kilka rozgniecionych solonych jajek i pochłonał je razem ze skorupkami. Jajka jednak tylko pobudziły jego szalony apetyt. Popędził do kuchni, przetrząsnął szafki i pożarł cztery zielonkawe od pleśni bułki pieczone na parze, dziewięć solonych jaj, dwa kawałki fermentowanego tofu i trzy wyschnięte cebule dymki, a na koniec popił to wszystko łyżką oleju arachidowego.

Słoneczny blask rozlewał się po sorgowych polach jak krew. Miłość wciąż spała – gdy dziadek spojrział na jej ciało, gładkie niczym skóra czarnego muła, z jego oczu znów zaczęły sypać się złote iskry, szybko jednak pochłonęło je czerwone światło wpadające przez okno. Szturchnął Miłość w brzuch kolbą pistoletu, dziewczyna otworzyła oczy i uśmiechnęła się, w jej oczach zatańczyły niebieskie ogniki. Dziadek wyszedł chwiejnie na podwórze i popatrzył na dawno niewidzianą, wielką, okrągłą tarczę słoneczną, mokra niczym uwalany krwią noworodek. Wszechobecne kałuże wypełniała czerwień,

szemrzące strugi płynęły drogami w stronę pól. Sorgo stało do połowy w wodzie niczym sitowie.

Woda zalewająca podwórze stopniowo opadała, odsłaniając rozmiękłą ziemię. Mur oddzielający wschodni dziedziniec od zachodniego również się zawalił. Wuj Luohan, Babka Liu i parobcy z gorzelni wylegli na zewnątrz, by popatrzeć na słońce. Dziadek zauważył, że ich dłonie i twarze pokrywają zielonkawe plamy śniedzi z miedzianych monet.

– Graliście przez całe trzy dni? – spytał.

– Ano, graliśmy – odparł wuj Luohan.

– Muł utknał w zeszłorocznej piwniczce. Weźcie liny, kije i wyciągnijcie go – polecił dziadek.

Parobcy obwiązali muła liną dwa razy pod brzuchem, zawiązali na grzbiecie dwa węzły, wsadzili pod niego dwa drewniane kije i w kilkunastu, nateżając się i stękając, wyciągnęli cztery nogi muła z ziemi, jakby wyrywali marchewkę.

Kiedy deszcz ustał i niebo się przejaśniło, wody szybko opadły, odsłaniając mokrą warstwę śliskiej, lśniącej jak łój gleby. Wreszcie od strony błotnistych, rozmiękłych do cna pól nadjechała babka z moim ojcem w ramionach. Nogi i brzuch jej muła pokrywały plamy błota. Kiedy oba muły po tylu dniach rozłąki poczuły nawzajem swój zapach, zaczęły wyciągać szyje i drapać kopytami ziemię, głucho porykując, a gdy uwiązano je razem przy korycie, czule trącały się pyskami.

Dziadek zmieszany przywitał babkę i wziął od niej małego ojca. Babka miała zaczerwienione, spuchnięte oczy, w jej zapachu wyczuwało się woń pleśni.

– Udało ci się wszystko załatwić? – spytał dziadek.

– Pogrzebaliśmy ją dziś rano – gdyby ten deszcz jeszcze choć trochę popadał, dobrałyby się do niej robaki...

– Co za ulewa, dno musiało chyba wypaść z Niebiańskiej Rzeki – rzekł dziadek i przytulił ojca. – Douguan! Przywitaj się z przybranym tatusiem!

– Oj tak, chyba przybrałeś razem z całą tą wodą! – odparła babka. – Potrzyj go, pójdę się przebrać.

Dziadek kręcił się po podwórzu z ojcem na ręku.

– Douguan, malutki, popatrz – tutaj zapadł się nasz muł i stał w tym miejscu całe trzy dni i trzy noce! – powiedział, pokazując malcowi cztery dziury w ziemi.

Na dziedziniec wyszła Miłość z miedzianą misą, żeby zaczerpnąć wody. Na widok dziadka przygryzła wargę i zrobiła nadaśaną minę. Dziadek uśmiechnął się porozumiewawczo, lecz ona wciąż patrzyła na niego gniewnie, bez śladu zadowolenia.

– Co się stało? – spytał dziadek.

– Wszystko przez ten cholerny deszcz! – burknęła Miłość.

Kiedy dziewczyna weszła do domu z wodą, dziadek usłyszał pytanie babki:

– Co powiedziałaś przed chwilą?

– Nic takiego.

– Czy nie mówiłaś, że wszystko przez ten cholerny deszcz?

– Nie, nie, powiedziałam: co za cholerny deszcz, chyba dno wypadło z Niebiańskiej Rzeki! – odparła Miłość.

– Aha – odrzekła babka i dziadek usłyszał plusk wody w miednicy.

Kiedy Miłość wyszła wylać wodę, dziadek zauważył jej czerwoną twarz i rozbiegane spojrzenie.

Trzy dni później babka oznajmiła, że musi pojechać spalić ofiarne pieniądze na grobie prababki. Wsiadła wraz z maleńkim ojcem na muła i powiedziała do Miłości:

– Dziś nie wracam na noc.

Tamtego wieczora Babka Liu poszła do wschodniego skrzydła domu grać w karty z parobkami, a w pokoju mojej babki znowu rozszalały się złote płomienie.

Kiedy zapadła gwiazdzista noc, babka wróciła. Nasłuchiwała, stojąc pod oknem, a po chwili zaczęła pomstować na cały głos.

Na twarzy Miłości wydrapała kilkanaście krwawych szram, a dziadkowi wymierzyła siarczasty policzek. Dziadek zaśmiał się tylko. Babka znowu wzniosła pięść, lecz gdy jej ręka znalazła się w pobliżu twarzy dziadka, zwiśla bezwładnie, jak martwa, muskając tylko ramię mężczyzny. Ten zaś zwałił ją z nóg silnym ciosem.

Babka wybuchnęła głośnym płaczem.

Dziadek odszedł, zabierając ze sobą Miłość.

Członkowie Żelaznego Stowarzyszenia oddali jednego ze swoich koni, by dziadek i ojciec mieli swój środek lokomocji. Czarnooki pokłusował żwawo przodem, poganiając konia, a wymowny Pięć Awantur, ten, który jednakowo nienawidził komunistów i nacjonalistów, truchtał obok dziadka. Jego dropiaty źrebak był jeszcze bardzo młody i na widok piątki biegnących na przedzie koni aż rwał się, by do nich dołączyć, jego pan jednak ściągnął lejce i tkwiącym w końskim pysku żelaznym wędzidłem poskromił chęć galopu. Niezadowolony źrebak jał podgryzać karego wierzchowca dziadka, wyładowując na nim pretensje do swego jeźdźca. Kary odpowiedział na zaczepkę kopniakiem. Dziadek wstrzymał konia, pozwalając, by dropiaty wysforował się kilka metrów naprzód, i ruszył za nim. Ciepłe, szaroniebieskie fale Rzeki Czarnej Wody śpiewały wesołą pieśń, parująca wilgoć unosiła się w powietrzu nad wałami i rozwiewała na polach. Nieuprawiane, nieuprzątnięte z powodu wojny łąny miały ponurą, żółtobrązową barwę; większość suchych, zeszłorocznych źdźbeł leżała na ziemi. Rolnicy przyglądali się temu z tępą bezradnością, ci zmyślniejsi spośród nich rozniecali na swoich polach ogień. Do cna wyschnięte zboże płonęło z trzaskiem, kłosa rozsypywały się w popiół, łącząc się na powrót z czarną ziemią, która je zrodziła. Płomienie trzepotały nad rozległymi polami po obu stronach rzeki niczym ciemnoczerwone szmaty, smugi szarosinego dymu wiły się w przejrzystym jak lód powietrzu. Swąd palonego sorga drażnił nozdrza i gardło dziadka.

Elokwentny jak zwykle Pięć Awantur odwrócił się i rzekł do dziadka:

– Panie komendancie Yu, tyle się już nagadałem, a jeszcze nie miałem okazji wysłuchać, co pan ma do powiedzenia.

– Znam ledwie dwieście znaków pisma i żaden ze mnie mędrak – zaśmiał się gorzko dziadek. – Gdy trzeba kogoś zabić albo coś podpalić, nie ma lepszego ode mnie, ale jeśli chcecie, żebym gadał o polityce albo sprawach państwowych, lepiej zarżnijcie mnie od razu!

– Ale jak pan sądzi, gdy już uporamy się z Japończykami, kto powinien objąć władzę w Chinach?

– To nie moja sprawa. Wiem tylko tyle: nikomu nie pozwolę się podgryzać!

– A gdyby tak komuniści przejęli władzę? Co pan o tym myśli?

Dziadek podłubał w nosie i pogardliwie smarknął jedną dziurką.

– A gdyby to nacjonaści mieli rządzić?

– Ta banda sukinsynów?

– Otóż to, otóż to! Komuniści to zdraдлиwe dranie, a nacjonałiści to śłiskie typy! Chiny najbardziej potrzebują cesarza! Za młodu naczytałem się *Opowieści o Trzech Królestwach* i *Opowieści znad brzegów rzek*\* i wyciągnąłem z tego wszystkiego jeden wniosek: awantury i zamieszki przychodzą i odchodzą, po długich epokach podziału nastają długie lata zjednoczenia, ale państwo zawsze w końcu znajduje się we władzy cesarza. Kraj jest rodziną cesarza, rodzina jest jego krajem, dzięki temu może rządzić, wkładając w to całe swoje serce. Kiedy zaś krajem rządzi partia, każdy ma co innego do powiedzenia: dziadek narzeka, że mu zimno, babka marudzi, że gorąco, i robi się jeden wielki bałagan!

Pięć Awantur wstrzymał dropiatego konia, czekając, aż dziadek dogoni go na swoim karym, po czym pochylił się w jego stronę i zaczął klarować mu konfidencjonalnie:

– Panie komendancie, przewertowałem te *Opowieści o Trzech Królestwach* i *Opowieści znad brzegów rzek*, gdy byłem jeszcze dzieckiem. Moja odwaga jest wielka jak kurze jajo, brakuje mi jednak mądrego przywódcy. Kiedyś uważałem Czarnookiego za mężnego człowieka – dla niego opuściłem dom i udałem się pod jego skrzydła, bo chciałem dokonać czegoś wielkiego, odznaczyć się, zanim się ustatkuję i ożenię. Ale skąd miałem wiedzieć, że jest głupi jak wieprz i tępy jak wół, że jest tchórzem i że nie ma żadnych planów na przyszłość? Zależy mu tylko na tym kawałku ziemi w Dolinie Słonej Wody. Starożytni powiadali: ptaki gniazdują tylko na najlepszych drzewach, dobry koń rży na widok dobrego pana. Przemyslałem to na wszystkie strony i doszedłem do wniosku, że w całym Północno-Wschodnim Gaomi to pan, komendancie Yu, jest największym bohaterem. Dlatego wspólnie z kilkudziesięcioma towarzyszami zażądaliśmy, by Czarnooki zaprosił pana do Stowarzyszenia. To się nazywa „zaprosić tygrysa do domu”. W naszym Stowarzyszeniu będzie pan niczym król Gou Jian z państwa Yue\*\*: będzie pan mógł spać na drwach i pić żółć, poddawać się ciężkim próbom i szykować do zemsty. Będzie się pan cieszył należnym zrozumieniem i powszechnym szacunkiem. A ja tymczasem poczekam na sposobność, by pozbyć się Czarnookiego i zrobić pana przywódcą. Gdy zmieni się ród u władzy, dyscyplina zostanie wzmocniona, a nasze szeregi się powiększą. Najpierw opanujemy Północno-Wschodnie Gaomi, a potem wyruszymy na północ i przejmujemy powiaty Południowo-Wschodnie Pingdu oraz Północne Jiao. Gdy

---

\* *Opowieści znad brzegów rzek* – słynna awanturnicza powieść z XIV w. autorstwa Shi Nafana, opowiada o przygodach grupy wyjętych spod prawa, którzy buntowali się przeciwko skorumpowanemu rządowi w czasach dynastii Song (960-1279).

\*\* Jeden z królów, zwanych też hegemonami, którzy rządzili państwami chińskimi w epoce Wiosen i Jesieni (770-476 p.n.e.).

zjednoczymy te trzy ziemie, założymy naszą stolicę w Dolinie Słonej Wody, za-  
tkniemy tam sztandar Żelaznego Stowarzyszenia – a pan zostanie Żelaznym  
Królem. Wyślemy nasze wojska w trzech kierunkach: Jiao, Gaomi, Pingdu –  
zładzimy komunistów, nacjonalistów, Japończyków, a gdy już opanujemy  
trzy stolice, stworzymy nasze własne państwo!

Dziadek z wrażenia o mało nie spadł z konia. Patrzył zdumiony na  
przystojnego młodzieńca, pełnego państwowotwórczego zapału, i serce aż  
rozbolało go z podniecenia. Wstrzymał konia, zaczekał, by przestały go  
oślepiać czarne światła tańczące przed oczyma, i zsunął się z siodła. Miał  
ochotę przykłęknąć, lecz wydało mu się to niestosowne, wyciągnął więc rękę,  
złapał Pięć Awantur za spoconą dłoń i wyjąkał:

– Drogi panie! Cóż za głupiec ze mnie! Czemuż nie spotkałem pana  
wcześniej? Dlaczego dopiero teraz?

– Tak dostojna osoba jak pan nie powinna być przesadnie skromna.  
Połączmy nasze serca i myśli, by dokonać razem wielkich czynów! – oznajmił  
Pięć Awantur ze łzami w oczach.

Czarnooki, który wyprzedził ich już o ponad milę, wstrzymał konia i  
zawołał na cały głos:

– Hej tam, jedziecie czy nie?

Pięć Awantur złożył dłonie wokół ust i krzyknął:

– Jedziemy! Staremu Yu pękł popręg! Naprawiamy go!

Dobiegły ich głośnie przekleństwa Czarnookiego i zauważyli, że smaga  
batem koński zad. Koń podskoczył i ruszył długimi susami niczym  
gigantyczny zając.

Pięć Awantur spojrział na swojego ojca, który z wytrzeszczonymi,  
błyszczącymi oczyma siedział na końskim grzbiecie.

– Młody paniczku Yu, właśnie rozmawialiśmy z panem komendantem o  
sprawach najwyższej wagi. Nie wolno nikomu o tym wspominać! – rzekł.

Ojciec energicznie pokiwał głową.

Pięć Awantur poluźnił wędzidło, dropiaty żreback chwilę przebierał  
przednimi kopytami, a potem postawił nasadę ogona i ruszył szybkim  
galopem. Tryskające spod podków grudki czarnej ziemi wpadały do rzeki  
niczym odłamki.

Dziadek nigdy w życiu nie czuł takiego spełnienia i takiej jasności  
umysłu. Słowa Pięciu Awantur były jak szmatka, którą wytarto i  
wypolerowano jego serce tak, że załśniło jak lustro. Nareszcie ujrzał cel swojej  
walki, zobaczył wielką przyszłość – szczęście fala za falą zalewało jego serce.



Jego usta wymówiły słowa, których nawet ojciec, siedzący w jego objęciach, nie usłyszał wyraźnie:

– Wola Niebios!

Konie biegły to wolniej, to szybciej, aż wreszcie około południa oderwali się od brzegów Rzeki Czarnej Wody, a po południu zostawili je daleko w tyle. Wieczorem dziadek z wysokości swojego siodła dojrzał o połowę węższą, wijącą się wśród pustkowi alkalicznej gleby Rzekę Słonej Wody. Jej wody przypominały szare, matowe szkło, lśniące przytłumionym blaskiem.

## 8

Jesienią 1928 roku naczelnikowi powiatu Cao Mengjiu udało się zrealizować swój sprytny plan i wyeliminować w Północno-Wschodnim Gaomi wszystkich bandytów, którym przewodził mój dziadek. W czasie pobytu w górach wyspy Hokkaido dziadek po wielokroć rozpamiętywał te tragiczne wydarzenia. Wspominał, jaki był bezgranicznie głupi, kiedy to pełen dumy jechał czarnym chevroletem po wyboistych drogach Północno-Wschodniego Gaomi, służąc w rzeczywistości za przynętę, na którą zwabiono w pułapkę ośmiuset dzielnych ludzi. Na myśl o tym, jak osiem setek mężczyzn skoszono ogniem karabinów maszynowych w odległej dolinie strumienia za miastem Jinan, jego członki ścinał lód. Kiedy szedł z tobołkiem na plecach nad rzekę, by podartą siecią łowić na płyciznach ryby, i patrzył w stronę półksiężycowatej zatoki na pędzące szaroniebieskie grzbiety fal – wspominał rodzinną wioskę i obie Rzeki: Czarnej i Słonej Wody. Kiedy smażył złowionego w japońskiej rzece drobnołuskiego karpia, doświadczał tej samej rozpacz, którą czuł wtedy, gdy wskutek jego tragicznego błędu ośmiuset ludzi postradało życie.

Wczesnym rankiem dziadek wspiał się na wysoki mur otaczający jinańsld posterunek policji. Dotarł na szczyt, ześliznął się na drugą stronę i wylądował u zaśmieconego podartymi papierami i zarośniętego zielskiem podnóża muru, płosząc dwa bezdomne koty. Wkradł się do jakiegoś budynku, gdzie zmienił czarny uniform na jakieś obdarte łachy, po czym wymknął się na gwarną ulicę i patrzył, jak ładowano mieszkańców wioski, w tym jego ludzi, do krytych wagonów towarowych. Na stacji stali strażnicy z zaciętymi, groźnymi minami, wokół wagonów kłębił się dym, z rur wydechowych z gwizdem buchała para. Dziadek ruszył wzdłuż zardzewiałych torów na południe. Szedł i szedł, cały dzień i całą noc, aż o świcie, gdy przechodził obok wyschniętego koryta rzeki, wyczuł silną woń krwi. Wszedł na zerwany drewniany most: w rzece na białych kamieniach, opryskanych krwią i mózgiem, leżały w stertach ciała ośmiuset bandytów z Północno-Wschodniego Gaomi. Wypełniały pół koryta. Poczul niewyobrażalny wstyd, przerażenie i nienawiść. Stojąc na zrujnowanym

moście, doświadczył jeszcze jednego uczucia: było to niezwykle silne pragnienie przetrwania. Miał już dość życia, które polegało na kręceniu się w szalonym kręgu: zabijaj lub daj się zabić, jedz lub daj się pożreć. Myślał o dymach wijących się nad cichą wioską, o skrzypiącym kołowrocie studni, o kudłatym osiołku, wyciągającym szyję do koryta pełnego przejrzystej wody, o czerwonym jak płomień kogucie, stojącym na murze osłoniętym gałęziami daktylowca i śpiewającym swoją pieśń na powitanie porannej zorzy. Postanowił, że wróci do domu. Po latach spędzonych na terenie Północno-Wschodniego Gaomi była to jego pierwsza tak odległa wyprawa i wydawało mu się, że dom jest na końcu świata. Do Jinanu przyjechali pociągiem – pamiętał, że pociąg kierował się cały czas na zachód, dlatego uznał, że wystarczy iść wzdłuż torów na wschód, by dostać się z powrotem do rodzinnego powiatu. Ruszył zatem. W pewnym momencie miał wrażenie, że tory zaczynają zbaczać w inną stronę – zawahał się, szybko jednak odrzucił wątpliwości i pomaszerował dalej. W końcu nawet wielka rzeka Jangcy czasem zakręca, pomyślał, więc tym bardziej muszą to robić zbudowane przez ludzi tory kolejowe. Od czasu do czasu spotykał psy, które podnosiły tylną nogę i sikały na szyny, a czasem suki, które sikały na szyny, kucając. Kiedy nadjeżdżał czarny pociąg, przypadał do ziemi w rowie albo w zbożu obok torów, patrząc na czerwone albo czarne koła toczące się z łoskotem po krętych szynach. Przerażliwy gwizd parowozu, przepuszczony przez gąszcz poskręcanych liści, przyjmował dziwne kształty w unoszącym się w powietrzu pyłu. Gdy przetoczyły się wagony, szyny boleśnie wracały do pierwotnego stanu – to czerniejąc, to szarzejąc, jakby niechętnie poddawały się przymusowi. Z pociągów pasażerskich kapał identycznie cuchnący mocz Chińczyków i Japończyków, szczeliny w drewnianych podkładach wypełniały skorupki orzeszków ziemnych i pestek dyni oraz drobne papierki.

Dziadek jadł to, co wyżebrał w mijanych wioskach, pił wodę ze strumyków. Dniem i nocą wędrował na wschód. Po dwóch tygodniach wreszcie dostrzegł w oddali dwa znajome bunkry przy stacji kolejowej Gaomi. Na peronie właśnie zebrała się powiatowa arystokracja, by odprowadzić byłego naczelnika Cao Mengjiu, który otrzymał awans na komisarza policji w prowincji Szantung. Dziadek pomacał się w pasie, lecz nic tam nie było. Nagle, nie wiedzieć w jaki sposób, znalazł się na ziemi. Leżał długo, twarzą w dół, aż w końcu poczuł w ustach krwisty smak czarnej gleby.

Po namyśle doszedł do wniosku, że nie będzie jeszcze wracał do mojej babki i ojca, mimo że w lodowatej krainie snów już tyle razy widywał białe jak śnieg ciało babki i dziwnie niewinny uśmiech swojego syna. Po przebudzeniu jego brudna twarz zawsze była zalana gorącymi łzami, a serce bolało go tępo, jak długo zaciśnięta pięść. Kiedy patrzył na rozgwieżdżone niebo nad głową, przepełniała go ogromna tęsknota do żony i syna. Teraz jednak, w

decydującym momencie, gdy poczuł w ciemnym nocnym powietrzu tak dobrze znaną woń alkoholu, zawahał się. Półtora policzka, bo tyle wymierzyła mu babka, rozdzieliło ich niczym zimny, okrutny nurt rzeki. „Osioł! Wieprz!” – wyzywała go babka, marszcząc gniewnie brwi, pochylona, podparta pod boki, z wyciągniętą w przód szyją. Z ust ciekł jej strumyczek krwi. Ten wstrętny, złowrogi widok wzbudził w jego sercu wielki zamęt. W całym długim życiu dziadka jeszcze nigdy żadna kobieta nie przeklinała go z taką złością, nigdy też nie uderzyła go w twarz. Chociaż czuł się winny, romansując z Miłością, wyzwiska i ciosy sprawiły, że cały wstyd się ulotnił, a tę odrobinę samokrytyki, która kielkowała na dnie jego serca, zastąpiła żarliwa chęć odwetu. Przekonany, iż sprawiedliwość jest po jego stronie, odszedł z Miłością do Doliny Słonej Wody, wioski odległej o piętnaście *li* od domu. Kupił tam dom i osiedlił się. Szybko jednak zrozumiał, że nie jest szczęśliwy. Widząc wady Miłości, odkrywał zalety babki. I teraz, po tym, jak ledwie uniknął śmierci, nogi zaniósły go właśnie tutaj – gdy poczuł te wszystkie znajome wonie, jego serce ogarnął wielki smutek, bo mimo wszystko bardzo chciał wrócić z powrotem do tego domu, pełnego gorzkich i pięknych wspomnień, wrócić do dawnego szczęścia. Niestety, tamte wyzwiska, widok pochyłonych pleców i wyciągniętej w gniewie szyi wyrastały przed nim niczym bariera, zagradały mu drogę.

W środku nocy dziadek dowlókl swoje obolałe ciało do Doliny Słonej Wody. Stał przed kupionym przed dwoma laty domem i patrzył na księżyc wiszący wysoko na północno-zachodnim niebie. Niebo miało barwę srebrnoszarą, księżyc pomarańczową. Tarcza księżycowa nie była pełna, lecz wyraźnie dało się dostrzec blady zarys brakującej części. Wokół niego świeciło kilkanaście rozproszonych, samotnych gwiazd. Dom i drogę zalewała chłodna poświata. Przed oczyma dziadka zamajaczyło smagłe, gibkie, smukłe ciało Miłości. Gdy przypomniał sobie jej otoczoną złotymi płomieniami postać i niebieskie iskry sypiące się z jej oczu, poruszająca do głębi tęsknota za ich namiętnym związkiem sprawiła, że zapomniał o wszystkich bólach dręczących jego ciało i duszę, przeskoczył przez kryty dachówką mur i wylądował na podwórzu.

Starając się trzymać emocje na wodzy, zapukał w okiennicę i szepnął:

– Miłość... Miłość...

Z wnętrza dało się słyszeć nagle westchnienie, a następnie drżący z przerażenia okrzyk, który zmienił się w urywane łkanie.

– Miłość! Miłość! To ja, nie poznajesz mnie? To ja, Yu Zhan’ao!

– Mój ukochany! – odpowiedziała po chwili Miłość. – Starszy bracie! Przerażasz mnie, ale nie boję się ciebie! Chcę cię zobaczyć, nawet jeśli jesteś

duchem! Jesteś duchem, ale mimo to wróciłeś do mnie, jakie to szczęście! Wciąż jeszcze mnie pragniesz... Chodź do mnie, chodź!

– Miłość, nie jestem duchem! Jestem żywy! Udało mi się uniknąć śmierci!  
– Dziadek zapukał pięścią w okno. – Słyszysz to? Czy duchy potrafią pukać do okien?

Miłość rozplakała się na cały głos.

– Nie płacz, jeszcze ktoś cię usłyszy! – uspokajał ją dziadek.

Skierował się w stronę drzwi i ledwie tam dotarł, naga Miłość niczym szczupak rzuciła mu się w ramiona.

Dziadek leżał na kangu, wpatrując się tępo w oklejony papierem sufit. Przez dwa miesiące nie wyszedł nawet za próg domu, a Miłość codziennie nasłuchiwała we wsi wieści o bandytach z Północno-Wschodniego Gaomi i wszystko mu przekazywała. Codziennie więc na nowo pograżał się w tragicznych wspomnieniach – niektóre szczegóły sprawiały, że zgrzytał zębami z wściekłości. Całe życie polował na dzikie gęsi, aż w końcu czyjś dziób wydziobał mu oczy. Miał nieskończone mnóstwo okazji, by pozbawić życia tego plugawego psa Cao Mengjiu, ale za każdym razem go oszczędzał. Przypomniła mu się moja babka. Jej na poły fałszywa, na poły prawdziwa relacja z Cao Mengjiu, ów związek przybranej córki i przybranego ojca> był jednym z powodów, dla których dał się wystrychnąć na dudka. Jego nienawiść do Cao Mengjiu promieniowała więc również na nią. Kto wie, może ona i naczelnik byli w zмовie i podstępnie wciągnęli go w pułapkę?

– Kochany bracie, nie możesz o niej zapomnieć, a ona pewnie już dawno o tobie nie pamięta. Kiedy zabrał cię pociąg, związała się z przywódcą Żelaznego Stowarzyszenia, Czarnookim. Przeprowadziła się z nim do Doliny Słonej Wody, mieszka tam od ładnych paru miesięcy i do tej pory nie pokazała się w domu – powiedziała pewnego dnia Miłość, leżąc obok niego i gładząc jego tors.

Widok jej nienasyconego smagłego ciała obudził w dziadku niechęć. Jego myśli pobiegły ku tamtemu drugiemu ciału, białemu jak śnieg, i ku tamtemu dusznemu popołudniu, kiedy ułożył swoją babkę na pelerynie w cieniu gęstego sorga.

Dziadek się podniósł.

– Gdzie mój pistolet? – zapytał. Miłość uwiesiła mu się na ramieniu.

– Co chcesz zrobić? – dopytywała się z przestraczem.

– Pójdę i powystrzelam te psie pomioty!

– Zhan’ao, najdroższy! Nie zabijaj już więcej! Pomyśl, ilu ludzi zamordowałeś w swoim życiu!

Dziadek szturchnął ją kolanem w brzuch.

– Nie gadaj tyle! Dawaj broń!

Łkając, Miłość rozpruła poduszkę i wyjęła pistolet.

Dziadek i ojciec, siedząc we dwójkę na karym koniu, podążyli za młodym członkiem Żelaznego Stowarzyszenia imieniem Pięć Awantur, człowiekiem z głową pełną strategicznych planów. Galopowali długo, a widok szarych wód Rzeki Słonej Wody i rozciągających się po obu jej stronach rozległych białych równin alkalicznej gleby ani trochę nie ostudził zapału dziadka, wywołanego płomiennymi przemowami młodzieńca. Przypomniawszy sobie jednak również pojedynki, który stoczył z Czarnookim na brzegu tej rzeki...

Z pistoletem za pasem jechał całe przedpołudnie na grzbiecie dorodnego osła, aż dotarł do wsi Dolina Słonej Wody. Zostawił zwierzę u wejścia do wioski, żeby pogryzało sobie korę rosnącego tam wiązu. Zsunął podniszczony filcowy kapelusz nad same brwi i wmaszerował zamaszystym krokiem do wioski. Dolina Słonej Wody była sporą wsią, lecz dziadek, nie pytając o drogę, skierował się od razu w stronę rzędu dość dużych domów. Jesień miała się już ku końcowi, pożółkłe zeschnięte liście rosnących w pobliżu kilkunastu kasztanowców kołysały się na wietrze. Wiatr, choć porywisty, nie był silny. Dziadek wśliznął się na dziedziniec przed krytymi dachówką zabudowaniami. W środku odbywało się właśnie zebranie Żelaznego Stowarzyszenia. Na ścianie rozległej sali o podłodze wyłożonej kwadratową kostką wisiał wielki obraz w żółtoszarej tonacji, przedstawiający dziwnego starca dosiadającego wielkiego, cętkowanego tygrysa. Na ołtarzyku pod obrazem leżało zbiorowisko jakichś tajemniczych przedmiotów, dopiero później dziadek dowiedział się, że były to pazur małpy, czaszka kury, suszony pęcherz wieprza, głowa kota i kopyto osła. W dymie kadzideł na okrągłym, grubym, żelaznym półmisku\* siedział mężczyzna – jedno jego oko otoczone było kręgiem ciemnych brodawek. Lewą dłoń pocierał czaszkę nad czołem, gdzie miał kawałek wygolonej skóry, prawą zasłaniał sobie z tyłu rowek między pośladkami i recytował głośno: „Amalai amalai żelazna głowa żelazne ramię żelazny ołtarz duszy żelazne ścięgna żelazne kości żelazny ołtarz cynobrowy żelazne serce żelazna wątroba żelazny ołtarz płuc żelazny mur z surowego ziarna żelazny

---

\* Chodzi o kawał grubej żelaznej blachy albo żeliwny talerz, na którym podaje się w kuchni chińskiej niektóre potrawy – nazwę Żelaznego Stowarzyszenia dosłownie można przetłumaczyć jako „Stowarzyszenie Żelaznej Blachy” bądź „Stowarzyszenie Żelaznego Półmiska”.

miecz żelazna strzelba nie ma ucieczki żelazny mistrz dosiadający tygrysa szybki niczym cesarski edykt amalai amalai amalai...”

Dziadek rozpoznał w mężczyźnie słynnego w całym Północno-Wschodnim Gaomi pół człowieka, pół demona – Czarnookiego.

Kiedy Czarnooki skończył swoją inkantację, szybko wstał i złożył trzy czołobitne pokłony „żelaznemu mistrzowi” dosiadającemu tygrysa. Następnie wrócił i ponownie usadowił się na półmisku. Podniósł ręce zaciśnięte w pięści tak, że nie było widać paznokci, i skinął głową w stronę zebranych w sali członków Żelaznego Stowarzyszenia. Każdy z nich przykrył lewą dłonią wygoloną skórę nad czołem, a prawą zasłonił rowek między pośladkami, po czym wszyscy z zamkniętymi oczyma zaczęli podniesionymi głosami powtarzać wygłoszoną przez Czarnookiego inkantację. „Amalai... amalai...” – dźwięczne skandowanie brzmiało jak pieśń. Dziadek miał wrażenie, że w powietrzu wokół unoszą się duchy. Jego gniew wydatnie osłabł – wcześniej zamierzał zabić Czarnookiego, lecz teraz z nienawiścią i odrazą do tego człowieka splotła się nić podziwu i szacunku.

Zakończywszy modlitwę, wszyscy członkowie Żelaznego Stowarzyszenia jednocześnie złożyli czołobitny pokłon demonowi na tygrysie, po czym sprawnie ustawili się dwójkami w zwartą kolumnę podwójną kolumnę. Ich przywódca stał przed wielką ciemnoczerwoną kadzią pełną surowego ziarna czerwonego sorga. Dziadek słyszał, że członkowie Żelaznego Stowarzyszenia jadali surowe ziarno, a teraz zobaczył to na własne oczy: każdy z mężczyzn brał z rąk Czarnookiego miseczkę z ziarnem, pochłaniał jej zawartość, a następnie podchodził do ołtarza, ujmował w dłoń po kolei leżące tam przedmioty: małpi pazur, kopyto muła, kurzą czaszkę – i pocierał nimi swoją wygoloną łysinę.

Biały blask słońca zaczynał już czerwienieć, ceremonia miała się ku końcowi. Dziadek wyciągnął pistolet i wystrzelił prosto w twarz demonicznego jeźdźca na tygrysie, wybijając mu dziurę w czole. Członkowie Stowarzyszenia rozpięchli się po sali, a gdy oprzytomnieli, wybiegli na zewnątrz i otoczyli dziadka.

– Ktoś ty? Masz butę, złodziejaszku! – zakrzyknął Czarnooki.

Dziadek cofnął się i dymiącą lufą pistoletu ściągnął z głowy podniszczony kapelusz.

– Twój stary mistrz, Yu Zhan’ao!

– To ty jeszcze żyjesz?

– Chciałem zobaczyć, jak giniesz pierwszy!

– Myślisz, że możesz mnie zabić tą zabawką? Chłopak, dajcie nóż.

W ręku jednego z członków Stowarzyszenia błysnął nóż rzeźnicki. Czarnooki nabrał powietrza i dał mężczyźnie sygnał. Dziadek patrzył, jak ostrze piłuje nagi brzuch Czarnookiego, jakby to był pień drzewa, zostawiając na skórze tylko blade smugi.

Mężczyźni zaczęli znowu skandować chórem: „Amalai amalai amalai żelazna głowa żelazne ramię żelazny ołtarz duszy... żelazny mistrz dosiadający tygrysa, szybki niczym cesarski edykt amalai amalai amalai...”

Dziadek był zdumiony – nie miał pojęcia, że na świecie naprawdę istnieją ludzie, których nie imają się kule ani ostrza. Przypomniał sobie treść powtarzanej przez mężczyzn inkantacji: całe ciało z żelaza... całe oprócz jednego miejsca – oczu.

– Czy twoje oczy też są odporne na kule? – spytał Czarnookiego.

– A czy twój brzuch jest odporny na noże? – odparował przywódca.

Dziadek był pewien, że jego brzuch nie wytrzyma ataku rzeźnickim nożem, ale wiedział już, że oko Czarnookiego nie wyjdzie cało ze spotkania z kulą pistoletu.

Członkowie Żelaznego Stowarzyszenia, którzy otoczyli dziadka, byli uzbrojeni po zęby i wpatrywali się niego jak tygrysy w potencjalną zdobycz.

Dziadek zdawał sobie sprawę, że w jego pistolecie jest tylko dziewięć nabojów i że jeśli zastrzeli Czarnookiego, mężczyźni rozszarpia go na strzępy niczym wściekłe psy.

– Czarnooki, skoro taki z ciebie chwat, dam spokój tobie i całemu twojemu haremowi. Ale moją suczkę mi oddaj. Wtedy będziemy kwita – zaproponował dziadek.

– To ona jest twoja? Przybiega na twoje wołanie? Wzięłeś z nią ślub jak należy? Wdowa jest jak bezpańska suka – należy do tego, kto ją karmi! Jeśli masz trochę oleju w głowie, zjeżdżaj stąd – jak nie, to nie miej pretensji do Czarnego, gdy zrobi się niegrzeczny! – odparł Czarnooki.

Dziadek uniósł pistolet. Członkowie Żelaznego Stowarzyszenia wycelowali w niego swoje zimne, lśniące oręża. Patrząc na ich drżące, powtarzające modlitwę usta, pomyślał: A niech to. Życie za życie!

W tym momencie spoza zbiegowiska dobiegł szyderyczy śmiech mojej babki. Dziadek opuścił broń.

Babka z moim ojcem na ręku stała na kamiennych schodach, skąpana w blasku zachodzącego słońca. Jej włosy lśniły, twarz jaśniała różanym blaskiem, oczy błyszczały. Mogła budzić zachwyt i nienawiść zarazem.

– Ty dziwko! – warknął dziadek przez zaciśnięte zęby.

– Ty ośle! Ty świni! Ty szumowino! Nadajesz się w sam raz na kochasia służącej! – odwzajemniła się babka.

Dziadek podniósł pistolet.

– No, dalej! Zastrzel mnie! Zastrzel swojego syna!

– Przybrany tato! – zawołał mój ojciec. Lufa pistoletu dziadka opadła.

Znowu przypomniał sobie tamto ogniście czerwone popołudnie w szmaragdowozielonym sorgu. A potem czarnego muła stojącego za oknem, z kopytami zagłębionymi w błotnistej ziemi. Na koniec wyobraził sobie, jak to śnieżnobiałe ciało leży w objęciach Czarnookiego.

– Załatwmy to sam na sam, Czarnooki – zaproponował. – Walczmy na pięści. Albo ryba zdechnie, albo sieć się rozerwie. Czekam na ciebie nad rzeką za wsią.

Wetknął pistolet za pas. Nie patrzył już na babkę – zerknął jedynie na mego ojca, po czym ruszył z powrotem, żegnany ogłupiałymi spojrzeniami członków Żelaznego Stowarzyszenia. Maszerując zamaszystym krokiem, opuścił wioskę.

Kiedy już znalazł się nad zasnutym białą mgłą brzegiem Rzeki Słonej Wody, ściągnął kurtkę, rzucił pistolet, zacisnął pas i czekał. Był pewien, że Czarnooki niebawem się pojawi.

Mętna woda rzeki, podobna do matowego, przydymionego szkła, odbijała złoty blask słońca, na brzegu trwały w bezruchu niskie zarośla sodówki.

Nadszedł Czarnooki.

Za nim szła babka z ojcem na rękę.

Pochód zamykali członkowie Żelaznego Stowarzyszenia.

– Walczymy cywilnie czy wojskowo? – spytał Czarnooki.

– A jak to jest cywilnie, a jak wojskowo?

– Cywilnie to znaczy, że ja cię uderzę trzy razy, a potem ty mnie trzy razy. A wojskowo – bijemy się, jak popadnie! – wyjaśnił przywódca.

Dziadek zastanowił się przez chwilę.

– Niech będzie wojskowo! – zdecydował.

– Ja najpierw uderzę ciebie czy ty najpierw mnie? – spytał Czarnooki tonem człowieka, który lubi mieć wszystko dokładnie zaplanowane.

– Niech zdecydują Niebiosy. Ciągnijmy słomki. Kto wyciągnie dłuższą, uderza pierwszy!



– Kto przygotowuje słomki?

– Ja – oznajmiła babka, kładąc ojca na ziemi.

Zerwała dwa źdźbła, schowała ręce za plecami, po czym wyciągnęła je w przód.

– Ciągnijcie!

Spojrzała na dziadka. Dziadek chwycił jedno źdźbło i babka rozpostarła dłoń, pokazując drugie.

– Wyciągnąłeś długą, więc ty zaczynasz! – oznajmiła.

Dziadek wbił pięść w brzuch Czarnookiego. Ten wydał krótki jęk.

Wytrzymawszy pierwszy cios, Czarnooki wyprostował się, w jego oczach zamigotały niebieskie iskry. Z napiętym brzuchem czekał na kolejny atak.

Dziadek uderzył go pięścią w serce.

Czarnooki zatoczył się o krok do tyłu.

Ostatni cios dziadek wymierzył prosto w pępek Czarnookiego. Uderzył z całej siły.

Czarnooki zatoczył się o dwa kroki do tyłu. Twarz miał żółtą jak wosk. Przycisnął dłoń do piersi, zakasłał dwa razy i wypluł sporą ilość na wpół skrzepniętej krwi.

Zacmokał wargami i skinął głową w kierunku dziadka. Dziadek całą swoją energię skierował do klatki piersiowej i brzucha.

Czarnooki uniósł wielką jak końskie kopyto pięść i zamachnął się, lecz zanim dosięgnął dziadka, cofnął rękę.

– Na cześć Niebios daruję ci ten cios! – rzekł. Kolejne uderzenie także trafiło w pustkę.

– Na cześć Ziemi daruję ci i tym razem! – powtórzył Czarnooki.

Trzeci cios Czarnookiego sprawił, że dziadek wywinał kozła w powietrzu i niczym wielka gruda błota runął z plaśnięciem na twardą alkaliczną glebę.

Wygramolił się z trudem, podniósł kurtkę i pistolet. Na jego twarzy widniały krople potu wielkości ziaren soi.

– Do zobaczenia za dziesięć lat – rzekł.

Na wodzie unosił się kawałek brunatnej kory. Dziadek strzelił dziewięć razy, rozbijając go na kilkadziesiąt drobnych kawałków, po czym wetknął pistolet za pas i ruszył, zataczając się, w stronę alkalicznej równiny. Słońce

świeciło na jego gołą głowę i coraz bardziej zgarbione plecy, cała jego postać lśniła niczym figura z brązu.

Czarnooki spojrział na unoszące się na wodzie odłamki kory, splunął krwią i przysiadł ciężko na ziemi.

Babka z ojcem na rękę pobiegła chwiejnie za dziadkiem.

– Zhan'ao! – wołała płaczliwie.

## 9

Za wysokim wałem nad Rzeką Czarnej Wody karabiny maszynowe huczały przez całe trzy minuty. Żołnierze Batalionu Jiaogao, którzy jeszcze niedawno z bojowym okrzykiem na ustach ścigali pokonanego wroga, padali gromadnie na suchą drogę i wypalone pole sorga. Żołnierze Żelaznego Stowarzyszenia pod dowództwem dziadka, którzy już mieli poddać się Batalionowi, lądowali na ziemi jak skoszone zboże. Byli wśród nich zarówno długoletni wyznawcy Czarnookiego i jego mistycznych praktyk, jak i nowi członkowie, którzy przyłączyli się do Stowarzyszenia, zachęceni reputacją dziadka. Ani sine, wygolone placki na ich głowach, ani surowe ziarno moczone w studziennej wodzie, ani żelazny mistrz dosiadający tygrysa, ani też pocieranie głowy mulim kopytem, małym pazurem i kurzym czerepem nie zapewniły ich ciałom z krwi i kości bodaj odrobiny „żelaznej” osłony – kule z karabinów maszynowych bez pardonu łamały im grzbiety i nogi, przebijały piersi i brzuchy. Poszarpane ciała członków Żelaznego Stowarzyszenia i zakrwawione zwłoki żołnierzy Batalionu Jiaogao zasłały ziemię wokół i leżały teraz bezładnie jedne na drugich. Czerwona krew żołnierzy Jiaogao i zielona krew żołnierzy Stowarzyszenia tworzyły purpurową mieszaninę, która karmiła czarnoziem pól i powierzchnię drogi. Jeszcze przez wiele lat tutejsze ziemie były najżyźniejsze ze wszystkich. Hodowane w okolicy sorgo rosło jak szalone, zachwycało piękną barwą, a jego lśniące łodygi i liście miały w sobie witalność i wigor samczych organów płciowych.

Wspólna klęska Batalionu i Stowarzyszenia sprawiła, że zapamiętali wrogowie w jednej chwili zmienili się w oddanych sojuszników. Zjednoczyli się ze sobą żywi i umarli, jęczący z bólu i turlający się po ziemi, Jiang Małonogi z przestrzeloną kostką i dziadek z raną w ramieniu. Kiedy dziadek leżał z głową w pobliżu zabandażowanej nogi Jianga, zauważył, że jego stopy wcale nie były takie małe, za to ich woń zagłuszała zapach krwi.

Karabiny za wałem znowu się rozterkotały, kule biły w drogę i w ziemię na polu, wzbijając chmury pyłu. Tapnięcia pocisków o glebę i przerażające odgłosy kul wbijających się w ludzkie ciała szarpały nerwy tym, którzy nie

stracili jeszcze swojego nędznego życia. Żołnierze Batalionu Jiaogao i członkowie Żelaznego Stowarzyszenia najchętniej sami zagrzebaliby się w ziemi.

Ukształtowanie terenu było fatalne: równina, bez choćby jednej kępy traw w zasięgu wzroku. Gęstwa kul cięła powietrze nad ich głowami niczym ostry nóż – kto odważył się podnieść, ten natychmiast ginął.

W kolejnej przerwie między salwami dziadek krzyknął do Jianga Małonogiego:

– Granaty ręczne!

Karabiny znowu zaterkotały i ponownie zamilkły. Żołnierze Batalionu Jiaogao rzucili za wał kilkanaście granatów. Zagrzmiały wybuchy i skryci za wałem bohaterowie również zaczęli krzyczeć wniebogłosy. Czyjaś ręka w szarym rękawie wleciała nad wał.

– To oddział Lenga! To ten skurwysyn Ospowaty Leng! – zakrzyknął dziadek, patrząc na drgające palce oderwanej kończyny.

Żołnierze Batalionu Jiaogao rzucili kolejną partię granatów. Trysnęły odłamki i wpadły z pluskiem do rzeki, zza wału uniosło się kilkanaście słupów dymu. Siedmiu czy ośmiu śmiazków ruszyło do ataku z karabinami w rękach, lecz gdy tylko wbiegli na łagodne zbocze nasypu, skosiła ich kolejna salwa. Wszyscy stoczyli się do podnóża wału, trudno było odróżnić żywych od martwych.

– Odwrót! – rozkazał Jiang Małonogi.

Żołnierze rzucili kolejną partię granatów i ledwie wybrzmiał huk eksplozji, ci, co przeżyli, wyczołgali się spod stert martwych ciał i czym prędzej rzucili do ucieczki w kierunku północnym, ostrzeliwując się z karabinów. Jiang Małonogi z dwoma żołnierzami podążał za wycofującym się oddziałem. Dziadek został, leżąc bez ruchu na ziemi, przeczuwał bowiem, że ucieczka może okazać się bardzo niebezpieczna. Prędzej czy później będzie musiał się wycofać, ale nie nadszedł jeszcze właściwy moment. Część członków Żelaznego Stowarzyszenia dołączyła do żołnierzy Jiaogao, inni jeszcze się wahali.

– Nie ruszajcie się – przestrzegł ich cicho dziadek.

Zza wału wznosiła się chmura dymu i dobiegały bolesne krzyki rannych. Dziadek usłyszał znajomy głos, krzyczący ile sił w płucach:

– Ognia! Karabiny, ognia!

Był to głos Ospowatego Lenga. Ponury uśmiech zawisł na twarzy dziadka.

Dziadek wstąpił do Żelaznego Stowarzyszenia razem z moim ojcem. Wieczorem wygolił sobie czoło zgodnie z regułami. Kiedy kłaniał się przed wizerunkiem mistrza dosiadającego tygrysa, dostrzegł na jego twarzy naprawioną dziurę po własnej kuli i uśmiechnął się do siebie – wydało mu się, że było to zaledwie wczoraj. Mój ojciec także dał sobie wygolić głowę. Na widok czarnej brzytwy w ręku Czarnookiego przeszedł go zimny dreszcz – widać wydarzenia sprzed kilkunastu lat musiały mocno zapisać się w jego pamięci. Po goleniu przywódca potarł mu czaszkę kopytem muła, małpim pazurem i całą resztą dziwacznych artefaktów. Gdy rytuał dobiegł końca, ojciec rzeczywiście poczuł się twardszy, jakby jego krew i mięśnie naprawdę zmieniły się w żelazo.

Członkowie Żelaznego Stowarzyszenia z wielkim entuzjazmem powitali dziadka. Co rusz nagabywali ojca, żeby opowiadał im historię o bitwie nad Rzeką Czarnej Wody. W końcu pod wodzą Pięciu Awantur urządzili bunt, domagając się, by Czarnooki uznał dziadka za swojego zastępcę.

Gdy stanowisko zastępcy przywódcy Stowarzyszenia zostało już stworzone i obsadzone, Pięć Awantur zaczął się domagać, by przed członkami organizacji postawiono zadania militarne. Oświadczył, że umiejętności zdobyte w czasie tysiąca dni wojskowych ćwiczeń powinny wreszcie na coś się przydać. Najeźdźcy rujnują kraj i gubią naród, zatem czyż nie jest to odpowiednia chwila, by wyćwiczeni w „żelaznej” sztuce walki członkowie Stowarzyszenia ruszyli zabijać japońskich piratów? Większość ludzi Czarnookiego stanowili młodzi mężczyźni o gorącej krwi, nienawidzący Japończyków do szpiku kości, toteż płomienne przemowy Pięciu Awantur sprawiły, że ich pragnienie, by wypróbować swoje żelazne kungfu na polu bitwy, rozgorzało gwałtownie niczym ognisko skropione olejem. Czarnooki nie miał wyjścia, musiał się zgodzić. Dziadek zadał Pięciu Awanturom dyskretne pytanie:

– Wierzysz, że dzięki żelaznemu kungfu można zatrzymać kule?

Pięć Awantur tylko uśmiechnął się chytrze.

Pierwsza bitwa stoczona przez Żelazne Stowarzyszenie była potyczką na bardzo małą skalę z Batalionem Gao, który należał do marionetkowej armii kolaborującej z Japończykami pod wodzą Zhanga Zhuxi. Żołnierze Stowarzyszenia, którzy chcieli z zaskoczenia napaść na gospodę rodziny Xia, natknęli się na rozstajach na Batalion Gao powracający z najazdu na spichrze. Obie strony zatrzymały się i zmierzyły wzrokiem. Grupa wypadowa Batalionu Gao składała się z sześćdziesięciu, może siedemdziesięciu żołnierzy w morelowożółtych mundurach. Każdy z nich miał stalowy karabin i krzyżujące się na piersiach pasy pełne nabojów. Ludziom towarzyszyły zwierzęta: objuczone sakwami z ziarnem muły i osły. Odziani od stóp do głów w czerń

członkowie Żelaznego Stowarzyszenia byli uzbrojeni jedynie we włócznie, szable i noże, tylko kilkunastu z nich miało za paskami pistolety.

– Z jakiej jednostki jesteście? – zapytał gruby oficer Batalionu Gao dosiadający konia.

Dziadek sięgnął do pasa po pistolet.

– Z takiej, co zabija zdrajców ojczyzny! – odkrzyknął już po tym, jak wybrzmiał huk wystrzału.

Gruby żołnierz z zakrwawioną, podobną do tykwy głową zwałił się z konia na ziemię.

– Amalai amalai amalai! – wyskandowali chórem członkowie Żelaznego Stowarzyszenia i bez cienia strachu ruszyli do ataku. Objuczone sakwami osły i muły pozrywały się z postronków i rozbiegły po polu. Kolaboranci rozpaczliwie rzucili się do ucieczki – ci, którzy biegli zbyt wolno, zostali wkrótce posiekani szablami i zakłuci włóczniami przez żołnierzy Żelaznego Stowarzyszenia.

Ci, którym udało się zbiec na odległość lotu strzały, zaczęli odzyskiwać przytomność umysłu, formowali szyki i strzelali: pif pif, paf paf! Tymczasem ogarnięci bitewnym zapalem członkowie Stowarzyszenia z pieśnią na ustach szarżowali bezlitośnie dalej.

– Rozproszyc się! Pochylic się! – pokrzykiwał dziadek.

Ale dźwięczne skandowanie zagłuszyło jego komendy. Mężczyźni szli łąwą, z wypiętymi piersiami i dumnie podniesionymi głowami.

Kolaboranci wystrzelili salwę, która powaliła ponad dwudziestu członków Żelaznego Stowarzyszenia. Świeża krew tryskała naokoło; u stóp tych, którzy jeszcze żyli, rozlegały się rozpaczliwe krzyki rannych.

Członkowie Żelaznego Stowarzyszenia osłupieli. Kolaboranci wystrzelili następną salwę, kosząc kolejnych żołnierzy.

– Rozproszyc się! Padnij! – wołał dziadek.

Kolaboranci ruszyli do ataku. Dziadek przycupnął i naładował pistolet. Czarnooki podniósł się i krzyknął gniewnie:

– Powstań! Skandować! Żelazna głowa żelazne ramię żelazna ściana żelazna palisada żelazne serce żelazne wnętrzości żelazna blacha zatrzyma kule żelazny mistrz dosiadający tygrysa szybki niczym cesarski edykt amalai...

Wtem pocisk gwizdnął mu koło głowy i Czarnooki rzucił się na ziemię niczym pies polujący na psią kupę; twarz miał błądą jak wosk.

Dziadek zaśmiał się gorzko, wyciągnął się w jego stronę i wyjął mu pistolet z drżącej ręki.

– Douguan! – zawołał.

Ojciec przy turlał się w pobliże dziadka.

– Tu jestem, tato!

Dziadek podał mu broń Czarnookiego.

– Wstrzymaj oddech, nie ruszaj się. Czekaj, aż podejda bliżej! – rozkazał.

– Ci, co mają broń, niech się przygotują. Strzelajcie, jak będą blisko! – dodał, zwracając się do żołnierzy.

Kolaboranci dzielnie napierali. Pięćdziesiąt metrów, czterdzieści, dwadzieścia, dziesięć... Ojciec już widział ich żółte zęby.

Dziadek skoczył na równe nogi, kule posypały się z lewej i z prawej strony, siedmiu czy ośmiu kolaborantów skłoniło się głęboko i runęło na ziemię. Mój ojciec i Pięć Awantur trafiali bezbłędnie – wrogowie rozbiegali się w popłochu, a dziadek i reszta strzelali im w plecy. Gdy pistolet przestał wystarczać dziadkowi, podniósł porzucony przez kolaboranta karabin i strzelał dalej.

Ta drobna potyczka umocniła pozycję dziadka w Stowarzyszeniu. Tragiczna śmierć kilkudziesięciu jego członków obnażyła bezsens magicznych rytuałów Czarnookiego. Pozostali odmówili dalszego udziału w narzuconych im codziennych ceremoniach „żelaznego ciała”. Karabiny – tego potrzebowali najbardziej. Żadne modlitwy ani rytuały nie mogły ochronić ich przed salwą z broni palnej.

Dziadek i ojciec, podając się za rekrutów, wkradli się w szeregi Batalionu Jiaogao i w biały dzień porwali Jianga Małonogiego. Następnie, udając, że zmieniają strony, przyłączyli się do oddziału Ospowatego Lenga i równie brawurowo porwali jego kapitana.

Wymiana tych dwóch zakładników na broń oraz konie bojowe zapewniła dziadkowi niekwestionowaną główną pozycję w Stowarzyszeniu, którego sława rosła. Czarnooki stał się zbędny, tylko przeszkadzał i wchodził w drogę. Pięć Awantur kilka razy chciał się go pozbyć, lecz dziadek za każdym razem go powstrzymywał.

Po uzyskaniu okupu za zakładników Żelazne Stowarzyszenie stało się najsilniejszą organizacją w całym Północno-Wschodnim Gaomi, a Batalion Jiaogao i oddział Lenga wycofały się i przycisnęły gdzieś w ukryciu. Kiedy na równinach zapanował pokój, w głowie dziadka wykiełkowała myśl, by urządzać babce uroczysty pogrzeb. Potem nastąpiło gromadzenie funduszy, konfiskata

trumny i zabijanie; sława nazwiska Yu rozkwitała bujnie i rozprzestrzeniała się niczym skropiony olejem ogień. Dziadek jednak zapomniał o oczywistej dialektyce: po każdym dniu następuje zmierzch, księżyc w pełni szybko zaczyna się kurczyć, przepelnione naczynie przewraca się, a po największym rozkwicie zawsze przychodzi kolej na rozkład. Wystawny pogrzeb babki był jednym z największych błędów, jakie w życiu popełnił.

Karabiny maszynowe za wałem znowu się rozterkotały. Wsłuchując się w kanonadę, dziadek doszedł do wniosku, że zostały już tylko dwa, resztę wysadziły w powietrze granaty Batalionu Jiaogao. Żołnierzy Jiaogao, przemieszanych z członkami Żelaznego Stowarzyszenia, którym udało się odbiec ponad sto metrów od wału, salwa z karabinów szatkowała teraz na tysiące barwnych kawałków. Znowu zostali zepchnięci na rozległą, otwartą przestrzeń pól. Chytry podkomendni Lenga nie spieszili się z szarżą, oddając na razie głos karabinom.

Wśród kilkunastu żołnierzy Jiaogao, których salwa z karabinów skosiła na wale, dziadek dostrzegł pokrwawionego, drobnego człowieczka, który powoli, z trudem popęzł w górę zbocza. Posuwał się wolniej niż jedwabnik, wolniej niż dżdżownica, wolniej niż ślimak. Jego ciało wydawało się podzielone na kilka segmentów, które przemieszczały się kolejno, jeden po drugim, krew zaś ciekła zeń niczym z małego źródelka. Dziadek wiedział, że patrzy na murowanego bohatera, na jednego z najznakomitszych potomków Północno-Wschodniego Gaomi. Kiedy ciężko ranny żołnierz Batalionu Jiaogao doczołgał się do połowy zbocza, zatrzymał się, z wysiłkiem przewrócił na bok i wyciągnął z kieszeni zakrwawiony granat ręczny, jakby wyjmował sobie z brzucha niemowlę. Zębami zdjął osłonkę, wyciągnął sznurek uruchamiający zapalnik i gdy lont zaczął się tlić, trzymając przez cały czas trzonek w ustach, z wysiłkiem popęzł ku szczytowi wału, w stronę ledwie widocznej kępy traw. Zielone lufy karabinów podskakiwały, plując kłębami dymu i lśniącymi łuskami.

Dziadek żałował. Żałował, że miał tak miękkie serce. Kiedy porwał Ospowatego Lenga, jedynym, czego zażądał, było sto karabinów, pięć pistoletów maszynowych i pięćdziesiąt koni. Powinien był zażądać przede wszystkim tych ośmiu karabinów maszynowych, ale zapomniał, a może uważał, że nie będzie miał z nich wielkiego pożytku – długie lata zbójeckiego życia sprawiły, że wołał broń krótką, a za długą nie przepadał. Gdyby karabiny maszynowe zostały włączone do okupu, do dzikiego ataku Ospowatego Lenga nigdy by nie doszło.

Ranny żołnierz Batalionu Jiaogao dotarł do kępy zarośli i rzucił granat. Zza wału dobiegł ogłuszający huk eksplozji, karabiny wyleciały wysoko w

powietrze, po czym runęły z powrotem na ziemię. Grenadier leżał bez ruchu na zboczu wału, tylko krew wciąż płynęła z jego ran – boleśnie, z trudem, powoli. Dziadek westchnął.

Karabiny maszynowe Ospowatego Lenga zostały unicestwione.

– Douguan! – zawołał dziadek.

Mój ojciec, przygnieciony przez dwa ciężkie trupy, mimo woli udawał umarłego. Myślał, że może faktycznie nie żyje – cały był zalany gorącą krwią i nie miał pewności, czy pochodzi ona z martwych ciał innych, czy też z jego własnego. Usłyszawszy wołanie dziadka, wystawił głowę spod zwłok, wytarł twarz rękawem i chwytając z trudem powietrze, odkrzyknął:

– Tato, tu jestem!

Żołnierze Lenga wyrastali nad wałem niczym grzyby po deszczu i zbiegali w dół z karabinami w rękach. Sto metrów dalej żołnierze Batalionu Jiaogao, którzy znowu otrząsnęli się z szoku, otworzyli do nich ogień. Pistolety maszynowe, które zabrali kawalerzystom Pięciu Awantur, strzelały z wyjątkowo głośnym hukiem, podkomendni Lenga aż chowali głowy w ramionach, niczym stado zółwi.

Dziadek podniósł trupy i wyciągnął ojca.

– Dostałeś? – zapytał.

Ojciec poruszał rękoma i nogami.

– Nie – odparł. – Mam tylko tę ranę na tyłku, od Ósmej Armii.

– Bracia! Uciekajmy, póki nam życie miłe! – zawołał dziadek.

Dwudziestu paru obryzanych krwią członków Żelaznego Stowarzyszenia wstało, podpierając się karabinami, i ruszyło chwiejnym krokiem na północ. Batalion Jiaogao do nich nie strzelał. Oddział Lenga wypalił ku nim kilka razy, ale wszystkie kule poszybowały w niebo, wysoko i daleko, gwizdząc przeraźliwie.

Wtem dziadek usłyszał za sobą huk. Poczuł się tak, jakby ktoś zadał mu cios pięścią w kark, a całe ciepło ciała skupiło się w miejscu uderzenia. Pomacał ręką – dłoń miał całą we krwi. Odwrócił się i zobaczył Czarnookiego – rozkraczony jak żaba leżał na ziemi we własnych wnętrznościach. Zamrugął wielkimi, czarnymi oczyma raz, drugi i trzeci, na powiekach zaślniły mu dwie złote łzy. Dziadek uśmiechnął się do niego nieznacznie, kiwnął głową i odszedł z wolna, prowadząc ojca za rękę.

Za ich plecami huknął kolejny strzał.



Dziadek westchnął przeciągle. Ojciec odwrócił się i zobaczył, że w czole Czarnookiego zieje czarny otwór, a po osmalonej dymem z pistoletu twarzy cieknie strużka białej cieczy.

Z nadejściem zmierzchu oddział Lenga otoczył rozpaczliwie broniących się wśród pogrzebowych proporców żołnierzy Batalionu Jiaogao i Żelaznego Stowarzyszenia. Obu oddziałom skończyła się amunicja i skupili się w jedną grupkę; szcękając zębami, obserwowali przekrwionymi oczyma oddział Lenga, który nacierał wytrwale, wspomagany przez posiłki z Siódmej Armii. Zachodzące słońce oświetlało wieczorne chmury i barwiło na czerwono jęczącą z bólu czarną ziemię, zasłaną bezładnie zwłokami niezliczonych synów i córek Północno-Wschodniego Gaomi. Strużki krwi tych, którzy wyrosli karmieni ziarnem czerwonego sorga, zlewały się w szkarłatną rzekę. Padlinożerne ptaki, zwabione silną wonią krwi, zamiast wracać na noc do gniazd, zlatywały się na pole bitwy. Większość z nich kołowała nad trupami koni – niczym łakome dzieci, które zawsze najpierw wybierają największe kąski.

Na trumnie babki, pozbawionej już ochrony wielkiego baldachimu, widniały białawe rysy – ślady po kulach, od kilku godzin bowiem służyła żołnierzom Ósmej Armii i Żelaznego Stowarzyszenia oraz ludziom Lenga jako osłona w trakcie strzelaniny. Ofiarne pieczone kurczaki, kaczki, wieprzowina i baranina, złożone na przydrożnych ołtarzykach, zostały zdziesiątkowane przez Ósmą Armię, która w czasie walk na przemian to strzelała, to jadła.

Kilku żołnierzy Batalionu Jiaogao nastawiło bagnety i ruszyło do ataku, lecz zaraz powaliły ich kule oddziału Lenga.

– Ręce do góry, poddajcie się! – krzyčeli żołnierze Lenga, podnosząc broń.

Dziadek spojrzał na Jianga Małonogiego, który także odpowiedział mu spojrzeniem. Obaj milczeli, ale ręce podnieśli jednocześnie.

Leng w białych rękawiczkach wystąpił przed swoją gwardię przyboczną i przemówił z szyderczym uśmiechem:

– Witam, komendancie Yu i komendancie Jiang! Wrogowie zawsze w końcu się spotkają! No i co wy na to?

– Żałuję – odparł dziadek smutno.

– Zamierzam złożyć doniesienie do Yan’anu\* o potwornej zbrodni, której dopuścił się Kuomintang, polegającej na przeszkadzaniu w działaniach wojennych w trakcie walk z japońskim najeźdźcą na wschodnim froncie Jiao! – oświadczył Jiang.

---

\* Yan’an – miasto w środkowych Chinach (prowincja Shaanxi), siedziba Komunistycznej Partii Chin w latach 1935-48, uważana za kolebkę rewolucji komunistycznej.

Ospowaty Leng smagnał go szpicrutą.

– Ósma Armia! Mocni w gębie, tylko w kościach nie bardzo! Zabierzcie ich do wioski! – rozkazał swoim podkomendnym i wzmocnił te słowa gestem.

Oddział Lengą tamtej nocy stacjonował w naszej wiosce. Żołnierze Jiaogao oraz Żelaznego Stowarzyszenia zostali zamknięci w wielkim szałasie, którego pilnowało dwunastu podkomendnych Lengą uzbrojonych w pistolety maszynowe. Wszyscy bali się zrobić jakikolwiek ruch w obawie o życie pozostałych. Przez całą noc słychać było jęki rannych i szlochy młodych żołnierzy, tęskniących za swoimi matkami, żonami i kochankami. Mój ojciec, kuląc się w objęciach dziadka niczym zraniony ptak, wsłuchiwał się w bicie jego serca, to szybsze, to wolniejsze, podobne do dźwięcznej muzyki. W końcu, głaskany łagodnymi podmuchami południowego wiatru, zapadł w głęboki sen. Śniła mu się kobieta przypominająca jednocześnie moją babkę i Urodiwą. Gorącymi palcami dotykała jego zranionego siusiaka; podobne do błyskawic prądy przebiegały mu po kręgosłupie. Obudził się gwałtownie, z poczuciem straty. Od strony pół dobiegały żałosne jęki umierających. Senna wizja, którą sobie przypominał, budziła w nim lęk. Nie odważył się opowiedzieć o niej dziadkowi. Usiadł ostrożnie i przez szczelinę w dachu szałasów dojrzał wąską Drogę Mleczną. Nagle uderzyła go myśl: już lada chwila będę miał szesnaście lat!

Nastał świt. Ludzie Lengą złożyli kilka namiotów i wyciągniętymi z nich grubymi linami powiązali jeńców w grupki po pięć osób. Potem zawlekli ich nad brzeg stawu i uwiązali do tych samych wierzb, do których zeszłej nocy przywiązane były konie Żelaznego Stowarzyszenia. Małonogi Jiang, dziadek i mój ojciec byli w jednej grupie, przywiązani do drzewa rosnącego najbliżej wody: ojciec na początku, dziadek w środku, a Jiang na końcu. Ojciec stał w błocie z końskiego moczu i rozdeptanego łajna, w którym widać było pokryte śluzem skrawki trawy i ziarna sorga. Z trupów medyka i jego muła zostały już tylko zakrwawione kości. Pod samotnym drzewem nieopodal znajdowała się mogiła Yu Wielkiego Zęba.

Białe lotosy nadal tam rosły, korzystając z wezbrania wód – na powierzchni stawu unosiły się wielkie nowe liście. Pływające żaby rysowały na zarośniętej żółtawą rzęsą powierzchni wody ciemnozielone szlaki, które po chwili znikwały. Za otaczającym wioskę murem ojciec dojrzał pola, które nosiły ślady wczorajszej tragedii. Na drodze leżały szczątki konduktu pogrzebowego, niczym pocięty na kawałki gigantyczny pyton. Kilkunastu żołnierzy Lengą rąbało siekierami trupy koni, w chłodnym powietrzu unosiła się rybia, ciemnoczerwona woń krwi.

Słyszając przeciągłe westchnienie Jianga Małonogiego, ojciec z niechęcią odwrócił ku niemu głowę, dziadek uczynił to samo. Ojciec widział, jak

wymieniają spojrzenia. Mieli przygnębione twarze, pod zmęczonymi powiekami tkwiły otępiałe, pozbawione blasku oczy Rana na ramieniu dziadka zaczęła ropieć. Woń gnijącego mięsa szybko przyciągnęła zielone muchy o czerwonych łebkach, których całe chmary krążyły wokół szczątków mułów i ludzi. Bandaż odwinał się z kostki Jianga Małonogiego i wisiał jak kawałek kiszki, z miejsca postrzału wciąż sączyła się czarna krew.

Ojciec miał wrażenie, że każdy z nich chciałby coś powiedzieć, obaj jednak milczeli. Westchnął więc tylko i odwrócił głowę. Patrzył na zasnutą mlecznym oparem rozległą równinę czarnej ziemi, na której lamentowały duchy pomordowanych. W uszach mu dzwoniło, oczy zasnuwała mgła. Przez ową mgłę widział żołnierzy Lenga, którzy podnosili i przynosili kawały ociekającego krwią końskiego mięsa nad brzeg stawu. Nad ich głowami kruk z końskim jelitem w dziobie leciał w stronę wierzb, z wysiłkiem trzepocząc skrzydłami.

Do drzew przywiązanych było ponad osiemdziesięciu żołnierzy Batalionu Jiaogao i członków Żelaznego Stowarzyszenia, przemieszanych ze sobą. Tych drugich było w sumie dwudziestu. Ojciec zauważył, że jeden z członków Stowarzyszenia, mężczyzna po czterdziestce, płacze – w jego policzku ziała spora rana, zapewne od odłamka granatu ręcznego, a do rany spływały łzy. Żołnierz Jiaogao, przywiązany obok, szturchnął go ramieniem i powiedział:

– Nie płacz, szwagrze! Przyjdzie dzień, kiedy obaj policzymy się z Zhangiem Zhuxi!

Starszy członek Stowarzyszenia przechylił głowę na bok, wytarł załzawioną twarz o brudne ubranie na ramieniu i odparł, pociągając nosem.

– Ale ja nie płaczę za twoją siostrą! Ona zginęła i nic już nie przywróci jej życia. Płaczę nad nami. Byliśmy spowinowaceni, mieszkaliśmy w sąsiednich wioskach, widywaliśmy się ciągle, a teraz już nie jesteśmy rodziną, tylko wrogami – jak to się stało? Płaczę nad twoim siostrzeńcem, a moim synem, Srebrem. Miał tylko osiemnaście lat, kiedy wstąpił do Żelaznego Stowarzyszenia razem ze mną, żeby pomścić twoją siostrę. Ale nie zdążył, bo zabili go twoi ludzie. Zakłuliście go bagnetami. Padł przed wami na kolana, ale wy i tak go zakłuliście! Niegodziwe psy! Czy nie macie swoich rodzin, swoich synów?

Łzy członka Żelaznego Stowarzyszenia szybko wyschły w płomieniach gniewu. Podniósłszy wysoko groźną głowę, wrzeszczał na spętanych, obdartych żołnierzy Batalionu Jiaogao:

– Świnie! Idźcie lepiej zabijać Japończyków! Albo ich żółtoskórych pomagierów! Po jakiego diabła walczyacie z naszym Żelaznym Stowarzyszeniem? Zdrajcy! Zagraniczne sługusy! Przeniewiercy!

– Hej, szwagrze, hamujże się trochę – mitygował go młodszy brat jego żony, żołnierz Batalionu Jiaogao.

– Jaki znowu szwagrze? Pamiętałeś, że masz szwagra, kiedy rzucałeś jebanymi granatami we własnego siostrzeńca? Czy wy w tej waszej komunistycznej Ósmej Armii rodzicie się normalnie, czy wyskakujecie z kamienia? Nie macie swoich żon, córek? – Ze wzburzenia z rany na policzku członka Żelaznego Stowarzyszenia pociekła strużka ciemnej krwi.

– To tylko jedna strona medalu! – nie wytrzymał jeden z oficerów Batalionu Jiaogao. – Gdyby wasze Żelazne Stowarzyszenie nie porwało naszego dowódcy Jianga i nie zażądało w okupie stu karabinów, nie walczylibyśmy z wami. Chcieliśmy tylko odzyskać broń, żeby móc walczyć z Japończykami, wzmocnić naszą antyjapońską armię, wkroczyć na pole bitwy jako awangarda wyzwoleniczej walki!

Ojciec też nie mógł się powstrzymać i wtrącił ochrypłym, piskliwym z powodu młodzieńczej mutacji głosem:

– Nikogo byśmy nie porywali, gdybyście wcześniej nie ukradli naszych karabinów schowanych w studni! I gdybyście nie ściągali psich skór, które suszyliśmy na murach!

To rzekłszy, ojciec z wysiłkiem wykasłał grudę flegmy i chciał pluć nią w znienawidzoną twarz oficera Jiaogao, pocisk jednak chybił celu i trafił w czoło rosłego, nieco przygarbionego członka Żelaznego Stowarzyszenia.

Żołnierz ów zmarszczył nos i brwi i z cierpiętniczą miną wyciągnął szyję, by wytrzeć czoło o korę drzewa. Na skórze pozostały jednak zielonkawe ślady. Odwrócił się gwałtownie i z wielką złością, jakby został co najmniej postrzelony, wrzasnął na swojego ojca:

– Douguan! Pieprzyłbym twoją matkę, gdyby jeszcze żyła!

Jeńcy wybuchnęli śmiechem, mimo że bolały ich zdrętwiałe od więzów ręce, a przyszłość rysowała się bardzo niepewnie. Dziadek parsknął szyderczo:

– I o co wy się jeszcze kłóćcie? Wszyscy jesteśmy pokonani.

Gdy skończył mówić, poczuł, że coś nagle szarpnęło go za zranioną rękę, po czym sznur zwisał luźno. Odwrócił się i zobaczył, że Jiang Małonogi leży na ziemi z twarzą szarą jak popiół. Kostka spuchła mu tak, że rozmiarem przypominała melon. Sączyła się z niej lepka ciecz, ni to ropa, ni to krew.

Żołnierze Batalionu Jiaogao rzucili się w jego stronę, lecz powstrzymały ich więzy. Mogli tylko bezradnie patrzeć na nieprzytomnego dowódcę.

Słońce wynurzyło się z oceanu mgieł i rozejrzało wokół, opromieniając świat złotym blaskiem i zalewając go czułością ciepłą jak krew. Kucharz

oddziału Lenga na polowej kuchni używanej poprzedniego dnia przez Żelazne Stowarzyszenie gotował kleik z ziarna sorga. W kotle bulgotała gęsta masa, podobne do rybich pęcherzy wielkie jak pięść bąble nadymały się i pękały w złotym blasku słońca. Do woni krwi i odoru trupów dołączył się zapach kleiku z sorga. Czterech ludzi Lenga przydźwigało nad staw dwa skrzydła drzwi, na których leżały wielkie kawały mięsa, w tym całe końskie nogi. Ze współczuciem spoglądali na przywiązanych do drzew jeńców, z których niektórzy patrzyli z troską na omdlałego dowódcę, inni obserwowali przechadzających się wzdłuż północnego muru wioski strażników z wielkimi karabinami, połyskującymi w słońcu niczym srebrne wijące się węże, jeszcze inni wpatrywali się w kręte smugi różowej, delikatnej jak jedwab mgiełki, która unosiła się na Rzekę Czarnej Wody. Ojciec zaś przyglądał się czterem żołnierzom, którzy przyszli myć w stawie końskie mięso.

Mężczyźni umieścili deski z mięsem na brzegu, deski natychmiast się przechyliły i krew zaczęła spływać do wody, zbierając się wokół ich krawędzi. Cienkie, czerwone strumyczki pryskały do stawu na żółtawą rzęsę, niektóre liście odwracały się szarzielonymi spodami do góry. Odbite od nich fioletowawe światło słoneczne padało na apatyczne twarze żołnierzy oddziału Lenga.

– Ile rzęsy! – powiedział jeden z nich, kościsty, podobny do czapli mężczyzna. – Pokrywa cały staw, jak jakaś zielona skóra.

Był to wyjątkowo brudny staw.

Ludzie mówili, że ten, kto napije się z niego wody, może zachorować na trąd. A to dlatego, że parę lat wcześniej utopiono tu dwóch trędowatych, a karpie z tego stawu miały wygniłe policzki i oczodoły.

Stopy długonogiego, czaplowatego wojaka zagłębiały się w nadbrzeżnym mule. Przesępował więc pospiesznie z nogi na nogę, a błoto z cmokaniem wybrzuszało mu się wokół podeszew i oblepiało japońskie skórzane buty.

Ojcu przypominało się, jak po bitwie nad Rzeką Czarnej Wody podkomendni Lenga ściągali z martwych Japończyków skórzane kamasze. Gdy im się to udało, przysiadali na ziemi, zdejmowali swoje szmaciaki i wyrzucali. Po zmianie obuwia przypominali konie, którym właśnie założono nowiutkie podkowy. Stąpali cicho, z wystraszonymi minami, jakby spotkało ich jakieś niespodziewane wyróżnienie.

Żołnierze Lenga odgarniali gęstą rzęsę, by odsłonić skrawek czystej, czarnozielonej wody. Rosnące dalej liście natychmiast wciskały się w puste miejsca. Przesuwając się po powierzchni wody, rzęsa wydawała lepki, aksamitny odgłos; słysząc go, ojciec czuł się nieswojo.

Brazowy wąż wodny wystawił ponad rzęsę płaski łopatomaty łebek wielkości orzecha włoskiego. Tkwił tak przez chwilę bez ruchu, reszta jego węzowatego ciała również wyłoniła się nad powierzchnię. Popłynął; za jego ogonem tworzył się w zielonej rzęsie kręty ślad, który jednak szybko się zacierał. Nagle stworzenie zanurkowało z powrotem w głębinę. Po bałaganie, jakiego narobił wśród liści, zapanował spokój.

Ojciec obserwował, jak czterech żołnierzy Lenga stoi i wpatruje się węża, nie zauważając zupełnie, że ich stopy zagłębiły się już po kostki w mule.

Wąż zniknął, mężczyźni westchnęli z ulgą. Ten, który kijem odgarniał rzęsę, wrócił do swojego zajęcia. Drugi, wysoki, dźwignął końską nogę i z głośnym „plum!” zanurzył ją w wodzie, która rozprysnęła się wokoło niczym rozkwitający ciemnozielony kwiat.

– Uważaj, kurwa – burknął trzeci, który trzymał toporek.

Wysoki mieszał w wodzie końską kończyną, poruszając nią w górę i w dół, rzęsa rozplywała się na wszystkie strony.

– Już wystarczy – dodał trzymający toporek. – W końcu i tak będziemy to gotować.

Wysoki rzucił końską nogę na drzwi, a ten z toporkiem porąbał ją na kawałki; uderzeniom towarzyszyły odgłosy, jakby ktoś walił kijem w powierzchnię wody.

Ojciec patrzył, jak czterech wojaków zabiera ułożone na drzwiach, umyte i porąbane toporkiem końskie mięso, po czym wrzuca je po kawałku do kotła. Ciemnoczerwone języki płomieni, podobne do kogucich piór, wiły się bezładnie pod jego dnem. Kucharz odciął bagnetem kawałek mięsa i wetknął do paleniska, skwierczenie pieczonej koniny przypominało ćwierkanie cykad.

Wtem ojciec zauważył starannie odzianego kapitana Lenga, który wyłonił się z namiotu, by wraz z podkomendnymi przystąpić do przeglądu kilkuset sztuk broni palnej i dwóch skrzyń ręcznych granatów z drewnianymi trzonkami, odebranych członkom Żelaznego Stowarzyszenia oraz żołnierzom Batalionu Jiaogao. Z uśmiezkiem satysfakcji, wymachując szpicrutą, zbliżył się do jeńców. Ojciec usłyszał za sobą ciężki oddech; nie odwracając głowy, wyobraził sobie gniewny wyraz twarzy dziadka. Kąciki warg kapitana Lenga uniosły się w górę, zmarszczki przy policzkach zadrgały jak małe wężyki.

– Komendancie Yu, czy zastanawiał się pan, co zamierzam z panem zrobić? – spytał ze złośliwym chichotem.

– A rób, co chcesz! – burknął dziadek.

– Szkoda byłoby zabijać takiego dzielnego człowieka. Z drugiej strony, jeśli zostawię cię przy życiu, nie wiadomo, kiedy znowu mnie porwiesz!

– Możesz mnie zabić, ale nie zamkniesz mi oczu – rachunki domagają się wyrównania!

Ojciec kopnął z rozmachem grudę końskiego łajna, która trafiła kapitana Lengę prosto w klatkę piersiową. Leng zamachnął się szpicrutą, lecz zaraz ją opuścił.

– Słyszałem, że ten mały bękart ma tylko jedno jądro – rzekł. – Chodź no tu który i obetnij mu to, które zostało, żeby już więcej nie gryzł i nie wierzgał!

– Leng, stary, to tylko dzieciak... Za jego wybryki odpowiadam ja!

– Dzieciak? To mały drań, wilczy szczeniak groźniejszy od wilka!

Jiang Małonogi oprzytomniał i podpierając się rękoma, ciężko wstał.

– Jak pan myśli, komendancie Jiang, co powinienem z panem zrobić? – spytał Leng z uśmiechem.

– Zanim załamię się wspólny front Kuomintangu i Komunistycznej Partii Chin, nie ma pan prawa mnie zabijać! – odparł Jiang.

– Mogę cię zgnieść palcami jak mrówkę! – odrzekł Leng.

Ojciec przyglądał się dwóm białawym wszom pełzającym po długiej szyi Jianga. Jiang opuścił podbródek, jakby usiłował złapać je zębami. Ojciec przypomniał sobie, jak w dniu porwania żołnierze Batalionu Jiaogao siedzieli z gołymi torsami w słońcu i łapali wszy.

– Jeśli pan mnie zabije, Leng, nic dobrego z tego nie wyniknie. Ósma Armia jest nieśmiertelna. W końcu nadejdzie dzień, gdy lud zgładzi pana za zbrodnię wymordowania szlachetnych bohaterów antyjapońskiej wojny! – wypalił Jiang z przekonaniem, choć twarz miał zlaną zimnym potem.

– To poczekajcie tu sobie i poodpoczywajcie jeszcze, ja tymczasem pójdę coś zjeść, a kiedy wrócę, zajmę się wami – rzekł Leng.

Leng i jego podkomendni usiedli w kręgu i zabrali się do jedzenia koniny, którą popijali wódką z sorga.

Nagle wartownik przy północnym murze wystrzelił i ruszył biegiem w kierunku środka wioski, krzycząc:

– Japońcy! Japońcy idą!

Leng złapał zdyszanego wartownika za połą kurtki i spytał ze złością:

– Ilu Japońców? Prawdziwi czy fałszywi – kolaboranci?

– Chyba kolaboranci. Żółte mundury, wszędzie żółto, biegną pochyleni w stronę wioski – odparł wartownik.

– Kolaboranci? Wybić te przekłete psy! Kapralu Qi, proszę szybko poprowadzić swoich ludzi na mury! – rozkazał Leng.

Żołnierze z karabinami w rękach ruszyli ku północnym murom jak stado os. Leng polecił dwóm strażnikom z karabinami:

– Miejcie ich na oku. Jak któryś będzie się migał – strzelać!

I z kilkoma przybocznymi pobiegł, schylając grzbiet, w kierunku północnym.

Kilkanaście minut później na północnym skraju wioski rozgorzała walka. Po serii strzałów rozterkotały się karabiny maszynowe. Wkrótce powietrze wypełniło się przeraźliwymi gwizdami. Błyszczące pociski artyleryjskie eksplodowały w wiosce, odłamki bębniły w mury, wbijały się w pnie drzew. Wśród wrzawy i krzyków dało się słyszeć obce „dziligulu”.

Byli to prawdziwi Japończycy, nie fałszywi. Dowódca Leng i jego oddział uparcie bronili muru, coraz to nowi ranni wypadali z walki. Po półgodzinie wszyscy opuścili pozycje i wycofali się w ruiny, starając się dać odpór przekraczającym mur Japończykom.

Japońskie pociski zaczęły lądować w pobliżu stawu. Żołnierze Batalionu Jiaogao i członkowie Żelaznego Stowarzyszenia nerwowo przestępowali z nogi na nogę i kulili głowy, pomstując gniewnie:

– Rozwiążcie nas! Rozwiążcie, kurwa wasza mać!

Dwaj żołnierze Lengą z pistoletami maszynowymi popatrzyli po sobie bezradnie, nie umiejąc podjąć decyzji.

– Jeśli spłodziły was chińskie fiuty, to nas rozwiążcie, a jeśli japońskie, to możecie od razu nas pozabijać! – wykrzyknął mój dziadek.

Strażnicy podbiegli do sterty broni i wygrzebali dwie szable, którymi poprzecinali więzy jeńców.

Osiemdziesięciu mężczyzn rzuciło się szaleńczo w stronę kupy broni i granatów, po czym, nie zważając na swoje zdrętwiałe ręce i puste żołądki, ruszyło z dzikim wrzaskiem na Japończyków, prosto pod deszcz ołowianych kul.

Po kwadransie za murem wyrosło kilkadziesiąt słupów dymu – były to wybuchy pierwszej salwy granatów ręcznych, rzuconych przez żołnierzy Batalionu Jiaogao i Żelaznego Stowarzyszenia.



**CZEŚĆ V**

# **Dziwna śmierć**

# 1

Pełne wargi koloru ciemnych winogron, podobne do tych, jakie mają kobiety czarnoskóre, nadawały mojej drugiej babce wyjątkowy urok i powab. Jej rodowód zatarł się, przysypany pyłem mijających lat. Jej młode, gibkie i bujne ciało, pełna jak dojrzały strączek fasoli twarz i szafirowe oczy, które wyglądały, jakby miały się nigdy nie zamknąć, zostały pogrzebane w wilgotnej, żółtej, piaszczystej glebie. Jej spojrzenie, gniewne, szalone, buntownicze i nieposkromione, rzucające wyzwanie brudom tego świata, lecz zauroczone jego pięknem, przepelnione intensywną świadomością istnienia, zgasło na zawsze.

Druga babka została pogrzebana w czarnej ziemi swojej rodzinnej wioski. Jej wydzielające odór krwi zwłoki złożono w trumnie z cienkiego wierzbowego drewna, pokrytego nierówną warstwą brunatnoczerwonej farby, która nie mogła zamaskować dziur wywierconych przez larwy chrząszcza kózki\*. Wizja jej szerniałego, lśniącego ciała, przykrytego złotym piachem, pozostanie na zawsze w mojej świadomości jako niezatarty obraz, odbity wyraźnie na ekranie umysłu. Na oświetlonym ciepłymi, czerwonymi promieniami słońca posępnym piaszczystym brzegu wznosi się kopiec grobowy w kształcie ludzkiej postaci. Zgrabna sylwetka drugiej babki, jej wydatne piersi, drobniutkie ziarenka przesypujące się przez jej zmarszczone czoło, zmysłowe wargi wylaniające się spod złotego piasku wydają się przyzywać nieposkromionego ducha prawdy, którego dotąd powstrzymywała zasłona piękna... Wiem, że to wszystko tylko iluzja, wiem, że druga babka leży pogrzebana w czarnej ziemi swojej rodzinnej wioski. Wokół jej mogiły wznosi się czerwone sorgo. Stojąc nad jej grobem – pod warunkiem że nie jest to zabijająca wszelką roślinność zima ani wiosna z gorącym południowym wiatrem – nie zobaczysz nawet horyzontu, zarasta go bowiem, jak w sennym koszmarze, gąszcz sorga Północno-Wschodniego Gaomi. Gdy podniesiesz ziemistą twarz, podobną do kwiatu słonecznika, i spojrzysz przez puste miejsca między źdźbłami, zdołasz jednak dojrzeć wspaniałe królestwo Niebios, budzące lęk swoim błękitem. Wśród smutnego łkania Rzeki Czarnej Wody usłyszysz pieśń przybywającej stamtąd niespokojnej, zagubionej duszy.

---

\* *Anoplophora glabripennis*, zwany kózką azjatycką, to czarny, biało nakrapiany chrząszcz, groźny szkodnik drewna.

Tego poranka niebo miało piękny, czysty odcień błękitu. Słońce jeszcze się nie pokazało, ale linia wczesnozimowego horyzontu, przywodzącego na myśl pierwotny chaos, jarzyła się już oślepiająco, czerwoną poświatą. Stary Geng właśnie zastrzelił rudego lisa z kitą podobną do płomienia pochodni. Geng nie miał sobie równych wśród myśliwych z Doliny Słonej Wody. Strzelał do dzikich gęsi, zajęcy, kaczek, łasic, lisów, a z braku lepszej zdobyczy nawet do wróbli. Późną jesienią i wczesną zimą wróbli w Północno-Wschodnim Gaomi tworzyły gigantyczne stada – złożone z tysięcy ptaków brunatne chmury kotłowały się jak szalone nad zasnutą mgłą ziemią. Wieczorami wracały do wioski i obsiadały pożółkłe, niemal nagie, porośnięte pojedynczymi zwiędłymi liśćmi gałęzie wierzb, które sterczały ku niebu bądź zwieszały się w dół. Kiedy słabe promienie zachodzącego słońca podpalały wieczorne chmury, drzewa zalewał blask tysięcy czarnych wróblich oczu, jarzących się niczym złote iskry. Iskry te nieustannie się poruszały, korony drzew pełne były trzepotu ptasich skrzydełek.

Stary Geng podnosił strzelbę, mrużył trójkątne oczy i naciskał spust. Ziuu – kilka wróbli spadało na ziemię niczym kulki gradu, a śrut przedzierał się z trzaskiem między gałęziami. Ocalałe ptaki na widok spadających towarzyszy trzepotały skrzydłami i wystrzeliwały w przestworza niczym odłamki po wybuchu. Ojciec w dzieciństwie jadał wróbli upolowane przez Starego Genga. Wróbli mięso miało wyborny smak i było bardzo pożywne. Trzydzieści lat później z moim starszym bratem prowadziliśmy prawdziwie zażartą wojnę z tymi sprytnymi ptaszkami na polach doświadczalnych w Północno-Wschodnim Gaomi. Stary Geng przekroczył już wówczas siedemdziesiątkę, mieszkał sam, korzystając z dobrodziejstw państwowej emerytury, i był jedną z najbardziej poważanych osobistości w wiosce. Na każdym z zebrań zwoływanych w celu wygłaszania skarg i żalów wszyscy domagali się, żeby to on przemawiał. Wtedy zawsze rozbierał się do pasa i mówił, pokazując blizny na ciele:

– Japońcy kłuli mnie bagnetami osiemnaście razy. Cały byłem pokrwawiony, ale nie umarłem. Czemu nie umarłem? Dlatego że uratował mnie nieśmiertelny lis\*. Nie wiem, ile czasu leżałem na ziemi, ale kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem najpierw czerwone światło, a potem cudownego lisa, który swoim języczkiem lizał moje rany...

Stary Geng – zwany Geng Osiemnaście Bagnetów – urządził w swoim domu lisi ołtarzyk. W czasie „rewolucji kulturalnej” czerwogwardziści chcieli

---

\* W chińskich wierzeniach ludowych lisom przypisuje się magiczne moce.

go zniszczyć, lecz na widok Genga klęczącego przed ołtarzykiem z wielkim tasakiem w ręku czym prędzej wzięli nogi za pas.

Stary Geng doskonale znał ścieżki, którymi chadzał ów stary rudy lis z ognistą kita, lecz ciągle nie mógł się zdobyć na to, by do niego strzelić. Patrzył tylko na gęste, aksamitne, piękne futro – z pewnością dostałby za nie świetną cenę. Uważał, że zwierzak nażył się już wystarczająco długo, w dodatku co noc wykradał z wioski jedną kurę. Bez względu na to, jak solidnie wieśniacy barykadowali swoje kurniki, zawsze udawało mu się do nich włamać, potrafił się też uwolnić z każdej pułapki. Tamtego roku wszystkie kurniki w wiosce służyły głównie jako magazyn jego pożywienia. Kiedy koguty zapały trzeci raz, Stary Geng wyszedł z wioski i przyczał się przy niskiej grobli oddzielającej mokradła, czekając na rudego złodzieja kur. Mokradła porastało gęste, zwiędłe sitowie, wysokości połowy wzrostu człowieka. Stojącą wodę, która zbierała się tu przez całą jesień, pokrywała warstwa białego lodu tak twardego, że można było po nim przejść. Żółtobrazowe kłosa drżały w mroźnym porannym powietrzu, mocne promienie słońca, dochodzące z dalekiej wschodniej strony nieba, padały na lód, który świecił wilgotnym blaskiem niczym łuski karpia. Niebo na wschodzie jarzyło się, zalewając lód i sitowie zimną, krwistą poświatą. Stary Geng poczuł zapach lisa i zobaczył, jak gęstwina sitowia porusza się powoli niczym spokojne fale oceanu, po czym nagle nieruchomieje. Włożył złodowaciały palec wskazujący prawej dłoni do ust, nachuchał na niego i przyłożył do pokrytego białym szronem spustu. Zwierzak wypadł z gąszczu i zatrzymał się na białym lodzie, który poczerwieniał, jakby stanął w ogniu. Jego szpiczasty pyszczek był uwalany ciemnoczerwoną kurzą krwią, w wąsikach tkwiły kurze piórka w kolorze konopi. Pomaszerował po lodzie z godnością. Stary Geng krzyknął, lis stanął jak wryty, wpatrując się zmrużonymi ślepiami w groblę. Geng zadrżał na całym ciele – czająca się w spojrzeniu lisa złość sprawiła, że poczuł się nieswojo. Zwierzak pewnym krokiem ruszył dalej, w stronę kępy sitowia – tam zapewne znajdowała się jego kryjówka. Stary Geng przymknął oczy i wystrzelił. Siła odrzutu gwałtownie targnęła strzelbą, poczuł, jak od wstrząsu mrowi go w ramieniu. Lis, niczym kula ognia, wturlał się w gąszcz. Geng wyprostował się ze strzelbą w dłoni, patrząc na obłok ciemnozielonego prochu rozwiewający się w czystym powietrzu. Wiedział, że lis z ukrycia spogląda na niego nienawistnie. Sylwetka stojącego pod jarzącym się srebrzyście niebem mężczyzny była wysoka i potężna. W jego sercu wzbierało coś w rodzaju poczucia winy – już żałował swojego czynu. Przypomniawszy sobie, jakie zaufanie okazywał mu lis w ciągu ostatniego roku. Teraz na pewno wiedział, że Geng chowa się za groblą, przeszedł jednak po lodzie powoli, jak zwykle, tak jakby chciał przetestować jego sumienie. Oddając strzał, Geng bez wątpienia zdradził swojego zwierzęcego przyjaciela. Spuściwszy głowę, patrzył w kępę sitowia, w której zniknął lis, i nie odwrócił się nawet na dobiegający z tyłu odgłos kroków.

Nagle w okolicy pasa poczuł mroźne ukłucie. Upadł do przodu, zwijając się z bólu; broń wylądowała na lodzie. Fala gorąca przepłynęła mu pod spodniami na wysokości paska. W jego stronę biegło kilkunastu ludzi w mundurach khaki, trzymających karabiny z lśniącymi bagnetami. „Japończycy!” – mimowolnie krzyknął z przerażenia.

Japońscy żołnierze zbliżyli się do niego i każdy raz ugodził go bagnetem: to w pierś, to w brzuch. Geng wydał rozpaczliwy jęk, podobny do godowych nawoływań lisów, i głowa opadła mu na lód, który pękł w zderzeniu z jego czołem. Gorąca krew z ran topiła równą tafłę, tworząc w niej zagłębienia. Półprzytomny, czuł, jakby górną połowę jego ciała trawiły płomienie, siłą zdarł z siebie postrzępioną kurtkę.

W zamroczeniu dostrzegł rudego lisa, który wyłonił się z gęstwiny sitowia, okrążył go, a następnie przysiadł obok, przyglądając mu się ze współczuciem. Jego sierść lśniła, lekko skośne oczy błyszcząły jak zielone klejnoty. Po chwili Geng poczuł, jak ciepłe futro ociera się o jego ciało, i czekał na ukąszenie ostrych zębów. Wiedział, że człowiek, który zdradza przyjaciela, jest gorszy od zwierzęcia – gdyby więc lis postanowił go zagryźć, zginąłby bez poczucia krzywdy. Lis zaś wystawił swój chłodny język i jął wylizywać mu rany.

Geng był pewien, że to ten właśnie lis uratował mu życie, odpłacając dobrocią za krzywdę. Trudno byłoby znaleźć na całym świecie drugiego człowieka, który przeżył osiemnaście ciosów bagnetem. Języczek lisa z pewnością pokryty był jakimś cudownym lekarstwem, ponieważ wylizane miejsca goiły się jak posmarowane olejkami miętowymi – opowiadał staruszek.

### 3

Handlarze słomianych łapci, którzy wrócili z miasta, mówili: „Japończycy zdobyli Gaomi! U bramy wisi flaga ze wschodzącym słońcem!”. Usłyszawszy tę wieść, mieszkańcy wioski nie mogli znaleźć sobie miejsca – pełni złych przeczuć czekali na katastrofę. W tłumie niespokojnych ludzi o szybko bijących sercach znalazło się jednak dwóch takich, którzy, nic sobie nie robiąc z zagrożenia, zachowywali się tak jak zawsze. Byli to Stary Geng, wspomniany wcześniej myśliwy, i Ospowaty Cheng, były grajek, który lubił śpiewać arie z opery pekińskiej.

– Czego się boicie? O co się martwicie? – pytał Ospowaty Cheng każdego, kogo spotkał. – Jesteśmy tylko zwykłym ludem, bez względu na to, kto nami rządzi. Podatki płacimy bez szemrania, siedzimy, gdzie nam pozwolą, klękamy, gdy każą. Kto ośmieliłby się nas za to karać? Kto, powtarzam?

Argumenty Ospowatego Chenga uspokoiły wielu ludzi, którzy znowu zaczęli spokojnie spać, jeść i pracować. Wkrótce jednak złe wiatry przywiały wieści o okropieństwach, jakich dopuszczali się japońscy żołnierze: wieszali ciała zabitych na bunkrach, ludzkie serca rzucali psom, gwałcili stare, sześćdziesięcioletnie kobiety, słupy elektryczne w mieście obwieszali odciętymi ludzkimi głowami. Wieśniacy bardzo chcieli naśladować spokój Starego Genga i Ospowatego Chenga, nie potrafili jednak – wizje tych wszystkich brutalnych czynów prześladowały ich zwłaszcza w snach.

Ospowaty Cheng zaś był nieodmiennie zadowolony. Wieści o zbliżającej się japońskiej napaści spowodowały, że za wioską nazbierało się więcej niż zwykle psich odchodów – najwyraźniej ci, którzy zawsze tak skrzętnie je zbierali, zaniedbali swoje zajęcie, bo psie kupy leżały tam w dużej ilości, jakby specjalnie przygotowane dla Ospowatego Chenga. On także wyszedł z wioski po trzecim pianiu kogutów i natknął się na Starego Genga ze strzelbą na plecach. Przywitani się ze sobą, po czym każdy poszedł w swoją stronę. Kiedy niebo na wschodzie poczerwieniało, kosz Ospowatego Chenga zawierał już całą górę psich odchodów. Odstawił go na ziemię, podpierając się łopatką, wlaź na południowy mur i nabrał pełne płuca chłodnego, słodkiego powietrza, aż zaswędziało go w gardle. Odchrząknął i zaśpiewał wysokim głosem ku różowym porannym chmurom:

– Jestem spragnionym ździebelkiem, spijającym deszcz...

Huknął wystrzał.

Filcowy kapelusz Ospowatego Chenga wzbił się w powietrze. Mężczyzna wciągnął szyć i skoczył głową naprzód prosto do rowu u stóp muru. Jego czaszka z tąpnięciem uderzyła w zlodowaciałą ziemię, lecz nie poczuł żadnego bólu. Po chwili zauważył w pobliżu swojej głowy jakieś spopieliałe resztki, które okazały się spalonym martwym szczurem, oraz kij od miotły. Sam nie był pewien, czy jeszcze żyje, czy też jest już martwy – spróbował poruszyć rękoma i nogami, udało się, lecz wydawały się niezbyt sprawne. Poczul coś lepkiego w kroczu. Ogarnęła go panika. Dostałem, koniec ze mną, pomyślał. Usiadł ostrożnie, wetknął rękę w spodnie i pomacał. Trząsł się ze strachu, spodziewając się, że wyciągnie pokrwawioną dłoń, lecz gdy już miał ją przed oczyma, okazało się, że jest cała żółta, a jego nos wypełniła woń zgniłych sadzonek. Próbował wytrzeć rękę o dno rowu, ale bezskutecznie, sięgnął więc w stronę kija od miotły i gdy już był w trakcie energicznego pocierania, usłyszał głos:

– Wstawaj!

Podniósł głowę i zobaczył mężczyznę około trzydziestki, o twarzy jak wyrzeźbionej dłutem: bardzo długi podbródek, ziemista cera. Na głowie przybysz miał wełniany kapelusz w kolorze brunatnych kadzidełek, a w ręku

trzymał czarny pistolet. Za nim stało w rozkroku kilkadziesiąt par żółtych nóg, z łydkami owiniętymi krzyżującymi się płóciennymi pasami. Wędrując spojrzeniem w górę, zobaczył najpierw wydatne biodra, a potem egzotyczne twarze o błogim wyrazie, charakterystycznym dla człowieka, który właśnie doświadcza przyjemności defekacji. Kwadratowa flaga z wizerunkiem wschodzącego słońca wisiała na tle czerwonego nieba, rząd bagnetów lśnił blaskiem koloru zielonej dymki. Brzuchem Ospowatego Chenga wstrząsała dreszcz, zawartość jego niespokojnych jelit przelewała się, bulgocząc, tam i z powrotem.

– Wstawaj! – powtórzył gniewnie kadzidelkowy kapelusz.

Ospowaty Cheng poprawił pasek i wygramolił się zgarbiony z rowu. Nie wiedząc, co ze sobą począć, wytrzeszczał tylko oczy i kłaniał się raz po raz.

Kadzidelkowy kapelusz, marszcząc nos, zapytał:

– Czy są we wsi oddziały Kuomintangu?

Ospowaty Cheng patrzył na niego tępo.

Japoński żołnierz zamachał mu zakrwawionym bagnetem przed piersią i twarzą, lodowaty dech ostrza owionął oczy i brzuch Chenga – usłyszał bulgotanie własnych kiszek, kurczących się rytmicznie, i zapowiedź rozkoszy wypróżnienia, jeszcze silniejsza od poprzedniej, przyprawiła go o drżenie. Japończyk coś krzyknął i ciał bagnetem, rozpruwając pikowaną kurtkę, z której wylazła bawełniana watolina. Wzdłuż cięcia na klatce piersiowej Cheng poczuł falę rozdzierającego bólu przecinanych mięśni. Skulił się cały, a łzy, flegma i odchody wydobyły się z niego jednocześnie.

Japoński żołnierz znowu się odezwał, teraz było to bardzo długie, bełkotliwe zdanie, jego słowa przypominały winogrona. Wpatrując się boleśnie w zagniewaną twarz Japończyka, Cheng uderzył w głośny lament.

Kadzidelkowy kapelusz przystawił mu lufę pistoletu do skroni.

– Nie becz! Pan dowódca pyta, co to za wioska. Czy to Dolina Słonej Wody?

Starając się powstrzymać łkanie, Cheng kiwnął głową.

– A macie tu człowieka, który robi słomiane łapcie? – spytał tamten już nieco łagodniejszym tonem.

– Tak, tak, tak! – odparł pospiesznie i pojednawczo Cheng, nie zważając na ból.

– I wczoraj poszedł sprzedawać je na targu w Gaomi? – dopytywał się człowiek w kapeluszu.

– Tak, tak, tak! – powtórzył Cheng, gorąca krew spłynęła mu z klatki piersiowej na brzuch.

– A kiszone warzywa sprzedawał?

– Nie wiem... Chyba nie...

Kadzidełkowy kapelusz spoliczkował go z wprawą, krzycząc:

– Gadaj! Są tu Kiszone Warzywa?

– Tak, tak, tak, szanowny panie! – Cheng znowu zaczął łkać. – W każdym domu są kiszone warzywa, w każdym garnku na kiszonki!

– Przestań udawać głupka, kurwa twoja mać! Pytam cię, czy mieszka tu człowiek, którego nazywają Kiszone Warzywa! – krzyczał mężczyzna w kapeluszu, bijąc go po twarzy raz po raz.

– Tak... Nie... Tak... Nie... Szanowny panie... Nie bijcie... Szanowny panie... – bełkotał Cheng, zamroczony od razów.

Japończyk coś powiedział, a człowiek w kapeluszu zdjął nakrycie głowy i uklonił mu się. Gdy się odwrócił, uśmiech w jednej chwili wyparował z jego twarzy, pchnął Chenga i z gniewną miną rozkazał:

– Prowadź do wioski i pokaż mi wszystkich, co robią łapcie ze słomy!

Przypomniawszy sobie o koszyku i łopacie do zbierania nawozu, które zostawił na murze, Ospowaty Cheng odruchowo popatrzył w tamtym kierunku, kiedy jednak lśniące jak lód ostrze bagnetu przemknęło mu obok policzka, doszedł do wniosku, że życie jest warte więcej niż psia kupa. Nie oglądając się więcej, podreptał w kierunku wioski na swoich krzywych nogach. Za nim podążało kilkudziesięciu Japończyków, a sucha, pokryta szronem trawa chrzęściła pod podeszwami ich skórzanych butów. Kilka szarych psów, ukrytych za załomami murów, poszczekiwało ostrożnie. Niebo stawało się coraz bardziej bezchmurne, większa część słonecznej tarczy siedziała już na brązowszarej ziemi. Płacz niemowląt kontrastował z ciszą panującą w ogarniętej przerażeniem wiosce. Miarowe odgłosy kroków japońskich żołnierzy, przypominające rytmiczne bicie w bęben, wibrowały w uszach Ospowatego Chenga, uderzały w jego pierś. Rana od bagnetu paliła go żywym ogniem, a uwalane od środka spodnie były lepkie i zimne. Czuł się wybitnie pokrzywdzony przez los – że też to właśnie on, nikt inny, poszedł tego ranka zbierać psie kupy, że też to właśnie jego musiało spotkać to gówniane nieszczęście. Miał żal o to, że Japończycy nie doceniali jego obywatelskiej postawy. Szybko zaprowadził ich po kolei do kilku warsztatów, w których robiono łapcie ze słomy – kimkolwiek był Kiszone Warzywa, z pewnością nie czekało go nic dobrego. Spojrzał w dal, w stronę własnej chałupy. Nierówny, podziurawiony przez letnie ulewne deszcze dach porastało kilka bladych kęp



zielska, z samotnego komina wydobywał się szaroniebieski dym. Cheng nigdy w życiu nie czuł tak przemożnej tęsknoty za domem. Marzył o tym, że gdy się to wszystko skończy, wróci tam czym prędzej, zmieni portki na czyste, a żona posmaruje mu ranę na piersi odrobiną wapna. Czuł, że niedługo wypłynie z niego cała krew, przed oczyma wybuchały mu roje zielonych gwiazd, nogi robiły się jak z waty, fale mdłości wzbierały mu w żołądku i podchodziły do gardła. Znany na cały powiat Gaomi mistrz gry na oboju jeszcze nigdy nie był w tak godnej pożałowania sytuacji. Szedł chwiejnie, jakby stąpał po obłokach, jego oczy wypełniły się lodowatymi łzami. Tęsknił za swoją urodziwą żoną, która co prawda narzekała na jego ospowatą twarz, ale pogodziła się z losem – jak to się mówi, idziesz za koguta, żyjesz wraz z kurami, bierzesz psa za męża, biegasz razem z psami.

#### 4

Huk wystrzałów, który rozległ się o świcie gdzieś w pobliżu wioski, wyrwał moją drugą babkę ze snu o tym, jak bije się z pierwszą babką. Usiadła z sercem tłukącym się w piersi i długo nie mogła zgadnąć, czy coś naprawdę się wydarzyło, czy też ten hałas tylko jej się przyśnił. Okno wypełniała już mleczna poświata poranka, na szybkach wielkości dłoni mróz rysował wymyślne wzory. Druga babka poczuła na ramionach zimny powiew. Odwróciła głowę i spojrzała na leżącą obok córeczkę. Moja mała ciocia smacznie spała, pochrapując. Słodki, miarowy oddech pięcioletniej dziewczynki ukoił łęki drugiej babki. Pomyślała, że może to Stary Geng strzela do rysiów albo innych dzikich zwierząt. Nie wiedziała, jak trafne było jej przypuszczenie, a tym bardziej nie miała pojęcia, że gdy z powrotem naciągała na siebie kołdrę, ostre bagnety Japończyków wbijały się w twarde ciało myśliwego. Ciocia przewróciła się na drugi bok i wturlała w objęcia drugiej babki, ta zaś przytuliła ją, czując ciepły oddech dziecka na swojej piersi. Minęło osiem lat od czasu, gdy moja babka wyrzuciła z domu drugą babkę. To właśnie wtedy dziadek został podstępnie zwabiony na posterunek policji w mieście Jinan, gdzie omal nie postradał życia. Wymknął się jednak i wrócił do rodzinnej wioski. Tymczasem babka wraz z moim ojcem przeprowadziła się do przywódcy Żelaznego Stowarzyszenia, Czarnookiego. Kiedy dziadek odbył swój decydujący pojedynek z Czarnookim nad Rzeką Słonej Wody, mimo iż został powalony na ziemię, zrobił na babce tak ogromne wrażenie, że odeszła z nim, wróciła do domu i zabrała się z nowym zapalem do prowadzenia gorzelnianego interesu. Dziadek zawiesił broń na kołku, kończąc ze zbójeckim życiem, i przez kolejnych parę lat wiódł żywot zamożnego rolnika. W tym czasie jego największym utrapieniem była rywalizacja między babką a drugą babką. W rezultacie tego konfliktu powstała „trójstronna ugoda”: dziadek mieszkał przez

dziesięć dni u babki, potem dziesięć u drugiej babki – nigdy dłużej. Zawsze przestrzegał tej zasady – obydwie kobiety były bowiem równie nieustępliwe i z obiema musiał się liczyć. Gdy druga babka przytuliła moją ciocię, jej serce wypełniła słodka melancholia. Była w trzecim miesiącu ciąży. Ciężarne kobiety przeważnie stają się łagodne i czule, a także słabe i wrażliwe, potrzebują uwagi i opieki. Druga babka nie była wyjątkiem. Liczyła dni, wyglądając z tęsknotą dziadka. Dziadek miał przyjść jutro... Z daleka znowu dobiegł ostry huk wystrzału.

Druga babka czym prędzej podniosła się z łóżka i ubrała, czując słabość w nogach i rękach. Wieść o tym, że Japończycy zamierzają napaść na wioskę, doszła do niej już wcześniej: całymi dniami nie mogła usiedzieć spokojnie, nieustannie towarzyszyły jej czarne myśli i przecucie nieuchronnej klęski. Chciała nawet wrócić do domu dziadka – wolałaby już znosić szykany ze strony babki, niż żyć w strachu tutaj, w Dolinie Słonej Wody. Kiedy jednak zwierzyła mu się z tej myśli, nie chciał nawet o tym słyszeć. Przypuszczam, że wzajemna wrogość dwóch kobiet zbyt go przerażała. Gorzko jednak pożałował swojego sprzeciwu, gdy następnego ranka, skąpany w ciepłym blasku październikowego słońca, stanął na zdeptanym przez dzikie bestie podwórzu i patrzył na skutki przerażającej tragedii, do której doprowadził jego błąd.

Moja mała ciocia także się obudziła, otworzyła błyszczące jak miedziane guziki oczy, ziewnęła teatralnie, po czym przeciągle westchnęła, co zabrzmiało bardzo dorośle. Drugą babkę przeraziło to westchnienie. Patrzyła osłupiała na łyzy w oczach dziewczynki, wyciśnięte przez ziewnięcie, długo nie mogąc wydobyć słowa.

– Mamo, daj mi ubranie – poprosiła mała.

Druga babka sięgnęła po jej czerwone pikowane wdzianko, patrząc z jeszcze większym zdumieniem na córkę, którą zwykle tak trudno było wyciągnąć z łóżka, a która teraz chciała z niego wstać całkiem dobrowolnie. Na twarzyczce małej pojawiły się zmarszczki, brwi opadły, kąciki półotwartych ust obwisły – wyglądała jak miniaturowa staruszka. Gwałtowna fala współczucia i żalu wezbrała w sercu drugiej babki, wprawiając je w drżenie; ubranie małej paliło jej ręce przenikliwym chłodem. Zwróciła się do córki jej dziecięcym imieniem:

– Xiangguan... Poczekaj... Mama ogrzeje ci kurtkę nad ogniem.

– Nie, mamo, nie trzeba – odparła ciocia.

Łzy popłynęły z oczu drugiej babki; nie miała odwagi spojrzeć w twarz córki, naznaczoną złowróżbną, starczą bladością. W pośpiechu, jakby uciekała przed śmiertelnym zagrożeniem, podbiegła do pieca i rozpałała ogień, by ogrzać ciężące jej w rękach ubranie. Słomiana podpałka strzelała w ogniu, kurtka

dziecka kołysała się nad wijącymi się niespokojnie płomieniami niczym zniszczona flaga, gorąco buchającego ognia lodowatymi szpilkami kłuło dłonie drugiej babki. Łatwopalne źdźbła słomy błyskawicznie zamieniały się w szary popiół, zachowując skurczoną, zniekształconą formę, którą przyjęły tuż przed unicestwieniem, niebieskawy dym unosił się ku szczytowi dachu, kotłując się w miniaturowych wirach. Nagle głośniejszy oddech córki, dobiegający z wewnętrznej izby, obudził drugą babkę z odrętwienia. Zniosła buchającą gorącym kurtkę do środka. Moja mała ciocia siedziała owinięta kołdrą, purpura pościeli ostro kontrastowała z jasną, delikatną skórą dziecka. Kiedy druga babka wkładała rękawy wdzianka na wątle, bezwładne rączki, dziewczynka poddawała się posłusznie, nawet huk eksplozji nie przerwały powolnej czynności ubierania małej.

Huk dochodził jakby spod ziemi: ciężki, głuchy, przeciągły. Białe papier w oknach drgał, szeleściły skrzydła wlatujących w powietrze spłoszonych wróbli. Ledwie zrobiło się cicho, rozległa się kolejna salwa. Z wioski dobiegał zgiełk, wrzaski i warkliwe pokrzykiwania. Matka ciasno objęła córkę i razem dygotały ze strachu.

Krzyki zamilkły na chwilę, w wiosce zapanowała przerażająca, martwa cisza, przerywana tylko ciężkim odgłosem kroków, urywanym szczekaniem psów i nielicznymi, ogłuszającymi wystrzałami. Po chwili znów rozległy się, jeden po drugim, dwa tępe odgłosy wybuchów, a zaraz potem żalosne jęki ludzi, brzmiące jak kwiki zarzynanych świń. Nagle we wstrząsanej dotąd pojedynczymi odgłosami wiosce rozległa się taka wrzawa, jakby rzeka wystąpiła z brzegów. Piskliwe krzyki kobiet, płacz dzieci, gdakanie kur usiłujących wzlecieć w powietrze i skryć się na drzewach, przeciągłe ryki mułów próbujących zerwać się z postronków – wszystkie te głosy mieszały się ze sobą w przeraźliwej kakofonii. Druga babka zarygłowała drzwi domu i podparła je dwoma drewnianymi kijami, po czym wskoczyła na kang i skuliła się w kącie, czekając na zbliżającą się katastrofę. Bardzo tęskniła za dziadkiem i jednocześnie nienawidziła go. Rozmyślała, że gdy zjawi się jutro, wybuchnie płaczem i zrobi mu wielką awanturę. Jasne promienie słońca oświetliły niewielką szybkę w oknie, topiąc szron, który w postaci kilku lśniących kropeł spłynął ku jej dolnej krawędzi. W wiosce eksplodowała kanonada strzałów, ze wszystkich stron dobiegały krzyki kobiet. Druga babka doskonale wiedziała, dlaczego krzyczą: słyszała, że japońscy żołnierze są jak dzikie zwierzęta i nie pozostawiają w spokoju nawet siedemdziesięcioletnich staruszek. Do izby wdarł się swąd ognia i dymu, płomienie huczały i skwierczały, od czasu do czasu słychać było też krzyki mężczyzn. Druga babka była sparaliżowana ze strachu. Usłyszała, że ktoś dobija się do głównej bramy – kręcili się tam jacyś ludzie mówiący dziwnym językiem, zapewne po japońsku. Moja mała ciocia wytrzeszczyła oczy i zamarła na chwilę, po czym wybuchnęła głośnym

płaczem. Matka zatkała jej usta dłonią. Brama łomotała. Druga babka zeskokczyła z kangu, wyciągnęła z pieca dwie garści popiołu i wysmarowała nim twarz, po czym to samo uczyniła z twarzą córki. Brama już pękała pod naporem, oczy drugiej babki mrugały nerwowo. Nie darują staruszkom, ale może nie ruszą ciężarnej kobiety? Nagła błyskawica rozjaśniła jej umysł. Wzięła leżące u wezłowia łóżka wypchane okrągłe zawiniątko z ubraniami, rozsupłała pasek od spodni, wepchnęła zawiniątko do środka i związała pasek na dwa mocne węzły. Rozciągnęła dłońmi spodnie i wygładziła zawartość, żeby Japończycy niczego się nie domyślili. Moja mała ciocia, skulona w kącie, patrzyła na te dziwne zabiegi ze zdumieniem.

Brama otwarła się z trzaskiem, jedno ze skrzydeł runęło ciężko na ziemię. Słyszac huk, druga babka znowu podbiegła do pieca i wysmarowała twarz kolejną porcją czarnego popiołu. Z podwórza dobiegały różne hałasy i łaskoty. Druga babka wbiegła do wewnętrznej izby, zamknęła drzwi, wskoczyła na kang, objęła córkę ramionami i wstrzymała oddech. Japończycy, pokrzykując, dobijali się kolbami karabinów do drzwi domu. Były one mniej solidne od głównej bramy i mogły paść pod pierwszym ciosem. Po chwili babka usłyszała, jak drzwi się otwierają, a kije, którymi je podparła, spadają z trzaskiem na podłogę. Japończycy wdarli się do głównej izby – jedyną przeszkodą pozostały dwuskrzydłowe drzwiczki w ścianie działowej, prowadzące do wewnętrznego pokoju. W porównaniu z ciężką główną bramą i solidnymi drzwiami wejściowymi były wątłe jak papierowy tygrys. Skoro poprzednie ich nie powstrzymały, sforsowanie tych lekkich jak piórko drzwiczek było dla nich drobnostką – teraz wszystko zależało od tego, czy zechcą je wyważyć, wtargnąć do środka i schwytać swoją zdobycz, czy nie. Druga babka wciąż miała nadzieję – dopóki chroniła ją bariera w postaci drzwi, dopóty niebezpieczeństwo istniało tylko w zasłyszanych pogłoskach i w wyobraźni, nie w rzeczywistości. Nasłuchując ciężkich kroków Japończyków i ich pospiesznych rozmów, wpatrywała się w drzwi z drżącym sercem. Były pomalowane na ciemnoczerwony kolor, nadproże pokrywała warstwa jasnoszarego kurzu, na białym ryglu widniało kilka krwawych plam. Była to krew łasicy o czarnym pysku.

Drugiej babce przypomniawszy przeraźliwy skowyt ciężko pobitego przez nią zwierzęcia. Czaszka łasicy pękła z trzaskiem jak rozdeptana skorupka orzeszka ziemnego. Zwierzę jeszcze przez chwilę tarzało się po ziemi; długi, puszysty ogon rysował na śniegu delikatne wzory. Jego podskoki były już tylko skutkiem konwulsji. Druga babka pałała do owego samca łasicy zajadłą nienawiścią. Pewnego wieczoru, jesienią 1931 roku, poszła na sorgowe pola za wioską, żeby narwać trochę mleczy. Na małym, zarośniętym zielskim kopcu grobowym, skąpanym w krwawym blasku zachodzącego słońca, siedziała łasica. Miała złote futro i czarny pysk, jakby unurzany w tuszu. Druga babka

zauważyła ją, gdy kucała, by się załatwić. Zwierzę siedziało wyprostowane na tylnych łapach, a przednimi rytmicznie poruszało. Druga babka poczuła silny prąd, który niczym lecący smok przebiegł od podeszew jej stóp przez kręgosłup aż do głowy. Padła na ziemię jak rażona gromem, wrzeszcząc histerycznie. Kiedy odzyskała przytomność, na polu panowała ciemność, a wielkie gwiazdy migotały niespokojnie i tajemniczo na czarnej jak atrament kurtynie niebios. Druga babka po omacku wydostała się z pola, znalazła ścieżkę i wróciła do wsi. Obraz złotej łasicy, kontur jej postaci jarzący się opalizującym blaskiem niczym wąsy na kłosach zboża to pojawiał się, to znikał przed jej oczyma. Widok ten wywoływał w niej niepowstrzymaną chęć, by otworzyć usta i wrzeszczeć na całe gardło. Wrzeszczała więc, słysząc przy tym, że głos, który wydobywa się z jej krtani, nie jest głosem ludzkim. Przerazał ją. Szaleństwo drugiej babki utrzymywało się długo, a ludzie w wiosce doszli do wniosku, że łasica ją opętała. Druga babka czuła, że gdzieś, w jakimś ciemnym zakątku jej duszy, zwierzę ma nad nią całkowitą kontrolę. Na jego rozkaz płakała, śmiała się, wypowiadała niezrozumiałe słowa, wykonywała dziwne czynności. Za każdym razem gdy w jej kręgosłupie odzywało się to uczucie podobne do rażenia piorunem, miała wrażenie, jakby coś rozłupywało ją na dwoje. Miotła się w ciemnoczerwonym bagnie, pełnym pożądania i pragnienia śmierci, to tonąc, to znów na moment wynurzając się na powierzchnię, by natychmiast z powrotem pograżyć się w głębinie. Niekiedy jej dłoniom udawało się schwycić linę, po której próbowała wydostać się z bagna pożądania, lecz gdy się podciągała, lina sama stawała się częścią owego bagna i druga babka kolejny raz bezradnie spadała w otchłań. W trakcie tej bolesnej walki obraz samca łasicy o czarnym pysku wciąż majaczył jej przed oczyma – zwierzę uśmiechało się złośliwie i muskało ją energicznie ogonem. Ilekroć ogon łasicy dotykał ciała drugiej babki, z jej ust wydobywał się niepowstrzymany okrzyk podniecenia. Gdy w końcu zmęczone zwierzę odchodziło, druga babka padała zamroczone na ziemię, ślina kapiała z kącików jej ust, całe ciało było złane potem, a twarz wyglądała jak pokryta złotym papierem. Dziadek doszedł do wniosku, że drugą babkę trzeba uwolnić od złego ducha, wsiadł więc na muła i pojechał do wioski Cyprysowy Aromat, by poprosić o pomoc specjalizującego się w egzorcyzmach Pustelnika Li. Pustelnik Li zapalił kadzidełka i świece i na żółtym papierze ofiarnym wymalował zamoczonym w szkarłatnym tuszu pędzelkiem jakieś dziwne symbole. Następnie zmieszał popiół z kadzideł z czarną psią krwią, zatkał drugiej babce nos i wlał jej ową miksturę do gardła. Druga babka wrzeszczała i płakała, wymachiwała rękoma i nogami, aż doznała uczucia, jakby jej dusza oddzieliła się od ciała. Od tamtej pory jej stan z dnia na dzień się poprawiał. W końcu pewnego dnia łasica zakradła się do ich zagrody, by ukraść kure. W trakcie zajadłej walki na śmierć i życie wielki, żółtonogi, czerwonopióry kogut wydziobał samcowi łasicy jedno oko. Kiedy zwierzę miotało się w śniegu w spazmach bólu, druga babka, naga mimo

mrozu, wypadła na podwórze z białym drewnianym rygłem w dłoni. Zamachnęła się i wymierzyła potężny cios w szpiczasty, plugawy, bezwstydnny pysk. Nareszcie dokonała zemsty, wyrównała rachunki. Otepiała, długo stała na śniegu, trzymając zakrwawiony rygiel, po czym nachyliła się i jęła uderzać dalej w szalonym zapale. Dopiero gdy stłukła samca łasicy – swojego mistrza – na miazgę, wróciła do izby, wciąż niosąc w sobie ślad nienawiści.

Kiedy druga babka patrzyła na ślady zaschniętej łasiczej krwi na ryglu, ogarnęło ją znowu tamto zapomniane rozdygotanie – poczuła, że jej gałki oczne obracają się chaotycznie, usłyszała, jak z jej gardła wydobywa się przerażający ją samą krzyk.

Liche drzwi tylko odrobinę się zachwiały, po czym otworzyły się z trzaskiem i do środka wskoczył zwinnie złoty Japończyk z karabinem wyposażonym w bagnet. Druga babka, cały czas krzycząc, jednym spojrzeniem dziko obracających się oczu ogarnęła jego szczupłą, elegancką sylwetkę i chudą, brzydką twarz o wysuniętych ustach i małym podbródku – postać ta natychmiast przemieniła się w samca łasicy o czarnym pysku, który zginał z jej ręki. Wydatne usta, czarny wąs, chytra mina – wszystko identyczne jak u łasicy, tylko wzrost większy, sierść bardziej żółta, wygląd jeszcze bardziej zdradziecki. Opętanie drugiej babki, pogrzebane głęboko w zakamarkach jej pamięci, wypłynęło na powierzchnię i rozszalało się z jeszcze większą siłą i intensywnością. Moja mała ciocia, ogłuszona wrzaskiem babki, śmiertelnie przerażona widokiem jej czarnej, wysmarowanej sadzą twarzy o wargach drgających jak trzepoczące ptasie skrzydła, wyrwała się rozpaczliwie z jej mocnych jak żelazne okowy objęć i wskoczyła na parapet, skąd obserwowała japońskich żołnierzy po raz pierwszy i ostatni w życiu.

Sześciu Japończyków stało stłoczonych przed kangiem drugiej babki, trzymając karabiny z lśniąącymi bagnetami, na twarzach wszystkich widniał ten sam chytry, głupawy wyraz pyska samca łasicy. W oczach mojej cioci zaś ich oblicza przypominały świeżo zdjęte z patelni placki z sorgowej mąki: żółtobrazowe, przypieczone na ciemnoczerwono, piękne, gorące, smakowite, miłe. Oprócz lekkiej obawy, jaką żywiła wobec ostrzy zatkniętych na japońskie karabiny, i lęku, którym napawała ją wykrzywiona, podobna do wyschniętej tykwy twarz drugiej babki, dziewczynka niczego się nie bała, a twarze japońskich żołnierzy wręcz wydawały się jej przyjazne.

Japończycy uśmiechali się, odsłaniając zęby, równe albo krzywe. Jedną część drugiej babki wciąż ogarniało nieokiełznane łasicze szaleństwo, druga była przerażona tymi uśmiechami. Druga babka odgadywała, przeczuwała w nich olbrzymią groźbę – tak jak niegdyś w ruchach przednich łapek samca łasicy wyraźnie wyczuwała ukryte złoiste, bezwstydnne znaczenie. Krzycząc, objęła się rękoma za brzuch i wcisnęła, jak mogła najgłębiej, w kąt.

Jeden z żołnierzy, mierzący metr pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt wzrostu, w wieku około trzydziestu pięciu, może czterdziestu lat, zbliżył się do samego brzegu kangu, zdjął czapkę i podrapał się w łysiejącą czaszkę; na jego twarzy zastygł wyraz w kolorze czerwobrazowej pasty sojowej. Łamana chińszczyzną powiedział:

– Twoja dziewczyna ładna, nie bój się...

Oparł karabin o brzeg kangu, wsparł się na nim, wlaźł niezdarnie na górę niczym gruby, wijący się czerw i dopelził do drugiej babki. Babka chętnie wcisnęłaby się do szczeliny w murze. Strumienie łez, które popłynęły jej po policzkach, wyżłobiły w czarnej warstwie brudu kilka jasnych ścieżek w kolorze skóry. Japoński żołnierz rozchylił grube wargi i tłustym, grubym paluchem dotknął jej twarzy. Dotyk tego palca wywołał w babce spazm obrzydzenia, jakby ohydna ropucha wśliznęła jej się za pasek spodni. Zaczęła krzyczeć jeszcze głośniej. Japończyk złapał ją za obie nogi i siłą pociągnął do siebie – tył jej głowy uderzył głucho o ścianę. Leżała na wznak na kangu, z brzuchem sterczącym jak pagórek. Japończyk najpierw pomacał wypukłość, po czym, z oczyma niemal wychodzącymi z orbit z wściekłości, huknął pięścią w fałszywy brzuch. Przygwoździł kolanami nogi babki i sięgnął dłonią, by rozpiąć swój pasek. Babka tymczasem zaczęła desperacko walczyć, podniosła się i z całej siły zatopiła zęby w podobnym do ząbka czosnku nosie Japończyka. Żołnierz wrzasnął, puścił pasek i złapał się za krwawiący nos. Spojrzał na wciśniętą z powrotem w kąt babkę zupełnie innym wzrokiem. Stojący u stóp kangu Japończycy roześmieli się chórem. Starszy Japończyk wyciągnął z kieszeni brudną chustkę i przyłożył do nosa. Wstał i namiętna mina wrażliwego poety recytującego miłosne wiersze zniknęła z jego twarzy, ustępując miejsca bardziej zgodnemu z jego prawdziwą naturą grymasowi dzikiej bestii. Sięgnął po opartą o kang broń i wycelował prosto w wystający brzuch drugiej babki. Ostrze bagnetu zaślniło lodowato we wpadającym przez okno blasku słońca. Druga babka krzyknęła po raz ostatni, po czym zacisnęła powieki.

Moja mała ciocia, siedząca na parapecie, cały czas przyglądała się poczynaniom grubego żołnierza, lecz w pulchnej twarzy Japończyka początkowo nie wyczytała żadnych złych intencji. Zaciekawiona, chciała schwycić migoczący w powietrzu odblask jego łysiny, dzikie wrzaski drugiej babki wyraźnie ją zniesmaczały. Kiedy jednak zauważyła nagłą zmianę wyrazu twarzy Japończyka i bagnet wycelowany w brzuch matki, jej serce zalała fala przerażenia i miłości. Czym prędzej zeskoczyła z parapetu i rzuciła się w jej stronę.

Japończyk o wydatnych ustach i zapadniętych policzkach, ten, który pierwszy wszedł do izby, powiedział coś do grubego żołnierza, wskoczył na

kang, zepchnął go na podłogę i z kpiąco-głupawym uśmiechem spoglądał z wyżyn kangu na wściekłego grubasa z zakrwawionym nosem. Po chwili odwrócił się, trzymając w jednym ręku karabin, a drugą, kościstą, żółtą łapą chwycił moją małą ciotkę za cienkie jak natka marchewki włosy. Wyszarpnął ją z objęć drugiej babki, jakby wyrywał marchewkę z suchej, twardej ziemi, po czym rzucił nią w kierunku okna, od którego odbiła się i upadła z powrotem na kang. Spróchniała rama okienna pękła na dwoje, rozdarło się papierowe pokrycie. Ciotka zdusiła płacz w gardle, jej buzia pobladła. Ta część ciała i duszy drugiej babki, którą wcześniej władało wstrętne wyobrażenie samca łasicy, nagle odzyskała wolność i druga babka niczym wilczyca rzuciła się na Japończyka. Ten w odpowiedzi wymierzył jej zręcznego kopniaka w brzuch. Mimo że trafił w szmaciane zawiniątko, prawdziwy brzuch drugiej babki także doznał sporego wstrząsu. Druga babka została rzucona z wielką siłą na oddzielającą sypialnię od zewnętrznej izby cienką ściankę, z głuchym odgłosem uderzyła o nią plecami i czaszką. Kiedy zamroczona usiadła, poczuła rozdzierający ból w podbrzuszu. Płacz, który moja mała ciotka dusiła w gardle, nagle wydostał się na zewnątrz, wyjątkowo głośny i dźwięczny. Jakby w odpowiedzi na ten płacz, w powietrzu rozszedł się ledwie uchwytny zapach krwi. Druga babka oprzytomniała: stojący przed nią chudy japoński żołnierz nie łączył się już w jej umyśle z obrazem łasicy. Miał szczupłą twarz, wydatny i spiczasty nos, czarne, lśniące oczy; wyglądał jak wykształcony erudyta, człowiek o szerokich horyzontach. Druga babka uklękła na kangu i zaczęła błagać, zalewając się łzami:

– Panie oficerze... Niech pan nas oszczędzi... Wy też macie żony, córki, siostry...

Szczurze policzki japońskiego żołnierza zadrgały, pod czarnymi oczyma zamajaczyła niebieskawa mgielka. Nie zrozumiał słów drugiej babki, ale dotarła do niego ich łzawa treść. Wybuch żałostnego płaczu mojej małej ciotki sprawił, że jego ramiona drgnęły, a na twarzy pojawił się cień litości. Druga babka zerknęła na stojących przed kangiem Japończyków: każda twarz miała inny wyraz, kobieta wyczuła jednak, że pod twardą skorupą dzikości przelewają się z wolna zielonkawie, łagodne prądy. Wszyscy jednak wytrwale starali się zachować ową skorupę i z groźnymi, szyderczymi minami patrzyli na stojącego na kangu szczupłego kolebę. Szczupły żołnierz czym prędzej odwrócił wzrok, a druga babka natychmiast zaczęła szukać spojrzeniem jego oczu. Niebieska mgielka zastygła i przypominała teraz wysoką chmurę burzową, niosącą deszcz i błyskawice. Mięśnie szczurzych policzków drgały mocno, wydawało się, że zaraz oderwą się i uciekną. Zaciskając zęby, jakby chciał stłumić jakieś silne uczucie, Japończyk wycelował lśniącym ostrzem bagnetu prosto w otwarte usta mojej małej ciotki.



– Ty, zdejmuj spodnie! Zdejmuj spodnie! – wydukał po chińsku sztywno, jakby język stwardniał mu w ustach. Mówił jednak lepiej od swojego łysawego towarzysza.

Tymczasem świeżo wyzwolona spod wpływu łasicy dusza mojej drugiej babki znowu zaczęła się poddawać. Stojący na kangu japoński żołnierz przypominał jej to wyrafinowanego intelektualistę, to znowu samca łasicy o czarnym pysku. Wstrząsały nią raz po raz spazmy płaczu. Ostrze bagnetu już prawie wbijało się w usta dziewczynki. Wtem fala dotkliwego cierpienia i poryw poświęcenia bez granic, wolnego od myśli o dobru własnym, niczym u matki wilczycy broniącej młodych, całkowicie otrzeźwiły drugą babkę. Ściągnęła spodnie, majtki, koszulę, wszystko. Zawiniątkiem z ubraniami, wyjętym ze spodni, cisnęła na podłogę, zawiniątko trafiło w twarz młodego japońskiego żołnierza, który tępo wpatrywał się w kobietę zdumionymi, pięknymi oczyma. Druga babka uśmiechnęła się figlarnie, mimo że łzy wciąż płynęły jej po twarzy. Leżąc na wznak na kangu, powiedziała głośno:

– No, dalej! Róbcie swoje! Tylko nie ruszajcie mojego dziecka! Nie ruszajcie dziecka!

Stojący na kangu Japończyk zabrał bagnet, jego zmęczone ręce opadły, jakby uszło z nich życie. Na kangu leżało nagie ciało drugiej babki, miało przypaloną barwę i woń dojrzałego sorga. Oczy Japończyków były martwe, twarze zastygłe, jak u glinianych figurek. Druga babka czekała w bezruchu, jej umysł wypełniała jasnoszara pustka.

Zastanawiam się, czy gdyby tamtego dnia nad wspaniałym ciałem mojej drugiej babki stanął tylko jeden japoński żołnierz, to uniknęłaby gwałtu? Raczej nie – samotny, dziki samiec, który nie musi udawać potulnej tresowanej małpki, mógłby rozszaleć się jeszcze bardziej, cisnąć w kąt swoje zdobne szaty i rzucić się na nią niczym dzika bestia. W normalnej sytuacji przemożna siła moralności powstrzymuje żyjące w nas zwierzęta, przykrywa ich szorstkie futro pięknymi strojami. Stabilne, pokojowe społeczeństwo to tresura dla ludzkości – podobnie jak długo trzymane w niewoli stworzenia, ludzie też z czasem stają się bardziej ludzcy. Nieprawdaż? Gdybym sam nie był mężczyzną i gdybym dzierżył w ręku śmiertcionośny miecz, chętnie wymordowałbym wszystkich mężczyzn na świecie! Lecz jeśli tamtego dnia naprzeciwko mojej drugiej babki stanąłby tylko jeden japoński żołnierz, być może zaświtałaby mu w głowie myśl o własnej matce czy żonie, może zostawiłby ją w spokoju i po cichu wyszedł. Tak czy nie?

Żołnierze stali jak przymurowani, spoglądając na ciało drugiej babki, jakby było ofiarą złożoną na ołtarzu. Żaden nie zamierzał odejść i żaden nie śmiał tego zrobić. Druga babka leżała rozciągnięta na kangu niczym suszący się na słońcu szczupak. Głos mojej małej cioci ochryplł i osłabł od płaczu,

przerwy między łkaniami stawały się coraz dłuższe. Ofiara mojej drugiej babki nieco onieśmieliła Japończyków. Patrząc, jak leży niczym oddana matka przed swoimi synami, każdy z nich myślał o drodze, którą przyszedł na świat.

Sądzę, że gdyby moja druga babka wytrzymała tak jeszcze chwilę, może by zwyciężyła. Druga babciu, dlaczego zaraz po tym, jak się położyłaś, musiałaś wstać i zacząć się ubierać? Ledwie wciągnęłaś jedną nogawkę spodni, stojący pod kangiem japońscy żołnierze zaczęli robić się nerwowi, a ten, którego ugryzłaś w nos, rzucił broń i wdrapał się na kang. Kiedy patrzyłaś z nienawiścią na jego pokiereszowany nochal, twoje szaleństwo znowu wzięło górę. Po chwili chudzielec, który znalazł sposób, by cię pokonać, strącił grubasa kopniakiem i wymachując pięściami, jał wywrzaskiwać coś do pozostałych w języku, którego nie rozumiałaś. Potem rzucił się na ciebie, dysząc jak kogut i ziejąc ci w twarz oddechem śmierdzącym jak końskie łajno.

Samiec łasicy o czarnym pysku znowu pojawił się przed twoimi oczyma. Znowu zaczęłaś krzyczeć jak oszalała. Twoje opętanie wzbudziło szaleństwo Japończyka, twoje krzyki wywołały chóralny wrzask jego towarzyszy.

Łysiejący żołnierz w średnim wieku ściągnął z ciebie chudzielca. Przytknął swoją dziką gębę do twojej twarzy. Zacisnęłaś powieki z obrzydzeniem, czując, jak trzymiesięczny embrion wierci się boleśnie w twoim brzuchu, słysząc płacz córki, podobny do skrzywienia zardzewiałego noża o osełkę. Łysol wgryzał się w twoją twarz twardymi zębiskami, jakby chciał się zemścić za pokąsany nos. Twoje policzki i usta zalewały łzy, krew i ślina łysego diabła, lepkie i gęste. Z twoich ust nagle popłynęła fala gorącej, czerwonej krwi, ohydny odór wypełnił twoje nozdrza. Ruchy płodu w twoim brzuchu wywoływały spazmy rozdzierającego bólu; każdy mięsień, każdy nerw twojego ciała kurczył się i napinał niczym naprężona cięciwa. Czułaś, jak embrion usiłuje wcisnąć się w najgłębszy zakamarek twojego ciała, uciec przed nieznośną hańbą i upokorzeniem. W twoim sercu wezbrał gniew i gdy tłusty, śliski policzek Japończyka dotknął twoich warg, spróbowałaś go ugryźć – jego skóra była sprężysta jak guma i miała kwaśny smak. Gdy z obrzydzeniem rozluźniłaś szczęki, twoje napięte nerwy i mięśnie straciły moc.

Po wszystkim moja druga babka usłyszała przeraźliwy krzyk mojej małej cioci, który dobiegał jakby z bardzo, bardzo daleka. Otworzyła z wysiłkiem oczy i ujrzała obraz jak z sennego koszmaru: młody, pięknooki żołnierz stał na kangu z jej córką nadzianą na bagnet. Zakołysał dzieckiem kilka razy w powietrzu i odrzucił. Moja ciocia, niby wielki ptak z rozpostartymi skrzydłami, powoli sfrunęła na podłogę. Czerwona kurteczka falowała w słońcu powoli, niczym płachta miękkiego, gładkiego jedwabiu. Lecąc tak, ciocia rozłożyła ramiona na boki, jej włosy stanęły dęba niczym kolce jeża. Młody japoński żołnierz stał z karabinem w ręku, z jego oczu płynęły błękitne łzy.

Druga babka wrzasnęła na cały głos i usiłowała się podnieść, lecz jej ciało było już martwe. Przed oczyma błysnęło jej żółte światło, a potem zielone, aż w końcu pochłonęła ją czarna jak tusz fala.

Tnijcie szablami japońskie łby!

Gdy sorgo dojrzało, wróg nadszedł ze wschodu.

Zdeptał mą ojczystą ziemię, zbrukał moją drugą babkę.

Bracia patrioci, nadszedł dzień walki!

Chwytajcie za szable, bierzcie karabiny.

Nastawiajcie brony, łapcie wałki, kije.

Bijcie wroga, brońcie ojczyzny, pomścijcie ofiary!

## 5

Mój dziadek dotarł do Doliny Słonej Wody następnego ranka. Wyruszył o świcie, na grzbiecie jednego z naszych dwóch czarnych mułów, a gdy był na miejscu, słońce właśnie wylaniało się znad gór. Podróż przeszła mu w ponurym nastroju, ponieważ przed odjazdem pokłócił się z moją babką. Niezrównany widok migotliwych promieni, padających z za gór na czarną gaomijską ziemię, nie przykuł więc jego uwagi, podobnie jak stada wron wzbijających się w niebo na połyskujących zielonkawo skrzydłach. Czarny muł, którego zad chłostano bezlitośnie uplecionymi z konopnego sznura lejcamy, spoglądał spode łba na siedzącego na nim człowieka – uważał, że biegnie już najszybciej, jak potrafi, i żadne poganianie nie sprawi, by przyspieszył tempa. Rzeczywiście posuwali się bardzo szybko. Wierzchowiec dziadka mknął krętymi ścieżkami wśród pól, kopyta tłukły o ziemię, podkowy lśniły niczym miniaturowe księżycy. Woda po jesiennych deszczach wypełniała ślady stóp i wąskie, głębokie koleiny pozostawione przez koła wozów. Dziadek z bladą twarzą siedział na grzbiecie muła sztywno niczym pień drzewa i cierpliwie podskakiwał w rytm jego kroków. Myszy polne, które właśnie wyruszyły na żer, pierzchały na wszystkie strony w popłochu.

Kiedy dziadek siedział i pił z podstarzałym wujem Luohanem w gorzelnianym sklepiku, usłyszał dobiegający z północnego zachodu huk wystrzałów i eksplozji. Serce podskoczyło mu w piersi, wybiegł na ulicę i rozejrzał się wokoło, lecz nie zauważywszy niczego niepokojącego, wrócił do środka i dalej obaj z wujem raczyli się wódką. Wuj Luohan cały czas z oddaniem kierował naszą gorzelnią. Kiedy w 1929 roku dziadek zaginał, a

babka uciekła, parobcy spakowali się i poszli szukać innego zajęcia, wuj jednak niczym wierny pies został, by pilnować naszego rodzinnego interesu, przekonany, że zły czas przeminie i znowu zaświeci słońce. Tymczasem dziadek wymknął się śmierci i uciekł z więzienia, po czym pogodził się z babką. Babka z moim ojcem na rękach poszła za nim, opuszczając Dolinę Słonej Wody, i tak oboje wrócili do domu. Zapukawszy do ponurej głównej bramy, obudzili wuja Luohana. Ten wychynał niczym duch z szałas, w którym pomieszkiwał, i na widok dawno niewidzianego pryncypała i jego żony padł na twarz, dwa strumienie gorących łez popłynęły po jego wychudłych policzkach. Wielka uczciwość i oddanie wuja Luohana sprawiły, że dziadek i babka szanowali go jak ojca. We wszystkich sprawach związanych z prowadzeniem gorzelni dawali mu całkowicie wolną rękę, akceptowali wydatki bez względu na ich wysokość i nie wtrącali się do niczego.

Kiedy słońce świeciło wysoko na południowo-wschodnim niebie, rozległy się kolejne trzaski, podobne do wybuchów kapiszonów. Dziadek był pewien, że dochodzą z okolic Doliny Słonej Wody, może nawet z samej wsi. Płonąc z niepokoju, chciał od razu brać muła i ruszać w tamtą stronę, lecz wuj Luohan go powstrzymał, doradził, by nie odjeżdżał w pośpiechu, bo może dzięki temu uniknie wielkiego niebezpieczeństwa. Dziadek posłuchał go, lecz nie mógł usiedzieć w miejscu i to wychodził, to wracał do sklepu, czekając na parobka, którego wuj wysłał po wieści. Około południa zwiadowca wrócił, zdyszany, zlany potem i ubłocony, i zameldował, że o świcie Japończycy otoczyli wieś Dolina Słonej Wody i że nie ma sposobu, by dowiedzieć się, co się tam dzieje. Ukrył się w kępie zarośli w odległości trzech *li* od wioski, nasłuchując odgłosów podobnych do wrzasku demonów i wycia wilków, i obserwował wielkie słupy dymu wznoszące się nad wsią. Kiedy parobek wyszedł, dziadek nalał sobie czarę wódki i wychylił ją jednym haustem, po czym wbiegł do domu, zamierzając wydobyć dawno zapomniany pistolet, który ukrył w murze. Kiedy wyskoczył na drogę, natknął się na siedmioro obdartych, białych uciekinierów z Doliny Słonej Wody. Prowadzili ze sobą starego, liniejącego muła o wyłupiastych ślepiach, objuczonego dwoma koszami, z kosza po lewej wystawała kurtka z wyłożoną watoliną, w koszu po prawej zaś siedział chłopczyk w wieku około czterech lat. Dziadek przyjrzał się jego długiej szyi, dużej głowie i dorodnym uszom o długich, zwisających płatkach. Dziecko siedziało spokojne i niewzruszone, bez śladu lęku, i strugało biały wierzbowy patyk brązowym od rdzy nożykiem. Przygryzało wargę, mocując się z patykiem, a cieniutkie, poskręcane wiórki sypały się wokoło. Dziadek poczuł, że coś z niezwykłą siłą przyciąga go do tego chłopczyka. Wypytyując rodziców dziecka o sytuację w wiosce, nie mógł oderwać wzroku od wykonywanej w tak wielkim skupieniu czynności strugania patyka oraz od wielkich uszu, symbolizujących szczęście, długowieczność i dostatnie życie. Jąkający się dorośli opowiadali o poczynaniach japońskich żołnierzy. Udało im się uciec

właśnie dzięki dziecku. Chłopczyk od wczorajszego popołudnia marudził i płakał, że chce, żeby rodzice zabrali go do babci. Nie pomagały żadne prośby ani groźby, więc ustąpili malcowi i następnego dnia rano objuczyli muła. Gdy ze wschodniej części wioski dobiegały pierwsze odgłosy wybuchów, byli już w drodze. Za ich plecami Japończycy okrążyli wieś ze wszystkich stron. Z relacji pozostałych uciekinierów także wynikało, że cudem uszli z życiem. Dziadek wypytywał o drugą babkę, Miłość, i o moją małą ciocię Xiangguan, ale tamci tylko kręcili głowami w milczeniu i mieli zmartwione miny. Wtem malec w koszu złożył swoje pracowite rączki na brzuchu, podniósł głowę, zamknął oczy i słabym głosem powiedział:

– Chodźmy już! Mamy czekać, aż nas pozabijają?

Ojciec i matka chłopca osłupieli – pewnie zastanawiali się nad ewentualnym proroczym znaczeniem jego słów, a może nagle zdali sobie w pełni sprawę z grozy sytuacji. Kobieta spojrzała obojętnie na elegancko ubranego dziadka, jej mąż zaś klepnął muła w zad i wszyscy uciekinierzy ruszyli drogą w gorączkowym pośpiechu, jak psy opuszczające dom zmarłego albo wymykające się z sieci ryby. Dziadek odprowadzał ich spojrzeniem, przyglądając się zwłaszcza wielkouchemu chłopcu. Jego przeczucia co do niego były trafne – mały urwipoleć dwadzieścia lat później został istnym demonem fanatyzmu w grzesznym zakątku świata, jakim jest Północno-Wschodnie Gaomi.

Dziadek wpadł do zachodniego skrzydła domu i w schowku w ścianie jął szukać swojego pistoletu. Nie było go tam, ale pozostał ślad w miejscu, gdzie leżał. Kiedy rozglądał się podejrzliwie, jego wzrok napotkał kwaśny uśmiezek na ponurej twarzy babki. Zobaczył cienkie, zmarszczone brwi i skrzywione usta, uśmiech tymczasem przeniósł się na policzki. Spojrzał na babkę wrogo i warknął zniecierpliwiony:

– Gdzie moja broń?

Babka odeła wargi, zmarszczyła nos i wystrzeliła z nozdrzy dwa strumienie zimnego powietrza. Odwróciła się pogardliwie, chwyciła miotłę i zabrała się do zamykania kangu.

– Gdzie broń? – zagrzemiał dziadek.

– Diabli wiedzą! – rzuciła babka z zarumienioną twarzą, bezlitośnie trzepiąc pościel.

– Daj mi mój pistolet. – Dziadek ściszył głos, starając się opanować zdenerwowanie. – Japończycy otoczyli Dolinę Słonej Wody, muszę tam pojechać i zobaczyć, co z nimi dwiema...

Babka odwróciła się gwałtownie.

– To jedź! Co mnie to, do cholery, obchodzi?

– Dawaj pistolet!

– Nie mam pojęcia, gdzie jest twój pistolet! Czego ode mnie chcesz?

– Ukradłaś mi broń i dałaś Czarnookiemu. Tak czy nie? – nalegał dziadek.

– Właśnie, że tak! Nie tylko dałam mu twój pistolet, ale spałam z nim! I było nam tak dobrze! Wspaniale! Cudownie!

Z otwartych ust dziadka wydobyło się tylko pojedyncze „A!”. Zacisnął pięść i uderzył babkę prosto w nos. Krew połała się natychmiast. Babka krzyknęła i przewróciła się na ziemię niczym obalona kolumna. Ledwie się podniosła, dziadek wymierzył jej cios w szyję. Uderzenie było tak silne, że przeleciała w powietrzu trzy albo cztery metry i wylądowała na komodzie w kącie sypialni.

– Ty kurwo! Ty ladacznico! – warczał wściekle przez zęby. Jad nienawiści, który zbierał się w nim przez wiele lat, krążył mu teraz w żyłach. Przypomniawsobie niewysłowione uczucie upokorzenia, gdy Czarnooki przewrócił go na ziemię, i tylekroć powracającą w wyobraźni scenę: babka przygnieciona cielskiem tego dzikusa jęczy, wzdycha i bezwstydnie krzyczy. Wszystkie jego wnętrzności skręcały się niby węże, cały płonął jak słońce w środku lata. Ściągnął z drzwi rygiel z daktylowego drzewa i wycelował w głowę babki, która właśnie gramoliła się z kąta, z przekrzywioną szyją, z twarzą całą we krwi, ale pełna sił i wigoru.

– Przybrany tato! – zabrzmiał głos mojego ojca, który właśnie wbiegł do domu i czym prędzej złapał z całej siły podniesiony do ciosu rygiel.

Gdyby nie wrzask mojego ojca, babka z pewnością nie uszłaby z życiem. Śmierć z ręki dziadka jednak nie była jej pisana – jej przeznaczeniem była śmierć od japońskiej kuli, tak piękna i pełna chwały jak dojrzałe, czerwone sorgo.

Babka dopełzła do nóg dziadka, klęcząc, objęła go za kolana i drżącymi, gorącymi dłońmi masowała jego twarde jak stal mięśnie. Podniosła smutną twarz, zalaną krwawymi łzami i powiedziała:

– Zhan’ao... Znan’ao... Mój starszy bracie, mój kochany... Zabij mnie, zabij! Nie wiesz, że za nic nie mogę się z tobą rozstać, nie masz pojęcia, jak strasznie chciałabym cię zatrzymać. Jeśli odejdziesz, może już nie wrócisz. Japończyków są setki, tysiące, a ty sam, na jednym koniu, z jednym pistoletem. Nawet jeśli to wielka, ważna sprawa, samotny tygrys nie pokona stada wilków. To wszystko sprawa tej małej dziwki, to wszystko jej wina. Kiedy byłam z Czarnookim, nawet na chwilę nie zapomniałam o tobie. Bracie,

kochany, nie pozwolę ci iść na śmierć! Nie potrafię żyć bez ciebie... Jeśli już musisz, jedź jutro. Dopiero jutro kończy się nasze dziesięć dni. Zabrała mi połowę ciebie... A zresztą jedź już! Daruję jej ten jeden dzień!

Gdy babka wtulała głowę w jego kolana, dziadek poczuł, że jest gorąca jak rozżarzone węgle. Myśli o rozlicznych przymiotach i urokach babki krążyły w jego umyśle. Zaczynał żałować swojej ciężkiej ręki. Na widok swojego ojca, zerkającego lękliwie zza drzwi, dopadły go jeszcze większe wyrzuty sumienia. Schylił się, wziął w ramiona półprzytomną babkę i zaniósł na kang. Postanowił, że do Doliny Słonej Wody wyruszy rankiem następnego dnia. Niech Niebiosa chronią tam je obie.

Rano dziadek popędził na mule polną drogą w kierunku Doliny Słonej Wody. Miał do przebycia tylko pięć *li*, podróż jednak wydawała się ciągnąć w nieskończoność, i chociaż wierzchowiec gnał jak wicher, dziadek bezlitośnie smagał go lejcami po zadzie. Kopyta muła rozpryskiwały na wszystkie strony wypiętrzone wzdłuż kolein błoto, nad rozległymi polami wisiała warstwa drobnego pyłu, na niebie wiły się rozliczne, podobne do strumieni pasma ciemnych chmur. Od strony Doliny Słonej Wody zaczęła dobiegać dziwna woń, która wkrótce równomiernie wypełniła powietrze.

Wjechawszy do wioski, dziadek, nie zważając na trupy ludzi i zwierząt, którymi zasłane były ulice, popędził prosto do domu drugiej babki, zeskoczył z muła i wbiegł na podwórze. Jego serce zadrżało się na widok roztrzaskanej bramy, a gdy poczuł gęsty, wypełniający cały dziedziniec odór, ścisnęło się tak, że przestało przyjmować napływającą krew. Rozejrzał się po podwórzu, po czym zdesperowany wkroczył do głównej izby. Gdy minął drzwi do sypialni, serce opadło mu na dno piersi niczym ciężki kamień. Druga babka leżała na kangu z rozrzuconymi rękoma i nogami, dokładnie w tej pozycji, w której złożyła ofiarę ze swego ciała, by obronić swoją małą ciocię. Xiangguan leżała obok kangu, z twarzą w kałuży krwi. Usta dziecka były otwarte w niemym krzyku.

Dziadek zawył. Z pistoletem w ręku wybiegł chwiejnie na ulicę, wskoczył na wciąż jeszcze zdyszanego muła i trzepnął go lufą w zad, zamierzając pogalopować do miasta i zemścić się na stacjonujących tam Japończykach. Dopiero na widok pożółkłego sitowia, stojącego cicho i uroczyście w promieniach porannego słońca, zorientował się, że pomylił drogę. Zawracając muła w stronę stolicy powiatu, usłyszał dobiegające z tyłu niewyraźne nawoływania. Wzburzony, nie zwrócił na nie uwagi i dalej poganiał muła, szturchając go lufą broni. Zwierzę, nie mogąc już znieść tego brutalnego traktowania, przy każdym szturchnięciu wierzgało tylnymi nogami, wysoko podrzucając zadem. Im bardziej muł protestował, tym bardziej dziadek się wściekał i tym mocniejsze zadawał ciosy. Kopnięcia muła wkrótce zaczęły

sięgać trzy metry w górę. Wyglądało na to, że dziadek całą swoją nienawiść i gniew na Japończyków wyładowywał na biednym zwierzęciu. Muł kręcił się, wierzgał i skakał, aż wreszcie zrzucił jeźdźca w zeszłoroczne sorgo.

Dziadek wygramolił się z zarośli niczym zranione zwierzę i wycelował pistoletem prosto w wąski, długi łeb spienionego czarnego muła. Muł stał sztywno, ze spuszczoną głową, jego zad pokryty był guzami wielkości kurzego jaja i cienkimi strumyczkami czarnej krwi. Ręka dziadka wciąż trzymała wyciągnięty pistolet, zaczął się jednak wahać. W tym momencie na tle czerwonego nieba zobaczył pędzącego ku niemu drugiego czarnego muła. Skóra zwierzęcia lśniła, jakby obsypana złotym pyłem, spod kopyt strzelały oślepiające, podobne do sztyletów, krzyżujące się promienie. Dosiadał go wuj Luohan.

Wyczerpany zeskoczył z muła, jego stare, zmęczone ciało zrobiło dwa kroki do przodu i zatoczyło się, jakby miało zaraz upaść. Stał między dziadkiem a jego mułem i zepchnął na bok wciąż trzymającą pistolet rękę dziadka.

– Zhan'ao! Opamiętaj się! – powiedział.

Na widok wuja Luohana ognisty gniew dziadka zamienił się we wszechogarniający smutek. Łzy popłynęły mu ciurkiem po twarzy.

– Wuju – powiedział ochryple – Obydwie... To straszne...

Złamany rozpaczą dziadek przykucnął na ziemi. Wuj Luohan pomógł mu się podnieść.

– Szefie, zemsta człowieka szlachetnego może poczekać i dziesięć lat. Teraz lepiej wrócić i wyprawić je w ostatnią drogę. Niechaj umarli spoczywają w pokoju.

Na trzęsących się nogach dziadek ruszył z powrotem do wioski. Wuj Luohan szedł za nim, prowadząc oba czarne muły.

Moja druga babka żyła. Spoglądała szeroko otwartymi oczyma na dziadka i ojca stojących przed kangiem. Dziadek patrzył na jej gęste, grube rzęsy, na duże, ciemne oczy, poraniony nos, pogryzione policzki i opuchnięte wargi i czuł w sercu tak silny ból, jakby ktoś ugodził je nożem. Z bólem mieszało się niemożliwe do ukojenia wzburzenie. Oczodoły drugiej babki powoli wypełniły się łzami, jej wargi zadrżały, wymawiając słowa:

– Starszy bracie...

– Miłość! – jęknął boleśnie dziadek. Wuj Luohan wycofał się cicho z pokoju.



Dziadek nachylił się nad kangiem, chcąc ubrać drugą babkę. Kiedy dotknął dłonią jej skóry, zawyła nagle i zaczęła wykrzykiwać niezrozumiałe słowa, tak jak rok wcześniej, gdy opętała ją łasica. Wyrwała się, więc dziadek przytrzymał jej rękę i naciągnął spodnie na jej bezwładne, brudne nogi.

Wuj Luohan wrócił do sypialni.

– Szefie, przyprowadzę z sąsiedztwa jakiś wóz... Zabierzemy matkę i córkę do nas i zajmiemy się nimi – mówiąc to, szukał wzrokiem odpowiedzi na twarzy dziadka. Dziadek skinął głową.

Wuj Luohan zdjął z posłania dwie kołdry, wybiegł z domu i ułożył je na dużym wozie z kołami o drewnianych szprychach.

Dziadek wziął w ramiona drugą babkę i podłożywszy jej jedną rękę pod kark, drugą pod zgięte kolana, ostrożnie, jakby trzymał na rękach drogocenny skarb, wyniósł ją z sypialni, a potem z domu. Minał podwórze pełne śladów pobytu japońskiego wojska, przekroczył zrujnowaną główną bramę i znalazł się na ulicy, gdzie stał wóz, zwrócony dyszlem na południowy wschód. Wuj Luohan tymczasem zaprzął już jednego z czarnych mułów. Drugi, ten pobity przez dziadka do krwi, został uwiązany do tylnej poprzeczki. Dziadek położył krzyczącą, przewracającą oczami drugą babkę na wozie. Wyczuwał, jak bardzo jest wściekła, lecz choć serce miała silne, ciało odmawiało jej posłuszeństwa. Ułożywszy ją na wozie, odwrócił się i napotkał wzrok wuja Luohana, który ze łzami w starych oczach niósł na rękach trupa małej Xiangguan. Dziadek poczuł się tak, jakby jakaś gigantyczna ręka niby para żelaznych szczypiec ścisnęła go za gardło. Łzy spłynęły mu do tchawicy, zakrztusił się, szarpnęły nim suche torsje. Przytrzymując się dyszła, podniósł głowę i spojrzał w niebo – na południowym wschodzie obracało się gigantyczne, szmaragdowe koło słońca, tocząc się w jego stronę.

Biorąc moją małą ciocię z rąk wuja Luohana, dziadek opuścił głowę i spojrzał na naznaczoną niewyobrażalnym cierpieniem twarzyczkę; dwie piekące łzy stoczyły się z jego policzków na ziemię.

Położył ciało dziewczynki obok bezwładnych nóg drugiej babki i rąbkiem kołdry zakrył jej buzię, wykrzywioną grymasem przerażenia.

– Niech pan wsiada na wóz, szefie – rzekł wuj Luohan.

Dziadek przysiadł apatycznie na krawędzi, z nogami zwisającymi na zewnątrz wozu.

Wuj Luohan strzepnął lejcamy, pochylił się i wóz powoli ruszył. Koła zaczęły obracać się opieszale, nienaoliwione osie wydawały przeciągłe zgrzyty, sandałowe drewno trzeszczało i postukiwało. Wóz wytoczył się chwiejnie na

polną drogę prowadzącą do naszej wioski, gdzie powietrze było przesycone wonią sorgowej wódki. Droga na tym odcinku była jeszcze bardziej wyboista. Wóz podskakiwał jeszcze mocniej, osie skrzypiały rozpaczliwie, jakby wydawały z siebie ostatnie przedśmiertne jęki. Dziadek odwrócił się i przełożył nogi do środka wozu. Wydawało się, że babka usnęła pod wpływem kołysania, lecz szare oczy miała cały czas otwarte. Dziadek przytknął palec do jej nozdrzy i gdy wyczuł słaby oddech, uspokoił się.

Przez rozległą przestrzeń pól toczył się wóz pełen cierpienia, nad nim – niebo bezgraniczne jak ocean, poniżej – czarna ziemia płaska i równa jak mielizna, a na niej tu i ówdzie wioski niczym dryfujące wysepki. Siedzącemu na wozie dziadkowi wydało się, że wszystkie rzeczy na świecie mają kolor zielony.

Dyszle były za wąsko rozstawione dla naszego czarnego muła, a rozeschły wóz wyraźnie za lekki. Ze ściśniętym między dyszlami brzuchem było mu tak niewygodnie, że co chwila chciał zrywać się do biegu, lecz powstrzymywało go żelazne wędzidło w pysku. Wielce rozżalony, podnosił tylko kopyta, jak mógł najwyżej. Wuj Luohan tymczasem mamrotał przekleństwa: „Co za bestie... Co za dzikie, nieludzkie bestie... Rodzinę z sąsiedztwa też wybili, synowej rozcięli brzuch... Wyciągnęli ledwie co uformowane, maleńkie dziecko... Zbrodniarze... Dziecko wyglądało jak obdarta ze skóry mysz... Zasrańcy, garnki pełne rzadkiego gówna... Banda dzikusów...”.

Wuj mówił do siebie, nie odwracając głowy, lecz domyślał się zapewne, że dziadek go słyszy. Trzymał mocno lejce, nie pozwalając mułowi na dzikie podskoki, uprząż poskrzypywała, zwierzę nerwowo trzepało ogonem. Drugi czarny muł, uwiązany z tyłu wozu, dreptał smętnie ze zwieszoną głową – trudno stwierdzić, czy na jego długim, pociągłym pysku malował się gniew, wstyd, czy też poczucie całkowitej klęski.

## 6

Ojciec pamiętał, że wóz, którym wieziono ledwie żywą drugą babkę oraz zwłoki małej ciotki Xiangguan, przybył do naszej wioski w południe. Wiał wtedy silny północno-zachodni wiatr, który wzbijał kurz na drogach i szumiał w liściach drzew. Powietrze było bardzo suche, z warg mojego ojca złuszczały się drobinki martwego naskórka. Kiedy zobaczył, że u wejścia do wioski pojawił się wóz zaprzężony w jednego muła, z drugim uwiązanym z tyłu, czym prędzej wybiegł mu na powitanie. Wuj Luohan kuśtykał obok wozu, koła obracały się nierówno, podskakując na wybojach. W kącikach oczu mułów, dziadka i wuja Luohana zebrała się wydzielina podobna do wróblego guana, do której lepił się szary pył. Dziadek siedzący na krawędzi wozu i obejmujący głowę wielkimi

dłońmi przypominał glinianego bożka albo drewnianą płaskorzeźbę. Na ten widok ojciec nie śmiał wydobyć głosu. Podbiegł do wozu na odległość dwudziestu metrów i jego niezwykle wrażliwy nos – a ściślej mówiąc, nie nos, lecz podobny do węchu zmysł wyczuwania – wykrył otaczającą wóz złowróżbną woń. Popędził z powrotem do domu i bardzo wzburzony zdał matce, która przechadzała się niespokojnie po pokoju, pospieszną relację:

– Mamo, mamó, przybrany tata wrócił, jedzie drewniany wóz, muł go ciągnie, a na wozie leżą umarli. Tata siedzi na wozie, powozi wuj Luohan, drugi muł idzie uwiązany z tyłu.

Gdy skończył, twarz mojej babki poszarzała. Po krótkiej chwili wahania wybiegła z ojcem na zewnątrz.

Wóz zakołysał się po raz ostatni i z przeciągłym zgrzytem stanął przed główną bramą. Dziadek zszedł opieszale na ziemię i spojrzał na moją babkę przekrwionymi oczyma. Widok ten wystraszył ojca. Jego oczy, a raczej podobny do wzroku zmysł, dostrzegły, że oczy dziadka lśnią zmiennymi barwami, niczym kamyki „kocie oko”, które można znaleźć nad Rzeką Czarnej Wody.

– Masz, czego chciałaś – burknął dziadek do babki.

Babka nie śmiała zaprzeczać. Zbliżyła się chwiejnie do wozu, a ojciec za nią i oboje zajrzeli do środka. W załamaniach pikowanej kołdry zebrały się grudki czarnej ziemi, pod spodem rysowały się jakieś wypukłości. Babka podniosła róg przykrycia, po czym cofnęła rękę jak oparzona. Ojciec, używając swojego hiperwrażliwego zmysłu podobnego do wzroku, wyraźnie dostrzegł pod kołdrą podobną do nadgniętego bakłażana twarz drugiej babki oraz otwarte, zeszywniałe usta mojej małej cioci.

Otwarta buzia dziewczynki wywołała w ojcu słodkie wspomnienia. Nieco wcześniej, wbrew woli swojej matki, pomieszkiwał kilka razy w Dolinie Słonej Wody. Dziadek kazał mu nazywać drugą babkę „drugą mamą”. Druga babka traktowała go bardzo serdecznie, ojciec także ogromnie ją lubił. Jej obraz zapisał się głęboko w jego pamięci i na jej widok czuł się zawsze tak, jakby zobaczył starego przyjaciela. Mała Xianguan zaś miała buzię słodką jak miód, wszędzie słyhać było jej wołania: „Starszy braciszku, starszy braciszku!”. Mój ojciec uwielbiał tę smagłą dziewczynkę, podobał mu się delikatny, jasny puszek porastający jej policzki, a najbardziej ze wszystkiego podziwiał jej podobne do miedzianych paciorków, błyszczące oczy. Ale za każdym razem, akurat w momencie gdy najlepiej się ze sobą bawili, babka wysyłała kogoś, by przyprowadził go do domu. Siedząc na grzbiecie muła, na którym sadowił go posłaniec, ojciec odwracał głowę i patrzył w załzawione oczy małej cioci, czując wielki smutek. Nie mógł zrozumieć, dlaczego między babką a drugą babką była tak wielka wrogość.

Przypomniał sobie, jak kiedys poszed z matk wayc martwe dziecko. Byo to mniej wicej dwa lata wczeniej, noc. Babka zabraa go do odlegego o trzy *li* od wioski miejsca zwanego Parowem Umarych Dzieci, gdzie wyrzucano dziecice zwoki. Wedle zwyczaju tych, ktore zmary przed ukonieniem piciu lat, nie grzebano – mona byo tylko porzuci ich ciaa pod goym niebem, na poarcie psom. W tamtych czasach porody przyjmowano tradycyjnymi metodami, opieka medyczna pozostawiaa wiele do yczenia, tote umieralnoc niemowlat bya wysoka. Przeyway tylko najsilniejsze jednostki.

Doszedem pewnego razu do dziwacznego wniosku, e degeneracja ludzkoci musi miec zwiazek ze wzrostem dobrobytu i poprawiajacymi si warunkami ycia. Dazymy, z sukcesem, do pomnoenia bogactwa i powikszenia yciowego komfortu. W nieunikniony sposb jednak prowadzi to do przeraajcej, gebokiej sprzecznoci: ludzkoc obecnie z wielk pieczoowitoci pozbywa si swoich najlepszych elementw.

Wtedy gdy ojciec poszed z babk do Parowu Umarych Dzieci, babka szalaa na punkcie gry „loteryjka”. Gra ta, w ktorej nie zdobywao si fortuny, ale i nie przegrywao zbyt wiele, bardzo wciagna mieszkacw naszej wioski, zwaszcza kobiety. W tamtych czasach dziadek wid spokojne, dostatnie ycie i wieniacy uczynili go przewodniczacym towarzystwa loteryjnego. Wrzuca trzydzieci dwa losy z wypisanymi nazwami kwiatw do bambusowej rurki i kadego ranka i wieczoru publicznie wyciaga jedn nazw, na przykad: peonia, chiska roa, dzika roa, czerwona roa... Ten, kto poprawio wytypowa kwiat, wygrywa trzydzieci razy tyle, ile postawi. Zapalone graczki wysilay wiec wyobranie i wynajdyway najroniejsze metody, ktore miay im pomoc w zgadniciu wyniku losowania. Niektore upijay wasne corki i usioway wywroyc wasliwe sowa z ich pijanego bekotu, inne szukay wskazwek w snach... nie sposb opisac wszystkich tych dziwaczych pomysw. Metoda waenia martwych dzieci w Parowie Umarych Dzieci – dzieo tworczego umysu mojej babki – bya z nich zdecydowanie najbardziej szokujca i diaboliczna. Babka uywaa do niej specjalnie zmastrowanej wagi recznej, na ktorej wypisaa trzydzieci dwie nazwy kwiatw.

Tamtej nocy byo tak ciemno, e ojciec nie widzia przed oczyma wasnej reki. W rodku nocy babka obudzia go, wyrrywajc z najgebszego snu, co tak go rozgniewao, e chcia na ni nakrzyczec.

– Cicho sza – szepna mu do ucha babka. – Pojdziesz ze mn zgadywac kwiaty.

Ojciec, ktory reagowa naturaln ciekawoci na wszelkie tajemnice, natychmiast oprzytomni. Oboje ubrali si i obuli, po czym, mijajc nicego dziadka, wymkneli si z domu i opucili wiosk. Posuwali si ostronie i tak cicho, e nawet pies na nich nie zaszczeka. Ojciec, trzymany przez babk za

lewą rękę, w prawej niósł lampion z czerwonego papieru. Babka, prowadząc prawą ręką syna, w lewej trzymała swoją specjalną wagę.

Kiedy wychodzili z wioski, ojciec usłyszał szumiący w szerokich, zielonych liściach sorga południowo-wschodni wiatr i poczuł dobiegający z daleka zapach Rzeki Czarnej Wody. Oboje posuwali się z szelestem w kierunku Parowu Umarłych Dzieci. Gdy już udało im się przejść około jednego *li*, oczy ojca na tyle przywykły do ciemności, że potrafił rozróżnić szarobrunatną drogę od rosnącego po obu jej stronach sorga, które sięgało połowy wzrostu człowieka. Szum zboża potęgował tajemniczą atmosferę nocy, a posępne pohukiwania sowy ukrytej wśród gałęzi któregoś z pobliskich drzew pokrywały jej mroczną kanwę patyną grozy.

Sowa siedziała na wierzbie rosnącej w Parowie Umarłych Dzieci, objedzona ich mięsem, i kiedy mój ojciec i babka zbliżyli się, niezmordowanie pohukiwała dalej. Drzewo stało w samym środku mokradła i w dzień widać było porastające je brody krwistoczerwonego mchu. Głos ptaka wibrował w napiętym powietrzu niczym cienka, półprzezroczysta membrana bambusowego fletu. Ojciec wyczuł zielone oczy sowy, lśniące ponuro wśród wierzbowych liści. Jej krzyki przypominały go o szczękaniu zębów. Dwa lodowate dreszcze niczym węże przepelzły przez jego ciało od poduszek stóp aż do czubka głowy. Trzymał kurczowo rękę babki i miał wrażenie, że strach za chwilę rozsadzi mu czaszkę.

Parów Umarłych Dzieci zasnuwała lepka, nieprzyjemna woń. Pod drzewem ciemność była tak gęsta, że ojcu aż ćwierkało w uszach, jakby słyszał cykady. Wielkie jak monety, białe krople deszczu kapały z gałęzi na ziemię, drażąc w nieprzeniknionym mroku długie korytarze. Babka pociągnęła ojca za rękę, dając mu do zrozumienia, że ma uklęknąć. Ojciec wykonał polecenie i jego ręce i nogi zetknęły się z zielonym, które rosło tu, na mokradłach, w szalonej obfitości. Ostre, drapiące czubki liści kłuły go w podbródek. Miał uczucie, jakby w plecy wbijały mu się niezliczone spojrzenia umarłych dzieci, słyszał ich bieganinę i śmiechy.

Babka stuknęła krzemieniem o żelazo i łagodny, czerwony blask iskier padł na jej drżącą rękę. Kiedy podpałka się zajęła, kobieta zaczęła dmuchać, ojciec słyszał świst zimnego powietrza wydobywającego się z jej ust. Na podpałce rozjarzył się migoczący niespokojnie płomyk, pośród ciemnych mokradeł rozeszła się słaba poświata. Babka zapaliła świeczkę w papierowym lampionie, nieruchoma kula czerwonego blasku zawisła w powietrzu niby samotny duch. Sowa na wierzbie zamilkła, tłum umarłych dzieci otoczył ciasno ojca, babkę i czerwony lampion.

Babka rozglądała się po okolicy, dziesiątki ciem obijały się z trzaskiem o papier lampionu. Dreptała z trudem miniaturowymi stopami po gęsto zarośniętej, błotnistej glebie, jej pięty pozostawiały w niej głębokie, okrągłe

ślady. Ojciec był bardzo ciekaw, czego szuka, ale nie śmiał zapytać, tylko ruszył ostrożnie za nią. Szczątki umarłych dzieci poniewierały się wokół, rozsiewając kwaśny odór. W kępie rzepieni o grubych łodygach i szerokich liściach leżał zwinięty w rulon kawałek maty. Babka podała ojcu lampion, położyła wagę na ziemi i schyliła się, by rozwinąć matę. Jej różowe palce przypominały wijące się robaki. Mata rozpostarła się i ich oczom ukazało się zawinięte w szmaty martwe niemowlę. Miało łysą, błyszczącą głowę. Łydki ojca dygotały. Babka podniosła wagę i na jednym końcu zawiesiła szmatę. Trzymając wagę w jednym ręku, drugą przesuwiała ciężarek na jej drugim ramieniu. Nagle materiał zatrzeszczał i zwłoki dziecka wypadły na ziemię. Ciężarek także upadł, uderzając matkę w stopę, waga zaś trafiła w głowę ojca. Ojciec krzyknął, o mało nie upuszczając lampionu. Sowa wśród gałęzi zachichotała dziwacznie, jakby wyśmiewała się z ich niezdarnych poczynań. Babka podniosła wagę z ziemi i z mocą wbiła hak w martwe niemowlę. Wstrętny odgłos zagłębiającego się w ciele metalu przyprawił ojca o dreszcz. Zanim odwrócił głowę, zauważył rękę babki przesuwającą odważnik po ramieniu wagi – to bliżej, to dalej – aż w końcu ramiona się wyrównały. Babka skinęła na ojca, by przysunął lampion. W metalowej wadze odbijał się czerwony blask. Odważnik wskazał bez najmniejszej wątpliwości: „peonia”.

Gdy byli przy wejściu do wioski, ojciec wciąż jeszcze słyszał gniewne pohukiwania sowy.

Babka bez wahania postawiła na „peonię”.

Wylosowany został „zimokwiat”.

Babka ciężko się rozchorowała.

Na widok małej ciotki Xiangguan ojciec przypomniał sobie, że tamto martwe niemowlę też miało szeroko otwarte usta. W uszach znowu zadźwięczała mu to smutna, to wesoła pieśń sowy. Niespodziewanie zateśknił do wilgotnego powietrza mokradeł – północno-zachodni wiatr, niosący chmury pyłu, wysuszał jego wargi i język i budził niepokój w sercu.

Ojciec zauważył, że dziadek patrzy na babkę wzrokiem drapieżnego ptaka: wrogim i bezlitosnym, jakby za chwilę miał się na nią rzucić i pożreć. Babka przygarbiła się i nachyliła głęboko nad wozem.

– Siostrzyczko... Moja mała siostrzyczko... Xiangguan... Moje dziecko... – płakała, poklepując ręką kołdrę, łzy i flegma spływały jej po twarzy.

Na widok rozpaczki babki gniew dziadka powoli ustępował. Wuj Luohan podszedł do babki i powiedział cicho:

– Szefowo... Niech pani nie płacze. Zanieśmy je lepiej do domu.

Babka, powstrzymując łkania, odgarnęła kołdrę, podniosła zwłoki małej cioci i trzymając je, weszła chwiejnie do domu. Dziadek wziął w ramiona drugą babkę i poszedł za nią.

Ojciec stał na ulicy i patrzył, jak wuj Luohan wypręga muła – brzuch zwierzęcia po obu stronach obtarty był przez za wąsko rozstawione dyszle. Uwolnione zwierzę przyglądało się, jak wuj z tyłu wozu odwiązuje drugiego muła. Oba z ulgą wytarzały się w ziemi, wystawiając w górę to brzuchy, to grzbiety, po czym podniosły się i jęły gwałtownie otrząsać, wzbijając w powietrze podobne do dymu chmury drobnego pyłu. Wuj Luohan zaprowadził je na wschodni dziedziniec, a ojciec poszedł za nim.

– Wracaj do domu, Douguan – polecił wuj. – No, wracaj!

Babka przycupnęła obok pieca, by rozpalić ogień, na kuchence stał garnek wypełniony do połowy wodą. Kiedy ojciec wśliznął się do pomieszczenia, zauważył leżącą na kangu drugą babkę – miała szeroko otwarte oczy, policzki drgały jej bezustannie. Jego mała siostra Xiangguan leżała przy wezglowiu posłania, z twarzą przykrytą czerwoną szmatką, by ukryć jej przerażający wyraz. Ojciec znowu przypomniał sobie tamtą noc, kiedy poszedł z babką do Parowu Umarłych Dzieci ważyć martwe dziecko. Porykiwania mułów dobiegające ze wschodniego dziedzińca kojarzyły mu się z pohukiwaniami sowy. Poczul trupią woń i uświadomił sobie, że niedługo i Xiangguan będzie leżała tam, na mokradłach, rzucona na pożarcie sowie i bezpańskim psom. Nie wiedział, że umarli mogą wyglądać tak wstrętnie, ale kusilo go ogromnie, by ściągnąć zasłonę z wykrzywionej twarzy martwej Xiangguan i przyjrzeć się jej znowu.

Babka weszła do sypialni z blaszaną miską pełną gorącej wody i postawiła ją na brzegu kangu.

– Idź stąd! – szturchnęła ojca.

Urażony ojciec powlókł się do zewnętrznego pomieszczenia, słysząc za sobą odgłos zamykanych drzwi. Nie mogąc powstrzymać ciekawości, przyłożył oko do szpary w drzwiach i zajrzał do środka. Dziadek i babka klęczeli na kangu. Najpierw rozebrali drugą babkę i odrzucili jej ubranie. Mokre spodnie wylądowały ciężko na podłodze, ojciec poczul mdlącą woń krwi. Ręce drugiej babki zadrgały bezsilnie, rozległ się jęk. W uszach swojego ojca głos ten znowu zabrzmiał jak głos sowy z Parowu Umarłych Dzieci.

– Trzymaj jej ręce – poprosiła babka dziadka.

W obłokach pary unoszących się nad misą z wodą twarze obojga zamgłiły się.

Babka wyciągnęła z miski biały ręczniczek i wyżeła go, gorąca woda ciurkała do miski. Ręcznik parzył w ręce i musiała przekładać go z jednej dłoni do drugiej. Następnie rozpostarła go i położyła na brudnej twarzy drugiej babki. Dłonie drugiej babki kurczowo zacisnęły się na mocnych rękach dziadka. Kobieta zaczęła wykręcać szyję, z całej siły próbując się wyrwać; podobne do sowego pohukiwania krzyki przerażenia wydobywały się spod tłumiącej je tkaniny. Kiedy babka zdjęła ręcznik z jej twarzy, był okropnie brudny. Zamoczyła go znowu w misce z wodą, wypłukała, wyżeła, wycisnęła kilka razy i zaczęła wycierać całe ciało drugiej babki, z góry do dołu.

Para unosząca się znad miski rzedła, twarz babki pokryły gorące krople.

– Wylej brudną wodę i przynieś mi czystej – poprosiła dziadka.

Ojciec czym prędzej wybiegł na podwórze i patrzył, jak dziadek wychodzi ze schylonym grzbietem, trzymając oburącz misę, podchodzi do niskiego murku, unosi ręce i wylewa wodę do wychodka. W powietrzu załśnił na krótką chwilę wielobarwny wodospad.

Ojciec znów patrzył przez szparę. Ciało drugiej babki już lśniło, niczym świeżo wypolerowany mebel z drzewa sandałowego. Jej protesty, coraz cichsze i słabsze, zmieniły się w bolesne pojękiwania. Babka kazała dziadkowi podnieść drugą babkę, wyciągnęła spod niej materac, zwinęła i rzuciła przed kang, po czym rozłożyła nowy, czysty. Dziadek położył na nim drugą babkę, a babka wetknęła jej między nogi kłęb bawełnianej waty i przykryła ją kołdrą.

– Śpij, młodsza siostró – szepnęła. – Śpij, Zhan’ao i ja zaopiekujemy się tobą.

Druga babka zamknęła spokojnie oczy.

Dziadek wyszedł znowu, by wylać wodę.

Kiedy babka myślała zwłoki mojej małej cioci Xiangguan, ojciec natychmiast wśliznął się do sypialni i stanął przed kangiem. Babka zauważyła go, ale nie wygoniła. Gdy wycierała ciało dziewczynki z zaschniętej krwi, łzy ciurkiem ciekły jej po twarzy. Skończywszy, oparła głowę o ścianę i długo stała nieruchomo, jakby też była martwa.

O zmierzchu dziadek zawinął zwłoki dziecka w kołdrę i wziął w ramiona. Ojciec podszedł za nim do drzwi, ale dziadek powiedział:

– Wracaj do domu, Douguan. Zostań z mamą i z drugą mamą.

Przy wschodniej bramie zatrzymał dziadka wuj Luohan.

– Szefie, niech pan też zostanie. Ja pójdę.

Dziadek wręczył Luohanowi zwłoki cioci i zawrócił. Trzymając ojca za rękę, patrzył, jak wuj odchodzi w stronę wyjścia z wioski.



Dwudziestego trzeciego dnia dwunastego miesiąca 1973 roku Geng Osiemnaście Bagnetów obchodził osiemdziesiąte urodziny. O świcie obudziły go głosy z megafonu radiowęzła zainstalowanego w środku wioski. Jakaś stara kobieta mówiła słabym głosem:

- Yongqi...
- Lepiej ci trochę, mammo? – spytał ochrypły głos mężczyzny.
- Nie... Rano jeszcze bardziej kręci mi się w głowie...

Geng Osiemnaście Bagnetów usiadł z wysiłkiem, podpierając się rękoma o lodowatą matę. On także rankiem bywał oszołomiony. Za oknem świszczał zimny wiatr, stada śniegowych płatków tłukły z szelestem o poszarzały papier okna. Zarzucił na ramiona ogryzioną niemal do cna przez mole kurtkę z psiej skóry, zwłókł się z kangu, po czym, sięgnąwszy po opartą za drzwiami laskę z zakrzywionym uchwytem, wykuśtykał na zewnątrz. Podwórze pokrywała gruba warstwa śniegu. Za wałącym się murkiem jak okiem sięgnąć rozciągała się nieskończona, srebrzystobiała połać, a na niej tkwiły z rzadka, niczym bunkry, kępy suchych źdźbeł sorga. Śnieg sypał i nie zanosił się na to, by miał przestać. Odwrócił się i z odrobiną nadziei, która wciąż mieszkała w jego sercu, podniósł laską wieko kotła na ryż, a potem na mąkę – oba były puste – to znaczy, że oczy wczoraj go nie okłamały. W brzuchu już od dwóch dni nie miał żadnego jedzenia – stare kiszki kurczyły się raz po raz. Będzie musiał zdobyć się na to, by poprosić sekretarza lokalnego oddziału partii o ziarno. W żołądku mu burczało i trząsał się z zimna. Wiedział też, że sekretarz to kawał drania o sercu twardszym niż kamień i że wyproszenie od niego żywności nie będzie łatwym zadaniem. Postanowił więc zagotować chociaż wody do picia, by móc z rozgrzanym brzuchem ruszyć do ostatniej walki z tym sukinsynem. Laską podniósł pokrywę dzbana na wodę – w środku była tylko bryła lodu. Przypomniał sobie, że już od trzech dni nie palił w piecu, a od dziesięciu nie chodził do studni. Znalazł popękany czerpak i do obtłuczonego, nigdy porządnie nie czyszczonego garnka nabrał dwadzieścia parę porcji śniegu z podwórka. Przykrył garnek i rozejrzał się za jakąś podpałką, ale nic nie znalazł. Wszedł do wewnętrznej izby, ściągnął garść słomy z kangu, tasakiem do jarzyn pociął kilka mat uplecionych z sorgowych łądyg. Ukucnął i skrzesał ogień krzesiwem. Zapałki, które rok temu kupował po dwa feny za pudełko, można było dostać tylko na kartki, a na te bez kartek nie miał pieniędzy. Stary łobuz bez grosza – oto, kim był. W czarnej czeluści pieca roztańczyły się czerwone, ciepłe płomyki, przysunął się więc bliżej, by ogrzać pusty, zziębnięty brzuch. Gdy już odtajał z przodu, poczuł, że plecy wciąż ma zimne. Czym

prędzej dorzucił słomy do pieca i odwrócił się grzbietem w stronę ognia. Mróz ustąpił z pleców, ale tymczasem brzuch z powrotem zlodowaciał. W połowie rozgrzany, w połowie zziębnięty – to było jeszcze trudniejsze do zniesienia. Dał więc spokój z tym grzaniem i zabrał się do podsycania ognia, z nadzieją, że zdoła chociaż zagotować wodę. Z żołądkiem pełnym ciepłej wody będzie mógł stanąć przed tym sukinsynem z podniesioną głową i nawet jeśli nie uda mu się zdobyć jedzenia, to chociaż przez chwilę poprzeskadza mu w spokojnym żegnaniu Boga Kuchni. Kiedy płomienie pod garnkiem zaczęły przygasać, wepchnął ostatnią garść słomy w czarną, łakomą gębę Boga, marząc, by paliła się jak najdłużej. Niestety bez skutku – słoma błyskawicznie spłonęła, a w garnku dalej nic się nie działo. Poderwał się więc nadspodziewanie energicznie, wpadł do wewnętrznej izby, wyciągnął spod maty na kangu ostatnich parę garści słomy i wrzucił je do pieca z nadzieją, że wreszcie uda się stopić lód w garnku. Potem bezlitośnie wepchnął do środka mały trójnogi taboret, a następnie złapał starą wyłysiałą miotłę i ją także wcisnął w czarne gardło Boga. Bóg Kuchni beknął i zaczął rzygać kłębami gęstego dymu. Poblady ze strachu Geng zdjął laską wiszący na ścianie wielki wachlarz i machał nim, starając się rozniecić ogień. Piec to połykał dym, to go wypluwał, aż w końcu przestał pluć, w środku rozległ się trzask i taboret wraz z miotłą zapłonęły jasnym, mocnym płomieniem. Geng wiedział, że drewno dłużej się pali, mógł więc trochę odsapnąć. Lepkie jak flegma łzy popłynęły z jego podrażnionych dymem starych, półślepych oczu – spływając po wyschniętej twarzy, krople łączyły się ze sobą po kilka, aż w końcu wsiąkały w brodę, zmierzwioną jak poplątany motek przędzy. Z garnka rozległ się urywany syk wody, podobny do ćwierkania cykad. Podobał mu się ten dźwięk – twarz rozjaśniła mu się w niewinnym, dziecinnym uśmiechu. Wtem ogień w piecu zaczął przygasać i pogodny wyraz twarzy staruszka zamienił się w grymas przerażenia. Geng poderwał się znowu i rozejrzał wokół w poszukiwaniu jakiegokolwiek przedmiotu nadającego się do spalenia. Belki i krokwie z pewnością były palne, lecz nie miał tyle siły, by ściągnąć je na dół. Wtem przypomniał sobie opowieść o tym, jak jeden z Ośmiu Nieśmiertelnych – Li Żelazna Laska – spalił własną nogę. Według tej legendy Li wsadził nogę do pieca i trzymał ją tam, aż zaczęła skwierczeć. Jego żona powiedziała: „Okulejesz, bracie!”. No i wykrakała: noga jej małżonka się spaliła i Nieśmiertelny został kaleką. Geng wiedział, że nie jest Nieśmiertelnym i że wcale nie musi niczego sobie palić, by utknąć w chałupie na dobre. Tak czy inaczej, musi wyjść i zawlec się do domu sekretarza partii, by zażądać od niego żywności. Wreszcie, gdy ogień w piecu niemal dogasł, wzrok Genga padł na mały ołtarzyk wydlubany w murze, w którym znajdowała się czarna tabliczka. Sięgnął zakrzywioną laską i postukał w tabliczkę, chcąc strącić ją na dół. Z tabliczki wzbil się obłok pyłu, jakby sugerując, że drewno, z którego była zrobiona, przeszło już próbę ognia i dymu. Stare serce Genga zadrżało ze

strachu – poczuł przenikający do szpiku kości ból. Cierpiąc, podniósł tabliczkę lisiego ducha, której składał ofiary przez ostatnich trzydzieści sześć lat, i wrzucił ją do pieca. Głodne płomienie zaczęły lizać tabliczkę, z której z sykiem sączyły się krople ciemnoczerwonego soku, jakby z pieczonego lisiego mięsa... mięsa tego lisa, który tak pracowicie wylizał osiemnaście ran na ciele Genga. Po tylu latach wciąż dobrze pamiętał ten zimny, cudowny lisi język... Język ten musiał mieć lecznicze właściwości – wierzył w to głęboko. Gdyby tak nie było, to jak to możliwe, że gdy wrócił do wioski, w ranach nie było śladu zakażenia i zagoiły się bez odrobiny lekarstw? Gdy opowiadał młodszym tę podobną do legendy historię, zawsze patrzono na niego z niedowierzaniem. Wtedy poirytowany zdejmował ubranie i pokazywał swoje blizny, ale nic to nie pomagało. Głęboko wierzył, że cudem uniknął śmierci i że to wydarzenie wróży mu wielkie szczęście w przyszłości, lecz owo szczęście wciąż nie nadchodziło. Kiedy jednak został beneficjentem „pięciu gwarancji”\*, uznał, że w końcu otrzymał to, na co czekał. Nie cieszył się jednak długo. Teraz nikt w całej wiosce nie troszczył się o jego los. Tamten mały nicpoń, który przed laty siedział w koszyku na mulim grzbiecie i strugał wierzbowe patyki, został lokalnym sekretarzem partii i gdyby w czasie kampanii „wielkiego skoku naprzód” nie doprowadził do śmierci dziewięciu ludzi, miałby już pewnie stanowisko na szczeblu prowincji. To właśnie ten drań skasował jego prawo do „pięciu gwarancji”.

Drewniana tabliczka paliła się z trudem, jakby to był prawdziwy lis. Przez trzask czerwonych jak krew płomieni Geng usłyszał bulgotanie gotującej się wody. Zaczepnął wrzątku wyszczerbionym czerpakiem i siorbnął łyk. Gorąca woda wpłynęła do żołądka – poczuł przyjemny dreszcz, a po kolejnym łyku czuł się tak wspaniale, jakby został Nieśmiertelnym.

Kiedy pochłoniął dwa czerpaki gorącej wody, był zlany potem, a ożywione ciepłem wszy jęły pełzać po nim radośnie, lecz nie gryzły. Geng poczuł jeszcze większy głód, ale przynajmniej wyglądało na to, że odzyskał siły. Podpierając się laską, wyszedł na zaśnieżony świat, pod stopami chrzęściły mu odłamki białego jadeitu, w uszach skrzypiał deptany śnieg, a serce i umysł miał jasne i czyste niczym sierpniowe niebo. Ulica była opustoszała, tylko jeden zaśnieżony, czarny pies szedł nią ostrożnie i od czasu do czasu przystawał, by się otrząsnąć – śnieg pryskał na wszystkie strony, odsłaniając czarny psi grzbiet, który po chwili znowu pokrywał się białym puchem. Geng szedł za czarnym psem aż do domostwa tego drania sekretarza. Czarna jak noc, lśniąca główna brama była zamknięta na głucho; kilka gałązek zimokwiatu, obsypanych obficie krwistoczerwonymi kwiatami, zwieszało się z muru.

---

\* Pięć gwarancji: żywność, odzież, zakwaterowanie, opieka medyczna i pogrzeb – wchodziły w skład systemu zapomóg przysługujących ludziom starszym i niezdolnym do pracy, spełniającym określone warunki, wprowadzonego w ChRL w latach pięćdziesiątych XX w.

Podziwiając je obojętnie, Geng wszedł na kamienne stopnie, wziął głęboki oddech i załomotał do drzwi. Z dziedzińca dobiegło szczekanie psa, nie odezwał się jednak żaden ludzki głos. Zniecierpliwiony oparł się o mur i jął walić laską w żelazny skobel. Pies zaczął warczeć.

Brama wreszcie się otworzyła i wypadł z niej tłusty łaciaty piesek o błyszczącej sierści i oczach. Stworzenie rzuciło się natychmiast ku przybyszowi, lecz gdy Geng zamachał groźnie laską, czym prędzej się wycofało, szczerząc błyszczące, białe jak śnieg kły i gniewnie ujadając. W końcu w bramie ukazała się jasna twarz kobiety w średnim wieku. Kobieta zmierzyła wzrokiem Genga, po czym przemówiła serdecznym tonem:

– Ach, to pan, starszy panie Geng! Ma pan jakąś sprawę?

– Chcę się widzieć z sekretarzem! – odparł ochryple Geng Osiemnaście Bagnetów.

– Poszedł na zebranie w komunie – odpowiedziała kobieta z nutką współczucia w głosie.

– Proszę mnie wpuścić! – wypalił staruszek rozgniewanym, lecz zmęczonym głosem. – Chcę go zapytać, jakim prawem pozbawił mnie „pięciu gwarancji”. Japońcy zadali mi osiemnaście ran bagnetem, ale udało mi się przeżyć. Czy teraz przez niego mam zginać z głodu?

– Starszy panie Geng, jego naprawdę nie ma w domu – odparła kobieta zmieszana. – Poszedł do komuny na zebranie dziś rano. Jeśli pan jest głodny, proszę wejść i się poczęstować, nie mamy nic specjalnego, ale są placki ze słodkich ziemniaków, można się najeść.

– Placki! – parsknął Geng lodowato. – Tych placków nie jada nawet wasz pies!

– Skoro pan nie ma ochoty, to nie – odrzekła kobieta urażona. – Męża nie ma w domu. Poszedł do komuny na zebranie. Jeśli pan chce, może pan tam iść!

Kobieta zrobiła krok w tył i brama się zatrzasnęła. Geng podniósł laskę i znowu załomotał w drzwi, lecz był tak słaby, że o mało się przy tym nie przewrócił. Wrócił, kuśtykając, na zaśnieżoną ulicę.

– Idę do komuny... do komuny... Doniosę na tego drania... – mamrotał do siebie. – Powiem, że prześladowuje uczciwych ludzi, że wstrzymał mi przydział jedzenia...

Geng włókł się niczym stary, zbity pies, pozostawiając na śniegu dwa rzędy to głębokich, to płytkich śladów. Po przejściu sporego odcinka drogi w padającym śniegu wyczuł delikatny zapach zimokwiatu. Odwrócił się powoli i

splunął obficie za siebie, w kierunku lśniącej czarnej bramy. Wśród wirujących w powietrzu płatków śniegu kwiaty jarzyły się niczym czerwone płomyki.

Już zmierzchało, gdy stanął przed główną bramą komuny ludowej. Była zrobiona ze stalowych prętów grubości kciuka, zwieńczonych końcówkami w kształcie grotu włóczni – nawet zręcznemu młodzianowi nie udałoby się jej sforsować. Między prętami Geng dojrzał dziedziniec przed budynkami biura, pełen czarnego, brudnego śniegu. Kręcili się tam ludzie w nowych ubraniach i czapkach, o dorodnych uszach i tłusto lśniących twarzach. Niektórzy nieśli oskubane świńskie łby z uszami o krwistoczerwonych brzegach, inni srebrne ryby pałasze, jeszcze inni świeżo zarżnięte kury i kaczki. Geng postukał laską o stalowe pręty – brzdęk, brzdęk, brzdęk – ale ludzie wewnątrz byli tak zaafekrowani, że rzucali mu tylko krótkie, niechętnie spojrzenia i wracali do swoich zajęć. Geng zaczął pokrzykiwać gniewnie i płacząco:

– Panowie przywódcy... Kierownicy... Skrzywdzono mnie... Umieram z głodu!

Jakiś młodzieniec z trzema wiecznymi piórami w kieszeni płaszcza zbliżył się do niego i zapytał kpiącym tonem:

– O co się tak awanturujecie, dziadku?

Na widok takiej liczby wiecznych piór na piersi mężczyzny Geng doszedł do wniosku, że ma do czynienia z kimś na wysokim stanowisku. Ukłękł więc na śniegu, przytrzymując się dłońmi stalowych prętów, i powiedział błagalnie:

– Panie przywódcu! Sekretarz naszej brygady produkcyjnej obciął mi rację żywnościową. Nie jadłem od trzech dni, z głodu niedługo padnę. Japońcy osiemnaście razy dźgali mnie bagnetami – przeżyłem. A teraz umieram z głodu...

– Z której wioski jesteście? – spytał młodzieniec.

– Nie znacie mnie, panie przywódcu? – zdumiał się Geng. – Jestem Geng Osiemnaście Bagnetów!

Mężczyzna roześmiał się.

– A skąd mam was znać? Wracajcie do domu, idźcie do kierownika waszej brygady, biuro komuny ma dziś wolne.

Staruszek jeszcze długo stukał w żelazne pręty bramy, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi. Ciepłe, żółte światło sączyło się przez szklane okna budynków wokół dziedzińca, na ich tle wielkie, miękkie jak gęsi puch płatki śniegu tańczyły bezgłośnie w powietrzu. Od strony wioski rozległ się huk fajerwerków, co przypomniało Gengowi, że nadszedł czas wyprawienia Boga

Kuchni do Niebios, by zdał tam swoje coroczne sprawozdanie. Chciał ruszyć w drogę powrotną do domu, lecz ledwie zrobił krok, padł jak długi na ziemię, jakby ktoś popchnął go od tyłu. Kiedy dotknął twarzą śniegu, poczuł, że jest dziwnie ciepły – ten śnieg przypominał mu ciepło objąć matki, a raczej ciepło jej łona. Skulony w matczynym brzuchu, z zamkniętymi oczami, pływał swobodnie jak rybka, nie martwiąc się o jedzenie ani ubranie, wolny od wszelkich trosk. Doświadczając od nowa życia płodowego, poczuł się absolutnie szczęśliwy – brak głodu, brak zimna dawał mu niewyobrażalną radość. Z oddali dobiegło szczekanie psów i Geng mgliście zdał sobie sprawę, że już opuścił matczyne ciało i znowu znajduje się na tym świecie. Żłota poświata na dziedzińcu komuny i płomienista czerwień zimokwiatu opromieniły wszystko dookoła niczym żywo płonące ognisko, blask ten oślepił Genga. Płatki śniegu, niczym skrawki złotej i srebrnej folii, z szelestem kłębiły się w powietrzu, z każdego domu Bóg Kuchni wzbijał się na papierowym rumaku w niebo i galopował przez przestworza w stronę odległego Niebiańskiego Pałacu. Skąpany w całym tym blasku staruszek poczuł gwałtowne gorąco i suchość, zupełnie jakby sam zajął się ogniem. Czym prędzej ściągnął podartą skórzaną kurtkę, lecz dalej było mu gorąco. Zdjął podbite watoliną portki – gorąco. Ściągnął ocieplane buty – gorąco, i filcowy kapelusz – gorąco. Był już całkiem nagi, tak jak wtedy, gdy jako niemowlę opuszczał łono matki – i dalej było mu gorąco. Leżał na śniegu, który teraz parzył jego skórę, zaczął więc tarzać się po ziemi – uff, jak gorąco! Otworzył usta i łykał śnieg, który parzył mu gardło niczym rozgrzane w słońcu kamyki. Gorąco! Ależ gorąco! Próbując się podnieść, łapał rękoma pręty bramy, lecz rozgrzany do czerwoności metal parzył go, dłonie przywarły do żelaza i nie dawały się oderwać. Chciał krzyczeć, krzyczeć po raz ostatni: Gorąco! Gorąco!

Młodzieniec z mnóstwem wiecznych piór w kieszeni wstał wczesnie rano i wyszedł, by odgarnąć śnieg. Gdy zerknął mimochodem w stronę bramy, zbladł z przerażenia. Staruszek, który poprzedniego wieczoru przedstawił mu się jako Geng Osiemnaście Bagnetów, całkiem nagi tkwił uczepiony prętów bramy, niby ukrzyżowany Jezus. Twarz miał siną, ręce i nogi rozpostarte, wytrzeszczone oczy patrzyły na dziedziniec. Na pierwszy rzut oka nikt by nie uwierzył, że ma przed sobą zwykłego, samotnego starego człowieka, który umarł z głodu.

Młodzieniec uważnie policzył blizny na jego ciele. Było ich ni mniej, ni więcej, tylko osiemnaście.

Ospowaty Cheng zaprowadził japońskich żołnierzy po kolei do wszystkich warsztatów wyplatania słomianych łapci w wiosce, ci zaś wysadzili każdy w powietrze, a następnie puścili Chenga wolno. Człowiek w kapeluszu barwy kadzidełek zapytał go surowo:

– Są tu jeszcze jakieś warsztaty, gdzie wyplatają łapcie?

– Już nie ma, ani jednego – odparł Cheng z przekonaniem.

Mężczyzna w kapeluszu spojrział na Japończyka, który kiwnął głową.

– Zjeżdżaj! – rzucił.

Cheng, gnąc się w ukłonach, wykonał kilkanaście kroków w tył, po czym odwrócił się i chciał pobiec, ale nogi miał jak z waty, a serce waliło mu w piersi tak, że nie był w stanie ruszyć się z miejsca. Rana od bagnetu na klatce piersiowej dręczyła go piekącym bólem, mieszanina odchodów, którą miał w spodniach, była lepka i zimna. Kiedy zdyszany oparł się o drzewo, usłyszał przeraźliwe krzyki i płacze, dobiegające ze wszystkich okolicznych domostw. Nogi ugięły się pod nim i osunął się na ziemię, drapiąc plecami o suchą korę drzewa. Powietrze w wiosce wypełniały kłęby gęstego dymu, pochodzącego z wybuchów granatów ręcznych. Japończycy wrzucili parę setek czarnych granatów w kształcie kantalupy przez drzwi i okna dwunastu warsztatów, gdzie wyrabiano łapcie ze słomy. Wrzuciwszy granaty, otaczali zabudowania i stali bez ruchu, podczas gdy z wnętrza rozlegały się huk eksplozji podobne do stłumionych grzmotów, a ziemia trzęsła się pod stopami. Z okien domów buchał gęsty dym i dobiegały żalosne jęki tych, którzy nie zginęli od razu. Japończycy zatykali okna wiechciami słomy, przez co ludzkie głosy stawały się tak słabe, że trzeba było się wyteżać, by cokolwiek usłyszeć. Japończycy wysadzili dwanaście warsztatów. Cheng, który ich prowadził, wiedział, że trzy czwarte mężczyzn w wiosce wyrabia łapcie ze słomy i śpi w swoich warsztatach, żaden z nich prawdopodobnie nie przeżył. Nagle zdał sobie sprawę z ogromu swojej zbrodni. Bez jego pomocy Japończycy zapewne nie znaleźliby tego warsztatu w odległym zakątku wschodniego krańca wioski. Był jednym z największych, dniem i nocą pracowało tam dwudziestu, trzydziestu mężczyzn – wyplatali łapcie, gawędząc i żartując. Japończycy wrzucili do niego ponad czterdzieści granatów, siła eksplozji zmiotła dach. Po wszystkim warsztat zamienił się w jeden wielki, zrujnowany cmentarz, tylko słup z wierzbowego drewna, który podpierał dach, stał w błotnistej ziemi i niczym lufa karabinu celował w szkarłatne niebo.

Cheng był przerażony i miał poczucie winy. Wydawało mu się, że wszystkie te znajome twarze otaczają go, oskarżają. Zaczął się skwapliwie usprawiedliwiać: Japońcy mnie zmusili, trzymali mnie pod bagnetem, gdybym ich nie poprowadził, sami znaleźliby wszystkie warsztaty i wysadzili je w powietrze. Pomordowani wieśniacy popatrzyli po sobie i wycofali się cicho. Patrząc na ich zmasakrowane, pokawałkowane ciała, mimo iż opuściły go już wyrzuty sumienia, czuł się tak, jakby zanurzono go w zlodowaciałej rzece, przemarznięty do kości.

Kiedy wreszcie dowlóknął się do domu, odkrył, że jego urodziwa żona i trzynastoletnia córka leżą na podwórzu odarte z odzieży, a ich wnętrzności leżą rozwłózione wokół. Zrobiło mu się ciemno przed oczami i jak długi padł na ziemię. Leżał tak, na zmianę czując, że już umarł, to znów, że jeszcze żyje. Biegł przed siebie, na południowy zachód. Na różanym niebie unosiła się okrągła, czerwona chmura, a na niej jego żona, córka i tłumy znajomych wieśniaków, mężczyzn i kobiet, starców i dzieci. Pędził w ich stronę z zadartą głową, ścigając szybującą powoli chmurę. Ludzi z chmury Cheng niewiele obchodził. Pluli na niego, nawet jego żona i córka. Usprawiedliwiał się gorączkowo, tłumaczył, że nie miał wyboru, lecz plwocina padała coraz gęściej, jak deszcz. Chmura wznosiła się coraz wyżej i wyżej, w końcu zamieniła się w krwistoczerwoną świecącą kropkę. Dla jego żony, pięknej, młodej kobiety o cerze gładkiej jak najlepsza porcelana, związek z mężczyzną oszpeconym bliznami po ospie był ujmą na honorze. Ale kiedy co wieczór w lokalnej gospodzie grał na oboju smutną, płaczliwą pieśń, jej serce rozpadało się na kawałki. To jego instrument był jej oblubieńcem. Grał na nim i grał, a kiedy w końcu miała już dość słuchania, dziobate oblicze, za którym nigdy nie przepadała, stało się jej jeszcze bardziej nienawistne. Uciekła z handlarzem tkaninami, ale Cheng złapał ją i zaciągnął do domu. Bił ją w pośladki tak długo, aż spuchły – bicie żony jest jak wyrabianie ciasta. Po wszystkim żona sercem i duszą skupiła się na codzienności. Najpierw urodziła córkę, potem syna... Kiedy oprzytomniał, zaczął go szukać – znalazł ośmioletniego chłopczyka wetkniętego do kadzi z wodą, głową w dół, nogami do góry – jego ciało było sztywne jak kij.

Ospowaty Cheng przywiązał sznur do nadproża w głównej bramie, zrobił na końcu pętlę, którą wsadził sobie na szyję, wszedł na stołek i wykopał go spod siebie. Pętla się zacisnęła. Wtem zjawił się jakiś młody chłopak i nożem przeciął sznur. Ospowaty Cheng runął na ziemię. Młodzieniec długo rozcierał jego ciało, aż w końcu niedoszły samobójca wrócił do życia.

– Wujku Ospowaty! – krzyczał zdenerwowany. – Japońcy nie dość nas wymordowali? Musisz im jeszcze pomagać? Tylko żywy będziesz mógł się na nich zemścić! Wujku!



Ospowaty Cheng odparł płacząco:

– Chunsheng, mój bratanku! Twoja ciotka, Lanzi, Zhuzi, wszyscy nie żyją! Cała moja rodzina zginęła!

Chunsheng z nożem w ręku wszedł na podwórze, a gdy wrócił, twarz miał biała, a oczy czerwone. Pomagając wujowi wstać, powiedział:

– Chodźmy stąd, wujku! Wstąpmy do Ósmej Armii! W Wiosce Dwóch Powiatów Batalion Jiaogao rekrutuje żołnierzy, kupuje konie!

– A mój dom, mój majątek?

– Stary głupcze! Przed chwilą chciałeś się powiesić! Myślałeś wtedy o domu i majątku? Idziemy!

Wczesną wiosną 1940 roku było wyjątkowo zimno. Wszystkie wioski w Północno-Wschodnim Gaomi leżały w gruzach, a nieliczni, którzy ocaleli, żyli niczym świstaki w norach. Potężny Batalion Jiaogao cierpiał w okowach mrozu i głodu. Rosła liczba chorych: od dowódcy po zwykłego szeregowca wszyscy byli bladzi z niedożywienia i trzęśli się z zimna w podartych, nieocieplanych mundurach. Stacjonowali w małej wiosce w pobliżu Doliny Słonej Wody. Gdy tylko wyszło słońce, żołnierze kładli się pokotem pod zrujnowanym murem, łapali wszy i wygrzewali się w ciepłych promieniach. W dzień oszczędzali siły, a nocą straszliwie marzli – bali się, że gdyby przyszło im ruszyć na wroga, prędzej zginęliby od mrozu niż z ręki Japończyków. Ospowaty Cheng był już wtedy jednym z najdzielniejszych zuchów i zaufanym człowiekiem dowódcy Jianga Małonogiego. Nie przepadał za bronią palną, lubił natomiast granaty. W każdej potyczce wysuwał się na pierwszą linię i z zamkniętymi oczami miotał jeden granat trzonkowy za drugim. Nawet gdy wróg podchodził na odległość siedmiu, ośmiu metrów, rzucał dalej i nigdy nie krył się ani nie schylał – co zadziwiające, odłamki, które roily się wokoło jak szarańcza, przelatywały tuż obok niego, ale on nigdy nie został nawet draśnięty.

Jiang zwołał zebranie oficerów, by omówić problem głodu i zimna. Ospowaty Cheng wpadł między nich jak burza, siadł z ponurą miną i milczał.

– Masz jakiś pomysł, Stary Chengu? – spytał Jiang Małonogi.

Ospowaty Cheng nie odpowiedział.

Jeden z oficerów o aparycji intelektualisty rzekł:

– W obecnej sytuacji krycie się w Północno-Wschodnim Gaomi jak w mysiej dziurze jest równoznaczne z czekaniem na zagładę. Powinniśmy wyrwać się z tej śmiertelnej pułapki i przenieść się do południowej części

powiatu Jiao, gdzie znajdują się uprawy bawełny i zakłady produkujące ocieplane ubrania. Region obfituje w słodkie ziemniaki, zatem z wyżywieniem też nie powinno być problemu.

Dowódca Batalionu Jiang wyciągnął z kieszeni odbitą na powielaczu gazetkę i powiedział:

– Według biuletynu Komitetu Specjalnego w Południowym Jiao sytuacja jest jeszcze poważniejsza. Brygada kolejowa została otoczona i całkowicie rozbita przez Japończyków. W porównaniu z tamtym terenem Północno-Wschodnie Gaomi to idealny rejon do prowadzenia wojny partyzanckiej. Teren jest rozległy, wioski rozproszone, siły japońskie i kolaboranckie słabsze. Ponieważ zeszłoroczne sorgo w większości nie zostało zebrane, można się tu skutecznie ukrywać, trzeba tylko rozwiązać problem wyżywienia i ubrania, a będziemy mogli kontynuować walkę. Okazja do ataku na wroga przyjdzie sama.

Jeden z oficerów, mężczyzna o mizernej twarzy, rzekł:

– Ale jak to zrobić? Skąd weźmiemy materiały i watolinę na ubrania? Skąd jedzenie? Żywimy się kielkującym sorgiem, wszyscy są tak głodni, że niedługo zaczną padać! Według mnie trzeba udać, że poddajemy się dowódcy kolaboranckich jednostek, Zhangowi Zhuxi. Zdobędziemy w ten sposób ciepłą odzież, uzupełnimy zapasy amunicji, a potem się odłączymy.

– Chcesz, żebyśmy zostali zdrajcami narodu? – wybuchł intelektualista.

– Kto ci każe być zdrajcą? – odparował oficer. – Mówię przecież, będziemy tylko udawać, że się poddajemy! W Epoce Trzech Królestw Jiang Wei zastosował wybieg z fikcyjnym poddaniem się, i Huang Gai też\*!

– Jesteśmy z Komunistycznej Partii Chin. Nie damy się złamać głodowi ani mrozowi. Kto chce służyć wrogom i odrzucić naszą moralność, będzie musiał pogadać z moim karabinem!

Oficer nie dawał za wygraną.

– Czy Komunistyczna Partia Chin żąda, by jej ludzie umierali z głodu i zimna? Przecież skupia najlepszych, najinteligentniejszych ze wszystkich. Musimy być elastyczni, musimy umieć ustąpić dla osiągnięcia większego celu. Musimy zachować nasze życie i nasze siły, by w wojnie z japońskim okupantem odnieść ostateczne zwycięstwo!

– Towarzysze – wtrącił się Jiang. – Nie kłóćcie się. Proszę spokojnie mówić, co macie do powiedzenia.

---

\* Jiang Wei (202-264) – generał i przywódca państwa Shu w Epoce Trzech Królestw, Huang Gai (daty życia nieznane) – generał z państwa Wu; obaj występowali w *Opowieści o Trzech Królestwach*.

– Panie dowódco, mam plan – oznajmił Ospowaty Cheng.

Kiedy przedstawił swoją propozycję, Jiang Małonogi zatarł ręce z zadowolenia.

Gdy nadeszła noc, Batalion Jiaogao zabrał się do realizacji planu Ospowatego Chenga. Zgarnęli ponad sto psich skór, które mój ojciec i dziadek poprzybijali w wiosce do walących się murów, oraz ukradli kilkadziesiąt karabinów, które dziadek ukrył w starej studni. Biorąc z nich przykład, zaczęli polować na psy, dzięki czemu uzupełnili zapasy jedzenia i odzyskali siły, a dla ochrony przed zimnem każdy dostał psią skórę. Tamtej mroźnej wiosny na rozległych równinach Północno-Wschodniego Gaomi grasowała cała armia odzianych w psie skóry wojowników. Stoczyli kilkanaście niedużych, ale i niemałych bitew z Japończykami i ich sługusami, w tym z Dwudziestym Ósmym Batalionem Zhanga Zhuxi, którego żołnierze wkrótce trzęśli portkami ze strachu na sam dźwięk szczekania psów.

Pierwsza bitwa rozegrała się drugiego dnia drugiego miesiąca tradycyjnego kalendarza – czyli w dniu, w którym smok podnosi łeb. Żołnierze Jiaogao, odziani w psie skóry, z karabinami w rękach, zakradli się do wioski Końska Gospoda i otoczyli stacjonującą tam Dziewiątą Kompanię Dwudziestego Ósmego Batalionu oraz niewielki oddział Japończyków. Mieli kwaterę w dawnej szkole podstawowej, która składała się z czterech rzędów domów krytych niebieską dachówką, otoczonych wysokim murem zwieńczonym siatką z drutu kolczastego. Wzniesiony w 1938 roku w centrum zabudowań japoński bunkier nie miał wzmocnionych fundamentów i w czasie zeszłorocznych ulewnych deszczy zawalił się na skutek podmycia. Potem nadeszły mrozy i nie dało się rozpocząć nowej budowy, toteż obie jednostki, japońska i kolaborancka, przeniosły się do budynków.

Dowódcą kolaboranckiej Dziewiątej Kompanii był Gaomijczyk, bezwzględny okrutnik, na którego twarzy przez cały czas kwitł łagodny uśmiech. Zimą rozpoczął zbiórkę cegieł, kamieni i drewna na budowę nowej kwatery dla wojska, dzięki czemu nieźle się obłowił. Wieśniacy nienawidzili go do szpiku kości.

Wieś Końska Gospoda znajdowała się w północno-zachodniej części powiatu Jiao, graniczącej z Północno-Wschodnim Gaomi, i była odległa o trzydzieści *li* od głównej kwatery Batalionu Jiaogao. Wyruszyli o zmroku. W krwistoczerwonych promieniach zachodzącego słońca dwustu żołnierzy Ósmej Armii wymykało się z wioski z pochylonymi grzbietami. Każdy miał na plecach psią skórę, odwróconą futrem na zewnątrz, a psie ogony dyndały im między nogami. Psia sierść lśniła w słońcu kolorami tęczy, wojownicy przedstawiali sobą widok przedziwny i piękny, niczym niezwykła armia demonów. Jako że po raz pierwszy w życiu ruszali do boju odziani w psie skóry, sami czuli się

bardzo demonicznie. Zerkając na futra swoich towarzyszy, zabarwione słonecznym blaskiem na krwistoczerwono, sunęli żwawo naprzód, jakby unosili się na pędzących chmurach, całkiem jak bieżące psie stado.

Dowódca, Jiang Małonogi, ubrany w wielką, rudą skórę, która z pewnością należała do naszego rudego psa, szedł na czele, drobiąc małymi stopami, Futro na jego plecach falowało, gruby psi ogon zwisał między nogami i zamiatał końcem ziemię. Ospowaty Cheng odziany był w skórę czarną, a na piersi zwisała mu płócienna sakwa zawierająca dwadzieścia osiem granatów ręcznych. Wszyscy nosili psie futra w podobny sposób: skóry zarzucali na ramiona, dwie przednie łapy wiązali z przodu konopnym sznurkiem, w części brzusznej zaś robili otwory z boków, wkładali w nie sznurki i zawiązywali w pasie.

W Końskiej Gospodzie znaleźli się w środku nocy: niebo wypełniał zimny blask gwiazd, mróz skuwał ziemię. Odzianym w psie skóry żołnierzom Batalionu Jiaogao wiatr hulał po brzuchach, za to w plecy było im ciepło. Kiedy wchodzili do wioski, kilka psów zaszczekało im przyjaźnie na powitanie, a jeden niesforny młody żołnierz odpowiedział im w psim języku. Jego towarzysze nagle poczuli dziwne gorąco w gardłach – ogarnęła ich przemożna chęć, by mu zawtórować, lecz z czoła pochodu dobiegł stanowczy rozkaz dowódcy: Nie szczekać! Nie szczekać! Żadnego szczekania!

Polegając na przeprowadzonym wcześniej rozpoznaniu, oddział zgodnie z planem zajął pozycje w miejscu odległym o sto metrów od głównej bramy, gdzie składowano cegły i kamienie na budowę nowej kwatery, która miała zacząć się wiosną.

– Ospowaty, ruszamy! – powiedział Jiang Małonogi do Chenga, który tkwił tuż za jego plecami.

– Szósty, Chunsheng, za mną! – rozkazał szeptem Ospowaty Cheng.

Zjął sakwę z granatami, wyjął jeden i zatknął sobie za pas, a resztę oddał jakiemuś wysokiemu żołnierzowi, mówiąc:

– Jak nam się uda przy bramie, masz mi to szybko przynieść.

Żołnierz skinął głową.

Słabe światło gwiazd i blask kilkunastu latarni rozwieszonych na budynkach oświetlały dziedziniec tak, że ciemna noc przypominała wieczór. Koło głównej bramy kręciło się dwóch kolaboranckich strażników – niczym duchy, rzucali na ziemię długie cienie. Wtem zza sterty cegieł i kamieni wyskoczyło czarne, stare psisko i ruszyło niezdarnym biegiem, tuż za nim wyłonił się biały, a potem łaciaty pies. Kłapały na siebie zębami, przewracały się, kotłowały i wciąż trzymając się w cieniu, podchodziły do bramy. Obok

sterty drewna, zaledwie kilkanaście kroków od bramy, walczące psy zwały się ze sobą. Z daleka wyglądało to tak, jakby trzy zwierzaki biły się o jakiś wyjątkowo smaczny kęs.

Dowódca Jiang Małonogi zza sterty kamieni obserwował z zadowoleniem spektakl odgrywany przez Ospowatego Chenga i jego dwóch towarzyszy, wspominając Chenga takiego, jaki był, gdy wstępował do jego armii – powolny, tchórzliwy mazgaj, popłakujący jak stara baba.

Kiedy Ospowaty Cheng i jego towarzysze kotłowali się wytrwale w cieniu sterty drewna, dwóch strażników stanęło obok siebie w miejscu i zaczęło nasłuchiwać. Jeden schylił się po kamień i cisnął w ich stronę, pomstując:

– Parszywe kundule!

Ospowaty Cheng wydał z siebie skomlenie uderzonego psa, do złudzenia przypominające prawdziwe. Jiang o mało nie wybuchł śmiechem.

Żołnierze Jiaogao ćwiczyli psie odgłosy, odkąd powstał plan ataku na Końską Gospodę. Ospowaty Cheng, który śpiewał kiedyś arie z opery pekińskiej i grał na oboju, miał mnóstwo siły w płucach, donośny, dźwięczny głos oraz zręczny język, został więc głównym mistrzem psiej mowy w Batalionie. Szóstemu i Chunshengowi zresztą też szło całkiem nieźle. Dlatego właśnie im powierzono zadanie wciągnięcia strażników w śmiertelną pułapkę.

W końcu kolaboranczy strażnicy nie wytrzymali i z zaopatrzonymi w bagnety karabinami ostrożnie zbliżyli się do sterty drewna. Psiska jeły gryźć się z jeszcze większym zapałem. Kiedy żołnierze podeszli do nich na odległość trzech, może pięciu kroków, stworzenia przestały głośno szczekać i zaczęły skamleć, jakby z przerażenia, nie uciekały jednak.

Strażnicy zrobili kolejny, bojaźliwy krok.

Ospowaty Cheng i jego towarzysze skoczyli do ataku. Dochodzące od strony koszar ciemnożółte światło latarni oświetliło ich psie futra – wyglądali jak trzy błyskawice. Granat Ospowatego Chenga uderzył w czoło jednego ze strażników, Szósty i Chunsheng wbili bagnety w klatkę piersiową drugiego. Obydwaj osunęli się na ziemię niczym worki piachu.

Odziany w skóry Batalion Jiaogao, ruszając na koszary wroga, naprawdę wyglądał jak stado rozjuszonych kundli. Ospowaty Cheng, odebrawszy przy bramie swoją sakwę z granatami, popędził jak szalony w stronę krytych dachówką budynków.

Huk wystrzałów i wybuchających granatów, okrzyki i wrzaski Japończyków oraz ich sługusów zburzyły zimową ciszę w wiosce Końska Gospoda. Rozszczekały się miejscowe psy.

Ospowaty Cheng wrzucił przez jedno z okien po kolei dwadzieścia granatów, dobiegające z wnętrza odgłosy eksplozji i jęki rannych Japończyków przypomniały mu, jak kilka lat wcześniej wrzucali granaty do warsztatów, gdzie produkowano łapcie ze słomy. Podobieństwo tych obrazów jednak wcale nie wzbudziło w nim satysfakcji z dokonanej zemsty, przeciwnie, wywołało tak okropne cierpienie, jakby w jego sercu wycięto głęboką ranę.

Była to największa bitwa stoczona przez Batalion Jiaogao od czasu jego powstania, a przy tym bezapelacyjnie najbardziej spektakularne zwycięstwo w całym okręgu Binhai od początku wojny. Komitet Specjalny okręgu Binhai udzielił za nie oficjalnej pochwały Batalionowi. Były to dni wielkiej radości dla odzianych w psie skóry żołnierzy Jiaogao. W niedługim czasie jednak miały miejsce dwa wydarzenia, które srodze ich rozczarowały: po pierwsze, zdobyte w bitwie pod Końską Gospodą broń i amunicja przejął w całości Niezależny Batalion Binhai. Dowódca Jiang, jako członek partii komunistycznej, miał świadomość, iż decyzja Komitetu była słuszna, lecz zwykli szeregowcy otwarcie narzekali i pomstowali. Nawet członkowie Niezależnego Batalionu, gdy przybyli po broń, na widok odzianych w psie skóry, wymizerowanych żołnierzy Jiaogao mieli zawstydzone miny. Po drugie, Ospowatego Chenga, który tak wspaniale odznaczył się w bitwie pod Końską Gospodą, znaleziono wiszącego na wierzbie w pobliżu wejścia do wioski. Wszystkie ślady wskazywały na to, że popełnił samobójstwo. Cheng nie zdjął z pleców psiej skóry, przez co z tyłu wyglądał jak wiszący na drzewie pies, a tylko z przodu jak człowiek.

## 9

Kiedy moja babka obmyła całe ciało drugiej babki gorącą wodą, ta przestała krzyczeć. Jej pokaleczoną twarz przez cały dzień zdobił łagodny uśmiech. Tam niżej jednak cały czas sączyła się krew. Dziadek wzywał miejscowych lekarzy, drugiej babce podano całą furę lekarstw – jej stan jednak nie poprawiał się ani trochę. W tamtych dniach sypialnię babki wypełniała mocna woń krwi. Wkrótce prawie cała krew wyciekła z ciała drugiej babki, jej uszy stały się przezroczyste niczym zimna galaretka z fasoli.

Ostatniego lekarza dziadek sprowadził z miasta Pingdu. Był to osiemdziesięcioletni staruszek, z siwą brodą i szerokim, mięsistym czołem. Miał bardzo długie paznokcie u rąk, a z guzików jego tradycyjnej pikowanej tuniki zwisały rogowy grzebień, srebrny patyczek do grzebienia w uchu oraz kościana wykałaczką. Ojciec przyglądał się, jak medyk przytknął palec do nadgarstka drugiej babki, by zbadać puls. Zbadawszy lewą rękę, zabrał się za prawą. Gdy skończył, oznajmił:

– Szykujcie pogrzeb!

Przygnębieni babka i dziadek pożegnali doktora, po czym dziadek wysłał wuja Luohana do cieśli, by obstał trumnę. Babka do późna w nocy szła dla drugiej babki strój pogrzebowy.

Następnego dnia z pomocą kilku kobiet z sąsiedztwa przebrała druga babkę w nowe ubranie. Druga babka nie okazywała nawet śladu protestu, gdy tak leżała wyprostowana na kangu, ubrana w czerwoną jedwabną tunikę, niebieskie satynowe spodnie, halkę z zielonego jedwabiu i czerwone haftowane pantofelki z satyny. Na jej twarzy widniał niewatpliwy uśmiech, pierś wciąż poruszała się nieznacznie, lecz zauważalnie.

W południe ojciec zobaczył spacerującego po kalenicy czarnego jak tusz kota, który wydawał z siebie mrozące krew w żyłach, posępne miauki. Ojciec rzucił w niego kawałkiem cegły, zwierzak uskoczył, lądując na dachówkach, po czym majestatycznie się oddalił.

O zmroku, gdy nadszedł czas zapalania lamp, parobcy z gorzelni wnieśli trumnę i ustawili ją na dziedzińcu. Babka zapaliła w domu lampkę na olej sojowy, a ponieważ okazja była wyjątkowa, włożyła do niej aż trzy knoty. W unoszącym się nad lampką dymie wyczuwało się nutę zapachu smażonej baraniny. Wszyscy niecierpliwie czekali, aż druga babka wyda ostatnie tchnienie. Ojciec ukryty za drzwiami patrzył na jej uszy, które w świetle lampki miały kolor i przejrzystość bursztynu; widok ten wywoływał w jego sercu przecucie jakiejś wielobarwnej tajemnicy. Wyczuł też, że po dachówkach znowu spaceruje czarny jak tusz kot, wyczuwał jego lśniąca w ciemności oczy, a w myślach słyszał demoniczne wrzaski. Skóra na głowie go paliła, włosy nastroszyły mu się niczym kolce jeża. Druga babka nagle otworzyła oczy i chociaż jej spojrzenie pozostało nieruchome, powieki mrugały, jakby kapały na nie gęste krople niewidzialnego deszczu. Mięśnie policzków zadrgały nerwowo, pełne wargi skrzywiły się raz, drugi, trzeci – po trzecim razie z ust drugiej babki wydobył się krzyk jeszcze bardziej nieprzyjemny niż wrzaski kotów w rui. Ojciec zauważył, że złoty płomyk w lampce olejowej nagle stał się zielony jak szczypiorek; w tym zielonym blasku twarz drugiej babki przestała przypominać ludzką.

W pierwszej chwili babka ucieszyła się, że druga babka wraca do życia, ale szczęście szybko ustąpiło miejsca grozie.

– Siostró, młodsza siostró, co ci jest? – spytała.

– Skurwysyny! Nie daruję wam! Możecie zabić moje ciało, ale nie zabijecie duszy! Poobdzieram ze skóry, ścięgnę powyrywam! – pomstowała druga babka.

Nie przemawiała swoim prawdziwym głosem – był to głos kobiety przynajmniej pięćdziesięcioletniej.

Słyszając ten potok przekleństw, babka aż się cofnęła.

Powieki drugiej babki mrugały w szalonym tempie, wydawała z siebie to nieartykułowane wrzaski, to złorzeczenia. Od jej krzyków trzęsły się dachówki, powietrze wypełniał jej lodowaty oddech. Ojciec zauważył, że od szyi w dół ciało drugiej babki było sztywne jak kij, i nikt nie rozumiał, skąd bierze tyle siły.

Bezradny dziadek kazał ojcu pójść do wschodniego skrzydła domu i zawołać wuja Luohana. Wszystkie te przerażające odgłosy było tam słycać bardzo wyraźnie. Z Luohanem w pokoju siedziało siedmiu czy ośmiu parobków z gorzelnii, pogrążonych w rozmowie. Na widok ojca nagle zamilkli.

– Wujku, przybrany tata prosi, żebyś przyszedł – rzekł mój ojciec.

Wuj Luohan wszedł do pokoju, spojrział na drugą babkę, po czym złapał dziadka za rękaw i wyciągnął go za drzwi. Ojciec poszedł za nimi. Luohan powiedział szeptem:

– Szefie, ona jest już dawno martwa. Jakiś zły duch ją opętał. Ledwie skończył mówić, usłyszał dobiegające z izby krzyki drugiej babki:

– Luohan, ty sukinsynu! Nie zasługujesz na dobrą śmierć! Obedrą cię ze skóry, wyrwą ścięgna, obetną ci fiuta!

Dziadek i wuj Luohan popatrzyli na siebie ze zgrozą, nie mogąc wydobyć słowa.

– Trzeba ją obmyć wodą ze stawu. Ta woda wypędza demony – powiedział wuj Luohan po chwili namysłu.

Druga babka tymczasem złorzeczyła dalej.

Kiedy wuj Luohan z czterema roslymi parobkami z gorzelnii pojawił się na dziedzińcu, niosąc dzban brudnej wody ze stawu, usłyszał złowrogi rechot drugiej babki i słowa:

– Lej wodę, Luohanie, lej! Twoja ciotunia jest taka spragniona!

Ojciec patrzył, jak jeden z parobków wpycha drugiej babce do ust metalowy lejek, używany do nalewania wódki w sklepie, a drugi zaczyna łać do niego wodę z dzbana. Woda wirowała i znikwała w lejku niebywale szybko, aż trudno było uwierzyć, że naprawdę znika w brzuchu drugiej babki.

Kiedy zawartość całego dzbana została wylana, druga babka uspokoiła się. Jej brzuch pozostał płaski, lecz pierś wciąż się poruszała, jakby kobieta chciała zaczerpnąć powietrza.

Wszyscy odetchnęli z ulgą.

– No, to jest już gotowa! – oznajmił wuj Luohan.



Ojciec znowu wyczuł tupot łap na dachu, jakby spacerował po nim czarny kocur.

Na zeszywniałej twarzy drugiej babki jeszcze raz pojawił się czarujący uśmiech. Jej szyja wyciągnęła się jak u gdaczącej kury, tak mocno, że skóra na niej zrobiła się przezroczysta. Kobieta wydała kilka przeraźliwych okrzyków i z jej ust chlusnął strumień mętnej wody, wzniósł się na dwie stopy w górę, po czym nagle opadł i rozprysnął się w powietrzu; strumyczki rozpostarły się niczym płatki chryzantemy i opadły na jej nowe pogrzebowe ubranie.

Fontanna drugiej babki tak wystraszyła czterech parobków, że wybiegli z pokoju.

– Uciekajcie, uciekajcie! – pokrzykiwała druga babka. – Daleko nie uciekniecie! Mnich może uciec, ale świątynia nie!

Słyszając to, parobcy rzucili się do panicznej ucieczki, żałując, że natura poskąpiła im większej liczby nóg.

Wuj Luohan popatrzył na dziadka błagalnie, a dziadek na Luohana. Gdy ich spojrzenia się spotkały, rozległy się dwa bezradne westchnienia.

Druga babka pomstowała jeszcze głośniejsze niż przedtem. Nie tylko miotła przekleństwa, ale i wymachiwała rękoma i nogami.

– Japońskie psy, chińskie psy za trzydzieści lat będą wszędzie! Nie uciekniesz im, Yu Zhan'ao! Połkną cię jak ropucha muchę! Najgorsze jeszcze przed tobą!

Ciało drugiej babki wygięło się w łuk, jakby chciała usiąść.

– O nie, ten trup wstaje! – krzyknął wuj Luohan. – Szybko, dajcie mi krzemień!

Babka rzuciła mu kamień.

Dziadek zebrał się na odwagę i przytrzymał drugą babkę, podczas gdy Luohan przyłożył krzemień do miejsca, gdzie znajdowało się jej serce. Oczywiście bez skutku.

Luohan odsunął się, chcąc wyjść.

– Nie zostawiaj nas, Luohanie! – powstrzymywał go dziadek.

– Szefowo! Przynieś mi łopate! – zarządził wuj Luohan.

Dopiero gdy pierś drugiej babki została przyciśnięta żelaznym szpadlem, jej ciało znieruchomiało.

Dziadek i wuj Luohan opuścili pokój, za nimi poszedł mój ojciec.

Podczas gdy druga babka cierpiała w samotności, babka, dziadek, Luohan i ojciec zebrali się na dziedzińcu.

– Zhan’ao! – wrzasnęła znowu druga babka. – Chcę zjeść koguta z żółtymi łapami!

– Weźcie mój pistolet i ubijcie jej tego koguta – rzekł dziadek.

– Nie ma po co! Ona jest już dawno martwa – zaprotestował Luohan.

– Wymyśl coś szybko, wuju! – prosiła babka.

– Niech Zhan’ao idzie do wsi Cyprysowy Aromat po pustelnika taoistę!

O świcie papier w oknach pękał od głośnych pomstowań drugiej babki.

– Luohan! Ty i ja nie możemy żyć pod tym samym niebem! Kiedy Luohan wszedł na dziedziniec w towarzystwie pustelnika, wrzaski drugiej babki zamieniły się w przeciągłe westchnienia.

Pustelnik był mężczyzną około siedemdziesiątki, ubranym w czarną szatę mnicha taoistycznego z wymalowanymi na przodzie i z tyłu dziwnymi znakami. Na plecach miał miecz z brzoskwiniowego drewna, w ręku niósł szmaciane zawiniątko.

Dziadek wyszedł go powitać i natychmiast rozpoznał Pustelnika Li, tego samego, który przed kilkoma laty wypędzał z drugiej babki ducha łasicy o czarnym pysku. Był jeszcze chudszy niż wtedy.

Pustelnik przeciął brzoskwiniowym mieczem papier w oknie i zajrzał do środka, po czym cofnął się z pobladłą twarzą.

– Panie pryncypale, obawiam się, że moje moce są zbyt słabe, by pokonać to zło – rzekł do dziadka, kłaniając się.

– Nie może nas pan tak zostawić! – zaprotestował dziadek. – Niech pan zrobi wszystko, co się da, by przepędzić to coś! Jestem gotów sownie pana wynagrodzić.

Pustelnik zamrugał oczyma o złowrogim wyrazie i oświadczył:

– W porządku. Egzorcysta wychyli kielich na odwagę, a potem będzie walił swoją twardą głową w złoty dzwon!

W naszej wiosce do dziś dnia opowiada się historię o tym, jak Pustelnik Li wypędził złego ducha z mojej drugiej babki.

Według tej legendy Pustelnik Li z rozwichrzonym włosom odtańczył na naszym dziedzińcu taniec ku czci gwiazdnych bóstw, recytując tajemne słowa i

wymachując mieczem, podczas gdy druga babka wierciła się i kotłowała na kangu, krzycząc i płacząc wniebogłosy.

W końcu Pustelnik kazał babce przynieść drewnianą miskę do połowy napełnioną czystą wodą. Z zawiniątka wyciągnął kilka paczuszek z lekarstwami, dodał specyfiki do wody i zamieszał w misce mieczem z brzoskwiniowego drewna, recytując przy tym zaklęcia. Woda w naczyniu robiła się coraz bardziej czerwona, aż zaczęła przypominać krew. Egzorcysta oblał się potem, podskoczył parę razy wysoko do góry, po czym padł na wznak na ziemię i zemdlał, tocząc pianę z ust.

Dopiero gdy staruszek odzyskał przytomność, druga babka wydała ostatnie tchnienie. Przez okno buchnął trupi odór i smród rozkładającej się krwi.

Kiedy składano ją do trumny, wszyscy zasłaniali usta i nosy szmatkami nasączonymi wódką z sorga.

## 10

Minęło dziesięć lat, odkąd ostatni raz odwiedziłem moją rodzinną wioskę. Stoję teraz znowu nad grobem mojej babki, pełen hipokryzji, którą skazyły mnie wyższe sfery, z ciałem, które tak długo nasiąkało brudem i smrodem miejskiego życia, że teraz wydziela wszystkimi porami jego ohydny odór. Odwiedziłem wiele grobów, zanim przyszedłem tutaj, by pokłonić się duszy mojej babki, której krótkie, lecz wspaniałe i barwne życie zapisało się mocnymi pociągnięciami pędzla w historii tego „najbardziej bohaterskiego i najbardziej łajdackiego” miejsca na ziemi. Jej niezwykła śmierć obudziła w najgłębszych zakamarkach dusz mieszkańców Północno-Wschodniego Gaomi tajemnicze uczucia. Dopiero w pamięci starych ludzi, w tym przepływającym z wolna słodkim, ciemnoczerwonym syropie myśli, uczucia te zaczęły kiełkować, rosnać, wzmacniać się, aż w końcu stały się bronią, mentalną bronią pozwalającą zmierzyć się z nowym, nieznanym światem. Za każdym pobyt w rodzinnych stronach, patrząc w pijane oczy staruszków, doznawałem olśnienia tą drzemającą w nich, sekretną siłą. W takich momentach bardzo nie lubię czynić porównań, przemożna siła logiki wtrąca mnie jednak w ich wir. W wirze tym odkrywam z przerażeniem, że prawie wszystkie piękne oczy, jakie poznałem w ciągu dziesięciu lat spędzonych z dala od tego miejsca, osadzone były w filigranowych łebkach domowych króliczków. Nienasycone żądze zmieniały te oczy w upstrzone czarnymi punkcikami krople o jaskrawoczerwonej barwie owoców głogu. Uważam wręcz, iż można powiedzieć, że istnieją dwie całkowicie różne odmiany ludzkości, każda z nich powstała w osobnym procesie ewolucji, każda stworzyła odrębny świat według własnego

systemu wartości. Boję się, że w moich oczach także pojawił się ten szczególny spryt, boję się, że i moje usta zaczęły powtarzać po innych słowa wyczytane w książkach, boję się, że sam zamieniłem się w bestsellerowy „Reader’s Digest”.

Druga babka wyskoczyła z grobu, trzymając w dłoni złote lustro; po obu stronach jej wykrzywionych w drwiącym uśmiechu, pełnych ust pojawiły się dwie pionowe bruzdy.

– I ty jesteś moim wnukiem? Popatrz no na siebie! – powiedziała.

Elegancko odziana, wyglądała tak samo jak wtedy, gdy składano ją do trumny, wydawała się jednak młodsza i piękniejsza, niż pamiętałem. W jej głosie słyhać było wyraźnie głębię i przenikliwość, nieporównywalną z moją własną. Jej umysł był otwarty, pełen godności, myśli elastyczne i prężne, a zarazem spokojne i mocne, podczas gdy moje drgają w powietrzu niczym przezroczyta membrana bambusowego fletu.

Przejrzałem się w lustro mojej drugiej babki. Dostrzegłem w swoich oczach ową króliczą chytryść, z moich ust zaś wyraźnie wydobywały się słowa, które nie były moimi słowami, tak jak głos drugiej babki tuż przed śmiercią nie był jej głosem. Moje ciało pokrywają pieczęcie postawione przez sławne osobistości.

Jestem śmiertelnie przerażony.

– Wróć do mnie, wnuczku! – zawołała wspaniałomyślnie moja druga babka. – Nie ma dla ciebie innego ratunku. Wiem, że nie chcesz, że boisz się wszędobylskich much i rojów komarów, boisz się węży pełzających po podmokłych polach sorga. Czczysz bohaterów, lecz nienawidzisz łajdaków– a któż tutaj nie jest „najbardziej bohaterski, najbardziej łajdacki”? Gdy teraz stoisz przede mną, czuję woń domowych królików, którą przywlokłeś ze sobą z miasta. Wskakuj szybko do Rzeki Czarnej Wody, wymocz się w niej przez trzy dni i trzy noce – boję się tylko, że tamtejszym karpom powyrastają królicze uszy, kiedy opiją się twojego brudu!

Druga babka weszła z powrotem do grobu. Sorgo stało uroczyście, wilgotne promienie słońca parzyły w nieruchomym powietrzu. Mogiłę porastały obficie trawy i zioła o oszołamiającym aromacie. Zupełnie jakby nic się nie wydarzyło. Z oddali dobiegały dźwięczne głosy chłopów, śpiewających przy orce.

W tamtym czasie mogiłę mojej drugiej babki otaczało już inne sorgo – przywieziona z wyspy Hainan krzyżówka. Teraz już całe sorgo przykrywające gęstwiną zieleni czarną ziemię Północno-Wschodniego Gaomi należy do tej hybrydowej odmiany. Tamto, czerwone jak krew, którego piękno tak wiele razy opiewałem, zostało całkowicie unicestwione, zalała je powódź rewolucji. To, które je zastąpiło, jest niskie, grubolodygowe, całe pokryte białym pyłkiem, ma

gęste liście i kłosa długie jak psie ogony Ma wysoką wydajność, cierpki smak i powoduje zaparcie. W tamtych czasach twarze wszystkich mieszkańców moich rodzinnych stron, z wyjątkiem tych na stanowiskach powyżej sekretarza lokalnej komórki partii, były koloru zardzewiałego żelaza.

Z całej duszy nienawidzę tej hybrydowej odmiany sorga.

Hybrydowe sorgo sprawia wrażenie, jakby nigdy nie dojrzewało. Jego szarozielone oczy nigdy się całkiem nie otwierają. Stojąc nad mogiłą drugiej babki, patrzyłem na te przebrzydłe mieszańce, które opanowały ojczyznę czerwonego sorga. Przywłaszczyły sobie nazwę „sorgo”, lecz nie mają ani jego wspaniałej postaci, ani olśniewającej barwy. Tym, czego im brak, jest prawdziwa dusza sorga, jego naturalna elegancja. Brukają czyste powietrze Północno-Wschodniego Gaomi swoimi ponurymi, nijakimi, pociągłymi twarzami.

Otoczony zewsząd hybrydowym sorgiem, czuję się głęboko zawiedziony.

Stoję wśród gęstych rzędów hybrydowych źdźbeł i wspominam wszystkie te cudowne widoki, których już nigdy nie zobaczę: ósmy miesiąc, pełnia jesieni, pod wysokim, czystym nieboskłonem rozciąga się czerwone jak krew, lśniące morze sorga. Jeśli jesienią padały obfite deszcze, pola sorga zamieniały się w mokradła: ciemnoczerwone główki zboża wystawały ponad mętną, żółtą wodę, rzucając szafirowemu niebu niepokorne wyzwanie. Gdy wychodziło słońce, rozległe lustro wody migotało w jego blasku, a niebo i ziemię zalewało niezwykle bogactwo wspaniałych barw.

Oto ucieleśnienie ostatecznego piękna i harmonii, do którego tęsknię i zawsze będę tęsknił.

Jestem teraz otoczony hybrydowym sorgiem, przez nie obleżony – jego podobne do węży liście owijają moje ciało, ciemnozielona trucizna zatruwa moje myśli, duszę się w okowach, których nie potrafię zrzucić. Nie mogąc uwolnić się od cierpienia, pogrążam się w otchłani rozpacz.

Wtem z najgłębszych zakątków nieogarnionej ziemi dobiega jakiś samotny głos. Wydaje mi się znajomy i obcy jednocześnie, przypomina to głos mojego dziadka, to mojego ojca, to znowu wuja Luohana. Przypomina też głosy mojej babki, drugiej babki i trzeciej babki, dźwięczne i śpiewne. To duchy członków mego klanu, wskazując mi właściwą drogę, zsyłają objawienie:

O biedne, słabe dziecko, nieufne i zazdrosne, pełne uprzedzeń, z duszą zamroczoną trującą wódką, idź do Rzeki Czarnej Wody i mocz się w niej przez trzy dni i trzy noce – pamiętaj, ani dnia krócej, ani dnia dłużej – oczyść ciało i ducha. Dopiero potem możesz powrócić do swojego świata. W domenie yang Góry Białego Konia i yin Rzeki Czarnej Wody rośnie źdźbło czystej odmiany czerwonego sorga, które musisz za wszelką cenę odnaleźć. Niosąc je wysoko

nad głową, wkrocz do krainy ciernistych zarośli, rojącej się od dzikich drapieżników. Oto twój talizman, cudowny totem naszego klanu, symbol ducha tradycji Północno-Wschodniego Gaomi!